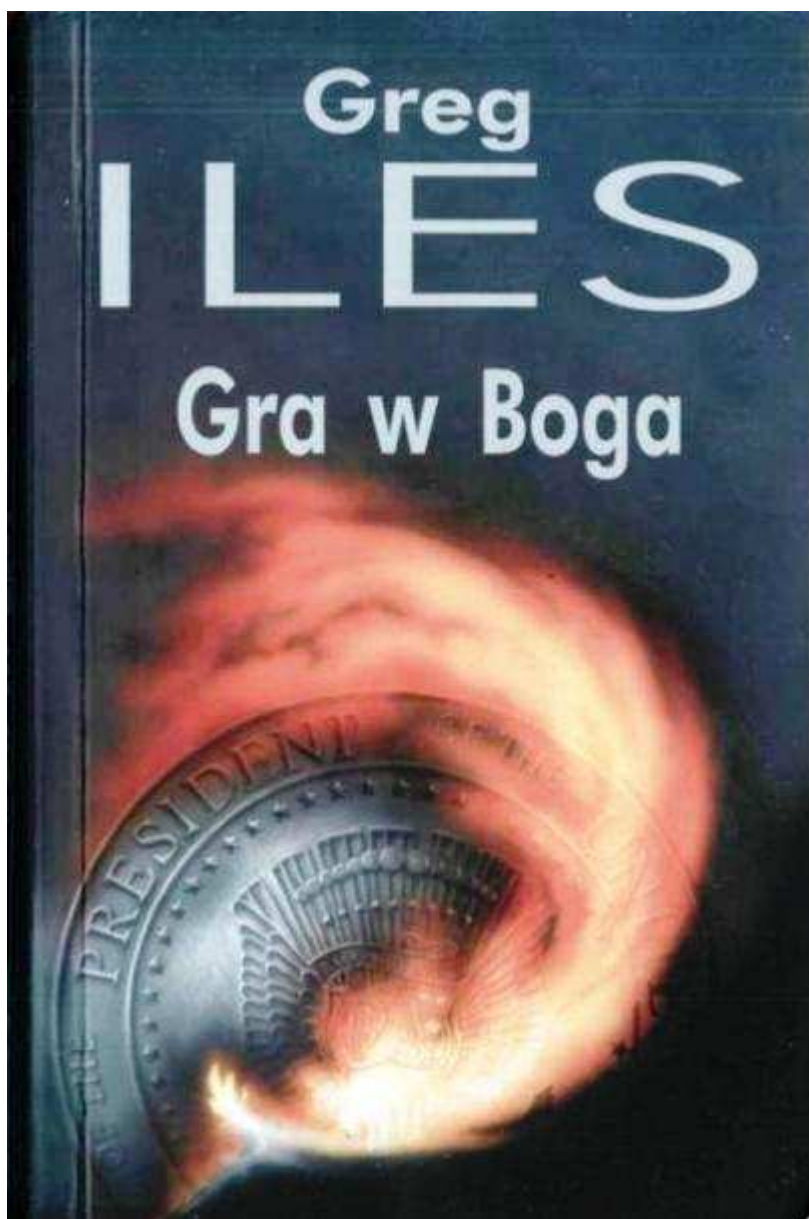


Greg
ILES

Gra w Boga





GREG ILES

Greg Iles zdobył popularność debiutanckim thrillerem *Spandau Phoenix*, opisującym mroczne tajemnice II wojny światowej. Rekomendacji książkę udzielił tak znani pisarze jak John Grisham, Clive Cussler i Nelson DeMille. Inna powieść Ilesa *24 Hours*, przyrównywana do *Z zimną krewią* Trumana Capote'a, została sfilmowana z Charlize Theron. W dorobku pisarza są thrillery wojenne, psychologiczne, kryminały à la Harlan Coben (*W martwym śnie*), czy powieści z typowo ludiumowską intrygą, jak *Gra w Boga*.

David Tennant jest jednym z kilku naukowców związanych z hipertajnym rządowo-prywatnym projektem Święta Trójca, na którego czele stoi genialny konstruktor komputerów, Peter Godin. Celem projektu jest stworzenie myślącej maszyny – superkomputera o wręcz nieograniczonych możliwościach. Prace dobiegają końca – i David zdaje sobie sprawę, że Godin pragnie wykorzystać rewolucyjną technologię do własnych, zagrożających ludzkości celów. W przekonaniu tym utwierdza go podejrzana śmierć pracującego przy Świętej Trójcy fizyka noblisty Andrew Fieldinga, który nieoczekiwanie umiera na udar mózgu. Co odkrył jego przyjaciel? Tennant domyśla się prawdy. Chce ją ujawnić – sam więc musi zginąć. Zmuszony do ucieczki, ma przeciwko sobie policję, agentów federalnych i zawodowych zabójców. Tymczasem Święta Trójca wymyka się spod kontroli, światu grozi zagłada. Jedyne David mógłby powstrzymać nieuchronny bieg wydarzeń...

ISBN-13: 978-83-7359-214-8
ISBN-10: 83-7359-214-8



9 788373 159214 8

Greg
ILES

Gra w Boga

Z angielskiego przełożył
ROBERT PIOTROWSKI

WARSZAWA 2006

Tytuł oryginału:

THE FOOTPRINTS OF GOD

Copyright © Greg Iles 2003 All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2006

Copyright © for the Polish translation by Robert Piotrowski 2006

Redakcja:

Beata Starna

Ilustracja na okładce:

Jacek Kopalski

Projekt graficzny okładki i serii:

Andrzej Kuryłowicz

ISBN-13: 978-83-7359-214-8

ISBN-10: 83-7359-214-8

Dystrybucja

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk

Kolejowa 15/17, 01-217 Warszawa

tel./fax (22)-631-4832, (22)-535-0557/0560

Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe

www.merlin.pl

www.ksiazki.wp.pl

www.empik.com

WYDAWNICTWO ALBATROS

ANDRZEJ KURYŁOWICZ

Wiktorii Wiedeńskiej 7/24, 02-954 Warszawa

Wydanie I

Skład: Laguna

Druk: B.M. Abedik S.A., Poznań

Podziękowania

Szczególną wdzięczność kieruję pod adresem Raya Kurzweila, pioniera wynalazcy, którego badania sztucznej inteligencji w dużym stopniu zainspirowały mnie do napisania tej powieści. Wciąż pamiętam, jak po raz pierwszy wydobyłem dźwięk fortepianu z syntezatora Kurzweila i zdałem sobie sprawę, czego można dokonać na polu muzyki elektronicznej. Kurzweil jest utalentowanym futurologiem, a jego książkę *the Age of Spiritual Machines* polecam każdemu jako lekturę obowiązkową.

W moich powieściach zawsze korzystam z ekspertyz i wnikliwości wielu ludzi. Oto ci wszyscy, którym winien jestem wyrazy podziękowania:

za podróż do Izraela w trudnych czasach: Keith Benoist;

za konsultację medyczną: dr Salii Tiwari, okulista dr Louis Jacobs, dr Michael Bourland, dr Jerry Iles, dr Edward Daly, dr Fred Emrick oraz Simmons Iles z Królewskiej Marynarki Wojennej;

za porady z dziedziny wojskowości: generał major Chuck Thomas z armii Stanów Zjednoczonych (w st. spocz.). Chuck natychmiast przyszedł mi z pomocą, ale nie ponosi winy za wymyślone przez autora możliwości, jakimi dysponuje wojsko. Podziękowania również dla Cole'a Corderáya oraz S.B. za potajemną współpracę;

za długie noce spędzone na dyskusjach o filozofii i religii: Robert Hensley, Michael Taylor i Win Ward;

za najrozmaitszy wkład w tę książkę — ci, co zawsze: Geoff Iles, Michael Henry, Ed Stackler, Courtney Aldridge, Betty Iles, Carrie Iles, Madeline Iles, Mark Iles i Jane Hargrove;

za trwanie, mimo wszystko, przy tym projekcie: Susan Moldow, Louise Burke i Susanne Kirk.

Dziękuję także paniom z Izby Handlowej Oak Ridge.

Jak zwykle, wszystkie błędy zawdzięczam sobie.

Na koniec słówko do Czytelników. Pisanie o nauce i filozofii w powieści komercyjnej stwarza podstawowy problem. Jeżeli podejździe się do tego poważnie, straci się masowego odbiorcę. Zbytne uproszczenie zaś obraża ludzi obeznanych z tymi zagadnieniami. Wierzę, że potraktujecie tę książkę jako ćwiczenie umysłowe, bez zbyt surowych ocen w jedną czy w drugą stronę. Jeżeli ostatnie dziesięć tysięcy lat czegokolwiek nas nauczyło, to tego, że na tym świecie nic nie jest pewne.

*Jeżeli wszystkie rzeczy powracają do Jednego,
dokąd powraca Jedno!*

Pytanie z koanu, buddyzm zen
(Przekład Małgorzaty i Andrzeja Grabowskich)

*Musimy uważać, żeby nie uczynić z intelektu naszego
boga.*

Albert Einstein

Rozdział 1

— Nazywam się David Tennant. Jestem lekarzem, wykładowcą etyki na wydziale medycznym uniwersytetu stanu Wirginia. Jeżeli oglądacie tę taśmę, to znaczy, że nie żyję.

Odetchnąłem głęboko i wziąłem się w garść. Nie chciałem przemawiać, jakbym czytał z kartki. Wcześniej ustawiłem kamerę Sony na statywie i przekręciłem ciekłokrystaliczny ekran w moją stronę, bym mógł obserwować siebie w trakcie nagrania. W ostatnich tygodniach straciłem na wadze. Oczy miałem czerwone ze zmęczenia, błyszczące i podkrążone. Wyglądałem jak poszukiwany listem gończym przestępca, a nie człowiek pogrążony w bólu po stracie przyjaciela.

— Na dobrą sprawę sam nie wiem, od czego zacząć. Wciąż widzę Andrew, leżącego na podłodze. I wiem, że go zabili. Ale... wybiegam za daleko. Wam potrzebne są fakty.

Urodziłem się w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym pierwszym w Los Alamos w stanie Nowy Meksyk. Mój ojciec, James Howard Tennant, był fizykiem nuklearnym, a matka, Ann Tennant, pediatrą. Nagrywając tę taśmę, jestem zupełnie trzeźwy. Kiedy skończę, zamierzam natychmiast zdeponować ją u mojego adwokata, z poleceniem, by obejrzano ją po mojej śmierci, bez względu na przyczynę zgonu.

Sześć godzin temu znaleziono zwłoki mojego kolegi, Andrew Fieldinga. Rzekomo umarł za biurkiem na atak serca. Nie potrafię tego udowodnić, ale wiem, że go zamordowano. Od dwóch lat obaj należeliśmy do zespołu naukowców, powołanego przez NSA (Narodową

Agencję Bezpieczeństwa) i DARPA — agencję rządową, która w latach siedemdziesiątych stworzyła Internet. Zespół ten i jego zadanie, objęte klauzulą najwyższej tajności, znane są jako projekt Święta Trójca.

Zerknąłem na rewolwer Smith&Wesson kaliber .38, z krótką lufą, który trzymałem na kolanach. Nie chciałem, żeby go było widać na ekranie, i dopilnowałem tego, ale czułem się pewniej, mając go pod ręką. Uspokojony, znowu spojrzałem na czerwoną lampkę.

— Dwa lata temu Peter Godin, założyciel korporacji Super komputery Godina, doznał objawienia, podobnego do owej mitycznej chwili, gdy Izaakowi Newtonowi spadło na głowę jabłko. Przydarzyło mu się to we śnie. Nie wiadomo skąd siedemdziesięcioletniemu człowiekowi stanęła przed oczami najbardziej rewolucyjna wizja w historii nauki. Gdy tylko się obudził, zadzwonił do Johna Skowa, zastępcy dyrektora NSA w Forcie Meade, w stanie Maryland. Przed szóstą rano udało im się sklecić i dostarczyć szkic projektu prezydentowi Stanów Zjednoczonych. List ten wstrząsnął posadami Białego Domu. Wiem o tym, ponieważ prezydent przyjaźnił się w szkole średniej z moim bratem. Brat umarł trzy lata temu, ale prezydent wiedział od niego, czym się zajmuję, i właśnie z tego powodu znalazłem się w centrum dalszych wydarzeń.

Potarłem zimny metal rewolweru, zastanawiając się, co opowiedzieć, a co pominąć. „Nie pomijaj niczego”, podszeptował mi jakiś głos. Głos mojego ojca. Pięćdziesiąt lat wcześniej odegrał on swoją rolę w tajnej historii Ameryki, a ciężar, który musiał w związku z tym dźwigać, w znacznym stopniu skrócił jego dni. Ojciec zmarł w roku 1988, zaszczuty, pewien, że zimna wojna, której nakręcaniu poświęcił swą młodzieńczą energię, zakończy się zagładą cywilizacji, do czego zresztą niewiele brakowało. „Nie pomijaj niczego...”

— Notatka Godina — ciągnąłem — wywarła taki sam efekt jak list Alberta Einsteina do prezydenta Roosevelta na początku drugiej wojny światowej, w którym przedstawił on potencjalne możliwości bomby atomowej oraz przewidywał, że hitlerowskie Niemcy mogą ją skonstruować. List Einsteina dał bodziec do zainicjowania Projektu Manhattan — tajnego wyścigu zbrojeń, mającego zapewnić Ameryce pierwszeństwo w stworzeniu broni nuklearnej. List Petera Godina

zaowocował projektem zakrojonym na równie wielką skalą, ale nie-skończenie bardziej ambitnym. Projekt Święta Trójca narodził się za murami korporacji, działającej jako przykrywką dla NSA w Research Triangle Park w Karolinie Północnej. Jedynie sześciu ludzi na naszej planecie dysponowało pełną wiedzą o Świętej Trójcy. Teraz, po śmierci Andrew Fieldinga, pozostało pięciu. Jestem jednym z nich. Pozostali czterej to Peter Godin, John Skow, Ravi Nara... Zerwałem się na nogi, z rewolwerem w rękę. Ktoś pukał do drzwi wejściowych. Przez cienie zasłony zobaczyłem furgonetkę Federal Express, stojącą przy krawężniku przed moim domem. Nie widziałem jednak tego, co było tuż za drzwiami.

— Kto tam? — zawołałem.

— FedEx! — warknął stłumiony męski głos. — Trzeba podpisać. Nie oczekiwałem żadnej przesyłki.

— Czy to list, czy paczka?

— List.

— Od kogo?

— Eee... od Lewisa Carrolla.

Zadrzałem. Przesyłka od nieboszczyka? Tylko jeden człowiek mógł mi coś przysłać jako autor *Alicji w krainie czarów*. Andrew Fielding. Czyżby wysłał mi to dzień przed śmiercią? Fielding od tygodni obsesyjnie przeszukiwał laboratoria Świętej Trójcy — zarówno fizycznie, jak i zawartość komputerów. Być może coś odkrył. I może dlatego zginął. Wczoraj wyczułem w jego zachowaniu coś dziwnego — co nie jest łatwe w przypadku człowieka znanego z ekscentryczności — ale dziś rano na pozór był taki jak zawsze.

— To jak, odbiera pan czy nie? — zapytał kurier.

Odbezpieczyłem rewolwer i powolutku zbliżyłem się do drzwi. Lewą ręką przekręciłem klucz w zamku i uchyliłem je, na ile pozwalał łańcuch, który założyłem po powrocie do domu. W szczelinie ujrzałem twarz dwudziestoparoletniego chłopaka w firmowym uniformie, z włosami zebranymi na karku w krótki koński ogon.

— Niech mi pan poda pokwitowanie razem z listem. Oddam, jak podpiszę.

— Nie mogę go panu dać, to zapis elektroniczny.

— To niech mi go pan sam przytrzyma.

— Świrus — rzucił pod nosem, ale wsunął przez szparę w drzwiach grubą pomarańczową płytkę.

Złapałem zwisający z niej na kablu pisak i nabazgrałem swój podpis na czułym na dotyk ekranie.

— Już.

Płytką zniknęła, a w szczelinie pojawiła się koperta firmowa FedExu. Wziąłem ją, rzuciłem na kanapę, po czym zamknąłem drzwi i odczekałem, aż furgonetka odjedzie od krawężnika.

Podniosłem kopertę i rzuciłem okiem na nalepkę. Pająkowatym pismem Fieldinga napisano na niej: „Lewis Carroll”. Kiedy wyciągałem kartkę z koperty, na palce wypadły mi jakieś tłuste białe granulki. W chwili gdy moje oczy zarejestrowały ich kolor, szepnąłem w duchu: wągliki. I choć było to mało prawdopodobne, to przecież mój przyjaciel dopiero co zginął w podejrzanych okolicznościach. Miałem prawo do lekkiej paranoi.

Popędziłem do kuchni i pod bieżącą wodą wyszorowałem palce płynem do zmywania naczyń. Potem wyjąłem z szafy czarną torbę lekarską. W środku była zwykła farmakopea domu lekarza: środki przeciwbólowe i wymiotne, antybiotyki, sterydy w kremie. Znalazłem to, czego szukałem, w zamykanej na rzepy kieszonce: cipro — silny antybiotyk o szerokim spektrum działania, opakowany w grubą powietrzną folię. Popiłem jedną pastylkę wodą z kranu i wyjąłem z torby rękawice chirurgiczne. Na wszelki wypadek wyciągnąłem z kosza brudny podkoszulek i obwiązałem nim twarz tak, by zakrywał nos i usta. Potem włożyłem kopertę FedExu oraz list do osobnych koszulek z folii, zakleiłem je i położyłem na blacie.

Z jednej strony czym prędzej chciałem przeczytać list, z drugiej jednak coś mnie powstrzymywało. Możliwe, że Fieldinga zabito z powodu tego, co znajdowało się na tej kartce. A nawet jeśli nie, to lektura nie mogła mi przynieść nic dobrego.

Starannie usunąłem odkurzaczem białe granulki z dywanu w pokoju, zastanawiając się, czy to możliwe, żebym się mylił w sprawie śmierci Fieldinga. W ostatnich tygodniach obaj doprowadziliśmy się do stanu chronicznej podejrzliwości, ale też mieliśmy po temu powody. No i sam moment jego śmierci był dla kogoś wyjątkowo dogodny.

Wziąłem odkurzacz, lecz zamiast schować go z powrotem do szafy, wyniosłem go kuchennymi drzwiami i wyrzuciłem daleko na podwórko. W razie czego kupię sobie nowy.

Przez cały czas nie opuszczała mnie niesamowita świadomość, że na kuchennym blacie leży list. Czułem się jak żona żołnierza, która boi się otworzyć telegram. Ale przecież wiedziałem już, że mój przyjaciel nie żyje. Czego się więc obawiałem?

„Odpowiedzi na pytanie: dlaczego?”, odparł głos w mojej głowie. Głos Fieldinga. „Próbujesz chować głowę w piasek. Jak wszyscy Amerykanie w przeszłości...”.

Wkurzony odkryciem, że zmarli mogą być równie upierdliwi jak za życia, wziąłem list w foliowej koszulce i przeszedłem z nim do pokoju od frontu. Był napisany ręcznie i krótki.

Davidzie!

Znowu musimy się spotkać. Przedstawiłem w końcu Godinowi moje podejrzenia. Jego reakcja mnie zdumiała. Nie chcę niczego przelewać na papier, ale wiem, że mam rację. W sobotę wieczorem jedziemy z Lu Li do błotnej chatki. Dołącz do nas, proszę. To paskudna buda, ale dyskretna. Być może nadszedł czas, żebyś znów skontaktował się z przyjacielem Twojego zmarłego brata, choć wątpię, czy nawet on może coś zdziałać na tym etapie. Takie sprawy mają większy impet niż pojedynczy ludzie. Obawiam się, że większy nawet niż cała ludzkość. Gdyby coś mi się stało, nie zapomnij o tym złotym drobiazgu, o przechowanie którego kiedyś Cię prosiłem. Parszywe czasy, stary. Do zobaczenia w sobotę.

Podpisu nie było, ale pod tekstem widniał odręczny, niczym wzięty z kreskówki, rysunek głowy królika i tarczy zegara. Biały Królik, czułe przezwisko, jakim obdarzyli Fieldinga jego studenci fizyki w Cambridge. Fielding zawsze nosił złoty zegarek kieszonkowy i to był właśnie ów „złoty drobiazg”, który dał mi kiedyś na przechowanie.

Mijaliśmy się w korytarzu, kiedy wsunął mi do ręki zegarek z dewizką.

— Przechowasz mi to przez godzinę, stary? — zapytał cicho. — No to cacy.

Odszedł, a po godzinie zajrzał do mojego gabinetu, żeby odebrać zegarek. Powiedział, że nie chciał go zabierać do laboratorium RM, żeby się nie roztrzaskał o aparaturę na skutek potężnego przyciągania magnetycznego, wytwarzanego przez to urządzenie. Tyle że on stale zaglądał do tego laboratorium i nigdy jakoś nie rozstawał się z zegarkiem. Później zresztą też nie. Kiedy umarł, na pewno miał go w kieszonce. O co mu więc wtedy chodziło?

Jeszcze raz przeczytałem list. *W sobotę wieczorem jedziemy z Lu Li do błękitnej chatki*. Lu Li, Chinka, była nową żoną Fieldinga. „Błękitna chatka” zaś było zaszyfrowanym określeniem domku na plaży w Nags Head, na wybrzeżu Karoliny Północnej. Trzy miesiące temu, kiedy Fielding zapytał mnie, co bym mu polecił na miesiąc miodowy, zaproponowałem domek w Nags Head, oddalony zaledwie o kilka godzin jazdy. Anglik i jego chińska żona zakochali się w tym domku i najwyraźniej od razu przyszedł Fieldingowi na myśl, gdy szukał bezpiecznego miejsca, gdzie mógłby pogadać o swoich lękach.

Trzęsły mi się ręce. Autor tego listu był teraz zimny jak stół w kostnicy, na którym leżał, o ile oczywiście umieszczono go w kostnicy. Nikt nie potrafił — albo nie chciał — mi powiedzieć, dokąd zabierają zwłoki mojego przyjaciela. A teraz jeszcze ten biały proszek! Czy Fielding mógłby go wsypać do koperty i nie wspomnieć o tym w liście? A skoro nie on, to kto? Kto, jeśli nie człowiek, który go zamordował?

Odłożyłem list na kanapę, ściągnąłem rękawiczki chirurgiczne i przewinałem taśmę w kamerze do miejsca, w którym zniknąłem z kadru. Zdecydowałem się na to nagranie w obawie, że mogą mnie zabić, zanim zdolałm przekazać prezydentowi, co wiem. List Fieldinga niczego nie zmieniał. Kiedy jednak spojrzałem w obiektyw, odbiegłem myślami od tematu. Wyprzedziłem Fieldinga z pomysłem telefonu do „przyjaciela mojego zmarłego brata”. Od chwili gdy ujrzałem zwłoki Andrew na podłodze jego gabinetu, wiedziałem, że muszę zadzwonić do prezydenta. Ten jednak przebywał z wizytą w Chinach. Mimo to, zaraz po opuszczeniu laboratorium Świętej Trójcy, zadzwoniłem do Białego Domu z publicznego telefonu w restauracji

Shoneya — „bezpiecznego” telefonu, o którym powiedział mi Fielding. Był niewidoczny z zewnątrz dla ekip prowadzących inwigilację z samochodów, a rozkład wnętrza restauracji powodował, że z oddali trudno było podsłuchać rozmowę przy użyciu mikrofonu parabolicznego.

Gdy powiedziałem „Projekt Święta Trójca”, telefonistka w Białym Domu natychmiast połączyła mnie z burkliwym facetem, który zapytał, jaką mam sprawę. Odparłem, że chcę mówić z Ewanem McCaskellem, szefem sztabu prezydenta, którego poznałem podczas wizyty w Gabinetce Owalnym. McCaskell też przebywał w Chinach, z prezydentem. Poprosiłem, żeby przekazano prezydentowi, iż David Tennant musi z nim jak najpilniej porozmawiać na temat Projektu Święta Trójca i że nikt związany ze Świętą Trójcą nie ma prawa o tym wiedzieć. Facet odparł, że przekaże moją wiadomość, i odłożył słuchawkę.

Różnica czasu między Karoliną Północną i Pekinem wynosi trzyście godzin. A zatem w Chinach było już jutro. Białą dzień. Tymczasem od mojego telefonu minęły cztery godziny i nikt się nie odezwał. Czy, zważywszy na krytyczny charakter odbywającego się tam szczytu, przekazano moją wiadomość do Chin? Nie miałem jak tego sprawdzić. Wiedziałem tylko tyle, że jeżeli ktokolwiek w Świętej Trójcy dowie się o moim telefonie do Białego Domu, to zanim uda mi się porozmawiać z prezydentem, skończę sztywny jak Fielding.

Nacisnąłem „start” na pilocie i znów zacząłem mówić do kamery:

— W ciągu ostatnich sześciu miesięcy straciłem poczucie uczestnictwa w szlachetnym przedsięwzięciu naukowym i zacząłem zadawać sobie pytanie, czy ja w ogóle żyję w Stanach Zjednoczonych. Patrzyłem, jak laureaci Nagrody Nobla porzucają wszelkie zasady w imię poszukiwania...

Znieruchomiałem. Coś przesunęło się przed oknem od strony ulicy. Twarz. Blisko szyby, zaglądała do środka. Widziałem ją wprowadzić przez zasłonę, ale się nie myliłem. Twarz, okolona włosami do ramion. Odniosłem wrażenie, że to kobieta, ale...

Zacząłem wstawać z krzesła, lecz z powrotem usiadłem. Moje zęby wibrowały elektrycznym bólem, jak gdybym zgniótł aluminiową folię między plombami. Powieki ciążyły mi tak, że nie mogłem utrzymać

otwartych oczu. Nie teraz, pomyślałem, wsuwając rękę do kieszeni po fiolkę z lekarstwem, które zapisał mi lekarz. Jezu, tylko nie teraz! Od pół roku wszyscy z wtajemniczonego grona Świętej Trójcy wykazywali zatrważające symptomy neurologiczne. W każdym przypadku były one inne. Ja cierpiałem na narkolepsję — senność napadową. Senność napadową i sny. W domu przypisywałem to temu, że zwykle sypiałem jak w transie. Kiedy jednak musiałem zwalczyć senność — w Świętej Trójcy czy za kierownicą samochodu — tylko amfetamina potrafiła powstrzymać zalewające mnie fale snu.

Wyjąłem fiolkę i potrząsałem nią. Pusta! Ostatnią pastylkę pokłknałem wczoraj. Dopalacz zapisał mi Ravi Nara, neurolog ze Świętej Trójcy, ale ja i Nara już ze sobą nie rozmawialiśmy. Spróbowałem wstać, by samemu wystawić sobie receptę i pojechać do apteki, ale to było śmieszne, nawet nie mogłem podnieść się z miejsca. Ręce i nogi miałem jak z ołowiu. Czulem, że twarz mnie pali, a powieki opadają.

W oknie znowu pojawiła się głowa. W myślach uniosłem rewolwer i wycelowałem, ale zobaczyłem, że wciąż leży na moich kolanach. Nawet instynkt przeżycia nie potrafił rozwiać mgły wypełniającej mój umysł. Spojrzałem na okno. Twarz zniknęła. Twarz kobiety. Byłem tego pewny. Czy wysłaliby kobietę, żeby mnie zabiła? A czemu nie? To pragmatycy. Posługują się tym, co skuteczne.

Coś skrobnęło o klamkę. Poprzez gęstniejącą mgłę próbowałem wycelować rewolwer w drzwi. Coś trzasnęło o drewno. Położyłem palec na spuście, gdy jednak mój pływający mózg usiłował przekazać instrukcje, by go nacisnąć, sen unicestwił moją świadomość niczym palce dławiące płomień świecy.

Andrew Fielding siedział samotnie przy biurku i z wściekłością palił papierosa. Po konfrontacji z Godinem trzęsły mu się ręce. Działo się to wprawdzie poprzedniego dnia, ale Fielding miał zwyczaj wracać pamięcią do takich scen, katując się poczuciem, że bezskutecznie wyłożył swoje racje, i mamrocząc riposty, których nie użył, choć powinien.

Do kłótni doprowadziły tygodnie frustracji. Fielding nie lubił się kłócić, jeżeli nie dotyczyło to bezpośrednio zagadnień związanych

z fizyką. Odkladał to spotkanie do ostatniej chwili. Szwendął się po gabinecie, dumając nad jedną z głównych zagadek fizyki kwantowej: w jaki sposób dwie cząsteczki, wystrzelone jednocześnie z tego samego źródła, mogą dotrzeć do tego samego celu w tej samej chwili, mimo iż jedna musi przebyć dziesięciokrotnie większą odległość niż druga? To tak, jakby dwa jumbo 747 wystartowały z Nowego Jorku do Los Angeles — przy czym jeden leciałby bezpośrednio, drugi zaś, zanim skręciłby na zachód, musiałby polecieć na południe do Miami — / oba wylądowałyby w LA w tej samej chwili. 747 lecący bezpośrednio poruszał się z prędkością światła. Skoro więc drugi jumbo, lecący przez Miami, wylądował w tym samym czasie, to znaczy, że poruszał się z prędkością większą od prędkości światła. To zaś wskazywałoby na błąd w ogólnej teorii względności Einsteina. Kto wie? Fielding poświęcił rozważaniom nad tym problemem mnóstwo czasu.

Zapalił następnego papierosa i pomyślał o liście, który wysłał pocztą kurierską do Davida Tennanta. Niewiele w nim zawarł. Za mało. Ale tyle musi mu wystarczyć, dopóki nie spotkają się w Nags Head. Wprawdzie przez cały dzień Tennant miał pracować kilka kroków od niego w tym samym korytarzu, ale równie dobrze mógłby być na Fidzi. W całym kompleksie Świętej Trójcy nie było centymetra kwadratowego wolnego od kamer i podsłuchu. Tennant powinien dostać list po południu, jeżeli nikt go nie przejmie. Żeby do tego nie doszło, Fielding kazał żonie wrzucić list do skrzynki FedExu na poczcie w Durham, gdzie ktoś śledzący ją z oddali nie mógłby jej zauważyć. Tak to działało — żony od czasu do czasu śledzono, przeważnie z samochodów, no ale nigdy nic nie wiadomo.

Tennant był jedyną nadzieją Fieldinga. Znał prezydenta. W każdym razie bywał na przyjęciach w Białym Domu. Fielding, choć był laureatem Nagrody Nobla z 1998 roku, nigdy nie otrzymał zaproszenia na Downing Street 10.1 raczej nie otrzyma. Kiedyś, na jakimś przyjęciu, premier uściśnięła mu wprawdzie dłoń, ale to nie to samo. Zupełnie nie to samo.

Zaciągnął się papierosem i spojrzął na biurko. Leżało przed nim zadanie, funkcja opadającej fali, z którą przy zastosowaniu współczesnej matematyki nie można było sobie poradzić. Tylko jedna

maszyna na tej planecie dałaby sobie z tym radą — a przynajmniej miał taką nadzieję — i jeśli się nie mylił, to określenie superkomputer wkrótce stanie się osobliwe i archaiczne jak liczydła. Tyle że maszyna, która uporałaby się z funkcją opadającej fali, dysponowałaby wieloma innymi zaletami poza samą mocą obliczeniową. Miałaby wszystko, co Peter Godin obiecał mandarynom w Waszyngtonie, a nawet więcej. Właśnie tego „więcej” Fielding tak się obawiał. Bał się tego jak cholera. Nikt bowiem nie mógł przewidzieć niezamierzonych konsekwencji stworzenia czegoś takiego. Faktycznie, Święta Trójca.

Pomyślał, że może by tak urwać się wcześniej do domu, gdy coś błysnęło mu w lewym oku. Nie czuł bólu. Potem pole widzenia w tym oku rozmyło się, a w lewym płacie czołowym jego mózgu coś jakby wybuchło. Udar, pomyślał z kliniczną obojętnością. Dostałem udaru. Z zadziwiającym spokojem sięgnął po telefon, by wybrać numer 911, lecz przypomniał sobie, że cztery gabinety dalej pracuje jeden z najwybitniejszych neurologów na świecie.

Szybciej będzie zadzwonić, niż iść. Sięgnął po słuchawkę, lecz proces zachodzący w jego czaszce nagle osiągnął apogeum niszczyielskiej mocy. Doszło do zakrzepu, a może pękło naczynie krwionośne, i jego lewe oko poczerniało. Potem u podstawy mózgu, w centrum podtrzymującym funkcje życiowe, poczuł ból przypominający dźgnięcie nożem. Padając na podłogę, Fielding raz jeszcze pomyślał o tej nieuchwytniej cząsteczce, przemieszczającej się szybciej niż światło, która dowodziła błędu Einsteina, przemierzając przestrzeń, jakby jej nie było. W myślach zaproponował eksperyment: czy gdyby Andrew Fielding mógł się poruszać z prędkością tej cząsteczki, dotarłby do Raviego Nary na tyle szybko, by ten mógł go uratować?

Odpowiedź: nie. Teraz już nie było dla niego ratunku.

Jego ostatnią zborną myślą była modlitwa, modlitwa o to, by w niezbadanym świecie kwantów po tym, co ludzie nazywają śmiercią, istniała jeszcze świadomość. Dla Fieldinga religia była iluzją, ale początek dwudziestego pierwszego wieku i Projekt Święta Trójca przyniosły nadzieję na nowy rodzaj nieśmiertelności. A to, co udawali, że budując sto metrów od drzwi jego gabinetu, nie było

żadnym monstrum rodem z kreskówek Rube'a Goldberga.

Upadek na podłogę przypominał uderzenie o powierzchnię wody.

Poderwałem się, rozbudzony, i złapałem rewolwer. Ktoś trząsał zabezpieczonymi łańcuchem drzwiami. Spróbowałem wstać, lecz sen mnie zdezorientował. Jego klarowność przekraczała wszystko, czego doświadczyłem do tej pory. Czuję się, jakbym to ja umarł, jakbym to ja był Andrew Fieldingiem w chwili jego śmierci...

— Doktorze Tennant! — krzyczał kobiecy głos. — David! Jesteś tam?

Moja psychoterapeutka? Dotknąłem czoła, próbując wrócić do rzeczywistości.

— Doktor Weiss? Rachel? Czy to pani?

— Tak! Zdejmij łańcuch!

— Idę — wymamrotałem. — Jest pani sama?

— Tak! Otwórz drzwi!

Wetknąłem rewolwer między poduszki kanapy i chwiejnie podszedłem do drzwi. Kiedy zdejmowałem łańcuch, przyszło mi do głowy, że nigdy nie mówiłem mojej psychoterapeutce, gdzie mieszkam.

Rozdział 2

Rachel Weiss miała kruczoczarne włosy, oliwkową skórę i onyksowe oczy. Jedenaście tygodni temu, kiedy poszedłem do niej na pierwszą sesję, przywiodła mi na myśl Rebeccę z *Ivanhoe'a* Waltera Scotta. Z tą różnicą, że Rebeccę z powieści cechowała dzika, nieokiełznana piękność, natomiast Rachel Weiss prezentowała pełną skupienia surowość, przy której jej aparycja czy stroje wydawały się nieistotne, jak gdyby specjalnie zadała sobie trud, by ukryć wszelkie atrybuty mogące odwrócić uwagę ludzi od tego, że jest wybitną klinicystką.

— Coś tam schował? — zapytała, wskazując poduszkę kanapy, pod którą wsadziłem broń. — Znowu sam sobie wystawiasz recepty?

— Nie. Jak znalazłaś mój dom?

— Znam kobietę pracującą w kadrach na uniwersytecie stanu Wirginia. Nie przyszedłeś na dwa kolejne spotkania, ale przynajmniej zadzwoniłeś wcześniej, żeby je odwołać. A dzisiaj każesz mi na siebie czekać i nawet się nie odezwiesz? Biorąc pod uwagę twój stan psychiczny w ostatnim czasie, co miałam robić? — Oczywiście Rachel spojły na kamerze wideo. — No nie, Davidzie, znowu do tego wracasz? Myślałam, że skończyłeś z tym lata temu.

— To nie to, co myślisz.

Chyba jej nie przekonałem. Pięć lat temu pijany kierowca zepchnął samochód mojej żony do przydrożnego stawu. Woda nie była głęboka, ale i Karen, i moja córka Zoey utonęły, zanim nadeszła pomoc.

Pracowałem akurat w szpitalu, do którego przywieziono je po wypadku. Widok zespołu reanimacyjnego, bezskutecznie próbującego przywrócić do życia moją czteroletnią córeczką, zdruzgotał mnie. W domu godzinami przesiadywałem przed telewizorem i na okrągło oglądałem taśmy z Zooey — jak uczyła się chodzić, jak śmiała się w ramionach Karen, jak tuliła się do mnie na przyjęciu z okazji trzecich urodzin. Moja praktyka lekarska przywiedła, a w końcu całkiem obumarła i popadłem w kliniczną depresję. Był to jedyny fakt z mojego życia osobistego, który omawiałem szczegółowo z psychoterapeutką, a i to tylko dlatego, że po trzeciej sesji powiedziała mi, iż przed rokiem białaczka zabrała jej jedyne dziecko.

Zwierzyła mi się z tego, ponieważ uważała, że moje niepokojące sny spowodowane są tragiczną stratą rodziny, i chciała, żebym wiedział, iż ten sam ból jest również jej udziałem. Rachel także straciła nie tylko dziecko. Mąż, z zawodu prawnik, nie radząc sobie ze spustoszeniem, jakie w organizmie syna czyniła postępująca choroba, zostawił ją i wrócił do Nowego Jorku. Tak jak ja, pogrążyła się w piekle depresji, z którego się, na szczęście, wydobyła. Uratowała ją terapia poparta lekami. Ja jednak, podobnie jak mój ojciec, zawsze jak lew bronilem swojej prywatności i walczyłem o powrót do samotniczego życia. Od tej pory nie było dnia, bym nie tęsknił za żoną i córką, ale czasy wypłakiwania oczu podczas oglądania taśm wideo minęły bezpowrotnie.

— Nie chodzi o Karen i Zooey — wyjaśniłem. — Zamknij drzwi, proszę.

Wciąż stała w otwartych drzwiach, z kluczykami do samochodu w ręku. Najwyraźniej chciała mi uwierzyć, ale widać było, że podchodzi do tego sceptycznie.

— No to co robisz?

— Pracuję. Proszę cię, zamknij drzwi!

Zawahała się, po czym zatrzasnęła drzwi i spojrzała mi w oczy.

— Może już czas, żebyś mi wreszcie opowiedział o swojej pracy.

Ten temat od dawna stanowił między nami kość niezgody. Dla Rachel tajemnica lekarska w kontaktach z pacjentem była równie

święta jak tajemnica spowiedzi i czuła się urażona moim brakiem zaufania. Sądziła, że mój upór w kwestii dochowania tajemnicy i ostrzeganie jej przed niebezpieczeństwem wskazują na to, że stworzyłem sobie świat iluzji, by uchronić się przed wiwisekcją duszy. Nie miałem jej tego za złe. Na prośbę NSA umówiłem się z nią na pierwsze spotkanie pod fałszywym nazwiskiem. Ale dziesięć sekund po tym, jak wymieniliśmy uścisk rąk, rozpoznała mnie, ponieważ widziała zdjęcie na obwolucie mojej książki. Założyła, że mój podstęp jest wynikiem paranoi zamienitego lekarza, ja zaś bynajmniej nie wyprowadzałem jej z błędu. Jednak po kilku tygodniach, w rezultacie mojej niechęci do poruszania tematów związanych z pracą — a także obsesji, że muszę ją „chronić” — nabrała podejrzeń, że mam schizofrenię.

Nie wiedziała jednak, że uzyskałem zgodę na terapię u niej dopiero po dzięki awanturze z Johnem Skowem, dyrektorem Projektu Święta Trójca. W rezultacie pracy przy Świętej Trójcy nabawiłem się narkolepsji i chciałem, żeby ktoś kompetentny pomógł mi zrozumieć towarzyszące jej sny. NSA najpierw przysłała z Fortu Meade psychiatrę — doktora od idiotów, który szpikował lekami pacjentów, głównie pracowników działu technicznego, zmagających się z chronicznym stresem i depresją. Chciał mnie tylko nafaszerować pigułkami szczęścia oraz dowiedzieć się, jak zostać lekarzem, którego publikuje się na całym świecie, jak mnie. Potem sprowadzili kobietę, specjalistkę od leczenia neuroz, których nabawiają się ludzie zmuszeni do długotrwałego wykonywania tajnej pracy. Jej znajomość symboliki snów ograniczała się do „przeczytania kilku historycznych dzieł” podczas pobytu tutaj. Tak jak jej kolega, chciała mi zaaplikować dietę złożoną z leków antydepresyjnych i antypsychotycznych. Tymczasem ja potrzebowałem psychoanalityka specjalizującego się w wyjaśnianiu snów, a takim NSA nie dysponowała. Zadzwoiłem do kilku znajomych z wydziału medycznego uniwersytetu stanu Wirginia i dowiedziałem się, że na wydziale medycyny Uniwersytetu Duke'a, zaledwie dwadzieścia kilometrów od siedziby Świętej Trójcy, pracuje Rachel Weiss, najwybitniejsza w kraju specjalistka od analizy jungowskiej. Skow usiłował nie dopuścić do tego, żebym się z nią spotkał, ale powiedziałem mu, że w tym celu musiałby mnie aresztować, gdyby zaś

przyszło mu to do głowy, niech najpierw zadzwoni do prezydenta, który osobiście oddelegował mnie do tego projektu.

— Coś się stało — powiedziała Rachel. — O co chodzi? Czy halucynacje znów się zmieniły?

Halucynacje!, pomyślałem gorzko. Nigdy nie sny.

— Nasiliły się? Są bardziej osobiste? Boisz się?

— Andrew Fielding nie żyje — oznajmiłem głucho.

Rachel zamrugła.

— Kto to jest Andrew Fielding?

— Był fizykiem.

Jej oczy rozszerzyły się.

— Andrew Fielding, ten fizyk? Nie żyje?

Była to miara reputacji Fieldinga — nawet lekarka, która o fizyce kwantowej wiedziała tyle co nic, kojarzyła jego nazwisko. Wcale mnie to nie zdziwiło. Nawet niektórzy sześciolatkowie słyszeli o „Białym Króliku”. Człowiek, który w znacznym stopniu wyjaśnił tajemnicę kosmicznych czarnych dziur, na firmamencie astrofizyki ustępował pola tylko swemu przyjacielowi, Stephenowi Hawkingowi.

— Zmarł na udar mózgu — wyjaśniłem. — A przynajmniej tak mówią.

— Kto?

— Ludzie w pracy.

— Pracujesz z Andrew Fieldingiem?

— Pracowałem. Przez ostatnie dwa lata.

Rachel ze zdumieniem pokręciła głową.

— Ale ty nie uważasz, że zmarł na udar?

— Nie.

— Badałeś go?

— Pobieżnie. Upadł w swoim gabinecie. Zanim umarł, dotarł do niego inny lekarz, który twierdzi, że Fielding wykazywał oznaki lewostronnego paraliżu i miał rozszerzoną lewą żrenicę, ale...

— Ale co?

— Ja mu nie wierzę. Fielding umarł zbyt szybko jak na udar. W ciągu czterech, pięciu minut.

Rachel wyduła wargi.

— To się zdarza. Zwłaszcza przy silnym krwotoku.

— Owszem, ale stosunkowo rzadko, i zwykle widać rozszerzoną żrenicę. — Była to prawda, ale nie o tym myślałem. Myślałem o tym, że Rachel jest psychiatrą i choć w swojej dziedzinie była znakomita, to w przeciwieństwie do mnie nie miała szesnastoletniej praktyki na internie. W niektórych przypadkach, dotyczących niektórych ludzi, ma się przecucie. Szósty zmysł. Fielding nie był moim pacjentem, ale przez dwa lata sporo opowiedział mi o swoim zdrowiu i masywny krwotok, według mnie, nie wchodził w rachubę. — Widzisz, nie wiem, gdzie są jego zwłoki, a ponieważ nie sądzę, żeby przeprowadzili sekcję, więc...

— Dlaczego sądzisz, że nie będzie sekcji? — przerwała mi Rachel.

— Bo uważam, że go zamordowano.

— Mówiłeś, zdaje się, że zmarł w swoim gabinecie?

— Tak.

— Więc zabito go w pracy? Porachunki zawodowe?

Wciąż niczego nie rozumiała.

— Mam na myśli morderstwo z premedytacją. Morderstwo starannie zaplanowane i fachowo wykonane.

— Ale... z jakiego powodu ktoś miałby mordować Andrew Fieldinga? Był stary, prawda?

— Miał sześćdziesiąt trzy lata.

Kiedy przypominałem sobie zwłoki Fieldinga na podłodze jego gabinetu, szeroko otwarte usta i wpatrzone w sufit niewidzące oczy, poczułem nagle pragnienie, żeby opowiedzieć Rachel o wszystkim. Ale rzut oka na okno stłumił ten impuls. W szybę mógł być wycelowany mikrofon paraboliczny.

— Nie mogę ci powiedzieć nic więcej. Przykro mi, Rachel. Powinnaś już iść.

Zbliżyła się do mnie o dwa kroki; twarz miała zaciętą w uporze.

— Nigdzie się jeszcze nie wybieram. Słuchaj, w tym stanie obowiązują takie przepisy, że jeżeli ktokolwiek umiera, nie będąc pod opieką lekarza, trzeba przeprowadzić sekcję. Zwłaszcza jeśli zachodzi możliwość nieczystej gry. Tego wymaga prawo.

Uśmiełem się z jej naiwności.

— Nie będzie żadnej sekcji. W każdym razie publicznej.

— Davidzie...

— Naprawdę nic więcej nie mogę ci zdradzić. I tak już powiedziałem za dużo. Chciałem tylko, żebyś wiedziała, że... że to się dzieje naprawdę.

— Dlaczego nie możesz powiedzieć więcej? — Wdzięcznym ruchem uniosła drobną dłoń. — Nie, pozwól, że sama odpowiem. Bo gdybym dowiedziała się więcej, znalazłabym się w niebezpieczeństwie. Mam rację?

— Tak.

Przewróciła oczami.

— Davidzie, od samego początku uparcie nalegałeś na dochowanie tajemnicy. Przystałam na to. Kolegom z pracy powiedziałam, że przesiadujesz u mnie godzinami, bo zbierasz materiały do drugiej książki, a nie to, o co naprawdę chodzi.

— Dobrze wiesz, że jestem ci za to wdzięczny. Ale w sprawie Fieldinga się nie mylę. Dosłownie wszystko, co ci teraz mówię, może narazić cię na niebezpieczeństwo. Potrafisz to zrozumieć?

— Nie. Nigdy tego nie rozumiałam. Cóż to za praca jest tak niebezpieczna?

Pokręciłem głową.

— To jest jak kiepski dowcip — stwierdziła i roześmiała się dziwnie. — „Gdybym ci powiedział, musiałbym cię zabić”. To klasyczne myślenie paranoika.

— Ty naprawdę wierzysz, że wszystko to zmyśliłem?

— Wierzę, że ty sam wierzysz w to, co mi powiedziałeś — odparła ostrożnie.

— A zatem żyję w świecie złudzeń?

— Sam przyznasz, że od pewnego czasu masz niepokojące halucynacje. Ostatnio są to często klasyczne urojenia religijne.

— Ale większość taka nie jest — przypomniałem jej. — No i jestem ateistą. Czy to klasyczne?

— Przyznaję, że nie. Ale jednocześnie odmówiłeś opracowania planu leczenia twojej narkolepsji. Czy epilepsji. Nie zgodziłeś się nawet na zbadanie poziomu cukru we krwi.

Byłem badany przez najlepszych neurologów na świecie.

— To już sprawdzono u mnie w pracy.

— Kto, Andrew Fielding? On chyba nie był lekarzem?

Postanowiłem zrobić kolejny krok.

— Leczy mnie Ravi Nara.

Rachel wytrzeszczyła oczy.

— Ravi Nara?! Ten noblista w dziedzinie medycyny?

— Ten sam — przytaknąłem z niesmakiem.

— Ty pracujesz z Ravim Nara?

— Tak. To kutas. Właśnie Nara orzekł, że Fielding zmarł na udar mózgu.

Rachel najwyraźniej się pogubiła.

— Sama nie wiem, co powiedzieć, Davidzie. Czy ty naprawdę pracujesz z tymi sławnymi ludźmi?

— Czy tak trudno w to uwierzyć? Sam też cieszę się niejaką sławą.

— Tak, ale... to nie to samo. Z jakiego powodu ci ludzie mieliby pracować razem? Zajmują się zupełnie innymi rzeczami.

— Jeszcze dwa lata temu tak było.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Wracaj do siebie, Rachel.

— Odwołałam ostatniego pacjenta, żeby móc tu przyjechać.

— Policz mi za stracony czas.

Zarumieniła się.

— Nie musisz mnie obrażać. Powiedz mi, proszę, o co w tym chodzi. Mam już dość słuchania o twoich halucynacjach.

— O snach.

— Jak to zwał, tak zwał. To za mały materiał, nie mam nad czym pracować.

— Dla twoich celów nie jest za mały. Ale ty i ja mamy inne cele. Zawsze tak było. Ty próbujesz rozwikłać zagadkę Davida Tennanta, a ja chcę wyjaśnić tajemnicę moich snów.

— Tyle że odpowiedź kryje się w tym, kim jesteś! Sny nie powstają niezależnie od twojego mózgu! Ty...

Przerwał jej dzwonek telefonu. Wstałem i przeszedłem do kuchni, żeby odebrać; w piersiach czułem dziwne łomotanie. Możliwe, że dzwonił prezydent Stanów Zjednoczonych.

Wieloletni nawyk sprawił, że rzuciłem do słuchawki:

— Doktor Tennant.

— Doktor David? — dobiegł mnie histeryczny kobiecy krzyk; mówiła z azjatyckim akcentem. Lu Li, chińska żona Fieldinga. A raczej wdowa...

— Tak, Lu Li, tu David. Przepraszam cię, że nie zadzwoniłem. — Próbowałem znaleźć jakieś stosowne do okoliczności słowa, tymczasem nasunął mi się tylko wyświechtany frazes. — Nie potrafię wyrazić, jak ogromnym bólem napelnia mnie strata Andrew...

Po drucie przeleciał huragan dialektu kantońskiego, od czasu do czasu przerywanego jakimś angielskim słowem. Nie musiałem rozumieć słów, by zdać sobie sprawę, że słucham zrozpaczonej wdowy na skraju załamania nerwowego. Bóg jeden wiedział, co ludzie z ochrony Świętej Trójcy jej powiedzieli i co ona z tego zrozumiała. Przybyła do Ameryki zaledwie przed trzema miesiącami. Departament Stanu skierował jej papiery imigracyjne na szybką ścieżkę, zmotywowany niezbyt subtelnym telefonem z Białego Domu.

— Wiem, że miałaś straszny dzień — wtrąciłem pocieszająco. — Ale musisz spróbować się uspokoić.

Lu Li dyszała ciężko.

— Oddychaj głęboko — poradziłem jej, zastanawiając się, jaką obrać metodę. Najbezpieczniej było skorzystać z przykrywki, przy której NSA obstawała od samego początku. Inne firmy mające siedzibę w Research Triangle Park wiedziały tylko, że Korporacja Optyczna Argus wytwarza elementy optyczne do komputerów, stosowane w rządowych projektach wojskowych. Lu Li mogła wiedzieć tylko tyle.

— Co ci powiedzieli ludzie z firmy? — zapytałem ostrożnie.

— Andy trup! — krzyknęła Lu Li. — Mówić, on nie żyć, bo krew z mózgu, ale nie wiem nic. Nie wiem nic, co robić!

Nie wiedziałem, co mógłbym zyskać, zapoznając wdowę po Fieldingu z teorią morderstwa. Tylko by się jeszcze bardziej zdenerwowała.

— Lu Li, Andrew miał sześćdziesiąt trzy lata i jego zdrowie szwankowało. W takiej sytuacji udar mózgu jest dość prawdopodobny.

— Doktor David, ty rozumieć nic! Andy mnie ostrzec, że tak być. Mocniej ścisnąłem słuchawkę.

— Co masz na myśli?

Znów usłyszałem wybuch dialektu kantońskiego, aż w końcu Lu Li przeszła na łamaną angielszczyznę.

— Andy mówić, że tak może być. On mówić: „Jak coś mi się stać, ty dzwoni doktor David. David wie, co robić”.

Serce ścisnął mi dojmujący ból. Żeby Fielding aż tak mi ufał...

— Co mogę dla ciebie zrobić?

— Przyjedź tu. Proszę. Mów mi. Mów mi, dlaczego to się stać z Andy.

Zawahałem się. Prawdopodobnie NSA podsłuchiwała tę rozmowę. Gdybym pojechał do Lu Li, naraziłbym ją jeszcze bardziej, nie mówiąc o sobie. Ale czy miałem wybór? Nie mogłem zawieść zaufania przyjaciela.

— Będę za dwadzieścia minut.

— Dziękuję, dziękuję, David! Proszę, dziękuję!

Rozłączyłem się i odwróciłem, by wrócić do salonu. W kuchennych drzwiach stała Rachel.

— Muszę wyjść — powiedziałem. — Jestem ci wdzięczny, że przyjechałaś sprawdzić, co się ze mną dzieje. Wiem, że wykracza to poza zakres obowiązków.

— Jadę z tobą. Słyszałam część rozmowy i jadę z tobą.

— Wybij to sobie z głowy.

— Dlaczego?

— Nie masz powodu tam jechać. To ciebie nie dotyczy.

Rachel splotła ręce na piersi.

— Słuchaj, dla mnie sprawa jest prosta. Jeżeli mówisz prawdę, to po krótkiej przejażdżce zobaczę zrozpaczoną wdowę po Fieldingu. A ona potwierdzi to, co mi powiedziałeś.

— Niekoniecznie. Nie wiem, na ile Fielding jej ufał. Zresztą Lu Li ledwie mówi po angielsku.

— Andrew Fielding nie nauczył swojej żony angielskiego?

— Posługiwał się płynnie dialektem kantońskim. Poza tym jeszcze ośmioma innymi językami. A ona jest tu raptem od paru miesięcy.

Rachel wygładziła spódnicę dłońmi.

— Twój opór dowodzi, że zdajesz sobie sprawę, iż mój wyjazd z tobą udowodni, że twoja historia jest zmyślona.

Przeszył mnie gniew.

— Kusi mnie, żeby cię wziąć, tylko z tego powodu. Ale ty nie rozumiesz zagrożenia. Możesz umrzeć, Rachel. Jeszcze dziś.

— Nie sądzę.

Wziąłem foliową torebkę z białym proszkiem i kopertą poczty kurierskiej i wyciągnąłem ją w jej stronę.

— Kilka minut temu dostałem list od Fieldinga. W kopercie był ten proszek.

Wzruszyła ramionami.

— Wygląda jak piasek. Co to jest?

— Nie mam pojęcia. Ale obawiam się, że to węglik. A w każdym razie coś, co zabiło Fieldinga.

Wzięła ode mnie kopertę. Początkowo zdawało mi się, że bada proszek, tymczasem ona czytała nalepkę na kopercie od Fieldinga.

— Jako nadawca podany jest Lewis Carroll.

— To szyfr. Fielding nie mógł ryzykować, że jego nazwisko znajdzie się w komputerowej bazie danych FedExu. Ci z NSA natychmiast zwinęliby ten list. Podpisał się „Lewis Carroll”, bo jego przezwisko brzmiało Biały Królik. Słyszałaś o tym, prawda?

Rachel wyglądała, jakby rzeczywiście się nad tym zastanawiała.

— Chyba nie. Gdzie jest ten list?

Wskazałem w kierunku salonu.

— W plastikowej torbie na kanapie. Nie otwieraj jej.

Pochyliła się nad listem i przeczytała go szybko.

— Brak podpisu.

— Oczywiście. Fielding nie wiedział, w czyje ręce może to wpaść. Jego podpisem jest ten symbol królika.

Spojrzała na mnie z niedowierzaniem.

— Weź mnie ze sobą, Davidzie. Jeżeli to, co zobaczę, potwierdzi twoje słowa, poważnie potraktuję wszystkie dalsze ostrzeżenia. Pozbędę się wątpliwości.

— To tak, jakby wskoczyć do wody, żeby udowodnić, że są w niej rekiny. Kiedy je zobaczysz, będzie za późno.

— Zawsze tak jest z tego typu fantazjami.

Wróciłem do kuchni i wziąłem z blatu klucze. Rachel deptała mi po piętach. Jęknąłem z irytacją.

— W porządku, chcesz jechać, to jedź za mną swoim wozem. Pokręciła głową.

— Nie ma mowy. Zgubiłbyś mnie na pierwszych światłach.

— Twoi koledzy mogliby ci powiedzieć, że nie jest bezpiecznie towarzyszyć pacjentowi, który goni swoją paranoiczną fantazję. Zwłaszcza pacjentowi ze śpiączką napadową.

— Moi koledzy cię nie znają. A jeśli chodzi o narkolepsję, to jakoś się jeszcze nie zabiłeś.

Sięgnąłem pod poduszkę kanapy, wyciągnąłem rewolwer i wtknąłem za pasek spodni.

— Ty też mnie nie znasz.

Wpatrzyła się w rękojeść broni, po czym spojrzała mi w oczy.

— Chyba jednak cię znam. I chcę ci pomóc.

Gdyby była tylko moją psychoterapeutką, mógłbym ją tam zostawić. Jednak podczas naszych długich sesji rozpoznaliśmy coś w sobie nawzajem, zaczęliśmy dzielić niewypowiedziane uczucie, właściwe ludziom, którzy ponieśli bolesną stratę. Mimo iż sądziła, że jestem chory, troszczyła się o mnie tak, jak od dawna nikt się o mnie troszczył. Zabranie jej ze sobą było przejawem egoizmu, ale, prawdę mówiąc, nie chciałem jechać sam.

Rozdział 3

Geli Bauer siedziała w ciemnościach trzewi budynku Świętej Trójcy — zbudowanego pod ziemią kompleksu, oświetlonego tylko przez blask padający z komputerowych monitorów i ekranów, przekazujących obraz z kamer systemu bezpieczeństwa. Elektroniczne włókna rozbiegały się stamtąd we wszystkie strony, by śledzić ludzi i teren zakładów Świętej Trójcy. To jednak było tylko centrum jej królestwa. Za jednym dotknięciem klawisza Geli mogła połączyć się z superkomputerami NSA w Forcie Meade i podsłuchiwać oraz podglądać rozmowy i wydarzenia po drugiej stronie kuli ziemskiej. Choć w ciągu trzydziestu dwóch lat, które spędziła na tym świecie, nieraz dzierżyła rozmaitego typu władzę, to jednak nigdy przedtem nie czuła tego dreszczu emocji, jaki daje świadomość, że jednym palcem może manipulować całym tym skomputeryzowanym światem. Oficjalnie Geli pracowała w Superkomputerach Godina, mających siedzibę w Mountain View, w Kalifornii. Ale quasi-rządowe związki jej firmy z NSA wystrzeliły ją w stratosferę władzy. Gdyby uznała, że sytuacja tego wymaga, mogłaby zatrzymać ruch pociągów, zamknąć lotniska międzynarodowe, przeprogramować satelity szpiegowskie albo wysłać w amerykańskie niebo, nad amerykańską ziemię, uzbrojone śmigłowce i kazać im otworzyć ogień. Żadna inna ze współczesnych kobiet nie dysponowała taką władzą — pod pewnymi względami rywalizowała na tym polu ze swym ojcem — i Geli nie zamierzała z niej rezygnować.

Na błyszczącym płaskim ekranie przed sobą miała teraz zapis rozmowy między Davidem Tennantem a niezidentyfikowanym funkcjonariuszem Białego Domu, zarejestrowanej po południu w restauracji Shoneya, ale już na niego nie patrzyła. Na głowie miała słuchawki i mikrofon telefonu i rozmawiała właśnie z członkiem ekipy ochroniarzy — tym, który obserwował dom Tennanta.

— Słyszałam tylko rozmowę w kuchni. Kompletnie bez sensu. Musiał rozmawiać z doktor Weiss gdzie indziej.

— Może, się migdalili?

— Usłyszelibyśmy ich. Zresztą Weiss wygląda mi na wyszczerkaną, a puszcza ją się te spokojne.

— Co mam robić?

— Wejź tam i sprawdź mikrofony.

Geli wcisnęła przycisk przed sobą, który łączył ją z byłym komandosem z oddziału Delta, niejakim Thomasem Corellim, obstawiającym dom Andrew Fieldinga.

— Thomas, co słyszysz?

— Normalne dźwięki w tle. Telewizor. Brzęki, stukanie...

— Słyszałeś, jak pani Fielding kończy rozmowę telefoniczną?

— Tak, ale trudno zrozumieć ten jej chiński akcent.

— Nie widać cię z domu?

— Zaparkowałem na podjeździe sąsiadów, którzy wyjechali z miasta.

— Za pięć minut zjawi się tam Tennant. Jest z nim kobieta, doktor Rachel Weiss. Bądź na linii.

Geli uderzyła w klawisz i rozłączyła się, po czym powiedziała wyraźnie:

— JPEG. Weiss, Rachel.

Na monitorze ukazało się cyfrowe zdjęcie Rachel Weiss. Było to ujęcie samej głowy, wykonane przez teleobiektyw, w chwili gdy lekarka wychodziła ze szpitala Uniwersytetu Duke'a. Geli rozpoznała ten typ, choć Rachel Weiss była od niej trzy lata starsza. Miała do czynienia z takimi dziewczętami w szkole z internatem w Szwajcarii. Prymuski. Przeważnie Żydówki. Poznałaby, że Weiss jest Żydówką, nawet nie znając jej nazwiska i akt. Pomimo modnie rozwianych na wietrze włosów Rachel Weiss wyglądała, jakby dźwigała na barkach

cały świat. Miała ciemne oczy męczennicy i przedwczesne zmarszczki wokół ust. Należała do najwybitniejszych na świecie specjalistów od jungowskiej metody analizy marzeń sennych, a nie osiąga się takiego poziomu, jeśli nie ma się obsesji na punkcie swojej pracy.

Geli była przeciwna udziałowi Weiss. Zezwolił na to Skow, który wyznawał zasadę, że trzymanie na zbyt krótkiej smyczy oznacza prośenie się o kłopoty. Tyle że gdyby doszło do naruszenia bezpieczeństwa, to jej głowa poszłaby pod topór. Żeby tego uniknąć, Geli otrzymywała zapisy sesji Weiss z Tennantem, a także wszystkich rozmów telefonicznych lekarki. Raz w tygodniu jeden z jej agentów zakradał się do gabinetu Weiss i robił kopie akt Tennanta, żeby na pewno nic nie umknęło uwagi Geli.

Takie upierdliwości wynikają z zadawania się z cywilami. To samo mieli w Los Alamos, przy Projekcie Manhattan. W obu przypadkach rząd usiłował kontrolować grupę utalentowanych cywilnych naukowców, którzy z powodu ignorancji, uporu albo motywów ideologicznych stanowili największe zagrożenie dla własnej pracy. Zatrudniając najmądrzejszych ludzi na świecie, dostawało się świrów.

Tennant był świrem. Podobnie jak Fielding. A także Ravi Nara, zatrudniony przy projekcie neurolog noblista. Cała szóstka głównych uczestników Świętej Trójcy podpisała umowy z klauzulami najwyższej tajności, zobowiązujące do poddania się maksymalnym rygorom bezpieczeństwa, a jednak wciąż uważali, że mogą robić, co im się żywnie podoba. Traktowali świat jak Disneyland. A już najgorsi byli lekarze. Nawet w wojsku nie stosowano do nich wszystkich przepisów. Dziś jednak Tennant zamierzał posunąć się o wiele za daleko, tak daleko, że sam podkładał głowę pod topór.

W słuchawkach Geli rozległ się pisk. Przełączyła się na linię łączącą z człowiekiem, który obstawiał dom Tennanta.

— O co chodzi?

— Jestem w środku. Nie uwierzysz, ale ktoś zatkał mikrofony kitem.

Geli poczuła dziwne odrętwienie w klatce piersiowej.

— Jak mógł się Tennant dowiedzieć, gdzie są?

— Bez skanera to niemożliwe.

- A z lupą?
 - Gdyby wiedział, że należy ich szukać. Ale to zajęłoby mu wiele godzin, a i tak nie miałby pewności, że znalazł wszystkie.
 - Skaner! Skąd lekarz internista mógł zdobyć taki sprzęt? Nagle zrozumiała. Fielding!
 - Tennant odebrał przesyłkę kurierską. Widzisz gdzieś kopertę FedExu?
 - Nie.
 - Widocznie wziął ją ze sobą. Zauważyłeś jeszcze coś dziwnego?
 - Kamerę wideo na statywie. W mordę!
 - Jest taśma?
 - Zaraz sprawdzę. Nie, nie ma.
 - Coś jeszcze?
 - Na podwórzu leży odkurzacz. Co jest grane?
 - Odkurzacz? Wsadź go do torby i przywieź tutaj. Wyślemy go śmigłowcem do Fortu Meade, do analizy. Jeszcze coś?
 - Nic.
 - Rozejrzyj się jeszcze raz i zjeżdżaj.
- Geli zakończyła rozmowę i rzuciła:
- Skow, dom.

Komputer wybrał numer rezydencji dyrektora administracyjnego Świętej Trójcy w Raleigh.

- Geli? — odezwał się Skow. — Co się dzieje?

Dźwięk jego głosu zawsze przywodził jej na myśl Kennedy'ego. Skow, przedstawiciel starej bostońskiej arystokracji, miał dwa razy więcej szarych komórek niż inni z jego sfery. Jednak, w przeciwieństwie do ludzi ze swojej klasy, nie zajął się naukami humanistycznymi ani prawem, tylko zrobił doktoraty z astronomii i matematyki i przez osiem lat był zastępcą dyrektora operacji specjalnych NSA. Głównym obszarem, za który odpowiadał, było supertajne Centrum Badań nad Superkomputerami agencji. Formalnie rzecz biorąc, Skow był zwierzchnikiem Geli, ale ich wzajemne stosunki od początku były dosyć niezręczne. Z wyjątkiem decydowania o pozbawieniu kogoś życia, w sprawach związanych z ochroną Projektu Święta Trójca Geli

nie podlegała nikomu. Dzierżyła taką władzę, ponieważ Peter Godin — przypominając sobie przecieki w systemach bezpieczeństwa laboratoriów rządowych — uparł się, że sam wybierze zespół do ochrony Świętej Trójcy.

Stary znalazł ją w chwili, gdy właśnie odchodziła z wojska. Geli należała ciałem i duszą do kultury wojowników, lecz nie potrafiła dłużej ścierpieć rozplenionej w armii, przerośniętej i zacofanej biurokracji, ani dennych standardów obowiązujących w stosunku do rekrutów. Godin spadł jej z nieba, proponując pracę, o jakiej marzyła przez całe życie, choć nie wierzyła, że takowa w ogóle istnieje.

Jako szef ochrony projektów specjalnych Superkomputerów Godina miała zarabiać siedemset tysięcy dolarów rocznie. Pensja była astronomiczna, ale Godin był miliarderem. Mógł sobie na to pozwolić. Warunki, na jakich została zatrudniona, były jedyne w swoim rodzaju. Miała wykonywać wszystkie jego rozkazy, nie zadając żadnych pytań i nie bacząc na to, czy są zgodne z prawem. Nie wolno jej było ujawniać jakichkolwiek informacji na temat swojego pracodawcy, firmy ani charakteru wykonywanej pracy, pod groźbą utraty życia. Miała prawo sama dobrać sobie zespół, jej podwładni musieli jednak zaakceptować takie same warunki i ewentualną karę jak ona; do niej należałoby też egzekwowanie tej kary. Nie mogła uwierzyć, że osoba publiczna, jaką był Godin, ośmieliła się postawić takie warunki. Później dowiedziała się, że Godin znalazł ją przez jej ojca. To wiele wyjaśniało. Geli nie rozmawiała z ojcem od lat, ale dzięki swemu stanowisku mógł o niej wiele wiedzieć. Po tym, jak Godin na nią patrzył, zorientowała się, że on także wie o niej niejedno. Prawdopodobnie historie, które wydostały się z Iraku po operacji Pustynna Burza. Peter Godin szukał eksperta od ochrony, lecz także zabójcy. Geli była i jednym, i drugim.

Ale nie John Skow. W przeciwieństwie do Godina, który za młodu służył w piechocie morskiej i walczył w Korei, Skow był wojownikiem teoretycznym. Facet z NSA nie miał krwi na rękach i w obecności Geli zachowywał się czasami jak człowiek, któremu wetknięto do ręki smycz z uwiązany na niej pitbullem.

— Geli? — powtórzył Skow. — Jesteś tam?

— Doktor Weiss pojechała do domu Tennanta — powiedziała do mikrofonu.

— Po co?

— Nie wiem. Prawie nic nie mamy z ich rozmowy. Teraz są w drodze do domu Fieldinga. Lu Li Fielding dzwoniła do niego. Jest zdenerwowana.

Skow milczał przez chwilę.

— Jedzie pocieszać nieutuloną w żalu wdowę?

— Nie wątpię, że taka będzie ich wersja. — Chciała wzmóc stopień jego zaniepokojenia, zanim poda mu więcej szczegółów. — Pozwolił im wejść do środka?

— Oczywiście. Będziesz słyszała wszystko, o czym mówią, prawda?

— Niekoniecznie. W domu Tennanta był problem z podsłuchem.

— Jakiego rodzaju problem?

— Tennant zalepił mikrofony kitem. I ma kamerę wideo na statywie. Bez taśmy. — Odczekała, aż Skow przyswoi tę wiadomość. — Albo gadał do kamery coś, co chciał przed nami ukryć, albo zamierzał porozmawiać z doktor Weiss tak, żebyśmy o tym nie wiedzieli. Tak czy owak, nie jest dobrze.

Przez pewien czas słyszała tylko oddech Skowa.

— Nie szkodzi — powiedział wreszcie. — Z tej strony nic nam nie grozi.

— Widocznie wie pan coś, o czym ja nie wiem, proszę pana.

Skow zachichotał, słysząc, z jaką pogardą wymówiła „proszę pana”. Człowiek z NSA był na swój sposób twardy. Cechowała go zimna, niezależna inteligencja matematyka.

— To korzyści płynące z przywództwa, Geli. A przy okazji, dobrze się spisałaś dziś rano. Wprowadziłaś mnie w zdumienie.

Geli wróciła pamięcią do trupa Fieldinga. Likwidacja przebiegła całkiem gładko, ale było to głupie posunięcie. Powinni jednocześnie usunąć Tennanta. Bez trudu mogłaby zwabić ich obu do tego samego pojazdu... a potem to już zwykła logistyka. Wypadek samochodowy. I wówczas projekt nie byłby tak zagrożony jak obecnie.

— Proszę pana, czy Tennantowi udało się porozmawiać z prezydentem?

— Nie wiem. Dlatego trzymaj się z daleka. Śledź rozwój wypadków, ale nie rób nic więcej.

— Poza tym on dostał przesyłkę kurierską z FedExu. List. Cokolwiek w nim było, zabrał go ze sobą. Musimy go przeczytać.

— Jeżeli dostaniesz się do listu tak, żeby się nie zorientował, to zgoda. A jeśli nie, skontaktuj się z FedExem i sprawdź nadawcę.

— Właśnie to robimy.

— Świetnie. Tylko nie...

Geli usłyszała, jak woła go żona.

— Informuj mnie na bieżąco — rzucił tylko i rozłączył się.

Zamknęła oczy i zaczęła oddychać głęboko. Przedstawiła Godinowi konieczność wyeliminowania Tennanta razem z Fieldingiem, ale stary się nie zgodził. Owszem, przyznał Godin, Tennant złamał niektóre przepisy i widywał się z Fieldingiem poza zakładem. Tak, Tennant popierał starania Fieldinga, zmierzające do zawieszenia projektu. I to właśnie z powodu powiązań Tennanta z prezydentem zamrożenie prac stawało się realne. Nie było jednak dowodów, że Tennant brał udział w kampanii Anglika, zmierzającej do sabotowania projektu, ani że posiadał jakiegokolwiek groźne informacje, którymi dysponował Fielding. A ponieważ Geli nie wiedziała, co to za informacje, nie mogła ocenić ryzyka związanego z pozostawieniem Tennanta przy życiu. Przypomniała wprawdzie Godinowi starą maksymę, że „przezorny zawsze ubezpieczony”, jednak on nie ustąpił. Ale ustąpi. I to już wkrótce.

— JPEG. Fielding, Lu Li — powiedziała Geli i na monitorze ukazała się ciemnowłosa Azjatka. Urodzona jako Lu Li Cheng, wychowana w Kantonie, w komunistycznych Chinach. Lat czterdzieści. Doktorat i habilitacja z fizyki stosowanej.

— Kolejna pomyłka — mruknęła Geli. Lu Li Cheng nie miała nic do roboty na terytorium Stanów Zjednoczonych, a tym bardziej w samym centrum najbardziej czułego projektu naukowego w kraju.

Geli nacisnęła klawisz łączący ją z Thomasem Corellim, który prowadził obserwację domu Fieldinga z samochodu.

— Widzisz coś dziwnego?

— Nie.

— Kiedy Tennant przyjedzie, będziesz mógł dostać się do jego wozu?

— Zależy, gdzie zaparkuje.

— Jeżeli zobaczysz w samochodzie kopertę FedExu, włam się do środka, przeczytaj list i odłóż z powrotem. Aha, i chcę mieć ich przyjazd na wideo.

— Żaden problem. Czego szukasz?

— Nie jestem jeszcze pewna. Ale zdobądź to.

Geli wzięła z biurka paczkę gauloise'ów, wyciągnęła papierosa i oderwała filtr. W świetle zapalki dojrzała swoje odbicie na ekranie monitora. Welon jasnych włosów, wysokie kości policzkowe, stalowoniebieskie oczy, paskudna blizna po oparzeniu. Geli uważała brzydką, poszarpaną tkankę na lewym policzku za taką samą część swojej twarzy jak oczy albo usta. Swego czasu pewien chirurg plastyczny proponował jej, że usunie tę odbarwioną bliznę za darmo, ale odmówiła. Blizny miały swój cel — przypominały tym, którzy je nosili, o ranach. Geli nie zamierzała nigdy zapomnieć o ranie, której skutkiem była ta blizna.

Wcisnęła klawisz i przełączyła do słuchawek sygnały z mikrofonów w domu Fieldinga. Zaciągnęła się głęboko, rozparła w fotelu i wydmuchnęła gryzący dym w kierunku sufitu.

Geli Bauer nienawidziła wielu rzeczy, ale najbardziej nie znosiła czekania.

Rozdział 4

Jechaliśmy w milczeniu, acura chyżo pomykała w zapadającym zmierzchu. O tej porze jazda z mojego przedmieścia do domu Fieldinga w Chapel Hill, koło uniwersytetu stanowego, nie trwała długo. Rachel nie rozumiała, dlaczego upieram się przy zachowaniu ciszy, ale wcale tego po niej nie oczekiwałem. Kiedy zacząłem pracować przy Świętej Trójcy, ja także byłem oszołomiony ksenofobicznym poziomem bezpieczeństwa. Pozostali naukowcy – w tym Fielding – pracowali wcześniej przy projektach militarnych i akceptowali natrętną ochronę jako konieczną niedogodność. Z czasem jednak nawet weterani zaczęli utyskiwać, że jesteśmy poddani bezprecedensowym rygorom. Wszzechobecna inwigilacja wykraczała daleko poza kompleks laboratoryjny. Na wszelkie protesty przypominano sucho, że naukowcy zatrudnieni przy Projekcie Manhattan musieli pracować i mieszkać za drutem kolczastym, by zapewnić bezpieczeństwo „urządzenia”. Wolność, którą się cieszymy, ma swoją cenę – tak przynajmniej brzmiała oficjalna gadka.

Fielding tego nie kupował. „Wyrywkowe” testy na poligrafie robiono prawie co tydzień, a inwigilacja sięgała nawet naszych domów. Zanim zacząłem nagrywać dziś moją taśmę, musiałem zatkać w ścianach dziurki po pineskach, w miejscach gdzie schowane były maleńkie mikrofony. Fielding wykrył je za pomocą specjalnego skanera, który zbudował w domu, i zaznaczył pluskwy pineskami. Uwalnianie się spod nadzoru Świętej Trójcy stało się jego konikiem. Ostrzegł

mnie, że w samochodzie nie da się prowadzić prywatnych rozmów. W aucie bardzo łatwo można zainstalować pluskwy, powiedział Anglik, a nawet gdyby samochód był czysty, można go podsłuchiwać z oddali, stosując specjalne, zaawansowane technicznie mikrofony. Kiedyś jego zabawa z NSA w kotka i myszkę mnie bawiła, teraz jednak nie było wątpliwości, kto się uśmiał ostatni.

Spojrzałem na Rachel. Dziwnie się czułem, siedząc z nią w samochodzie. W ciągu pięciu lat, jakie minęły od śmierci mojej żony, dwukrotnie wiązałem się z kobietami, jeszcze przed oddelegowaniem mnie do Świętej Trójcy. Czas, jaki spędzałem z Rachel, nie był „związkiem” w romantycznym sensie tego słowa. Od trzech miesięcy przesiadywałem z nią w gabinecie po dwie godziny tygodniowo i roztrząsaliśmy najbardziej niepokojący aspekt mojego życia — sny. Swoimi pytaniami oraz interpretacjami prawdopodobnie zdradziła mi więcej o sobie, niż dowiedziała się o mnie, ale i tak duża część pozostała tajemnicą.

Przyjechała tu z Nowego Jorku, ze Szpitala Prezbiteriańskiego, by objąć fakultet na Uniwersytecie Duke'a, gdzie wykładała niewielkiej grupie tutejszych psychiatrów jungowską metodę analizy snów — wymierającą sztukę w świecie współczesnej psychiatrii farmakologicznej. Ponadto miała prywatną praktykę i przyjmowała pacjentów, a także prowadziła badania naukowe z zakresu psychiatrii. Po dwóch latach zupełnej samotności, kiedy pracowałem dla Świętej Trójcy, kontakt z każdą inteligentną kobietą powinien być dla mnie podniecającym przeżyciem. Jednak Rachel miała do zaproponowania o wiele więcej. Siedząc w skórzanym fotelu, nienagannie ubrana, z włosami upiętymi w wysoki kok, obserwowała mnie w skupieniu, bez mrugnienia powieką, jak gdyby zaglądała w czeluści mojego umysłu, do których nawet ja sam nie dotarłem. Czasami jej twarz stanowiła dla mnie cały pokój, a zwłaszcza oczy. Były środowiskiem, w jakim przebywałem, publicznością, której się zwierzałem, osądem, na jaki czekałem. Ale te oczy nie śpieszyły się z wydawaniem sądów, przynajmniej na początku. Rachel wypytywała mnie o pewne obrazy, a potem kwestionowała moje odpowiedzi. Czasami podsuwała mi interpretacje moich snów, w przeciwieństwie jednak do psychiatrów z

NSA, których odwiedzałem, nigdy nie przemawiała nieomylnym tonem. Wyglądało na to, że razem ze mną próbuje zgłębić ich znaczenie, zachęcając mnie, bym sam zinterpretował te wizje.

— Davidzie, nie musisz krążyć po okolicy przez całą noc — odezwała się. — Nie wykorzystam tego przeciwko tobie.

Racja, pomyślałem. Czy w urojeniach o tajnym spisku rządowym jest coś złego?

— Cierpliwości — odparłem. — Już niedaleko.

Obrzuciła mnie w półmroku sceptycznym spojrzeniem.

— Ile wynosi Nagroda Nobla?

— Około miliona dolarów. Fielding dostał trochę mniej niż Ravi Nara, bo... — Przerwałem, uświadomiwszy sobie, że mnie podpuszcza, próbuje przekuć balon mojego „urojenia”.

Skupiłem uwagę na prowadzeniu wozu, wiedząc, że za kilka minut będzie musiała przyznać, że moja paranoja przynajmniej częściowo oparta jest na faktach. Co sobie wtedy pomyśli? Czy dopuści do siebie moją własną interpretację snów, jakkolwiek nieracjonalnie by brzmiała?

Poczynając od naszej pierwszej sesji, Rachel upierała się, że nie może należycie zinterpretować moich „halucynacji”, nie znając intymnych szczegółów z mojej przeszłości i pracy. Niewiele jednak mogłem powiedzieć. Fielding przestrzegł mnie, że każdego, kto posiada wiedzę o Świętej Trójcy i jej głównych uczestnikach, NSA potraktuje jako potencjalne zagrożenie. Pomijając więc troskę o nią, czułem, że to, co widzę podczas tych narkoleptycznych epizodów, w żaden sposób nie wiąże się z moją przeszłością. Miałem wrażenie, że wizje te pochodzą spoza mojego umysłu. Nie w tym sensie, że słyszałem tajemnicze głosy, co wskazywałoby na schizofrenię, lecz w klasycznym rozumieniu wizji. Objawień, takich jak opisywane przez proroków. Dla kogoś, kto od lat chłopiących nie wierzył w Boga, taki stan rzeczy był szczególnie niepokojący.

Moje sny nie zaczęły się wraz z pierwszymi atakami narkolepsji. Na początku po prostu urywał mi się film. Miałem przerwy w życiu. Dziury w czasie, stracone na zawsze. Siedząc przy komputerze w pracy, nagle uświadamiałem sobie, że moje ciało wibruje na wysokich obrotach. Najpierw całe, po czym wibrowanie szybko lokalizowało się w zębach. To klasyczny objaw ataku narkolepsji. Głowa

zaczynała mi opadać, aż nagle budziłem się raptownie i stwierdziłem, że minęło czterdzieści minut. Przypominało to stan po narkozie. Zero pamięci.

Po tygodniu przerw w życiorysie zaczęły się sny. Pierwszy był zawsze taki sam — powracający koszmar, który przerażał mnie bardziej niż dziury w pamięci. Pamiętam, jak zaintrygowałem Rachel, gdy opowiedziałem go jej po raz pierwszy i jak była pewna — rzecz u niej niezwykła! — że rozumie ten sen. Siedziałem w głębokim, miękkim fotelu na wprost jej biurka, z zamkniętymi oczami, i opisywałem to, co widziałem tyle razy.

Siedzę w ciemnym pokoju. W ogóle nie ma światła. Ani dźwięków. Mogę dotknąć palcami swoich oczu i uszu, ale nic nie widzę ani nie słyszę. Nic nie pamiętam. Nie mam przeszłości. A ponieważ nic nie widzę ani nie słyszę, nie mam też teraźniejszości. Po prostu jestem. To moja rzeczywistość. JESTEM. Czuję się jak ofiara udaru, uwięziona w ciele i mózgu, który już nie funkcjonuje. Potrafię myśleć, ale o niczym konkretnym. Bardziej czuję, niż myślę. A oto, co czuję: Kim jestem? Skąd przybyłem? Dlaczego jestem sam? Czy zawsze tu byłem? Czy zawsze tu będę? Te myśli nie tylko wypełniają mój umysł, one są moim umysłem. Czas, w takim sensie, w jakim go znamy, nie istnieje, są tylko zmieniające się pytania. W końcu składają się one w jedną mantrę: Skąd przybyłem? Skąd przybyłem? Jestem człowiekiem z uszkodzonym mózgiem, zamkniętym na wieczność w pokoju, zadającym w ciemności jedno pytanie.

— Nie rozumiesz? — spytała Rachel. — Nie uporałeś się do końca ze śmiercią żony i córki. Ich strata oderwała cię od świata i od siebie samego. Ty naprawdę jesteś uszkodzony. Ranny. Człowiek chodzący po jasnym świecie to teatr. Prawdziwy David Tennant siedzi w tamtym ciemnym pokoju, niezdolny do myślenia i czucia. Nikt nie czuje jego żalu i bólu.

— Nie w tym rzecz — zaprzeczyłem. — Na miłość boską, odbyłem praktykę z psychiatrii! Tu nie chodzi o ból, z którym się nie rozliczyłem.

Z westchnieniem pokręciła głową.

— Lekarze są najgorszymi pacjentami.

Tydzień później powiedziałem jej, że sen się zmienił.

— Teraz w pokoju coś ze mną jest.

— Co to takiego?

— Nie wiem. Nie widzę tego.

— Ale wiesz, że to tam jest?

— Tak.

— A może to ktoś, nie coś?

— Nie. To jest bardzo małe. Kula, unosząca się w przestrzeni. Czarna piłeczka do golfa, wisząca w ciemności.

— Skąd wiesz, że tam jest?

— To jakby głębsza czerń w środku ciemności. Przyciąga mnie.

— W jaki sposób cię przyciąga?

— Nie wiem. Jak grawitacja. Grawitacja emocjonalna. Ale wiem jedno. To coś zna odpowiedzi na moje pytania. Wie, kim jestem i dlaczego tkwię w tym ciemnym pokoju.

I tak to leciało, z niewielkimi wariacjami, aż sen znów się zmienił. Tym razem zmiana była głęboka. Któregoś dnia, kiedy czytałem sobie w domu, „odleciałem” tak jak zwykle. I stwierdziłem, że siedzę po ciemku w znajomym pokoju, zadając pytania czarnej piłce. Nagle, bez ostrzeżenia, piłka eksploduje światłem, porażając siatkówkę oczu. Po tej ciemności zapalenie zapalki przypominałoby wybuch, ale to nie była zapalka. Eksplozja rozchodziła się na zewnątrz we wszystkich kierunkach, ogromna jak wybuch bomby wodorowej. Tyle że nie wessała się z powrotem i nie utworzyła chmury w kształcie grzyba. Rozszerzała się z nieskończoną mocą i szybkością, ja zaś odniosłem przerażające wrażenie, że mnie pożera; pożera, ale nie niszczy. Kiedy oślepiające światło zjadało ciemność, czyli mnie, jakimś cudem wiedziałem, że będzie to trwać miliardy lat, a i tak mnie nie zniszczy. Mimo to się bałem.

Rachel nie wiedziała, co począć z tym snem. Przez następne trzy tygodnie słuchała, jak opisuję narodziny gwiazd i galaktyk, ich życie i śmierć; czarne dziury i supernowe; mgławice, jakby ktoś cisnął w absolutną ciemność sproszkowane diamenty; narodziny i śmierć planet. Miałem wrażenie, że widzę od jednego skraju wszechświata do drugiego, wszystkie obiekty jednocześnie, kiedy rozszerzały się ku mnie z prędkością światła.

— Czy widziałeś kiedyś coś takiego? — spytała. — Na jawie?

— Niby gdzie?

— Oglądałeś fotografie wykonane przez teleskop Hubble'a?

— Oczywiście.

— Bardzo przypominają to, co mi opisałeś.

W mój głos wkradła się frustracja.

— Nic nie rozumiesz. Nie chodzi o to, że ja to tylko widzę. Ja to czuję. Czuję tak, jak gdybym obserwował dzieci, walkę albo podglądał kochanków. To nie jest tylko przekaz wizualny.

— Mów dalej.

Stale to powtarzała. Zamknąłem oczy i pogrzyżyłem się w moim najnowszym śnie.

— Obserwuję planetę. Unoszę się nad nią. Widzę chmury, ale nie takie, jakie znamy. Są zielone jak kwas i targane wichurą. Teraz nurkuję, nurkuję w chmury, niczym obraz z satelity podczas zbliżenia Ziemi. Poniżej jest ocean, ale nie niebieski. Jest czerwony, wrzący. Przebijam jego powierzchnię i zanurzam się głęboko w czerwieni. Szukam czegoś, ale tego tam nie ma. Ocean jest pusty.

— Kiedy to opisywałeś, przyszło mi na myśl wiele rzeczy — powiedziała Rachel. — Po pierwsze, obrazowość barw. Bardzo istotna jest czerwień. Pusty ocean symbolizuje jałowość, która wyraża twój bolesny stan. — Zawahała się. — Czego szukasz w tym oceanie?

— Nie wiem.

— Myślę, że wiesz.

— Nie szukam Karen ani Zooey.

— Davidzie... — W jej głosie pojawił się cień irytacji. — Skoro uważasz, że te obrazy nic nie symbolizują, to po co tu przychodzisz?

Otworzyłem oczy i spojrzałem na jej idealnie spokojną twarz. Zasłona profesjonalizmu skrywała empatię, ale dostrzegłem prawdę. Przenosiła swoje poczucie utraty rodziny na mnie.

— Przychodzę, bo sam nie potrafię znaleźć odpowiedzi — odparłem. — Bo przeczytałem górę książek i nic z tego nie wynikało.

Rachel z powagą pokiwała głową.

— Jak to się dzieje, że tak dokładnie pamiętasz te halucynacje? Zapisujesz je po przebudzeniu?

— Nie. To nie jest tak jak ze zwykłymi snami, że im bardziej starasz się je sobie przypomnieć, tym bardziej je zapominasz. One są niezatarte. Czy nie jest to typowa cecha snów narkoleptycznych?

— Owszem — przyznała cicho. — No dobrze. Karen i Zooney zginęły w wodzie. Utonęły. Po uderzeniu w kierownicę Karen prawdopodobnie mocno krwawiła z rąk i głowy. Stąd ta czerwona woda. — Rachel opuściła nisko oparcie fotela i spojrzała na sufit. — W tych halucynacjach nie występują ludzie, a jednak doświadczasz silnych reakcji emocjonalnych. Wspomniałeś walkę. Czy sam kiedyś walczyłeś?

— Nie.

— Ale wiesz, że Karen walczyła, żeby uratować Zooney. Walczyła, żeby przeżyć. Sam mi mówiłeś.

Zamknąłem oczy. Nie lubiłem wracać do tego wspomnieniem, ale czasami myśli nie dawały się odpędzić. Kiedy samochód Karen wpadł do stawu, wylądował na dachu i opadł na miękkie muliste dno. Elektrycznie opuszczane szyby zacięły się, a drzwi nie dało się otworzyć. Połamane kości dłoni i stóp Karen świadczyły o furii, z jaką usiłowała wybić szyby. Była drobną, słabą fizycznie kobietą, ale nie poddała się bez walki. Człowiek, który udzielał pomocy na miejscu wypadku, powiedział mi, że kiedy wyciągnięto wreszcie samochód ze szlamu i otworzono drzwi, znalazł ją na tylnym siedzeniu; jedną ręką kurczowo przyciskała Zooney, a dłoń drugiej, swobodnie wyciągniętej, miała strzaskaną i poszarpaną. Przebieg wypadków był jasny. Kiedy woda zalała samochód i Karen zaczęła wybijać szyby, Zooney wpadła w panikę. Każdy by się przeraził, a co dopiero dziecko. W tym momencie niektóre matki nadal by walczyły, podczas gdy dziecko wrzeszczałoby, oszalałe ze strachu. Inne zaczęłyby pocieszać dziecko i modlić się o pomoc. Karen jednak przytuliła Zooney, obiecała jej, że wszystko dobrze się skończy, i do ostatniego tchnienia walczyła stopami, by wydostać się z tej podwodnej trumny. Przyciskanie córki w chwili bolesnej śmierci przez uduszenie świadczyło, że dla Karen miłość była silniejsza niż strach; świadomość tego faktu pomogła mi z czasem odzyskać spokój.

— Zielone chmury i czerwony ocean nie mają nic wspólnego z wypadkiem samochodowym sprzed pięciu lat — powiedziałem.

— Nie? Wobec tego uważam, że powinienes mi opowiedzieć więcej o swoim dzieciństwie.

— To nie ma nic do rzeczy.

— Skąd możesz wiedzieć? — Rachel nie ustępowała.

— Wiem.

— No to opowiedz mi o pracy.

— Wykładałem etykę lekarską.

— Ponad rok temu wzięłeś bezpłatny urlop.

Odwróciłem się do niej i otworzyłem oczy.

— Skąd o tym wiesz?

— Słyszałam w szpitalu.

— Kto o tym mówił?

— Nie pamiętam. Usłyszałam to przypadkiem. Wiesz, że w środowisku medycznym jesteś powszechnie znany. Lekarze w Duke bez przerwy powołują się na twoją książkę. Tak samo w Szpitalu Prezbiteriańskim w Nowym Jorku. A więc to prawda? Wzięłeś bezpłatny urlop z akademii medycznej?

— Wróćmy lepiej do snów, zgoda? Tak będzie bezpieczniej dla nas obojga.

— Bezpieczniej? W jakim sensie?

Nie odpowiedziałem.

Przed następnym cotygodniowym spotkaniem sny znów się zmieniły.

— Patrzę na Ziemię. Jestem zawieszony w przestrzeni. Nigdy nie widziałem czegoś równie pięknego. Błękit i zieleń, a do tego wirujące białe chmury. Wszystko jest żywe, to doskonały zamknięty system. Nurkuję w chmurach, jak łabędź, dwieście kilometrów w głąb błękitnego oceanu, który kipi życiem. Gigantyczne molekuly, wielokomórkowce, meduzy, mątwy, węże, rekiny. Ziemia też roi się od różnych stworzeń. Jest pokryta dżunglą. Symfonia zieleni. Na brzegu ryby wyskakują z wody i wyrastają im nogi. Dziwne kraby gramolą się na piasek i przemieniają w zwierzęta, jakich nigdy nie widziałem. Czas biegnie jak szybko przewijana taśma, jakby wyświetlano na ekranie proces ewolucji, przyspieszony milion razy. Dinozaury przeistaczają się w ptaki, inne gady w ssaki. Naczelne tracą włosy. Pokrywy lodowe spłaszczają dżungle i topiąc się, tworzą sawanny. Każdy oddech to

upływ dwudziestu tysięcy lat...

— Spokojnie — wtrąciła Rachel. — Za bardzo się podniecasz.

— Gdzie mogłem to wszystko widzieć?

— Znasz odpowiedź. Twój umysł potrafi stworzyć dowolny obraz i nadać mu pozory rzeczywistości. Zdjęcie Ziemi z kosmosu to ikona współczesnej fotografii. Na każdym z nas wywiera wielkie wrażenie, a od czasów dzieciństwa widziałeś je pewnie z pięćdziesiąt razy.

— Mój umysł potrafi stworzyć zwierzęta, jakich nigdy nie widziałem? Które wyglądają jak żywe?

— Oczywiście. Znasz obrazy Hieronima Boscha. A ja widziałam takie przeskoki w czasie, jakie opisujesz, w telewizji. Dawno temu takie rzeczy drukował magazyn „Life”. *Powstanie człowieka* i tak dalej. Pytanie brzmi, dlaczego ty to wszystko widzisz?

— Jestem tu właśnie po to, żeby się tego dowiedzieć.

— Czy ty też jesteś obecny w tym surrealistycznym pejzażu?

— Nie.

— A co czujesz?

— Wciąż czegoś szukam.

— Czego?

— Nie wiem. Jestem jak ptak, który lustruje ziemię i morze w poszukiwaniu... czegoś.

— Czy w swoim śnie jesteś ptakiem?

W jej głosie zabrzmiała nadzieja. Widocznie w leksykonie interpretacji snów ptaki coś oznaczają.

— Nie.

— A czym?

— Właściwie niczym. Parą oczu.

— Obserwatorem.

— Tak. Obserwatorem bez ciała. T. J. Eckleburgiem.

— Kim?

— Nieważne, to postać ze Scotta Fitzgeralda.

— A, przypominam sobie. — Zaczęła przygryzać końcówkę długopisu. Jak na nią, był to niezwykły gest. — Dlaczego to wszystko widzisz? Masz własne zdanie na ten temat?

— Tak. — Wiedziałem, że to, co powiem, ją zaskoczy. — Wierzę, że ktoś mi to pokazuje.

Rachel Weiss zrobiła wielkie oczy; jak na nią było to zachowanie wręcz teatralne.

— Naprawdę?

— Tak.

— I kto ci to pokazuje?

— Nie mam pojęcia. A ty jak sądzisz, dlaczego widzę te rzeczy?

Pokiwała głową z boku na bok. Niemal czułem, jak jej neurony strzelają, przepuszczając moje słowa przez filtry, które wykształcenie i doświadczenie życiowe wbiły jej w głowę.

— Ewolucja to zmiana — oświadczyła. — Widzisz zmianę, w nie-naturalnym przyspieszeniu. Niekontrolowaną zmianę. Czuję, że to ma coś wspólnego z twoją pracą.

Pewnie masz rację, pomyślałem, ale nie powiedziałem tego. Skinałem tylko głową i mówiłem dalej. Bo moje milczenie było jej jedyną obroną. W ostatecznym rozrachunku i tak aie miało to zresztą znaczenia, bo temat ewolucji umarł, to zaś, co zdominowało mój śpiący umysł, wstrząsnęło mną do głębi.

W nowych snach pojawili się ludzie. Nie widzieli mnie, a ja ich tylko fragmentarycznie. Zupełnie jakbym oglądał uszkodzony film, złożony z posklejanych na chybił trafił kawałków. Kobieta niesie dziecko na biodrze. Mężczyzna nabiera wody ze studni. Żołnierz w zbroi ściska krótki miecz, *gladius*, o którym dowiedziałem się w ósmej klasie na lekcjach łaciny u pani Whaley. Rzymski żołnierz. Była to pierwsza realna wskazówka, że ta seria obrazów nie jest przypadkowa, lecz przedstawia sceny z konkretnej epoki. Widziałem pługi ciągnięte przez woły. Młodą kobietę, sprzedającą się na ulicy. Mężczyzn przekazujących sobie pieniądze. Monety złote i miedziaki, z władczym profilem imperatora. Oraz z imieniem. *Tyberiusz*. To imię coś mi mówiło, więc zajrzałem do Internetu. Tyberiusz, następca Augusta i były dowódca legionów, większą część swojego panowania spędził na kampaniach wojennych przeciwko Germanom. Jednym z bardziej istotnych wydarzeń podczas, jego panowania — widzianym przez szkła celownika — było stracenie żydowskiego wieśniaka, który utrzymywał, że jest królem Żydów.

— Czy twój ojciec był bardzo wierzący?— spytała Rachel, usłyszawszy o tych nowych wizjach.

— Nie. Był... on postrzegał świat bardziej fundamentalnie.

— Co masz na myśli?

— To nie ma nic do rzeczy.

Westchnienie rozpaczy.

— A matka?

— Wierzyła, że istnieje coś potężniejszego niż ludzkość, ale religia w zorganizowanej formie do niej nie przemawiała.

— Więc w dzieciństwie nie byłeś poddany indoktrynacji religijnej?

— Parę lat szkółki niedzielnej, to wszystko.

— Jakie wyznanie?

— Metodysty. To był kościół położony najbliżej naszego domu.

— Czy pokazywali tam filmy o życiu Jezusa?.

— Całkiem możliwe. Nie pamiętam.

— Dorastałeś w Oak Ridge, w Tennessee, zgadza się? Więc raczej tak. No i oczywiście wszyscy oglądaliśmy wielkie biblijne eposy z lat pięćdziesiątych. *Dziesięcioro przykazań*, *Ben Hura* i tym podobne.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Tylko tyle, że ekwipunek żołnierza z tych snów tkwił w twojej podświadomości od lat. Tak jak w podświadomości nas wszystkich. Ale wygląda na to, że twoje sny ku czemuś zmierzają. Możliwe, że do Jezusa z Nazaretu.

— Słyszałaś kiedyś o takich snach? — spytałem.

— Oczywiście. Wielu ludzi śni o Jezusie. O tym, że mają z nim osobisty kontakt, że coś im przekazuje. Ale w progresji twoich snów jest pewna logika, a także nuta naturalizmu, zamiast dzikiej obsesyjnej fantazji. Poza tym twierdzisz, że jesteś ateistą. A przynajmniej agnostykiem. Bardzo jestem ciekawa, dokąd to doprowadzi.

Doceniałem jej zainteresowanie, ale miałem już dość czekania na odpowiedzi.

— Ale jak sądzisz, co to znaczy?

Wyduła wargi i pokręciła głową.

— Nie jestem już przekonana, że to ma związek ze stratą żony i córki. Ale prawdę mówiąc, za mało wiem o twoim życiu, żeby dokonać rzeczowej oceny.

Nastąpił pat. Ja wciąż nie wierzyłem, że moja przeszłość ma związek ze snami. Jednakże z biegiem dni poszarpane fragmenty filmu w mojej głowie zaczęły się klarować i pewne postaci ze snów powracały. Twarze, które widziałem, stały się znajome jak przyjaciele. Potem nawet bardziej. Narastało we mnie poczucie, że ja te twarze pamiętam, i to nie tylko z poprzednich snów. Opisałem je Rachel jak najdokładniej.

Siedzę pośrodku okręgu, a brodaci ludzie przyglądają mi się wniebowzięci. Wiem, że coś mówię, bo najwyraźniej mnie słuchają, a jednak nie słyszę własnych słów.

Widzę twarz kobiety, anielską, choć pospolitą, i parę oczu, które znam jak oczy matki. Ale to nie są oczy matki, nie tej, która wychowywała mnie w Oak Ridge. A jednak patrzą na mnie z czystą miłością. Obok kobiety stoi brodaty mężczyzna i przygląda mi się z ojcowską dumą. Ale mój ojciec przez całe życie starannie się golił...

Widzę osły... i palmę daktylową. Nagie dzieci. Brązową rzekę. Czuję zimny wstrząs chrztu przez całkowite zanurzenie, uderzenia moich stóp o piasek. Widzę młodą dziewczynę, piękną i ciemnowłosą, która pochyła się, nadstawia mi twarz do pocałunku, a potem ucieka, zarumieniona. Przechadzam się między dorosłymi. Ich twarze mówią: „To dziecko nie jest takie jak inne dzieci”. Mężczyzna o dzikim spojrzeniu stoi po pas w wodzie; za nim kolejka mężczyzn i kobiet czeka na zanurzenie, inni zaś wynurzają się z wody, kaszląc i plując, z szeroko otwartymi oczami.

Czasami sny nie miały żadnej logiki, były tylko oderwanymi od siebie fragmentami. Kiedy wreszcie logika powróciła, przeraziła mnie.

Siedzę przy łóżku małego chłopca. Nie rusza się. Oczy ma zamknięte. Od dwóch dni jest sparaliżowany. Jego matka i ciotka są ze mną. Przynoszą jedzenie, chłodną wodę i olejki, żeby namaścić chłopca. Szepczę mu coś cicho do ucha. Każę kobietom przytrzymać go za ręce. Potem nachylam się i wymawiam jego imię. Jego oczy zaciskają się, spod powiek wycieka śluz. Naśle otwierają się i rozjaśniają, kiedy poznaje swoją matkę. Matka łapczywie chwytą powietrze i krzyczą, że chłopiec poruszył ręką. Podnosi go, a on ją ściska. Kobiety płaczą ze szczęścia...

Jem wraz z grupą kobiet. Oliwki i chleb. Niektóre kobiety unikają mojego wzroku. Po posiłku prowadzą mnie do sypialni, gdzie na łóżku leży ciężarna dziewczyna. Mówią mi, że za długo nosi dziecko w brzuchu. A poród się nie zaczyna. Boją się, że dziecko już nie żyje. Każą im opuścić pomieszczenie. Młoda kobieta się mnie boi. Uspokajam ją cichymi słowami, unoszę koc i kładę dłonie na jej brzuchu. Jest nabrzmiały i twardy jak bęben. Trzymam na nim dłonie przez dłuższy czas, przemawiając do niej cicho, ponagляjąc ją łagodnie. Nie rozumiem tego, co mówię. To coś jakby cichy śpiew. Po pewnym czasie dziewczyna otwiera usta. Poczula kopnięcie. Woła inne kobiety. Moje dziecko żyje! Kobiety kładą na mnie dłonie, próbują mnie dotknąć, jakbym posiadał jakąś niewidzialną moc. „Tak, to na pewno on” — mówią.

— To opowieści biblijne, znane milionom dzieci w wieku szkolnym — oświadczyła Rachel. — Nie ma w nich niczego nadzwyczajnego.

— Czytałem Nowy Testament. Nigdzie nie ma wzmianki o tym, że Jezus wyleczył chłopca z paraliżu. Ani że jadł w towarzystwie samych kobiet, a potem wywołał poród.

— Ale i jedno, i drugie to wizje uzdrawiania — odrzekła. — A ty jesteś lekarzem. Podświadomie przetwarzasz Jezusa na podobieństwo swoje. Albo na odwrót. Być może problem tkwi w twojej pracy. Czy odszedłeś od czystej medycyny? Znam lekarzy, którzy popadli w depresję po tym, jak zrezygnowali z kontaktu z pacjentami na rzecz badań naukowych. Może to coś w tym rodzaju?

Prawidłowo odgadła moją reakcją na brak kontaktu z pacjentami, tyle że moje klarowne sny nie były jakimś dziwnym przejawem nostalgii za dniami w białym fartuchu.

— Jest jeszcze jedna możliwość — powiedziała. — Taka, która pasuje do mojej pierwotnej interpretacji. Te wizje boskiego uzdrawiania mogą być podświadomym życzeniem, byś mógł sprowadzić Karen i Zoocy z powrotem. Zastanów się nad tym. Jakie były dwa najbardziej znane cuda Jezusa?

Niechętnie pokiwałem głową.

— Wskrzeszenie Łazarza.

— Tak. I, jeśli się nie mylę, wskrzesił także małą dziewczynkę.

— Owszem. Ale nie sędę, żeby takie było znaczenie tych snów. Rachel uśmiechnęła się z bezgraniczną cierpliwością.

— W każdym razie jedno jest pewne. Twoja podświadomość w końcu wyjaśni nam, co chce ci przekazać.

Była to nasza ostatnia sesja. Dlatego że tej nocy moje sny znów się zmieniły, a nie zamierzałem mówić Rachel, w jakim kierunku.

Ten sen był jeszcze bardziej klarowny niż poprzednie i chociaż mówiłem w obcym języku, rozumiałem swoje słowa. Szedłem piaszczystą drogą. Dotarłem do studni. Poziom wody był niski i nie miałem jej czym nabrać. Po jakimś czasie nadeszła kobieta z urną na sznurze. Poprosiłem, żeby wyciągnęła mi trochę wody. Była zaskoczona, że się do niej odezwałem, i poczułem, że jesteśmy z różnych plemion. Powiedziałem, że woda w studni nie zaspokoi jej pragnienia. Rozmawialiśmy przez pewien czas i zaczęła przyglądać mi się taksującym wzrokiem.

— Wiem, że jesteś prorokiem — powiedziała. — Widzisz wiele rzeczy, które są ukryte.

— Nie jestem prorokiem — odparłem.

Przez chwilę patrzyła na mnie w milczeniu. Wreszcie przemówiła:

— Powiadają, że pewnego dnia przybędzie mesjasz, żeby nam powiedzieć różne rzeczy. Co o tym myślisz?

Spojrzałem na ziemię, lecz na usta cisnęły mi się słowa głębokiego przekonania.

— Jestem nim, ja, który do ciebie mówię.

Kobieta się nie roześmiała. Uklękła, dotknęła mojego kolana i odeszła, co chwila odwracając głowę i spoglądając na mnie.

Otrząsnąłem się z tego snu zlany potem. Nie sięgnąłem po telefon i nie zadzwoniłem do Rachel po nagłą pomoc. To nie miało sensu. Nie wierzyłem dłużej, że jakiegokolwiek interpretacje snów mogą mi pomóc, bo ja już nie śniłem. Ja sobie przypominałem.

— O czym myślisz? — zapytała Rachel z fotela pasażera. Przejeżdżaliśmy koło kampusu uniwersytetu Karoliny Północnej.

— Skąd się tu wzięłaś?

Poruszyła się w fotelu i obrzuciła mnie zatroskanym spojrzeniem.

— Jestem tu, bo się o ciebie martwię. Bo opuściłeś trzy sesje, a nie zrobiłbyś tego, gdyby sprawy nie zmierzały ku gorszemu. Myślę, że twoje halucynacje znów się zmieniły i że się wystraszyłeś jak cholera.

Mocniej ścisnąłem kierownicę, ale milczałem. Gdzieś tam NSA prowadziła nasłuch.

— Dlaczego mi tego nie opowiesz? — spytała. — Co złego może z tego wyniknąć?

— To nie jest dobry czas. Ani miejsce.

Przed nami, po lewej, był teatr uniwersytecki. Po prawej, ukryty wśród drzew poniżej drogi, leżał Amfiteatr Leśny. Skręciłem ostro w prawo i na wyłączonym silniku zjechałem z ciemnego wzgórza na ulicę, biegnącą między dwoma rzędami okazałych domów. Był to jedyny wjazd na osiedle zamieszkane przez etatowych profesorów oraz zamożnych młodych profesjonalistów. Fielding mieszkał w małym jednopiętrowym domku, cofniętym w głąb od ulicy. Idealnym dla niego i jego chińskiej żony, którą miał nadzieję sprowadzić do Ameryki.

— Gdzie jesteśmy? — zapytała Rachel.

— Dom Fieldinga jest tuż przed nami.

Spojrzałem w tamtym kierunku, ale ujrzałem tylko ciemność. Spodziewałem się, że cały dom będzie tonął w świetle, tak jak mój po stracie Karen i Zooey. Przeżyłem chwilę paniki, przeczucie, że oto wjechałem do jednego z tych spiskowych filmów z lat siedemdziesiątych, w których wchodzisz do znajomego domu i nie zastajesz nikogo. Albo gorzej, w środku mieszka zupełnie inna rodzina.

Trzydzieści metrów od ulicy zapaliło się światło na werandzie. Widocznie Lu Li wyglądała przez ciemne okno. Przekręciłem głowę i rozejrzałem się w poszukiwaniu podejrzanych pojazdów. Często wykrywałem śledzące mnie samochody NSA. Albo ich załogi nie przejmowały się tym, że ich widzimy, albo, co bardziej prawdopodobne, chcieli, żebyśmy wiedzieli, że nas śledzą. Dziś wieczorem nie zauważyłem niczego podejrzanego, czułem jednak, że coś jest nie tak, jak być powinno. Być może tym razem obserwatorzy nie chcieli, żebym ich zauważył.

Skręciłem na podjazd Fieldinga i zaparkowałem przed zamkniętym garażem.

— Tutaj mieszka laureat Nobla? — spytała Rachel, wskazując skromny domek.

— Mieszkał — sprostowałem. — Zostań tu. Podejdę do drzwi sam.

— Na miłość boską! — warknęła Rachel. — To śmieszne! Przyznaj po prostu, że wszystko zmyśliłeś, i pojedźmy na kawę, pogadać o tym.

Złapałem ją za ramię i spojrzałem jej twardo w oczy.

— Posłuchaj mnie, do ciężkiej cholery! Prawdopodobnie wszystko jest w porządku, ale zrobimy tak, jak mówię. Zagwizdzę, jeśli będziesz mogła bezpiecznie wysiąść.

Podszedłem do frontowych drzwi domu mojego zmarłego przyjaciela; ręce trzymałem na widoku, ale myślami byłem przy trzydziestceósemce w mojej kieszeni.

Rozdział 5

Geli Bauer z uwagą słuchała raportu Corellego sprzed domu Fieldinga.

— Właśnie wchodzi do środka. Tennant pierwszy. Psychiatra trzyma się z tyłu. Teraz podchodzi. Czeka... zdaje się, że doktor ma...

— Który doktor?

— A, Tennant. Ma broń w kieszeni. W bocznej prawej.

— Widzisz rękojeść?

— Nie, ale to chyba rewolwer.

Co ten Tennant sobie wyobraża, do licha?! W telefonie komórkowym rozległy się trzaski.

— Co mam robić? — zapytał Corelli.

— Siedź na tyłku i pilnuj, żeby mikrofony działały.

— Wdowa właśnie otworzyła drzwi. Zaprasza ich do środka.

— Informuj mnie na bieżąco.

Geli przerwała połączenie z Corellim. Skoro Tennant miał broń, to znaczy, że bał się o życie. Na pewno uważa, że Fielding został zamordowany. Ale dlaczego? Lekarstwo, które zabiło Fieldinga, wywołało śmiertelny krwotok do mózgu, autentyczny udar. Bez przeprowadzenia sekcji zwłok nie można by udowodnić morderstwa. A sekcji zwłok nie będzie. Widocznie Tennant wie więcej, niż Godin przypuszczał. Jeżeli list, który dostarczył mu FedEx, był wysłany przez Fieldinga, to może zawierał jakiś dowód.

Dotknęła mikrofonu na głowie i powiedziała:

— Skow, dom.

Jej komputer wybrał domowy numer Skowa w Raleigh.

— Co znowu? — odezwał się Skow po drugim sygnale.

— Po drodze do Fieldinga Tennant i Weiss prawie się nie odzywali.

— Więc?

— To nienaturalne. Unikają rozmowy.

— Tennant wie, że jest pod obserwacją. Zawsze chciałaś, żeby oni wszyscy o tym wiedzieli.

— Tak, ale on nigdy się tak nie krył. Coś kombinuje.

— Trochę mu odbiło. To naturalne.

— Jest uzbrojony.

Chwila przerwy.

— Zgoda, więc całkiem mu odbiło. Wiemy, że trzymał w domu rewolwer.

— Mieć rewolwer w domu a nosić go przy sobie to dwie różne rzeczy.

Skow zachichotał.

— To ty wzbudzasz w ludziach takie reakcje, Geli. A tak poważnie, powinnaś nieco ochłonąć. Na wszystko trzeba patrzeć z właściwej perspektywy. Wiemy, że Tennant już wcześniej był podejrzliwy. A dzisiaj umarł jego najlepszy przyjaciel. Więc oczywiście wpada w paranoję. Ale jeśli czegoś nie chcemy, to tego, żeby nabrał więcej podejrzeń.

Geli żałowała, że nie może porozmawiać z Godinem. Dzwoniła na jego prywatną komórkę, ale nie odebrał ani nie oddzwonił. Nigdy wcześniej to się nie zdarzyło...

— Posłuchaj, myślę, że...

— Wiem, co myślisz — przerwał jej Skow. — Nie podejmuj żadnych kroków bez mojej zgody.

— Palant! — warknęła Geli, ale Skow zdążył już odłożyć słuchawkę.

Nacisnęła przycisk łączący ją z centralą NSA w Forcie Meade. Jej łącznikiem był tam młody człowiek nazwiskiem Conklin.

— Witam, panno Bauer — powiedział. — Znowu dzwoni pani z pytaniem o FedEx?

— A jak myślisz?

— Mam to, o co pani prosiła. Przesyłkę wrzucono do skrzynki na

poczcie w Durham, w Karolinie Północnej. Jako nadawca figuruje Lewis Carroll.

A więc jednak Fielding wysłał coś Tennantowi! Geli wiedziała, że nie zrobił tego osobiście, ale prawie na pewno załatwiła to jego żona. Przerwała połączenie, rozparła się wygodnie w fotelu i zajęła się oceną sytuacji.

Siedem godzin temu, na polecenie Godina, zabiła człowieka, nie wiedząc właściwie dlaczego. Nie stanowiło to dla niej problemu. Fielding zagrażał projektowi, co — zgodnie z warunkami jej kontraktu — w zupełności jej wystarczało. Gdyby zaś potrzebowała moralnego usprawiedliwienia, to Projekt Święta Trójca miał kluczowe znaczenie dla bezpieczeństwa narodowego. Egzekucja Fieldinga była czymś w rodzaju zabicia szpiega przyłapanego na akcie zdrady. A jednak Geli była ciekawa motywu. Godin powiedział jej, że Fielding sabotował projekt i wykrał dane ze Świętej Trójcy. Geli nie była tego taka pewna. Aby uniknąć sabotażu, podjęto rygorystyczne środki bezpieczeństwa. Nikt nie mógłby fizycznie wnieść do budynku żadnych danych, ani ich wynieść. Jeśli zaś chodzi o kradzież elektroniczną, to technicy z NSA postarali się, żeby ani jeden elektron nie opuścił budynku, zanim nie uzyska pozwolenia Skowa.

Dlaczego więc Fielding musiał umrzeć? Sześć tygodni temu on i Tennant doprowadzili do zawieszenia projektu, wysuwając zastrzeżenia natury medycznej i etycznej. Gdyby to był ów motyw, to po co czekali z zabiciem Fieldinga? I dlaczego zginął tylko on? Odwiedzając Geli zeszłej nocy, Peter Godin był niemal zdesperowany. Nigdy wcześniej nie widziała go w takim stanie. Czyżby aż tak mu się śpieszyło, żeby znów uruchomić projekt? Geli niewiele wiedziała o technicznej stronie badań Świętej Trójcy, zdawała sobie jednak sprawę, że do pełnego sukcesu droga jeszcze daleka. Czytała to z twarzy naukowców i inżynierów, kiedy codziennie stawiali się do pracy.

Projekt Święta Trójca budował — czy raczej starał się zbudować — superkomputer. Ale nie konwencjonalny, taki jak cray czy godin, lecz urządzenie oparte na sztucznej inteligencji — prawdziwą myślącą maszynę. Geli nie wiedziała, dlaczego tak trudno było skonstruować ów teoretyczny komputer, Godin jednak powiedział jej co nieco o genezie projektu.

W 1994 roku pewien naukowiec zatrudniony w laboratoriach Billa wysunął tezę, że przy zastosowaniu zasad fizyki kwantowej można stworzyć komputer o praktycznie nieograniczonej zdolności łamania kodów. Geli nie miała pojęcia o fizyce kwantowej, od tamtej pory przeczytała jednak na ten temat wystarczająco dużo, by zdawać sobie sprawę, dlaczego komputer kwantowy stanowiłby rewolucję. Współczesne kodowanie cyfrowe — szyfry stosowane przez banki, korporacje czy rządy — opiera się na mnożeniu dużych liczb pierwszych. Konwencjonalne superkomputery, takie jak te stosowane przez NSA, łamały te kody, sprawdzając różne sekwencje po kolei; to tak, jakby dobierać do zamka właściwy klucz. Łamanie kodów w ten sposób mogło trwać setki godzin. Za to komputer kwantowy — teoretycznie — mógłby sprawdzać wszystkie możliwe kombinacje jednocześnie. Błędne warianty likwidowałyby się wzajemnie, pozostawiając tylko ten właściwy do złamania kodu. Proces ten nie trwałby iluś tam godzin ani nawet minut. Komputer kwantowy łamałby kody cyfrowe natychmiast. Taka maszyna sprawiłaby, że współczesne kodowanie wyszłoby z użycia, a kraj, który by wszedł w jej posiadanie, uzyskałby oszałamiającą przewagę nad wszystkimi innymi państwami.

Biorąc pod uwagę potencjalną wartość takiej maszyny, NSA uruchomiła kolosalne tajne środki w celu zaprojektowania i skonstruowania komputera kwantowego. Pomyślany jako Projekt Duch, co nawiązywało do opisu Alberta Einsteina dotyczącego zachowania się niektórych cząstek kwantowych — „pląsy duchów w oddali” — został oddany pod nadzór Johna Skowa, dyrektora Centrum Badań nad Superkomputerami NSA. Straciwszy siedem lat i 600 milionów dolarów z lewego budżetu NSA, zespół Skowa nie wyprodukował prototypu, który mógłby rywalizować ze zwykłym palmtopem.

Dni Skowa były już policzone, kiedy zadzwonił do niego Peter Godin, od lat budujący konwencjonalne komputery dla NSA. Godin zaproponował maszynę równie rewolucyjną jak komputer kwantowy, ale z jednym atrybutem, któremu rząd nie mógł się oprzeć — można go było zbudować przy zastosowaniu istniejących technologii. Co więcej, po rozmowie z Andrew Fieldingiem, fizykiem kwantowym, którego już wcześniej zatrudnił do pracy nad swoim urządzeniem,

Godin wierzył, że istnieją poważne szanse na to, iż jego komputer będzie dysponował możliwościami kwantowymi.

Machając tymi wisienkami przez nosem prezydenta, Godin zapewnił sobie akceptację wszystkich swoich żądań. Wszelkie możliwe udogodnienia, by móc pracować nad nową maszyną. Praktycznie nieograniczone fundusze rządowe na pokrycie strat znanych z Projektu Manhattan. Prawo do zatrudniania i zwalniania własnych naukowców. Na człowieka nadzorującego projekt ze strony rządowej wybrał Johna Skowa, którego skorumpował przed laty, przekupując go, by do Centrum Badań nad Superkomputerami wybrał modele marki Godin, a nie Cray. Jedyne żądanie prezydenta dotyczyło stałego nadzoru etycznego, które zmaterializowało się w osobie Davida Tennanta. Początkowo Tennant wydawał się tylko drobnym utrapieniem. Wszystko wyglądało idealnie.

Tymczasem minęły dwa lata, wydano niemal miliard dolarów, a działającego prototypu jak nie było, tak nie było. W tajnych korytarzach Kryptomiasta NSA zaczęto czynić porównania do nieudanego Projektu Duch. Oczywiście, jedyną różnicę stanowił Peter Godin. Nawet jego wrogowie przyznawali, że nie zdarzyło mu się nie dotrzymać obietnicy. Ale tym razem, szeptano, być może podjął się zadania, które go przerosło. Sztuczna inteligencja nie jest wprawdzie czymś tak teoretycznym jak komputer kwantowy, a jednak wiele firm, które próbowały ją uzyskać, zbankrutowało.

Właśnie dlatego Geli nie rozumiała powodów, dla których Fielding musiał umrzeć. Aż do ubiegłego wieczoru Godin najwyraźniej uważał genialnego Anglika za osobę absolutnie niezbędną do zapewnienia sukcesu Projektowi Święta Trójca. A tu nagle okazało się, że można się bez niego obejść. Skąd ta zmiana?

Pod wpływem chwili postukwała w klawiaturę i ściągnęła wykaz przedmiotów osobistych Fieldinga, który sporządziła po jego śmierci, na prośbę Godina. Gabinet Fieldinga był zagracony mieszaniną osobliwości i pamiątek, co pasowało raczej do profesora uniwersytetu, a nie do miejsca pracy fizyka.

Oczywiście były tam książki. Oryginalny egzemplarz Upaniszad, spisany w sanskrycie. Tom poezji W. B. Yeatsa. Trzy niezłe wygniecione powieści Raymonda Chandlera. *Alicja po drugiej stronie*

lustra. Różne podręczniki i rozprawy naukowe. Pozostałe przedmioty zupełnie tam nie pasowały. Cztery pary kości do gry, w tym jedna wyważona. Ząb jadowy kobry. Magazyn „Penthouse”. Ustnik do saksofonu. Tybetańska misa. Ścienny kalendarz z rysunkami M. C. Eschera. Podarty plakat klubu striptizowego z Newcastle, w Anglii, gdzie Jimi Hendrix grał w 1967 roku, z autografem gitarzysty. Oprawiony w ramkę list od Stephena Hawkinga, który uznaje swoją porażkę w zakładzie, jaki zawarli na temat istoty czarnych dziur, czymkolwiek one były. Wały się tam fabryczne płyty kompaktowe z nagraniami Van Morrisona, Johna Coltrane’a, Milesa Davisa. Lista przedmiotów była długa, wszystkie jednak wydawały się nieszkodliwe. Geli osobiście sprawdziła książki, a jeden z techników przesłuchał wszystkie nagrania na kompaktach, żeby sprawdzić, czy nie posłużyły do przechowywania skradzionych danych. Oprócz rupieci w gabinecie były jeszcze portfel, ubranie i biżuteria Fieldinga. Ta ostatnia była prosta — złota obrączka i złoty zegarek z dewizką, zakończoną łańcuszkiem z górskim kryształem.

Dumając nad tym wykazem, Geli zainteresowała się nagle, czy cały ten majdan wciąż jest w magazynie, w którym osobiście zamknęła go dziś po południu. Zastanawiała się dlatego, że John Skow także miał do niego dostęp. A jeśli Fieldinga zabito z powodu czegoś, co znajdowało się w jego posiadaniu? Może dlatego chcieli, żeby umarł w pracy? Żeby mieć pewność, że dostaną to, o co im chodziło. Jeśli tak, musiało to być coś, co nosił przy sobie, inaczej po prostu zabraliby to z jego gabinetu. Geli już miała zajrzeć do magazynu, gdy w jej słuchawkach rozległ się sygnał.

— Zdaje się, że mamy problem — powiedział Corelli.

— Jaki?

— Ten sam, co u Tennanta. Są w środku, ale nie słyszę żadnych rozmów. Tylko lekkie echo, jak pogłos z mikrofonów w dalekim pokoju.

— Psiakrew! — Geli przekierowała sygnał z mikrofonów w domu Fieldinga do swoich słuchawek. Usłyszała tylko ciszę. — Coś jest grane — mruknęła. — Co masz ze sobą?

— Mikrofon paraboliczny, ale przez ściany działa kiepsko, a przez okna wcale. Potrzebuję zestawu laserowego.

- Jest tutaj. — W myślach przejrzała zasoby, jakimi dysponuje.
 - Dostarczę ci go za dwanaście minut.
 - Za dwanaście minut może ich już tu nie być.
 - A co z noktowizorem?
 - Nie spodziewałem się niczego taktycznego.
- Jasna cholera!

— Wszystko już do ciebie jedzie. Sprawdź, czy w wozie Tennanta nie ma koperty FedExu. I daj mi adres podjazdu, na którym parkujesz.

Geli zanotowała adres i nacisnęła guzik, który uruchomił sygnał w pokoju na tyłach podziemnego kompleksu. Stały w nim łóżka, na wypadek, gdyby jej zespół musiał pracować przez całą dobę. Trzydzieści sekund później do centrum kontroli wszedł zaspany, wysoki młody blondyn o długich włosach.

— Czo jeszt? — zapytał.

— Mamy alarm — odparła Geli, wskazując ekspres do kawy pod ścianą. — Pij.

Ritter Bock był Niemcem, jedynym członkiem jej zespołu, którego wybrał sam Peter Godin. Jako były komandos jednostki GSG-9 Ritter pracował dla elitarnej agencji ochroniarskiej, która zapewniała Godinowi obstawę, kiedy podróżował po Europie i Dalekim Wschodzie. Gdy Ritter udaremnił próbę porwania Godina, miliarder zatrudnił go na stałe. Bezwzględny, o stalowych nerwach i wyposażony w umiejętności daleko wykraczające poza jego specjalizację antyterrorystyczną, ten dwudziestodwuletniak okazał się najlepszym agentem Geli. A ponieważ ona spędzała za młodu wakacje w Niemczech, nie dzieliła ich bariera językowa.

Ritter upił łyk kawy i spojrzał na Geli nad parującym kubkiem. Miał szare oczy strzelca posługującego się karabinem maszynowym, jak chłopcy, którzy pociągali ją w czasach, gdy była nastolatką, a jej ojciec stacjonował w Niemczech.

— Dostarczysz Corellemu laser — powiedziała. — Zaparkował na podjeździe koło kampusu uniwersyteckiego.

Wydarła kartkę z notesu i położyła ją koło siebie na blacie.

Ritter pociągnął nosem i skinął głową. Nie znosił robić za gońca, ale nigdy się nie skarżył. Odwalał pańszczyznę i cierpliwie czekał na zadania, do których był stworzony.

— Czy laser jest w dziale zaopatrzenia? — zapytał.

— Tak. Weź też cztery zestawy noktowizyjne.

Ritter dopił parującą kawę, wziął z biurka kartkę z adresem i wyszedł bez słowa. Geli się to podobało. Amerykanie uważają, że muszą wypełniać słowami każdą ciszę, jak gdyby ciszy należało się obawiać. Ritter nie tracił sił na próżno, czy to w rozmowie, czy podczas akcji. Dlatego był cenny. Czasami pracowali razem, czasami z nim sypiała. Jak dotąd nie sprawiało to kłopotów. W wojsku zachowywała się podobnie — czerpała przyjemność tam, gdzie mogła ją znaleźć. Tak samo jak w szkole z internatem w Szwajcarii. Zawsze istniało ryzyko. Trzeba umieć sobie radzić z agresywnymi mężczyznami — czy kobietami — i z rozstaniem. Geli zawsze radziła sobie i z jednym, i z drugim.

— Corelli? — spytała. — Co teraz słyszysz?

— Wciąż nic. Lekki pogłos. Nie da się nic zrozumieć.

— Ogłosiłam alarm. Ritter jest w drodze.

Odpowiedziała jej cisza. Geli uśmiechnęła się. Przy Ritterze inni czuli się nieswojo.

— Słyszysz mnie?

— Słyszę. Jestem teraz w wozie Tennanta.

— Co widzisz?

— Nie ma koperty FedExu. Widocznie zabrał ją ze sobą.

— W porządku.

— Co mam robić?

— Wracaj do samochodu i czekaj na Rittera.

— Tak jest.

Geli rozłączyła się i znów pomyślała o rzeczach osobistych Fieldinga zgromadzonych w magazynie. Czuli, że czegoś tam brakuje, a jej przecucia zwykle trafiały w dziesiątkę. Teraz jednak nie chciała opuszczać centrum kontroli. Kiedy Ritter dotrze na miejsce, wydania mogą nabrać tempa.

Rozdział 6

Wciągnąłem Rachel do przedpokoju domu Fieldinga. Drzwi zamknęły się za nami szybko. Kiedy się odwróciliśmy, ujrzeliśmy niską Azjatkę, może metr pięćdziesiąt wzrostu. Lu Li Fielding przeżyła większość swych czterdziestu lat w komunistycznych Chinach. Całkiem niezłe rozumiała angielski, ale mówiła w tym języku fatalnie.

— Ta kobieta kto? — zapytała, wskazując na Weiss. — Ty nie mąż, doktor David, prawda?

— To Rachel Weiss — wyjaśniłem. — Jest moją przyjaciółką. A także lekarzem.

Oczy Lu Li wypełniła podejrzliwość.

— Ona pracować dla firmy?

— Masz na myśli Świętą Trójcę?

— Święta Trójca — powtórzyła, zamieniając „r” na „l”.

— Absolutnie nie. Jest profesorem na wydziale medycyny Uniwersytetu Duke'a.

Lu Li przyglądała się Rachel przez dłuższą chwilę.

— Ty też wejść. Proszę. Szybko!

Skłoniła się i poprowadziła nas do pokoiku, z którego wychodziło się do kuchni. Uśmiechnąłem się smutno. Kiedy Fielding mieszkał sam, jego dom zawsze wyglądał jak po przejściu trąby powietrznej. Wszędzie walały się książki i papiery, dziesiątki kubków po kawie, butelki po piwie, a na każdej płaskiej powierzchni z popielniczek wysypywały się pety. Po przybyciu Lu Li dom zamienił się w przybytek

zen, panowała w nim czystość i porządek. Dzisiaj, zamiast odoru papierosów i stęchłego piwa, unosił się zapach wosku i cytryny.

— Siadać, proszę — powiedziała Lu Li.

Rachel i ja usiedliśmy obok siebie na zarzuconej poduszkami kanapie. Lu Li przysiadła na skraju starego klubowca naprzeciwko nas. Obserwowała Rachel, która wpatrywała się w pamiątkową tabliczkę na ścianie za fotelem.

— Czy to jest Nagroda Nobla? — zapytała Rachel cicho.

Lu Li z widoczną dumą pokiwała głową.

— Andy dostać Nobel w dziewięćdziesiąt osiem. Ja wtedy w Chinach, ale my znać jego prace. Fizycy wszyscy zdumieni.

— Z pewnością jest pani z niego bardzo dumna — stwierdziła Rachel ze spokojem, któremu przeczył wyraz jej oczu. — Jak się poznałście?

Kiedy Lu Li odpowiadała jej łamaną angielszczyzną, zastanawiałem się nad związkiem tej kobiety z moim bliskim przyjacielem. Fielding poznał ją, kiedy prowadził w Pekinie wykłady w ramach chińsko-brytyjskiej inicjatywy dyplomatycznej. Lu Li wykładała fizykę na Uniwersytecie Pekińskim i na każdym z jego dziewięciu wykładów siedziała w pierwszym rzędzie. Partyjna wierchuszka wydała z tej okazji kilka przyjęć i Lu Li była obecna na każdym z nich. Wkrótce ona i Fielding stali się nierozłączni i zanim nadszedł czas jego wyjazdu z Chin, oboje byli zakochani po uszy. Nastąpiło dwa i pół roku separacji, które Fielding spędził na desperackich próbach załatwienia jej wizy wyjazdowej. Nawet rzekoma pomoc dygnitarzy z NSA nic nie dała. W końcu Fielding doszedł do tego, że gotów był zapłacić przemytnikom, żeby nielegalnie wywieźli Lu Li z kraju, ale przekonałem go, że to zbyt ryzykowne.

Sytuacja zmieniła się, gdy Fielding zaczął opóźniać Projekt Święta Trójca swoimi podejrzeniami co do efektów ubocznych, jakie wszyscy odczuwaliśmy. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki wszelkie przeszkody zniknęły i Lu Li znalazła się w samolocie do Waszyngtonu. Fielding wiedział, że sprowadzono mu narzeczoną do Ameryki tylko po to, żeby rozproszyć jego uwagę, ale miał to gdzieś. Jej przyjazd nie wywołał zresztą oczekiwanego efektu. Anglik drobiazgowo badał wszelkie negatywne zjawiska w laboratoriach Świętej Trójcy, za co pozostali naukowcy z czasem go znieawidzili.

— Lu Li — wtrąciłem, kiedy zamilkła — pozwól, że najpierw wyrażę swój głęboki smutek z powodu odejścia Andrew.

Azjatka pokręciła głową.

— Ja nie po to cię tu prosić. Ja chceć wiedzieć o dziś rano. Co naprawdę być z mój Andy?

Niepewny, czy mogę szczerze mówić w tym domu, zawahałem się. Widząc mój niepokój, podeszła do kominka, uklękła i włożyła rękę do przewodu kominowego. Wyciągnęła pokryte sadzą kartonowe pudełko i postawiła je na stoliku. Znałem to pudełko. Zawierało kilka domowej roboty sprzętów elektronicznych, które przypomniały mi czasy, kiedy jako chłopiec wraz z ojcem składałem takie zabawki. Lu Li wyciągnęła coś, co wyglądało na metalowy pręt.

— Andy sprawdzić dom rano przed pracą — powiedziała. — Zatkła wszystkie mikrofony. Można jest mówić.

Zerknąłem na Rachel. Podtekst był jasny. Lu Li wiedziała, o co chodzi w Świętej Trójcy, a przynajmniej miała świadomość inwigilacji prowadzonej przez NSA. Gdyby Lu Li wyszła do pralni czy do spożywczego, Geli Bauer rozerwałaby pewnie ten dom na strzępy. I tak się dziwiłem, że czekała tak długo.

— Czy wychodziłaś dzisiaj z domu choć na chwilę? — spytałem.

— Nie — odparła Lu Li. — Oni mi nie chceć powiedzieć, w który szpital jest Andy.

Wątpiłem, żeby Fieldinga zabrano do szpitala. Prawdopodobnie przewieziono go samolotem do centrali NSA w Forcie Meade, w stanie Maryland, zapewne w celu przeprowadzenia sekcji przez specjalny zespół lekarski, albo i gorzej. Brytyjczycy mogą sobie potem protestować, ale to już będzie problem Departamentu Stanu, a nie NSA. W dodatku Brytyjczycy — autorzy Ustawy o tajemnicy państwowej oraz klauzuli „D” — kiedy chodziło o bezpieczeństwo narodowe, zazwyczaj działali ręką w rękę ze Stanami Zjednoczonymi.

— Mimo to powinniśmy mówić szeptem — powiedziałem cicho, wskazując pręt. — A wychodząc, powinienem zabrać to pudełko ze sobą. Boję się, że N... — powstrzymałem się — że ochroniarze z firmy mogą przeszukać dom, gdy tylko wyjdiesz na zewnątrz. Lepiej, żeby nikt tego nie znalazł.

Lu Li wychowała się w komunistycznym kraju, gdzie działała bezwzględna bezpieka. Miała w sobie głęboko zakorzoną skłonność do wierzenia w to, co najgorsze.

— Czy oni zabić mój Andy? — wyszeptwała.

— Mam nadzieję, że nie. Biorąc pod uwagę wiek, zdrowie i nałogi Andrew, udar mózgu był możliwy. Ale... nie wydaje mi się, żeby to był udar. A dlaczego sądzisz, że mogli go zamordować?

Lu Li zamknęła oczy. Popłynęły z nich łzy.

— Andy wiedzieć, że coś mu się może stać. On mi mówił.

— Czy powiedział to tylko raz, czy mówił o tym często?

— Dużo razy, od dwa tygodnie.

Odetchnąłem powoli, głęboko.

— Czy wiesz, dlaczego Andrew chciał się ze mną spotkać w Nag's Head?

— Chciał z tobą mówić. Tyle wiem. Andy bardzo przestraszony o praca. O Święta Tłujca. O...

— O co?

— O Godin.

Nie wiem skąd, ale wiedziałem, że chodzi o Godina. Jacka Skowa — aroganckiego technokratę bez moralnego kręgosłupa — łatwo można było znieawidzić, ale on nie wzbudzał strachu. Z drugiej strony Godin — geniusz, patriota w najlepszym znaczeniu tego słowa, człowiek z zasadami — łatwo dawał się polubić, jednak pracując z nim, po pewnym czasie czuleś, jak bije od niego niepokojące promieniowanie, faustowski głód wiedzy, który lekcewał wszystkie przepisy, nie uznawał żadnych granic. Jedno było jasne: ktokolwiek — czy cokolwiek — stanąłby pomiędzy Godinem a jego celem, nie pozostałby tam długo.

Na początku Godin i Fielding żyli w zgodzie. Byli z grubsza z tego samego pokolenia, Godin zaś posiadał talent Roberta Oppenheimera do motywowania genialnych naukowców — kombinację pochlebstwa i prowokacyjnej wnikliwości. Jednak ten miodowy miesiąc nie trwał długo. Dla Godina Święta Trójca była misją i prowadził ją z gorliwością misjonarza. Fielding był inny. Anglik nie uważał, że skoro coś jest wykonalne, to należy to zrobić. Nie wyznawał także zasady, że cel uświęca środki.

— Czy Andy chciał mi pokazać jakieś papiery? — spytałem z nadzieją w głosie.

— Chyba nie. Co wieczór on robić notatki, ale w nocy, przed łóżkiem, zawsze je palić. — Wskazała na kominek. — Andy bardzo tajemniczy. On mnie zawsze chronić. Zawsze, żeby mnie chronić.

Tak jak i mnie, pomyślałem. Nagle przypomniałem sobie treść listu Fieldinga.

— Czy Andrew wziął dziś do pracy zegarek kieszonkowy?

— Zawsze go bierze — odparła Lu Li bez wahania. — Ty go dziś nie widzisz?

— Nie. Ale na pewno zwrócą ci go z resztą jego rzeczy osobistych.

Jej wargi zadrżały i poczułem, że nadchodzi następna fala łez, ale nie nadeszła. Patrząc na stoicyzm Lu Li, poczułem nagłe ukłucie żalu, znanego mi, a jednak obcego. Żałoba po stracie bliskiej osoby nie była dla mnie niczym nowym, jednak to, co czułem teraz, różniło się od tego, co czułem po śmierci żony i córki. Andrew Fielding był jednym z zaledwie kilku ludzi swojej epoki, którzy mogli znaleźć odpowiedzi na niektóre z najbardziej fundamentalnych pytań o ludzką egzystencję. Świadomość, że taki umysł opuścił ten świat, pozostawiła we mnie pustkę, jak gdyby mój gatunek został w głęboki, nieodwracalny sposób uszczuplony.

— Co teraz ze mną? — zapytała spokojnie Lu Li. — Odesłać mnie do Chin?

Nie ma mowy!, pomyślałem. Jednym z powodów, dla których Świętą Trójcę utrzymywano w takiej tajemnicy, było przekonanie niektórych sfer, że inne kraje mogą pracować nad podobnym urządzeniem. Komunistyczne Chiny, znane z agresywnej kradzieży technologii, były wysoko na tej liście. NSA nigdy nie dopuściłaby do tego, aby urodzona w Chinach profesor fizyki, tak bliska tego projektu, wróciła do ojczyzny. Właściwie to martwiłem się, czy uda jej się przeżyć. Niewiele jednak mogłem zrobić, by ją ochronić, zanim nie porozmawiam z prezydentem.

— Nie mogą cię odesłać — zapewniłem ją. — O to się nie martw.

— Andy mówi, rząd robić, co chceć.

Już miałem odpowiedzieć, gdy z przedpokoju mignęły światła reflektorów. Jakiś samochód przejeżdżał wolno koło domu. Zbyt wolno?

— To nieprawda. Lu Li, przykro mi to mówić, ale w tej chwili najlepsze, co możesz zrobić, to współpracować z NSA. Im mniej kłopotu będziesz sprawiała, tym bardziej nie będą widzieli w tobie zagrożenia. Rozumiesz mnie?

Jej twarz stężała.

— Ty powiedzcie, żebym ja pozwolić im zabić mój Andy i mówić nic? Robić nic?

— Nie mamy pewności, czy Andy rzeczywiście został zabity. A ty sama niewiele możesz teraz zdziałać. Zostaw wszystko mnie. Dzwoniłem do prezydenta i w każdej chwili spodziewam się, że oddzwoni. Jak na ironię, jest w Chinach! W Pekinie.

— Ja widzieć w telewizor. Andy mówić, ty znasz prezydent.

— Poznałem go. Przyjaźnił się z moim bratem i to on oddelegował mnie do tej pracy. Obiecuję ci, że w ten czy inny sposób odkryję prawdę o śmierci Andrew. Jestem mu to winien. A nawet więcej.

Lu Li uśmiechnęła się nagle przez łzy.

— Andy był dobry człowiek. Miły, zabawny człowiek. I mądry.

— Bardzo mądry — przytaknąłem, choć w odniesieniu do takich ludzi jak Andrew Fielding słowo „mądry” naprawdę nic nie znaczyło. Fielding był członkiem jednego z najmniejszych bractw na świecie, tych, którzy naprawdę rozumieli tajemnice fizyki kwantowej. Pole to — jak często żartowali studenci Fieldinga w Cambridge — zarezerwowane było dla studentów, którzy byli „za mądrzy na lekarzy”.

Rachel pisnęła, zaskoczona, kiedy do pokoju wpadła biała futrzana piłka i wskoczyła Lu Li na kolana. Był to mały piesek, bichon kędzierzawy. Lu Li uśmiechnęła się i energicznie pogładziła go po karku.

— Maya, Maya — zagruchała, po czym zaczęła coś szeptać w śpiwnym dialekcie kantońskim.

Bichon był wyraźnie zaniepokojony obecnością obcych, ale nie czekał. Wbił we mnie małe brązowe oczka.

— Ty znać Maya, doktor David?

— Tak, poznaliśmy się.

— Andy mi ją kupić. Sześć tygodni temu. Maya moje dziecko. Moje dziecko, dopóki Bóg nie obdarzy Andy i ja...

Kiedy zamilkła, uświadomiłem sobie, że mój sześćdziesięcioletni przyjaciel próbował mieć dziecko z czterdziestoletnią żoną.

— Przepraszam — powiedziała bez sensu. — Bardzo przepraszam.

Rachel wyglądała, jakby się chciała odezwać, bywają jednak chwile, kiedy nawet zdolnej psychoterapeutce brakuje słów. Podczas gdy Lu Li wpatrywała się w przestrzeń, mój niepokój wzrastał. Jeżeli Fielding podejrzewał, że mogą go zamordować, i podzielił się tymi obawami z żoną, to NSA mogła się o tym dowiedzieć. Prawie na pewno wiedzieli, gdzie teraz jestem. Jeśli czekali na zewnątrz, to prawdopodobnie sfotografowali Rachel i zastanawiają się, co ona tu, u licha, robi.

— Zdaje się, że Maya chce na spacer — powiedziałem z ożywieniem.

Lu Li ocknęła się z transu.

— Chętnie ją wyprowadzę — dodałem.

— Nie. Maya nie trzeba...

Uniosłem rękę i przerwałem jej.

— Myślę, że świeże powietrze wszystkim nam dobrze zrobi.

Lu Li przyglądała mi się przez dłuższą chwilę.

— Tak — odparła w końcu. — To dobry pomysł. Ja cały dzień w środku.

Rozejrzałem się za czymś do pisania. Koło telefonu zobaczyłem notes. Podeszedłem do niego i napisałem: „Czy masz przenośny magnetofon?”. Potem wyrwałem kartkę i na następnej zapisałem numer swojej komórki.

Kiedy Lu Li przeczytała moje pytanie, poszła do gabinetu Fieldinga i wróciła z dyktafonem Sony na mikrokasety. Schowałem go do kieszeni i poprowadziłem obie kobiety do wychodzących na patio szklanych drzwi.

Maya wyprowadziła nas na zewnątrz, ale trzymała się blisko Lu Li, która przypięła jej smycz do obroży. Sto metrów dalej, za lasem, stał uniwersytecki amfiteatr na świeżym powietrzu. Fielding dwukrotnie zabierał mnie tam na pogawędkę.

— Wiem, że Andrew sprawdził dom — szepnąłem do Lu Li — a

jednak czuję, że nie możemy tam rozmawiać bezpiecznie. Muszę porozmawiać z Rachel sam na sam przez kilka minut. Wróc do domu. Zamknij za sobą drzwi, ale psa zostaw z nami. Pójdziemy przez las do amfiteatru. Niedługo wrócimy. Mam przy sobie komórkę, numer zapisałem ci w notesie. Gdyby działo się coś dziwnego, natychmiast dzwoń. Niepokój i zmieszanie zmarszczyły jej twarz.

— Potrzeba ci Maya?

— Jako przykrywkę. Rozumiesz? Pretekst, żeby stąd wyjść.

Powoli pokiwała głową, przyklękła, szepnęła coś do psa i wróciła do domu. Podniosłem skomlącego bichona i przez podwórko na tyłach wyszedłem szybko na prowadzącą w las ścieżkę. Rachel z trudem dotrzymywała mi kroku, gdy gałęzie zaczepiały o nasze ubrania.

— Co my robimy? — syknęła.

— Cicho. Muszę z tobą pogadać, a chyba nie mamy wiele czasu.

Nie byłem pewny, skąd bierze się mój strach, ale wiedziałem, że sięga głęboko. Machinalnie przełożyłem psa do lewej ręki, a prawą sięgnąłem po rewolwer.

Rozdział 7

— Jest Ritter. — Głos Corellego w słuchawkach Geli zdradzał napięcie. — Wycelował już laser w okno od frontu.

— I co słyszysz?

— Konkretnie dźwięki, ale żadnych rozmów. Jak gdyby po domu chodziła tylko jedna osoba. Może są w którymś z pokoi na tyłach.

— Zmieńcie pozycję i nastawcie laser na tylne okna. Szybko!

— Robi się.

Geli nie mogła usiedzieć na miejscu. W domu Fieldinga coś się działo, a ona nie wiedziała co. Po minucie usłyszała głęboki głos Rit-tera:

— *Nichts.*

— Z tyłu też niczego nie słyszysz? — zapytała.

— *Nein.*

— Wiedzą, gdzie są pluskwy, i je zatkali.

— Achhh — warknął Ritter. — Jak mogli się dowiedzieć?

— Fielding.

— Sukinsyn! — warknął Corelli. — Zawsze bawił się z nami w kotka i myszkę.

Geli skinęła głową. Na terenie Świętej Trójcy Fielding zachowywał się jak typowy roztargniony profesor, ale to był największy cwaniak z nich wszystkich.

— Prawdopodobnie wyszli z domu — powiedziała. — Fielding i Tennant robili to już dwukrotnie. Wyprowadzali psa Fieldinga. Poślę ekipę do lasu.

— *Nein* — rzekł Ritter. — Tennant ich usłyszy.
— Masz lepszy pomysł?
— Pójdę sam.
— Zgoda, ale obstawię teren. Tennant może próbować zwiać.
— Nie sędzę, taka ucieczka byłaby głupotą. A Tennant nie jest głupi.

— Głupotą? Dlaczego?
— Uciekając, nie bierzesz ze sobą kobiety. Poruszasz się szybko i lekko.

Geli uśmiechnęła się pod nosem.

— Tennant nie jest taki jak ty, *Liebchen*.

Ritter się roześmiał.

— Ale jest mężczyzną, nie?

— To Amerykanin wychowany na Południu. Spotkałam takich jak on w wojsku. Urodzeni bohaterowie. Romantyczni. Dlatego wielu z nich nie żyje.

— Tak jak Anglicy? — spytał Ritter.

Geli pomyślała o Andrew Fieldingu.

— Coś w tym guście. Ruszaj się. Każ Corellemu obstawiać front.

— *Ja*.

Geli wstała z fotela i zaczęła spacerować po wąskiej alejce między stojakami ze sprzętem elektronicznym. Przyszło jej na myśl, żeby znowu zadzwonić do Skowa, ale on nie chciał, żeby zawracać mu głowę. I dobrze. Odezwie się do niego, jak Tennant zwieje, i zobaczy, co ten zadowolony z siebie skurwysyn ma do powiedzenia o trzymaniu na zbyt krótkiej smyczy.

Rozdział 8

Szedłem bezszelestnie przez ciemny las. Za mną Rachel głośno posuwała się po omacku, jak ślepy niedźwiedź. Na ulicach Manhatanu prawdopodobnie manewrowała w tłumie jak zawodowy futbolista, ale w lesie czuła się obco. Zwolniłem, żeby mogła się ze mną zrównać, i kazałem jej złapać mnie z tyłu za pasek. Posłuchała.

Kiedy znaleźliśmy się pięćdziesiąt metrów od domu, zapytałem:

— Wierzysz mi już w sprawie Fieldinga?

— Wierzę, że z nim pracowałeś — odparła. — Ale nie jestem pewna, że został zamordowany. Ty zresztą też nie.

Przeszedłem nad zwalonym pniem i pomogłem jej przejść na drugą stronę.

— Ja wiem, że został zamordowany. W Świętej Trójcy tylko dwóch ludzi protestowało przeciwko temu, co tam się dzieje. Jednym z nich był Fielding, i już nie żyje. Ten drugi to ja.

— Opowiesz mi teraz o Świętej Trójcy?

— Jeśli chcesz tego słuchać. Chyba już rozumiesz, że to może być dla ciebie niebezpieczne.

Syknęła, gdy gałęzie dzikiej róży podrapały jej ramię.

— Mów.

— Kiedy dziś do mnie przyszedłeś, właśnie nagrywałem na wideo kasetę, którą chciałem przekazać adwokatowi. Miałby ją obejrzeć, gdyby coś mi się stało. Ale nie skończyłem jej. I prawdę mówiąc, obawiam się, że nie dożyję jutra.

Rachel przystanęła na zarośniętej ścieżce.

— Dlaczego nie wezwiesz policji? Lu Li najwyraźniej podziela twoje podejrzenia i sądzę, że istnieje dostatecznie wiele dowodów przestępstwa, żeby...

— Policja nie ma prawa prowadzić śledztwa w NSA. A to oni nadzorują Świętą Trójkę.

— Więc dzwoń po FBI.

— To tak, jakby wzywać FBI, żeby śledziło CIA. Między tymi agencjami jest tyle złej krwi, że tygodniami nic by się nie działo. Rachel, jeżeli naprawdę chcesz pomóc, bądź moją taśmą wideo. Posłuchaj, co mam ci do powiedzenia, a potem wracaj do siebie i nikomu o tym nie mów.

— A jeśli coś ci się stanie?

— Wtedy dzwoń do CNN i „New York Timesa” i opowiedz im wszystko, co wiesz. Im szybciej, tym lepiej dla ciebie.

— Dlaczego ty sam tego nie zrobisz? Jeszcze dziś.

— Bo nie jestem stuprocentowo pewny, czy mam rację. Bo w czasie, kiedy bym rozmawiał, prezydent mógłby próbować się ze mną połączyć. No i dlatego, że choć brzmi to dziecinnie, ta sprawa dotyczy bezpieczeństwa narodowego.

Trzymając skomlącego bichona lewą ręką, schowałem rewolwer do kieszeni i pociągnąłem Rachel do przodu. Czterdzieści metrów dalej zobaczyłem przed sobą głębszą ciemność. Drzewa rozstały się niczym rzednące szeregi żołnierzy i po chwili zatrzymał nas mur. Kiedy moje oczy przyzwyczyły się do ciemności, dostrzegłem furtkę, o której wiedziałem, że tam jest. Otworzyłem ją wolną ręką i wprowadziłem Rachel do środka. Wyszliśmy na zalaną światłem księżycy nieckę, otoczoną wyciętymi z kamienia blokami.

— Mój Boże! — westchnęła.

Amfiteatr wyglądał, jakby w magiczny sposób został przeniesiony do lasów Karoliny z Grecji. Po prawej mieliśmy scenę, po lewej kamienne schody, prowadzące między siedzeniami do najwyższego rzędu. Powyżej, niedaleko, biegła Country Club Road. Widok z szosy w dół niemal całkowicie zasłaniały sosny i drzewa liściaste, ale dostrzegłem poszarpane promienie reflektorów przejeżdżających wysoko nad nami samochodów.

Wziąłem Rachel za rękę, zszedłem na kamienną posadzkę i poprowadziłem ją na skraj sceny. Tam przywiązałem Mayę do słupka niskiej latarni. Kiedy pies zaczął obwąchiwać niewidoczny ślad, ustawiłem dyktafon na skraju sceny i wcisnąłem klawisz nagrywania.

— Mówi doktor David Tennant — rozpocząłem. — Rozmawiam z doktor Rachel Weiss z wydziału medycznego Uniwersytetu Duke'a.

Wcisnąłem odtwarzanie i usłyszałem statyczne faksymile swojego głosu. Spojrzałem na zegarek.

— Musimy się z tym uporać w niecałe dziesięć minut.

Rachel wzruszyła ramionami; w jej oczach malowała się ciekawość.

— Od dwóch lat pracuję przy specjalnym projekcie Narodowej Agencji Bezpieczeństwa — ciągnąłem. — Projekt ten znany jest jako Święta Trójca i mieści się w budynku w Research Triangle Park, piętnaście kilometrów stąd. Święta Trójca to kolosalny, finansowany przez rząd plan zbudowania superkomputera wyposażonego w sztuczną inteligencję. Komputera, który potrafi myśleć.

Na Rachel nie zrobiło to wrażenia.

— Przecież mamy już chyba takie komputery — wtrąciła.

Teraz ten nagminny błąd mnie zaskoczył, choć kiedy zaczynałem pracę przy Świętej Trójcy, sam nie wiedziałem wiele więcej. Od półwiecza autorzy fantastyki naukowej i filmowcy tworzyli portrety „gigantycznych mózgów elektronicznych”, które chcą zawładnąć światem. HAL, gadający komputer z *Odysei kosmicznej 2001*, wszedł do świadomości społecznej w 1968 roku i pozostał w niej na stałe. W trakcie kolejnych trzydziestu pięciu lat byliśmy świadkami takiej rewolucji w maszynach cyfrowych, że dla przeciętnego człowieka „myślący komputer” jest tuż-tuż, może nawet w zasięgu ręki. Rzeczywistość jednak była całkiem inna. Nie miałem czasu, by wdawać się w zawiloci sieci neuronów czy silnej sztucznej inteligencji. Rachel potrzebny był prosty elementarz i fakty o Świętej Trójcy.

— Czy słyszałaś kiedyś o Alanie Turingu? — spytałem. — To jeden z tych, którzy podczas drugiej wojny światowej złamali szyfr niemieckiej Enigmy.

— Turing? — Rachel wydawała się szukać w pamięci. — Zdaje się, że słyszałam coś o teście Turinga.

— To klasyczny test na sztuczną inteligencję. Turing powiedział, że inteligentną maszynę uzyskamy wtedy, gdy człowiek siedzący po jednej stronie ściany wystuka pytania na klawiaturze, przeczyta odpowiedź z drugiej strony na swoim ekranie i będzie pewny, że odpowiedź napisał inny człowiek. Turing przewidywał, że nastąpi to pod koniec dwudziestego wieku, ale jak dotąd żaden komputer nawet nie zbliżył się do przejścia tego testu. Przy zastosowaniu konwencjonalnych technologii potrzeba na to jeszcze z pięćdziesięciu lat.

— Przecież komputer IBM wygrał w końcu z Garrym Kasparowem w szachy? Gdzieś o tym czytałam.

— Deep Blue? — Roześmiałem się. W amfiteatrze ten dźwięk wydawał się dziwnie kruchy. — Owszem. Tylko że wygrał dzięki temu, co komputerowcy nazywają brutalną siłą. Jego pamięć zawiera wszystkie kiedykolwiek rozegrane partie i przed każdym posunięciem analizuje miliony możliwości. Gra w szachy bardzo dobrze, tyle że nie rozumie tego, co robi. Garry Kasparow, jako człowiek, nie musi, tak jak komputer, rozpatrywać miliardów wariantów, często śmiesznie prostych. Wiedza Kasparowa pozwala mu wykonywać ruchy intuicyjne, a także uczyć się za każdym posunięciem. On gra instynktownie. A nikt tak naprawdę nie wie, co to właściwie oznacza.

Rachel przysiadła na skraju sceny.

— Więc co chcesz przez to powiedzieć?

— Że komputery nie myślą tak jak ludzie. Właściwie to wcale nie myślą. Po prostu wykonują polecenia. Te telewizyjne reklamówki mówiące o „myślącym oprogramowaniu” to jedna wielka bzdura. Poważni badacze tematu aż się boją używać terminu „sztuczna inteligencja”.

— No dobrze. Więc czym jest Święta Trójca?

— Świętym Graalem.

— To znaczy?

— Chcemy zbudować komputer działający jak ludzki mózg, tyle że nie rozumiemy, jak nasz mózg działa. Wszyscy to przyznają. No więc... dwa lata temu pewien człowiek zdał sobie sprawę, że tę przeszkodę można obejść. Że można skopiować ludzki mózg, nie rozumiejąc, co właściwie robimy. Przy zastosowaniu istniejącej technologii.

— Kim jest ten człowiek?

- To Peter Godin. Ten miliarder.
- Od Superkomputerów Godina?
Tym razem to ona mnie zaskoczyła.
- Zgadza się.
- W laboratorium energetycznym Uniwersytetu Duke'a mają superkomputer Godin Cztery.
- No więc to właśnie Godin począł Świętą Trójcę.
Wyglądało na to, że nagromadzenie szczegółów zaczyna ją przekonywać.
- Jaka istniejąca technologia jest w stanie skopiować ludzki mózg?
- RM.
- Rezonans magnetyczny?
- Tak. Ty co tydzień zamawiasz skany RM, prawda?
- Oczywiście.
- I na tych skanach jest mnóstwo informacji, zgadza się?
- Czasami więcej, niż potrafię zinterpretować.
- Rachel, widziałem skany RM zawierające dziesięć tysięcy razy więcej informacji niż te, które oglądasz na co dzień. Rozdzielczość zwiększona dziesięć tysięcy razy.
Zamrugła.
- Jak to możliwe? O ile więcej na nich widzisz?
- Widziałem reakcje zachodzące pomiędzy pojedynczymi synapsami nerwowymi, zamrożone w czasie. Widziałem, jak pracuje ludzki mózg na poziomie molekularnym.
- Bzdura.
Każdy lekarz powiedziałby to samo.
- Nie. To urządzenie istnieje. Znajduje się w pomieszczeniu oddalonym od nas o piętnaście kilometrów. Tylko że nikt o tym nie wie.
Powoli kręciła głową.
- To nie ma sensu. Dlaczego jakaś firma miałaby trzymać coś takiego w tajemnicy?
- Bo są do tego prawnie zobligowani przez rząd.
- Ależ taka aparatura przyniosłaby jej twórcom setki milionów dolarów. Mogłaby wykrywać złośliwe komórki, zanim jeszcze przekształcą się w guza.
- Masz rację. To był mój największy problem związany z tym projektem. Ukrywanie tego urządzenia przed chorymi na raka jest

nieetyczne. Na razie przyjmij jednak do wiadomości, że istnieje aparatura do rezonansu magnetycznego, która potrafi stworzyć trójwymiarowy model mózgu o rozdzielczości na poziomie molekularnym.

— Molekularne zdjęcia mózgu...

— W uproszczeniu, tak. Ravi Nara określa je jako neuromodele.

— Zgoda, neuromodele.

— Rachel, czy zdajesz sobie sprawę, czym jest taki neuromodel?

— Wiem, że jeden taki egzemplarz zrewolucjonizowałby całą neurologię. Mam jednak wrażenie, że nie o to w tym wszystkim chodzi.

— Neuromodel to człowiek, z którego go wykonano. Dosłownie. Jego myśli, wspomnienia, lęki... wszystko.

— Ale... przecież to tylko skan, prawda? Mapa mózgu o bardzo wysokiej rozdzielczości.

— Nie. To zakodowane faksymile każdej molekuly mózgu, w idealnej relacji przestrzennej i elektrochemicznej. Co oznacza, że...

— Chwileczkę. Czy chcesz mi powiedzieć, że oni mogą wsadzić taki neuromodel do komputera?

— Nie. Ale właśnie nad tym pracują od dwóch lat na okrągło. Godin przewidywał, że zajmie to piętnaście do dwudziestu lat, tymczasem zaledwie w dziewiętnaście miesięcy dotarli w pół drogi. W życiu czegoś takiego nie widziałem. Jedyny precedens w historii to Projekt Manhattan z drugiej wojny światowej.

Rachel chciała się odezwać, ale uniosłem dłoń. Wysoko nad nami reflektory jakiegoś samochodu przesuwały się dwa razy wolniej niż inne pojazdy. Zwolniły jeszcze bardziej, po czym przyspieszyły i zniknęły.

— Musimy się śpieszyć.

— Jeżeli Święta Trójca jest tym, co mówisz, to dlaczego, na miłość boską, ma siedzibę w Karolinie Północnej? — zapytała Rachel.

Tego się nie spodziewałem.

— Czy nie jesteś najlepszą na świecie specjalistką od analizy jungowskiej?

— No... jedną z nich.

— Więc dlaczego ty też jesteś w Karolinie Północnej?
Ściągnęła brwi.

— Bo tutaj jest Uniwersytet Duke'a. To co innego.

— Niezupełnie. Godin chciał umieścić Świętą Trójkę w swoim laboratorium badawczo-rozwojowym w Mountain View, w Kalifornii. NSA, która płaci rachunki, chciała to mieć w Forcie Meade, w Marylandzie. Ostatecznie zdecydowano się na kompromis w postaci Research Triangle Park. Najnowocześniejsza technologia, ale na uboczu.

— Ale o co tak naprawdę w tym chodzi? Co NSA ma wspólnego ze Świętą Trójką?

— Nasz rząd postrzega większość osiągnięć naukowych przez pryzmat przydatności dla wojska. Jeżeli uda się skonstruować taką maszynę, to nasz rząd chce ją mieć jako pierwszy.

— A jaką bronią może być taki komputer?

— Pomyśl o Pustynnej Burzy, Afganistanie, Iraku. We współczesnej wojnie wszystko jest skomputeryzowane. Łamanie kodów, testowanie broni nuklearnej, wojna informacyjna, systemy obronne... Święta Trójca nie byłaby tylko małym krokiem naprzód. Przy niej współczesne superkomputery byłyby przestarzałe jak ford model T. A jeśli Fielding nie mylił się co do jej możliwości kwantowych... wówczas obecne systemy szyfrowania idą do lamusa. Właśnie dlatego NSA wydała na Świętą Trójkę miliard dolarów.

Rachel przetrawiła to, co powiedziałam.

— Ale to nie jest po prostu szybszy komputer. Mówimy o komputerze, który myśli jak człowiek.

Pokręciłem głową.

— Nie potrafimy zbudować komputera, który myśli jak człowiek. Mówimy o skopiowaniu mózgu konkretnego człowieka. O stworzeniu maszyny cyfrowej, która dla celów praktycznych jest człowiekiem. Z jego lub jej funkcjami poznawczymi, wspomnieniami, nadziejami, marzeniami... ze wszystkim prócz ciała. Tyle że działałoby to z prędkością komputera cyfrowego. Milion razy szybciej niż obieg biologiczny.

— To dlatego Andrew Fielding i Ravi Nara pracowali razem — mruknęła jakby do siebie.

— Otóż to. Laureaci Nobla z fizyki i neurologii. Peter Godin ich zebrał. — Sprawdziłem, czy szpule dyktafonu wciąż się obracają. —

Ale opowiedziałem ci tylko o niektórych możliwościach Świętej Trójcy. Jeżeli wsadzimy do komputera neuromodel Rachel Weiss, to uzyskamy nad tobą, oryginałem, nie tylko przewagę szybkości.

— Co masz na myśli?

— Powiedzmy, że postanawiam nauczyć się grać na fortepianie. Zajmuje mi to trzy lata intensywnej nauki. Jesteś pod wrażeniem. Też chcesz się tego nauczyć. Tobie także zabierze to trzy lata, mniej więcej. Takie są ograniczenia ludzkiego mózgu. Każdy ma w przybliżeniu tę samą szybkość uczenia się. Ale komputerowy model twojego mózgu nie ma tego problemu. Sumę naszej wiedzy o teorii muzyki można przekształcić w zapis cyfrowy i załadować do jego pamięci — twojej pamięci! — w jakieś trzy sekundy. Tu nie ma mowy o uczeniu się.

Rachel pokręciła głową.

— Twierdzisz, że w ciągu kilku godzin można by załadować do tego komputera — do mnie — całą ludzką wiedzę?

— Teoretycznie tak.

— Davidzie, mówisz o czymś w rodzaju... w rodzaju boga. Prawie.

— Żadne „prawie”. Bo ten model komputerowy nie byłby jedynie Rachel Weiss. Byłby tobą na wieki wieków. Można by go powielić, przechowywać i pakować do innego komputera Świętej Trójcy. Nigdy nie musiałby umrzeć.

Rozchyliła wargi, by się odezwać, ale nie powiedziała ani słowa.

— Czy wreszcie zaczynasz mi wierzyć?

— A jaka jest twoja rola w tym projekcie?

— Zostałem oddelegowany przez prezydenta do oceny ewentualnych dylematów etycznych, jakie mogłyby się pojawić. Podczas Projektu Manhattan niektórzy naukowcy z powodów moralnych wystąpili przeciwko bombie atomowej, ale nie mieli rzeczywistego głosu. Prezydentowi zależy na zminimalizowaniu kontrowersji, jakie pojawiłyby się w społeczeństwie, gdyby Święta Trójca przybrała realny kształt. Znał mojego brata ze szkoły i czytał moją książkę o etyce lekarskiej... albo, co bardziej prawdopodobne, oglądał oparty na niej serial *NOVA*. Dlatego wybrał mnie do tego projektu. Proste.

Rachel spojrzała na ciemne drzewa w oddali.

— To w ogóle nie jest proste, Davidzie. Prawdą mówiąc, to dość zwariowane. — Spojrzała na mnie błyszczącymi oczami. — Powiedziałaś, że po dziewiętnastu miesiącach Święta Trójca znalazła się na półmetku. Co wstrzymuje pójsście dalej?

— Zbudowanie dostatecznie silnego komputera, by mógł pomieścić w sobie cały neuromodel. Ludzki mózg jest stosunkowo powolny, ale niezwykle złożony. Zawiera ponad sto bilionów możliwych połączeń, zdolnych do prowadzenia jednoczesnych obliczeń, a to tylko jeśli chodzi o przetwarzanie danych. Poza tym zawiera odpowiednik tysiąca dwustu terabajtów pamięci komputerowej.

Rachel wzruszyła ramionami.

— Nic mi to nie mówi.

— Zawartość „Wall Street Journal” wydawanego przez sześć milionów lat.

Najwyraźniej ją zatkało.

— Kiedy zaczynaliśmy projekt, żaden komputer na świecie nie dysponował takimi możliwościami. Internet, jako całość, tak, ale jest zbyt rozproszony i trudno go kontrolować.

— A teraz?

— IBM buduje komputer o nazwie Blue Gene, który ma rywalizować z możliwościami przetwarzania danych przez mózg, ale jak dotąd nie potrafi robić rzeczy osiągalnych dla pięciolatka.

— Ale Święta Trójca jest inna?

— Można tak powiedzieć. Blue Gene zajmuje pomieszczenie o wymiarach osiemnaście metrów na osiemnaście i potrzebuje trzystu ton aparatury klimatyzacyjnej tylko po to, by w ogóle mógł funkcjonować. Święta Trójca będzie rozmiarów volkswagena „garbusa”. Godin zresztą uważa, że to i tak za dużo. Stale powtarza, że ludzki mózg waży półtora kilograma i zużywa dziesięć watów elektryczności. Wierzy, że rozwiązania największych problemów muszą być piękne. Eleganckie.

Rachel patrzyła na wznoszące się w górę kamienne ławki, próbując ogarnąć przyszłość, która na łeb, na szyję pędziła w teraźniejszość.

— Kiedy Święta Trójca stanie się faktem?

Pomyślałem o czarnej masie węgla i kryształu, rosnącej niczym jakaś forma życia w podziemnym laboratorium w budynku Świętej Trójcy.

— W naszym laboratorium znajduje się teraz prototyp, mający sto dwadzieścia bilionów połączeń i praktycznie nieograniczoną pamięć.

— Czy już działa?

— Nie.

— Dlaczego?

— Dlatego, że nawet jeśli uda ci się zapakować neuromodel do komputera, jak się z nim porozumiesz? Ludzki mózg wchodzi w reakcję ze światem poprzez biologiczne ciało, wyposażone w pięć zmysłów. Wyobraź sobie swój mózg zapakowany do pudełka. Jest niemy, głuchy, ślepy i sparaliżowany. Dygocząca masa, pełna strachu. I Bogu dzięki. Bo gdyby taka maszyna potrafiła mówić — a także słuchać i działać — nie sposób przewidzieć, co mogłaby zrobić.

Rachel spojrzała na mnie z zainteresowaniem.

— A co mogłaby zrobić?

— Pamiętasz HAL-a z *Odysei kosmicznej 20011*

— Jasne. Najbardziej niezawodny komputer, jaki kiedykolwiek stworzono. Z Urbana w Illinois, prawda?

Zachichotałem cicho.

— Był najbardziej niezawodny, dopóki nie wymordował załogi swojego statku kosmicznego. No więc wyobraź sobie, czego HAL mógłby dokonać, gdyby był podłączony do Internetu.

— Sam mi powiedz.

— Jeden komputer Świętej Trójcy podłączony do telefonu trzymałby w szachu cały świat przemysłowy. Mógłby zniszczyć elektrownie, linie kolejowe, kontrolę lotów, systemy raketowe, system obrony powietrznej, Wall Street. Mógłby zażądać, czego tylko zechce.

Pokręciła głową, skonfundowana.

— Ale czego mógłby chcieć?

— A do czego dąży inteligencja? Zwłaszcza inteligencja pochodzenia ludzkiego?

— Do władzy?

— Otóż to. — Wzdrygnąłem się, bo zadzwoniła moja komórka. Na

wyświetlaczu pojawiła się informacja „Andrew Fielding”. Odebrałem.

— Lu Li? Czy coś się stało?

— Stało nic — odparła Lu Li drżącym głosem. — Ja martwić o Maya. Chyba słyszeć hałas na zewnątrz. Pan ją przyprowadzi, doktor David.

Bichon przestał obwąchiwać ziemię, spojrzął na mnie i przekrzywił głowę, jakby nasłuchiwał.

— Już idziemy.

— U niej wszystko w porządku? — spytała Rachel, kiedy skończyłem rozmowę.

— Tak. Chce, żebyśmy wracali, ale poczekajmy chwilę.

— Dlaczego?

— Bo NSA słyszała tę rozmowę. Jeżeli mają tu w lesie ludzi, pewnie się teraz ruszą. A my ich usłyszymy.

Rachel z niepokojem spojrzała na mur, odgradzający nas od drzew.

— Naprawdę myślisz, że ktoś tam jest?

— Nie tego się boisz — powiedziałem. — Boisz się, że teraz już ty sama uważasz, że tam ktoś jest.

Ześliznęła się ze sceny i spojrzała na furtkę, przez którą weszliśmy. Łatwo było sobie wyobrazić, że po drugiej stronie stoi facet z bronią.

— Powiedziałaś, że Fielding został zamordowany, bo on i ty sprzeciwialiście się projektowi. Na czym, konkretnie, polegał ten sprzeciw?

— My się nie tylko sprzeciwialiśmy. My zatrzymaliśmy projekt. A w każdym razie zawiesiliśmy. Siłą napędową był Fielding, ale żeby to osiągnąć, potrzebne było moje wstawiennictwo u prezydenta. Przypominało to próby powstrzymania prac nad bombą atomową podczas drugiej wojny światowej.

— Dlaczego chcieliście to powstrzymać?

— Nie jestem całkiem pewny motywów Fieldinga. Myślę, że wiele przede mną ukrywał... żeby mnie chronić. Ale moje powody były proste. Sześć miesięcy temu testowaliśmy aparaturę super-RM. Najpierw na zwierzętach, i wtedy nie było problemów. Pierwsi ludzie, których zeskanowano, to nasza szóstka od projektu. W ciągu tygodnia wszyscy zaczęliśmy wykazywać dziwne objawy neurologiczne.

Efekty uboczne wystawienia na działanie aparatury. Fielding sądził...

— Rezonans magnetyczny nie powoduje skutków ubocznych — zauważyła Rachel.

— Ta aparatura, której używacie, nie. Ale pole magnetyczne generowane przez RM Świętej Trójcy przewyższa to w stosowanych obecnie urządzeniach do entej potęgi. Stosują materiały nadprzewodzące, które umożliwiają...

Maya warknęła gardłowo i spojrzała w górę kamiennych ławek. Widocznie usłyszała w lesie coś, co mi umknęło. Schowałem dyktafon do kieszeni, podniosłem Mayę, wyciągnąłem broń i wyprowadziłem Rachel za furtkę. Otoczyła nas ciemność.

— Trzymaj się tuż za mną — szepnąłem, schylając się pod gałęzią.

— Słyszałeś coś?

— Nie.

Gdyby nie było ze mną Rachel, starałbym się ukradkiem bezpiecznie dotrzeć do domu. Teraz jednak jedynym wyjściem była szybkość. Przedzierałem się przez chaszczce, ostrzegając Rachel, gdy potraçałem gałęzie, które mogły uderzyć ją w twarz. Dwa razy krzyknęła, a raz się potknęła, lecz podniosła się i jakimś cudem dotrzymała mi kroku. Kiedy zbliżyliśmy się do domu, ujrzałem żółty prostokąt drzwi na patio. Odcinała się w nich sylwetka Lu Li, stanowiąc doskonały cel. Zadrzałem.

Kiedy otworzyłem drzwi, wciągnąłem ją w głąb domu. Maya zaczęła szczekać wściekle, póki Lu Li nie schyliła się i nie wyciągnęła do niej rąk. Pies wskoczył jej w ramiona, gdy Rachel zamykała drzwi.

— Wezwij taksówkę — szepnąłem przez ramię.

Rachel ruszyła do telefonu.

Oczy Lu Li były mokre. Dotknąłem jej łokcia, na co pies zareagował warknięciem.

— Chętnie zostałbym tu z tobą na noc, ale to by wyglądało bardziej podejrzanie niż mój powrót do domu — powiedziałem spokojnie. — Jutro pójdę do pracy i spróbuję uzyskać jakieś odpowiedzi, więc wszystko musi wyglądać jak najbardziej naturalnie. Rozumiesz?

— Tak.

— Zabiorą to pudełko z zabawkami Andrew. Nie chcę, żeby ktoś je tu znalazł. Zgoda?

Lu Li skinęła głową, głaszcząc psa tak, jakby pieściła dziecko.

— Wjadę do garażu, żeby nikt nie zobaczył mnie z pudełkiem. Gdyby ktoś pytał, co tu robiłem, powiedz, że przyjechałem złożyć wyrazy współczucia. Jeżeli udało im się podsłuchać część naszej rozmowy, zachowuj się naturalnie, czyli jak zrozpaczona wdowa.

— Co to zrozpaczona?

— Pełna bólu. Pograżona w żalobie.

Uśmiechnęła się dzielnie.

— Tego nie muszę udawać.

Położyłem dłonie na jej ramionach i ścisnąłem, po czym odezwałem się ledwie dosłyszalnie:

— W kopercie FedExu, którą Andrew mi wysłał, był jakiś biały proszek. Taki jak drobny piasek. Jest w tych plastikowych torebkach na kanapie. Wiesz coś na ten temat?

Spojrzenie Lu Li pobiegło do kanapy, a jej twarz wyrażała zdumienie.

— Nie. Nic.

— To ty ją wrzuciłaś do skrzynki?

— Tak. Skąd wie?

— Nieważne. — Wiedziałem, że to ona wrzuciła list, bo w swoim ostatnim śnie byłem w głowie Fieldinga. Poczulem przemożne pragnienie, by wyjść z tego domu. — Rachel? Co z taksówką?

— Będzie za chwilę — odparła za moimi plecami.

— Idź teraz do garażu — poleciłem Lu Li. — Kiedy usłyszysz klakson, otwórz drzwi i zamknij je, jak już wjadę.

— Dobrze. — Bez słowa wyszła z pokoju.

Wziąłem obie plastikowe torebki i zaprowadziłem Rachel do ciemnego salonu, którego okna wychodziły na ulicę. Rzuciłem torebki na krzesło, usiadłem na kanapie na wprost okna i czekałem na taksówkę.

— Czy taksówka jest dla mnie? — spytała Rachel, siadając obok.

— Tak.

— Ale zostawiłam samochód przed twoim domem.

— Lepiej nie wracaj teraz do mnie. Jeśli chcesz, odbierzesz wóz

rano. Ale wolałbym, żebyś do pracy też pojechała taksówką.

— Czy dobrze słyszałam, że mówiłeś Lu Li, że rano idziesz do pracy?

— Tak, jeśli w nocy nie dostanę telefonu od prezydenta.

— Po co? Skoro zabili Fieldinga, mogą zabić i ciebie.

Jej słowa dały mi perwersyjną satysfakcję.

— Wygląda na to, że kupiłaś moje urojenia.

Zacisnęła usta.

Widziałem, że jest autentycznie przestraszona.

— Słuchaj, gdyby naprawdę chcieli mnie zabić, już bym nie żył. A jeśli postanowią zabić mnie jeszcze dziś w nocy, nic ich nie powstrzyma. Myślę jednak, że obawialiby się, jak na to zareaguje prezydent. Jeśli przeżyję do rana, mogę iść do pracy.

Rachel westchnęła i pomasowała skronie czubkami palców.

— Nie wiem, co się stanie — szepnąłem. — Gdyby ktoś cię wypytował, powiedz tyle prawdy, ile tylko możesz. Odwiedziłaś mnie w domu, bo opuściłem trzy sesje. Zadzwoiła do mnie żona przyjaciela, który dziś umarł. Ona nie ma tu żadnej rodziny, więc zaproponowałaś, że pomożesz mi ją pocieszyć. Uspokoiłiśmy ją i wyprowadziliśmy na spacer jej psa. Nic więcej nie wiesz.

Rachel obserwowała moją twarz w przytłumionym świetle.

— Nie tego się spodziewałam.

— Wiem. Myślałaś, że naprawdę zwariowałem.

Zagryzła wargi jak nastolatka.

— Chyba tak. Jakaś częśćka mnie miała nadzieję, że jestem w błędzie. Ale teraz się boję. Znam się na problemach psychiatrycznych. To jest coś innego.

Przyciągnąłem ją do siebie i wyszeptałem do ucha:

— Zapomnij o tym wszystkim. Chyba że coś mi się stanie. Wtedy sobie przypomnij. Przypomnij sobie i wrzeszcz pod niebiosa. — Odsunąłem się i spojrzałem jej w oczy. — Nie przyjdę już do ciebie do gabinetu.

Patrzyła na mnie, jakbym powiedział: „Nigdy więcej się nie zobaczymy”, czyli coś, co w głębi ducha czułem.

— Davidzie...

— Jest twoja taksówka. — Kiedy reflektory samochodu podtoczyły się pod dom, obserwowałem bacznie, czy na dachu na pewno ma znaczek taxi.

Rachel bezradnie pokręciła głową.

— Nie martw się — pocieszyłem ją. — Nic mi się nie stanie. Bardzo mi pomogłaś.

— Nie zrobiłam dla ciebie nic a nic.

Odsunąłem ją w bok od okna, żeby nie było nas widać, wyciągnąłem z kieszeni dyktafon, wyjąłem z niego taśmę i wetknąłem ją do jej ręki.

— Jeżeli naprawdę chcesz pomóc, masz okazję. — Popchnąłem ją do wyjścia, lecz zawahałem się. — Mogłabyś zrobić jeszcze jedno.

— Powiedz co.

Wskazałem foliowe torebki na krześle.

— Czy w Duke jest ktoś, kto mógłby bezpiecznie zbadać ten proszek pod kątem trucizn i zarazków?

— Oczywiście. Są tam faceci, którzy tylko tym żyją.

Jedna z poduszek na kanapie była w pokrowcu. Wyjąłem z niego poduszkę, schowałem tam torebki z folii i podałem jej.

— Uważaj z tym.

— Nie ucz ojca dzieci robić.

Ścisnąłem jej ramię.

— Dziękuję. A teraz już idź.

Nie odeszła. Stała na palcach i delikatnie pocałowała mnie w usta.

— Uważaj na siebie. Bardzo, bardzo cię o to proszę.

Patrzyłem, jak wsuwa pokrowiec pod bluzkę i wychodzi do przedpokoju. Drzwi wyjściowe zamknęły się cicho. Przez frontowe okno patrzyłem, jak wsiada do taksówki, która skręciła na podjazd Lu Li, wycofała się i potoczyła Gimghoul Street.

Wsiadłem do swojego wozu, podjechałem pod garaż Fieldinga i nacisnąłem klakson. Lu Li podniosła drzwi od środka i opuściła je za mną.

Otworzyła drzwi od strony pasażera i postawiła kartonowe pudełko męża na przednim siedzeniu. Wyciągnąłem rękę, złapałem ją za nadgarstek i wbilem wzrok w jej oczy.

— Powiedz mi prawdę, Lu Li. Czy wiesz, co budują w Świętej Trójcy?

Po kilku sekundach kontaktu wzrokowego skinęła głową.

— Nie mów o tym nikomu, pod żadnym pozorem — przestrzegłem ją. — Nigdy!

— Ja Chinka, David. Wie, co może być.

Przez moment mignęła mi jej sylwetka na tle oświetlonych drzwi patio — cel oczekujący na zabójcę.

— Jedź ze mną — powiedziałem nagle. — Teraz. Weź tylko psa i jedziemy. U mnie będziesz bezpieczna.

Na jej ustach pojawił się smutny uśmiech.

— Ty dobry człowiek. Jak Andrew. Nie martwi się. Ja już mieć swoje plany.

Plany? Nie potrafiłem ich sobie wyobrazić. Wątpiłem, żeby znała kogoś w Stanach.

— Jakie plany?

Pokręciła głową.

— Ty lepiej nie wiedzieć. Tak? Ja będę dobrze.

Uwierzyłem jej. Odkrycie, że żałoba nie uczyniła jej bezbronną, kazało mi zadać jeszcze jedno pytanie:

— Andy napisał mi w liście, że gdyby coś mu się stało, mam pamiętać o jego zegarku kieszonkowym. Co takiego jest w tym zegarku?

Lu Li przez dłuższy czas wpatrywała się w moją twarz. Wreszcie, niemal niedosłyszalnie, szepnęła:

— Nie zegarek. Dewizka.

— Dewizka?

— Od zegarka.

Zamknąłem oczy i przywołałem w pamięci zegarek Fieldinga. Był to pokierszowany, ale cenny spadek; na końcu dewizki miał mały kryształ w kształcie rombu.

— Kryształ? — spytałem.

Lu Li uśmiechnęła się.

— Ty być mądry. Ty to odkryć.

Rozdział 9

Geli Bauer krążyła po centrum kontroli i wydzierała się przez telefon na Skowa. Dotychczas nigdy nie straciła przy nim cierpliwości, ale skoro nie miała poparcia Godina, Skow okazał się wkurzająco uparty.

— Czy nie słyszał pan ani słowa z tego, co powiedziałam? Nie widzi pan, co się dzieje?

— Powiedziałeś mi tylko tyle — odparł Skow protekcyjnie. — Doktor Tennant i doktor Weiss odwiedzili wdowę w żałobie i wyprowadzili na spacer jej psa. Weiss pocałowała Tennanta i odjechała do domu taksówką.

Geli zamknęła oczy, próbując pohamować gniew.

— Przed wyjazdem Tennant wprowadził wóz do garażu Fieldinga i zamknął drzwi. To jasne, że zabrał coś, czego nie chciał nam pokazać.

— Możliwe — przyznał Skow. — Ale o ile wiesz, on teraz jedzie do domu. Więc w czym problem?

— Nie słyszeliśmy ani słowa! Zatkali mikrofony, tak samo jak u Tennanta! A Weiss zostawiła swojego saaba u niego pod domem i nie pojechała tam taksówką, żeby go zabrać. Dlaczego tego nie zrobiła? Może Tennant próbuje zwiąć albo pójść z tym do mediów. A może i jedno, i drugie.

— Myślę, że przypisujesz mu swoją własną paranoję.

— Ritter słyszał, jak mówili o efektach ubocznych rezonansu magnetycznego.

— To małe piwo. Oczywiście, ty tego nie wiedziałaś, ale nasza aparatura superrezonansu magnetycznego jest głównym zmartwie-
niem etycznym Tennanta, jego oczkiem w głowie, i nie ma nic wspól-
nego z istotą sprawy.

— Ale wcześniej rozmawiali przez dziesięć minut. Ritter uważa,
że widział dyktafon.

Skow westchnął.

— I co, według ciebie, mam z tym zrobić?

— Zdjąć ich.

Facet z NSA wstrzymał oddech.

— Czy ja dobrze usłyszałem?

— Tak. Musimy przyjąć, że Weiss poznała szczegóły dotyczące
Świętej Trójcy i wie o podejrzeniach Tennanta na temat śmierci Fiel-
dinga.

— Doktor Weiss jest zwyczajną obywatelką, która nie złamała
prawa.

— Skoro ich nie zdejmujemy, to uprzedźmy fakty i ściągnijmy ich
na przesłuchanie.

Zapadła niekończąca się cisza. W końcu Skow zapytał:

— Czy ktoś od ciebie śledzi taksówkę Weiss?

Psychoterapeutkę obstawiał Ritter.

— Mój najlepszy człowiek. Bez trudu może zaaranżować wypa-
dek.

Kiedy Skow się wreszcie odezwał, jego głos był zimny jak lód.

— Posłuchaj mnie, Geli. Twój człowiek pojedzie za doktor Weiss
do jej domu, po czym przerwie kontakt. Nie pozwoli, żeby go zauwa-
żyła. Niech się nawet nie waży odetchnąć w jej kierunku.

— Co takiego?!

— Odwołaj swojego psa. A twoi ludzie pojedą za Tennantem do
jego domu i wezmą go pod stałą obserwację, zgodnie z normalną
procedurą.

Geli z trudem kontrolowała głos.

— Bezpieczeństwo projektu zostało złamane. Jeżeli nie po-
wstrzymamy biegu wypadków, stracimy kontrolę nad sytuacją, o ile
już jej nie straciliśmy.

— Panno Bauer, jutro prezydent Stanów Zjednoczonych może za-
prosić Davida Tennanta do Gabinetu Ovalnego. Czy pani to rozumie?

Kto wie, czy już ze sobą nie rozmawiali. Więc proszę coś zrobić, żeby się uspokoić. Niech pani weźmie proszek. Niech ktoś panią przeleci. Nie cierpię braku oglądy, ale tak się sprawy mają. No! Ja teraz spędzam czas z rodziną. Więc niech mi pani nie zawraca głowy, chyba że Tennant spróbuje dostać się do prezydenta albo zastrzeli kogoś w miejscu publicznym.

— Chcę, żeby odnotowano w aktach, że protestuję przeciwko tej decyzji.

— Proszę bardzo.

— Chcę rozmawiać z Godinem.

— To niemożliwe. Jest nieosiągalny.

— Gdzie przebywa?

— W Mountain View, nadzoruje sytuację kryzysową.

— W porze lunchu był jeszcze tutaj.

— Peter nie po to kupił G-Pięć, żeby stał w hangarze.

W tle Geli słyszała sprzeczkę nastoletnich synów Skowa i bezmyślny bełkot płynący z telewizora.

— Niestety, nie mogę zaakceptować pańskiej ocen/sytuacji. Nie mogę ignorować moich obowiązków tylko dlatego, że nie ma pan dość jaj, żeby zrobić to, co konieczne dla zabezpieczenia Świętej Trójcy.

— Czy pani oszalała? Dziś wieczorem dwukrotnie rozmawiałem z Peterem. Wiem, czego sobie życzy, a czego nie. Więc jeżeli weźmie pani sprawy w swoje ręce... to nawet ojciec nie będzie mógł pani uratować.

O ile dotychczas Geli nie lubiła Skowa, teraz go znienawidziła.

Rozłączyła się i wbiła wzrok w ekran, na którym wciąż widniał wykaz rzeczy osobistych Fieldinga. Po cholere komu zęb jadowy kobry? Miała ochotę pójść do magazynu i sprawdzić, czy to, co tam jest, zgadza się z wykazem, ale była zbyt wkurzona, żeby się do tego zabrać.

Pracując dla Świętej Trójcy, nigdy nie miała kompletnych informacji. Nie przeszkadzało jej to specjalnie. W takich sytuacjach przydaje się trening wojskowy. Czasami pilnuje się jakiegoś budynku przez całą dobę, nie wiedząc, czy w środku jest bomba atomowa, czy zapas gaci. Teraz jednak nie wiedziała bardzo wielu rzeczy. Sedno

tajemnicy Świętej Trójcy polegało na kontrolowaniu wszystkiego i wszystkich. Nic jednak nie mogła zrobić. Musiała porozmawiać z Godinem, ale on był nieosiągalny.

W obliczu tego impasu zadzwoniła do Rittera Bocka i kazała mu przerwać kontakt z Weiss. Małomówny młody Niemiec był potrzebny w centrum kontroli. Skow kazał jej się uspokoić, a Geli znała na to tylko jeden sposób. Zamiast wydawać rozkazy, potrzebowała ich posłuchać.

Rozdział 10

Sen, podczas którego nic mi się nie śniło, wyparował, a jego miejsce zajęło dudnienie krwi w uszach i wspomnienie martwego Fieldinga w jego gabinecie. Przez szczelinę w zasłonach wdzierало się światło. Przeżyłem noc, ale od razu sięgnąłem pod poduszkę po trzydziestkęsemkę. Dopiero wtedy pacnąłem w budzik, żeby go wyłączyć.

W nocy telefon milczał, a więc prezydent nie próbował się ze mną skontaktować. Sprawdziłem automatyczną sekretarkę, na wypadek gdybym nie usłyszał dzwonienia, ale nie było żadnych wiadomości. Próbując nie myśleć o wynikających z tego implikacjach, zadzwoniłem do Lu Li. Odpowiedziała mi automatyczna sekretarka. Na taśmie wciąż nagrany był głos Andrew, skrzący się humorem. Z nadzieją, że Lu Li jest już setki kilometrów od Chapel Hill, odwiesiłem słuchawkę, przeszedłem z rewolwerem do łazienki i zamknąłem za sobą drzwi.

Ogoliłem się szybko. Kiedy w nocy wracałem od Fieldinga, przed moim domem stał samochód obserwacyjny; odjechał, gdy się zbliżyłem. Usunąwszy z wozu trefne materiały, zadzwoniłem do Rachel, by sprawdzić, czy dotarła bezpiecznie do siebie, po czym przez dwie godziny leżałem na łóżku, nasłuchując odgłosów włamywania się do domu i myśląc o zegarku Fieldinga. Miał matową złotą kopertę, mocno wytartą, i poźółkły cyferblat z rzymskimi cyframi. Nie zegarek, powiedziała Lu Li. Dewizka. Kiedyś zapytałem Fieldinga o kryształ na końcu łańcuszka. Powiedział mi, że dał mu go tybetański mnich koło

Lhasy, obiecując, że zapewni mu niezawodną pamięć. Opowiadając mi tę historię, Fielding śmiał się do rozpuku, ale wtedy nie załapałem dowcipu. Teraz tak.

Jedną z nowych technologii komputerowych stworzonych przez zespół Świętej Trójcy było holograficzne magazynowanie danych. Zamiast przechowywać dane w mikroczipach, inżynierowie Świętej Trójcy upychali je jako hologramy w molekułach stabilnych kryształów. Używając laserów do zapisu i odczytu danych, potrafili zmagać niesamowite ilości informacji w symetrycznie ułożonych atomach kryształu. Kryształy, które miałem okazję obejrzeć w laboratorium holograficznym Świętej Trójcy, były wielkości piłki futbolowej, nie widziałem jednak powodu, dla którego nie dałoby się wykorzystać mniejszego. Takiego jak ten na końcu dewizki zegarka Fieldinga.

Anglikowi udawało się jakoś zapisywać dane Świętej Trójcy w swoim kryształce przy dewizce zegarka. A ponieważ nikt poza wewnętrznym kręgiem inżynierów i naukowców Świętej Trójcy nie wiedział nawet, że to w ogóle możliwe, mógł codziennie wchodzić i wychodzić bez wzbudzania czyichkolwiek podejrzeń.

Po co jednak wykradał informacje? Żeby sprzedać je temu, kto da najwięcej? Fielding był ze starej szkoły. Nawet gdyby rozpaczliwie potrzebował pieniędzy, byłby ostatnią osobą, którą podejrzewałbym o szpiegostwo przemysłowe. Czyżby potajemnie wpadł w sidła jakiejś ideologii? Albo porzucił dotychczasową? A może był politycznie naiwnym naukowcem, który uważał, że wszystkie narody powinny mieć taki sam dostęp do najnowszej technologii? Niewykluczone. Nie sądziłem jednak, by chciał, żeby jakiś szemrany kraj wszedł w posiadanie tak potężnego komputera. Z tego, co mówił, można było czasami odnieść wrażenie, że nie chciał, by jakikolwiek kraj go posiadał.

Czy o to chodziło? Czy pracował nad tym, żeby Święta Trójca nigdy nie nabrała realnego kształtu? Ten scenariusz wydawał się najbardziej prawdopodobny, miałem jednak za mało informacji, by odgadnąć, jak było naprawdę. A bez tego zegarka nie mogłem niczego udowodnić.

Wziąłem niemal lodowaty prysznic, wskoczyłem w bawełniane spodnie i sportową kurtkę i szybko wsiadłem do samochodu, usiłując nie myśleć o tym, co robię. Wracalem do Świętej Trójcy głównie po

to, by znaleźć zegarek Fieldinga, ale prawdę mówiąc, nie miałem wyboru. Pozostanie w domu ściągnęłoby na mnie tylko bliższe zainteresowanie ze strony NSA, gdybym zaś uciekł — jak, miałem nadzieję, zrobiła Lu Li — miałbym na głowie wszystkie siły agencji. Jeśli jednak uda mi się zachować złudzenie normalności nieco dłużej — dopóki prezydent się nie odezwie — być może będę mógł pomóc śmierć Fieldinga.

Jeśli nie było korków na ulicach, jazda z mojego domu w podmiejskiej Chapel Hill do kompleksu Świętej Trójcy zajmowała dwadzieścia minut. Research Triangle Park — wypielegnowana przystań laboratoriów badawczych różnych korporacji, znana lokalnie jako RTP — leżał pomiędzy Raleigh i Durham. Nazwa pochodziła od trójkąta utworzonego przez Uniwersytet Duke'a, Karoliny Północnej w Chapel Hill oraz stanu Karolina Północna. Ciche ścieżki prowadziły tam przez kosztowne trawniki, kojarzące się z ekskluzywnym country clubem, ale siedem tysięcy akrów RTP chętno się nie polami golfowymi, lecz laboratoriami takich firm jak DuPont, 3M, Merck, Biogen, Lockheed i dziesiątków innych czołowych korporacji. Co dzień stawało się tam do pracy czterdzieści pięć tysięcy ludzi, z czego mniej niż trzystu wiedziało, co mieści się za murami budynku Świętej Trójcy. Jechałem powoli, z dziecinną nadzieją, że nigdy nie dotrę na miejsce przeznaczenia.

Laboratoria Świętej Trójcy mieściły się dwieście metrów za nierzucającą się w oczy tablicą z napisem ARGUS OPTICAL. Ponury czteropiętrowy blok ze stali i czarnego szkła rozsiadł się pośrodku sześćdziesięciu akrów lasu; miał rozległe podziemia i lądowisko dla śmigłowców. Stal i szkło były tylko skorupą na pokaz. W środku miedziana powłoka z najnowocześniejszej technologii, o kryptonimie Burza, pokrywała wewnętrzny budynek, uniemożliwiając przenikanie promieniowania elektromagnetycznego do i ze Świętej Trójcy. W ten sam sposób chronione były budynki operacyjne NSA w Forcie Meade.

Ponieważ budynek usytuowany był w czymś na kształt niecki, pierwsze dwie kondygnacje były niewidoczne. Główne wejście znajdowało się na drugim piętrze. Żeby tam dotrzeć, pracownicy musieli przejść zadaszonym chodnikiem o długości piętnastu metrów. Pod

wzmocnionym łukiem na drugim końcu natykali się na wąski przesmyk, pilnowany przez ochroniarza i wyłożony czułymi wykrywaczami metalu, elektronicznymi łapaczami bomb i aparaturą fluoroskopową. Wejście do środka wymagało dowodu tożsamości ze zdjęciem, skanowania odcisków palców i obowiązkowej rewizji wszelkich toreb.

Strażnik nacisnął brzęczyk otwierający drzwi pod łukiem i ruszyłem do biurka ochroniarzy. Moja twarz nie zdradzała niepokoju, jaki odczuwałem.

— Dzień dobry, doktorze — powitał mnie strażnik, facet w średnim wieku o imieniu Henry.

Czasami myślałem, że Henry'ego wyłoniono do tej pracy w drodze castingu. Resztę ochroniarzy stanowili ludzie pod trzydziestkę, szczupli mężczyźni i kobiety o twarzach bez zmarszczek, ptasich oczach i bez śladu tłuszczu. Jedynie Henry, odźwierny, się witał.

— Dzień dobry, Henry — odparłem.

— O dziewiątej jest zebranie w sali konferencyjnej.

— Dzięki.

— Ma pan cztery minuty.

Spojrzałem na zegarek i pokiwałem głową.

— Nie mogę przestać myśleć o profesorze Fieldingu — dodał Henry. — Mówią, że umarł, zanim dojechała karetka.

Odetchnąłem ostrożnie. Ukryte kamery rejestrowały tę wymianę zdań.

— Czasami tak się dzieje przy udarze mózgu.

— Niezły sposób na śmierć. Znaczą się, szybki.

Zmusiłem się do uśmiechu i palcem wskazującym prawej ręki dotknąłem małego skanera. Gdy rozległ się pisk świadczący o akceptacji, przeszedłem przez rękaw z aparaturą wykrywającą i ruszyłem po schodach na czwarte piętro, gdzie mieściły się biura administracji i sala konferencyjna.

Zamknięte drzwi gabinetu Fieldinga przecinała żółta taśma policyjna. Kto ją tam zawiesił? NSA z całą pewnością nie pozwoliłaby wejść na teren budynku ani policji lokalnej, ani stanowej. Rozejrzałem się po pustym korytarzu i szybko przekreśliłem klamkę. Zamknęte. I to nie na byle jaki zamek ze sklepu żelaznego. Jeżeli zegarek Fieldinga znajdował się w jego gabinecie, nie miałem się do niego jak dobrać.

Minąłem kilkoro drzwi i wszedłem do swojego gabinetu, zamknąłem się w nim i usiadłem przy głównym komputerze. Jako część zamkniętej sieci, służącej tylko naukowcom ze Świętej Trójcy, nie miał połączenia ze światem zewnętrznym. Żeby się dostać do Internetu, musiałem korzystać z drugiego komputera, pozbawionego wszelkich napędów i portów, przez które można by wysłać z budynku jakieś dane.

Na głównym ekranie pojawiła się jedna wewnętrzna wiadomość — przypomnienie o zebraniu, które miało się zacząć w sali konferencyjnej za dwie minuty. Z makabrycznym dreszczem uświadomiłem sobie, że nieomal spodziewałem się dowcipnego liściku od Fieldinga, który często przysyłał mi żarciki albo ironiczne cytaty ze zmarłych naukowców czy filozofów. Rzeczy w rodzaju: „Naukowcy powyżej sześćdziesiątki czynią więcej złego niż dobrego — T. H. Huxley”. Dziś jednak wiadomości nie było. I już nigdy nie będzie. Rozejrzałem się bezmyślnie po gabinecie. Fielding odszedł, ja zaś byłem zupełnie zdezorientowany. Razem, ku irytacji naszych kolegów, zatrzymaliśmy projekt na sześć pełnych napięcia tygodni, podczas których bezskutecznie staraliśmy się wyjaśnić przyczynę efektów ubocznych rezonansu magnetycznego, doświadczanych przez sześciu głównych uczestników Świętej Trójcy. Do dziś sprawa nie została wyjaśniona.

Kiedy zgłaszałem się na ochotnika do zeskanowania przez super-rezonans magnetyczny, nie powodowała mną zwykła głupota. Teoria była prosta: skoro *homo sapiens* ewoluował w ziemskim polu magnetycznym, to energia magnetyczna aparatury RM nie stanowiła zagrożenia dla zdrowia. Udowodniły to niezliczoną ilość razy konwencjonalne urządzenia RM, generujące pole trzydzieści tysięcy razy silniejsze od pola ziemskiego. Jednak skonstruowana w Świętej Trójcy aparatura super-RM — stosująca materiały nadprzewodzące i kolosalne magnesy — wytwarzała pole osiemset tysięcy razy silniejsze. Poważne skutki uboczne, takie jak przegrzewanie się tkanek, zostały wyeliminowane w testach na zwierzętach, jednak w ciągu kilku dni od poddania się „superskanom”, wszyscy zaczęliśmy wykazywać niepokojące symptomy neurologiczne.

Jurta Klein, projektantka aparatury super-RM, cierpiała na krótkotrwałe zaniki pamięci. Ravi Nara na kompulsje o charakterze

seksualnym (kilkakrotnie przyłapano go w trakcie masturbacji w gabinecie i pokoju wypoczynkowym). Johnowi Skowowi zaczęła dygotać ręka, Godin zaś miewał ataki padaczki. Fielding — akurat on! — zaczął przejawiać rodzaj syndromu Tourette'a i często wykrzykiwał zupełnie niestosowne słowa czy wyrażenia. A mnie dopadła narkolepsja.

Ravi Nara, nasz neurolog noblista, nie znalazł medycznego wytłumaczenia tego nagłego deszczu symptomów, wobec czego na jakiś czas zawieszono dalsze skanowanie. Prace nad komputerem trwały nadal, kiedy jednak aparatura super-RM poszła w odstawkę, inżynierowie Godina mieli do dalszych prac jedynie sześć oryginalnych skanów, nikt zaś nie wiedział, czy ich rozdzielczość jest wystarczająca, by zapakować je do prototypu komputera.

Skoro Nara znalazł się w kropce, Fielding w wolnym czasie sam zaczął badać efekty uboczne. Sześć tygodni później zasugerował, że spowodowało je przerwanie procesów kwantowych zachodzących w naszych mózgach, i poparł swoją teorię dwudziestoma stronami skomplikowanych wyliczeń matematycznych. Nara argumentował, że nic w historii neurologii nie sugerowało, by w ludzkim mózgu zachodziły procesy kwantowe. Zaledwie kilku lekarzy podpisywało się pod tą teorią świadomości spod znaku New Age — między innymi Roger Penrose — a jednak Fielding harował dalej, próbując udowodnić swoje.

Początkowo Peter Godin popierał Fieldinga, wkrótce jednak wznowił testy RM na naczelnych. Szympansy i orangutany nie wykazywały objawów chorobowych. Fielding dowodził, że naczelne nie mają świadomości w takim sensie jak człowiek, a zatem w ich mózgach nie zachodzą procesy kwantowe, które mogłyby zostać przerwane. Godin zignorował go. Z kolei ja przedstawiłem podejrzenia Fieldinga prezydentowi, który oficjalnie zawiesił projekt do czasu gruntownego zbadania efektów ubocznych.

T© było sześć tygodni temu. Od tej pory Fielding i ja pracowaliśmy niemal bez przerwy, żeby udowodnić jego teorię zaburzeń kwantowych. Czuję się jak asystent Alberta Einsteina, temperując ołówki i robiąc notatki, podczas gdy obok mnie pracował geniusz. A jednak,

pomimo niebywałego intelektu, Fielding nie potrafił udowodnić swojej teorii. Zbyt mało wiadano na temat działania mózgu. Teraz zaś on nie żył, a bez możliwości zademonstrowania związku aparatury RM z naszymi „efektami ubocznymi” nie mogłem liczyć na powstrzymanie zbiorowej woli wznowienia projektu. Jeżeli nie dostarczę dowodów nieczystej gry, Święta Trójca będzie kontynuowana.

Walka rozpocznie się za parę minut, po kilku pustych słowach żalu z powodu „przedwczesnego odejścia” Fieldinga. Kiedy zmierzałem do drzwi sali konferencyjnej, pot zalewał mi twarz.

W sali nie było nikogo.

Nigdy jeszcze nie stawilem się pierwszy na zebranie. Wszyscy inni byli obsesyjnie punktualni. Nalałem sobie kawy z dzbanka na kredensie, usiadłem na końcu stołu i próbowałem zachować spokój.

Gdzie oni się podziiali, do diabła? Obserwowali mnie z pomieszczenia ochrony? A gdzie ukryli kamerę? Za obrazem? Po mojej prawej wisiała rzadka czarno-biała fotografia głównych twórców Projektu Manhattan: Oppenheimera, Szilarda, Fermiego, Wignera i Edwarda Tellera. Tworzyli przyjacielską grupkę na tle gór Oscura w Nowym Meksyku; giganci nauki, których przeznaczeniem była sława albo niesława, w zależności od punktu widzenia. Niektórzy, jak Teller, dożyli swych dni w blasku chwały, inni nie mieli tyle szczęścia. Oppy'ego ludzie mniejszego kalibru pozbawili prawa dostępu do tajemnic państwowych, bez czego nie mógł pracować, i jego dalsze życie było zaledwie cieniem tego, czym mogłoby być. Ale w 1944 roku stali razem, w ciemnych europejskich garniturach, na tle oślepiąco białego piasku pustyni. Spoglądali ponad stołem konferencyjnym Świętej Trójcy niczym święci patroni, ich oczy wyrażały nieodgadniona kombinację humoru, pokory i zdobytej ciężką pracą mądrości. Jedyne naukowce ze Świętej Trójcy, który odznaczał się tymi cechami, zmarł wczoraj na podłodze swego gabinetu.

Z korytarza doleciały głosy. Wyprostowałem się na krześle, gdy moi koledzy zaczęli wchodzić powoli, z wymuszoną obojętnością. Miałem wrażenie, że właśnie odbyli prywatne posiedzenie, którego jedynym punktem programu było to, jak mnie potraktować.

Pierwsza weszła Jurta Klein, jedyna kobieta w zespole. Ta siwo-włosa była szefowa zespołu badawczego korporacji Siemens w Niem-czech — również laureatka Nobla, w dziedzinie fizyki — została „wy-pożyczona” do Świętej Trójcy na czas trwania projektu. Przy pomocy Fieldinga oraz zespołu inżynierów z General Electric zaprojektowała i zbudowała aparaturę super-RM czwartej generacji. Teraz nadzoro-wała bezawaryjne działanie kapryśnego potwora.

— *Guten Morgen* — powitała mnie sztywno i usiadła po mojej prawej. Z jej statecznej twarzy nie dało się niczego wyczytać.

— *Morgen* — odparłem.

Za nią w drzwiach pojawił się Ravi Nara. Usiadł trzy krzesła ode mnie, podkreślając dystans, jaki ostatnio cechował nasze stosunki. Młody hinduski neurolog trzymał w brązowej dłoni czekoladowego pączka; prawą rękę miał w gipsie. Zdusiłem uśmiech. Cztery dni temu Nara poszedł do pomieszczenia z aparaturą super-RM z dzbankiem do kawy, wykonanym częściowo z ołowiu, i postawił go na la-dzie. Kiedy Klein uruchomiła urządzenie, żeby wykonać test na szympansie, dzbanek przeleciał przez pokój i rąbnął ręką Nary o obudowę aparatury, miażdżąc mu kość łokciową. Klein pocieszyła go, że miał szczęście. Pierwszego dnia pracy tego urządzenia zginęła techniczka od Siemensu — metalowy wózek do EKG rzucił ją o aparaturę i roztrzaskał czaszkę.

— Dzień dobry, Davidzie.

Podniosłem wzrok — schludny, ubrany w garnitur od Braci Bro-oks John Skow zajmował miejsce u szczytu stołu. Jako zastępca dy-rektora NSA, był najwyższym amerykańskim autorytetem w dziedzi-nie wojny informacyjnej, a także tytularnym dyrektorem Projektu Święta Trójca. A jednak to Peter Godin wyznaczał kierunki i tempo badań projektu. Stosunki między Skowem i Godinem były odbiciem relacji między generałem Leslie Grovesem i Robertem Oppenheime-rem w Los Alamos. Groves był bezwzględny nadzorcą, lecz bez współpracy Oppenheimera nigdy nie wyprodukowałyby bomby ato-mowej. Tak więc ostateczna władza należała do cywilnego naukowca, nie zaś żołnierza.

— Skow — mruknąłem, nie siląc się nawet na uśmiech.

— Wczorajszy dzień był straszliwym ciosem dla nas wszystkich — zagaił z arystokratycznym bostońskim akcentem, jego cienkie wargi prawie się nie poruszały. — Wiem jednak, że dla ciebie jest to strata szczególnie bolesna, Davidzie.

Próbowałem doszukać się w jego głosie prawdziwego żalu. Człowiek z NSA był doświadczonym biurokratą i trudno było ocenić jego szczerłość.

— Za chwilę będzie tu Peter — ciągnął. — Zdaje się, że od tej pory to on będzie tym późnialszym.

Uśmiechnąłem się w duchu. Fielding zawsze przychodził ostatni, o ile w ogóle się fatygował. Czasami urządził sobie węgry, a wtedy wysyłano mnie na poszukiwania. Przeważnie znajdowałem go w gabinecie, ślęczącego nad równaniami.

Przez otwarte drzwi doleciało ciche przekleństwo, zapowiadające nadejście Petera Godina. Główny naukowiec Świętej Trójcy cierpiał na artretyzm i czasami przejście paru kroków było dla niego wysiłkiem nie do zniesienia. Mając siedemdziesiąt jeden lat, był zdecydowanie najstarszym członkiem projektu. Urodził się w czasach, kiedy nie znano jeszcze maszyn liczących, a jednak w ciągu ostatnich czterdziestu lat „stary” pchał wózek obliczeń cyfrowych dalej i szybciej niż jakikolwiek osłepiony przez lampę elektronopromieniową uczonec, który kiedykolwiek wyprysnął z Doliny Krzemowej.

Podobnie jak Seymour Cray — ojciec superkomputerów — Godin we wczesnych latach pięćdziesiątych był jednym z pierwszych inżynierów w Control Data Systems. W 1957 roku odszedł wraz z Seymorem z firmy, by pomóc mu założyć Cray Research. Wchodził w skład zespołów, które zbudowały słynne maszyny 6600 oraz Cray 1, kiedy jednak Cray zaczął tracić kontrolę nad rozdętym projektem Cray 2, Godin uznał, że nadszedł czas, by wyjść z cienia swego mentora. Po cichu obszedł banki inwestycyjne, zebrał sześć milionów dolarów i sześćdziesiąt dni później otworzył podwoje Superkomputerów Godina w Mountain View, w Kalifornii. Podczas gdy Seymour walczył, by powołać do życia rewolucyjnego Craya 2, Godin i jego mikroskopijny zespół budowali elegancką i niezawodną czteroprocesorową maszynę, która pod względem szybkości sześciokrotnie biła Craya 1. Nie był to może postęp rewolucyjny, ale taki, za który rządowe laboratoria

wojskowe skłonne były płacić. Przy cenie ośmiu milionów dolarów od sztuki Godin szybko spłacił długi i zaczął projektować swój wymarzony superkomputer. Ścigając się z rządami różnych krajów oraz z samym Seymourem Crayem, ugruntował swoją pozycję na rynku superkomputerów i nigdy nie oglądał się za siebie. Kiedy koniec zimnej wojny praktycznie zlikwidował ruch w branży superkomputerowej, Peter Godin przetrzucił się na technologie równoległe i do połowy lat dziewięćdziesiątych jego komputery wspomagały bądź zastąpiły maszyny Craya w NORAD, NSA, Pentagonie, Los Alamos, Lawrence Livermore, a także w silosach raketowych na terenie całego kraju. W swoim czasie Peter Godin był zarówno pionierem, jak i naśladowcą, przede wszystkim jednak człowiekiem, który potrafił przeżyć.

Kiedy stary wszedł do sali konferencyjnej, wszyscy podnieśli wzrok, ale ja omal nie zerwałem się na nogi. Gdy dołączyłem do zespołu dwa lata temu, Godin wydawał się niewiele starszy od Andrew Fieldinga, który miał wówczas sześćdziesiąt jeden lat. Ale dwa lata prowadzenia zespołu Świętej Trójcy postarzyło go w zastraszającym tempie. Czasami jego twarz była nabrzmiała niczym u chorych na raka, którym podaje się sterydy, czasami zaś chuda jak szkielet, a jego włosy prawie znikaly. Dziś wyglądał tak, jakby miał się przewrócić, zanim dojdzie do stołu. Kiedyś powiedział mi, że podczas twórczego stresu jego ciało zawsze przechodzi fizyczne zmiany. Często pracował bez snu przez pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt godzin bez przerwy i chociaż wiedział, że w ten sposób skraca sobie życie o całe lata, uważał, że to godziwa cena za wszystko, co osiągnął w trakcie swych lat na ziemi.

Jego jasnoniebieskie oczy, lustrując pokój, zatrzymały się na mnie nieco dłużej niż na pozostałych. Potem pozdrowił wszystkich ogólnym skinieniem głowy i usiadł obok Skowa.

— Skoro już jesteśmy w komplecie — odezwał się Skow ceremonialnie — zaniechałbym swoje obowiązki, gdybym nie rozpoczął tego zebrania od kilku słów na temat ogromnej straty, jaką my — oraz cały projekt — ponieśliśmy w dniu wczorajszym. Po przeprowadzeniu całościowej sekcji patolog potwierdził, że doktor Fielding zmarł z powodu rozległego wylewu krwi do mózgu. On...

— Patolog? — przerwałem mu. — Stanowy lekarz sądowy?

Skow spojrział na mnie wyrozumiale.

— Davidzie, wiesz, że nasza sytuacja jest niekonwencjonalna. Ze względów bezpieczeństwa nie możemy wciągać w to miejscowych władz. Przyczyna śmierci doktora Fieldinga została potwierdzona przez patologa NSA w Forcie Meade.

— To NSA ma patologa? — Rozumiałem powody, dla których agencja potrzebowała psychiatrów. Łamanie kodów to bardzo stresujący zawód. Ale patolog?

— Agencja dysponuje specjalistami z każdego zakresu medycyny — odparł Skow tonem przewodnika wycieczek po sferach rządowych.

— Jedni pracują na etacie, inni to dokładnie sprawdzeni konsultanci.

— Zerknął na Godina, który siedział z zamkniętymi oczami. — Czy masz jakieś wątpliwości co do przyczyny śmierci Andrew, Davidzie?

A jednak! Rzucił rękawicę na stół. Mogłem ją podjąć albo nie.

— Ostatecznie sam jesteś przecież doświadczonym internistą — dodał Skow protekcyjnie. — Być może dostrzegłeś coś, co nie pasuje do udaru mózgu?

W powietrzu wisiało napięcie. Wszyscy czekali na moje słowa, zwłaszcza Ravi Nara, który postawił diagnozę udaru po śmierci Fieldinga.

— Nie — odparłem w końcu. — Ravi mówił, że tuż przed śmiercią zaobserwował paraliż lewej strony twarzy, niezborną mowę i rozszerzoną źrenicę. To typowe dla udaru. Chodzi tylko o to, że... że zwykle taka śmierć trochę trwa. Zaskoczyła mnie jej gwałtowność.

Wyglądało to, jakby spuszczone powietrze z balonu. Ramiona opadły z ulgą, pośladki przesunęły się na krzesłach, palce zaczęły bębnić po stole.

— Cóż, oczywiście — powiedział Skow łaskawie. — Wszystkich nas zaskoczyła. No i, rzecz jasna, Andrew był niezastąpiony.

Miałem ochotę go udusić. Od pół roku próbował zastąpić kimś Fieldinga, tyle że nie było nikogo posiadającego choćby w drobnej części jego kwalifikacje.

— Na dowód tego, że traktuję te słowa poważnie, nie będziemy go nikim zastępowali — oświadczył Skow.

Tylko Jurta Klein była równie zszokowana jak ja. Fielding wiedział na temat Świętej Trójcy więcej niż ktokolwiek poza samym

Godinem. Przeprowadził nas przez tuzin poważnych zatorów. Problemy, które tygodniami zabijały klina specjalistom od oprogramowania czy materiałoznawstwa, dla ekscentrycznego Anglika były prostymi rebusami, czymś, czego rozwiązanie zajmuje najwyżej kwadrans. W tym sensie Fielding był rzeczywiście niezastąpiony. Nie można było jednak pomijać kwantowych aspektów Świętej Trójcy. W moim pojęciu fizyka kwantowa była czymś na kształt alchemii — alchemii, która działa — i dalsza praca bez pomocy kogoś, kto znał się na zawiłościach kwantowych i teleportacji byłaby szaleństwem.

— Ale co pan zamierza zrobić w sprawie efektów ubocznych rezonansu magnetycznego, które badaliśmy? — zapytałem. — Jak pan wie, Fielding uważał, że są rezultatem kwantowych zaburzeń zachodzących w mózgu.

— To śmieszne! — warknął Nara. — Nie ma dowodów na to, że w mózgu zachodzą procesy kwantowe. Nie było, nie ma i nie będzie!

— Doktorze Nara — przywołał go do porządku Skow.

Obrzuciłem neurologa pogardliwym spojrzaniem.

— W obecności Fieldinga nie był pan tego w połowie tak pewny — rzuciłem.

Nara w milczeniu przeszył mnie wściekłym wzrokiem.

Skow uśmiechnął się do mnie cierpliwie.

— Davidzie, zarówno Peter, jak i ja uważamy, że ty i Ravi doskonale poradzicie sobie z dalszymi badaniami anomalii medycznych. Wprowadzanie na tym etapie nowego fizyka byłoby niepotrzebnym ryzykiem naruszenia zasad bezpieczeństwa.

Nie zamierzałem z nim dyskutować. Zostawię to sobie dla prezydenta.

— Czy zwłoki Fieldinga i jego rzeczy osobiste zostaną wydane wdowie? — spytałem.

Skow odchrząknął.

— Wygląda na to, że nie możemy się skontaktować z panią Fielding. Dlatego też szczątki Andrew zostaną poddane kremacji, zgodnie z jego pisemną wolą.

I wszelkie dowody morderstwa pójdą z dymem! Z największym wysiłkiem starałem się niczego po sobie nie pokazać.

A więc jednak Lu Li uciekła. Z drugiej strony... czy powiedzieliby co innego, gdyby ją złapali albo zabili?

Godin dotknął nadgarstka Skowa.

— Chciałbyś coś dodać, Peter? — spytał Skow.

Godin pomasaował niemal łysą w tym bocznym oświetleniu głowę. Siedział nieruchomo niczym Budda, jedynie jego niebieskie oczy żyły. Odzywał się rzadko, kiedy jednak to robił, świat nastawiał uszu.

— Nie czas teraz na banały — oświadczył. — Wczoraj straciliśmy giganta. W wielu kwestiach nie zgadzałem się z Andrew Fieldingiem, niemniej żadnego z moich współpracowników nie szanowałem tak jak jego.

Nie potrafiłem ukryć zdziwienia. Wszyscy przy stole pochylili się, by nie uronić ani słowa. Hipnotyczne niebieskie oczy szybko omiotły pokój. Po chwili Godin mówił dalej, głosem cichym, lecz wciąż głębokim i władczym.

— Od zarania dziejów siłą napędową nauki były wojny. Fielding by się z tym nie zgodził, gdyby był tu dziś z nami. Powiedziałyby, że naukę napędza wrodzona ciekawość człowieka. Jest to jednak przejaw myślenia życzeniowego. Największe postępy w technologii wyznały ludzkie konflikty. To godne ubolewania, ale każdy rozsądny człowiek musi zdawać sobie z tego sprawę. Żyjemy w świecie faktów, nie filozofii. Filozofowie podważają istnienie wszechświata, po czym dziwią się, kiedy dzielisz ich butem w łeb i zapytasz, czy teraz czują, że istnieją.

Ravi Nara parsknął śmiechem, lecz Godin zmiażdżył go spojrzeniem.

— Andy Fielding nie był takim człowiekiem. — Ruchem głowy Godin wskazał czarno-białą fotografię na ścianie. — Podobnie jak Robert Oppenheimer, był kimś w rodzaju mistyka. Przede wszystkim był jednak utalentowanym teoretykiem z wielkim zacięciem praktycznym.

Godin odgarnął z ucha kosmyk białych włosów i popatrzył na siedzących wokół stołu.

— Militaryzacja nauki jest nieuchronnym pierwszym krokiem, prowadzącym do powstania niezliczonych darów dla pokoju. Nadludzkie wysiłki Oppenheimera, by skonstruować bombę, zakończyły drugą wojnę światową i dały światu bezpieczną energią jądrową. My

tu obecni — nasza pozostała piątka — stoimy w obliczu nie mniej ważnego zadania. Nie próbujemy, jak to czasami sugerował Fielding, przebierać się w szatki Boga. Bóg jest jedynie częścią ludzkiego mózgu, ewolucyjnym mechanizmem kopiującym, który powstał po to, byśmy potrafili znieść świadomość nieuchronności śmierci. Kiedy w końcu uda nam się załadować pierwszy neuromodel do naszego prototypu i porozumieć się z nim, będziemy mieli do czynienia z tą częścią mózgu, tak samo jak z całą resztą. Dla tych, którzy lubią wyrażenia antropomorficzne, będziemy mieli do czynienia z Nim. Przewiduję jednak, że Bóg nie okaże się bardziej kłopotliwy niż inne szczątkowe części mózgu. A to dlatego, że ukończenie Świętej Trójcy spowoduje, iż ten konkretny mechanizm kopiujący stanie się niepotrzebny. Nasza praca zakończy panowanie śmierci nad ludzkością. Z pewnością trudno o bardziej szlachetny cel. Godin oparł na stole powykęcane dłonie.

— Jednak dzisiaj... dzisiaj oplakujemy człowieka, który miał odwagę głosić swoje przekonania. Podczas gdy my, z ponurej konieczności, skupiliśmy się na militarnych i wywiadowczych możliwościach prototypu Świętej Trójcy, Fielding wyglądał dnia, kiedy będzie mógł usiąść i zadać komputerowi najstarsze pytania człowieka: Jak powstało życie? Po co tu jesteśmy? Jaki będzie koniec wszechświata? Andy Fielding w wieku sześćdziesięciu trzech lat wykazywał dziecięcy entuzjazm i wcale się tego nie wstydził. Bo i nie miał czego. — Godin poważnie pokiwał głową. — Jeśli o mnie chodzi, będzie mi go brakowało.

Czułem, jak piecze mnie twarz. Spodziewałem się, że John Skow wyleje krokodyle łzy, po czym zagoni nas do dalszych prac i badań. Ale Peter Godin miał większą klasę. Jego słowa dowodziły, że dobrze znał swojego przeciwnika.

— Kiedy tylko wykryjemy przyczynę naszych symptomów neurologicznych, projekt zostanie wznowiony — podsumował. — Jeśli będzie nam potrzebny następny fizyk kwantowy, wynajmiemy go. Nie będziemy natomiast szarżowali na ośle, nie znając zagrożenia. Fielding nauczył mnie, jak ważna jest rozwaga.

Godin starannie pomasażował prawą dłoń palcami lewej.

— Wszyscy przeżyliśmy poważny wstrząs. Chcę, żeby każdy wziął

pełne trzy dni wolnego, poczynając od dzisiejszego lunchu. Spotkamy się w tym pokoju w środę rano. Przez ten czas obowiązywać będzie normalna procedura bezpieczeństwa.

Zapadła głucha cisza. Człowiek, który harował dwa razy ciężiej niż ktokolwiek inny, proponował wolne? Takie „wakacje” były tak sprzeczne z charakterem Godina, że nikt nie wiedział, co powiedzieć.

W końcu Skow odchrząknął i rzekł:

— No cóż, mnie w każdym razie przyda się parę dni w domu. Z powodu nadgodzin żona gotowa jest się ze mną rozwieść.

Godin zmarszczył brwi i znów zamknął oczy.

— Spotkanie odroczone? — spytał Skow, zerkając na niego.

Starzec wstał chwiejnie i bez słowa opuścił pokój.

— A zatem... — rzekł Skow niepotrzebnie.

Wstałem i ruszyłem do swojego gabinetu, patrząc na oddalające się plecy Petera Godina. Spotkanie miało zupełnie inny przebieg, niż się spodziewałem. Godin już miał skrócić za róg, lecz zatrzymał się i odwrócił do mnie. Podeszedłem do niego.

— Byliście z Fieldingiem bardzo życzliwi, prawda? — zapytał.

— Lubilem go. I podziwiałem.

Skinął głową.

— Dwa dni temu czytałem w nocy pańską książkę. Jest pan większym realistą, niż przypuszczałem. Pańskie opinie na temat aborcji, badań tkanek płodowych, klonowania, wydatków na opiekę nad ludźmi stojącymi nad grobem, eutanazji... Zgadzam się ze wszystkim, kropka w kropkę.

Nie mogłem uwierzyć, że Peter Godin pracował ze mną przez dwa lata, nie przeczytawszy książki, dzięki której trafiłem do Świętej Trójcy. Przez chwilę spoglądał ponad moim ramieniem, po czym przeniósł wzrok na moją twarz.

— Podczas tego spotkania coś mi przyszło do głowy — powiedział.

— Zna pan te stare hipotezy na temat historii? Gdyby mógł pan cofnąć się w czasie i miał możliwość zabicia Hitlera, zrobiłby pan to?

Uśmiechnąłem się.

— Nie jest to zbyt realistyczne sformułowanie.

— Nie jestem tego taki pewny. Pytanie o Hitlera jest, oczywiście, proste. Ale proszę sobie wyobrazić co innego. Gdyby mógł pan przemieścić się do roku tysiąc dziewięćset czterdziestego ósmego i wiedziałby

pan, że Nathuram Godse zabije Gandhiego... czy zabiłby go pan, żeby zapobiec morderstwu?

Zastanowiłem się nad tym.

— W gruncie rzeczy pyta pan o to, jak daleko wstecz bym się posunął. Czy zabiłby pan matkę Hitlera?

Tym razem to Godin się uśmiechnął.

— Oczywiście, ma pan rację. A moja odpowiedź brzmi: tak.

— Właściwie to sądzę, że pańskie pytanie dotyczy bardziej kwestii przypadku. Czy zabicie matki Hitlera zapobiegłoby drugiej wojnie światowej? Czy może z niezadowolonych mas powstałaby jakaś inna miernota i zagrała na niemieckich urazach w związku z traktatem wersalskim?

Godin zastanawiał się nad tym przez chwilę.

— Całkiem możliwe. A więc inaczej. Jest rok tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty drugi, a pan wie, iż niezdarne laborant zniszczy kultury bakterii Jonasa Salka. Wynalezienie szczepionki przeciwko chorobie Heine-Medina odsunie się w czasie, prawdopodobnie o całe lata. Czy zabiłby pan tego niewinnego laboranta?

Poczułem dziwny szmer w głowie. Miałem wrażenie, że Godin się ze mną bawi, tyle że on nigdy nie tracił czasu na gierki.

— Całe szczęście, że prawdziwe życie nie stawia nas przed takimi dylematami — powiedziałem. — Tylko patrzenie wstecz pozwala nam je formułować.

Uśmiechnął się blado.

— Nie jestem tego taki pewny, doktorze. W Monachium można było Hitlera powstrzymać. — Wyciągnął rękę i poklepał mnie po ramieniu. — W każdym razie jest nad czym myśleć.

Odwrócił się i ostrożnie skręcił za róg.

Stałem w korytarzu, próbując odczytać ukryte między wierszami znaczenie tego, co usłyszałem. Godin nigdy nie tracił słów na próżno. Nie snuł luźnych refleksji na temat historii czy moralności. Zupełnie szczerze mówił o morderstwie. Morderstwie, w jego pojęciu, usprawiedliwionym. Z niedowierzaniem pokręciłem głową. Godin mówił o Fieldingu.

Zabicie Fieldinga było koniecznością, mówił. Fielding był niewinny, ale wszedł w paradę wielkiemu dobru i musiał zostać wyeliminowany.

Wracając do gabinetu, uświadomiłem sobie, że dygoczę. Nikt nie zapytał o mój telefon do Waszyngtonu. Nikt nie wspomniał o mojej wizycie w domu Fieldinga. Ani słowa o Rachel Weiss. A trzy dni wolnego da mi wiele czasu, żeby porozmawiać z prezydentem. Mógłbym nawet polecieć do Waszyngtonu. Co tu jest grane, u licha?

W drzwiach gabinetu zamarłem. Na moim krześle siedziała wysoka muskularna blondynka o elektryzująco niebieskich oczach, z nakrapianą blizną na lewym policzku, i patrzyła na ekran komputera. Geli Bauer. Jeżeli ktokolwiek w tym budynku zamordował Andrew Fieldinga, to tylko ona.

— Witam, doktorze! — rzuciła, a na jej wargach błąkał się cień uśmiechu. — Wygląda pan na zaskoczonego. A ja myślałam, że pan się mnie spodziewał.

Rozdział 11

Stałem w drzwiach gabinetu, nie mogąc wydobyć słowa. W niecałą sekundę ulga zmieniła się w paraliżujący strach, a fakt, że Geli Bauer była kobietą, nie wpłynął na zwolnienie mojego szalejącego pulsu. Podobnie jak podwładni, których sobie wybrała, była szczupła i twarda, z drapieżnym błyskiem w oczach. Promieniowała lodowatą pewnością siebie światowej klasy alpinistki. Potrafiłem ją sobie wyobrazić, jak godzinami zwisa ze skalnego występu, trzymając się tylko czubkami palców. W inkubatorze pełnym geniuszy trudno było ocenić jej inteligencję, lecz z poprzednich rozmów z nią wiedziałem, że jest lotna jak żywe srebro. Z wyjątkiem czołowych naukowców Świętej Trójcy, wszystkich traktowała jak więźniów na robotach przymusowych, co przypisywałem temu, iż była córką potężnego generała armii. Ravi Nara nazywał ją bez osłonek „terminatorem z cyckami”, ja jednak myślałem o niej jako o terminatorze z mózgiem.

— Czym mogę pani służyć? — odezwałem się w końcu.

— Muszę zadać panu kilka pytań — odparła. — Rutynowa sprawa.

Rutynowa? W ciągu dwóch lat Geli Bauer odwiedziła mnie w gabinecie sześciokrotnie. Przeważnie widywałem ją przez szybę, jak obserwowała testy na poligrafie, którym byłem wrywkowo poddawany.

— Godin właśnie dał nam trzy dni wolnego — poinformowałem ją. — Może to przełożymy?

— Niestety, to nie może czekać. — Mówiła z nieokreślonym akcentem elitarnych szkół zagranicznych.

— Podobno to rutynowa sprawa.

Plastikowy uśmiech.

— Może pan usiądzie, doktorze.

— Zajął pani mój fotel.

Nie wstała. W sytuacjach konfliktowych rozkwitała.

— Zazwyczaj nie zajmuje się pani takimi sprawami osobiście — powiedziałam. — Czemu zawdzięczam ten zaszczyt?

— Śmierć doktora Fieldinga spowodowała niecodzienną sytuację. Musimy być pewni, że wiemy na temat jej okoliczności wszystko, co możliwe.

— Doktor Fielding zmarł na udar mózgu.

Przez dłuższą chwilę przyglądała mi się bez słowa. Blizna na jej lewym policzku przypomniła mi blizny, jakie widziałem u kombatanów z Wietnamu podczas terapii ruchowej. Opisywali oni, jak szrapnel z granatu fosforowego wżerał się pod skórę i kauteryzował, po czym na powietrzu zapalał się znowu i ranił lekarzy, którzy próbowali usunąć odłamki. Żołnierze żyli w strachu przed nimi, a Geli Bauer wyglądała, jakby weszła w bliski kontakt z takim właśnie granatem. Z powodu tej blizny byłem skłonny ją polubić. Piękna kobieta z takim śladem prawdopodobnie wiedziała o życiu więcej niż większość jej sióstr. Jednak moje kontakty z Geli przekonały mnie, że piekło, jakie przeszła, nauczyło jej tylko zgorzknienia.

— Martwią mnie pańskie kontakty z doktorem Fieldingiem — oświadczyła.

Zawsze stosowała formę „ja”, nigdy biurokratyczne „my”, jak gdyby czuła się osobiście odpowiedzialna za bezpieczeństwo całości projektu.

— Doprawdy? — odparłem, jakbym był zaszokowany.

— Jak by pan scharakteryzował wasze stosunki?

— Był moim przyjacielem.

— Widywał się pan z nim i rozmawiał poza murami tego budynku?

Potwierdzenie oznaczało przyznanie się do złamania regulaminu bezpieczeństwa Świętej Trójcy. Ale Geli prawdopodobnie miała nas nagranych na wideo.

- Tak.
- To jawne pogwałcenie protokołu bezpieczeństwa.
Przewróciłem oczami.
- Niech mnie pani poda do sądu.
- Możemy pana wsadzić do więzienia.
Cholera!
- To by bardzo pomogło utrzymać to miejsce w tajemnicy.
Długimi palcami przeczesła jasne włosy.
Przyszedł mi na myśl pyszniący się sokół.
- Może pan stracić swoje stanowisko, doktorze.
- Nareszcie rozumiem. Przyszła pani, żeby mnie wywalić na bruk.
- Jej usta drgnęły w uśmiechu.
- Nie ma powodu dramatyzować. Staram się dowiedzieć jak najwięcej o sytuacji doktora Fieldinga.
- O jego sytuacji? Nie żyje. Umarł. Odszedł od nas.
- O czym rozmawialiście po godzinach pracy?
- O piłce nożnej.
- Piłce nożnej?
- Fielding nazywał ją futbolem. Na punkcie piłki nożnej miał, jak sam mawiał, bzika. Kibicował Arsenalowi, to taka angielska drużyna. Nudziło mnie to jak diabli, ale lubiłem z nim rozmawiać.
- Pan jest nieszczerzy, doktorze.
- Doprawdy?
- Pan i doktor Fielding protestowaliście przeciwko kontynuowaniu tego projektu.
- Nie. Ja miałem zastrzeżenia etyczne co do jednego aspektu. Fielding miał inne.
- Chciał zatrzymać projekt.
- Tylko do czasu wyjaśnienia przyczyn efektów ubocznych, jakie wszyscy odczuwamy.
- Czy rozmawiał o tych efektach ubocznych z kimś, kto nie został dopuszczony do informacji na temat Świętej Trójcy?
- Nie mam pojęcia.
- Na przykład z żoną?
- Z trudem zachowałem obojętny wyraz twarzy.
- Nie wyobrażam sobie, żeby to robił.
- Geli uniosła brew.

— Wczoraj wieczorem spędził pan u niej prawie godzinę.

A więc obserwowali nas. To jasne. Właśnie zabili Fieldinga i musieli się przekonać, jak zareaguje jego najlepszy przyjaciel. Oznaczało to, że wiedzą o Rachel.

— Wpadłem z kondolencjami — wyjaśniłem.

— Omawiał pan drażliwe informacje na temat Świętej Trójcy z Lu Li Fielding. Chinką, która jest fizykiem.

— Nic podobnego. — Pomyślałem, że po ślubie z Fieldingiem Lu Li jest obywatelką brytyjską, ale nie wdawałem się w takie dyskusje.

— Pani Fielding zniknęła. Musimy z nią pomówić.

— Wygląda to na problem osobisty.

Geli puściła mój sarkazm mimo uszu.

— Jeżeli pomógł pan jej w ucieczce, możemy oskarżyć pana o zdradę.

— Czy Lu Li popełniła jakieś przestępstwo?

Twarz Geli nie zdradzała niczego.

— To się dopiero okaże. Możliwe, że była współniczką w zdradzie.

Kryształ, pomyślałem nagle. Jej musi chodzić o kryształ Fieldinga.

— A więc oboje Fieldingowie zniknęli. Trochę to żenujące, prawda?

Geli nie wyglądała na zażenowaną. Była niewzruszona jak głaz.

— Wczoraj wieczorem Lu Li powiedziała mi, że nie dowiedziała się niczego o zwłokach męża — rzekłem. — Bardzo się tym martwi.

— Nie ja za to odpowiadam.

— A co z rzeczami osobistymi Fieldinga? Lu Li wspominała o złotym zegarku kieszonkowym. To spadek.

Geli wyduła wargi i pokręciła głową.

— Nie przypominam sobie takiego zegarka. Ale wyjaśnimy to, gdy tylko pani Fielding się pojawi.

Kłamała. Pracując tu przez dwa lata, musiała widzieć ten zegarek ze sto razy.

— Trzeba będzie przeprowadzić dziś test na poligrafie — powiedziała.

Zimny pot zalał mi kark.

— Przykro mi, nic z tego.

Jej oczy zwęziły się. Pierwszy raz odmówilem.

— A to dlaczego?

— Właśnie straciłem przyjaciela. Fatalnie spałem. Czuję się okropnie. Pies zeżarł moją pracę domową.

— Doktorze Tennant...

— I nie mam ochoty babrać się dzisiaj z tym waszym faszystowskim gównem. Zrozumiała pani?

Rozparła się w moim fotelu i przyglądała mi się z coraz większym zainteresowaniem.

— Umowa o pracę, którą pan podpisał, obliguje pana do testów na poligrafie w dowolnej chwili. Pan już dawno wyraził zgodę.

Ze strachu, który ścisłał mi brzuch, miałem ochotę walnąć ją w twarz. Przez całe życie cieszyłem się niemal bezgraniczną wolnością. Jako internista prowadziłem własną praktykę i sam byłem sobie szefem. Jako autora ograniczał mnie tylko temat książki. Ale w dusznej atmosferze Świętej Trójcy nabawiłem się czegoś w rodzaju duchowej klaustrofobii. Mój ojciec doświadczał podobnego uczucia, kiedy pracował nad bronią nuklearną w Los Alamos i Oak Ridge. On także w swoim czasie przechodził wielokrotnie testy na poligrafie. Ale od czasów zimnej wojny świat poszedł do przodu. Dzisiejsze wykrywacze kłamstwa NSA, oparte na technologii rezonansu magnetycznego, działały ze stuprocentową pewnością.

Zasada była prosta: więcej komórek mózgu bierze udział w kłamstwie niż w mówieniu prawdy. Nawet patologicznemu kłamcy najpierw przychodzi na myśl prawdziwa odpowiedź. Dopiero potem wymyśla albo powtarza kłamstwo. Działalność ta powoduje, że mózg świeci się niczym choinka, a urządzenie RM rejestruje ten obraz na użytek przesłuchujących. Fielding zatrzymał sesje na poligrafie RM, argumentując, że dalsze wystawianie nas na działanie rezonansu magnetycznego może spowodować nasilenie naszych dziwnych symptomów. W ten sposób odniósł zwycięstwo w swej wojnie przeciwko naruszaniu naszej prywatności, ale konwencjonalne sesje z poligrafem były dostatecznie irytujące. Organizowane z zaskoczenia,

stwarzały wrażenie, że żyjemy w jakiejś Orwellowskiej dystopii, zwłaszcza jeśli miało się coś do ukrycia.

— Zamierza mnie pani uspić? — zapytałem. — Czy związać?

Geli wyglądała tak, jakby miała na to wielką ochotę.

— Nie? Więc nie mamy o czym mówić.

Uniosła dłoń i leniwie przejechała palcem po kropkowanej bliźnie.

— Nie rozumiem, dlaczego jest pan w tak wojowniczym nastroju, doktorze.

— Sądzę, że doskonale pani rozumie.

— Pan coś ukrywa.

— Wobec tego jest nas dwoje.

— Próbuje pan obalić ten projekt.

— Niby jak miałbym to zrobić? I po co? Projekt i tak został już zawieszony.

Geli zaczęła oglądać paznokcie; dwa z nich miała ogryzione do mięsa. A więc może jednak nie jest zimna jak kamień?

— Ujawniając wszystko — odparła wreszcie.

To było to. Najgłębszy lęk paranoicznego umysłu wojskowego.

— Niczego takiego nie zrobiłem.

— Ale rozważa pan taką możliwość?

— Nie.

— Rozmawiał pan z prezydentem?

— W ogóle?

Nareszcie w jej głos wkradła się irytacja.

— Od czasu śmierci doktora Fieldinga.

— Nie.

— Wczoraj zostawił pan wiadomość w Białym Domu.

Poczułem, że się czerwienię.

— Tak.

— Dzwonił pan z publicznego telefonu.

— No to co?

— Dlaczego?

— Siadła mi bateria w komórce. — Proste kłamstwo, niemożliwe do sprawdzenia.

— Dlaczego nie zaczekał pan i nie zadzwonił z domu?

— Bo akurat wtedy nasza mnie ochota.

- Ochota na rozmowę z prezydentem Stanów Zjednoczonych?
- Owszem.
- Na temat śmierci Fieldinga?
- Między innymi.

Starannie ważyła następne słowa.

— Powiedział pan człowiekowi w Białym Domu, że nie chce pan, żeby inni członkowie Świętej Trójcy dowiedzieli się o pańskim telefonie.

Cisnienie spadło mi jak kamień do wody. Skąd wiedzieli, o czym mówiłem podczas rozmowy z budki telefonicznej? Musiał to być stały podsłuch, i to nie ze strony policji czy FBI. NSA codziennie rejestrowała miliony prywatnych rozmów telefonicznych; napędy dysków w podziemiach w Forcie Meade uruchamiały kluczowe słowa, takie jak „plastik”, „al-Kaida”, „szyfrowanie”, „materiały wybuchowe” czy nawet „Święta Trójca”. Przypomniałem sobie, że powiedziałem telefoniście w Białym Domu „Święta Trójca”, żeby przełączyła mnie do właściwej osoby. Prawdopodobnie NSA dysponowała zapisem mojej rozmowy od tej chwili aż do końca.

Wziąłem się w garść i ostro spojrzałem jej w oczy.

— Zostałem oddelegowany do tego projektu osobiście przez prezydenta. Nie przez NSA, Johna Skowa czy nawet samego Godina. Jestem tu po to, żeby oceniać problemy etyczne. Jeżeli uznam, że problem istnieje, składam raport bezpośrednio prezydentowi. W tej sprawie nikt tutaj nie ma nic do powiedzenia.

Rękawica została rzucona. Właśnie nakreśliłem linię między mną a wszystkimi innymi w budynku Świętej Trójcy.

Geli pochyliła się. Jej niebieskie oczy patrzyły na mnie wyzywająco.

- Ile ma pan telefonów komórkowych, doktorze?
- Jeden.
- Nie więcej?

Nagle rozjaśniło mi się w głowie. Wiedzieli, że dzwoniłem do Białego Domu, ale nie mieli pojęcia, czy prezydent do mnie oddzwonił. Podsłuchiwali moje telefony — te, o których wiedzieli — ale niepokojili się o te, których nie znali. A skoro tak, to nie mieli bezpośredniego dojścia do prezydenta, więc wciąż miałem szansę powiedzieć mu o moich podejrzeniach.

- Rachel Weiss ma komórkę — oznajmiła Geli.
Jej oczy wypatrywały najmniejszej reakcji z mojej strony.
Odetchnąłem powoli.
- Nie znam lekarza, który jej nie ma — odparłem spokojnie.
- Ale pan zna doktor Weiss lepiej niż wszystkich innych.
- Jest moją psychoterapeutką, jeśli o to pani chodzi.
- Jest jedyną osobą spoza personelu Świętej Trójcy, do której w ciągu ostatnich dwóch lat powiedział pan więcej niż pięćdziesiąt słów.
- Ciekawe, czy to prawda, pomyślałem.
- To samo odnosi się do doktor Weiss — dorzuciła Geli.
- Jak mam to rozumieć?
- Z nikim się nie spotyka. W zeszłym roku rak zabrał jej dziecko. Po śmierci chłopca mąż opuścił ją i wrócił do Nowego Jorku. Pół roku temu doktor Weiss od czasu do czasu zaczęła umawiać się na randki z kolegami z pracy. Kolacja, kino, tego typu rzeczy. Z nikim nie umówiła się więcej niż dwa razy. Dwa miesiące temu zupełnie przestała spotykać się z mężczyznami.
- Wcale mnie to nie dziwiło. Rachel była silną kobietą i wyobrażałem sobie, że niewielu mężczyzn potrafi sprostać jej wymaganiom.
- I co z tego?
- Myślę, że powodem jest pan, doktorze. Moim zdaniem doktor Weiss się w panu kocha.
- Roześmiałem się, szczerze się roześmiałem, po raz pierwszy od czasu, gdy zobaczyłem zwłoki Fieldinga.
- Doktor Weiss uważa, że mam halucynacje, panno Bauer. Że pewnie jestem schizofrenikiem.
- Nie zaniepokoiło jej to.
- Pocałowała pana wczoraj wieczorem. W domu Fieldinga.
- To był wyraz współczucia. Byłem przygnębiony śmiercią przyjaciela.
- Geli puściła to mimo uszu.
- Co pan powiedział doktor Weiss na temat Projektu Święta Trójca?
- Dobrze pani wie, że nic. Jestem pewien, że znalazła pani sposób, żeby nagrywać wszystkie nasze sesje.
- Zaskoczyła mnie, potwierdzając to lekkim skinieniem głowy.

— Kochankowie są nader pomysłowi — stwierdziła. — Być może udało wam się skontaktować nielegalnie. Tak jak wczoraj wieczorem.

— Wczoraj wieczorem po raz pierwszy w życiu zobaczyłem Rachel Weiss poza jej gabinetem. — Splotłem ramiona na piersi. — I nie zamierzam więcej o niej mówić. Ona nie ma nic wspólnego z projektem. Narusza pani prywatność obywatelki amerykańskiej, która nie podpisywała umowy ograniczającej jej prawa.

Tym razem w uśmiechu Geli błysnął cień okrucieństwa.

— Gdy chodzi o Świętą Trójcę, prywatność się nie liczy. Zgodnie z dyrektywą sto siedemdziesiąt trzy Ustawy o bezpieczeństwie narodowym, mamy prawo zatrzymać doktor Weiss na czterdzieści osiem godzin, nawet bez prawa do wykonania jednego telefonii.

Zagotowałem się z frustracji.

— Geli, czy pani wie, czym właściwie jest Projekt Święta Trójca?

Użycie jej imienia sprawiło, że przestała się uśmiechać, a moje pytanie zepchnęło ją do defensywy. Prędkiej by umarła, niż przyznała się, że nie zna najtajniejszych sekretów Świętej Trójcy, gdyby jednak powiedziała co innego, mogłaby stracić pracę. Nie odezwała się, przesyłała mnie tylko wściekłym spojrzeniem.

Zbliżyłem się do niej o krok.

— Ja wiem. Więc dopóki pani się tego nie dowie — i nie zrozumie pani w pełni znaczenia tego projektu — niech pani się tak nie pali do wykonywania rozkazów, jak przystało na posłuszną Niemkę.

Obelga trafiła w dziesiątkę. Geli spięła się, jak gdyby chciała się na mnie rzucić. Zrobiłem krok do tyłu i natychmiast pożałowałem swoich słów. Cóż mogłem zyskać, robiąc sobie z Geli Bauer osobistego wroga? W gruncie rzeczy był to wyjątkowo kiepski pomysł. Prawdopodobnie zabiła Fieldinga osobiście. Zdałem sobie sprawę, że to dlatego się na niej wyżywam.

— Na dzisiaj koniec — oznajmiłem, wyjmując kluczyki do samochodu. — Wracam w środę rano. Do tej pory niech pani trzyma swoje dobermany w ludzkiej skórze z dala ode mnie.

Odwróciłem się od niej.

— Doktorze Tennant?

Szedłem dalej.

— Tennant!

Nacisnąłem przycisk windy. Kiedy drzwi się otworzyły, wsiałem, lecz zaraz wyszedłem. Geli prawdopodobnie mogła jednym naciśnięciem guzika zamienić tę małą kabinę w więzienną celę. Równie łatwo mogła też zapieczętować cały budynek, ale mimo wszystko wybrałem schody.

Na podeście trzeciego piętra moje myśli wypełnił obraz Fieldinga, siedzącego w chmurze dymu. Anglik kopcił jak komin, ale na całym terenie kompleksu Świętej Trójcy palenie było zabronione, nawet dla głównych naukowców. Nie wynikało to z przepisów federalnych, po prostu Peter Godin nie znosił śladu dymu w powietrzu. Jak zawsze pomysłowy, Fielding znalazł miejsce, gdzie mógł oddawać się nałogowi. W laboratorium materiałowym na trzecim piętrze była wielka komora próżniowa, używana na wczesnym etapie projektu do testowania właściwości włókien węglowych o przekroju nanometra. W laboratorium były wykrywacze dymu, ale nie w komorze próżniowej. Fieldingowi udało się zgromadzić wokół komory tyle rozmaitych pudeł, że większość ludzi zapomniała o jej istnieniu. Jeśli nie mogłem go znaleźć gdzie indziej, wiedziałem, że zastanę go tam.

Gdyby Fielding znajdował się na terenie Świętej Trójcy i obawiał się o swoje życie, to pewnie chciałby się pozbyć kryształ, myślałem. Nie ukryłby go w gabinecie, który z pewnością by przeszukano. Ale komora próżniowa była raptem piętro niżej i raczej mógł być pewny, że w końcu zacznie szukać w jego nieformalnym sanktuarium.

Skreśliłem z klatki schodowej i ruszyłem do laboratorium materiałowego. Wyszli stamtąd dwaj inżynierowie pozyskani z Sun Microsystems i rozdzielili się, mijając mnie i zmierzając do windy. Zdobyłem się na wymuszony uśmiech i zwolniłem, by dotrzeć do laboratorium dopiero wtedy, gdy skreślę za róg.

W laboratorium nie było nikogo. Podszedłem szybko do sterty pudeł, które zasłaniały stalową komorę próżniową, i zacząłem robić dostęp do drzwi. Groźna machina przypominała komorę dekompresyjną dla nurków głębinowych, z bulajem zamiast okna i wielkim

stalowym kołem, osadzonym w wyglądających jak właz drzwiach. Przekręciłem koło otwierające wejście. Światła zapaliły się automatycznie.

Kiedy wszedłem do środka, serce zabiło mi szybciej. Pamiętałem szerokie półki, na których wały się narzędzia, imadła, stare strzepy włókien węglowych. Teraz w komorze nie było niczego. Nawet półki zniknęły. Pomieszczenie było wyczyszczone na cacy.

— Geli Bauer — szepnąłem.

Jeżeli Fielding ukrył tu zegarek, to teraz miała go Geli. Wybiegłem z komory, prawie pewien, że nadzieję się na nią w laboratorium. Ale nadal nikogo tam nie było, podobnie jak w korytarzu. Wróciłem na schody, zszedłem na drugie piętro i podszedłem do biurka ochrony, gdzie czekał na mnie Henry.

Wychodząc ze Świętej Trójcy, należało poddać się rewizji osobistej, by dowieść, że nie wynosi się z budynku dysków komputerowych czy papierów. Fielding musiał mieć niezłą zabawę za każdym razem, gdy Henry ignorował jego dewizkę z kryształem. Podchodząc do biurka zauważyłem, że Henry mówi coś do zamontowanego w kołnierzu mikrofonu.

— Co jest, Henry? — zapytałem, czekając, aż mnie zrewiduje.

— Momencik, doktorze.

Serce zabiło mi szybciej. Wyobraziłem sobie, jak Geli Bauer rozkazuje mu: „Nie wypuszczaj Tennanta z budynku...”.

— Naprawdę mi się śpieszy — powiedziałem. — Jestem umówiony.

Henry popatrzył na mnie i powiedział do mikrofonu:

— Właśnie tu jest.

Jezu! Skoro Geli pytała, czy jestem przy wyjściu, to znaczy, że nie obserwowała mnie przez kamery ze swojego pokoju. Prawdopodobnie była w drodze tutaj. Kora mózgowa podpowiadała mi, żeby uciekać, gdzie pieprz rośnie, ale jak daleko bym zwiął? Niewinny z pozoru Henry był uzbrojony w glocka kaliber dziewięć milimetrów. Mimo wszystko wymagało to nadludzkiej siły woli, by nie rzucić się do drzwi.

Przez kilka sekund Henry słuchał tego, co dobiegało ze słuchawki w jego uchu; był wyraźnie zdziwiony.

— Jest pani pewna? — zapytał. — Dobrze.

Wyszedł z biurka, a ja nagle zdałem sobie sprawę, że jeśli sięgnie po broń, następne kilka sekund podyktuje mi instynkt przeżycia. Spałem się, kiedy opuścił ręce, ale zaraz przykucnął i jak zwykle zaczął mnie obmacywać, zaczynając od dołu nogawek.

Geli postanowiła mnie puścić. Dlaczego? Bo nie jest pewna, czy nie rozmawiałem z prezydentem.

— Miło, że pan wychodzi — rzekł Henry, poklepując mnie po ramieniu. — Przez chwilę myślałem, że ona... że oni każą mi pana zatrzymać.

Patrząc w oczy Henry'ego, ujrzałem coś, czego nie rozumiałem. Nagle pojąłem. Henry nie lubił Geli Bauer, tak samo jak ja. Bał się jej.

Zaledwie przeszedłem przez drzwi ze zbrojonego szkła, odezwała się moja komórka. Wcisnąłem odbiór i przyłożyłem ją do ucha.

— Halo?

— David! Gdzieś ty się podziewał?

— Nie przedstawiaj się — warknąłem, poznając głos Rachel.

— Od godziny próbuję cię złapać!

Sygnały telefonii komórkowej nie przechodziły przez miedzianą siatkę, którą otoczony był gmach Świętej Trójcy.

— Po prostu powiedz mi, co się stało.

— Byłeś rano w moim gabinecie?

— W twoim gabinecie? Oczywiście, że nie. Po co?

— Bo ktoś praktycznie rozerwał go na strzępy. Twoje akta zniknęły, wszystko jest wywrócone do góry nogami.

Nabrałem pełne płuca powietrza i zmusiłem się, by dalej iść w stronę samochodu.

— Nawet nie zbliżałem się dzisiaj do twojego gabinetu. Dlaczego sądzisz, że mógłbym zrobić coś takiego?

— Żeby uwiarygodnić swoje urojenia! Żebym uznała je za prawdę!

Krzyczała jak w ataku hysterii. Czy wczoraj wieczorem niczego nie zrozumiała?

— Musimy porozmawiać. Ale nie tak. Jesteś teraz w gabinecie?

— Nie, na autostradzie numer piętnaście.

Tą drogą mogła dojechać z Centrum Medycznego Duke'a do Chapel Hill.

— Jedziesz taksówką?

— Nie. Rano odebrałam swój samochód.

— Spotkajmy się tam, gdzie nagrywałem wideo.

— To znaczy...

— Wiesz gdzie. Już jadę. Teraz się rozłącz.

Zrobiła to.

Ze wszystkich sił starałam się, żeby kilku ostatnich metrów dzielących mnie od samochodu nie pokonać biegiem.

Rozdział 12

Biały saab Rachel stał zaparkowany przed moim domem, a ona sama siedziała na frontowych schodach, z brodą opartą na dłoniach, niczym licealistka czekająca na rozpoczęcie lekcji. Zamiast tradycyjnej jedwabnej bluzki i spódnicy miała na sobie dżinsy i białą bawełnianą koszulę. Nacisnąłem klakson. Podniosła wzrok, bez uśmiechu. Skinąłem jej ręką, wjechałem do garażu i przeszedłem przez dom, by otworzyć jej drzwi od środka.

— Przepraszam, że czekałaś — powiedziałem, wypatrując na ulicy nieznanych mi pojazdów.

Oczy miała czerwone od płaczu. Weszła do salonu, ale nie usiadła. Krążyła między moimi skromnymi meblami, nie mogąc się zatrzymać.

— Opowiedz mi, co się stało — poprosiłem.

Przystanęła na chwilę, by przeszyć mnie wściekłym wzrokiem, po czym podjęła spacer.

— Byłam w szpitalu, u pacjenta, który dwa dni temu próbował popełnić samobójstwo.

— I...?

— Postanowiłam zajrzeć do gabinetu i trochę popracować. Kiedy dotarłam na miejsce, uświadomiłam sobie, że ktoś tam był. To znaczy, gabinet był zamknięty, ale wiedziałam, rozumiesz mnie?

— Mówiłaś, że roznieśli wszystko na strzępy.

Spojrzała gdzieś w bok.

— Niezupełnie. Ale wiele rzeczy było nie na swoim miejscu. Wiem, bo lubię układać wszystko według pewnego schematu. Książki od najmniejszych do największych, papiery poukładane... nieważne.

— Cierpisz na natręctwa?

Jej ciemne oczy błysnęły.

— Są gorsze rzeczy od natręctw.

— Zgoda. Mówiłaś, że brakuje moich akt?

— Tak.

— A brakuje też akt innych pacjentów?

— Nie.

— Więc o to chodzi. Nie rozumiem tylko, po co ukradli moje akta. Dlaczego ich po prostu nie skopiowali? Jestem pewien, że czytali je wcześniej. Prawdopodobnie czytają je co tydzień.

Rachel przestała krążyć po pokoju i spojrzała na mnie z niedowierzaniem.

— Jak to możliwe?

— Ktoś zakradł się do twojego gabinetu. Prawdopodobnie w nocy po moich sesjach.

— Dlaczego wcześniej niczego nie zauważyłam?

— Może tym razem się śpieszyli.

— Dlaczego?

— Bo się boją.

— Czego?

— Mnie. Tego, co zrobiłem. Co mogłem zrobić.

Przysiadła na skraju kanapy, jakby chciała wziąć się w garść.

— Davidzie, chciałabym mieć jasność na ten temat. Kim są ci „oni”? NSA?

— I tak, i nie. To ludzie z ochrony Projektu Święta Trójca, który jest finansowany przez NSA.

— I według ciebie to oni zamordowali Andrew Fieldinga?

— Tak.

Rachel zamknęła oczy.

— Mój znajomy z centrum medycznego przebadal ten biały proszek, który mi dałeś. Nie jest skażony węglikiem ani żadnym znanym patogenem czy trucizną. — Otworzyła oczy i spojrzała na mnie. — To piasek, Davidzie. Gips. Biały piasek. Zupełnie niegroźny.

Mój umysł zaczął roztrząsać możliwe znaczenia tego faktu.

Mikroczipy robiono z krzemu, rodzaju piasku. Czyżby gips był podstawą nowego półprzewodnika, odkrytego przez Godina? Może Fielding chciał mi to powiedzieć, nie popadając w dosłowność...

— Czy próbowałaś znowu skontaktować się z prezydentem? — spytała Rachel.

Zatkało mnie.

— Cholera! — jęknąłem po chwili.

— Co się stało?

— Zapomniałem sprawdzić automatyczną sekretarkę. Przepraszam na moment.

Wszedłem do kuchni. Ekran urządzenia wskazywał, że mam jedną wiadomość. Kiedy nacisnąłem guzik, z małego głośnika popłynął głos z akcentem z Nowej Anglii:

— Doktor Tennant? Mówi Ewan McCaskell, szef sztabu prezydenta. Przypominam sobie pańską wizytę sprzed dwóch lat. Właśnie dostałem wiadomość od pana. Z pewnością rozumie pan, jacy tu jesteśmy zajęci. Nie mogę niepokoić prezydenta, zanim nie dowiem się, o co chodzi, ale chciałbym porozmawiać z panem jak najszybciej. Proszę pozostać pod tym numerem, oddzwonię, jak tylko znajdę czas.

Ogarnęła mnie nieopisana ulga. Przytrzymałem się blatu, żeby nie stracić równowagi. Aparat wskazywał, że McCaskell dzwonił dwadzieścia minut temu.

— Kto to był? — spytała Rachel.

Powtórnie puściłem wiadomość, żeby mogła posłuchać.

— Przyznaję, że brzmi jak Ewan McCaskell — powiedziała.

— Jak on? To był on! Naprawdę nie zrozumiałaś nic z tego, co widziałaś wczoraj wieczorem?

Odsunęła krzesło od kuchennego stołu i usiadła naprzeciwko mnie.

— Posłuchaj, Davidzie, czy wiesz, dlaczego tu jestem? Dlaczego pomogłam ci wczoraj wieczorem?

— Słucham.

— Z powodu twojej książki.

— Mojej książki?

— Tak. W szpitalu codziennie stykam się z rzeczami, o których nie uczyli mnie na studiach. Z przypadkami, które wypełniają lukę między prawdziwym życiem a przepisami prawa. Z dylematami, do

których rozwiązania rządowi brakuje jaj. Robię wtedy, co mogę... czasami skarżę się innym lekarzom, ale to tyle. Ty to wszystko opisałeś, by mogli to przeczytać ludzie na całym świecie, zupełnie nie przejmując się tym, jakie skutki przyniesie to dla ciebie. Aborcja. Dbanie o pacjentów u schyłku życia kontra opieka prenatalna. Eutanazja. Mój Boże, napisałeś o tym, jak pomogłeś umrzeć własnemu bratu!

Zamknąłem oczy i ujrzałem mojego starszego brata. Z powodu spustoszeń, jakie poczyniła w nim ALS, choroba Lou Gehringa, mógł poruszać jedynie powiekami. A potem nawet i to nie. Zawarliśmy układ. Gdy dojdzie do tego etapu, pomogę mu skrócić jego ostatnie dni.

— Omal tego nie pominąłem — rzekłem.

Wyciągnęła rękę i złapała mnie za ramię.

— Ale tego nie zrobiłeś. Podjąłeś ryzyko i pisząc o tym, pomogłeś rzeszom ludzi. Ludzi, których nigdy nie poznasz. Ale oni znają ciebie. Ja też cię znam. Teraz jednak to ty jesteś chory. Od miesięcy potrzebowałeś pomocy, a konwencjonalna terapia nie dawała rezultatów. Nie mogłam się przebić przez mur, którym się otoczyłeś. — Ścisnęła mocniej moje ramię i uśmiechnęła się, by dodać mi otuchy. — Wierzę, że twoja praca jest związana z jakimś specjalnym projektem, zgoda? Ale powiedz mi jedno: jeżeli komputer Świętej Trójcy jest tym wszystkim, o czym mi mówiłeś, to co ty tu robisz? Rozumiesz? Napisałeś wspomniała książkę. Prezydent znał twojego brata. Ale czy to cię uprawnia do wydawania sądów na temat nauki, o której mi opowiadałeś?

Miała rację. Jednak dochodziło do tego coś jeszcze. Od tak dawna utrzymywałem moją przeszłość w tajemnicy, że mówienie teraz na ten temat wymagało nadzwyczajnej siły woli.

— Mój ojciec był fizykiem nuklearnym — powiedziałem cicho. — Podczas wojny pracował w Los Alamos. Był najmłodszym fizykiem zatrudnionym przy Projekcie Manhattan.

Ciemne oczy Rachel zabłysły.

— Mów dalej.

— Zrobiłem doktorat z fizyki teoretycznej. Na MIT *.

* Massachusetts Institute of Technology

— Boże jedyny! Ja naprawdę nic o tobie nie wiem, prawda?
Dotknąłem jej ramienia.

— Ależ wiesz. Widzisz, mój ojciec wchodził w skład grupy, która protestowała przeciwko wykorzystaniu tej bomby. Razem z Leo Szilardem, Eugene'em Wignerem i innymi. Niemcy się poddali, a Japończycy po prostu nie mieli środków, żeby zbudować bombę atomową. Grupa mojego ojca chciała, żeby zademonstrować tę bombę japońskiej armii, a nie zrzucić ją na cywili. Zignorowano ich opinię, no i Hiroszima przeszła do historii.

Teraz jednak żyjemy w innym świecie. Kiedy tylko prezydent uświadomił sobie istotę Świętej Trójcy — na litość boską, w końcu mówimy o uwolnieniu ludzkiej inteligencji od ciała — zdał sobie sprawę z reperkusji politycznych, gdyby społeczeństwo dowiedziało się, że zaakceptował projekt, nie dbając o aspekt etyczny. Popatrz na całe to szaleństwo związane z klonowaniem czy badaniem tkanek płodowych. No więc prezydent zarządził nadzór etyczny. Znał moją książkę, wiedział, że ludzie mi wierzą, a on sam ufał mi, dlatego że znał mojego brata. Poza tym mój rodowód protestowania z powodów moralnych sięgał wstecz do mojego ojca i Projektu Manhattan. Któż więc lepiej nadawałby się do tej roboty?

Rachel kiwała głową.

— Dlaczego zostałeś lekarzem, a nie fizykiem?

Nie potrafiła zapomnieć o tym, że jest psychiatrą. A może po prostu wychodziła z niej kobieta?

— Po Hiroszynie ojcu kiepsko się wiodło. Edward Teller szykował się do skonstruowania superbomby wodorowej. Oppenheimer był temu przeciwny. Podobnie mój ojciec, który poprosił o przeniesienie. Generał Groves nie chciał go zwolnić, ale zgodzili się przydzielić mu bardziej techniczne prace, z dala od głowic atomowych. Przenieśli go do rządowego laboratorium w Oak Ridge, w Tennessee.

— Dlaczego po prostu nie zrezygnował?

— W końcu to zrobił. Ale mówimy o czasach zimnej wojny. Wtedy były inne naciski. Oppenheimera latami prześladowano za jego sprzeciw wobec bomby wodorowej. No i w Oak Ridge ojciec poznał moją matkę. Wszystko zaczęło się układać. Urodził się mój brat. Ja przyszedłem na świat dużo później. To była wpadka. — Uśmiechnąłem się na wspomnienie rodziców, kiedy poinformowali mnie o tym

fakcie. — Wychowywałem się w Oak Ridge, ale gdy byłem nastolatkiem, ojciec porzucił fizyką nuklearną i przenieśliśmy się do Huntsville, w Alabamie, żeby mógł pracować nad programem kosmicznym.

— Nadal nie widzę związku z medycyną.

— W Oak Ridge matka pracowała jako pediatra. Robiła wiele dobrego. Nie trzeba było być geniuszem, żeby zauważyć, że praca dawała jej o wiele więcej radości niż ojcu. To właśnie wpłynęło na moją decyzję.

Rzuciłem okiem na telefon, z nadzieją, że wreszcie zadzwoni.

— Wczoraj wieczorem wyjawilem ci tylko część prawdy. Kiedy prezydent zaproponował mi to stanowisko, miałem wrażenie, że to jakaś poetyczna sprawiedliwość. Dostałem możliwości, jakich ojciec w Los Alamos nigdy nie miał. Szansę sprawowania kontroli nad wielkim przedsięwzięciem, które najprawdopodobniej miało na zawsze zmienić świat. Na lepsze albo na gorsze. Poczulem to w dniu, kiedy odwiedziłem Gabinet Ovalny, i dlatego tu jestem.

Rachel nabrała głęboko powietrza i wypuściła je powoli.

— To się dzieje naprawdę? Mam na myśli Świętą Trójcę.

— Tak. I cieszę się jak cholera, że McCaskell oddzwonił. Potrzebny nam jest prezydent, i to szybko.

Wstałem, chcąc jeszcze raz odtworzyć wiadomość od McCaskella, ale ogarnęła mnie fala zmęczenia. Miałem nadzieję, że to tylko wyczerpanie, poczułem jednak znajome wibrowanie w zębach trzonowych. Pamiętając, że skończyła mi się amfetamina, wyjąłem z lodówki puszkę Mountain Dew, otworzyłem i wypilem głęboki haust kofeiny.

— Davidzie? — Rachel przyglądała mi się podejrzliwie. — Dobrze się czujesz? Jesteś roztrzęsiony.

— Być może odlece — odparłem, pociągając następny łyk.

— Odleczysz? — Jej oczy się rozszerzyły. — Narkolepsja?

Nigdy nie była świadkiem moich ataków śpiączki. Kiedy potwierdziłem skinieniem głowy, oczy zasnął mi cień. Pozostawił we mnie niejasne poczucie zagrożenia, jak gdyby ktoś tam z nami był, ktoś niewidzialny.

— Coś przegapiłem — wyraziłem na głos moje myśli.

— O czym ty mówisz?

Przed oczami stanął mi obraz Geli Bauer.

— Jesteśmy w niebezpieczeństwie.

Rachel była wyraźnie zmartwiona, ale nie jakimś zewnętrznym zagrożeniem, lecz mną.

— W jakim niebezpieczeństwie?

— Rzecz w tym, jak to się wszystko odbywa. Godin daje nam wolne... z twojego gabinetu giną moje akta... McCaskell do mnie dzwoni. Coś przegapiłem, ale nie mam siły nad tym pomyśleć.

— Myślałam, że telefon od McCaskella to dobra wiadomość?

— Owszem. Tylko że... — Pomimo senności poczułem nieodparte pragnienie trzymania broni w ręku. — Zrób coś dla mnie. Poczekaj tu dwie minuty.

— Co? — Jej oczy pociemniały ze zmartwienia. — Dokąd się wybierasz?

— Do domu sąsiada. — Szybko ruszyłem do tylnych drzwi.

— Davidzie? A jeśli stracisz przytomność?

— Nie otwieraj drzwi! — krzyknąłem. — Jeśli zadzwoni telefon, odbierz i powiedz, że zaraz wracam.

Wybiegłem na dwór i przedarłem się przez gęsty żywopłot, który odgradzał podwórka domów na mojej ulicy. Popędziłem trzy domy dalej i znów przeszedłem przez żywopłot przy szopie na narzędzia sąsiada. Około drugiej w nocy wysliznąłem się z domu i ukryłem tam pudełko Fieldinga. Były w nim elektroniczne gadżety Andrew, list od niego, moja częściowo nagrana taśma wideo i rewolwer. Ukłąłem i wyjąłem pudełko, wyczołgałem się za żywopłot i biegiem wróciłem do siebie. Zanim tam dotarłem, czułem się jak pijak biegnący przez nieznanne miasto.

Rachel czekała tuż za tylnymi drzwiami.

— To rzeczy z ubiegłej nocy? Po co ci to?

Przekręciłem pudełko tak, żeby mogła zobaczyć broń. Cofnęła się.

— Davidzie, przerażasz mnie!

— Musisz stąd zniknąć. Dopóki nie opowiem wszystkiego McCaskellowi, musisz się trzymać z daleka. — Postawiłem pudełko na podłodze, wetknąłem rewolwer za pasek i zaprowadziłem ją do frontowej części domu. — Resztę dnia spędź w jakimś miejscu publicznym, na przykład na deptaku. Nie wracaj do domu, dopóki nie dam ci znać.

Obróciła się, żebym nie mógł nadal popychać jej w stronę drzwi. Jej asertywność doprowadziła do otwartego konfliktu.

— Dość tego! Jesteś w takim stanie, że sam mógłbyś się mprzy-
padkiem postrzelić.

Chciałem odpowiedzieć, lecz słowa ulatywały na skraj mojego ciemnego umysłu. Wiedziałem, że za niecałą minutę stracę przytomność.

— Zaraz urwie mi się film.

Chwyliła mnie za ramię i zaciągnęła do przedpokoj, rozglądając się za miejscem, gdzie mogłaby mnie położyć. Wskazałem na drzwi gościnnej sypialni. Wyczuwając, że za chwilę się przewrócę, wepchnęła mnie tam i padłem twarzą na materac.

— Masz jakieś lekarstwa?

— Skończyły się.

Jej kroki się oddaliły. Usłyszałem trzask drzewiczek szafki i głos Rachel, która mówiła sama do siebie. Kiedy głos się zbliżył, udało mi się odwrócić na plecy. W drzwiach majaczyła ciemna sylwetka.

— Parzę kawę — powiedziała Rachel. — Śpisz?

— Coś w tym rodzaju.

Przyglądała mi się tak, jakby obserwowała zwierzę podczas eksperymentu.

— W kuchni nie ma nic do jedzenia. Tylko solone krakersy, twarde jak skała. Kiedy ostatnio robiłeś zakupy?

Nie mogłem sobie przypomnieć. Ostatnie tygodnie spędziłem, nieustannie pracując z Fieldingiem nad eksperymentami, których prawie nie rozumiałem.

Rachel usiadła na łóżku i dotknęła mojej tętnicy szyjnej. Jej palce były chłodne.

— Ja też tak żyłam przez jakiś czas — wyznała, spoglądając na zegarek. Jej wargi poruszały się bezgłośnie, gdy liczyła puls. — Kiedy straciłam syna. Mówię o tym, że też nie robiłam zakupów. Nie płaciłam rachunków. Nie kąpałam się. Przypuszczam, że mężczyzna potrzebuje więcej czasu, żeby się pozbierać. W końcu wykorzystałam te drobne zajęcia domowe do tego, by zaprowadzić porządek w swoim życiu. Dzięki temu nie zwariowałam.

Poczułem, że moje wargi składają się do uśmiechu. Podobało mi

się, że jako psychiatra nie obawiała się używać takich słów jak „zwarłować”. No i przyjemnie było czuć jej palce na szyi. Chciałem powiedzieć coś na temat jej dotyku. Kogoś mi przypominał, ale nie pamiętałem, kogo...

— Kiedy masz urodziny? — zapytała.

Nie pamiętałem.

— Davidzie!

Zalala mnie czarna fala, pogrążając w ciemności.

Idę chodnikiem podmiejskiego osiedla, patrząc na idealne szeregi idealnych domków. To ulica Wierzbowa. Mieszkam na niej — a w każdym razie tam nocuję — ale nie ma nic wspólnego z ulicą, na której mieszkałem jako dziecko. Na Wierzbowej prawie nie znam sąsiadów, niektórych nawet wcale. NSA przykazała mi, żebym nie zawierał przyjaźni, co okazało się łatwe. Na Wierzbowej nikt się nie wysila. W Oak Ridge domki były mniejsze, ale potrafiłem wymienić z nazwiska wszystkich mieszkańców. Moje niewielkie sąsiedztwo było światem samym w sobie, pełnym twarzy, które znałem jak twarze członków swojej rodziny. Na Wierzbowej dzieciaki przesiadują w domach, a nie na dworze. Ojcowie nie strzygą trawników, robią to wynajęci ludzie. W Oak Ridge ojcowie dbali o trawniki jak o swoje małe lenno, godzinami dyskutując z innymi o kosiarkach do trawy i nawozach.

Skręcam i widzę mój dom. Białe, z zielonymi wykończeniami. Z zewnątrz wygląda na dom, ale nigdy nie czułem się w nim jak w domu. Po ulicy wałęsa się bezpański czarny labrador — tutaj to rzadki widok. Nadjeżdża lexus i mijając mnie, zwalnia. Macham kobiecie za kierownicą; jest wysoka i władcza. Spogląda na mnie, jakbym był niebezpiecznym intruzem. Przechodzę na drugą stronę ulicy i zmierzam do drzwi mojego domu.

Sięgam do kieszeni po klucz, a potem do klamki. Wkładam coś do zamka, ale... to nie jest mój klucz. To coś jest cienkie i metaliczne, jak pilnik. Gmeram tym w zamku. Po chwili oporu ustępuje. Otwieram drzwi, wślizguję się do środka i zamykam je za sobą.

Sięgam do drugiej kieszeni; moja ręka natrafia na coś zimnego. Obejmuję palcami drewno i wyciągam dłoń, zaciśniętą na rękojeści pistoletu samopowtarzalnego. Nie poznaję go. Z drugiej kieszeni

wyciągam perforowany tłumik i powoli przykręcam go do lufy pistoletu. Zaskakuje z przyjemną nieodwołalnością. Stojąc w przedpokoju, słyszę brzęk szkła. Ktoś jest w kuchni. Ostrożnie robię krok do przodu, badając deski podłogi, i ruszam dalej...

Obudziłem się, przerażony, i szarpnąłem broń z za paska. Rewolwer, nie pistolet. Bez tłumika. Chciałem zawołać Rachel, ale się powstrzymałem. Jednym ruchem sturlałem się z łóżka, wylądowałem na nogach i podszedłem do drzwi sypialni.

Początkowo usłyszałem tylko głos kobiety. Nucila coś, co brzmiało jak *California* Joni Mitchell.

Drewniana podłoga w przedpokoju zaskrzypiała.

Cichutko wciągnąłem powietrze i zatrzymałem je w płucach.

Podłoga znowu skrzypnęła. Ktoś miała moje drzwi od prawej do lewej. Zamknąłem oczy i czekałem. Kolejne skrzypnięcie. Spokojnie policzyłem do dziesięciu. Potem wyciągnąłem wolną rękę i powoli przekręciłem klamkę. Kiedy obróciła się do końca, jednym ruchem otworzyłem drzwi, wyskoczyłem do przedpokoju i wycelowałem trzydziestkęósemkę w lewo.

Dwa metry ode mnie stał długowłosa blondyn. Jego wyciągnięte ręce ginęły w kuchni. Nie widziałem jego dłoni, wiedziałem jednak, że trzyma broń.

Nacisnąłem spust.

Nie nastąpił huk ani odrzut. Zapomniałem odciągnąć kurek, więc działający na dwa suwy spust przesunął się tylko do połowy. Kiedy naprawiałem swój błąd, blondyn okręcił się na pięcie i ukazał się pistolet z tłumikiem. Jego wylot był czarny, bezdenny. Nagle mój rewolwer wypalił i przedpokój oświetlił pomarańczowy błysk. Oślepiiony, przymknąłem oczy, a gdy je znów otworzyłem, blondyna nie było.

Kobiecy wrzask świdrował mi bębenki uszu jak szpila.

Spojrzałem w dół. Blondyn leżał na podłodze; z jego głowy płynęła krew. Podszedłem i przydeptałem nadgarstek dłoni ściskającej pistolet. Wrzaski nie ustawały. Zerknąłem na prawo. Rachel stała przyciśnięta plecami do zlewozmywaka. Twarz miała szarą, usta otwarte.

— Dość tego! — ryknąłem. — Przestań!

Jej usta pozostały otwarte, ale krzyk ucichł.

Wyjąłem pistolet z dłoni blondyna i sprawdziłem jego puls na

ramieniu. Nitkowaty. Kula przebiła czaszkę tuż nad prawym uchem. Szare oczy mężczyzny były szkliste, nieruchome powieki rozszerzone. Pochyliwszy się, ujrzałem odsłoniętą korę mózgową. Facet nie przeżyje pięciu minut.

Bardziej wyczułem, niż zobaczyłem, że Rachel się poruszyła. Podniosłem wzrok i zobaczyłem, że ściska słuchawkę telefonu w kuchni i zabiera się za wykręcanie numeru.

— Odłóż to.

— Wzywam pogotowie!

— Jemu już nic nie pomoże.

— Skąd możesz to wiedzieć?!

— Wiem. Zbadaj go, jeśli mi nie wierzysz. — Wyprostowałem się.

— A gdyby nawet, to nie stać nas na takie ryzyko.

— Co takiego?! O co ci chodzi?

— Jak ci się zdaje, kim on jest? Jakimś narwańcem z ulicy? Świrem, który włamał się do mojego domu w biały dzień? Przyjrzyj mu się.

Na sekundę spuściła wzrok.

— Nie wiem kto to. A ty go znasz?

Patrząc na ruinę młodej twarzy, uświadomiłem sobie, że tak. W każdym razie już go widywałem. Niezbyt często. Mijałem go na parkingu Świętej Trójcy — wysokiego smukłego blondyna, jakiego można spotkać na górskich szlakach w Europie. Podobnie jak Geli Bauer, miał budowę alpinisty albo żołnierza jednostek specjalnych.

— Znam go. Pracuje dla Geli Bauer.

Rachel skrzywiła się, skonfundowana.

— Kim ona jest?

— Ona to Święta Trójca. To Godin. To NSA. — Odłożyłem rewolwer i pistolet na kuchenny blat. — Ktoś kazał jej, żeby mnie wykończyła. I najwyraźniej ciebie też.

W głębi duszy nie dopuszczałem do siebie myśli, że Peter Godin zlecił zamordowanie mnie. Tyle że w Świętej Trójcy nic nie działa się bez jego zgody.

— Musimy wezwać policję — oświadczyła Rachel. — Nic nam nie zrobią. On chciał mnie zastrzelić. To była samoobrona albo zabójstwo usprawiedliwione, jak to zwał, tak zwał.

— Policję? Nie możesz wezwać lokalnej policji, żeby badała NSA. Już ci to tłumaczyłem.

— Dlaczego nie? Chciał mnie zabić. To przestępstwo stanowe. Omal się nie roześmiałem.

— NSA jest największą i najbardziej tajną agencją wywiadowczą w Stanach. Wszystko, co robią, jest tajne. Żeby jakiś gliniarz mógł przekroczyć bramę w Forcie Meade, potrzebny byłby wyrok sądu.

— Nie jesteśmy w Forcie Meade.

— Według NSA jest tak, jakbyśmy tam byli. Posłuchaj, dopóki nie porozumiem się z prezydentem, jesteśmy zdani na własne siły. Rozumiesz?

Popatrzyła na coraz większą kałużę krwi.

— A jednak może to jest jakiś czubek.

— Czy ty nic a nic nie rozumiesz? Właśnie dlatego ukradli moje akta z twojego gabinetu!

— Słucham?

— Już wtedy wiedzieli, że cię zabiją.

Otworzyła usta, ale się nie odezwała.

— Inaczej skopiowałiby akta i zostawili je na miejscu. Ale nie chcieli zostawić w twoim gabinecie niczego takiego, dzięki czemu policja z Durham mogłaby powiązać cię z projektem.

Kręciła głową, ale trudno było zakwestionować logikę tego wyводу. Włożyłem pistolet za pasek i podniosłem swoją trzydziestkę-semkę.

— Musimy się stąd wynosić. I to szybko. W pobliżu mogą być inni.

Wytrzeszczyła oczy.

— Inni?!

Nagle zrozumiałem.

— NSA podsłuchuje moje rozmowy telefoniczne. Kiedy usłyszeli, jak Ewan McCaskell zostawia wiadomość, zorientowali się, że nie rozmawiałem jeszcze z prezydentem. Tylko na to czekali. A ja byłem zbyt podniecony, żeby dostrzec implikacje tego faktu.

Chwyliłem ją za rękę. Była zimna i bezwładna.

— Musimy uciekać, Rachel. Natychmiast. Inaczej zginiemy.

— Uciekać? Dokąd?

— Dokądkolwiek. Musimy zniknąć.

— Nie. Nie zrobiliśmy nic złego.

— To nie ma nic do rzeczy. — Wskazałem człowieka na podłodze i zauważyłem, że przestał oddychać. — Czy uważasz, że ten trup to kolejna z moich halucynacji?

— Zabiłeś go — stwierdziła głosem małego dziecka.

— I zrobiłbym to jeszcze raz. Właśnie zamierzał strzelić ci w głowę.

Rachel zachwiała się. Podtrzymałem ją i zaprowadziłem do gościnnej sypialni, gdzie kilka minut temu leżałem nieprzytomny.

— Poczekaj tu. Muszę po coś pójść. — Próbowałem wcisnąć jej rewolwer do ręki, ale wzbraniała się. — Weź go — nalegałem, zaciskając jej palce na rękojęści. — Jeżeli opuścisz ten dom sama, zginiesz.

Patrzyła na mnie pustym wzrokiem. Wyjąłem zza paska pistolet z tłumikiem i sprawdziłem, czy jest odbezpieczony.

— Obiecuj mi, że stąd nie wyjdiesz.

— Nie wyjdę — odparła głucho.

Wyszedłem z pokoju i pobiegłem na górę. Moja sypialnia znajdowała się po lewej stronie schodów. Po prawej był pokój, który traktowałem jak magazyn. Przyciągnąłem tam stare krzesło i stanąłem na nim. Maksymalnie wyciągając ręce, z trudem sięgnąłem do kawałka dykty zasłaniającego wejście na poddasze. Wyjąłem drewniany kwadrat, podciągnąłem się i precyzyjnie przeszedłem przez otwór.

Zgięty wpół, by nie nadziać się na wystające z dachu gwoździe, balansując na dwóch krokwiach, rozejrzałem się w poszukiwaniu moich rzeczy. Przez otwory w okapie i sklepieniu wpadało dostatecznie dużo światła, bym odnalazł drogę. Pokuśtykałem siedem metrów w prawo i ukląknęłam. Na różowej izolacji z włókna szklanego leżał młotek i łom — zostawiłem je tam cztery tygodnie wcześniej, jak gdybym porzucił je przypadkiem. Wziąłem je i szybko przeszedłem do miejsca, gdzie podłoga była wykonana z półcentymetrowej sklejki.

Wsadziłem łom w szparę między dwiema płytami, wbiłem go mocniej i napałem z całej siły. Sklejka pękła. Wepchnąłem łom do powstałego otworu i szarpnąłem w górę, wyrwijąc w sklejkę półmetrową dziurę. Z ciemnej jamy poniżej wyjąłem małą nylonową torbę sportową i otworzyłem suwak. Sączące się przez okap światło wydobyło

z mroku prostokątne zarysy paszportu i dwa grube pliki studolarówek. W sumie dwadzieścia tysięcy.

Pięć tygodni temu, gdy Fielding oświadczył, że muszą przygotować sobie taką torbę, roześmiałem mu się w twarz. On jednak wiedział, że taki dzień nadejdzie. Zasunąłem suwak, niczym krab przelałem po krokwiach do otworu w suficie i zrzuciłem torbę na podłogę komórki. Kiedy opuszczałem się na krzesło i zamykałem otwór płytą z dykty, ramiona dygotały mi z wysiłku.

Zaledwie dotknąłem stopami podłogi, przed oczami stanął mi obraz Rachel, w panice uciekającej z domu. Złapałem torbę i zbiegłem na dół.

Wciąż siedziała na łóżku, w jej oczach malowała się pustka.

— Czas na nas — powiedziałem. — Jesteś gotowa?

Zamrugła, ale nie odezwała się.

Wziąłem ją za rękę i poderwałem na nogi.

— Rachel, przez pięć minut musisz się trzymać. Potem możesz sobie zemdleć, jeśli chcesz. Idziemy.

Poprowadziłem ją przez kuchnię do pralni, a z niej do garażu. Zostawiłem ją tam, zabrałem pudełko Fieldinga spod tylnych drzwi domu, wróciłem i odebrałem jej rewolwer.

— Potrzymaj — poleciłem, wręczając jej pudełko. — Czekaj tu, dopóki cię nie zawołam.

Nie zwlekając, by nie obezwładnił mnie strach, otworzyłem drzwi i z pistoletem w wyciągniętej ręce wpadłem do garażu, omiatając go od prawej do lewej.

Wyglądało na to, że nikogo nie ma.

Szybko sprawdziłem swoją acurę, po czym opadłem na kolana i zajrzałem pod podwozie.

— Chodź! — zawołałem. — Szybko!

Buty Rachel zastukały na gładkim betonie. Otworzyłem jej drzwi od strony pasażera, wziąłem pudełko Fieldinga i postawiłem na tylnym siedzeniu.

— Jeżeli coś złego ma nas spotkać, to teraz — powiedziałem, siadając za kierownicą. — Pochyl się.

Zsunęła się na podłogę. Czubek jej głowy wystawał ponad krawędź drzwi. Przycisnąłem ją nieco, po czym zapuściłem silnik i wrzuciłem wsteczny bieg.

— Nie podnoś się.

Wcisnąłem przycisk pilota, przyklejonego do osłony przeciwsłonecznej. Nad nami zajęczał silnik i szerokie białe drzwi zaczęły się unosić. Z pistoletem zabójcy w ręku, wypatrywałem czyichś nóg w coraz większym prostokącie światła.

Niczego nie zobaczyłem.

Zaledwie drzwi garażu uniosły się powyżej dachu samochodu, wcisnąłem gaz do dechy. Acura wyskoczyła tyłem na beton i oślepiające słońce. Trąciłem pilota, by opuścić drzwi garażu, i przekręciłem kierownicę w lewo. Nie dotknąłem hamulca, dopóki samochód nie znalazł się na Wierzbowej.

— Co się stało? — krzyknęła Rachel, zaniepokojona nagłym hamowaniem.

— Nie podnoś głowy!

Gdyby ulica była czysta, miałem zamiar przejechać powoli, jednak hamując, niemal poczułem, jak niewidoczny snajper bierze nas na cel. Wrzuciłem bieg, wcisnąłem gaz i zygakiem popędziłem Wierzbową, zostawiając na chodniku za nami dwa metry spalonej gumy.

Rozdział 13

W centrum kontroli Świętej Trójcy Geli Bauer stała nieruchomo jak skała i mówiła do mikrofonu.

- Słyszeliśmy strzał. W domu Tennanta.
- A czegoś się spodziewała? — warknął Skow.

Idiota!

- Nie tego. Ritter ma pistolet z tłumikiem.
- A Tennant wczoraj wieczorem był uzbrojony.
- Właśnie.

Skow przetrwał to w milczeniu.

- To nie znaczy, że Ritter nawalił.
- Nie. Prawdę mówiąc, nie wyobrażam sobie takiej sytuacji.
- To dobrze. Co chcesz zrobić?

Geli zawsze uważała Skowa za wojownika teoretycznego, teraz zaś, kiedy zaczęły świstać kule, szukał u niej rady.

— Wycofałam pozostałych ludzi, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Ale jeżeli w ciągu pięciu minut nie dostanę potwierdzenia, że akcja zakończyła się sukcesem, wysyłam ekipę, żeby sprawdziła, co się dzieje.

- Masz przykrywkę?
- Ciężarówka firmy czyszczącej dywany.
- Czy to możliwe, żeby ktoś zawiadomił miejscową policję?
- Kto wie? Jeżeli zjawi się wóz patrolowy, zanim oczyścimy teren...
- To z ramienia NSA zapieczętujesz dom — wpadł jej w słowo

Skow, nareszcie pokazując jaja. — I natychmiast się ze mną skontaktujesz.

- Tak jest.
- Na razie.
- Chwileczką...
- O co chodzi?

Geli miała dość błędzenia po omacku.

- Tennant pytał mnie o zegarek Fieldinga.
- O jaki zegarek?

Jej wykrywacz kłamstw zabrzączał.

— Rano sprawdziłam magazyn. Rzeczy osobiste Fieldinga. Było tam wszystko z wyjątkiem zegarka.

Skow milczał przez chwilę. W końcu odezwał się, jakby mówił do siebie:

- Fielding musiał mu coś o nim powiedzieć.
- To może i mnie pan coś powie?
- Ta wiedza nie jest ci potrzebna do twojej pracy. Przeszył ją gniew.

- Widocznie to ważne, skoro Tennant o tym myśli.
- Jest ważne. Ale nie dla ciebie. Informuj mnie o sytuacji w domu.

Odłożył słuchawkę.

Geli usiadła w fotelu. Nienawidziła takiego traktowania, ale taka była natura pracy w wywiadzie. Trzymaj ich w niewiedzy i faszeryj bzdurami. Doceniała znaczenie ścisłego racjonowania informacji. Przez ostatnie dwa lata właściwie nie potrzebowała wiedzieć, nad czym pracują naukowcy. Ale sytuacja uległa zmianie. Od czasu zawieszenia projektu Peter Godin spędzał większość czasu gdzie indziej, rzekomo wizytując centralę swojej firmy w Kalifornii. Geli już w to nie wierzyła. Czasami Godin brał ze sobą Ravięgo Narę, a to było bez sensu. Nara nie miał nic wspólnego z Superkomputerami Godina, zresztą Godin nawet go nie lubił.

A teraz Godin zniknął z powierzchni ziemi. Czyżby zegarek Fieldinga zniknął razem z nim? Z jakiego powodu ten zegarek był taki ważny? Kiedy Fielding rozpoczynał pracę w Świętej Trójcy, inżynier z NSA rozebrał jego zegarek, żeby sprawdzić, czy nie zawiera jakiegoś urządzenia do zapisywania danych, i oświadczył, że zegarek jest czysty. Rozebrano go ponownie w tym roku, w dniu wybranym na chybił

trafił. I znowu zegarek był czysty. Dlaczego więc zabrano go z magazynu? Geli przywołała w myślach jego obraz. Ciężka złota koperta, porysowana ze starości. Do tego dewizka z kryształem. Ale ten kryształ był przezroczysty. Nic nie można by w nim ukryć. A przynajmniej nic takiego, o czym by wiedziała.

Zapaliło się czerwone światelko jej bezpośredniej linii z NSA. Przekierowała rozmowę na słuchawki.

— Bauer.

— Tu Jim Conklin. — Conklin był jej głównym łącznikiem w Kryptomieście w Forcie Meade.

— Co jest?

— Nadal prowadzimy nasłuch rozmów z budek telefonicznych w pobliżu domu Andrew Fieldinga. Wszystkie płatne telefony w promieniu pięciu kilometrów, dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nigdy nie wycofałaś zlecenia.

— Nie zamierzałam.

— Chodzi o to, że przy tym nawale roboty w związku z antyterroryzmem jesteśmy kilka dni do tyłu z analizą głosów.

Serce Geli zabiło szybciej.

— Macie coś?

— Cztery dni temu Andrew Fielding telefonował ze sklepu na stacji benzynowej. Myślę, że chciałabyś tego posłuchać.

— Możesz mi przesłać plik audio?

— Jasne. Skorzystam z Webworlda. — Webworld był bezpieczną siecią wewnętrzną NSA, Geli zaś należała do zaledwie kilku osób podłączonych do niej z zewnątrz. — Chcesz porównawczą analizę widmową?

— Nie. Znam głos Fieldinga.

— Dwie minuty.

Geli rozłączyła się, zerknęła na zegarek i powiedziała:

— JPEG. Fielding, Andrew.

Na ekranie jej komputera pojawiła się fotografia Fieldinga. Biały włosy Anglik miał przystojną kanciastą twarz o czerwonych policzkach. Fielding nie żałował sobie dżinu. Ale to jego oczy przykuwały uwagę. Jasnoniebieskie, spoglądały z naiwnym dziecięcym wyrazem, nie zdradzając kryjącej się za nimi głębokiej inteligencji. Patrząc w

nie, Geli zdała sobie sprawę, jak groźnym był przeciwnikiem. Mimo iż nie żył, nadal kontrolował rozwój wypadków.

W rogu jej monitora wyskoczyła ikona pliku audio. NSA działała wyjątkowo sprawnie. Geli już miała otworzyć plik, kiedy w słuchawkach zabrzączał sygnał alarmowy z ciężarówki firmy od sprzątania dywanów.

— Co jest?

— Nadjeżdża wóz patrolowy. Widocznie ktoś zawiadomił o wystrzale.

Geli zamknęła oczy. Będzie musiała powołać się na swoje uprawnienia federalne i zabezpieczyć dom Fieldinga. Wkrótce o obecności NSA w Chapel Hill dowie się policja miejska.

— Radiowóz się zatrzymał — poinformował szef ekipy w ciężarówce.

— Gdzie?

— Trzy domy dalej.

— Co robią?

— Wysiadają. Z bronią w ręku. Wygląda, jakby przyjechali do włamania.

— Do włamania? — Geli myślała szybko. Jakie jest prawdopodobieństwo, że w biały dzień dokonano włamania w tym samym czasie i na tej samej ulicy, na której planowano popełnienie morderstwa? — Właźcie do domu Tennanta i sprawdźcie, co tam się stało, do cholery. Już do was jadę.

— Się robi.

Geli wcisnęła przycisk alarmowy na biurku, podrywając na nogi wszystkich członków swojej ekipy — zarówno tych w budynku, jak na patrolach oraz śpiących w domu. Za dwie minuty dom Davida Tennanta ze wszystkich stron otoczy gęsta sieć.

Rozdział 14

Już miałem wyjechać z osiedla, gdy zdałem sobie sprawę, że to błąd. Otwarta autostrada wydawała się dobrą drogą ucieczki, ale nią nie była. Zbyt dobrze znałem Geli Bauer. Szarpnąłem kierownicę w lewo, zawróciłem o sto osiemdziesiąt stopni na środku Orzechowej i skręciłem w Wiązową.

— Dlaczego zawracasz? — zapytała Rachel z podłogi.

— Polowałaś kiedyś na króliki?

Zamrugła ze zdziwieniem.

— Na króliki? Jestem z Nowego Jorku.

Z naprzeciwka nadjechała kobieta na rowerze górskim i minęła nas, machając ręką. W foteliku dla dzieci na tylnym błotniku siedział maluch. W naszej obecnej sytuacji był to obrazek zgoła surrealistyczny.

— Kiedy królik walczy o życie, ucieka zygzakiem z niesamowitą prędkością. Ale zawsze krąży i wraca do miejsca, z którego wystartował. To dobra strategia ucieczki. Tyle że myśliwi oczywiście o tym wiedzą. Dlatego używają psów. Psy ścigają królika, a myśliwy czeka na miejscu, by go zastrzelić, kiedy wróci.

Na twarzy Rachel malował się niesmak.

— To barbarzyństwo.

— Ale dzięki temu jest co jeść. Rzecz w tym, że ci, którzy nas ścigają, spodziewają się, że będziemy uciekali jak ludzie. My jednak weźmiemy przykład z królika.

— Co nam to da?

— Po pierwsze, samochód. Moim nie zajedziemy dalej niż kilka kilometrów. Twoim też nie.

— Czyj samochód weźmiemy?

— Na razie siedź i się nie pokazuj.

Ulica Wiązowa okrążała osiedle. Kiedy dotarłem do wschodniego wjazdu w Dębową — równoległą do Wierzbowej — skręciłem w lewo. Jadąc, spoglądałem pomiędzy domami na dachy domów na mojej ulicy. Kiedy dostrzegłem mój, zacząłem obserwować trawniki przed sobą. Sto metrów dalej, na Dębowej, zobaczyłem to, o co mi chodziło. Niebiesko-białą tablicę z napisem NA SPRZEDAŻ. Oferowany dom miał długi, kręty podjazd, na którym nie stał żaden samochód. Skręciłem tam, zjechałem szybko z betonu i podtoczyłem się za gęste krzewy bukszpanu.

— Chodź — rzuciłem, wysiadając z wozu.

Rachel wstała z podłogi i otworzyła drzwiczki. Twarz miała bladą, ręce jej drżały. Po strzelaninie w moim domu była w szoku. Mną też to wstrząsnęło. Chociaż już wcześniej zabiłem człowieka. Wstrzyknąłem własnemu bratu narkotyki i potas, a potem patrzyłem, jak z jego oczu znikają ostatnie iskierki świadomości. Jednak odstrzelenie komuś mózgu to całkiem inna para kaloszy. A kiedy Geli Bauer dowie się, że zabiłem jednego z jej ludzi, poruszy niebo i ziemię, żeby się zemścić.

Podszedłem do Rachel, przyciągnąłem ją i przytuliłem tak, jak kiedyś tuliłem żonę i córkę.

— Wszystko będzie dobrze — szepnąłem, choć sam w to nie wierzyłem. Zapach jej włosów był znajomy. Moja żona używała tego samego szamponu. Wyrzuciłem wspomnienia z głowy. — Ale musimy uciekać, rozumiesz?

Kiwnęła głową, wtulona w moją koszulę. Pogłaskałem ją po włosach, nie wierząc w to, co się stało. Trzydzieści minut temu sądziłem, że koszmar się skończył. Ewan McCaskell miał oddzwonić i prezydent przejąłby kontrolę nad Świętą Trójcą. A teraz nadzieje diabli wzięli.

— Przejdziemy się kawałek, a potem pożyczymy samochód — powiedziałem. — Nikt nas nie zaczepi. Z pudełkiem Fieldinga będziemy wyglądali na takich, którzy coś sprzedają. Dasz radę?

Znowu kiwnęła głową.

Wyciągnąłem z wozu pudełko Fieldinga i ruszyłem Dębową. Rachel szła obok mnie.

— Za tymi podwórkami jest żywopłot, który wychodzi na tyły posesji na mojej ulicy. Zaraz go zobaczysz. Przedrzemy się na moją ulicę. Powiem ci kiedy.

Szybko wróciliśmy chodnikiem sto metrów do miejsca, skąd widać było dach mojego domu. Poprowadziłem Rachel przez trawniki dwóch posesji i oznajmiłem:

— To tu. Przesmyk między domami.

Przejdźcie, które sobie upatrzyłem, zagradzał drewniany płot.

— Jeżeli furtka będzie zamknięta, przejdziemy górą — powiedziałem.

— A jeśli ktoś będzie na podwórku?

— Zajmę się tym.

Furtka otworzyła się bez problemów. Na podwórku wały się jakieś plastikowe zabawki i kosiarka do trawy, ale nikogo nie było. Trzymając dłoń na plecach Rachel, prowadziłem ją przez podwórko. W płocie po drugiej stronie nie było furtki, więc splotłem palce i podsadziłem Rachel, po czym podciągnąłem się i zeskoczyłem obok niej.

Przestrzeń między płotem a zaroślami miała raptem pół metra szerokości. Przeczolgałem się przez dziurę u dołu żywopłotu i wstałem za szopą, gdzie wcześniej ukryłem pudełko Fieldinga. Rachel poszła w moje ślady, złapała mnie za rękę i wstała. Nie wiedziałem, czym zajmuje się właściciel szopy, ale zakładałem, że jest czymś w rodzaju komiwojażera, bo rzadko kiedy bywał w domu.

W szopie panował mrok i śmierdziało zdechłymi myszami i olejem silnikowym. Na ścianie wisiały na hakach rozmaite narzędzia. Szukałem łomu, takiego jak ten na moim poddaszu, ale niczego podobnego nie znalazłem. Przyklęknąłem i zbadałem przestrzeń pod półkami. Właściciel trzymał tam sprzęt wędkarski. Nic dostatecznie mocnego dla moich celów.

— Niedobrze mi — odezwała się Rachel.

— To ten smród. Wyjdź na zewnątrz.

Gdy wyszła, zobaczyłem w rogu sześciokilogramowy młot. Wziąłem go i wyszedłem na dwór. Rachel stała zgięta wpół, z rękami opartymi na kolanach.

— Po co ci to? — spytała.

— Trzymaj się blisko mnie.

Podbiegłem do tylnych drzwi domu, zamachnąłem się młotem i opuściłem go łukiem na zamek. Drzwi ustąpiły. Odłożyłem młot i wbiegłem do ciemnego domu. Rachel za mną. Nie dosłyszałem alarmu, ale mógł być bezgłośny, podłączony bezpośrednio do firmy ochroniarskiej.

— Szukamy kuchni — wyjaśniłem.

— Tędy. Czuję czosnek i płyn do zmywania naczyń.

— Wypatruj haczyków na ścianach. Potrzebne nam kluczyki do samochodu.

— Byłoby łatwiej, gdybyś zapalił światło.

Pstryknąłem kontakt na ścianie i w kuchni zrobiło się jasno.

Była urządzona jak na pokaz, pełna profesjonalnych urządzeń marki Viking, z nierdzewnej stali i niebieskiej emalii. Podczas gdy Rachel szukała haczyków na ścianach, ja otwierałem szuflady. W jednej leżały ściereki do naczyń. Druga była pełna kuponów rabatowych, co wydało mi się dziwne. Ktoś, kogo stać na sprzęty od Vikinga, nie potrzebuje wycinać kuponów z gazet.

— Klucz! — zawołała Rachel, podnosząc coś z kuchennego blatu.

Obejrzałem kluczyk.

— Od kosiarki. Szukaj dalej.

Następna szuflada zawierała słoiki z gwoździami, śrubami, a także tubki kleju i papierowe naklejki. Żadnych kluczy.

— Dlaczego wybrałeś akurat ten dom? — spytała Rachel.

— Facet jest kawalerem i nigdy nie ma go w domu, ale wiem, że ma dwa samochody.

— Mam! — Z haczyka pod szafką zdjęła kwadratowy czarny kluczyk. — Od audi.

Do garażu wchodziło się przez pralnię, tak samo jak u mnie. Prawdopodobnie oba domy budował ten sam wykonawca.

— Skąd wiesz, że to klucz do audi?

— Mój były mąż miał taki wóz.

Otworzyłem drzwi do garażu i zobaczyłem srebrne A8, stojące tam niczym w odpowiedzi na modlitwę. Facet miał poza tym hondę accord. Prawdopodobnie pojechał nią na lotnisko i zostawił na parkingu, a flagowy model audi rezerwował na dłuższe wyprawy.

— Każdy, kto jeździ samochodem za osiemdziesiąt tysięcy dolarów, ma w domu system alarmowy — oświadczyła Rachel nad moim ramieniem.

— Gliny na pewno już tu jadą. Kluczyk?

Podawała mi go tak, jak pielęgniarka podaje skalpel chirurgowi, i dwadzieścia sekund później wyjeżdżaliśmy na Wierzbową. Drzwi garażu zaniknęły się za nami. Rozejrzałem się po ulicy, starając się nie odwracać za bardzo w prawo, w stronę mojego domu. Nikogo nie zauważyłem. Nawet robotnika.

— Jaki sens ma kradzież samochodu, skoro policja jedzie sprawdzić ten dom? — spytała Rachel.

— Nie będą wiedzieli, że go zabraliśmy. Nie wiedzą, że ten wóz tam stał. Będą musieli znaleźć właściciela, a on pewnie jest w podróży służbowej, Bóg jeden wie gdzie.

Skręciłem szybko dwa razy i wjechałem w Kinsdale, kierując się na wschód, ku autostradzie międzystanowej numer 40. Ruch był duży, co bardzo mnie cieszyło.

— A dokąd teraz jedziemy? — zainteresowała się Rachel.

Sięgnąłem na tylne siedzenie, wziąłem z pudełka zapakowany w folię list od Fieldinga i rzuciłem go na jej kolana. Wskazałem na linijkę: *W sobotę wieczorem jedziemy z Lu Li do błękitnej chatki.*

— Błękitna chatka?

Trzymając kierownicę kolanami, przeszukałem schowek audi i znalazłem długopis. Potem wyjąłem list z folii i pod kreskówkowym Białym Królikiem Fieldinga napisałem:

Nags Head, na wybrzeżu.

— Dlaczego nie możesz mi tego powiedzieć?

Mogą nas podsłuchiwać, nabazgrałem.

Wzięła ode mnie długopis i napisała:

JAK? DOPIERO CO UKRADLIŚMY TEN WÓZ!

— Zaufaj mi — szepnąłem. — To możliwe.

Pokręciła głową i napisała:

Co jest w Nags Head? Jakież dowody?

W myślach ujrzałem zegarek kieszonkowy Fieldinga. Wziąłem od niej długopis i odpisałem:

Mam nadzieję.

Ona na to:

Mam komórkę. Chcesz zadzwonić do prezydenta?

Wziąłem długopis.

Teraz to już nie takie proste.

— Dlaczego?

Nie mogłem napisać wszystkiego, co chciałem powiedzieć. Przyciągnąłem ją więc do siebie i wyszeptalem jej do ucha:

— Odkąd usłyszeli wiadomość od Ewana McCaskella, wiedzą, że mogą mnie zlikwidować i wytłumaczyć prezydentowi moją śmierć na tysiąc i jeden sposobów. Twoją też.

— Niby jak?

— Bardzo łatwo. Do tej pory prezydent został już pewnie zawiadomiony, że moje halucynacje przeszły w psychozę. Ravi Nara postawi formalną diagnozę. Powie, że ogarnęła mnie niebezpieczna paranoja, że uwierzyłem w to, iż Andrew Fielding został zamordowany, a przecież zmarł z przyczyn naturalnych. Kartoteka, jaką mi założyłaś, dowodzi, że miałem halucynacje i być może jestem schizofrenikiem. Wykorzystają ją do podbudowania opinii Nary. — Oderwałem wzrok od szosy i spojrzałem na Rachel. — Myślisz, że trudno byłoby to sprzedać?

Odwróciła się.

— Niezbyt optymistyczny obrazek, prawda?

— Fakt. Ale na razie wybij to sobie z głowy. Jedziesz zygzakiem. Jeżeli nadal chcesz prowadzić, musisz się uspokoić.

— Nie to mnie teraz martwi.

— A co?

Odpowiadając jej szczerze na to pytanie, sam się prosiłem o kłopot, ale nie chciałem tego dłużej ukrywać.

— Widziałem to.

— Co?

— Faceta, który chciał cię zabić.

— To chyba oczywiste. Musiałeś go widzieć, żeby go zastrzelić.

Wjechałem na autostradę i włączyłem się w sznur samochodów, ciągnących w kierunku RTP i Raleigh.

— Nie to miałem na myśli. Widziałem go, jak idzie ulicą. Wierzbową. Zanim dotarł do domu. Podszedł prosto do drzwi.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Widziałem to we śnie, Rachel.

Wlepiała we mnie oczy. Nigdy nie była przy mnie, kiedy miałem halucynacje.

— Jak go widziałeś? Tak jak w tych halucynacjach z Jezusem? Albo na filmie? Jak?

— Widziałem to tak, jakbym patrzył oczami przestępcy czy potwora w filmach klasy B. Widziałem to jego oczami.

Opadła na oparcie fotela.

— Opowiedz mi dokładnie, co widziałeś.

— Domy na mojej ulicy. Swoje stopy, jak idą. Obok truchta pies. Myślałem, że śnię o samym sobie. Ale kiedy dotarłem pod dom i sięgnąłem po klucze, wyjąłem... wytrych.

— Mów dalej.

— Otworzyłem zamek i wszedłem do środka. Usłyszałem cię w kuchni i wyciągnąłem pistolet.

Rachel spoglądała przed siebie, na szosę, ale myślami była gdzie indziej.

— To jeszcze nic nie znaczy — odezwała się w końcu. — U narkoleptyków sny o tym, że ktoś włamuje się do domu czy nawet sypialni są na porządku dziennym. Nawet gdybyś nie miał narkolepsji, byłby to typowy sen, zniekształcenie rzeczywistości spowodowane strachem.

— Nie. Zgranie w czasie było zbyt perfekcyjne. We śnie ujrzałem zagrożenie, obudziłem się, a to zagrożenie już tam było, w realnym świecie. Dokładnie tak jak w moim śnie.

Ścisnęła moje ramię.

— Posłuchaj mnie. Jesteś przyzwyczajony do odgłosów w swoim domu. Już wcześniej byłeś zaniepokojony. Usłyszałeś nieznaną dźwięk, coś, co wzbudziło twój strach przed włamaniem. Otwieranie frontowych drzwi. Podnoszone okno. Skrzypnięcie deski w podłodze. W odpowiedzi na ten bodziec twój umysł stworzył sen o włamaniu. Wystraszył cię tak, że się obudziłeś. Twój sen był reakcją na bodziec zewnętrzny, a nie na odwrót.

Pamiętałem skrzypnięcie deski w podłodze. Tylko że wtedy już nie spałem.

— We śnie widziałem jego pistolet — zaprotestowałem uparcie. — Samopowtarzalny, z tłumikiem. — Poklepałem broń, którą miałem za paskiem. — Tak jak ten.

— Przypadek.

— Nigdy jeszcze nie widziałem pistoletu z tłumikiem.

— Oczywiście, że tak. Widziałeś ich setki na filmach.

Przemyślałem to sobie.

— Masz rację. Ale jest coś jeszcze.

— Co?

— Nie po raz pierwszy miałem taki sen. Taki, że jestem kim innym. Miałem taki sen w dniu, kiedy umarł Fielding.

— Opisz mi go.

Minął nas jadący z przeciwka wóz policyjny. Serce zabiło mi szybko, ale samochód nie zwolnił ani nie włączył syreny.

— Wczoraj, kiedy nagrywałem taśmę, tuż przed twoim przyjściem, śniło mi się, że jestem Fieldingiem na chwilę przed śmiercią. Było to tak realistyczne, że miałem wrażenie, jakbym naprawdę umarł. Nic nie widziałem... nie mogłem oddychać. Kiedy otwierałem ci drzwi, nie wiedziałem, gdzie jest góra, a gdzie dół.

— Ale Fielding umarł tego dnia rano.

— No to co?

Uniosła ręce, jakby chciała podkreślić oczywisty argument.

— Nie rozumiesz? Twój sen z Fieldingiem niczego nie przewidywał. Mogła to być zwykła reakcja na żal i ból. Miałeś więcej takich snów?

Wróciłem wzrokiem na szosę. Dotarliśmy do Research Triangle Park. Autostrada przecinała go w poprzek. Nieco ponad kilometr od nas Geli Bauer kierowała polowaniem na mnie.

— Davidzie, miałeś więcej takich snów?

— Nie czas na takie dyskusje.

— Jeśli nie teraz, to kiedy? Dlaczego opuściłeś trzy ostatnie sesje? Pokręciłem głową.

— I tak już uważasz, że zwariowałem.

— To nie jest termin medyczny.

— Za to sugestywny.

Westchnęła i wyjrzała przez okno po swojej stronie na idealnie zielony trawnik.

— To Święta Trójca — powiedziałem. — Tam, przed nami.

Laboratorium usytuowano tak daleko od szosy, że niewiele było widać.

— Na tablicy jest napisane Argus Optical.

— To przykrywką.

— Aha. Słuchaj... dlaczego ukrywasz przede mną swoje halucynacje? Jaką część siebie próbujesz chronić?

— Pogadamy o tym później. — Widziałem jednak, że nie zamierza

dać mi spokoju. — Rachel, potrzebne mi lekarstwa. Uciekamy, więc nie mogę sobie pozwolić na to, żeby pięć razy dziennie tracić przytomność.

— Co zażywałaś? Modafinil?

Modafinil był standardowym lekiem w terapii narkoleptyków.

— Czasami. Zwykle brałem metaamfetaminę.

— Davidzie! Rozmawialiśmy o efektach ubocznych amfetaminy. Może wzmacniać twoje halucynacje.

— Ale tylko amfetamina powstrzymuje mnie od snu. Ravi Nara zapisywał mi deksedrynę.

Westchnęła.

— Wystawię ci receptę na adderal.

— Recepta to nie problem. Sam mogę sobie wypisać. Rzecz w tym, że oni wiedzą, czego potrzebuję. Będą obserwowali apteki.

— Nie są w stanie obstawić wszystkich aptek w RTR

— Mówimy o NSA, Rachel, a oni wiedzą, że potrzebuję lekarstw. Ci ludzie zarejestrowali rozmowy w kokpicie rosyjskich pilotów, którzy w osiemdziesiątym trzecim zestrzelili koreański samolot pasażerski nad Sachalinem. Działo się to dwadzieścia lat temu, w dodatku był to przypadkowy zapis. A teraz aktywnie nas szukają. Czytałaś *Rok 1984* Orwella?

— Dwadzieścia lat temu.

— Kiedy mówię o NSA, przypomnij sobie Wielkiego Brata. W Ameryce nie ma nic bardziej zbliżonego.

— Ale wciąż potrzebujesz lekarstw.

— Pewnie znasz kogoś.

— Mogłabym je dostać w aptecę szpitalnej.

— Będą nas tam szukać.

— Jasna cholera!

Nigdy jeszcze nie słyszałem, żeby klęła. Może to wpływ dzinsów? Może jedwabne spódniczki i bluzki miały tylko przydawać jej powagi na zewnątrz?

— Znam lekarza w północnym Durham, który da nam trochę próbek — powiedziała.

Durham zostawiliśmy już za sobą i kierowaliśmy się do Raleigh. Znałem Geli Bauer na tyle, by nie kręcić się po okolicy dłużej niż to konieczne. Poza tym, paradoksalnie, nie chciałem, żeby moje sny się

skończyły. Ostatni uratował nam życie i chociaż nigdy nie wyznałem tego Rachel, czułem, że moje sny — choć przerażające — dawały mi informacje o naszej kłopotliwej sytuacji, informacje, których nie zdobyłbym w żaden inny sposób.

— Nie wracamy — zaprotestowałem.

— A jeżeli zaśniesz za kółkiem?

— Widziałś w domu, jak to się odbywa. To nie następuje natychmiast.

— Wtedy nie prowadziłeś.

— Zwykle wiem o tym na parę minut wcześniej. Jeżeli poczuje, że coś jest nie tak, natychmiast się zatrzymam.

Rachel była wyraźnie niezadowolona. Jak gdyby chcąc otrząsnąć się z gniewu, oparła stopę na tablicy rozdzielczej, rozwiązała but i zawiązała go ponownie, po czym to samo zrobiła z drugim butem. Wyglądało na to, że ten kompulsywny rytuał ją uspokoił.

Skręciłem w obwodnicę Raleigh numer 440 i wjechałem na szosę 64, która miała nas doprowadzić nad Atlantyk. Autostrada była typowo południowa — dwa szerokie pasy betonu, biegnące przez sosnowo-liściasty las. Czekają nas jeszcze dwie godziny jazdy, zanim szosa zacznie opadać ku wybrzeżu. Gdyby nie umarł, Fielding jechałby tędy dzisiaj, drogą, którą już wcześniej przebył, do miejsca gdzie dwanaście lat temu byłem ze swoją żoną. Podobne myśli pokazywały niepotrzebną niejasność takich określeń jak czasoprzestrzeń. Słyszac je, przeciętny człowiek dochodzi do wniosku, że nigdy tego nie pojmie. Tymczasem to bardzo proste. Każde miejsce, jakie kiedykolwiek widziałeś, jest powiązane z konkretnym czasem. Domek w Nags Head, gdzie Fielding z żoną spędzali miesiąc miodowy, wydawał się tym samym, w którym mieszkałem kiedyś z żoną — ale tak nie było. W strukturze czasoprzestrzeni jest zupełnie inaczej. Szkoła, odwiedzana dwadzieścia lat po maturze, boisko piłkarskie, na którym graliśmy, bieżnia, na której się ścigaliśmy... nic z tego nie jest już takie samo. Inaczej bowiem kolidowalibyśmy z pokoleniami, które biegały po nich przed nami i będą biegać po nas. Kochanek czy kochanka, z którymi się całowałyśmy, nie byli tacy sami jak sześćdziesiąt sekund wcześniej. W ciągu tej minuty milion komórek skóry obumarło i zastąpiły je nowe.

Najmniejsze skrawki czasoprzestrzeni oddzielały myśl od działania. Życie od śmierci.

— Nie chcę pogarszać sytuacji — odezwała się Rachel — ale skoro nie możesz już zadzwonić do prezydenta, to co konkretnie możesz zrobić? Dokąd możemy pojechać?

— Mam nadzieję, że w domku znajdę coś, co da mi wskazówkę. Na razie próbuję utrzymać nas przy życiu.

— Dlaczego tego nie ujawnimy? Nie pojedziemy do Atlanty i nie opowiemy wszystkiego CNN?

— Bo NSA mogłaby po prostu powiedzieć, że kłamię. Co właściwie mogę udowodnić na tym etapie?

Rachel skrzyżowała ręce na piersi.

— Ty mi to powiedz. Czy laureat Nobla, jak Ravi Nara, posunąłby się do krzywoprzysięstwa, by wszystko zatuszować?

— Nie wahałby się ani chwili. Bezpieczeństwo narodowe jest dla kłamstwa ostatecznym usprawiedliwieniem. A jeśli chodzi o budynek Świętej Trójcy, to do tej pory może już być pusty.

— Lu Li Fielding by cię poparła.

— Lu Li zniknęła.

Rachel pobladła.

— Nie zakładaj jeszcze najgorszego. Miała plan ucieczki, ale nie mam pojęcia, czy jej się udało.

— Davidzie, ty z pewnością wiesz więcej, niż mi mówisz.

— O Lu Li?

— O Świętej Trójcy!

Miała rację.

— Zgoda. Dwa tygodnie temu Fielding uznał, że zawieszenie projektu to tylko podstęp, mający odciągnąć naszą uwagę. Uważał, że właściwe prace nad Świętą Trójcą prowadzone są gdzie indziej, może nawet od dawna.

— A gdzie jeszcze mogliby nad tym pracować?

— Fielding stawiał na laboratoria badawczo-rozwojowe Superkomputerów Godina w Kalifornii. Godin często latał tam swoim prywatnym odrzutowcem. Kilkakrotnie wziął ze sobą Narę.

— To jeszcze niczego nie dowodzi. Równie dobrze mogli grać w golfa w Pebble Beach.

— Ci faceci nie grywają w golfa. Oni pracują. W zamian za to, czego

chęcią, zaprzedałoby dusze. Mówiąc „Peter Godin”, myśl „Faust”.

— A czego oni chcą?

— Różnych rzeczy. John Skow był już na wylocie z NSA, kiedy Godin poprosił, żeby to on zarządzał Projektem Święta Trójca. To wskrzesiło jego karierę.

— Do czego Godinowi potrzebny był taki człowiek?

— Myślę, że on ma na Skowa jakiś haczyk. Prawdopodobnie skorumpował go dawno temu i wie, że Skow będzie trzymał gębę na kłódkę, jeśli mu każe. Praca dla NSA nie przynosi pieniędzy. Gdyby to jednak Skow dostarczył agencji komputer Świętej Trójcy, wskoczyłby na stołek prezesa. Potem zaś byłby bezcenny dla prywatnych korporacji. Skow zrobi wszystko, by Święta Trójca stała się ciałem.

— A Ravi Nara?

— Za doszlusowanie do zespołu Nara zażądał miliona dolarów rocznie. To, czego rząd nie był w stanie zapłacić, Godin wyłożył gotówką. Poza tym wkład Nary w Świętą Trójcę dałby mu szansę na drugiego Nobla. Do spółki z Godinem i Juttą Klein, oczywiście. Najbardziej zasłużyłby na nagrodę Fielding, ale komitet noblowski nie przyznaje nagród pośmiertnych. Dodając do tego dożywotnie nieograniczone fundusze na badania, nazwisko Nary zapisałoby się w historii...

— A ta Jutta Klein?

— Jest uczciwa. To starsza kobieta, Niemka. W dziewięćdziesiątym czwartym podzieliła się Noblem z dwoma innymi Niemcami. „Wypożyczyli” ją do Świętej Trójcy od Siemens. Podobny układ zawarli z kilkoma innymi koncernami. Godin chciał mieć najlepszych specjalistów na świecie, więc „wypożyczył” ich z działów badawczo-rozwojowych najlepszych firm komputerowych. Sun Micro. Silicon Graphics. W zamian za to firmy te dostaną licencje na niektóre elementy technologii Świętej Trójcy, kiedy już zostanie odtajniona. Zakładając, że w ogóle zostanie odtajniona.

— Jeżeli Jutta Klein jest uczciwa, to może ona mogłaby nam pomóc? — powiedziała Rachel.

— Nie dałaby rady, nawet gdyby chciała. Zwiąż jej ręce.

Rachel westchnęła.

— A Godin? Czego on chce?

— Chce zostać Bogiem.

— Co proszę?

Zjechałem na lewy pas, żeby wyprzedzić samochód z przyczepą kempingową.

— Godinowi nie chodzi o to, żeby Święta Trójca przynosiła zyski. Jest miliarderem. Ma siedemdziesiąt lat, a od trzydziestu jest gwiazdą. Więc zapomnij o byciu ojcem sztucznej inteligencji czy czymś w tym rodzaju. On chce być pierwszym — a może jedynym — człowiekiem, którego mózg zostanie zapakowany do komputera Świętej Trójcy.

Rachel odgarnęła z oczu kosmyk włosów.

— Jaki on jest? Czy to egomaniak?

— To nie takie proste. Godin to niezwykle utalentowany człowiek, który uważa, że wie, co jest nie tak z naszym światem. Jest jak twoi znajomi ze studiów, którzy wierzyli, że odpowiedzią na problemy świata są idee zawarte w książce *Atlas Shrugged* Ayn Rand. Tylko że on jest geniuszem. Niezwykle zasłużonym dla nauki. Jak dotąd Ameryka naprawdę jest lepszym miejscem, dlatego że Peter Godin tu żyje. Jego superkomputery odegrały znaczącą rolę w wygraniu zimnej wojny.

— Brzmi to tak, jakbyś go podziwiał.

— Łatwo go podziwiać. Ale on mnie również przeraża. Praktycznie zabija sam siebie, żeby zbudować najpotężniejszy komputer na świecie, i ma gdzieś, że nie będzie rozumiał, jak on działa, kiedy już powstanie. Godin buduje Świętą Trójcę dla siebie. A nie wiem, czy jest coś groźniejszego niż potężny człowiek, który ma obsesję, by przekształcić świat na podobieństwo swoje.

Kiedy wyciągnąłem rękę, żeby ustawić automatyczną kontrolę prędkości, zacząłem nieostro widzieć, ogarnęła mnie fala zmęczenia, a ostatnie słowa Rachel umknęły mojej uwagi. Po chwili wzrok mi się poprawił, za to w głowie poczułem znajome świdrujące wibracje. Zwolniłem i zjechałem na pobocze.

— Co się stało? — spytała Rachel.

— Musisz poprowadzić. Mogę zasnąć.

Wyprostowała się w fotelu.

— Nie ma sprawy.

Wysiadłem i przeszedłem na jej stronę samochodu. Rachel przecisnęła się nad dźwignią zmiany biegów i wsunęła za kierownicę. Zanim

wsiadłem do wozu, rozejrzałem się po autostradzie. Ruch był umiarkowany, lecz ciągły. Żaden kierowca się mną nie zainteresował.

Rachel przyglądała mi się uważnie.

— Dobrze się czujesz, Davidzie?

— Jestem trochę roztrzęsiony.

Wyciągnęła rękę i zapięła mój pas.

— Czy to atak narkolepsji?

Wibracje przeniosły się na zęby.

— Tak.

— Zamknij oczy. Trzymam kierownicę.

— Jedź cały czas na wschód. Do celu mamy jeszcze — uniosłem trzy palce — tyle godzin. — W schowku była mapa obu Karolin. Znalazłem autostradę 64 i wskazałem na Plymouth, niedaleko miejsca, gdzie rzeka Roanoke wpada do cieśniny Albemarle. — Jeżeli się nie ocknę, zanim dojedziemy tutaj, to mnie obudź.

Rachel wrzuciła bieg i zaczęła przyspieszać na poboczu. Kiedy rozpędziła się do osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, zjechała na prawy pas autostrady i wyrównała prędkość.

— Jest gorzej? — spytała.

W myślach odpowiedziałem: „Nic mi nie jest”, jednak część mojego mózgu zdała sobie sprawę, że nie poruszyłem ustami. Traciłem przytomność. Ręce mi drżały, twarz palila.

Rachel przyłożyła dłoń do mojego czoła.

— Cały jesteś rozpalony. Zawsze tak jest?

Próbowałem jej odpowiedzieć, lecz czułem się jak wtedy, kiedy jako chłopiec w Oak Ridge próbowałem rozmawiać z kolegami pod wodą, w basenie. Wydzielaliśmy się wniebogłosy, a jednak nie rozumieliśmy swoich słów. Miałem wrażenie, że dłoń Rachel wtapia się w moje czoło. Było to całkiem miłe. Chciałem spojrzeć w lusterko w osłonie przeciwsłonecznej i sprawdzić, czy rzeczywiście się wtopiła, ale nie mogłem się poruszyć. Jakaś kobieta wołała mnie z oddali po imieniu. Zanim zdołałem odpowiedzieć, ciemnoniebieska fala załamała się nade mną i wciągnęła tak, że pokoziołkowałem w ciemność.

*Siedzę na dworze, oparty o ścianę, w kręgu śpiących mężczyzn.
W środku kręgu żarzy się węgiel. Niebo płonie od gwiazd. Obok*

mnie siedzi człowiek w długiej szacie; na imię ma Piotr. Jest zde-
nerwowany.

— *Dlaczego chcesz to zrobić? — szepce. — Jeżeli tam pójdziesz, czekają cię najgorsze zniewagi. Nawet jeśli ludzie będą słuchali, kapłani i starsi cię odrzucą. A co z Rzymianami? Boję się, że cię zabiją.*

Mimo iż nie wymienia nazwy tego miejsca, wiem, że mówi o Jeruzolimie.

— *Odejdź — mówię mu. — Wyznajesz takie wartości jak pies. Twoje ciało, następny posiłek, twoje życie.*

Chwyta moją rękę i potrząsa nią.

— *Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo! Widziałem to we śnie. Jeśli tam pójdziesz, zostaniesz stracony.*

— *Ten, kto uratuje swe życie, i tak je straci — odpowiadam.*

Piotr kręci głową, w jego oczach widać zmieszanie.

Nagle scena się zmienia. Ze szczytu wysokiej góry spoglądam na równinę. Siedzi ze mną trzech mężczyzn.

— *Co powiecie, kiedy pójdziecie do miast? Kim jestem? — pytam.*

— *Powiemy, że jesteś pomazańcem.*

Kręcę głową.

— *Nie mówcie o mnie takimi słowy. Opowiadajcie z głębi serca o tym, czego byliście świadkami. Nic więcej.*

— *Tak, panie — odpowiada mężczyzna o imieniu Jan; oczy ma wielkie i brązowe, jak kobieta. Spogląda na Piotra, a potem zwraca się do mnie ostrożnie: — Mówiono mi, że wybierasz się do Jeruzolimy.*

— *Tak.*

Jan kręci głową.

— *Jeśli to zrobisz, kapłani nie będą wiedzieli, co z tobą począć. Ze strachu skazą cię na śmierć.*

— *To mnie wręczono tę czarę. Muszę wypić jej zawartość.*

Mężczyźni milczą. Kiedy spoglądam w dół na równinę, strach sączy mi się w głąb trzewi. Poznać dar tego życia, tego ciała, a potem się go wyzbyć...

Obudziłem się i przytrzymałem tablicy rozdzielczej, patrząc na tył traktora z przyczepą jadącego przed nami. Rachel złapała mnie za kolano.

— Wszystko w porządku, Davidzie. Jestem tutaj.
Moje ręce dygotały, strach ze snu wciąż był namacalny.

— Jak długo jedziemy?

— Godzinę i dwadzieścia minut. Właśnie minęliśmy Plymouth.

— Kazałem się obudzić!

— Spałeś tak twardo, że nie miałam serca tego robić.

— Zauważyłaś coś podejrzanego?

— Pół godziny temu minęliśmy policję stanową i dwóch gliniarzy z Plymouth, ale żaden nawet na nas nie spojrział. Chyba jest dobrze.

Ona w każdym razie dobrze nie wyglądała. A kiedy tylko osiągniemy cel, czyli uciekniemy, jej opanowanie zniknie. Ze mną nie było inaczej. Moja reakcja na zastrzelenie zabójcy z ekipy Geli Bauer została stłumiona przez substancje neurochemiczne wydzielane przez organizm, żebym mógł przeżyć. Obrazy ze snu powróciły w migawkach barw i światła, ale strach mnie opuszczał i poczułem dziwną ulgę. Po mglistych i tajemniczych miesiącach sny nareszcie lokalizowały się w konkretnym miejscu. W Jerozolimie. Logicznie rzecz biorąc, nie miało to sensu. Nigdy nie byłem w Izraelu i poza krwawym konfliktem, o którym słuchałem w wieczornych wiadomościach od dziesięcioleci, niewiele o nim wiedziałem. Ale dokąd zaprowadziła mnie logika?

— Davidzie? — odezwała się Rachel. — Może byśmy się zadekliwali na chwilę w...

Zamknąłem jej usta dłonią.

— Ani słowa! Przepraszam, ale już cię ostrzegałem.

Pokiwała głową i odsunęła moją rękę.

— Skoro NSA jest tak wszechpotężna — wyszeptala mi do ucha — to dlaczego nagrywałeś tę taśmę u siebie w salonie? Co, tego by nie słyszeli?

Sięgnąłem na tylne siedzenie, wziąłem pudełko z domowej roboty elektronicznymi zabawkami Fieldinga i położyłem je sobie na kolanach. Wyjąłem z niego metaliczny pręt o długości dwudziestu pięciu centymetrów.

— Fielding pokazał mi, gdzie podłożyli pluskwy. W mikroskopijnych dziurkach w ścianach.

— Po co był mu taki sprzęt? Nie sądzisz, że to trochę podejrzanego?

— Nie rozumiem, jak mogło ci to przyjść do głowy. Musiałabyś go znać.

Mówiąc to, zastanawiałem się, czy ja sam naprawdę znałem ekscentrycznego Anglika. Przejrzałem jego pudełko, szukając jakichś tajnych notatek. Większość domowej roboty urządzeń wyglądała jak szkolne projekty nastolatka. Jeden przypominał starą zabawkę z czasów mojej młodości — plastikową ramę z dwiema rurami, jak lornetka, i przełącznikiem po prawej stronie. Podniosłem te prowizoryczne gogle do oczu, wycelowałem w Rachel i wcisnąłem przełącznik. W moim polu widzenia pojawiła się bursztynowa mgiełka, ale poza tym nic się nie stało.

— Co to jest? — spytała Rachel.

— Nie jestem pewny. — Skierowałem gogle na przednią szybę i spojrzałem na drogę.

Moje serce zmieniło się w lód. Wąska zielona wiązka skupionego światła — laser — dotykała przedniej szyby audi i biegła prawie pionowo do ziemi. Wielokrotnie widywałem takie promienie w laboratoriach MIT. Poza tym oglądałem je tylko na filmach, przy broni z celownikami laserowymi. Ktoś wycelował na nas laser z powietrza! Chciałem ostrzec Rachel krzykiem, lecz coś jakby sklepiło mi gardło. Wysunąłem nogę i wcisnąłem pedał hamulca, powodując poślizg.

Rachel krzyknęła i próbowała odzyskać kontrolę nad pojazdem. Przekręciłem gogle i próbowałem odszukać laser. Był jakieś czterdzieści metrów od nas i zbliżał się do samochodu niczym ręka Boga. Audi zatrzymało się gwałtownie na trawiastym poboczu.

— Coś ty najlepszego zrobił?! — wrzasnęła Rachel.

Najbliższą kryjówkę mogły zapewnić nam drzewa, piętnaście metrów dalej. Snajper z karabinem bez trudu zastrzeliłby nas, zanim byśmy tam dotarli. Przyłożyłem gogle do oczu Rachel.

— Ktoś do nas celuje! Schowaj się pod tablicą rozdzielczą Jak najgłębiej.

Kiedy wsuwała się pod kolumnę kierownicy, znów złapałem promień lasera. Spodziewałem się, że wyceluje we mnie, tymczasem zatrzymał się na przedniej szybie. Nie przeniknął przez nią, zatrzymał się na jej powierzchni. Przedłużając go w myślach, zdałem sobie sprawę, że nie trafiłby we mnie ani w Rachel, tylko w tablicę rozdzielczą.

— Gdyby chcieli nas zastrzelić — wyraziłem na głos swoje myśli — mogliby to zrobić dawno temu, zanim jeszcze włączyłem te gogle.

— Słucham? — powiedziała Rachel.

— To nie jest celownik karabinu.

— O czym ty mówisz?!

Laser mógł służyć do naprowadzania bomby, jednak nawet panika nie doprowadziłaby NSA do zrzucenia pocisku samosterującego na pobocze amerykańskiej autostrady. Mieli pod dostatkiem innych opcji. Nagle zrozumiałem. Laser był urządzeniem podsłuchowym. Odbijając promień od szyby i badając wibracje szkła, podsłuchiwalcy w samolocie albo śmigłowcu słyszeli każde nasze słowo.

— Wstawaj! Wstawaj i jedź!

Rachel wcisnęła się z powrotem na fotel, wrzuciła bieg i wyjechała na autostradę. Zielony promień tkwił na przedniej szybie niczym broń satelitarna wycelowana z kosmosu. Podniosłem mapę z podłogi, złożyłem ją w mały prostokąt i postukałem trzy razy, pokazując nasze miejsce docelowe.

Rachel skinęła głową.

Potem poprowadziłem palcem wzdłuż autostrady 64 przez kilka kilometrów, do małej wiejskiej drogi odbijającej w lewo, i napisałem: *Skręć tam.*

Kiedy znowu skinęła głową, nachyliłem się do jej ucha i wyszeptałem:

— Skręć tam bez względu na to, co się stanie. Rozumiesz?

— Dobrze. Czy to, co widziałeś, wciąż tam jest? Spojrzałem przez gogle i ścisnąłem jej ramię.

— Jest. Jedź szybciej. Wcisnęła pedał gazu do deski.

Rozdział 15

Geli Bauer stała w kuchni Davida Tennanta, sama ze zwłokami swojego kochanka. Ciężarówka firmy czyszczenia dywanów wciąż czekała przed domem, a odkurzacze hałasowały. Według standardów operacyjnych już dawno powinna usunąć ciało Rittera. Ale nie mogła. Chciała zrozumieć, co tu się stało. Rana na głowie Rittera i położenie zwłok wskazywały, że został postrzelony z przodu albo lekko z boku. Nie potrafiła sobie wyobrazić, by niewytrenowany człowiek wygrał strzelaninę z byłym członkiem najbardziej elitarnej niemieckiej jednostki antyterrorystycznej. Pozostawały więc dwie możliwości.

Pierwsza: Tennant jakimś cudem zaskoczył Rittera i strzelił precyzyjnie w chwili, gdy Ritter odwracał się, by zastrzelić jego.

Druga: Tennant nie był tym, za kogo go uważali.

Wychował się w wiejskim otoczeniu pod Oak Ridge, w Tennessee, dzięki czemu pewnie dobrze sobie radził ze sztucerem, ale nie z bronią krótką. No i gdzie nauczył się szukania podsłuchów w pokoju? Czy pokazał mu to Fielding, czy nauczył się tego gdzie indziej? Jego ucieczka z miejsca zbrodni nasuwała więcej pytań. Ekipa z ciężarówki po przybyciu na miejsce zastała saaba Rachel Weiss zaparkowanego przed domem, ale garaż Tennanta był pusty. Drugi zespół przeczesał otoczenie i znalazł acurę Tennanta, stojącą przy żywopłocie pustego domu. Ustalenie, że skradziono stamtąd srebrne audi A8, zajęło policji pół godziny.

Gdyby nie analiza głosu, która wykazała, że Fielding wykonał

potajemnie telefon ze sklepu na stacji benzynowej, Tennant i Weiss mogliby wymknąć się z sieci. Jednak cztery dni temu Fielding wynajął domek w Nags Head na wybrzeżu, na nazwisko Lewis Carroll. W połączeniu z listem, jaki Tennant otrzymał wczoraj od Fieldinga, to wystarczyło, by Geli skierowała wszelkie środki na autostradę 64 — drogę do Nags Head. Dzięki temu Tennant znów wpadł w jej ręce.

Kiedy spoglądała na roztrzaskaną czaszkę Rittera i sklezione krwią włosy, zadzwoniła jej komórka.

— Bauer — warknęła.

— Tutaj Air-One. Zorientowali się, że ich śledzimy.

— Na jakiej wysokości lecicie?

— Trzy tysiące metrów. Nie wypatrziliby nas, spoglądając w niebo. Musieli zobaczyć promień lasera.

— Bez specjalnego sprzętu to niemożliwe.

— Widocznie go mają.

— Co teraz robią?

Usłyszała trzask.

— Zjechali z szosy, jak gdyby zobaczyli laser i spanikowali. Przez chwilę chowali się pod tablicą rozdzielczą, a potem wrócili na autostradę. Grzeją teraz jakieś sto pięćdziesiąt na godzinę, nadal na wschód.

— Mówią coś?

— Nic na temat miejsca docelowego.

— Gdzie są nasze ekipy naziemne? — spytała Geli.

— Najbliższa o jakieś piętnaście minut, dwie minuty w tę czy we w tę.

— Oddzwonię. — Wcisnęła szybkie wybieranie numeru zaszyfrowanej komórki Skowa. Odebrał po ósmym dzwonku.

— Co jest, Geli?

— Tennant wykrył nasz samolot obserwacyjny. Podjął ucieczkę.

— Chyba żartujesz? Twój ludzie go zgubili?

— Na razie mają audi, ale mogą stracić je z oczu.

— Przypuszczam, że chcesz ich zlikwidować już teraz?

Geli czuła, że Skow wymięka ze strachu.

— Muszę usłyszeć to od pana.

— Sytuacja się zmieniła.

— Zmieniło się położenie geograficzne, ale nie sytuacja.

— Nie podoba mi się to. Jak zamierzasz to rozegrać?

Mantra biurokraty, pomyślała Geli z pogardą.

— Tennant postradał zmysły. Zabił człowieka, który pilnował go z ramienia Świętej Trójcy, i porwał psychoterapeutkę. Próbuje ją odbić.

Zapadła dłuższa cisza. W końcu Skow oświadczył:

— Godin miał rację, że cię zatrudnił. Powodzenia z tą próbą odbicia.

— Pierdołę uprzejmię — mruknęła Geli, rozłączyła się i uruchomiła połączenie z samolotem i ekipami na ziemi. — Air-One, czy wciąż widzisz audi?

— Tak jest. Oni z pewnością o nas wiedzą. Tennant wystawił głowę za okno i spojrzał na nas.

— Ekipy naziemne, kiedy tam dotrzecie, poczekajcie na lukę w ruchu, otoczcie samochód i zdejmijcie ich.

— Zdjąć ich? — upewnił się z niesamowitym spokojem pilota myśliwca w trakcie wykonywania misji.

Geli spojrzała na zwłoki Ritтера i przypomniała sobie ostatnią noc. Wciąż miała w sobie jego żywe komórki.

— Tennant chyba porwał swoją psychoterapeutkę. Nie jesteśmy pewni. Na pewno wiemy tyle, że jest niezrównoważony, uzbrojony i zabił już dwóch naszych. Między innymi Rittera Bocka, a to o czymś świadczy. Nie ryzykować. Przede wszystkim chrońcie swoje życie.

Rozległo się chóralne „Tak jest!”.

— Zrozumiano?

Cisza, jaka zapadła, była bardziej wymowna niż późniejsze potwierdzenia. To dlatego wybrała byłych żołnierzy.

— Przyjąłem — odezwał się męski głos.

— Air-One, informuj mnie na bieżąco.

— Tak jest.

Geli uśmiechnęła się. Tennant i Weiss nie doczekają zmroku.

Rozdział 16

Podczas gdy audi z rykiem silnika mknęło na wschód, w kierunku zakrętu, obserwowałem autostradę za nami. Najbliższy pojazd był dwieście metrów z tyłu. Wyglądał na półciężarówkę. Nie sądziłem, żeby należał do NSA, ale bo to wiadomo? Skoro śledzili nas z powietrza, ekipy naziemne nie musiały trzymać się blisko nas. Mogły nawet jechać z przodu. Nie było sposobu, żeby zorientować się, gdzie i kim są nasi prześladowcy. Przy odrobinie szczęścia samolot przechwycił nas zaledwie kilka minut przed tym, zanim zobaczyłem laser.

Rachel wysunęła rękę, żeby przyciągnąć mnie do siebie, i wyszepiała:

— Chyba widzę zakręt. To autostrada czterdzieści pięć? Sprawdziłem na mapie.

— Tak, ale to nie autostrada. Skręć tam.

Zwolniła do osiemdziesiątki i z piskiem opon skręciła w drogę 45.

— Gazu — poleciłem.

Przyspieszyła i popędziła asfaltową dwupasmówką z prędkością stu piętnastu kilometrów na godzinę. Uniosłem gogle do twarzy, wypatrując lasera. Zgubił nas na zakręcie, ale szybko znów wycelował w naszą tylną szybę. Nachyliłem się do ucha Rachel.

— Przejedziemy przez most nad rzeką Cashie, w miejscu gdzie wpada do cieśniny Albemarle. Potem skręć w następną w lewo.

— Po prostu powiedz mi, gdzie skręcić.

A8 pożerał drogę jak wygłodniały tygrys. Pędem przejechaliśmy przez wysoki most wiszący nad Cashie. Wychyliłem się przez okno, by spojrzeć w niebo. Mały samolot leciał nad drogą na wysokości półtora kilometra. Poczulem ulgę. Obawiałem się śmigłowca, który mógł wylądować na drodze i wysadzić oddział antyterrorystyczny, wyposażony w broń maszynową. Samolot mógłby wylądować na autostradzie, ale nie na krętej drodze, na której wkrótce mieliśmy się znaleźć.

Rachel wskazała skrzyżowanie przed nami. Pokiwałem głową. Zwolniła na tyle, by wziąć zakręt, po czym wpadła na dużo mniejszą szosę, z obu stron otoczoną gęstym lasem.

— Uważaj na drzewa — powiedziałem, zapierając się rękami o tablicę rozdzielczą.

Sto metrów przed nami korony wysokich dębów łączyły się nad drogą, przekształcając ją w ocieniony tunel. Kiedy tam wjechaliśmy, znów opuściłem szybę i spojrzałem w niebo. Najpierw widziałem tylko gałęzie. Potem dostrzegłem srebrny błysk — to samolot zatoczył koło nad szosą za nami, na wysokości sześciuset metrów.

— Gazu! — krzyknąłem. — Gubimy ich!

— Jeśli przyspieszę, nie opanuję samochodu.

— Świetnie ci idzie.

Siły porządkowe używały do inwigilacji samolotów, bo mogły zostać w powietrzu dłużej niż śmigłowce. Dzisiaj mieli zapłacić wysoką cenę za taką strategię. Samolot nie mógł lawirować na niebie dostatecznie szybko, by utrzymać kontakt z samochodem na krętej osłoniętej drodze.

Wielkie opony audi zapiszczały, kiedy Rachel wzięła następny ciasny zakręt przy stu dwudziestu na godzinę. Zaparłem się prawym barkiem o drzwi. Próbując utrzymać mapę względnie nieruchomo, szukałem trasy ucieczki. Gdybyśmy wjechali w następną wąziutką wiejską drogę, wkrótce znowu przekroczylibyśmy rzekę Cashie, ale nie przez most. W tym miejscu rzeka była niewiele szersza niż strumień, a na mapie napisano kursywą: *Prom*. Mogło to oznaczać cokolwiek, od płynącego swobodnie statku po barkę wciąganą na linie.

Podniosłem gogle i przyjrzałem się drodze. Promień lasera tańczył chaotycznie jakieś siedemdziesiąt metrów przed nami, hamując i

zawracając, kiedy operator w samolocie zmagał się z gałęziami zasłaniającymi nas od góry.

— Przed nami jest prom — oznajmiłem. — Jeżeli uda nam się nim zabrać, może pozbędziemy się pościgu naziemnego.

— Świetnie.

— Za moment będzie skręt w lewo.

— W porządku.

— Jest!

Rachel wcisnęła hamulec. Myślałem, że wpadniemy w poślizg, ale napęd na cztery koła pozwolił utrzymać tor jazdy, choć Rachel skrzyła z najwyższym trudem. Kiedy dębowy tunel zaczął rzednąć, jednopasmowa droga szybko przeszła w żwir i błoto, opadając łagodnie w dół. Wiedziałem, że jesteśmy blisko wody.

— Ostrożnie! — rzuciłem, wzdrygając się na dźwięk żwiru uderzającego o podwozie.

Samochód przechylił się w prawo; pokonaliśmy ostatni zakręt i zatrzymaliśmy się za przedpotopowym zielonym chevy nova, zaparkowanym na środku drogi. Za nim ujrzałem ciemny, powolny nurt rzeki o szerokości osiemdziesięciu metrów.

— Nie widzę żadnego promu — zdziwiła się Rachel.

Do dachu chevroleta przymocowany był poobijany aluminiowy kajak, ale nie zobaczyłem nikogo. Wyciągnąłem koszulę ze spodni, by zakryć broń, po czym wysiadłem i skierowałem się ku rzece.

Doleciał mnie dźwięk gitary akustycznej, melodia przypominała *Deliverance*. Kiedy obszedłem chevroleta, zobaczyłem dwie osoby — nie jakichś włóczęgów, lecz dwóch studentów siedzących na ziemi. Jeden z nich, blondyn, miał na głowie chustkę. Drugi, ciemnowłosy, brzdąkał na sfatygowanej grubej gitarze Martina. Pomachałem im ręką od niechcienia i przeszedłem obok, na skraj rzeki.

Z naprzeciwka nadpływał prom, który mógł przewieźć trzy, cztery samochody; z dudniącego silnika wydobywał się ciemny słup spalin. Na drugim brzegu stał samochód z przyczepą kempingową. Obok był mały pomost i nienależąca do niego droga.

— Wezwaliśmy już prom — odezwał się jeden z chłopaków za moimi plecami.

Odwrociłem się do nich z uśmiechem. Blondyn w chustce na głowie

nosił podkoszulek uniwersytetu Karoliny Północnej i miał bystre zielone oczy. Gitarzysta wyglądał na naćpanego, ramiona miał mocno poparzone przez słońce. Poczulem nieomylny zapach marihuany.

— Śmigacie tu po rzekach, chłopaki?

Blondyn się roześmiał.

— Raczej się wlecemy. Rano spłynęliśmy po Chowan. Teraz wracamy do domu. Do Tarboro. Chcieliśmy jeszcze rzucić okiem na Cashe.

Osloniłem oczy dłonią i spojrzałem w niebo. Samolot obserwacyjny wychynał zza chmur i przeleciał nad rzeką.

— Fajnie — rzuciłem do gitarzysty, który wciąż brzdąkał cicho. Wróciłem do audi i wsiałem. — Prom już płynie.

— Czy ten samolot wciąż jest nad nami? — spytała Rachel.

— Tak.

Wyglądała tak, jakby miała już dość jak na jeden dzień. Kiedy gapiłem się ponuro na tył chevroleta, przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

— Zaraz wracam.

Wysiadłem, obszedłem chevroleta i przykucnąłem na wprost studentów.

— Chłopaki, mam dla was propozycję.

— Jaką propozycję? — spytał blondyn.

— Moja żona nigdy nie pływała kajakiem. Zobaczyła waszą łódkę i wpadła na zwariowany pomysł. Chciałaby popłynąć rzeką do cieśniny.

Gitarzysta przestał brzdąkać.

— Człowieku, wracamy do domu.

— Pamiętam. Do Tarboro. Ale tak sobie pomyślałem... jak myślicie, ile jest wart wasz kajak? Zdaje się, że to stary grumman.

— Zgadza się — przytaknął blondyn. — Należał do mojego wujka. Myślę, że jest wart jakieś czterysta dolarów.

Odwróciliśmy się, gdy pokład promu uderzył o pomost po naszej stronie rzeki.

Wyciągnąłem rękę i szarpnąłem linkę, którą dziób kajaka przywiązany był do przedniego zderzaka samochodu.

— Raczej dwieście — odparłem z uśmiechem. — Ale lubię sprawiać przyjemności żonie. Co powiecie na pięć setek?

Blondyn głośno przełknął śliną. W myślach obliczał, ile trawy można kupić za pięć stów.

— Rzec w tym, że nie chcę tu zostawiać mojego wozu. Chciałbym, żebyście go odstawili.

— Dokąd? — zapytał blondyn.

— Co powiecie na Tarboro?

Chłopak nic nie rozumiał.

— Ale jak pan się tam dostanie, żeby odebrać swój wózek?

— Pakujcie się! — wrzasnął facet z promu, siwowłosy chudzielec w kombinezonie.

Wyciągnąłem portfel i odliczyłem dziesięć banknotów studolarowych.

— Za tysiąc zielonych, co cię to obchodzi?

— O w mordę — mruknął gitarzysta i wstał. Obejrzał się na chevroleta i audi. W odbitych promieniach słońca twarz Rachel była zamazana. — To pana samochód?

— Właśnie.

— O co w tym biega, człowieku?

— Biega o tysiąc baksów za kajak i szybką przejażdżkę. To co, gotowi?

Chłopcy spojrzeli na audi, a potem na siebie.

— Piętnaście setek — powiedział blondyn, odwracając się do mnie. — Za piętnaście setek odstawię go do Tarboro. Powiedzmy, że to opłata za ryzyko.

Uśmiechnąłem się.

— Zgoda. Ale musimy to zrobić w ten sposób...

Wjechaliśmy na rozklekotany prom i stary skierował go na powolny nurt. Tak jak ustaliliśmy, podczas przeprawy chłopcy siedzieli w swoim wozie, a ja i Rachel w audi. Samolot NSA trwał na posterunku, zataczając ciasne kółka nad rzeką. Nieomal czułem, jak ochroniarze Geli Bauer zbierają się w tym konkretnym zakątku Karoliny Północnej.

Kiedy prom dotarł na drugi brzeg, chevy nova zjechał powoli z pokładu na pomost i dalej, na drogę. Rachel ruszyła za nim. Nagle wyrwała się przed chevroleta i wjechała w las niczym kobieta ścigana przez demony. Gdy tylko gałęzie dębów zamknęły się nad nami, zahamowała i zaczęła na chłopaków.

Dwadzieścia sekund później stary chevy wyjechał z zakrętu i zatrzymał się za nami.

— Ruszajcie się! — krzyknąłem do chłopaków, gdy wysiadali.

Ich kajak spoczywał na płytach z żółtej pianki, chroniących dach samochodu. Zacząłem odwiązywać linę od dziobu, lecz blondyn wyciągnął z kieszeni nóż i przeciął liny z obu stron kajaka. Chwyciłem łódź za dziób, gitarzysta złapał za rufę i wspólnie ściągnęliśmy ją z dachu. W ostatniej chwili kajak wysliznął nam się z rąk i spadł na żwir z głośnym brzękiem. Blondyn sięgnął na tylne siedzenie, wyciągnął dwa długie drewniane wiosła i wrzucił je do kajaka. Kiedy podniósł wzrok, utkwił spojrzenie gdzieś za moimi plecami i zarumienił się. Odwróciłem się i ujrzałem Rachel, stojącą za mną w dżinsach i białej koszuli.

— Hej! — powitała ich. — Wielkie dzięki! — Po czym uśmiechnęła się; nigdy nie widziałem, żeby się tak uśmiechała.

— Eee... nie ma sprawy — bąknął blondyn.

Gitarzysta pomachał Rachel, ale nie odezwał się. Przekonałem się, że w wieku trzydziestu pięciu lat Rachel Weiss wciąż robiła wrażenie na dwudziestolatkach.

— Musimy się zbierać — powiedziałem. — Wy też, chłopaki.

Wręczyłem blondynowi piętnaście studolarówek.

— Albo mi pan płaci za dużo, albo za mało — oświadczył. — Ale jest spoko. — Wskazał na drzewa. — Jeżeli przeniesiecie kajak tamtędy, do rzeki będzie jakieś pięćdziesiąt metrów.

— Dzięki.

Pobiegł truchtem do audi i usiadł za kierownicą. Wziąłem pudełko Fieldinga z tylnego siedzenia i dotknąłem ramienia chłopaka.

— Gdyby ktoś was zatrzymał w tym samochodzie, opowiedzcie dokładnie, jak było. O pieniądzach, wszystko. Nic wam się nie stanie.

Pokiwał głową.

— Nie pękaj.

Audi obudziło się z rykiem i wystrzeliło dębowym tunelem. Gitarzysta w chevy roześmiał się, pokręcił głową i powoli pojechał za nim.

Wrzuciłem pudełko Fieldinga do kajaka owinąłem sobie linę dziobową wokół ręki i zacząłem ciągnąć łódź w stronę drzew.

— Mam pchać? — spytała Rachel.

— Nie trzeba. Ty uważaj na węże.

Od tej pory nie odrywała wzroku od ziemi.

Drzewa rosły tak blisko siebie, że z trudem przeciskaliśmy się z kajakiem. Po chwili cały byłem zlany potem. Ale blondyn miał rację. Wkrótce poczułem zapach gnijących roślin i ujrzałem żółtawy błysk słońca na wodzie. Jeszcze piętnaście metrów i spychałem kajak między dwoma cyprysami do rzeki.

— Wskakuj — poleciłem Rachel. — Na dziób.

Wsiadła od strony rufy i ostrożnie przeszła na siedzenie z przodu. Zepchnąłem kajak na głębszą wodę i wskoczyłem na rufę, kiedy oddalała się od brzegu. Usiadłem na twardym siedzeniu, chwyciłem wiosło i popłynęliśmy wzdłuż pełnego węży brzegu.

— Będę się trzymał pod drzewami — powiedziałem. — Wypatruj samolotu.

Rachel spojrzała w górę i zmrużyła oczy. Wiosłując, nastawiałem uszu, ale słyszałem jedynie odgłos drewna rozgarniającego wodę.

— Widzisz coś?

Pokręciła głową.

Spojrzałem przed siebie, na długi, ciemny nurt rzeki, porośniętej po obu stronach gęstymi kępami cyprysów i sosen. W tym momencie olbrzymie zasoby NSA usiłowały nas znaleźć. Tutaj jednak były w dużym stopniu bezużyteczne. Po raz pierwszy od wielu godzin poczułem spokój.

— Masz jakiś pomysł, dokąd zmierzamy? — spytała Rachel.

— Nie. Ale będę wiedział, kiedy tam dotrzemy.

Rozdział 17

Geli Bauer siedziała w fotelu w podziemiach Świętej Trójcy. W prawej dłoni ścisnęła parę wyważonych kości, które zabrała z rzeczy Fieldinga leżących w magazynie. Wzięła je sobie na szczęście, ale na razie go jej nie przyniosły.

Po prawej, na szeregu monitorów, pracownicy NSA z wózkami widłowymi i podnośnikami przynosili czuły sprzęt i dane do ciężarówek czekających na tyłach budynku. Na wypadek gdyby Tennant zwrócił się do mediów, Geli wołała, żeby kontrola kongresmanów niczego nie znalazła.

— Tennant właśnie zjechał na pobocze i zatrzymał się — odezwał się kobiecy głos w jej słuchawkach. Kobieta nazywała się Evans. Kiedyś była podoficerem w marynarce wojennej, teraz zaś wchodziła w skład pierwszego zespołu naziemnego, który dostrzegł skradzione audi.

— Próbował uciekać? — spytała Geli.

— Nie. Kiedy zorientował się, że go ścigamy, po prostu zjechał na bok, jakby zrobił sobie przerwę w podróży.

Geli się to nie podobało.

— Widzisz ich?

— Tylko mężczyznę.

— Macie megafon?

— Nie potrzebujemy. Właśnie wysiadł z samochodu. Podnosi ręce do góry.

— Doktor Tennant?

— Nie sądzą. — W słuchawkach zatrzeszczało. — To jakiś chłopak.

— Chłopak?

— Hipis. Student.

— Zatrzymaliście nie ten samochód!

— Nie. Rejestracja się zgadza. Poczekaj... musieli dokonać zamiany.

— Kto?

— Na promie jechali dwaj studenci w zielonym chevy. Tennant i Weiss muszą być w tym samochodzie.

— Przesłuchaj tego cholernego dzieciaka! Dowiedz się, co i jak!

— Nie wyłączaj się.

Geli zerknęła na monitory. Ludzie z NSA przynosili spakowane komputery na rampę na poziomie ziemi. Przenoszenie sprzętu było upierdliwe jak cholera. Nie doszłoby do tego, gdyby pozwolili jej zabić Tennanta razem z Fieldingiem.

— Tu Evans — usłyszała w słuchawkach. — Są teraz na rzece.

— Co takiego?

— Studenci mieli kajak. Z niemalowanego aluminium. Tennant go odkupił.

Geli miała wrażenie, że dostanie zawału serca.

— Tak czy inaczej, znajdźcie chevy i dopadnijcie go! I skonfiskujcie audi.

— Tak jest.

— Air-One, czy mnie słyszysz?

— Słyszę.

— Zaczynj krążyć nisko nad rzeką. Zaczynj od przystani promu i kieruj się w stronę cieśniny Albemarle. Nawet Tennant nie próbowałby uciekać, wiosłując pod prąd.

— Będziemy nad rzeką za pięć minut.

— Niech ekipy naziemne jadą wzdłuż rzeki po obu stronach.

— Droga jest tylko z jednej strony, od północy.

— Chryste Panie!

— Będziemy obserwowali tę stronę.

Geli rozłączyła się i rzuciła do mikrofonu:

— Skow, dom.

Skow odebrał po pierwszym sygnale i warknął:

- Powiedz mi, że ich macie.
- Uciekli.
- Co to znaczy?
- Tennant dokonał zamiany na promie. On i Weiss płyną teraz kajakiem gdzieś po rzece Cashie.
- Jasna cholera, Geli! Jak mogłaś tak to spieprzyć?
- Czuła, że palą ją policzki.
- Chce pan podyskutować o tym, kto to spieprzył?
- A cóż to za niesubordynacja?
- Jeżeli Tennant nam się wymknie, to może pan się pożegnać z kontrolą.

— Niekoniecznie. Daj mi chwilkę.

Kiedy Skow zastanawiał się nad sytuacją, Geli przywołała na ekran mapę Karoliny Północnej. Co zrobi Tennant, skoro dostał się do rzeki? Dokąd popłynie? Prom od cieśniny dzieliło osiem kilometrów, a na południowym brzegu rzeki nie było drogi, z której można by prowadzić obserwację. Jeżeli Tennant o tym wiedział, mógł zatrzymać łódź gdziekolwiek.

— Czego potrzebujesz? — spytał Skow.

— Chcę mieć natychmiast satelitarny obraz rzeki w czasie rzeczywistym. Jak największa rozdzielczość. Pan załatwi autoryzację, ja podam współrzędne.

— Co jeszcze?

— Potrzebuję więcej ludzi. Mam za małe siły, żeby prowadzić szeroko zakrojone poszukiwania na zalesionym terenie.

— To jest problem. Dopóki nie wyjdziemy do mediów z jakąś historią na ten temat, nie będziemy mieli więcej ludzi.

— To niech pan lepiej pomyśli, jak to przedstawić publicznie, byle szybko.

— Posłuchaj, Geli, jeżeli zgubimy go teraz, wciąż mamy szansę. Będę ci przekazywał informacje, dzięki którym będziesz wyprzedzała Tennanta o krok.

Jej wewnętrzny radar zadzwonił na alarm.

— Jakie informacje?

— Dowiesz się, kiedy je dostaniesz. Z absolutnie wiarygodnego źródła.

— Coś takiego nie istnieje. Czy chodzi o źródło z NSA?

— Tak.

— Jak dotąd agencja nie dostarczyła mi żadnych wiarygodnych informacji.

— To się wkrótce zmieni. Śpieszę się. Czy obgadaliśmy wszystko?

— Nie. Zasady zatrudnienia. Skow sapnął głośno.

— Twój scenariusz mi odpowiada.

— No myślę! Ale chcę dostać wyraźny rozkaz, że mam ich zabić.

Skow nie odpowiedział.

Geli czuła, że zaraz trafi ją szlag.

— Niech pan posłucha, zwlekaliśmy...

— Daj mi chwilę, żebym się zastanowił.

— Dlaczego pan jest taki niezdecydowany w tej sprawie?

— Zrozum... jesteśmy zakładnikami sytuacji. Ty masz doświadczenie taktyczne. Muszę zostawić zasady zatrudnienia do twojego uznania.

Geli pokręciła głową i mruknęła:

— Trzeba uważać na to, czego by się chciało, co?

— To brzemię dowodzenia, panno Bauer.

— Dowodzenie nie jest brzemieniem, Skow. To nirwana. Brzemieniem jest zadawanie się z biurokratami, którzy pilnują swojego tyłka i są mądrzy po fakcie.

Skow zachichotał cicho.

— Zupełnie jakbym słyszał twojego ojca. Wspomnę mu o tym.

Jego komentarz zmroził Geli.

— Koniecznie — powiedziała, rejterując.

Kiedy Skow się rozłączył, siedziała w ciszy, muskając lekko bliznę na policzku. A więc Skow i jej ojciec znali się nie tylko przelotnie. Nie podobało jej się to. Ani trochę.

Rozdział 18

Wiosłowałem równomiernie przez godzinę, aż nagle dostrzegłem pomost dla łodzi. Sterczał u podnóża wysokiego mostu nad Cashie, tego samego, którym przejeżdżaliśmy w drodze na prom. Rzeka była tu szersza, wkrótce miała wpaść do rozległej cieśniny Albemarle. Na otwartych wodach łatwiej byłoby nas namierzyć z powietrza. Nie widziałem już wprawdzie śladów samolotu obserwacyjnego, ale niewielka była z tego pociecha. Płynąc pod zwisającymi gałęziami drzew na prawym brzegu, myślałem o pomoście. Obok powinien być parking. Ciężarówki i samochody ciągnące przyczepy z łodziami. A także prawdopodobnie wędkarze, powracający po dniu spędzonym na łowieniu.

Rachel odwróciła się i usiadła twarzą do mnie, przyglądając się uważnie, jak wiosłuję.

— Ty już to robiłeś.

— Co? Uciekałem?

— Pływałeś kajakiem.

Potwierdziłem skinieniem głowy.

— Z bratem i ojcem często biwakowaliśmy w okolicach Oak Ridge. Jeździliśmy na polowanie i na ryby.

Popatrzyła na drzewa na brzegu. Słońce uparcie wisiało za nami, lecz cienie pod gałęziami były coraz głębsze, niemal czarne.

— Czy jesteśmy już bezpieczni? — spytała.

— Chwilowo. Ludzie, którzy nas ścigają, są uzależnieni od technologii. Gdybyśmy byli w cywilizowanym świecie, w mieście czy na

autostradzie, już by nas dopadli. Tutaj szanse są bardziej wyrównane.

Bawiła się nylonową niebiesko-białą cumą rufową.

— Kim jest ta Geli Bauer, o której mówiłeś?

Zdziwiłem się, że zapamiętała jej imię i nazwisko, choć nie było w tym nic dziwnego. Nigdy nie zapomniała niczego, co jej powiedziałem.

— Jest zabójczynią i właśnie na nas poluje.

— Skąd wiesz, że to zabójczym?

— Przez jakiś czas służyła w wojsku. Mówi płynnie po arabsku, więc przed operacją Pustynna Burza zrzucili ją do Iraku z oddziałem komandosów. Żeby przesłuchiwała pojmanych członków gwardii republikańskiej. Zabiła dwóch irackich więźniów, bo nie mogli dotrzymać kroku jej ekipie za liniami wroga. Nawet komandosi z oddziału Delta byli wstrząśnięci.

— Wygląda na to, że kobiety zaszły dalej, niż to się wydaje feministkom.

— Nie. Kobiety zabójczynie to tradycja sięgająca czasów starożytnych. Kiedyś Geli urządziła Raviemu Narze cały wykład na ten temat.

— Ani chybi to socjopatka. — Rachel puściła cumę i ze znużeniem pomasowała sobie kark.

— Byłaby ciekawym obiektem dla twoich badań.

— Myślisz, że to ona zabiła Fieldinga?

— Tak. Wie wszystko o lekach, które zabijając, wywołują symptomy udaru mózgu, i ma stały dostęp do wszystkiego w Świętej Trójcy. Do wody, jedzenia... co tylko chcesz.

Przyłożyłem się do wiosła i most nad Cashie przybliżał się z każdą chwilą. Rachel spojrzała przez ramię na masywną konstrukcję. Co kilka sekund przejeżdżał tamtędy samochód. Ten most reprezentował cywilizację. Przestałem wiosłować, by dać chwilę wytchnienia palącym mięśniom barków. Zapadła niemal absolutna cisza.

— Posłuchaj ptaków — odezwała się Rachel.

Wyteżyłem słuch, lecz dźwięk, który wyłowilem z ciszy, nie był naturalny. Po rzece niosło się lekkie dudnienie. Mogła to być motorówka, coś mi jednak mówiło, że nie.

— O co chodzi? Wyglądasz, jakbyś się czegoś wystraszył.

Obserwowałem prawy brzeg, szukając miejsca, gdzie można by przybić. Jeśli to mały samolot leciał nisko nad rzeką, zwisające gałęzie nie mogłyby nas osłonić. Odgłos silnika przybierał na sile. Teraz nawet Rachel go usłyszała.

— Chyba jest blisko — powiedziała.

Tuż przed nami chore drzewo wpadło do wody. Leżało częściowo zanurzone, wystające martwe gałęzie i liście trzepotały na wietrze jak upiorne skrzydła. Nisza pomiędzy drzewem a brzegiem nasuwała obawę, że do łodzi w każdej chwili może wpełznąć wodny mokasyn, gdyby ktoś był na tyle głupi, żeby próbować łowić stamtąd ryby. Skierowałem kajak w ten wąski tunel, czując się trochę jak Sokole Oko z *Ostatniego Mohikanina*. Miałem tylko nadzieję, że będzie mi dopisywało takie samo szczęście jak jemu.

Kilka sekund po tym, jak dziób kajaka zarył w brzeg, dudnienie zbliżającego się silnika przeszło w głośny ryk. Zerknąłem pomiędzy drzewami i ujrzałem to, czego się obawiałem — mały samolot leciał siedem metrów nad wodą, zupełnie jakby w Wietnamie pilot udzielał wsparcia oddziałom na lądzie.

— Chyba nas nie zobaczą, co? — upewniła się Rachel.

— Bez sprzętu reagującego na temperaturę ciała nie. Ale kto wie, czy go nie mają. Kładź się na dnie łodzi.

Zsunęła się z siedzenia i położyła płasko. Ja zrobiłem to samo obok niej. Silnik samolotu wprawiał w wibracje aluminiowe poszycie kajaka. Leżeliśmy na dnie łódki, czekając, czy samolot zawróci, by ponownie sprawdzić teren. Nie wrócił.

Usiadłem na swoim miejscu i powiosłowałem w stronę mostu.

— Nie wierzę, że to się dzieje naprawdę — powiedziała Rachel. — Nie wierzę, że kobieta, której nigdy nie spotkałam, ściga mnie i chce zabić. Jak to możliwe?

Wróciłem myślami do mojego ostatniego spotkania z Bauer.

— Ona myśli, że za dużo nas łączy. Uważa, że się we mnie kochasz.

Policzki Rachel zarumieniły się w promieniach zachodzącego słońca.

— Z powodu tego pocałunku u Lu Li?

— Nie tylko. Wczoraj, kiedy mnie przesłuchiwała, powiedziała, że z nikim się nie spotykasz.

— Skąd ona to wie?

— Zna wszystkich facetów, z którymi się umawiałaś, i wie, kiedy przestałaś się z nimi spotykać. Wie, kto był twoim nauczycielem w trzeciej klasie i co ci gotowała matka, kiedy byłaś chora.

— Co jej odpowiedziałeś na to, że się w tobiekocham?

— Że masz mnie za schizofrenika.

Rachel uśmiechnęła się, lecz w jej oczach malował się głęboki smutek.

Omiotłem wzrokiem szeroką rzekę, wypatrując innych jednostek na wodzie. Nie zobaczyłem ani jednej, ale nic w tym dziwnego. Rybacy po to kupowali wielkie motorówki, by zawoziły ich na jak najdalsze łowiska. Zanurzyłem wiosło i nakierowałem kajak na pomost.

— Zatrzymujemy się? — spytała Rachel, spoglądając na łagodne nachylenie pomostu.

— Tak. Jak dobijemy, zostań w łodzi. Zaraz wrócę.

— Co chcesz zrobić?

— Rozejrzeć się.

Zatrzymałem kajak przy pomoście, wskoczyłem do płytkiej wody i rozbryzgując ją, poczłapałem na brzeg. Od drzew po mojej prawej stronie do olbrzymich betonowych filarów mostu po lewej ciągnął się parking w kształcie muszli ostrygi. Nie dostrzegłem nikogo, ale czterdzieści metrów od pomostu stały w rzędzie półciężarówki z przyczepami do przewożenia łodzi. Podszedłem tam i wsunąłem się między dwa pojazdy.

Przykucnięty, macałem od góry opony obu samochodów, szukając kluczyków. Nie znalazłem. Przeszedłem na drugą stronę wozu po mojej lewej i sprawdziłem pozostałe dwie opony. Nic. Dwie kolejne półciężarówki i dalej nic z tego. Następny w rzędzie stał kasztanowy dodge ram. Na jego oponach również nie było kluczyków, więc zmieniłem taktykę. Przykucnąłem między tyłem wozu a pustą lawetą dla łodzi, sięgnąłem pod zderzak i przeciągnąłem po nim czubkami palców od wewnątrz. Coś przesunęło się ze zgrzytem.

Pojemnik na klucze przyczepiany na magnes.

Otworzyłem małe czarne pudełko i znalazłem w nim kluczyk do dodge'a oraz drugi do zamka lawety. Czym prędzej odczepiłem lawetę od półciężarówki, usiadłem za kierownicą i zapaliłem silnik.

Kiedy podjeżdżałem, Rachel skuliła się w kajaku, nie wiedząc, że to ja siedzę za kółkiem. Skręciłem w lewo, żeby zobaczyła mnie przez szybę.

— Weź pudełko Fieldinga! — krzyknąłem. — Szybko!

Ściskając pudełko, wygramoliła się z kajaka i przebrnęła przez wodę. Pobiegłem na brzeg, zaczerpnąłem garść szlamu z wody i zaszmarowałem tablice rejestracyjne dodge'a. Następnie umyłem ręce w rzece, wrzuciłem pudełko Fieldinga na tylne siedzenie i pomogłem Rachel wdrapać się na fotel obok mnie.

— Spiąłeś kable na krótko czy jak? — zapytała.

— Nawet nie wiedziałbym, jak się do tego zabrać. Wędkarze to uczciwi ludzie. Ufają sobie. Nie podoba mi się, że go ukradłem.

— Odmówię modlitwę pokutną. Jedźmy.

Wyjechaliśmy z parkingu na pełnym gazie, zostawiając za sobą białą chmurę kurzu.

— Nadal jedziemy do Nags Head? — spytała Rachel.

— Nie. Mogą tam na nas czekać. Pozwolisz, że skorzystam z twojej komórki?

Wyjęła z kieszeni srebrną motorolę i podała mi ją. Wybrałem numer Białego Domu; już dawno temu Fielding kazał mi nauczyć się go na pamięć.

— Do kogo dzwonicz? — zainteresowała się Rachel.

— Mam nadzieję, że do prezydenta.

— Ale mówiłeś, że...

— Chcę się przekonać, jaka będzie reakcja.

Telefonistka odebrała po drugim sygnale.

— Projekt Święta Trójca — rzuciłem. Zapadła cisza, potem coś trzasnęło i mężczyzna, z którym rozmawiałem wczoraj, polecił:

— Proszę powiedzieć, o co chodzi.

— Mówi David Tennant. Muszę rozmawiać z prezydentem.

— Proszę poczekać.

Zapadła sycząca cisza. Wiedziałem, że z każdą sekundą, szanse NSA na zlokalizowanie komórki Rachel wzrastają,

— I jak? — spytała.

— Licz do czterdziestu. Na głos.

Gdy doszła do trzydziestu pięciu, usłyszałem głos z akcentem z Nowej Anglii:

— Doktor Tennant?

— Tak.

— Tu Ewan McCaskell. Mówię z pokładu Air Force One.

Serce zabiło mi mocniej.

— Panie McCaskell, muszę mówić z prezydentem.

— W tej chwili rozmawia z brytyjskim premierem. Będzie mógł podejść do telefonu za jakieś pięć minut.

Nie mogłem wisieć na linii tak długo.

— Zaczeka pan? — spytał McCaskell. — Prezydent wie o niepokojących wydarzeniach związanych z Projektem Święta Trójca. Bardzo chciałby z panem porozmawiać.

— Nie mogę czekać. Zadzwoń jeszcze raz do Białego Domu za siedem minut.

— Załatwię, żeby przełączyli pana bezpośrednio do nas.

Z bijącym sercem wyłączyłem komórkę.

Rachel dotknęła mojego ramienia.

— Jest dobrze czy źle?

— Sam nie wiem. To był McCaskell. Powiedział, że prezydent chce ze mną mówić. Ale najwyraźniej ktoś już z nimi gadał. Prawdopodobnie John Skow. Wiedzą tylko to, co Godin chce, żeby wiedzieli.

— Wrócili już do Stanów?

— Są na pokładzie Air Force One.

— W drodze powrotnej z Chin?

— Nie. To jest pięciodniowa wizyta plus jeden dzień postoju w Japonii. Sprawdziłem to wczoraj. Ten szczyt to coś w rodzaju hołdu dla wizyty Nixona w siedemdziesiątym drugim. Powtórka tamtego wydarzenia, tyle że bez napięcia towarzyszącego zimnej wojnie.

— Co mu powiesz, kiedy zadzwonisz jeszcze raz?

Pokręciłem głową. Kiedy prezydent Bill Matthews wskoczył do Białego Domu na fali frustracji skierowanej przeciwko demokratom, był senatorem republikańskim z Teksasu. Nikogo nie zdziwiło to

bardziej niż mojego brata, Jamesa, który znał Matthews'a jeszcze ze studiów w Yale. Według mojego brata Matthews miał charyzmę, ale najbystrzejszy to on nie był. Jako senator w dużym stopniu polegał na doradcach i pod tym względem w Białym Domu nic się nie zmieniło. Mimo to w powszechnej opinii dobrze sobie radził zarówno w polityce wewnętrznej, jak zagranicznej. Po raz pierwszy spotkałem się z Matthewsem w Gabinetcie Ovalnym, a potem raz jeszcze na przyjęciu w Georgetown, kiedy pracowałem przy realizacji serialu *NOVA*, opartego na mojej książce. Jak on mnie zapamiętał? Jako zdroworozsądkowego lekarza, z którego bratem się przyjaźnił? Czy jako owładniętego urojeniami paranoika, jak niewątpliwie opisał mnie Skow?

Z niepokojemjechałem autostradą 64, aż nadszedł czas na powtórzenie telefonu. Tym razem, kiedy się przedstawiłem, natychmiast uzyskałem połączenie.

— Doktor Tennant? — usłyszałem głos prezydenta.

— David Tennant przy telefonie.

— Z tej strony Bill Matthews. Davidzie, wiem, że minęło sporo czasu, odkąd się widzieliśmy, ale wiedz, że mnie możesz powiedzieć wszystko. Słucham.

Odetchnąłem głęboko i od razu przeszedłem do rzeczy.

— Panie prezydencie, wiem, że opowiadano już panu różne rzeczy o moim rzekomym stanie psychicznym. Chciałbym, żeby pan wiedział, że jestem równie zdrowy na umyśle jak wówczas, gdy spotkaliśmy się w Gabinetcie Ovalnym. Dlatego proszę o wysłuchanie mnie bez uprzedzeń. Wczoraj Andrew Fielding zmarł w swoim gabinecie w Świętej Trójcy. Uważam, że został zamordowany. Dzisiaj nastąpił zamach na moje życie. Ktoś wdarł się do mojego domu z pistoletem i musiałem go zastrzelić w samoobronie. Projekt Święta Trójca zupełnie wymknął się spod kontroli, za co, moim zdaniem, winę ponoszą Peter Godin i John Skow.

Zapadła długa cisza.

— Panie prezydencie?

— Jestem, Davidzie. Słuchaj, po pierwsze musimy cię ściągnąć w jakieś bezpieczne miejsce.

— Żadne miejsce nie jest bezpieczne.

— Gdzieś chyba jest, nie sądzisz?

— Nie wtedy, kiedy NSA próbuje kogoś zabić.
— Nie przejmuj się NSA. Załatwię z Secret Service, żeby cię odebrali i ukryli gdzieś, gdzie poczekaś na kontakt ze mną.

Propozycja brzmiała atrakcyjnie, wiedziałem jednak, że nie mogę ryzykować takiego spotkania. Wątpiłem, żebym dotarł na nie żywy.

— Nie mogę się na to zgodzić, panie prezydencie.

— Nie ufasz Secret Service?

— Nie o to chodzi. Problem w tym, że nie znam nikogo z Secret Service z widzenia.

— Rozumiem. — Cisza. — No to może ustalilibyśmy jakieś hasło czy sygnał?

— To nas nie uchroni przed NSA. Nic w tym rodzaju nie jest bezpieczne.

— Możemy ustalić hasło w tej chwili.

— Należy założyć, że agencja podsłuchuje tę rozmowę. Mogą ją ściągnąć z eteru znad Chin.

Matthews westchnął.

— W porządku, Davidzie. Powiedz mi jedno. Czy ufasz Ewanowi McCaskellowi?

Zastanowiłem się. Dopóki McCaskell nie nagrał mi na sekretarce wiadomości, dzięki której ochroniarze Świętej Trójcy dowiedzieli się, że nie rozmawiałem jeszcze z prezydentem, nie było zamachu na moje życie. Gdyby McCaskell był powiązany z kimś ze Świętej Trójcy, skontaktowałby się z nimi na długo przed telefonem do mnie.

— Ufam mu. Ale musiałbym zobaczyć jego twarz.

— No cóż... wygląda na to, że musisz się ukrywać, dopóki znów się nie skontaktujemy. Wtedy McCaskell i Secret Service cię przejmą. Czy dasz radę dotrzeć do Waszyngtonu za cztery dni?

— Tak. Panie prezydencie, czy mogę zadać panu pytanie?

— Oczywiście.

— Czy wierzy pan w cokolwiek z tego, co powiedziałem?

Matthews odpowiedział nieco mniej przyjacielskim tonem:

— Nie będę cię oszukiwał, Davidzie. John Skow twierdzi, że doktor Fielding umarł z przyczyn naturalnych oraz że bez powodu zastrzelił ochroniarza Świętej Trójcy przed swoim domem. Poza tym mówi, że porwał swoją psychoterapeutkę.

Zamrugalem z niedowierzaniem. Nareszcie Skow popełnił błąd!

— Jedną chwileczkę, panie prezydencie. — Podalem telefon Rachel. — Powiedz mi, kim jestes.

Z wahaniem wzięła telefon i przylozyła go do ucha.

— Mowi doktor Rachel Weiss... Tak... Nie, panie prezydencie, pojechałam z doktorem Tennantem z własnej woli... Zgadza się. Tak, próbują nas zabić... Dobrze, panie prezydencie.

Oddala mi komórke.

— Panie prezydencie?

— Jestem, Davidzie. Posluchaj, sam nie wiem, co myslec. Wiem jednak, ze jestes porzadnym czlowiekiem, i chce się z toba zobaczyc i cie wysluchac.

Poczulem mikroskopijny przeblysk ulgi.

— Dziękuję, panie prezydencie. Jedyne, o co prosze, to o wysluchanie tego, co mam do powiedzenia.

— Masz to zalatwione, jak tylko wróce. Nie wychylaj nosa z prosa, Dave.

W gardle zabulgotal mi smiech. Prezydent posluzyl się ulubionym zwrotem mojego starszego brata.

— Dziękuję, panie prezydencie. Do zobaczenia.

Rozlaczylem się.

Rachel obserwowala mnie niecierpliwie.

— I co o tym sádzisz?

— Sádzę, ze jestešmy w lepszej sytuacji niż piéc minut temu. O co cie pytal?

— Czy jestem zniewolona. Przykazal mi tez, zebym się toba opiekowala. Boze jedyny... nie moge w to uwierzyc. Co bedziemy robili przez te cztery dni?

Wcisnalem gaz i przyspieszylem do stu dziesieciu.

— Jedziemy do Oak Ridge.

— Do Tennessee?

— Ano. Znam te okolice lepiej niz jakiegokolwiek inne. Osiem kilometrow za miastem gubisz się w lešnej gluszy. Żadnej policji. Żadnych telewizorów, w których pokazują zdjęcia poszukiwanych uciekierów i skradzionych póciężarówek. Nic.

— To daleko stąd?

— Osiem godzin jazdy. — Wyprzedziłem wlokący się samochód i wróciłem na prawy pas. — Ułóż się wygodnie i prześpij.

— Nie potrafię spać w samochodzie.

— To półciężarówka.

— Mądrała.

Ucieczka przed samolotem i rozmowa z prezydentem wprowadziła nas w nastrój podniecenia, ale nie miało to trwać długo.

— Mówię poważnie, prześpij się. Rano będziesz potrzebowała wszelkiej możliwej energii.

— Na co?

— Na góry.

Rozdział 19

Geli Bauer jechała na adrenalinie, jej ciało napędzał pościg. Podwładnych, podzielonych między polowanie na Tennanta i Weiss a poszukiwanie Lu Li Fielding, eksploatowała do granic możliwości. Kiedy jednak irytował ją brak ludzi, wracała myślami do irackiej pustyni, gdzie całe jej siły liczyły tylko ośmiu komandosów z oddziału Delta.

Ostatnio o ból głowy przyprawiała ją Jutta Klein, niemiecka ekspertka od rezonansu magnetycznego. Najwyraźniej Klein skorzystała z ograniczonej inwigilacji i pojechała do Atlanty, gdzie wsiadła w samolot Lufthansy do Niemiec. Niemiecki rząd zobowiązał się do udzielenia „wszelkiej możliwej pomocy”, Geli wiedziała jednak, że powitają Klein i jej nowo nabytą wiedzę z otwartymi ramionami.

Obróciła się w fotelu. Rozległ się brzęczyk i ktoś z dziennym kodem dostępu przeszedł przez drzwi centrum kontroli. Z cienia wyszedł John Skow, jak zawsze ubrany w garnitur od Braci Brooks. Jego oczy błyszczały ze strachu albo podniecenia.

— Co pan tu robi? Co się stało?

Skow usiadł okrakiem na krześle naprzeciwko niej i splótł niemal kobiece ręce za oparciem.

— Tennant właśnie rozmawiał z prezydentem. Matthews był na pokładzie Air Force One, w drodze z Pekinu do Szanghaju. Nasz rutynowy nasłuch znad Chin wyłapał tę rozmowę, a ja właśnie złamałem szyfr.

Geli poczuła się, jakby otworzyła drzwiczki rozpalonego piecyka.

Nic dziwnego, że Skow nie chciał gadać o tym przez telefon.

— O czym mówili?

— Prezydent chciał wysłać po Tennanta Secret Service, ale on nie dał się na to złapać.

— Czy Matthews kupił naszą historyjkę? Czy raczej wierzy Tennantowi?

Skow, zastanawiając się, przygryzł górną wargę.

— Powiedziałbym, że skłania się do naszej wersji. Ale obiecał Tennantowi, że go wysłucha bez uprzedzeń.

— Jak ma dojść do ich spotkania?

— Po powrocie prezydenta Ewan McCaskell i ludzie z Secret Service spotkają się z Tennantem. On ufa McCaskellowi.

— Kiedy wraca prezydent?

— Za cztery dni.

— Mówimy o Waszyngtonie?

— Tak.

— To świetnie.

— Dlaczego?

Geli już wcześniej przewidywała, że Tennant spróbuje ukryć się w stolicy.

— Waszyngton daje nam doskonałą przykrywkę, żeby zdjąć Tennanta. Od teraz robimy wszystko co się da, żeby go zdyskredytować, na bazie tego, co już powiedzieliśmy. Efekty uboczne Tennanta przeszły w ciężką psychozę. Zastrzelił swojego ochroniarza i porwał doktor Weiss.

— I...?

— I teraz zagraża życiu prezydenta.

Oczy Skowa zwęziły się.

— Przecież dopiero co rozmawiał z Matthewsem. I w żaden sposób mu nie groził.

Geli przewróciła oczami.

— Tennant mówi to, co musi mówić, żeby uzyskać dostęp do człowieka, którego chce zabić. Przedstawiając go jako obłąkanego zabójcę, sprawimy, że każdy krawężnik w stolicy będzie na niego polował. Jeżeli zrobimy z niego Lee Harveya Oswalda, Secret Service nie dopuści go w pobliże prezydenta.

— Elegancka strategia. Jak stworzymy dowody?

— Mamy setki godzin nagrań z domu Tennanta i z jego telefonu. Czy Godin Cztery nadal pracuje na górze?

— Nie zwróciłem uwagi. Dlaczego pytasz?

— Za pomocą odpowiednich programów z NSA — i Godina Cztery — możemy spreparować werbalne groźby pod adresem prezydenta, których autentyczności nikt nie podważy.

Skow uśmiechnął się z uznaniem.

— Dobrze, Geli. Bardzo dobrze.

— Po to tu jestem. Pytanie brzmi, czy Tennant pojedzie prosto do stolicy, czy odczeka te cztery dni?

— Moje źródło twierdzi, że nie — odparł Skow. — Mam krótką listę miejsc, dokąd Tennant mógłby uciec, i Waszyngton jest na szarym końcu.

Geli zacisnęła szczęki ze złości.

— Kim jest to źródło, do cholery?

— Tego nie mogę ci zdradzić. Przykro mi.

— W każdym razie ten ktoś twierdzi, że Tennant będzie się ukrywał poza stolicą?

— Tak. Tak chyba nakazuje zdrowy rozsądek, prawda? W jakim celu Tennant miałby ryzykować pobyt w Waszyngtonie, skoro do spotkania ma dojść za cztery dni?

— W takim, że zna tam ludzi, którzy mają dojście do prezydenta. Naczelnego lekarza kraju. Dyrektora Narodowego Instytutu Zdrowia. Polityków ze swojego rodzinnego stanu. Na litość boską, senator Barrett Jackson przewodniczy komisji do spraw wywiadu. On ma dostęp do Gabinetu Ovalnego bez wcześniejszego umawiania się. A jeśli Tennant przekona kogoś takiego jak Barrett Jackson, że jest zdrowy na umyśle...

— Rozumiem. Zgoda. Ale nie jesteśmy pewni, dokąd ucieknie. Nasza historia o zabójcy pozwoli nam ściągnąć federalnych, żeby pilnowali innych możliwych miejsc.

— Świetnie. Pan niech się zajmie mediami. No i niech pan ostrzeże wszystkich ludzi z establishmentu, których Tennant może znać, że chodzi o tajną operację NSA. Niech pan podkreśla jego nierównowagę psychiczną. Potrafi pan to załatwić taktownie?

Cienkie wargi Skowa ułożyły się w coś na kształt uśmiechu.

— Po to tu jestem.

Geli skinęła głową. Od wielu godzin nie czuła się tak dobrze.

— Niech pan lepiej idzie na górę i załatwi, żeby odpalili Godina Cztery. Albo niech go tu przywiozą, byle szybko.

Skow nigdy jeszcze nie dotknął Geli, teraz jednak wyciągnął rękę i położył dłoń na jej nadgarstku.

— Masz cztery dni, żeby zabić Tennanta i Weiss. Potem sprawy przejmie Secret Service, a oni już się postarają, żeby go dopaść, ale nie zabić.

— Dlatego pan załatwi, żeby nikt nie uwierzył w nic z tego, co on powie.

Skow przytaknął ruchem głowy.

— Owszem.

— Niech pan się nie martwi — uspokoiła go Geli. — Prezydent nigdy już go nie zobaczy. W ciągu dwudziestu czterech godzin Tennant będzie sztywny jak jego brat.

Rozdział 20

Kiedy dojechalismy do Raleigh, było już ciemno. Autostrada 64 przeszła w międzystanową numer 40, a potem znów jechalimy przez Research Triangle Park na zachód, w stronę Tennessee.

— Popatrz tylko — powiedziała Rachel, obserwując mijane znajome światła. — Teraz, po ciemku, niemal wierzą, że mógłbyś mnie wysadzić przed moim domem w Durham, a ja weszłabym do środka i zaparzyła sobie herbatę.

— Ale już wiesz, że to niemożliwe.

Patrzyła na mnie przez długą chwilę, po czym westchnęła w ciemności.

— Przykro mi, że cię w to wpakowałem — rzekłem. — Jeszcze nie zdążyłem cię przeprosić.

— Sama się w to wpakowałam.

— Nie. Zrobiłem to w chwili, kiedy wybrałem cię na moją terapeutkę.

Znużenie na twarzy Rachel powiedziało mi, że jest przyzwyczajona do pacjentów, którzy przypisują sobie nie swoje winy.

— Nie próbuj zastanawiać się nad zrządzzeniami losu. Gdyby jakiś motyl machnął skrzydłami w Malesji, zanim zadzwoniłeś, znalazłbyś sobie kogo innego. Takie jest życie.

Wielokrotnie tłumaczyłem to sobie w podobny sposób, tym jednak razem w to nie wierzyłem.

— Nie. Odszukałem cię, bo w swojej dziedzinie jesteś najlepsza. Analityków jungowskich nie spotykasz na każdym rogu, jak psychologów.

Wiem, że to brzmi dziecinnie, ale czują, że znalezienie ciebie było moim przeznaczeniem.

Patrzyła na mnie bezgranicznie spostrzegawczymi oczami, jednak pod tą spostrzegawczością dostrzegłem ból. Musiałem trącić jakąś czułą strunę. Kiedy Rachel się odezwała, jej głos był wyprany z wszelkich uczuć.

— Łatwo jest sobie wmawiać, że wszystko, co nas spotkało, jest zrzędzeniem losu. To przynosi pociechę. Daje nam poczucie, że istnieją wobec nas jakieś plany. Ja też myślałam, że mój mąż i ja jesteśmy sobie przeznaczeni. Ale nie byliśmy. Po prostu dokonaliśmy złego wyboru, który próbowałam sobie wytłumaczyć jako zrzędzenie losu. W sumie to żalosne.

— Żalosne? Małżeństwo dało ci syna.

— Który umarł przerażony i w męczarniach w wieku pięciu lat.

W jej tonie brzmiało ostrzeżenie. Przez te wszystkie lata, kiedy praktykowałam jako lekarz, byłem świadkiem śmierci wielu dzieci i wiedziałem, jak to wpływa na rodziców. Niektórzy wychodzili z tego zdruzgotani na zawsze. Nawet personel szpitalny nie był uodporniony na takie przypadki. W obecności cierpiącego dziecka powłoka profesjonalizmu łatwo się topi. Dla mnie te cierpienia — agonie niewinnych — były jednym z głównych powodów, dla których nie wierzyłem w Boga.

— Ty i syn daliście sobie pięć lat bezwarunkowej miłości. Woląabyś, żeby on w ogóle nie przyszedł na świat, co oszczędziłoby wam obojgu tego bolesnego końca?

Przeszyła mnie oburzonym spojrzeniem.

— Ty się nie cofniesz przed niczym, prawda? Nie uznajesz żadnych granic.

— Nie, skoro zasłużyłem sobie na prawo, żeby je przekraczać. — Wiedziała, że mam na myśli stratę mojej córki.

Znowu spojrzała przez okno.

— Nie mówmy o tym.

— W ogóle nie musimy rozmawiać. Ale musimy zrobić zakupy. Zatrzymam się przed całodobowym Wal-Martem w Winston-Salem albo w Asheville. Więc możesz sobie pospać ze dwie godziny.

— Jestem skonana — przyznała.

— Chodź tu.

— Co?

— Pochyl się tutaj.
— Mam się oprzeć o twoje ramię?
— Nie. Bądź dzielna. Skul się na siedzeniu i połóż głowę na moich kolanach.

Pokręciła głową, lecz nie był to gest odmowy. Nie spuszczałem oczu z szosy. Po dłuższej chwili zrzuciła buty, zwinęła się na fotelu i oparła głowę na moim prawym udzie. Czulem, że ma otwarte oczy, ale nie spojrzałem w dół. Opuściłem prawą rękę i zacząłem głaskać ją po czole, przeczesując palcami włosy.

— Przypomina mi się, jak byłam małą dziewczynką — mruknęła.

— Nie rozmawiam z tobą. Zamknij oczy.

Po chwili zasnęła.

Do Asheville dotarliśmy o 22.30. Z ciemności wynurzył się, niczym oaza, jasno oświetlony sklep Wal-Mart. Zjechałem z szosy. Głowa Rachel wciąż spoczywała na moim udzie, prawa noga zupełnie mi zdrętwiała. Kiedy się odezwałem, Rachel nie odpowiedziała. Kusiło mnie, żeby zostawić ją w wozie i pójść do sklepu bez niej, ale nie chciałem, żeby obudziła się sama na parkingu. Poza tym nie mogłem wykluczyć, że miejscowa policja została zawiadomiona o kradzieży półciężarówki wędkarza. Żeby nie wpaść w pułapkę, gdy będziemy wychodzili ze sklepu, obudziłem Rachel i kazałem jej stanąć tuż za szklanymi drzwiami, skąd mogła obserwować, czy ktoś aby nie interesuje się naszym kasztanowym ramem.

Poszedłem do działu sportowego i zacząłem znosić zakupy na ladę przy pustej kasie. Dwuosobowy namiot. Śpiwory. Plecaki. Latarkę, kocher i paliwo. Z innej półki wziąłem dwa kombinezony typu Silent Shadow, w barwach ochronnych, a do tego takie same czapki i buty oraz chlorofibrową bieliznę. Z kolejnej półki zdjąłem składany łuk, osiem strzał i kołczan. Na wierzch tego wszystkiego wrzuciłem jeszcze kompas, dwie lornetki, nóż Gerbera, tabletki do oczyszczania wody i dwie zasilane na baterie krótkofalówki. Potem udałem się na poszukiwanie kasjerki.

Młoda Meksykanka, którą znalazłem, podejrzliwie przyjęła ode mnie gotówkę. Kiedy sprawdzała autentyczność każdej studolarówki, przeszedłem do działu kosmetycznego i wziąłem pastę i szczoteczki

do zębów oraz mydło. Rachunek wyniósł w sumie tysiąc czterysta dwadzieścia dziewięć dolarów i osiemdziesiąt cztery centy. Zapłaciwszy, podjechałem wózkiem do wyjścia, zostawiłem go Rachel, wziąłem następny i ruszyłem do działu spożywczego. Wpakowałem do wózka podstawowe produkty wystarczające na dwa tygodnie oraz wodę w butelkach. Po drodze do kasy myślałem sobie, że to niesamowite, iż mogę zjechać po nocy z autostrady i w jednym miejscu zaopatrzyć się we wszystko, czego potrzeba, by przetrwać tydzień w leśnej głuszy. Mój ojciec by w to nie uwierzył.

Kiedy płaciłem, Rachel dała mi znak ręką, że wszystko w porządku. Wprawdzie ochroniarz przy wyjściu zatrzymał mnie, lecz tylko po to, by sprawdzić, czy produkty w wózku zgadzają się z tym, co jest na paragonie. Dziesięć sekund później szliśmy przez parking. Wrzuciłem wszystko za przednie fotele, pomogłem Rachel wdrapać się do środka i ruszyłem z powrotem w kierunku międzystanowej numer 40.

Zanim wyjechaliśmy na autostradę, skręciłem na parking motelu sieci Best Western i zaparkowałem między dwoma wozami na tyłach. Jednym z nich był niebieski dodge ram z przyczepą do przewozu koni. Wyjąłem ze schowka śrubokręt, zdjąłem teksańskie tablice rejestracyjne z tamtego dodge'a i zamieniłem je z naszymi. Potem skręciłem na wjazd na autostradę i skierowałem się na zachód, ku Tennessee, leżącego gdzieś przed nami w Appalachach.

Wkrótce Rachel pochrapywała cicho, znowu z głową na moich kolanach. Włączyłem radio i złapałem stację puszczającą Davida Graya. Przestałem skupiać wzrok na szczegółach i po chwili widziałem jedynie krawędzie szosy. Jechaliśmy w przeszłość, do lasów z mojej młodości, do świata dziwnych kontrastów i niezatartych wspomnień. Laboratorium Narodowe Oak Ridge należało do najbardziej zaawansowanych technicznie w skali całego kraju, a jednak usytuowano je w gęstej leśnej głuszy. Chodziłem tam do szkoły z dziećmi genialnych ludzi z Chicago i Nowego Jorku, a także z dziećmi wycieńczonych mężczyzn i kobiet, którzy nie wystawili nosa poza rodzinne strony. Niektórzy naukowcy uważali wiejskie okolice za nudne, wręcz irytujące, ale dla mojej rodziny zalesione góry wokół Oak Ridge stanowiły raj.

W pobliżu Oak Ridge było kilka leżących na uboczu miejsc, gdzie

moglibyśmy się ukryć, lecz jedno nadawało się wręcz idealnie. W zeszłym roku dowiedziałem się od kolegi ze szkoły, że z powodu cięć budżetowych władze zamknęły park Frozen Head. Razem z bratem biwakowaliśmy tam niezliczoną ilość razy, teraz zaś górski park powinien być zupełnie wyludniony, jeśli nie liczyć garstki fanatyków pieszych wędrowek, którzy nie narzucają się innym, uprawiającym ten sam rodzaj nielegalnej rekreacji.

Przekroczyliśmy granicę stanu Tennessee na południowym skraju Parku Narodowego Pisgah. Potem wjechaliśmy między wysokie drzewa i o północy minęliśmy Knoxville. Jechałem dalej na zachód, autostradą numer 62, i niecałe pół godziny później przejechaliśmy przez Oak Ridge — w latach drugiej wojny światowej „tajne miasto” Ameryki. Dzisiaj słynie na cały świat ze swoich zakładów nuklearnych, jednak podczas wojny nie było go nawet na mapach. W latach 1945—1975 — kiedy to przenieśliśmy się do Alabamy — Oak Ridge zmieniło się w coś na kształt normalnego amerykańskiego miasteczka. Ale nie do końca. Wciąż panowało tam powszechne poczucie misji, a przekonanie o znaczeniu miasteczka było wprawdzie niewidoczne, ale wszechobecne. My, którzy tam mieszkaliśmy, zdawaliśmy sobie sprawę, że w wypadku konfliktu nuklearnego wyparujemy w ciągu kilku pierwszych minut. Nawet w ciemnościach widziałem, że miasto rozrosło się od czasów, kiedy je opuściłem. Na głównej ulicy było więcej sieciowych restauracji i sklepów, jednak serce miasta nadal stanowiło laboratorium i stare stopy uranowe z czasów wojny, przyciągające turystów, pragnących zobaczyć narzędzie, które pomogło wygrać wojnę z Japończykami.

Kiedy opuszczaliśmy Oak Ridge autostradą 62, oprócz nas na szosie nie było innych samochodów. Minęliśmy podnóża góry Big Brushy, po drugiej stronie leżało więzienie stanowe. W tym pustym miejscu zbiegały się granice trzech okręgów — mglisty świat, zaludniony potomkami górników i bimbrowników. Kurczowo trzymali się życia w cienistych kotlinach i wokół porzuconych kopalń, przecinających te góry jak blizny.

Skręciłem na północ, na drogę 116 — wąską szosę, omijającą wioskę Petros i biegnącą dalej, obok więzienia — potwornie przygnębiającego miejsca, oświetlonego ostrym światłem rtęciówek i otoczonego

ogrodzeniem z drutu kolczastego. Na północ od więzienia szosa zaczęła się więc jak ranny wąż. Skrzyłem w lewo, w drogę nieoznaczoną na mapie żadnym numerem, którą jednak dobrze znałem. Niedługo miałem dojechać do bramy opuszczonego parku, teraz pewnie zabarykadowanej.

Kilkaset metrów przed bramą zwolniłem i zacząłem wypatrywać luki między drzewami. Kiedy ją zobaczyłem, zahamowałem, zjechałem z drogi i dziesięć sekund później zniknęliśmy wśród drzew. W końcu las stał się zbyt gęsty, a stok zbyt stromy, by dalsza jazda była możliwa. Zaparkowałem i zgasilem silnik.

Rachel nawet nie drgnęła. Sięgnąłem do tyłu i wyjąłem zza siedzenia dwa śpiwory. Kiedy je rozkładałem, Rachel ocknęła się i zerwała z moich kolan. Szeroko otwartymi oczami wpatrzyła się w ciemność.

— Co ty robisz?!

— Spokojnie — powiedziałem. — Wszystko w porządku. Jesteśmy na miejscu.

— To znaczy gdzie? — Próbowwała wyglądać przez szybę, lecz za drzewami nie było żadnych świateł. Równie dobrze mogliśmy przebywać w jaskini.

— Jesteśmy za Oak Ridge, w miejscu zwanym Frozen Head. To opuszczony park stanowy.

— Frozen Head?

— Spałaś przez kilka godzin.

Potrząsnęła głową.

— Nie potrafię spać w samochodzie.

— No to nadal nie śpij. Obudzę cię przed świtem.

Zamrugęła, jakby wychodziła z transu, po czym zakryła dłonią usta i skrzywiła się.

— Kupiłeś szczoteczki do zębów?

— Tak. Umyjesz zęby rano.

— Muszę się wysikać.

— Cały las jest do twojej dyspozycji.

— Czy tu jest bezpiecznie?

Powinienem ją ostrzec przed grzechotnikami drzewnymi, gdybym to jednak zrobił, pewnie nie ruszyłaby się z samochodu.

— Od dwudziestu czterech godzin nie byłaś w równie bezpiecznym miejscu.

Wysiadła z wozu i odeszła poza krąg światła, ale nie zamknęła drzwi i wyglądaliśmy w lesie jak latarnia morska. Nie było jej długo i w końcu zacząłem się niepokoić. O przednią szybę zabębniły krople deszczu, usłyszałem, jak Rachel pisnęła. Wdrapała się do samochodu z rozpiętymi dżinsami i zatrzasnęła drzwi.

— Leje jak z cebra! — krzyknęła, zapinając spodnie.

— Deszcz działa na naszą korzyść. Tłumi odgłosy, kiedy przedzierasz się przez las.

Nakryła się śpiworem po szyję i zadrżała.

— Nie chcę cię obrazić, ale tu jest do dupy. Nie mogliśmy zatrzymać się w jakimś tanim motelu?

— Teraz nikt na świecie nie wie, gdzie jesteśmy. Więc nikt nas nie znajdzie. A o to właśnie nam chodzi. Śpij.

Kiwnęła głową i oparła się o drzwi.

Siedziałem, wsłuchując się w symfonię deszczu i pomruku silnika i wspominając, jak z ojcem i bratem czuwaliśmy przed świtem, czekając na kaczki czy jelenia. Byłem skonany, wiedziałem jednak, że obudzę się, zanim zrobi się jasno. Jakaś prymitywna część mojego mózgu, która w miastach była uspijona, w leśnych ostępach obudziła się i szeptem podawała mi rytm lasu z absolutną precyzją. Ten szept mówił mi, kiedy nadciąga świt, kiedy zbliża się deszcz, kiedy zaczyna się gra. Przykryłem się śpiworem po szyję.

— Dobranoc — powiedziałem do Rachel.

Odpowiedział mi jej równomierny oddech.

Obudziłem się, gdy nad koronami drzew odcień nieba zmienił się na ciemnoniebieski. Zamrugalem i nie poruszając głową, omiotłem wzrokiem okolicę. Niczego nie zauważyłem, więc delikatnie potrząsnąłem Rachel i obudziłem ją. Znowu zerwała się gwałtownie, ale już nie tak przerażona jak w nocy.

— Czas ruszać w drogę — powiedziałem.

— Dobrze — wymamrotała, ale wyraźnie chciała jeszcze pospać.

Wysiadłem, opróżniłem pęcherz, po czym wypakowałem sprzęt zza siedzenia. Większość upchałem do swojego plecaka, zostawiając Rachel tylko śpiwór, trochę puszek z jedzeniem i dwa kartusze paliwa.

Kiedy wysiadła z wozu, podałem jej kombinezon Silent Shadow, grube skarpety i buty.

Skrzywiła się, ale wzięła ubranie i przeszła na drugą stronę wozu. Kiedy się przebierała, przytroczyłem do plecaka kołczan i składany łuk. Potem też się przebrałem. Gdy zarzucałem plecak, w jednej chwili las pojaśniał — wiedziałem, że to słońce wzeszło nad górę Windrock na wschodzie.

Rachel wyszła zza półciężarówki. Wyglądała jak kobiety z izraelskiego wojska, które widziałem na zdjęciach. Bez trudu zarzuciła plecak na ramiona, nie narzekając na jego wagę.

— Szkoda, że przyjaciele nie mogą cię teraz zobaczyć — mruknąłem, przypinając krótkofalówkę do jej plecaka.

— Tarzaliby się ze śmiechu.

Upchałem nasze miejskie ubrania do jej plecaka.

— Patrz pod nogi. Idź po moich śladach i uważaj na dzikie róże, żeby nie poszarpały ci kombinezonu. Gdybyśmy się rozdzielili, skorzystaj z krótkofalówki, ale mów cicho.

— Dobrze.

— Nie odzywaj się, chyba że w sytuacji alarmowej. Jeśli podniosę rękę, zatrzymaj się. Złap mnie za pasek, gdybym szedł za szybko. Nigdzie nam się nie śpieszy. Po drodze zobaczysz zwierzęta. Od węży odsuwaj się spokojnie, pozostałe ignoruj.

Skinęła głową.

— Dokąd właściwie idziemy?

— W tej górze są jaskinie. Turyści wiedzą o większości z nich, ale jedna jest właściwie nieznaną. Odkryliśmy ją z ojcem, kiedy byłem mały. Właśnie tam się wybieramy.

Uśmiechnęła się.

— Jestem gotowa.

Wróciliśmy śladem opon półciężarówki, aż dotarliśmy do drogi. Następnie zakryliśmy lukę w drzewach gałęziami. Przeszedłem na drugą stronę drogi i zacząłem szukać dopływu New River — małego strumienia powstającego na wiosnę, który spływał kamienistym wąwozem o głębokości blisko dwudziestu metrów. Właśnie tym wąwozem mieliśmy się wdrapać na górę. Służby parkowe utworowały szlak wzdłuż strumienia, ale nie chciałem ryzykować, że nadziejemy się na jakichś turystów. Poza tym obawiałem się miejscowych, którzy na

terenie zamkniętego parku uprawiali marihuanę. W czasach nędzy była to wielka pokusa dla potomków bimbrowników, a oni nie przepadali za ludźmi wkraczającymi na ich teren. Zastawiali pułapki na swoich polach i strzelali bez ostrzeżenia.

Wkrótce znalazłem strumień i zanim słońce rozświetliło las, brodziliśmy po kolana w wodzie, posuwając się w górę wąwozu. Zdeformowane korzenie drzew przebijały się przez jego ściany, niczym powykręcane artretyzmem ręce. Po obu stronach parów otaczały głązy wielkości samochodu. Miejscami strumień był płytki i szeroki, miejscami jednak zwężał się w bulgoczące przesmyki. Zauważyłem ślady kopyt i odchody jeleni, a nawet coś, co wyglądało na ślad niedźwiedzia. Pomyślałem wtedy o jaskini i trochę się zaniepokoiłem. Z gąszczu dochodziły odgłosy pierchających królików i pancerników, spłoszonych naszym nadejściem. Co kilka minut oglądałem się na Rachel – wyglądało na to, że trzyma się dzielnie. Kilka razy pośliznęła się na mokrych kamieniach, no ale w końcu wędrowka pod górę po śliskich skałach nie jest zadaniem dla początkujących.

Przechodziłem właśnie nad zanurzoną w wodzie gałęzią, kiedy poczułem niesiony wiatrem zapach dymu. Zatrzymałem się z nadzieją, że dochodzi z obozowiska turystów. Ale nie. To był dobry tytoń z Wirginii. Uniosłem rękę, ale nie było takiej potrzeby. Rachel zatrzymała się dokładnie w chwili, gdy zobaczyła, że przystanąłem.

Nie odwracając głowy, obserwowałem skały i drzewa przed nami. Nie się nie poruszało, jeśli nie liczyć nurtu strumienia i kropli deszczu, spadających z liści nad nami. Podniosłem wzrok na dolne gałęzie drzew. Możliwe, że to jakiś kłusownik zasadził się na jelenia. Jednak prawdziwy myśliwy wiedziałby, że dym z papierosa pozbawi go szans na upolowanie jelenia, nawet poza sezonem. Na drzewach niczego nie dostrzegłem.

Przekręciłem lekko głowę i spojrzałem na krawędź wąwozu. Najpierw na prawą, potem na lewą. Nic. Znowu wciągnąłem powietrze. Zapach się ulotnił.

Rachel pociągnęła mnie od tyłu za pasek.

— Co się dzieje? — szepnęła.

Odwróciłem się i na jej twarzy ujrzałem przestrach.

„Cicho”, powiedziałem bezgłośnie, samymi wargami. „Nie ruszaj się”.

Skinęła głową.

Doleciał mnie następny powiew tytoniu, silniejszy niż poprzednio. Odwróciłem się bardzo powoli i spojrzałem w górę. Czterdzieści metrów od nas jakiś człowiek w czarnym kombinezonie z nylonu wychylił się za krawędź wąwozu i wyrzucił niedopałek papierosa do strumienia. Serce mi zamarło, ale stałem bez ruchu. Niedopałek zawirował w powietrzu — biały błysk na tle zieleni — po czym wpadł do wody i spłynął w naszą stronę.

Mężczyzna śledził niedopałek wzrokiem. Byłem pewien, że zaraz nas zauważy, lecz on nagle spojrzał w drugą stronę i zdjął coś z ramienia. Czarny karabin szturmowy. M16. Oparł go o drzewo, rozpiął rozporek i zaczął sikać ze skały. Niczym małe dziecko, próbował trafić w strumień, ale go nie dosięgnął. Dziecku by się udało. Był to facet pod czterdziestkę, w kamizelce kuloodpornej.

Modliłem się, żeby Rachel nie wpadła w panikę. Mogła nie zauważyć faceta z karabinem, ale nie mogła nie dostrzec długiego złotego łuku, błyszczącego w porannym słońcu. Mężczyzna przestał sikać, strząsnął ostatnie krople, zapisał rozporek i podniósł M16. Zarzucając karabin na ramię, spojrzał w dół strumienia, prosto na nas.

Przestałem oddychać i czekałem, aż nasze spojrzenia się spotkają.

Strzelec przesunął wzrokiem po nas i z powrotem. Skrzywił się i znów spojrzał w dół strumienia, jeszcze dalej. Uratowały nas kombinezony i czapki w barwach ochronnych. Nie mógł nas wypatrzeć na tle krzewów. Kiedy go obserwowałem, przechylił głowę w prawo w dziwny sposób, jakby miał tik nerwowy. Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że mówi do zamontowanego w kołnierzu mikrofonu. Usłyszałem cichą metaliczną odpowiedź, ale nie mogłem rozróżnić słów. Nagle strzelec odwrócił się i zniknął między drzewami.

Otepiały z niedowierzania, obejrzałem się na Rachel, która przyglądała mi się ze zdziwieniem.

- Co się stało? — szepnęła.
- Nie widziałas?
- Czego?
- Faceta, który sikał ze skały!

Zrobiła wielkie oczy.

— Miał karabin.

— Nic nie widziałam! Patrzyłam na ciebie. Pomyślałam, że zobaczyłeś węża czy coś w tym rodzaju.

— Wracamy do samochodu. Natychmiast.

Jej twarz pobladła.

— A co z jaskinią?

— Jest spalona. Czeka ją tam na nas.

— Niemożliwe.

— Owszem, możliwe. Ten facet miał karabin M16 i kamizelkę kuloodporną. Myśliwi, którzy polują tu na jelenie, wyglądają nieco inaczej.

— Ale przeszliśmy taki kawał drogi... Pot zalewał mi czoło.

— No to co?

— Nic. To znaczy... ta jaskinia wydawała się taka bezpieczna.

— Ale nie jest.

Gdzieś w głębi nurtowała mnie pewna myśl. Wiedzieli, że nadchodzimy. Zanim zdążyłem pomyśleć coś więcej, stwierdziłem, że maksymalnie wyteżam słuch. Nie byłem pewien tego, co usłyszałem, ale coś tam było. Jakiś ruch, który nie pasował do normalnych odgłosów lasu. Zakląłem w duchu. Deszcz, który tłumił nasze kroki, teraz działał na korzyść naszych wrogów. A może to byli tylko moi wrogowie, nie nasi?

W chwili gdy przebłysk zrozumienia przemknął mi przez głowę, ciszę przerwał kolejny dźwięk. Uświadomiłem sobie, że pięć metrów ode mnie znajduje się następny snajper. Po cichu stanąłem za Rachel, jedną dłonią zatkałem jej usta, a drugą ręką objąłem jej piersi, przyciskając ją do siebie z całej siły. Próbowwała krzyknąć, ale z jej ust nie wydostał się żaden dźwięk.

Stałem bez ruchu w strumieniu. Woda omywała mi nogi. Rachel szarpała się ze mną. Przez ten jej plecak trudno mi ją było utrzymać. Obawiałem się, że ugryzie mnie w rękę, ale nie zrobiła tego. Jedyne to podtrzymywało we mnie nadzieję, że to nie ona zawiadomiła NSA, gdzie mają nas szukać.

— Puszczę cię — wyszeptalem. — Ale jeżeli krzykniesz, poderżnę ci gardło.

Rozdział 21

Kiedy puściłem Rachel, okręciła się w strumieniu na pięcie. Jej twarz była maską strachu i furii. Nagle zobaczyła nóż Gerbera w moim ręku — ten, który kupiłem w Wal-Marcie.

— Ruszaj! — poleciłem. — Z powrotem w dół strumienia. Wiesz, jak to się robi.

Przyglądała mi się jeszcze przez chwilę, po czym odwróciła się i ruszyła po skalach. Schowałem nóż do pochwy i odpiąłem luk. Nie dawał mi wielkich szans w starciu z człowiekiem z M16, gdybym jednak dostrzegł przeciwnika pierwszy, być może miałbym okazję do oddania szybkiego strzału.

— Trzymaj się prawej krawędzi — powiedziałem.

Przesunęła się na prawo, szybko przeskakując z kamienia na kamień. Idąc za nią stromym nurtem, myślałem o wielu pytaniach, które powinienem zadać sobie dawno temu, ale tego nie zrobiłem. Tego pierwszego dnia, kiedy wyrwała mnie ze snu o śmierci Fieldinga... w jaki sposób otworzyła drzwi? Po odjeździe kuriera z FedExu zamknąłem je, a jednak kiedy się obudziłem, Rachel trzaskała drzwiami na łańcuchu, wykrzykując moje imię. I jak mnie znalazła, skoro nie podałem jej swojego adresu? „Znam kobietę pracującą w kadrach na uniwersytecie stanu Wirginia”, powiedziała. Uniwersytet na pewno dostał zakaz udzielania jakichkolwiek informacji na temat uczestnika Programu Święta Trójca. A samolot nad autostradą? Skąd wiedzieli, na który z tysięcy samochodów pomiędzy Chapel Hill a Nags Head wycelować laser? Jeden telefon od Rachel, kiedy byłem

nieprzytomny, i wiedzieliby o audi, o domku w Nags Head, o wszystkim.

Jeśli chodzi o Oak Ridge, to bez trudu mogła zadzwonić do nich z Wal-Martu w Asheville, kiedy zostawiłem ją przy drzwiach. Wtedy nie wiedziała jeszcze o Frozen Head, lecz miała telefon komórkowy. Przy odrobinie zimnej krwi mogła zadzwonić do NSA w nocy, gdy wyszła się wysikać. Z drugiej jednak strony wciąż pamiętałem, jak wyskoczyłem w domu na korytarz i zobaczyłem zabójcą, celującego w Rachel od tyłu.

Przystanąła, ponieważ dotarła do głębokiego zwężenia strumienia. Przysunąłem się bliżej, na wypadek gdyby się przewróciła albo chciała uciekać. Kiedy brnęliśmy przez zwężenie, wróciłem myślami do tego, w jaki sposób ją wybrałem. Skow sprzeciwiał się moim wizytom u psychiatry spoza NSA, czy jednak protestował dostatecznie? Przyjaciele z uniwersytetu stanu Wirginia powiedzieli mi, że najlepszą specjalistką od analizy jungowskiej jest Rachel Weiss. Czyżby Geli Bauer śledziła moje kroki i rozmawiała ze wszystkimi, z którymi się kontaktowałem? Czy odpowiednio poinstruowała Rachel przed naszym pierwszym spotkaniem? Czym Bauer mogła ją przekupić? Odwołaniem się do patriotyzmu? Szantażem? Nie wiadomo.

Wyciągnąłem rękę i złapałem plecak Rachel. Strumień już nie płynął tak stromo. Do drogi mieliśmy tylko kawałek.

— Jesteśmy blisko samochodu — powiedziałem cicho. — Odbij trochę w lewo, tylko nie nadepnij na jakąś gałąź.

Spojrzała na mnie. W jej oczach wciąż czaiła się furia.

— Ty chyba nie sądzisz...

Szturchnąłem ją w plecy.

— Idź!

Wyjątkowo zwinnie przemykała pomiędzy zwalonymi drzewami. Po mniej więcej czterdziestu metrach znowu chwyciłem za jej plecak i przyjrzałem się drzewom przed nami.

— Davidzie, chyba nie sądzisz, że cię zdradziłam?

Pokiwałem głową.

— Nie ma innego wyjaśnienia.

— Musi być!

Wyjrzałem między mokrymi pniami, wypatrując czegoś nie na swoim miejscu.

— Mogli sami wpaść na Oak Ridge, ale nie na Frozen Head. W tych górach mogłem wybrać dziesięć innych miejsc.

Uniosła dłonie w geście bezradności.

— Nie wiem, co mam ci powiedzieć. Z nikim nie rozmawiałam.

— Jak się dostałaś wtedy do mojego domu? Pierwszego dnia?

— Do twojego domu? Otworzyłam zamek wytrychem.

— Bzdura.

— Tak myślisz? Mój ojciec był ślusarzem na Brooklynie. Wychowałam się w tej branży.

Jej wyjaśnienie mogło być zwykłym kłamstwem, pobrzmiwała w nim jednak jakaś dziwna prawda.

— Co to jest chubb? — zadałem pierwsze pytanie, jakie mi przyszło do głowy.

— Wysokiej jakości zamek, produkcji brytyjskiej. Wiem także, co to jest spiralny wyciągacz zębów. A ty wiesz?

Nie miałem bladego pojęcia.

— Odwróć się i idź dalej. Samochód jest sto metrów przed nami.

Rachel ruszyła szybko między drzewami. Ja, z łukiem w ręku, musiałem bardziej uważać. Cięciwa zaczepiała o dzikie róże, a drzewce łuku o gałęzie, strząsając na mnie krople wody.

Nagle usłyszałem świst, jak gdyby przez mokre listowie przemykał wielki kozioł. Potem dostrzegłem błysk czerni między drzewami.

— Stać! — warknął męski głos.

Rachel zatrzymała się. Ledwo widziałem jej plecy pomiędzy dwoma drzewami. Obok niej stał mężczyzna w stroju z czarnego nylonu i kamizelce kuloodpornej. W ręku trzymał pistolet, wycelowany w twarz Rachel.

— Gdzie on jest? — zapytał.

— Kto?

— Dobrze wiesz. Doktor.

Osadziłem strzałę na cięciwie i powoli uniosłem łuk.

— Nie wiem, o czym pan mówi — odparła Rachel. — Ja tu fotografuję jelenie.

Takie kłamstwo nie miało sensu. Czyżby dawała temu facetowi sygnał ręką?

— Gdzie masz aparat?

Naciągnąłem cięciwę i spojrzałem przez wizjer. Rachel częściowo zasłaniała mi cel, a nie chciałem zmieniać położenia ciała, żeby nie narobić hałasu.

— Zgubiłam w strumieniu — odparła. — Pan jest leśniczym?

— Czerwona Szóstka do Czerwonego Lidera — rzucił mężczyzna do mikrofonu w kołnierzu.

— Powiem panu! — krzyknęła Rachel.

Wychyliłem się w prawo, szykując się do strzału. Facet z pistoletem podniósł wzrok znad kołnierza.

— W porządku. Gdzie on jest?

Niektóre kamizelki kuloodporne zatrzymują kule, ale nie ostrze noża. Ostra jak brzytwa strzała powinna przebić to, co przebija nóż, ale gdyby nie, to twarz Rachel — albo moja — zniknęłaby w chmurze czerwonej mgły. Wycelowalem w gardło mężczyzny, tuż nad kamizelką.

— Co z nim zrobicie, jak go znajdziecie? — spytała Rachel.

— Nie twój interes.

„Czerwona Szóstka”, zatrzeszczało w słuchawce w uchu mężczyzny, dostatecznie głośno, żebym usłyszał. „Tu Czerwony Lider. Potwór wiadomości”.

Kiedy sięgnął do radia, Rachel zawołała mnie po imieniu, ja zaś wypuściłem strzałę.

Odgłos uderzenia utonął we wrzasku Rachel. Przez chwilę obawiałem się, że ją trafiłem. Osunęła się na kolana, ale mężczyzna wciąż stał z pistoletem w ręku. Dlaczego nie wystrzelił? Czy moja strzała go minęła? Cięciwę miałem zwolnioną. Wyszarpnąłem z kołczana następną strzałę i próbowałem ją założyć drżącymi palcami.

„Czerwona Szóstka, tu Czerwony Lider. Obyś miał dobre wieści”.

Oczekiwałem wystrzału z pistoletu, tymczasem doleciał mnie ciężki łoskot, który natychmiast rozpoznałem. Podniosłem wzrok, lecz mężczyzny już nie było. Słyszałem takie odgłosy, gdy jeleni padał po strzale w kręgosłup. Najpierw rozlegał się śpiew cięciwy, potem uderzenie, od którego uginały się kolana, a wreszcie odgłos, jakby ktoś upuścił worek cementu, odgłos oznaczający, że strzał był śmiertelny. Tylko to opóźnienie wprowadziło mnie w błąd. Facet stał jak posąg, nie chcąc umrzeć.

„Tutaj Czerwony Lider, zgłoś się natychmiast!”

Twarz Rachel była zalana łzami. Czując, jak adrenalina krąży w moich żyłach, odsunąłem ją i spojrzałem w dół. Ubrany na czarno mężczyzna leżał na wznak. Strzała przebiła mu gardło i przeszła przez kręgosłup. Z taką raną nie mógł stać dłużej niż sekundę, co tylko dowodzi, jak subiektywne jest poczucie czasu w ferworze walki.

— Wsiadaj do wozu! — poleciłem Rachel.

— Gdzie jest?

— Trzydzieści metrów dalej. Rusz się!

Chwiejnie przeszła nad leżącym mężczyzną i zniknęła wśród drzew.

„Czerwona Szóstka, tu Czerwony Lider. Co ty wyprawiasz, do ciężkiej cholery?!”

Poprzez zakłócenia usłyszałem inny głos: „...pieprzone radio. Idź, poszukaj skurwiela. Powiedz mu, że mamy tu kawę. Przyjdzie od razu”.

Oczy zmarłego były otwarte, lecz matowe jak stare szkło. Wziąłem jego pistolet i schowałem do kieszeni. Potem ukląknęłam i zarzuciłam sobie trupa na ramię, żeby wstać. Musiałem się przytrzymać grubego konaru, ale dałem radę i podreptałem do samochodu. Każdy w promieniu stu metrów miałby wrażenie, że przez las przedziera się amerykańska odmiana yeti.

Rachel czekała przy półciężarówce; krew odpłynęła z jej twarzy. Chwiejnie dotarłem do wozu i zrzuciłem trupa na pakę. Kiedy pociągnęła mnie za rękaw, odwróciłem ją twarzą do samochodu, odwiązałem śpiwór z jej plecaka, rozpiąłem go i zakryłem nim zwłoki. Na wierzch rzuciłem załadowane plecaki, żeby nie zwiął go wiatr.

— Wsiadaj! — warknąłem.

Zrobiła, co kazałem.

Wskoczyłem na pakę, żeby wyjąć z plecaka kluczyki do dodge'a, po czym usiadłem za kółkiem i wycofałem samochód spomiędzy drzew. Dwukrotnie wpadłem w błoto. Już myślałem, że ugrzęźniemy, lecz udało mi się rozbujać wóz i wyjechaliśmy z lasu. Ludzie z oddziału specjalnego na pewno usłyszeli warkot silnika. Wdepnąłem gaz i ruszyłem w kierunku więzienia stanowego Brushy Mountain.

Zanim spojrzałem na Rachel, ujechaliśmy dobre półtora kilometra.

Siedziała oparta o drzwi i przyglądała mi się takim wzrokiem, jakbym był niebezpiecznym dla otoczenia pacjentem.

— Co masz mi do powiedzenia? — zapytałem. — Jak do ciebie dotarli?

Nie odpowiedziała.

Gdy dotarliśmy do szosy 116, nie skręciłem w kierunku więzienia, lecz ku Caryville, gdzie droga przecinała autostradę międzystanową 75.

— Uważasz, że powiedziałam im, gdzie jesteśmy? — odezwała się Rachel.

Przytaknąłem ruchem głowy.

— Po co miałabym to robić?

— Sama wiesz najlepiej.

— Gdybym chciała, żeby cię znaleźli, mogłabym cię zdradzić dawno temu.

Znów zaczął padać deszcz — wielkie tłuste krople, rozpryskujące się na szybie jak owady. Włączyłem wycieraczki i zwolniłem.

— Może nie chcieli mnie dopaść, dopóki nie wyciągniesz ze mnie wszelkich informacji. Dzwoniłaś z Wal-Martu?

Posłała mi pogardliwe spojrzenie.

— Kiedy ten facet z pistoletem spytał mnie, gdzie jesteś, mogłam mu powiedzieć, że stoisz za mną.

— Wiedziałaś, że celuję z łuku w twoje plecy.

Jej twarz stwardniała.

— Rusz głową, Davidzie! Mogłam cię wałnąć kamieniem w łeb, kiedy ładowałeś tego trupa na pakę.

— Myśleć będę potem. Na razie muszę uciekać.

Przez jakiś czas jechaliśmy w milczeniu, w kierunku głębokiego rozwidlenia, oddzielającego okręgi Morgan i Anderson. Przed nami pojawił się most. Pomimo deszczu nie było pod nim wiele wody, ale koryto rzeki było głębokie, wyżłobione przez wodę, spływającą latami z położonych wyżej kopalń odkrywkowych. Na jednej trzeciej długości mostu zjechałem do barierki i zahamowałem.

Wyjąłem kluczyk ze stacyjki, wysiadłem i wszedłem na pakę. Śpiwór, którym zakryłem zwłoki, był mokry od deszczu. Odrzuciłem go kopniakiem, zarzuciłem sobie trupa na ramię, wstałem i wypchnąłem zwłoki przez barierę mostu. Spadły na skały poniżej, łamiąc po drodze

kilka gałęzi. Śpiwór był zakrwawiony, więc też go wyrzuciłem. Następnie usiadłem za kierownicą i ruszyłem dalej, utrzymując na krętej drodze stałą prędkość stu kilometrów na godzinę.

— Nie wiedziałam, że jesteś taki — odezwała się Rachel głuchym głosem. — Nie mogę uwierzyć, że jesteś tym samym człowiekiem, który tak wzruszająco pisał o współczuciu i etyce.

— Tu chodzi o przeżycie. Każdy ma to w sobie. Ty też.

— Nie — odparła spokojnie. — Ja nie będę zabijała.

— Zabiłabyś — stwierdziłem, patrząc jej prosto w oczy. — Po prostu nie znalazłaś się jeszcze w takiej sytuacji.

— Myśl sobie co chcesz. Znam siebie.

Droga stawała się coraz mniej kręta. Przyspieszyłem do stu piętnastu i przestałem myśleć o Rachel. Znowu poczułem się samotny, tak samotny jak w dniu, kiedy umarł Fielding. Nie zdawałem sobie sprawy, do jakiego stopnia Rachel stanowiła dla mnie pociechę. Najtrudniejsze do zaakceptowania w jej zdradzie było to, że nigdy nie traktowała mnie inaczej niż tylko jako pacjenta. Chorego człowieka, cierpiącego na urojenia.

Ogarnęła mnie fala gorąca, pozostawiając po sobie głębokie zmęczenie. Miałem nadzieję, że to rezultat spadku adrenaliny, jednak wibrowanie w zębach powiedziało mi, że jest inaczej. Wkrótce stracę przytomność. Teraz jednak nie mogłem liczyć na to, że Rachel się mną zaopiekuje.

— Co się dzieje? — zapytała, przyglądając mi się badawczo. — Przekroczyłeś ciągłą linię.

— Nic.

— Skręcaj! Jedziesz pod prąd.

Szarpnąłem kierownicą w prawo. Być może wysiłek związany z pozbyciem się zwłok spowodował, że byłem bardziej podatny na atak. Tym razem nie następowało to stopniowo. Musiałem przerwać jazdę.

— Zjedź na pobocze! — krzyknęła Rachel.

Rozpaczliwie usiłując nie zamykać oczu, wjechałem w wąską przecinkę w lesie i udało mi się przejechać ze sto metrów, zanim musiałem się zatrzymać. Ustawiłem skrzynię biegów na PARKING, wyjąłem z kieszeni pistolet zabitego i wycelowałem w Rachel.

— Wysiadka.

— Co takiego?
— Wsiadaj. Telefon zostaw tutaj. Szybko!
Wyjrzała przez szybę, jak gdybym kazał jej rzucić się ze skały.
— Nie możesz mnie tu wysadzić!
— Jak się obudzę, wsiądziesz z powrotem. Jeśli tu jeszcze będziesz.

— Davidzie! Oni nas znajdują. Pozwól mi poprowadzić!

Poderwałem broń.

— Rób, co mówię!

Położyła komórkę na siedzeniu, wysiadła z wozu i zatrzasnęła drzwi. Jej ciemne oczy obserwowały mnie przez zalaną deszczem szybę. Kiedy nachylałem się, żeby zablokować drzwi od jej strony, pochłonęła mnie czarna fala.

Nade mną wznosiła się brama miasta, zwyczajny łuk w ścianie z żółtego kamienia. Po obu stronach drogi stali ludzie; niektórzy wymachiwali palmowymi liśćmi i wiwatowali, inni szlochali. Przytrzymali osła, żebym mógł wsiąść na jego grzbiet. Symbolika była bardzo ważna. Trzeba było wypełnić przepowiednię.

— Oto wschodnia brama, panie. Czy jesteś tego pewny?

— Jestem.

Przejechałem na osiołku przez bramę. Usłyszałem dęcie w rogi. Rzymscy żołnierze obserwowali mnie uważnie. Kobiety wybiegły na ulicę, by dotknąć moich szat i włosów. Twarze ludzi na wąskiej ulicy były spragnione, spragnione nie jedzenia, lecz nadziei, powodów, by żyć dalej.

Droga znikła, przeszła w świątynię z kolumnami. Usiadłem na stopniach i spokojnie przemówiłem do tłumu. Słuchali z dziwnymi, niepewnymi minami. Słowa, które wypowiadali, nie odzwierciedlały tego, co myślą. Ich myśli krążyły wokół tego samego: czy to jest on? Czy to możliwe?

— Wiecie, jak wytłumaczyć pojawienie się ziemi i nieba — mówiłem do nich. — Dlaczego nie potraficie wyjaśnić teraźniejszości? Rozpaliłem ogień dla świata i będę go strzegł, dopóki będzie płonął.

Obserwowałem ich twarze. Dla różnych ludzi słowa miały różne znaczenie. Mężczyźni uchwycili się tego, czego chcieli, odrzucając resztę. Ktoś zapytał, skąd przybywam. Najlepiej odpowiadać zagadkami.

— Rozszczepcie kawałek drewna, a ja tam będę. Podnieście kamień, a mnie znajdziecie.

Opuściłem świątynię i ruszyłem uliczkami miasta. Chciałem być sam, lecz wszędzie mnie zaczepiano. Podchodzili do mnie kapłani z pytaniami. Ślepcy odzyskiwali wzrok.

— Na mocy jakiej władzy mówisz i czynisz to wszystko? — pytali.

Uśmiechnąłem się.

— Jan chrzczył ludzi. Czy jego władza pochodziła z nieba czy od ludzi?

— Tego nie jesteśmy pewni — odparli kapłani, ze strachu przed tłumem.

— Zatem nie powiem wam, z czyjej władzy czynię te rzeczy.

Zostawiłem ich, kipiących z gniewu, ale nie wyszło mi to na dobre. Weszli za mną na górę i zaczęli dokładnie wypytywać. Moje odpowiedzi wzbudziły w nich wściekłość.

— Jestem z wami tylko przez chwilę — rzekłem. — Potem wracam tam, skąd przybyłem. Nie możecie pójść tam, dokąd się wybieram. Będziecie mnie szukali, ale mnie nie znajdziecie. Wy należycie do tego świata, ja nie.

Nazwali mnie kłamcą.

— A jednak jest teraz z wami światło — powiedziałem. — Idźcie, dopóki was prowadzi, inaczej ogarnie was ciemność. Ten, kto pójdzie za mną, nigdy nie zazna ciemności.

Patrząc na nich, zobaczyłem w ich oczach, że wydali na mnie wyrok. Nie mogłem jednak zawrócić z obranej drogi. W oczach jednego z kapłanów dostrzegłem nienawiść i śmierć, którą dla mnie szykował... karę Rzymian. Ale to nie bólu się bałem. Silny mężczyzna potrafi wytrzymać ból. Nie mogłem znieść tego, że znów będę sam, sam na wieki...

Rachel wrzeszczała. Zamrugąłem, zdziwiony, i wtedy ktoś szarpnięciem otworzył drzwi po mojej lewej. Próbowałem się odwrócić i zobaczyć, kto to, lecz sen wciągnął mnie znowu niczym ruchome piaski.

Rozdział 22

Geli Bauer jedną ręką przetarła oczy, drugą naląła do kubka mocnej kawy. Czekala, aż żona Johna Skowa przywoła go do telefonu. Przespała się trzy godziny na łóżku polowym, na którym kochała się z Ritterem tej nocy, gdy zginął. Ostatnio prawie nic jej się nie śniło, dziś jednak powrócił stary koszmar — że jest ścigana przez żołnierzy. We śnie zawsze popełniała samobójstwo, zanim ją dopadli. Strach przed wypuszczeniem na wolność był nie do zniesienia.

— Geli? — usłyszała w słuchawkach Skowa.

Sądząc po głosie, był wyczerpany.

Całą noc spędził przy superkomputerze Godin Cztery, montując z cyfrowych nagrań głos Tennanta groźby pod adresem prezydenta. Geli już raz go obudziła, żeby zawiadomić, że dostała raport o zaginięciu jednego z członków ich oddziałów specjalnych. Wtedy nie było dowodów, iż Tennant miał z tym coś wspólnego, teraz jednak...

— Oddział specjalny we Frozen Head znalazł ich zaginionego człowieka — powiedziała. — Został wrzucony do rzeki z mostu przy autostradzie. Gardło ma przebite strzałą z łuku.

— Czy to robota Tennanta?

— Tak sędzę. Sprawdziłam jego przeszłość. Jako dziecko bardzo często polował. Prawdopodobnie z łuku, na początku sezonu.

— A skąd, do ciężkiej cholery, wzięłby łuk i strzały?

— Sprawdzamy taśmy ochroniarzy w sklepach na trasie od promu

do Oak Ridge. Najwyraźniej zamierzał się zadekować na jakiś czas na tej górze. Chcę wiedzieć jedno: skąd pan wiedział o tym, że on tam będzie?

— Mówiłem już, że tego nie mogę ci zdradzić.

— Pańskim tajnym źródłem jest doktor Weiss, mam rację?

— Geli...

— No bo kto inny? Jak inaczej mógłby się pan dowiedzieć o parku Frozen Head?

— Gdyby to była doktor Weiss, już byś o tym wiedziała.

Geli nie dała się przekonać.

— To dlatego tak pan unikał wydania rozkazu zabicia ich. Wiedział pan, że mogłaby zginąć pańska informatorka. Nie rozumiem natomiast, dlaczego nie powiedział mi pan, że ona nam pomaga. Mogłabym ją ochronić.

— Masz przykry zwyczaj zadawać pytania, do których twoja stawka płacowa cię nie uprawnia.

— Ja nie mam żadnej stawki płacowej, do kurwy nędzy! Zarabiam dziesięć razy tyle co ty.

— Ale to ja wydaję rozkazy tobie, a nie odwrotnie.

Miała ochotę sięgnąć w głąb słuchawki i zmiażdżyć mu tchawicę, lecz samokontrola powoli wzięła górę.

— Kiedy ostatnio rozmawiał pan z Godinem?

— Zbyt dawno — przyznał Skow. W jego głosie słychać było zderowanie, którego nie próbował ukryć.

— Co to za dłuższe wycieczki odbywają Godin i Nara od kilku tygodni? Odlatują na zachód i znikają na trzy, cztery dni. Dokąd jeżdżą?

— Na pewno dokopałaś się głębiej niż tylko do tego.

Nie pozwoliła się łatwo zbyć.

— Ten, kto zajmuje się ochroną z tamtej strony, jest bardzo dobry.

Skow zachichotał sucho.

— Nawet sobie nie wyobrażasz jak.

— Dlaczego pan z nimi nie lata?

Bez odpowiedzi.

— Jak się to wszystko ma do zegarka Fieldinga?

— Nic z tego, Geli, przykro mi.

Jej myśli zaczęły zajmować sprawy, na które od kilku tygodni nie zwracała uwagi.

— Zach Levin i jego ekipa interfejsowa zostali zwolnieni pięć tygodni temu. Wygląda na to, że się zapadli pod ziemię. Dlaczego wywalono całą ekipę techniczną?

Skow nie odpowiedział.

Szukała w myślach pytania, na które mogła uzyskać odpowiedź.

— Czy pańskie ultratajne źródło kontroluje ta sama osoba, która zajmuje się ochroną Godina, gdziekolwiek on jest?

W ciszy, jaka zapadła, Geli uświadomiła sobie, że powściągliwość Skowa nie jest wymierzona przeciwko niej. Był sparaliżowany jak człowiek rozdarty pomiędzy obowiązkiem a strachem.

— Czy owo tajne źródło powiedziało panu, dokąd teraz wybiera się Tennant?

— Wkrótce dostaniesz nową listę miejsc. Przekażę ci ją, jak tylko ją otrzymam.

— Koniecznie. — Próbowала nie myśleć o tajemnicy miejsca pobytu Petera Godina. — Jak idzie rozpowszechnianie naszej historyjki o niezrównoważonym zabójcy?

— Na razie wciąż krąży w kręgach władzy, ale szybko się rozprze-strzeni. Policja w stolicy dostanie ją dziś rano. Nie chciałem jej ujawnić zbyt wielu osobom, zanim nie skończę projektu z zeszłej nocy.

— Kilka minut temu jeszcze raz przesłuchałam nagranie. Perfekcyjne, że mucha nie siada.

— Oby. Co teraz będziesz robiła?

— Poczekam tu na coś. Cokolwiek. Słówek na temat miejsca pobytu Tennanta.

— A potem?

— Sama się tam wybiorę. Na tym etapie nie ufam nikomu.

— Czym?

— JetRanger Godina stoi na lądowisku. Czy to dla pana jakiś problem, że sama się tym zajmę?

— Nie. Załatwię, żeby pilot czekał w pogotowiu. — Po chwili przerwy Skow zapytał: — Dorwanie Tennanta to dla ciebie sprawa osobista, mam rację?

Geli upiła łyk gorącej kawy i zatrzymała ją w ustach.

— Myślę, że zależało ci na Ritterze bardziej, niż ktokolwiek przypuszczał — dorzucił Skow.

Przelknęła kawę.

— Bawi się pan teraz w psychiatrę?

— Coś mi właśnie przyszło do głowy. Jeśli jesteś taka pewna, że moim tajnym źródłem jest Weiss, to Tennant mógł dojść do tego samego wniosku. No bo, jak sama powiedziałaś... dlaczego nasi ludzie czekali akurat we Frozen Head?

— Niech pan mówi dalej.

— Jeżeli Tennant uzna, że Weiss na niego donosi, pozbędzie się jej. Powinniśmy rozesłać za nią list gończy i wziąć pod lupę domy i telefony wszystkich bliskich jej osób.

— Mam na oku wszystkich, do których mogłaby się zwrócić, ale nie z tego powodu. Tennant nie pozbędzie się doktor Weiss.

— Dlaczego nie?

— On ją kocha.

— Ale nie może odrzucić oczywistej logiki.

Geli zaśmiała się cicho.

— Oczywiście, że może. Ludzie stale to robią.

Rozdział 23

Zerwałem się ze snu, przerażony. Rachel siedziała za kierownicą półciężarówki. Jechaliśmy. Leżałem skulony na podłodze po stronie pasażera. Kiedy wgramoliłem się na fotel, zobaczyłem, że jedziemy autostradą przez wiejską okolicę. Przed i za nami była tylko pusta szosa.

— Jakim cudem wsiadłaś? — spytałem. — Nie zamknąłem drzwi? Nawet na mnie nie spojrziała.

— Zamknąłeś. Na pace znalazłam twarde drut. Zrobiłam haczyk i wyciągnęłam zamek przez szparę w opuszczonej szybie.

— Gdzie jesteśmy?

— Dojeżdżamy do Caryville. Sądząc ze znaków drogowych, przez miasto przebiega autostrada międzystanowa siedemdziesiąt pięć.

Otrząsnąłem się z resztek snu o Jerozolimie. Jak długo byłem nieprzytomny?

— Gdzie oddział specjalny?

— Nie wątpię, że nas szukają.

Byłem pewien, że Rachel zdradziła nasz cel podróży NSA. Dlaczego więc wiozła mnie pustą szosą? A może wracaliśmy w kierunku Frozen Head?

— Wiem, o czym myślisz — odezwała się. — Ale jesteś w błędzie. Ktoś jeszcze musiał wiedzieć o parku Frozen Head. Może opowiadałeś o nim komuś w Świętej Trójcy? Raviemu Narze? Zanim się znie-nawidziliście.

— Nie. Jesteś jedyną żyjącą osobą, która wiedziała o tej jaskini. A przynajmniej o jej związku ze mną.

Opuściłem szybę, wychyliłem się i spojrzałem na niebo. Niczego nie dostrzegłem, przynajmniej na wąskiej przestrzeni pomiędzy koronami przydrożnych drzew. Czy był jakiś powód, dla którego ludzie Geli Bauer mieliby zwlekać, gdyby znali moje miejsce pobytu? Nie potrafiłem sobie tego wyobrazić. Wszystko, czego Geli mogła ode mnie chcieć, uzyskalaby szybciej torturując mnie, niż śledząc.

— Skoro im nie pomagasz, to dlaczego wciąż jesteś ze mną? — zapytałem.

Spojrzała na mnie pełnymi smutku oczami.

— Ani mi się śni odpowiadać na takie pytanie.

Chciałem jej wierzyć, to jednak świadczyłoby o mojej głupocie.

— Słuchaj... nie mogli tam na nas czekać, jeśli to nie ty powiedziałaś im o Frozen Head.

— Coś przegapiłeś. Nie ma innego wytłumaczenia?

— Nie. Mój ojciec i brat nie żyją. NSA musiałyby móc czytać moje myśli, żeby...

Zamarłem z rozdziawionymi ustami. Olśnienie spadło na mnie jak cios pałką w głowę.

— Davidzie? Co się stało?

— Boże jedyny! — szepnąłem. — Zrobili to!

— Co zrobili?

— Świętą Trójcę. Mają działający prototyp.

— Skąd wiesz?

Przyłożyłem drżącą dłoń do czoła. Gdzieś w Ameryce skan super-RM został załadowany do komputera Świętej Trójcy. Ten neuromodel istniał teraz — przynajmniej do pewnego stopnia — jako David Tennant. Czułem się, jakby ludzie, którzy mnie ścigali, odkryli, że mam brata bliźniaka, złego bliźniaka, który dzielił wszystkie moje wspomnienia i gotów był zdradzić mnie na rozkaz. Poczucie gwałtu było absolutne. Umysł był moją najświętszą ucieczką od świata. Czułem się w jakiś niewytłumaczalny sposób zgwałcony, odarty z indywidualności.

Gdzie jeszcze na mnie czekają?, zastanawiałem się.

— Davidzie, nie zamykaj się przede mną — powiedziała Rachel błagalnie. — Porozmawiajmy.

— Oni mają moje wspomnienia, Rachel. Mają mnie, załadowanego do ich komputera. To stąd wiedzieli o Frozen Head. Oni już nie muszą nas ściągać. Wiedzą, co zrobię, zanim to się stanie.

— To niemożliwe.

— Ależ tak. Właśnie nad tym pracowali przez ostatnie dwa lata. Ja znam tych ludzi. Znam Petera Godina. I wiem, że to prawda.

Zwolniła przed „agrafką”.

— Twierdzisz, że Fielding miał rację? Że przez cały czas pracowali nad komputerem gdzie indziej?

— Tak. Podczas gdy ja i Fielding pieprzyliśmy się z efektami ubocznymi rezonansu magnetycznego, oni konstruowali to cholerstwo w jakimś utajnionym miejscu. — Uderzyłem ręką w tablicę rozdzielczą. — To dlatego po zawieszeniu prac nad projektem zwolnili niektóre ekipy.

— O czym ty mówisz?

— Kiedy zawieszono projekt, grupy inżynierów wysłano na płatny urlop. Czasami w budynku prawie nikogo nie było. Najbardziej rzucała się w oczy nieobecność ekipy interfejsowej, kierowanej przez Zacha Levina.

— Co to jest ekipa interfejsowa?

— To zespół ludzi odpowiedzialnych za komunikowanie się z neuronodelem, kiedy już zostanie załadowany do komputera. Pamiętaj, co ci mówiłem w amfiteatrze? Jeżeli załadujesz ludzki mózg do komputera, to co otrzymasz? Głuchego, niemego, ślepego i sparaliżowanego człowieka, wystraszonego na śmierć. Połowa wygranej polega na tym, by wyposażyc ten mózg w oczy, uszy i głos. To właśnie jest zadanie ekipy interfejsowej. Skoro projekt został zawieszony, zwolnienie ich wydawało się sensowne. Teraz jednak zrozumiałem. Cholera, co ja bym dał, żeby Fielding był z nami!

Rachel zerknęła na mnie.

— Ale skoro byli tak bliscy sukcesu, po co zabijali Fieldinga? Jeżeli Godinowi udało się doprowadzić do tego, że Święta Trójca działa, to kto by się tam przejmował efektami ubocznymi czy czymkolwiek?

— Masz rację. Gdyby naprawdę tego dokonali, Godin byłby w zasadzie nietykalny. Brakuje nam informacji. Może... — Moje dłonie stały się zimne jak lód. — O mój Boże!

— O co chodzi?
— Wiem, dlaczego zabili Fieldinga.
— Tak?
— Mogli sobie na to pozwolić.
— Co masz na myśli?
— Wczoraj John Skow oświadczył, że nie będzie szukał zastępcy Fieldinga. Myślałem, że oszalał. Ale teraz rozumiem. Jeżeli mają działający prototyp, to znaczy, że Fielding nie umarł.

Rachel odwróciła się do mnie, niczego nie rozumiejąc.

— Jak to?

— A tak, że mogą załadować neuromodel Fieldinga tak samo jak mój. Będą mieli mózg Andrew Fieldinga na wyciągnięcie ręki. On im rozwiąże problemy, jakie jeszcze pozostały!

Przez dłuższą chwilę Rachel prowadziła w milczeniu.

— W porządku. Przyjmijmy na chwilę, że to jest możliwe. Dlaczego Fielding miałby pomagać ludziom, którzy go zabili?

Ogarnęło mnie dziwne uczucie podziwu. Peter Godin był bardziej bezwzględny, niż sobie wyobrażałem.

— Neuromodel Fieldinga będzie im pomagał, bo nie wie, że został zamordowany. Wykonano go sześć miesięcy temu, kiedy zeskanowano Fieldinga na aparaturze super-RM. Wobec tego od tamtej pory nie ma żadnych wspomnień. Tamten Andrew Fielding nawet nie wie, że poślubił Lu Li.

— Davidzie, to się nie dzieje naprawdę!

— Oczywiście, że tak. Właśnie stoimy w obliczu rewolucyjnego przełomu w nauce. Rozbicie atomu. Rozszyfrowanie ludzkiego genomu. Sklonowanie owcy.

— Te dokonania to coś innego niż to, o czym mówisz. Uwolnienie ludzkiej świadomości od ciała?

Zastanowiłem się nad tym.

— Masz rację. To odkrycie jest donioślejsze, ponieważ umożliwi nam dalszy postęp w tempie wykładniczym. A ściślej mówiąc, nie nam, tylko tej nowej postaci świadomości, w którą wyewoluuje Święta Trójca. A będzie ewoluować niezwykle szybko.

— Ale nie jesteś pewien, że to zrobili?

— Przynajmniej częściowo. Może mają tylko surową wersję? Może mają dostęp do moich wspomnień — na przykład mogą przywoływać obrazy — ale nie potrafią jeszcze sterować prototypem tak jak funkcjonującym mózgiem? Pamięć ludzka to specjalność Ravięgo

Nary. Już na samym początku zrobili w tej dziedzinie niesamowite postępy. Nie mamy się jak tego dowiedzieć.

Rachel dotknęła mojego ramienia.

— Jeżeli masz rację, to co oni wiedzą o tym, co teraz robimy?

— Mam nadzieję, że nic. Nie potrafią odczytywać moich myśli w jakiś mistyczny sposób. Prawdopodobnie mają moje wspomnienia od dzieciństwa aż do sześciu miesięcy temu, kiedy mnie zeskanowano. Jeśli chodzi o mój proces myślenia, moje opinie, osobowość... do tego potrzebny byłby w pełni funkcjonujący komputer. A jeśli go mają...

— To co?

— To prezydent nie będzie się przejmował tym, co stało się z dwójką lekarzy. Społeczeństwo akceptuje fakt, że więcej ofiar pociąga za sobą budowa wieżowca czy mostu. Ty i ja stanowimy nieistotną cenę w zamian za przewagę strategiczną, jaką da Święta Trójca. Jeżeli Święta Trójca jest naprawdę ukończona, to już po nas.

Wskazała na coś przed nami.

— To Caryville. I autostrada międzystanowa siedemdziesiąt pięć. Jedziemy na północ czy na południe?

— Zjedź na pobocze.

Stopniowo zwolniła, skręciła i zatrzymała się tuż przed wjazdem w kierunku północnym.

— Próbuje uciekać od samego siebie — myślałem na głos. — Żeby się udało, musimy dokonywać wyborów na chybił trafił. Ale na ile przypadkowe mogą być moje decyzje? Przypuszczam, że na każdym skrzyżowaniu, tak jak tu, powinniśmy rzucać monetą.

Rachel kręciła głową.

— Mojego skanu mózgu nie mają. Nie potrafią przewidzieć, co zrobię. Od tej pory to ja będę podejmowała decyzje.

W moich oczach zobaczyła powątpiewanie.

— Nadal mi nie ufasz?

— Nie o to chodzi. Do tej pory Geli Bauer wie już na twój temat wszystko. Wie rzeczy, o których sama nie pamiętasz.

Wargi Rachel zacisnęły się w białą kreskę.

— Nienawidzę jej. Nienawidzę jej, chociaż nawet jej nie poznałam.

— Ja ją znam. Ale nienawiść nas nie uratuje.

— Dlaczego nie możemy się gdzieś rozpląnąć? Płacić gotówką w bezimiennym motelu w jakimś bezimiennym mieście? Zaparkować pod płotem i spać w samochodzie przez trzy dni? Ameryka to wielki kraj. Nawet dla NSA.

— Oglądałaś kiedyś *Najbardziej poszukiwanych przestępców Ameryki!* Co tydzień łapią złoczyńców, którzy próbowali właśnie tego, co proponujesz. Dzięki telewizji Ameryka jest dużo mniejsza, niż ci się wydaje.

Rozparłem się wygodnie w fotelu i próbowałem uruchomić instynkt. W obu kierunkach przejeżdżały samochody osobowe i ciężarówki, jedne powoli, inne tak szybko, że powiew wiatru po ich przejeździe kołysał naszym wozem. Kiedy tak siedziałem, sytuacja powoli zaczęła się klarować.

Za trzy dni będziemy mieli szansę spotkania się z prezydentem. Nasz problem polegał na tym, jak utrzymać się przy życiu dostatecznie długo, by mogło dojść do tej rozmowy. Szanse mieliśmy niewielkie, i z każdą chwilą malały. Nawet gdybyśmy dostali się do Matthews, musiałbym go przekonać, że to ja mówię prawdę, a wszyscy inni ze Świętej Trójcy kłamią. W tym celu potrzebowałem mocnych dowodów. A nie miałem żadnych. Druga opcja — ujawnienie wszystkiego publicznie — tylko przekonałaby prezydenta, że — jak twierdzili wszyscy w Świętej Trójcy — zerwałem się ze smyczy, co zniszczyłoby naszą więź z jedynym człowiekiem, który mógł nas uratować. Trzy dni...

— Długo zamierzasz tak siedzieć? — odezwała się Rachel.

— Jeszcze chwilę...

Ukrywanie się nie było żadnym wyjściem. Ucieczka też nie. W każdym razie nie konwencjonalna. Musieliśmy zdobyć się na krok tak radykalny, żeby nikt na świecie nie potrafił go przewidzieć. Ale jaki?

Patrząc przez szybę na mijające nas samochody, uświadomiłem sobie, że siedzę tu z Rachel tylko z jednego powodu: moich snów. To moje sny doprowadziły do tego, że się spotkaliśmy. Gdyby nie one, oboje dostalibyśmy kulkę w tył głowy u mnie w domu. Mimo to nie byłem ani trochę bliższy zrozumienia tych snów niż wtedy, gdy po raz pierwszy przestąpiłem próg gabinetu Rachel.

W ciągu ostatnich miesięcy moje sny się nasilały, niczym wiadomość radiowa, wysyłana uporczywie z odległego nadajnika. Początkowo niezrozumiałe obrazy niepokoiły mnie, wręcz przerażały. Jednak

z czasem — zwłaszcza w ciągu ostatnich trzech tygodni — narastało we mnie przekonanie, że coś próbuje przesłać mi ważny komunikat. Oczywiście schizofrenicy dzielą takie samo przekonanie. Co mnie od nich odróżnia?

Zamknąłem oczy i próbowałem o niczym nie myśleć, stało się jednak odwrotnie. Nagle ujrzałem otoczone murem miasto na górze; żółte kamienie błyszczały w słońcu. W murze była brama.

„Wschodnia brama”, szepnął głos w mojej głowie. „Jerozolima”.

Dotychczas nigdy nie miałem wizji na jawie. Otworzyłem oczy i zobaczyłem Rachel, wpatrzoną w tablicę rozdzielczą. Znow zaniknąłem oczy, ale miasto zniknęło jak po błysku flesza.

— Davidzie? Masz jakiś kłopot z oczami?

— Nie.

Pomasowałem skronie i spróbowałem skupić się na tym, co czeka nas w najbliższej przyszłości. Od dawna byłem przywiązany do pewnych miejsc. Między dwudziestką a trzydziestką sporo podróżowałem, i chociaż zazwyczaj była to studencka chęć poznawania świata, to zdarzało się, że coś ważniejszego kazało mi zmienić planowaną trasę.

Zwiedzając Uniwersytet Oksfordzki, obudziłem się pewnego dnia z uczuciem, że muszę pojechać do Stonehenge — nie po to, by je po prostu zobaczyć, lecz żeby побыć trochę wśród tych olbrzymich kamieni. Mój towarzysz podróży zapewniał mnie, że nie ma pośpiechu — skoro te głazy stoją tam od pięciu tysięcy lat, to na pewno poczeka ją jeszcze kilka dni. Mimo to wynająłem samochód i pojechałem na południe, aż dotarłem do równiny Salisbury. Kiedy zapadła ciemność, samotnie podszedłem do kręgu i zrobiłem to, czego turystom nie wolno już robić — w świetle księżyca ruszyłem między kamieniami i położyłem się na ołtarzu ofiarnym. Nie byłem oszołomem spod znaku New Age, lecz studentem medycyny z uniwersytetu stanu Wirginia, liczącym na stabilną karierę. Nie był to jednak odosobniony przypadek. W ten sam sposób coś ściągnęło mnie do Chichén Itzá. A podczas wyprawy do Wielkiego Kanionu zmieniłem trasę i na tydzień rozbiłem obóz w kanionie Chaco w Nowym Meksyku. W Grecji wybrałem Delfy zamiast Aten. We wszystkich tych przypadkach czułem zew, jak gdyby coś wzywało mnie w te konkretne miejsca.

To, co czułem w tej chwili, było inne — wewnętrzny przymus, by pojechać do Jerozolimy, bez względu na konsekwencje. Fakt, że było to święte miasto trzech wielkich religii, nic nie znaczył. Nie miałem nic wspólnego z milionami wiernych planujących pielgrzymki do Ziemi Świętej. Czułem tylko, że w tym mieście znajdę odpowiedzi, odpowiedzi, których nie uzyskam nigdzie indziej.

— Dokąd jedziemy? — zapytała w końcu zirytowana Rachel.

— Do Izraela.

— Co takiego?!

— Do Jerozolimy.

— Davidzie...

— Chodzi o to, że...

— Nic nie mów. Chodzi o twoje halucynacje, zgadza się?

— Tak.

Wyciągnęła rękę, ujęła mnie za podbródek i spojrzała głęboko w oczy.

— Davidzie, jacyś ludzie próbują nas zabić. Rząd chce nas zabić. Masz halucynacje, których powodów nie rozumiemy, ale które mogą wynikać z uszkodzeń mózgu. I ty chcesz, żeby te halucynacje wskazały ci sposób na uratowanie nam życia?

— Ten, kto uratuje życie, i tak je straci.

— Co proszę?

Uniosłem dłonie.

— Nie twierdę, że to nas uratuje. Mówię tylko, że jeśli ktoś ma mnie dopaść i zabić, wolę, żeby to się stało, kiedy będę poszukiwał znaczenia czegoś, co, jak uważam, jest istotne.

— Naprawdę sądzisz, że twoje halucynacje coś znaczą?

— Tak.

— Dlaczego?

— Nie potrafię tego logicznie wytłumaczyć. Ja to po prostu wiem. Tak jak ptak wie, którędy lecieć na południe.

Westchnęła niczym zmęczona matka, przemawiająca do dziecka.

— Spróbuj, dobrze? Spróbuj mi to wyjaśnić.

Zamknąłem oczy, szukając słów na wytłumaczenie niewytłumaczalnego.

— Czuję, jakbym został wybrany.

— Do czego?

- Nie jestem pewien.
- Wybrany przez kogo?
- Przez Boga.
- Przez Boga?!
- Tak.

Rachel odetchnęła głęboko i położyła dłonie na kolanach. Najwyraźniej walczyła ze sobą, żeby zachować spokój.

— Chyba najwyższy czas, żebyś mi powiedział, czego dotyczyły te ostatnie halucynacje. Nadal ci się śni, że jesteś Jezusem?

— Tak.

— Czym te nowe wizje różnią się od poprzednich? Dlaczego je przede mną ukrywałeś?

W końcu dotarliśmy do granicy pomiędzy zdrowiem psychicznym a pokojem bez klamek. Cieszyłem się, że siedzimy w samochodzie na autostradzie, a nie w jej gabinecie. Nie mogła wezwać nikogo na pomoc, żeby mnie zamknęli.

— Dlatego, że już nie sędzę, że to halucynacje. Czy sny. Moim zdaniem to są wspomnienia.

Z desperacją wypuściła powietrze z płuc.

— Wspomnienia?! Bój się Boga, Davidzie! Co się dzieje w tych snach?

— Ponownie przeżywam część życia Jezusa. Jego podróż do Jerozolimy. To, co go tam spotkało. Słyszę głosy. Swój... i moich uczniów. Rachel, to co widzę w wyobraźni, jest bardziej rzeczywiste niż to, co widzę tutaj dokoła. Wydarzenia nabierają tempa. Zbliżam się do ukrzyżowania.

Z niedowierzaniem kręciła głową.

— Jak to możliwe, że masz wspomnienia sprzed dwóch tysięcy lat, i dlaczego przyszyły ci do głowy dopiero sześć miesięcy temu?

— Nie wiem.

— Czy właśnie te sny zmuszają cię do wyjazdu do Izraela?

Wcześniej nie myślałem o moich snach jako o nakazach, ale faktycznie tak to wyglądało. To, co odbierałem jako ogólny niepokój, tak naprawdę było narastającym przymusem, by odwiedzić miejsca, w których rozgrywa się akcja moich snów.

— Do Ziemi Świętej. Tak.

— Boisz się, że w prawdziwym życiu umrzesz, zanim dojdiesz w swych snach do ukrzyżowania?

— Być może. Przede wszystkim mam poczucie, że jeśli nie dotrę tam szybko, stracę szansę zrozumienia tego, co sny próbują mi powiedzieć.

Rachel patrzyła na przejeżdżające samochody, kiwając głową. Nagle odwróciła się do mnie z błyszczącymi, szeroko otwartymi oczami.

— Czy wiesz, jaki dzisiaj jest dzień?

— Nie.

— Został niecały tydzień do Wielkanocy.

Zamrugalem.

— I co z tego?

— Zbliżamy się do tradycyjnej daty śmierci i zmartwychwstania Jezusa. Nie tylko w twoich snach, lecz także w świecie realnym.

— Według ciebie to ma jakiś związek?

— Oczywiście. W jakiś sposób nadchodząca Wielkanoc powoduje u ciebie te sny, ten niepokój. Jesteś jak ludzie, którzy wierzyli, że ich życie zakończy się wraz z przełomem tysiącleci. Nie rozumiesz? Wszystko to jest częścią systemu urojeń.

Pokręciłem głową z uśmiechem.

— Mylisz się. Ale masz rację, jeśli chodzi o daty. Mogą być ważne.

Patrzyła na mnie jak na kogoś, kto właśnie robi jej jakiś wymyślny kawał.

— A co ze spotkaniem z prezydentem?

— Załatwimy to po powrocie. Co znaczy parę dni w tę czy w tę? Zwłaszcza jeśli dzięki temu przeżyjemy?

Zamknęła oczy i zapytała cicho:

— Czy mówiłeś o swoich halucynacjach Andrew Fieldingowi?

— Tak.

— I co on na to?

— Kazał mi zwracać na nie uwagę. Ciągłe powtarzał, że konstruując Świętą Trójcę, poruszamy się śladami Boga. Nawet nie wiedział, jak dalece miał rację.

— Świetnie. Jesteście podobni jak dwie krople wody. — Położyła dłonie na kierownicy, jak gdyby chciała wyjechać na autostradę, ale nie ruszyła z miejsca. — Naprawdę chcesz pojechać śladem tych halucynacji do Izraela?

— Tak.

— Ale przyznajesz, że mogą być wynikiem uszkodzenia mózgu?

— Nie takiego uszkodzenia, jakie masz na myśli. — Przypomniałem sobie, z jakim podnieceniem Fielding przedstawiał swoją teorię świadomości. — To zaburzenia procesów kwantowych zachodzących w moim mózgu.

Rachel ścisnęła kierownicę tak mocno, że zbiały jej kostki.

— Jesteś jak człowiek, któremu przyśniło się kiedyś, że jest faraonem, a teraz chce jechać do Egiptu, żeby odnaleźć sens życia!

— Pewnie tak. Wiem, że to brzmi jak wariactwo. Rzecz w tym, że nie mamy lepszego wyjścia. Jeżeli poprawi ci to nastrój, to jedziemy tam, bo musimy zrobić coś, czego komputer Świętej Trójcy nie jest w stanie przewidzieć.

— Nie przewidzi, że będziesz chciał jechać do Izraela?

— Nie. Moje sny zaczęły się po zeskanowaniu mnie przez super-RM. Mój neuromodel nie pamięta snów, które nastąpiły potem. Nawet w twoich aktach nie ma wzmianki o Jerozolimie, bo przestałem do ciebie chodzić, zanim to miasto zajęło centralne miejsce w moich snach.

Rachel popadła w zadumę.

— Zdajesz sobie sprawę, że podróż do Izraela to nie to samo co wyjazd do Paryża? Ten kraj jest w stanie wiecznej wojny. Byłam tam. Oni bardzo zwracają uwagę na to, kto tam przyjeżdża i wyjeżdża. El Al mają czterokrotnie silniejszą ochronę niż inne linie lotnicze. A nas ściga rząd Stanów Zjednoczonych. Gdy tylko zarezerwujemy bilety, będą na nas czekali na lotnisku.

— Masz rację. Potrzebujemy fałszywych paszportów.

Roześmiała się gorzko.

— Mówisz o tym jak o kupieniu chleba i mleka w drodze do domu.

— Zostało mi osiemnaście tysięcy dolarów. Z taką sumą na pewno można załatwić fałszywe paszporty.

— Fałszywe paszporty w Izraelu nie przejdą. Oni tam codziennie mają do czynienia z terrorystami.

— Lepiej siedzieć w izraelskim więzieniu niż zostać tutaj i dać się zabić.

Oparła się w fotelu i westchnęła.

- Coś w tym jest...
- Jadę do Nowego Jorku. Z osiemnastoma tysiącami załatwię paszporty. Wiem o tym.
- A ja?
- Możesz jechać ze mną. Albo nie. Twój wybór.
Pokiwała głową, jakby tego się właśnie spodziewała.
- Rozumiem. A co się ze mną stanie, jeśli nie pojedę?
Przypomniałem sobie oczy Geli Bauer.
- Chcesz, żebym cię okłamywał?
- Wrzuciła bieg, wjechała na autostradę w kierunku północnym i zaczęła przyspieszać.
- Do Nowego Jorku? — spytałem.
- Nie.
- Więc dokąd?
- Spojrzała na mnie. Jeszcze nigdy jej twarz nie wydawała mi się tak bezbronna.
- Chcesz, żebym z tobą pojechała czy nie?
- Chciałem. Mało tego, czułem, że ona powinna jechać.
- Rachel, chcę, żebyś ze mną pojechała. Z wielu powodów.
Roześmiała się sucho.
- To dobrze, bo beze mnie nie dałbyś sobie rady. Jeśli się jest samemu, tracenie przytomności na środku ulicy nie wychodzi na zdrowie. Gdybym cię zostawiła tam w samochodzie, już byś nie żył.
- Wiem. Pojedziesz?
- Wyprzedziła cysternę i wróciła na prawy pas.
- Skoro chcesz jechać do Izraela, najpierw musimy dostać się do Waszyngtonu.
- Zesztywniałem. Znowu opadły mnie wątpliwości na jej temat.
- Do Waszyngtonu? Po co?
- Bo znam tam kogoś, kto nam pomoże.
- Kogo?
- Chciałem spojrzeć jej w oczy, żeby się przekonać, czy nie kłamie, ale nie odrywała wzroku od szosy.
- Kiedy praktykowałam w Nowym Jorku, leczyłam wiele kobiet.
Właściwie to głównie kobiety.
- I...?
- Niektóre miały problemy z mężami.
- No i?

— Czasami sądy przyznawały ojcom prawo do widywania dzieci, pomimo ewidentnych dowodów maltretowania fizycznego. Niektóre z tych kobiet tak się bały, że nie widziały innego wyjścia niż ucieczka.

Poczułem mrowienie w dłoniach.

— Mówisz o porwaniu własnych dzieci?

Przytaknęła ruchem głowy.

— Jeżeli jesteś sam, nie jest trudno zniknąć policji z oczu. Ale z dzieckiem to niełatwe. Trzeba je zapisać do szkoły, chodzić do lekarza i tak dalej. — Zerknęła na mnie ze ściągniętą twarzą. — Te kobiety mają swoją siatkę. Coś jakby kolej podziemną, która dysponuje rozmaitymi możliwościami.

— Nowe dowody tożsamości — mruknąłem.

— Tak. Dla dziecka podstawą nowej tożsamości jest akt urodzenia. Dla dorosłego numer ubezpieczenia socjalnego i paszport. Nie znam szczegółów, ale wiem, że ludzie, którzy pomagają tym kobietom, są w Waszyngtonie.

— Te kobiety kupują fałszywe paszporty w stolicy?

Rachel pokręciła głową.

— One nie są fałszywe. Są prawdziwe.

— Prawdziwe? Jak to?

Zerknęła na mnie szybko, najwyraźniej nie chciała zdradzać mi tego, co wie.

— Pewna kobieta pracuje w jednym z wydziałów paszportowych w Waszyngtonie. Wiele lat temu sama miała problem z mężem. Solidaryzuje się ze sprawą. Nie wiem, kim jest, ale znam kogoś, do kogo mogę się zwrócić. Była pacjentką.

— Sprawa... Czyli to nadal się kręci?

— Tak. Wysłałam do nich pewną kobietę z Chapel Hill. Żonę lekarza.

— Ho, ho!

— Widzę tylko jeden poważny problem — powiedziała.

— Jaki?

— Jesteś mężczyzną. Nie wiem, czy one zdecydują ci się pomóc.

Rozdział 24

Kiedy tym razem drzwi się otworzyły, Geli wiedziała, że to Skow. Wiedziała także, że przynosi złe wieści, bo niedawno rozmawiała z nim przez telefon, a on wydawał się zbyt skonany, by zwlec się z łóżka. Okręciła się w fotelu obrotowym i zobaczyła, jak idzie ku niej, po raz pierwszy ubrany w coś innego niż garnitur od Braci Brooks. Dzisiaj były to spodnie khaki i podkoszulek z emblematem MIT. Pod oczami miał ciemne worki, mimo to wciąż bardziej przypominał pracownika administracyjnego na uniwersytecie niż eksperta od wojny informacyjnej.

- Wygląda pan jak kupa nieszczęścia — odezwała się Geli.
 - Czuję się jeszcze gorzej.
 - Gdyby miał pan dobre wieści, nie byłoby pana tutaj.
 - Masz rację. Ravi Nara zadzwonił do mnie zaraz po naszej rozmowie. — Skow opadł na fotel obok niej. — Daj mi papierosa.
 - Przecież pan nie pali.
 - Oj, Geli, wielu rzeczy o mnie nie wiesz.
- Wytrząsnęła z paczki gauloise'a, przypaliła go i podała Skowowi. Zaciągnął się głęboko, wypuścił dym i nawet nie zakaszał.
- Ohydne te twoje papierosy.
 - Skąd dzwonił Nara?
- Skow pokręcił głową.
- Wszystko w swoim czasie. Teraz posłuchaj mnie uważnie.

Geli skrzyżowała nogi i czekała.

— Ty i ja zawsze coś przed sobą ukrywaliśmy. Ale nadszedł czas, żeby odkryć karty. Na ile to możliwe.

— Słucham.

— Godin zawsze fragmentarycznie rozdzielał informacje o Świętej Trójcy, więc nie wiem, ile wiesz. Wiesz, że pracujemy nad sztuczną inteligencją, ale czy masz pojęcie, w jaki sposób?

— Niech mi pan powie.

— Stosujemy zaawansowaną technologię rezonansu magnetycznego do wykonania molekularnych skanów mózgu, a potem próbujemy załadować te skany do rewolucyjnego superkomputera.

— Proszę dalej — zachęciła go.

— Naszym celem jest stworzenie sztucznej inteligencji w wyniku cyfrowego skopiowania mózgu, a nie odtwarzania jego funkcji. Jeśli to zadziała, otrzymamy nie komputer, który pracuje jak ludzki mózg, lecz taki, który w praktyce jest mózgiem konkretnego człowieka. Rozumiesz?

Geli sądziła, że skany RM są używane do badania struktury mózgu, nie zaś jako podstawa działania maszyny.

— Zasada wydaje się przejrzysta.

Skow zaniósł się pustym śmiechem.

— W teorii, owszem. I uzyskamy to, prędzej czy później. Ale właśnie ta różnica między prędzej a później ma dla ciebie i dla mnie zasadnicze znaczenie.

— Dlaczego?

— Bo Peter Godin umiera.

Coś zatrzępotało jej w piersi, gdy usłyszała potwierdzenie swoich podejrzeń. Przed oczami stanął jej Godin — napuchnięta twarz, obwisłe usta, niezdarne chód.

— Na co?

— Peter ma raka mózgu. Ravi Nara odkrył to sześć miesięcy temu, kiedy wykonaliśmy pierwotne skany dla neuromodeli. To dlatego od dwóch dni nie mogłaś się skontaktować z Godinem. Kiedy nie pracuje bezpośrednio nad Świętą Trójcą, jest poddawany terapii.

Geli przesunęła się w fotelu.

— Ile czasu mu zostało?

— To kwestia godzin. Najwyżej dzień. Guz nie nadawał się do operacji nawet we wczesnym stadium, kiedy Ravi go wykrył. Peter uważał, że gdyby rząd dowiedział się o jego śmiertelnej chorobie, nie zapewniliby wszelkich środków niezbędnych do urzeczywistnienia Świętej Trójcy. Dlatego dogadał się z Ravim. Ravi miał utrzymać jego chorobę w tajemnicy i leczyć go sterydami, żeby utrzymać go przy życiu dostatecznie długo, by ukończył Świętą Trójcę. Wolę nie myśleć, czego Ravi zażądał w zamian.

— Nara to menda.

— Zgadzam się. Rzecz w tym, że od początku Święta Trójca pracowała według tajnego planu. Peter Godin budował ten komputer, żeby ocalić swoje życie.

— Co pan chce przez to powiedzieć?

— Gdyby udało się ukończyć budowę Świętej Trójcy przed jego śmiercią, można by załadować do niej jego neuromodel. Jego ciało by wprawdzie umarło, on jednak żyłby nadal w tym komputerze jako Peter Godin.

Geli zamrugła z niedowierzaniem.

— W takie cuda to ja nie uwierzę, za cholere.

Skow się roześmiał.

— To jest nie tylko możliwe, lecz nieuchronne. Tyle że nie nastąpi to w tym tygodniu.

— Jeżeli to prawda, czy nie dałoby się tego neuromodelu Godina, czy jak to się tam nazywa, załadować do komputera także po jego śmierci? Kiedy Święta Trójca zostanie ukończona?

— Oczywiście. Tyle że w takim wypadku Peter umierałby, nie mając pewności, że tak się stanie. Musiałby umrzeć jak wszyscy inni przed nim. I musiałby nam zaufać, że wskrzesimy go w tej maszynie.

— Rozumiem. — Geli próbowała przyswoić sobie implikacje wynikające z nadciągającej śmierci Godina. — A zatem po co właściwie pan przyszedł?

Skow zaciągnął się gauloise'em i wbił w nią poważne spojrzenie.

— Przyszedłem, żeby uratować ci tyłek. Razem z moim.

— Nie sądziłam, że mój tyłek wymaga ratowania.

— Jak najbardziej. Dlatego że Projekt Święta Trójca w każdej chwili może lec w gruzach.

Teraz zrozumiała. Statek tonął, a szczury rzuciły się na poszukiwanie szalup ratunkowych.

— Ale powiedział pan, że sukces jest nieuchronny.

— Ostatecznie tak. Jeżeli jednak Godin umrze, zanim komputer zacznie działać, to nie będzie nikogo, kto wyniesie prace na następny szczebel. Fielding nie żyje. Ravi dał już z siebie wszystko, co mógł. On nie gra w takiej lidze, żeby poradzić sobie z tym, co jeszcze jest do zrobienia. A jeśli nie uda nam się dostarczyć funkcjonującego prototypu komputera po wydaniu prawie miliarda dolarów...

— Miliarda?!

Skow wyglądał na zniecierpliwionego.

— Geli, prototyp Świętej Trójcy powstaje głównie z włókien węglowych o przekroju nanometra. To nie jest tylko najwyższa technologia. Musieliśmy stworzyć nową gałąź nauki. Wydatki na same materiały dla laboratorium badawczo-rozwojowego przyporządkują o zawrót głowy. To samo dotyczy badań nad pamięcią holograficzną. My...

— W porządku, rozumiem. — Jej mózg pracował w ekspresowym tempie. — Mówił pan, że kiedy Godin nie jest w trakcie terapii, to pracuje nad Świętą Trójcą. Gdzie to robi? W Mountain View?

Skow pokręcił głową.

— Jest jeszcze jeden zakład produkcyjny Świętej Trójcy. Nie zdradzę ci gdzie, dopóki nie dojdziemy do porozumienia. Założono go dwa lata temu, kiedy tylko okazało się, że prezydent nalega, by Tennant sprawował tutaj nadzór etyczny. Godin wiedział, że nadejdzie taki dzień, kiedy będzie musiał pracować nad komputerem tak, żeby ani Tennant, ani rząd nie wiedzieli, co robi. Więc powstał drugi zakład.

Z każdym jego zdaniem Geli postrzegala sytuację inaczej. Facet z NSA już dawno temu porzucił funkcję kontrolera. Był człowiekiem Godina, kupionym przez niego za gotówkę.

— A więc na czym stoi teraz Święta Trójca? Zostanie spisana na straty?

— Nie. W tej chwili komputer częściowo działa. Właśnie prototyp Świętej Trójcy przewidział, że Tennant ucieknie do Frozen Head. W zasadzie to neuromodel Tennanta powiedział nam, gdzie go szukać.

Geli nie mogła w to uwierzyć.

— Widział pan to na własne oczy?

— Nie. Ale widziałem prototyp. To się nie mieści w głowie.

— To stąd pan wiedział o Frozen Head? Nie od doktor Weiss?

— Właśnie.

— Boże jedyny. Jeśli ten komputer potrafi robić takie rzeczy, dlaczego uważacie go za porażkę?

Skow uniósł dłoń i pomachał nią.

— Działa tylko część Świętej Trójcy. Ale pracuje zaledwie od dwudziestu godzin, a nawet nie wiedziałbym, jak ci wyjaśnić całą złożoność procesu, który doprowadzi do ukończenia tej maszyny. Odnieśli sukces w obszarze pamięci, ale główne obszary przetwarzania to jednak całkiem co innego.

— Chodziło o kryształ, prawda? — Geli myślała na głos. — Kryształ przy dewizce zegarka Fieldinga. Tego wam było trzeba, żeby ukończyć pracę.

— Tak. Fielding sabotował projekt, ale jednocześnie zapisywał wszystko, co robił. Nawet kiedy łamał kody innych ludzi, zawsze zapisywał pierwotny kod w swoim kryształ. Idealiści są marnymi sabotażystami. Fielding po prostu nie potrafił zahamować prawdziwego postępu naukowego. W każdym razie, kiedy dostaliśmy ten kryształ, odtworzyliśmy wszystkie komputerowe kody, które Fielding zniszczył. Ale prawdziwą premią były wyniki własnej pracy Fieldinga. Nie mógł się powstrzymać, żeby nie spróbować rozwiązać pozostałych problemów, nawet mimo iż sabotował nasze postępy. To jego prace sprawiły, że mamy Świętą Trójcę w zasięgu ręki. Bez tego kryształu prototyp w ogóle by nie działał.

— Ale skoro teraz już częściowo pracuje, dlaczego władze nie mogą wziąć innych naukowców, żeby dokończyli pracę?

— Mogłyby, gdyby o tym wiedziały. Ale nie wiedzą. Wszystko, co Godin zrobił od czasu zawieszenia projektu, jest niezatwierdzone i nielegalne.

— Więc przenieście prototyp z powrotem do tego budynku.

— Peter by się nie zgodził. On by tego nie przetrzymał.

— Mówił pan, że wkrótce umrze.

— Wkrótce, ale nie dość szybko. — Oczy Skowa wyrażały strach.

— Gdybyśmy dostarczyli w pełni sprawny komputer Świętej Trójcy,

nikt z władz amerykańskich czy brytyjskich nie przejmowałby się kosztami... ani materialnymi, ani ludzkimi. Ale w obliczu porażki padną niewygodne pytania.

— Co pan chce powiedzieć?

— Porażka wymaga kozła ofiarnego.

— Ja nie mam nic wspólnego z konstruowaniem tego komputera.

— Nie, ale wina za porażkę może spaść na śmierć Fieldinga. A kto go zabił?

Teraz zrozumiała, do czego zmierzał Skow.

— Zaczyna mnie pan wkurzać.

Człowiek z NSA podniósł ręce.

— Ja tylko przedstawiam możliwy scenariusz. Ty idealnie nadajesz się do tej roli. Wiadomo, że jesteś nadgorliwa...

— Chce pan wyjść z tego pokoju o własnych siłach?

Skow uśmiechnął się.

— Ja tylko pokazuję, o jaką stawkę ty grasz w tym wszystkim. Tymczasem Tennant i Weiss wciąż są na wolności i uciekają. A Lu Li Fielding zniknęła.

— Z tymi problemami dam sobie radę.

— Wszystko wskazuje na to, że wręcz przeciwnie.

Posłała mu spojrzenie, które strzaskałoby szkło.

— Spokojnie — powiedział Skow. — Teraz już nie chcę śmierci Tennanta. Mnożenie trupów jest bez sensu. To by nam tylko kolosalnie skomplikowało sytuację.

Wyczuła, że dotarli do sedna tej rozmowy.

— W porządku. Jeśli nie ja będę kozłem ofiarnym, to kto?

— Peter Godin.

— Co takiego?

Skow wypuścił idealne kółko błękitnego dymu.

— Zastanów się. Po śmierci Petera wszystko da się wytłumaczyć, nieco tylko naginając prawdę. Od dawna umierał na raka mózgu. Nikt z nas o tym nie wiedział. Peter był wspaniałym człowiekiem, ale guz wpłynął na jego myślenie. Obsesyjnie chciał uratować życie. Uznał, że można tego dokonać jedynie za pomocą komputera Świętej Trójcy. Kiedy Fielding i Tennant doprowadzili do zawieszenia projektu, Godin wpadł w popłoch i polecił ich zabić.

Geli oparła się wygodnie i powoli przyswajała sobie nowy plan.

Logika była bez skazy. Wielkie kłamstwo, które zmieniało czarne na białe.

— Jeśli pójdziemy tą drogą, Tennant nie będzie nam w stanie zaszkodzić bez względu na to, co powie — ciągnął Skow. — To o wiele bardziej eleganckie rozwiązanie niż morderstwo.

— Jest jeden problem — mruknęła Geli. — Jeśli pozostawimy Tennanta przy życiu, opowie całemu światu, że to ja próbowałam go zabić.

— Czyżby? — Skow uśmiechnął się i pokręcił głową. — Kto poszedł do domu Tennanta, żeby go zabić? Kogo widzieli Tennant i Weiss?

— Rittera.

— Otóż to. A Ritter pracował dla Superkomputerów Godina na długo przed tobą. Zgadza się?

Najwyraźniej Skow przemyślał wszystkie szczegóły.

— Tak — przyznała.

— Czy ktoś wie, że kazałaś Ritterowi zabić Tennanta?

— Nigdy nie wydałam takiego rozkazu.

Skow uśmiechnął się szeroko.

— Oczywiście, że nie. Nawet sobie tego nie wyobrażam. Peter zlecił to bezpośrednio Ritterowi, swojemu osobistemu dobermanowi. Doktor Tennant miał szczęście i zastrzelił Rittera w samoobronie. Jesteś czysta jak łza, Geli. Ty jedynie wypełniałaś polecenia Godina.

— A pan?

— Zanim zdałem sobie sprawę, że Fielding nie umarł śmiercią naturalną, Ritter już nie żył, a Tennant uciekał. Od tej pory staram się dociec prawdy.

Geli wciąż szukała dziury w całym.

— A dlaczego tak szybko skremowaliśmy zwłoki Fieldinga?

— Kiedy uświadomiliśmy sobie, że został zamordowany, podejrzewaliśmy jakiś wysoce zaraźliwy czynnik biologiczny. Nara poradził, żeby natychmiast spalić zwłoki i wszelkie próbki krwi. To był jedyny sposób, żeby zapewnić bezpieczeństwo w budynku.

— Czy Nara to potwierdzi?

— Zrobi wszystko, żeby ochronić swoją reputację.

Geli wstała i zaczęła krążyć po centrum kontroli. Skow odwrócił fotel i śledził ją wzrokiem.

— A jeśli Godinowi się uda? — zapytała. — Jeżeli przed śmiercią ukończy Świętą Trójkę, a ona okaże się tym, co obiecywał?

— Ravi twierdzi, że to niemożliwe. Peter gaśnie zbyt szybko.

Przygębila ją ironia tej sytuacji.

— Wie pan, że lubię Petera Godina. Szanuję go. Z drugiej strony, pana nie lubię ani trochę. I nie miałam dla pana szacunku, dopóki nie wymyślił pan tego rozwiązania. To się może udać.

— Uda się. Jedynym brakującym elementem układanki jesteś ty.

Nie widziałam innego wyjścia, jak zgodzić się na współpracę.

— Niech mi pan powie, gdzie znajduje się drugi zakład Świętej Trójcy, i dobijemy targu.

Z twarzy Skowa zniknęła pewność siebie.

— Tego nie wolno mi zrobić.

— A to dlaczego?

— Za chwilę zrozumiesz. Podam ci nazwisko człowieka, który odpowiada za bezpieczeństwo po drugiej stronie. Możesz sama go o to zapytać.

Geli przystanęła i wbiła w niego wzrok.

— Co to za gierki?

— Właśnie on kazał mi rozegrać to w ten sposób, a nie jest to człowiek, w którym chciałbym mieć wroga.

— Kim on jest, do cholery? Skow pokręcił głową.

— Podam ci jego numer.

— Ja nie dzwonię do ludzi, których nie znam.

Skow zaciągnął się papierosem i spojrzał na nią niemal ze współczuciem.

— General Horst Bauer.

Geli poczuła, że pali ją twarz. Cała дума, którą napawała ją praca dla Świętej Trójcy, odpłynęła w jednej chwili.

— Mój ojciec nadzoruje drugi zakład Świętej Trójcy?

— Tak.

— Ty skurwysynu! Dlaczego on i ja jesteśmy zaangażowani w ten projekt?

Skow najwyraźniej nie zamierzał niczego mówić, czuł jednak, że Geli nie pójdzie na współpracę, jeśli jej nie odpowie.

— To proste — odparł. — Każdy aspekt Świętej Trójcy od samego

początku był nadzorowany przez samego Godina. Dzięki swojej przeszłości w wywiadzie wojskowym twój ojciec zawsze miał wpływ na to, jakie komputery armia wybierze dla swoich potrzeb. Do Pentagonu, rozmaitych baz, a teraz do Fortu Huachuca.

W Forcie Huachuca, w Arizonie, mieściło się centrum wywiadu wojskowego Stanów Zjednoczonych, a ojciec Geli był jego szefem.

— Generał Bauer pomógł załatwić kontrakty Superkomputerom Godina dla wojska — wyjaśnił Skow. — Jego wpływy pomogły Peterowi pokonać Craya, NEC i całą resztę.

— Chce pan powiedzieć, że dostał pieniądze?

— Kupę forsy. Ma konto numerowe na Kajmanach, zasilane przez Godina, podobnie zresztą jak ja. Za pieniądze z NSA nie stać by mnie było na poziom życia choćby zbliżony do tego, jakie prowadzę.

— To zakłamany skurwysyn! Myślałam, że przynajmniej tam gdzie chodzi o jego kraj, jest... zresztą nieważne. Powinnam wiedzieć lepiej.

— Przepychając superkomputery Godina, twój ojciec nie zaszkodził ojczyźnie. Są równie dobre jak inne. Generał po prostu wziął niewielką premię, skoro trafiła mu się okazja. Dziś tak się załatwia interesy.

Blizna na twarzy Geli pulsowała wściekle.

— Wojsko to służba, a nie biznes.

Skow zachichotał.

— Nigdy nie miałem cię za romantyczkę.

— Wal się.

— W każdym razie, kiedy Peter uznał, że potrzebny mu jest tajny ośrodek badawczy, wezwał twojego ojca. Pieniądze przeszły z rączki do rączki i generał znalazł miłe odosobnione miejsce, gdzie nikt nam nie będzie przeszkadzał.

— A dlaczego ściągnięto mnie?

— Peter szukał na twoje miejsce osoby o odpowiednich kwalifikacjach. Twój ojciec polecił mu ciebie.

Geli znów zaczęła się przechadzać, krew pulsowała jej w uszach.

— On wie o wszystkim, prawda? O tym, że Godin umiera, że projekt idzie na straty?

- Tak. I jest z nami. On też musi ratować swoją karierę.
- Pieprzę go. Pana też.
- Zadzwoń do niego, Geli.
- Czy ten tajny ośrodek Świętej Trójcy mieści się w Forcie Huachuca?
- Nie.

Nie wierzyła mu. Na terenie odległej bazy w Arizonie znajdowały się tysiące pustych akrów, przeznaczonych do testowania broni. Z drugiej strony, jej ojciec był ekspertem w pilnowaniu własnego tyłka. Gdyby Święta Trójca znalazła się w niebezpieczeństwie, chciałby mieć możliwość wyparcia się swojego udziału, więc mało prawdopodobne, by umieścił ten zakład na terenie własnej bazy.

Założyła słuchawki z mikrofonem, nacisnęła klawisz komputera i powiedziała:

— General-major Horst Bauer. Fort Huachuca, Arizona.

Skow wydał głośne westchnienie ulgi.

Telefon odebrał adiutant generała.

— Z generałem Bauerem! — warknęła Geli.

— General jest nieosiągalny. Można wiedzieć, kto dzwoni?

— Jego córka, kapitanie. Niech mu pan to przekaże.

— Proszę poczekać.

Skow obserwował ten spektakl z wyraźną przyjemnością. Geli odwróciła się w fotelu, by nie musieć patrzeć na jego podstarzałą twarz absolwenta ekskluzywnego uniwersytetu.

Kiedy czekała, przed oczami stanął jej obraz ojca. Horst Bauer był wysoki, imponujący, w niemieckim typie; jego przeciwnicy opisywali go jako blond wersję generała Jamesa Mattoona Scotta, granego przez Burta Lancastera w *Siedmiu dniach w maju*. Było to niezłe porównanie. A jednak sztywny służbista, za jakiego uchodził, nie był tym samym człowiekiem, którego znała Geli. Ona widziała w nim kobieciarza, który nieustannie zdradzał żonę i zostawił za granicą kilkoro nieślubnych dzieci. Widziała brutala, który — kiedy „postrzelona” córka postawiła go w kłopotliwej sytuacji — bił ją bezlitośnie wszystkim, co mu się nawinęło pod rękę. Ironia jej życia polegała na tym, że poszła w ślady człowieka, którego nienawidziła. Powód był prosty. Nienawidziła ojca za to, że tak bardzo się go bała, lecz jeszcze

bardziej gardziła pasywnością swojej matki.

— O, Geli — rozległ się głęboki głos, od którego napięły się wszystkie mięśnie jej ciała. — Widocznie masz kłopoty. Inaczej byś nie dzwoniła.

Miała ochotę trzasnąć słuchawką, ale potrzebowała odpowiedzi.

— Co wiesz o pewnym projekcie związanym ze sztuczną inteligencją?

— I to by było na tyle uprzejmości. Twoje pytanie jest dosyć niejasne.

— Chcesz konkretów? Jestem szefową ochrony Projektu Święta Trójca w Karolinie Północnej. Dowiedziałam się, że istnieje tajny ośrodek, w którym prowadzone są badania na rzecz tego projektu. Co wiesz na ten temat?

Chwila ciszy.

— Może i coś wiem.

— A nigdy mi o tym nie mówiłeś, bo...?

Usłyszała suchy śmiech.

— Nie wiedziałem, że zaczęliśmy terapię rodzinną.

— To ty poleciłeś mnie Godinowi do tej roboty?

— A jak, twoim zdaniem, by cię znalazł? Wracając do mojego udziału, Godin starannie rozdziela informacje. Nie możesz się o to złościć. Od czasów dorastania nie powiedziałaś mi nic na temat swojego życia. To, czego się dowiedziałem, wiem z plotek, od lekarzy albo policji.

Niektóre bitwy nigdy się nie kończą, pomyślała Geli.

— Nie ma sensu wracać do przeszłości. Wiem to, co chciałam wiedzieć.

— I rozumiesz sytuację? Co teraz należy zrobić?

— Dano mi to do zrozumienia.

— Skowowi brakuje jaj, za to ma talent do usuwania szkód.

— Wyłączam się — powiedziała, ale została na linii.

— Proszę bardzo — odparł generał. — Mam wrażenie, że wkrótce się spotkamy.

Zerwała słuchawki z głowy i przeszła Skowa wściekłym spojrzeniem.

— No i co? — zapytał człowiek z NSA. — Jesteśmy po tej samej stronie?

— Niech pan wyjdzie.
— Nie odpowiedziałaś na pytanie.
— A mam wybór? Ale rzygać mi się chce na myśl, że trzeba będzie pogryźć kogoś takiego jak Peter Godin, żeby takie gnidy jak pan i mój ojciec utrzymały się na powierzchni. Pan nie dorasta Godinowi do pięt.

Nareszcie Skow się zarumienił.

— Zgadzasz się co do Tennanta i Weiss? Sprowadzimy ich żywych? Wyjaśnimy, że to była jedna wielka pomyłka?

— Godin jeszcze nie umarł.

— To prawda.

— A my nie mamy pojęcia, gdzie oni są. Nie możemy się z nimi skontaktować, chyba że zwrócimy się do telewizji i poinformujemy cały świat.

— Też prawda.

— Wciąż nie jestem pewna, czy chcę, żeby Tennant był na wolności i opowiadał wszystkim, co się tu, jego zdaniem, działo. On zna bardzo potężnych ludzi.

Skow w zamyśleniu pokiwał głową.

— Coś ci powiem. Zostawię Tennanta i Weiss tobie. Jeśli będą musieli umrzeć, to trudno.

— Ma pan cholerną rację, że zostawia ich pan mnie.

Skow wstał i ruszył do drzwi.

— Jeszcze jakieś pytania?

— Tylko jedno. Dlaczego Fielding sabotował projekt?

— Moim zdaniem nie wierzył, że to pójdzie tak szybko. Myślał, że zanim uruchomimy Świętą Trójkę, będziemy musieli zdobyć niezbędną wiedzę na temat funkcjonowania mózgu.

— I zdobyliście? Tę wiedzę?

— Żartujesz? Jeżeli Święta Trójca zacznie działać w stu procentach, nie będziemy mieli pojęcia, na jakiej zasadzie.

Rozdział 25

Wybraliśmy tani motel w Arlington, taki, w którym portier bez mrugnięcia okiem przyjmował gotówkę, skoro klient tak sobie życzył. Od Waszyngtonu dzielił nas tylko Potomac. Jeden pokój, dwa podwójne łóżka, telewizor i telefon. Kiedy weszliśmy, Rachel natychmiast zrzuciła kombinezon i poszła pod prysznic. Patrzyłem na nią, póki nie zamknęła drzwi łazienki. Po tygodniach oglądania jej tylko w spodniczkach i bluzkach, nieformalny strój z poprzedniego dnia mnie zaskoczył. Patrząc, jak bez cienia wstydu oddala się ode mnie w samej bieliźnie, zacząłem postrzegać ją inaczej. Miała sprężyste, dobrze umięśnione ciało, co zawdzięczała niewątpliwie katorżniczym ćwiczeniom. Nie pasowało mi to do niej jako do wykładowczyny medycyny na uczelni, może jednak współgrało z jej skłonnościami obsesyjno-kompulsywnymi.

Zabrałem z samochodu nasze miejskie ubrania, kupiłem „Washington Post” i dwie butelki dasani z automatu na parkingu i wróciłem do pokoju. Spod drzwi łazienki buchały kłęby pary. Przebrałem się w normalne ubranie, oparłem o wezłowie łóżka i włączyłem CNN. Nic nie wspominali o żadnych zbiegach, więc zacząłem przeglądać wiadomości w gazecie.

W trakcie ośmiogodzinnej jazdy z Tennessee rozpoczęliśmy przygotowania do naszego wyjazdu do Izraela. Pierwszym krokiem było załatwienie fałszywych paszportów. Zjechaliśmy na parking ciężarówek pod Roanoke, skąd Rachel wykonała pierwszy telefon. Jej była pacjentka z Nowego Jorku podała kontakt do kogoś w stolicy i powiedziała, żeby nie dzwonić tam wcześniej niż za godzinę. Przez ten

czas ktoś miał polecić Rachel osobie pod podanym numerem telefonu.

Po raz drugi Rachel zadzwoniła z Lexington, w Wirginii. Poinstruowano ją, by jutro o jedenastej rano przysłała do kawiarni Au Bon Pain na waszyngtońskiej Union Station. Powiedziano jej także, żeby wybrała imiona i nazwiska oraz daty urodzin, a także wykonała fotografie paszportowe dla zainteresowanych „przyjaciół”. Zdjęcia i karteczki z nazwiskami oraz opisem „przyjaciół” miała dostarczyć osobie na spotkaniu w Au Bon Pain. Na pytanie, jak długo potrwa załatwienie tego, czego potrzebuje, usłyszała, że zwykle zajmuje to czterdzieści osiem godzin.

Między Lexington i autostradą międzystanową 66 zorientowaliśmy się, że mamy kolejny problem. Karty kredytowe. Kupowanie biletów do Izraela za gotówkę ściągęłoby na nas uwagę, podobnie jak fakt, że nie mamy rezerwacji hotelowej. Przyjaciele albo krewni musieliby nam załatwić rezerwacje na nasze nowe nazwiska, płacąc swoimi legalnymi kartami. Moi rodzice nie żyli, a wszyscy przyjaciele byli pod obserwacją NSA. Tak samo jak rodzice, były mąż i przyjaciele Rachel. W końcu Rachel postanowiła zadzwonić do lekarza, z którym omal się nie zaręczyła, kiedy studiowała na Columbii. Jako Żyd, często wyjeżdżał do Izraela i był jej bezgranicznie oddany. Pomyślałem, że prośba o zarezerwowanie biletów lotniczych i hotelu na nazwiska, o których nie słyszał, wzbudzi jego podejrzenia, jednak Rachel zapewniła mnie, że zrobi wszystko, o co go poprosi. Zanim dojechaliśmy do Waszyngtonu, trzykrotnie próbowała się z nim połączyć, ale bez skutku. Sekretarka automatyczna nie podawała numeru jego komórki, Rachel zaś nie mogła zostawić swojego, żeby oddzwonił.

Drzwi łazienki otworzyły się, w kłębach pary ukazała się Rachel. Jednym ręcznikiem owinęła ciało, drugi zamotała sobie na głowie.

— Zostało jeszcze trochę ciepłej wody. I jeden ręcznik. Powinieneś spróbować. Nareszcie czuję się jak człowiek.

— Najpierw musimy znowu zadzwonić do tego twojego lekarza. Przyniosłem twoje ubranie. Jest strasznie brudne.

Uśmiechnęła się ze znużeniem.

— Dałabym tysiąc dolarów za moją flanelową piżamę.
— Jutro kupimy nowe ubrania. Albo jeszcze dziś wieczorem, jeśli chcesz. Po tym, jak zadzwonimy.

Zgarbiła się.

— Nie moglibyśmy najpierw trochę się przespać?

— Powinniśmy mieć rezerwację hotelu jak najwcześniej przed wyjazdem. Takich rezerwacji dokonuje się przeważnie kilka tygodni wcześniej.

— Chcesz powiedzieć, że mam się ubrać?

Skinąłem głową.

Usiadła na skraju łóżka i zaczęła suszyć włosy.

— Tak sobie pomyślałem... — odezwałem się. — Jeśli to dla ciebie nie problem, powinniśmy podróżować jako małżeństwo.

Podniosła na mnie wzrok.

— Czy wyglądam na taką, która ma z tym problem?

— Świetnie. Poprosimy twojego przyjaciela, żeby załatwił rezerwację dla małżeństwa. Czy powinniśmy wybrać żydowskie nazwiska?

— Nie. W Izraelu nie oszukałbyś nikogo przez sekundę. Ja jestem dobrą Żydówką, która złamała się i wyszła za goja. Wszelkie gadanie zostaw mnie.

Wzięła z łóżka swoją koszulę i wróciła do łazienki. Usłyszałem, jak mokry ręcznik ląduje na prysznicu. Potem wróciła do pokoju w samej koszuli. Jej poły sięgały do połowy ud, ale pod spodem nic nie miała i niewiele pozostawało dla wyobraźni.

— Muszę się położyć — oświadczyła. — Obudź mnie, jak będziesz gotowy do wyjścia.

Spojrzałem na zegarek. 17.45. Pozwolić jej spać to spory błąd, lepiej jednak było poczekać do zmroku. Sam zresztą też nie miałem siły się ruszyć. Od dwóch dni prawie nie spałem i bolały mnie nieużywane od lat mięśnie.

Rachel odrzuciła pościel, wsunęła się pod nią i położyła na brzuchu, z twarzą zwróconą do mnie. Ze zmęczenia ciemne oczy miała zasnutę mgłą, ale na jej wargach błąkał się cień uśmiechu.

— Nie jestem w stanie myśleć — powiedziała. — A ty?

— Ja w ogóle nie wiem, na jakim świecie żyję.

— Wiesz, dlaczego tak naprawdę tu jestem?

— Bo boisz się umrzeć?

— Nie. Bo bardziej się boję, że nie będę żyła, niż że umrę. Czy to ma jakiś sens?

— Jakiś tam ma.

Wsunęła się głębiej pod pościel.

— Nie rozumiesz, Davidzie. Mój syn nie żyje. Moje małżeństwo legło w gruzach. Co jeszcze mam do stracenia?

Rachel zawsze mnie zaskakiwała, teraz jednak mówiła jak w delirium.

— Jestem pewien, że twoi pacjenci...

— Gdybym jutro umarła, moi pacjenci znaleźliby sobie innego psychiatrę. Przesiaduję całymi dniami w gabinecie i słucham ludzi, którzy wpadli w depresję, są wściekli albo mają lęki czy paranoję. Słucham, jak inni opowiadają mi o swoim życiu i próbuję znaleźć w tym jakiś sens. A potem wracam do domu i piszę o nich do gazet. — Uśmiechnęła się dziwnie. — Dziś jednak jest inaczej. Dzisiaj człowiek, którego zdiagnozowałam jako pacjenta z urojeniami, wciągnął mnie w swoje urojenia. Jestem Alicją po drugiej stronie lustra. Jacyś ludzie próbują mnie zabić, a jednak wciąż żyję. A teraz polecę do Izraela z powodu halucynacji. Dlatego że człowiek, którego w gruncie rzeczy szanuję, nagle uznał, że jest Jezusem. To się nie mieści w głowie.

— Powinnaś się przespać.

Pokręciła głową. Ani na chwilę nie spuściła wzroku z mojej twarzy.

— Sen nie zmieni tego, co czuję.

W tym momencie nie byłem pewny, do czego zmierza. Zsunąłem się z wezgłowia łóżka, oparłem głowę na łokciu i spojrzałem na drugie łóżko. Ciemne ramiona Rachel odcinały się na tle białej pościeli, wilgotne włosy opadły jej na oczy.

— O czym tak naprawdę mówisz? — spytałem.

Jej oczy zajrzały w głąb moich tak samo jak czasami u niej w gabinecie, jak gdyby ściany, którymi się otoczyłem po śmierci rodziny, nic dla niej nie znaczyły. Po chwili uśmiechnęła się z satysfakcją.

— Nie mam pojęcia. Może byś poszedł pod prysznic?

Jej spojrzenie mówiło więcej niż słowa. Wstałem i poszedłem do łazienki, zrzucając po drodze brudne ciuchy. Po dwóch dniach

uciekania przed zabójcami gorąca woda działała bardziej odżywczo niż jedzenie. Ręce i kark miałem podrapane przez kolce dzikich róż, ale mięśnie odprężyły mi się pod natryskiem. Myjąc włosy szampodem z maleńkiej hotelowej buteleczki, pomyślałem o ciemnych włosach Rachel, rozrzuconych na poduszce, i zaczęło mi się śpieszyć. Musiała być równie wyczerpana jak ja i trudno byłoby pokonać sen. Wytarłem się w łazience, owinąłem w pasie ręcznikiem i stanąłem między łózkami.

Rachel wciąż leżała na brzuchu, teraz jednak oczy miała zamknięte. Oddychała głęboko, regularnie. Spojrzałem na nią, żałując, że zasnęła, ale nie mogłem mieć jej tego za złe. Zbyt wiele widziała w ciągu ostatnich dwóch dni i zbyt daleko uciekła. Ściągnąłem ręcznik, przysiadłem na skraju łóżka i zacząłem suszyć włosy. Po chwili miałem ochotę tylko paść na łóżko i spać do oporu.

Z drugiego łóżka wysunęło się ku mnie ciemne smukłe ramię. Dłoń Rachel dotknęła mojego kolana, po czym otworzyła się i zaciśnęła w powietrzu, jak gdyby coś łapała. Kiedy wsunąłem rękę w jej dłonie, ze zdumiewającą siłą pociągnęła mnie na swoje łóżko. Położyłem się koło niej i zajrzałem jej głęboko w oczy. Szeroko otwarte, wyglądały jak ciemne baseny.

— Myślałeś, że śpię? — spytała.

— Bo spałaś.

— A więc śnię?

Uśmiechnąłem się.

— Może masz halucynacje?

— Wobec tego mogę zrobić wszystko, na co przyjdzie mi ochota?

— To prawda.

Uniosła głowę i pocałowała mnie. Wargi miała jędrne, pełne krwi. Jej wygłodniałe usta powiedziały mi, że czekała na to od dawna. Rozpiąłem guziki jej koszuli i pociągnąłem ją na siebie. Wybuchnęła śmiechem, gdy jej mokre włosy opadły mi na twarz.

— Myślałeś o tym podczas naszych sesji? — zapytała.

— Nigdy.

— Kłamca!

— No, może raz czy dwa...

Znowu mnie pocałowała. Sposób, w jaki dopasowała swe ciało do mojego, powiedział mi, że nie będzie szamotaniny początkujących kochanków. W jej dotyku wyczuwało się tę samą znajomość rzeczy i pewność siebie co w oczach. Kiedy skupiła na mnie całą uwagę, przypomniałem sobie, że nie ma nic równie ekscytującego jak wygadana kobieta, która wie, kiedy przestać gadać.

Poderwałem się, ogarnięty paniką. Byłem pewny, że jest już za późno na telefon. Pokój oświetlał blask ekranu telewizora. Zegarek obok łóżka wskazywał wpół do dwunastej w nocy. Rachel leżała obok mnie na wznak. Jedna ręka przesłaniała jej twarz, druga spoczywała tuż przy moim boku.

Teraz była dla mnie zupełnie inną kobietą. Po trzech miesiącach zawodowego dystansu oddała mi się bez żadnych zahamowań. Wspomnienia tego, co robiliśmy przed snem, bardziej przypominały halucynacje niż wszelkie wizje, jakie miałem podczas moich narkoleptycznych epizodów. A jednak były realne.

Rachel potrzebowała snu, lecz musiałem ją obudzić. Usiadłem i kilkoma haustami wypilem butelkę dasani, po czym delikatnie potrząsałem Rachel za ramię. Bałem się, że obudzi się przerażona, tak jak w samochodzie, tym razem jednak przeciągnęła się powoli, wysunęła rękę i ścisnęła mnie za nadgarstek.

— Hej! — rzuciłem. — Jak się czujesz?

Otworzyła oczy, ale nie odezwała się. Odetchnęła głęboko, usiadła i przytuliła mnie. Ja także ją przytuliłem, żałując, że nie doszło do tego dużo wcześniej, w innym miejscu.

— Musimy znowu zadzwonić do twojego przyjaciela — powiedziałem.

— Nie mogę zrobić tego stąd?

— Nie. NSA mogła się dowiedzieć, że na studiach byłaś z nim zżyta. Więc jeśli założyli mu podsłuch, mogliby namierzyć nas tutaj w ciągu paru sekund. Jeżeli złapiemy twojego przyjaciela, będziemy obserwowali budkę telefoniczną, z której zadzwonimy, i zobaczymy, czy ktoś się pojawi. W ten sposób dowiemy się, czy linia jest bezpieczna, czy nie.

— Zgoda. — Nachyliła się i pocałowała mnie lekko w usta. —
Miejmy to już za sobą.

Siedem kilometrów na zachód od motelu zobaczyłem na Columbia Pike budkę telefoniczną, która wydawała się dostatecznie odizolowana. Zaparkowałem tak, by móc obserwować drogę, gdy Rachel będzie dzwoniła.

Podeszła do aparatu, trzymając kartę telefoniczną, którą kupiliśmy na stacji koło motelu. Po chwili uśmiechnęła się, uniosła kciuk na znak, że wszystko gra, i zaczęła mówić. Rozmowa trwała długo, ale uznałem, że przebiega pomyślnie, bo zobaczyłem, że czyta nasze fikcyjne nazwiska z hotelowej papeterii. Państwo Stephens. Ja miałem na imię John David, „nazwisko panieńskie” Rachel brzmiało Horowitz, a w paszporcie miała figurować jako Hannah Horowitz Stephens. Kiedy rozmawiała, myślałem o tym, jak bardzo ten lekarz musiał ją kochać, skoro gotów był nam pomóc po piętnastu latach.

Rachel odwiesiła słuchawkę i wróciła do samochodu.

— No i...? — zapytałem.

Zatrasnęła drzwiczki.

— Nie ma problemu. Zarezerwuję nam wszystko. Samolot, hotel, a nawet kilka wycieczek krajoznawczych.

— Odlot z Nowego Jorku? — Nie mogliśmy przebywać w Waszyngtonie ani chwili dłużej niż trzeba, to było zbyt ryzykowne.

— Z lotniska Kennedy'ego.

— Kim jest ten facet?

— Nazywa się Adam Stern. Jest położnikiem na Manhattanie. Ma czwórkę dzieci.

— Kiedyś musiał za tobą przepadać.

Uśmiechnęła się łobuzersko.

— Oni nigdy nie przestają za mną szaleć.

Podjechałem sto metrów dalej, zaparkowałem, ale nie gasiłem silnika. Miałem stąd dobry widok na budkę, z której dzwoniła Rachel.

— Adam mówi, że w tym okresie do Izraela przyjeżdża najwięcej turystów— powiedziała. — Wielkanoc w Jerozolimie to jak Mardi Gras w Nowym Orleanie.

— To dla nas korzystne.
— O ile załapiemy się na samolot. Będzie próbował także poza El Al, ale nie ma gwarancji.

— Każda linia jest dobra. Zdaje się, że jak dotąd nie szukają nas jawnie.

Jeszcze przez pewien czas siedzieliśmy w pomruku silnika, lecz nikt nie podszedł do budki. Wyciągnąłem rękę i ująłem dłoń Rachel.

— Wszystko w porządku?

Przytaknęła, ale nie spojrzała na mnie.

— Już od dawna nie czułam się tak dobrze, jak robiąc to, co zrobiliśmy.

Ucisnąłem jej dłoń, odwróciła się do mnie. Miała mokre oczy. Wtedy zorientowałem się, jak bardzo długo żyła bez kogoś bliskiego. Mniej więcej tak długo jak ja.

— Cieszę się, że tu jesteś — powiedziałem. — I cieszę się, że lecisze ze mną do Izraela. Bez ciebie bym sobie nie poradził.

Cofnęła dłoń i otarła oczy.

Zerknąłem na budkę telefoniczną. W pobliżu nie było nikogo.

— Chyba nikt nas nie szuka. Gotowa na prawdziwy sen?

— Jestem gotowa na cheeseburgera. Dopiero potem na sen.

Następnego dnia o dziewiątej trzydzieści rano przejeżdżaliśmy Memorial Bridge w kierunku Mauzoleum Lincolna. Ostatni raz byłem w Waszyngtonie, kiedy kręciliśmy fragmenty serialu NOVA, opartego na mojej książce. Wołałem nie myśleć o kontraście między tamtą wizytą a naszą obecną sytuacją.

Na południowy wschód od Kapitolu Hill znaleźliśmy zakład fotograficzny Kinko i dwadzieścia minut później mieliśmy zdjęcia paszportowe, które polecono nam zostawić w kawiarni Au Bon Pain na Union Station. Kiedy jechałem w kierunku dworca, ruch pieszych wzmógł się i zacząłem się denerwować. Waszyngton jest na szczycie listy celów ataków terrorystycznych, więc wokół wszelkich ważniejszych budynków publicznych niewątpliwie rozmieszczono kamery. Mogły być niewidoczne, ale były tam na pewno. NSA zaś miała możliwość natychmiastowego podglądu nagrań z tych kamer. Trzymałem

się daleko od promenady i zostawiłem samochód na parkingu po wschodniej stronie dworca.

Kiedy podeszliśmy do masywnego gmachu z białego granitu, szybko ruszyliśmy do głównego wejścia. Przez cały czas Rachel szła ze mną ramię w ramię, wymachując torebką z zakładu Kinko. Nie wiedziała, że na plecach za paskiem pod wypuszczoną ze spodni koszulą trzymam rewolwer. Gdyby w wejściu na dworzec zainstalowano wykrywacze metalu, musiałbym wrócić do naszej półciężarówki. Przed wejściem tłoczyły się dziesiątki ludzi, lecz po chwili obserwacji wchodzących, odetchnąłem z ulgą. Przesuwali się tak szybko, że na pewno nie przechodzili poważnej kontroli.

Za drzwiami dołączyliśmy do tłumów przechodzących przez odnowiony dworzec kolejowy w stylu beaux arts. Minęliśmy restaurację na podwyższeniu w samym środku sali i przeszliśmy dalej, w głąb wielkiego jak jaskinia głównego holu, prowadzącego na wielopoziomową promenadę, gdzie grupy turystów, podróżni i kupujący przepychali się na chodnikach i krętych schodach, podziwiając rzeźby i oglądając wystawy sklepowe. Dudnienie pod stopami wskazywało, że w pobliżu przejeżdżają pociągi, a jednak otoczenie przypominało muzeum.

— Jest Au Bon Pain — powiedziała Rachel, ciągnąc mnie w lewo.

Ten koniec promenady zamykała olbrzymia księgarnia B. Dalton, po prawej była Au Bon Pain. Ludzie wchodzili i wychodzili z niej szybko — nasz kontakt wybrał dobre miejsce.

Rachel weszła przez szerokie drzwi i ustawiła się w kolejce do dzbanów z kawą stojących na marmurowym blacie. Dołączyłem do niej, od niechcienia lustrując wzrokiem stoliki po prawej. Polecono jej wypatrywać kobiety trzymającej książkę *Druga pleć* Simone de Beauvoir. Sądziłem, że odgadnę, która z kobiet będzie miała tę książkę, tylko po samym wyglądzie.

Przy stoliku w samej głębi ujrzałem rudowłosą kobietę pod pięćdziesiątkę, bez makijażu, z zaciśniętymi ustami. Siedziała ze wzrokiem wbitym w stół, jakby się bała, że ktoś nieznamy może ją zaczepić. Gotów byłem postawić sto dolarów, że to właśnie jest nasza łączniczka, kiedy Rachel pociągnęła mnie za ramię i wskazała Murzynkę koło czterdziestki, stojącą przy stojakach z ciasteczkami i

czytającą *Drugą pleć*. Rachel opuściła kolejkę i podeszła do niej.

— Od lat nie widziałam tej książki! — odezwała się. — Ostatnio na studiach. Czy wciąż jest aktualna?

Kobieta podniosła wzrok i uśmiechnęła się. Oczy miała bystre, przyjazne.

— Jest nieco przestarzała, ale z historycznego punktu widzenia bardzo cenna. — Wyciągnęła brązową upierścienioną dłoń. — Jestem Mary Venable.

— Hannah Stephens — odparła Rachel. — Miło mi panią poznać.

Zdumiałem się, jak łatwo weszła w rolę. Być może psychiatrzy to urodzeni kłamcy. Podchodząc do nich, usłyszałem, jak Mary Venable mówi cicho:

— To zaszczyt panią poznać, pani doktor. Tak wielu kobietom pani pomogła.

— Dziękuję — odparła Rachel, po czym dorzuciła o wiele głośniej:

— Nie rozumiem, jak Simone mogła być kochanką Sartre'a. On wyglądał jak żaba! I nie chodzi mi o to, że był Żabojadem. On naprawdę tak wyglądał!

Mary Venable wybuchnęła tak naturalnym śmiechem, że prawie przegapiłem, jak bierze od Rachel torebkę z firmy Kinko i wrzucają do afrykańskiej torby z plecionki, leżącej u jej stóp.

— Jeżeli skończę czytać ją dzisiaj, pożyczę ją pani jutro — obiecała Venable. — Będę tu mniej więcej o tej samej porze.

— A więc być może się spotkamy — odparła Rachel.

Mary Venable nachyliła się i rzekła:

— Niech pani powie swojemu facetowi, żeby lepiej chował gnata.

Z uczuciem ucisnęła rękę oszołomionej Rachel, podniosła torbę i odeszła. Kiedy mnie mijala, nasze spojrzenia spotkały się na chwilę, lecz nawet w tym mgnieniu oka dostrzegłem wyraźny przekaz: Uwważ pan na tę kobietę, bo jak nie...

Podszedłem do Rachel, która spojrzała na mnie dziwnie.

— Czy ona miała na myśli jakąś część anatomii? — spytała.

— Wyjaśnię ci później. — Wziąłem ją pod rękę i wyprowadziłem z kawiarni.

— Nie wiedziałam, że tu jest promenada — odezwała się. — Możemy kupić jakieś ubrania?

— Nie tutaj. Nie widzę tu takiego sklepu, o jaki nam chodzi, potrzebujemy supermarketu, w którym dostaniemy wszystko.

— Może jest na wyższym poziomie?

— Nie tutaj — powtórzyłem z uporem.

Kiedy prowadziłem ją go głównego wyjścia, minął nas gliniarz z policji miejskiej. Serce podeszło mi do gardła. Byłem pewien, że kiedy się mijaliśmy, był zaskoczony. Chciałem odwrócić się i sprawdzić, ale zabrakło mi odwagi.

— Co się stało? — spytała Rachel, wyczuwając moje napięcie.

— Myślę, że nas szukają.

— Oczywiście, że tak.

— Chodzi mi o to, że oficjalnie. Zdaje się, że ten gliniarz mnie rozpoznał.

Zaczęła się odwracać, lecz pokręciłem głową tak energicznie, że się powstrzymała.

— Chcesz powiedzieć, że teraz to już nie tylko NSA?

— Niestety. Trzymaj się mnie i w każdej chwili bądź gotowa do ucieczki.

Mijaliśmy drzewo wyrastające z wielkiego kwietnika na środku podłogi. Wciągnąłem za nie Rachel i wyrząłem. Gliniarz szedł w ślad za nami i wyciągał szyję, starając się dojrzeć coś za drzewem. Poza tym mówił do mikrofonu w kołnierzu.

— Chodź — powiedziałem. — Jesteśmy spaleni.

Rozdział 26

Złapałem Rachel za rękę i ruszyłem dwa razy szybciej niż poprzednio. Nie skierowałem się ku głównemu wejściu, lecz — dla osłony mieszając się z tłumem — skręciłem na schody prowadzące na wyższy poziom.

— Na górę? — spytała Rachel, wskazując na schody.

— Nie. — Moim celem były pociągi. Ruszyłem ku kasom biletowym po lewej, lecz zatrzymał mnie dobiegający z megafonu kobiecy głos:

„Prosimy o uwagę wszystkich podróżnych. Uwaga! Wszystkie przyjeżdżające i odjeżdżające pociągi zostają zatrzymane z przyczyn technicznych. Prosimy o pozostanie na peronach. Następny komunikat prześlemy natychmiast po uzyskaniu dalszych informacji. Dziękujemy za cierpliwość”.

Adalina zaczęła krążyć w moich żyłach. Z głośnika popłynęła powtórka komunikatu po hiszpańsku.

— Z powrotem na schody — rzuciłem, zawracając.

— Na górę czy na dół?

— Na górę!

Przeskakiwaliśmy po dwa stopnie naraz. Na następnym piętrze wychyliłem się przez balustradę i dostrzegłem gliniarza, który nas przedtem zauważył. Wciąż stał na głównym piętrze, nie mogąc się zorientować, w którą stronę poszliśmy. Spojrzał w górę, osłaniając oczy przed światłami, i ruszył ku schodom.

— Dlaczego zatrzymali pociągi? — spytała Rachel.

— Chodzi o nas.

— Wstrzymali cały ruch na Union Station tylko po to, żeby nas znaleźć?

Z głośnika popłynął kolejny komunikat:

„Prosimy o uwagę! Policja prosi wszystkich kupujących oraz podróżnych o spokojne udanie się do wyjść. Przepraszamy za kłopot. Nikomu ani niczemu nic nie grozi. Można zapłacić za zakupy, ale prosimy o jak najszybsze przejście do wyjść. Dziękuję”.

Widziałem, ile trudu kosztuje Rachel zachowanie spokoju.

— Nie uda nam się stąd wydostać, prawda? — spytała.

Znow wyjrzałem przez balustradę. Gliniarz nie mógł się zdecydować, czy ruszyć w górę, czy w dół.

— Musieli uruchomić jakiś alarm antyterrorystyczny. To jedyny sposób, żeby ewakuować dworzec. Na zewnątrz budynek otacza pewnie ze stu gliniarzy.

Rozejrzała się po półpiętrze. Gromady ludzi śpieszyły w naszą stronę. Odsunęliśmy się od schodów, żeby mogli przejść.

Gliniarz poniżej podszedł do kas i znow powiedział coś do mikrofonu w kołnierzu.

— Mamy do wyboru dwa wyjścia. Pierwsze to zmienić wygląd i próbować wydostać się z tłumem.

— Zmienić wygląd? Jak?

— Na przykład wejść do sklepu i kupić sobie czarne ubrania. Skombinować nożyczki i ściąć ci włosy. Ja mogę swoje postawić na żel. Żebyśmy wyglądali o dziesięć lat młodziej.

Nie spodobało jej się to.

— Nakryliby nas na lotnisku. Nie pasowalibyśmy do zdjęć w paszportach.

— Masz rację. Wobec tego wybierzemy prostsze wyjście. Wejdziemy na zaplecze sklepu, znajdziemy jakieś duże kartony i posiedzimy w nich, dopóki wszystko nie ucichnie.

— Prostota ma swoje zalety.

— Tylko że policja może sprowadzić psy.

— O Boże!

— Chodź. — Nagle wiedziałem już, co robić.

Zbiegłem krętymi schodami, wypatrując policyjnych mundurów. Po drodze na górę zauważyłem reklamę kina, które, sądząc z konstrukcji dworca, znajdowało się na dolnym poziomie. Schody kończyły się w części zajętej przez barki i restauracje. Ludzie w pośpiechu

kończyli jeść, na ich twarzach malował się niepokój. Za mieszaniną pomarańczowych i żółtych krzesel ujrzałem wychodzących z kina widzów.

— Dokąd idziemy? — spytała Rachel.

— Do kina.

— Przecież je ewakuują.

Kiedy zbliżyliśmy się do wejścia do kina, trzy metry przed nami otworzył się fragment ściany i wystraszona para młodych ludzi wyszła na zewnątrz, mrużąc oczy przed światłem. Zanim drzwi zdążyły się zamknąć, podskoczyłem i zablokowałem je nogą.

Światła w sali kinowej były zapalone, ale siedzenia puste. Na wznoszącej się podłodze po mojej lewej jakiś człowiek w sportowej kurtce popędzał ostatnich widzów idących centralnym przejściem w stronę głównego wyjścia. Po mojej prawej dwuipółmetrowy Hugh Grant szedł przygnębiony londyńską ulicą, z rękami w kieszeniach.

Rachel oparła się o moje plecy.

— Co tam jest? — zapytała.

Uchyliłem drzwi na tyle, żebyśmy mogli wśliznąć się do środka, po czym uniosłem dół ciężkiej czerwonej zasłony biegnącej wzdłuż ściany, i schowaliśmy się za nią. Rozpłaszczyliśmy się przy ścianie i odsunęliśmy od siebie, żeby naturalnie wpasować się w fałdy materiału. Straciłem Rachel z widoku, ze zdziwieniem stwierdziłem jednak, że wciąż trzymamy się za ręce. Kierował nami ten sam prymitywny instynkt, co u pary neandertalczyków, pocieszających się nawzajem pod ścianą jaskini.

— Dlaczego tutaj? — szepnęła. — Dlaczego nie na zapleczu sklepu?

Oczami wyobraźni widziałem policjantów gromadzących się wokół naszej kradzionej półciężarówki.

— Psy — szepnęła ze zrozumieniem. — Przed chwilą ta sala była pełna spoconych ludzi. Różne zapachy. Nie tak jak w magazynie sklepowym.

— O to chodzi — przyznałem. Ścieżka dźwiękowa filmu skończyła się nagle z jękiem. Spodziewałem się usłyszeć jakieś głosy, ale nic z tego. Minęło piętnaście minut. Dwadzieścia. Rachel trzymała moją spoconą dłoń. Kiedy ocierałem pot z czoła, zza zasłony doleciał męski głos:

— Mam środkowe przejście!

Dłoń Rachel zacisnęła się na mojej.

W sali projekcyjnej rozległ się pogłos rozmów policjantów przez radio.

— W porządku! — odrzyknął drugi mężczyzna. — Poświecę pod krzesłami.

Ci dwaj mnie nie martwili, za to kiedy usłyszałem szybkie ziajanie, omal nie stanęło mi serce. Wkrótce mogłem stanąć przed wyborem — poddać się czy zacząć strzelaninę z policją miejską.

— Ona coś zwietryła! — krzyknął pierwszy z nich. — Patrz, jest na tropie. Szukaj!

Wstrzymałem oddech.

— Psiakrew! Znalazła połówkę hot-doga!

— Poczekaj, szuka czegoś jeszcze.

Głosy zbliżały się. Ręka Rachel drżała. Jak zareaguje, jeśli zaczną strzelać? Tu nie chodziło o zabójców nasłanych przez Geli Bauer. Prawdopodobnie byli to gliniarze z policji miejskiej, wykonujący swe obowiązki.

— Krąży w kółko — odezwał się drugi głos. — Za dużo zapachów. Sam czuję tu jakiś smród. Musimy wrócić później.

— Nie ma sprawy. Zwłaszcza że i tak potrzebują psa na torach.

Głosy oddaliły się.

— Co teraz? — szepnęła Rachel.

— Zaczekamy.

— Jak długo?

— Nie mogę zamknąć dworca na cały dzień.

— Myślisz, że wrócą jeszcze z tym psem?

— Nie wiem.

— Chyba zsikałam się w majtki.

— Nie przejmuj się.

— A jeśli pies to wyczuje?

Miała rację.

— Po prostu zachowaj spokój.

Godzinę i czterdzieści pięć minut później z megafonu rozległ się męski głos:

„Doktorze Tennant, tu oficer Wilton Howard z policji miejskiej. Chcemy, żeby pan wiedział, że doszło do straszliwej pomyłki. Zdajemy sobie sprawę, że w Karolinie Północnej strzelał pan w samoobronie, i jesteśmy gotowi zapewnić panu ochronę i możliwość skontaktowania się z kim tylko pan sobie zażyczy. Proszę wyjść z ukrycia razem z doktor Weiss, odłożyć broń i poddać się dowolnemu policjantowi. Nie będzie pan traktowany jak przestępca”.

— Co o tym myślisz? — spytała Rachel.

— W tej wiadomości słyszę Geli Bauer.

— Może to jednak prawda. Przecież wszyscy gliniarze w budynku też to słyszeli.

— Jeżeli im powiedziano, że jestem terrorystą czy kimś w tym rodzaju, to myślą, że każdy sposób jest dobry, żeby mnie wywabić. Poza tym sądzą, że jestem uzbrojony.

— A nie jesteś?

Już miałem skłamać, ale należała jej się prawda.

— Jestem.

— O Boże!

Znów zabrzmiał komunikat policji.

— Davidzie...

Wyciągnąłem rękę i uściśnąłem jej dłoń.

— Bądź cicho.

Minęła kolejna godzina, podczas której z megafonów płynęły następne komunikaty. Powodowany instynktem, kazałem Rachel położyć się płasko na podłodze pod samą ścianą. Sam zrobiłem to samo.

Pies już nie wrócił, za to zjawili się więcej gliniarzy. Brzmiało to tak, jakby przechodzili między wszystkimi rzędami foteli. Co pewien czas czułem, jak ciężka zasłona porusza się, gdy jeden z nich za nią zaglądał. Kiedy kroki się zbliżyły, wyciągnąłem rewolwer zza paska, modląc się, żeby Rachel nie spanikowała. Ciężkie kroki zbliżyły się do mnie i materiał unióś się znad mojej twarzy.

Kilka centymetrów od moich oczu stała para czarnych butów. Wstrzymałem oddech, nie wiedząc, czy zostałem odkryty, czy nie. Zasłona zatańczyła mi na prawym policzku. Po chwili opadła, a buty odeszły. Gliniarz tylko postukał kilka razy w ścianę za zasłoną.

Miałem wrażenie, że moje serce zmieniło się w kamień.

Buty znów się zbliżyły. Policjant sprawdził zasłonę tak jak poprzednio, tylko jeden rząd krzeseł dalej. Próbowalem nie słuchać odgłosu jego kroków. Po chwili, która zdawała się wiecznością, uświadomiłem sobie, że policjant poszedł dalej. Poszukiwania trwały jeszcze przez pięć minut, po czym rozmowy przez radio umilkły. Pomyślałem, że Rachel pewnie jest bliska załamania, ale nie ryzykowałem i nie odezwałem się do niej. Minęło dwadzieścia minut, bez dalszych komunikatów przez megafony, aż wreszcie usłyszałem mechaniczny syk i trzaski — poznałem, że to przewijanie filmu.

— Czy to projektor? — szepnęła Rachel.

— Ktoś przewija film. Otwierają dworzec. Powinniśmy się zbierać.

— A nie lepiej poczekać do nocy?

— Nie. W nocy wyjścia będą obstawione przez ochroniarzy. Teraz możemy liczyć na zamieszanie spowodowane ponownym otwarciem dworca. Lepsza okazja nam się nie trafi.

Wstaliśmy i przeszliśmy wzdłuż ściany do wyjścia. Wyteńczyłem słuch, ale niczego nie usłyszałem, więc minimalnie uchyliłem drzwi. Zobaczyłem dwie kobiety w normalnych ubraniach. Pomyślałem, że może to jednak policjantki, lecz z głośników zapowiedziano odjazd opóźnionego pociągu. Gdyby terminal był pusty, komunikat byłby niepotrzebny. Wyciągnąłem Rachel za drzwi.

Windy i schody zapełniały się ludźmi, a z poziomu restauracji i barów dolatywał brzęk naczyń. Weszliśmy na ruchome schody i pojechaliliśmy w górę.

— Kiedy będziemy na głównym poziomie, trzymaj się kilka metrów za mną — powiedziałem. — Jeśli ktoś mnie zauważy, wmieszaj się w tłum i znikaj.

Ruchome schody kończyły się obok wejścia do księgarni B. Dalton. Pocałowałem Rachel w policzek i ruszyłem przed siebie, wypatrując w tłumie mundurowych.

Wściekli podróżni przelewali się przez dworzec niczym woda przez tamę. Większość kierowała się do pociągów. Nie mogłbym sobie wymarzyć lepszej osłony. Zerknąłem za siebie, upewniając się, że Rachel idzie za mną, i chciałem skrócić w prawo, do głównego wyjścia. Gdyby policja przepuszczała podróżnych przez pojedynczą

bramkę, zawróciłbym i poszukał innej drogi ucieczki. Jeśli nie, to liczyłbym na to, że w anonimowym tłumie uda nam się prześliznąć.

Skrzyłem w prawo i ruszyłem w stronę pomieszczenia z beczkowym sklepieniem, które prowadziło do głównego wejścia. Trudno było poruszać się w rzece ludzi, ale cieszyłem się z obecności każdego z nich. Zamykając dworzec na trzy godziny, policja sama wpuściła się w sytuację bez wyjścia.

Przedemną znajdowała się okrągła restauracja, którą zauważyłem, wchodząc na dworzec. Piętrowa, z kawiarnią na otwartym powietrzu, wyglądała jak samotna wyspa. Na piętrze stały stoliki, a balustrada z kutego żelaza pozwalała szefom obserwować ciągnący poniżej korowód. Zapewniała także znakomity widok każdemu, kto chciałby obserwować olbrzymią halę. Zacząłem obchodzić ją z lewej strony, ze zwieszoną głową.

— Doktorze Tennant! — krzyknął kobiecy głos.

Geli Bauer patrzyła na mnie z kawiarni na piętrze. Trudno było nie zauważyć jej twarzy z blizną i elektryzująco niebieskich oczu. Jej obecność była jak nieuchronne przeznaczenie. Trzy godziny, podczas których chowaliśmy się w kinie, dało jej czas na przelot z Karoliny Północnej do Waszyngtonu. Policja znów otworzyła dworzec, a jednak Geli czekała z nadzieją, że nas zauważy. Kiedy okręciłem się na pięcie, żeby sprawdzić, czy Rachel dostrzegła niebezpieczeństwo, uświadomiłem sobie, że popełniłem błąd. Geli zauważyła ją natychmiast i podniosła do ust krótkofalówkę.

— Uciekaj! — krzyknąłem do Rachel.

Geli opuściła krótkofalówkę, wyszarpnęła pistolet i wycelowała we mnie.

Jakaś kobieta obok niej zaczęła wrzeszczeć. Podczas gdy inni przyłączali się do ogólnej paniki, Geli wskoczyła na schody prowadzące na główny poziom. Wsunąłem rękę za plecy, sięgając po rewolwer.

— Nie rób tego! — krzyknęła Geli, zbiegając szybko po schodach.

— Nie będę strzelała! To Godin kazał cię zabić! Postradał zmysły!

Zatrzymała się w trzech czwartych schodów, trzymając pistolet oburącz, w postawie strzeleckiej.

— Jeżeli to prawda, odłóż broń!

Nie odłożyła.

Dlaczego mnie nie zastrzeliła?, zastanawiałem się. Nagle zrozumiałem. Rachel była dostatecznie daleko, by uciec w przerażonym tłumie, gdyby doszło do strzelaniny.

— Niech pan opuści broń, doktorze! — krzyknęła Geli, schodząc po schodach. — Niech pan rzuci broń i położy się na podłodze. Nie będę strzelała!

Z miejsca, gdzie stała, nie mogła chybić. Odłożyłem broń na lśniąca podłogę. W oczach Geli pojawił się błysk satysfakcji.

Tłum zareagował niczym kolonia mrówek, w centrum której dostrzeżono niebezpieczeństwo. Fale paniki rozszerzały się wśród przejętych podróżnych, powodując, że ludzie rzucili się do wyjść z siłą cyklonu. Stacjonująca tam policja będzie musiała walczyć o każdy krok.

— Doktor Weiss, proszę tu podejść! — krzyknęła Geli.

— Davidzie? — zawołała Rachel niepewnie.

Do lufy pistoletu Geli przykręcony był tłumik.

— Uciekaj! — wrzasnąłem. — Zjeżdżaj stąd!

Geli przesunęła broń i wycelowała w Rachel. Rzuciłem się po schodach i zacisnąłem ręce na nadgarstkach Geli, kiedy kula świsnęła mi koło głowy. Furia na jej twarzy powiedziała mi, że nie trafiła Rachel.

Geli wbiła mi kolano w brzuch, pozbawiając mnie tchu. Szarpałem jej ręce jak człowiek próbujący złamać zielone gałązki. Odskoczyła do tyłu i odwróciła się gwałtownie — w rezultacie runąłem na schody, ona zaś usiadła na mnie okrakiem. Szamotałem się, by odwrócić jej pistolet ode mnie, ale ona miała lepszą dźwignię i przewaga była po jej stronie. Tłumik zbliżał się do mojej twarzy. Blizna Geli zbieleła, gdy jej policzki z wysiłku nabiegły krwią.

— Rzućcie broń! — krzyknął kobiecy głos. — Oboje! Rzućcie broń i wstawajcie!

Rachel stała trzy metry od nas, ściskając oburącz mój rewolwer. Jej oczy były szeroko otwarte ze strachu.

— Rzuć broń! — wrzasnęła Geli. — Uniemożliwiasz funkcjonariuszowi federalnemu wypełnianie obowiązków!

— Zastrzel ją! — krzyknąłem, próbując odebrać Geli pistolet. — To ona zabiła Fieldinga! Strzelaj!

Geli wbiła mi łokieć w spłot słoneczny i tłumik dźgnął mnie w policzek. Huk wystrzału poraził moje bębniaki i coś mokrego zalało mi twarz. W pierwszej chwili moje pole widzenia wypełniły pałające oczy Geli, lecz po chwili przód jej koszuli zalała rzeka krwi.

Złapałem jej broń i stoczyłem ją z siebie.

Rachel wciąż celowała z dymiącego rewolweru, trzęsła się jak w febrze. Geli dostała postrzał w kark, a jednak zdołała zatkać palcem ranę, by powstrzymać krwawienie. Nigdy w życiu nie widziałem w niczyich oczach takiej furii. Chwyciłem Rachel za rękę i pobiegliśmy do głównego holu. Kiedy skręcaliśmy za róg, w wysokiej na trzydzieści metrów sali rozbrzmiał echem głos Geli:

— Ty już nie żyjesz, Tennant! Jesteś już, kurwa, trupem!

Puściłem się biegiem w kierunku księgarni B. Dalton na końcu promenady. Paczki z książkami były pokaźne i ciężkie. A zatem musiała tam prowadzić rampa.

Klienci sklepu pośpiesznie ustępowali nam z drogi, gdy popychałem Rachel w kierunku magazynu na tyłach sklepu. Na podłodze walały się pudła i, ma się rozumieć, była tam rampa dostawcza z automatycznymi drzwiami. Stuknąłem w czerwony guzik na ścianie i drzwi zaczęły się unosić.

Pomieszczenie zalało światło słoneczne. Opuściłem Rachel na betonową rampę i zeskoczyłem w ślad za nią. Na skraju pomostu stała furgonetka dostawcza, przy szoferce rozmawiali dwaj mężczyźni. Biegając ku nim, obok furgonetki zobaczyłem białą toyotę corolle. Drzwiczki od strony kierowcy były otwarte, ale w środku nie było nikogo.

Wycelowałem rewolwer w stronę obu mężczyzn, po czym wskazałem toyotę.

— Potrzebny mi ten wóz!

Kierowca furgonetki podniósł ręce, a drugi spojrzął na toyotę.

— To mój samochód.

— Dawaj kluczyki!

Facet stał jak słup soli.

— Daj mu te cholerne kluczyki! — warknął kierowca furgonetki.

— Są w stacyjce.

Pociągnąłem Rachel na drugą stronę samochodu, wepchnąłem ją do środka, po czym wskoczyłem za kierownicę i zapaliłem silnik.

Właściciel toyoty coś krzyknął, lecz jego słowa utonęły w ryku silnika, gdy ruszyłem pełnym gazem. Drzwiczki po mojej stronie zatrzęsły się same. Z największym wysiłkiem woli zmusiłem się, by zwolnić. Żeby wydostać się z okolic dworca, musiałem jechać z przepisową prędkością, a potem porzucić samochód, by zniknąć z miasta.

— Słyszysz? — zapytała Rachel.

W kierunku Union Station zewsząd nadciągały wyjące syreny.

Rozdział 27

Stałem obok Rachel na zajmowanym przez restaurację terenie lotniska Kennedy'ego w Nowym Jorku, wypatrując uważnie oznak jej załamania. Miała na sobie niebieską sukienkę — część garderoby kupionej w New Jersey — która jednak w najmniejszym stopniu nie maskowała jej bladej cery i zapadniętych oczu. Postrzelenie Geli Bauer wstrząsnęło nią do głębi i chociaż w wiadomościach podawano, że „funkcjonariuszka federalna”, do której strzelano na Union Station, przeżyła, to jednak Rachel trzęsła się przez całą drogę do Nowego Jorku.

Bez pomocy w żaden sposób nie udało mi się wydostać jej z Waszyngtonu. Porzuciliśmy toyotę pięć przecznic od Union Station, a następnie zatrzymałem taksówkę i pojechaliśmy przez Potomac do Alexandrii, w stanie Wirginia, do ogromnego centrum handlowego. Stamtąd zadzwoniłem pod numer, który doprowadził nas do spotkania w kawiarni z Mary Venable. Kobiecie, która odebrała, powiedziałem, że doktor Rachel Weiss jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie i potrzebuje natychmiastowej pomocy. Czterdzieści pięć minut później podjechała niebieska toyota camry i zawiozła nas z powrotem do Waszyngtonu, do prywatnej rezydencji na południu miasta.

Dom ten był azylem. Prowadziła go grupa feministek, która załatwiała fałszywe dokumenty dla uciekających z dziećmi kobiet. Umieszczono nas w sypialni na tyłach i po krótkim oczekiwaniu przybyła Mary Venable. Wypytała Rachel szczegółowo — mnie

najwyraźniej nie ufała — a potem załatwiła samochód, którym następnego dnia mogliśmy pojechać do Nowego Jorku. Kazała nam zostawić wóz na długoterminowym parkingu na lotnisku, skąd odbierze go jedna z jej nowojorskich „siostr”.

W sypialni stał telewizor — wszystkie programy informacyjne trąbiły o strzelaninie na Union Station. Wyglądało na to, że nie mniejsze zamieszanie wywołało czasowe zamknięcie dworca. W pierwszych relacjach spekulowano, iż ewakuację zarządzono w związku z podejrzeniem o podłożenie bomby, jednak w wieczornych wiadomościach podawano już inną wersję. Z policji stołecznej nastąpił przeciek, iż na dworcu wytropiono potencjalnego zabójcę prezydenta. Nie podano mojego nazwiska, lecz prezenter ujawnił, że kobieta, która strzelała na dworcu, wcześniej uważana za moją zakładniczkę, obecnie uchodzi za moją współniczkę.

Przespaliśmy się trochę, a rano „Washington Post” zamieścił moje nazwisko i zdjęcie. W artykule rzecznik Secret Service scharakteryzował mnie jako lekarza idealistę, który załamał się po latach oplakiwania tragicznej utraty rodziny. Powodowany paranoicznymi urojeniami, zacząłem grozić śmiercią prezydentowi, a moje pojawienie się w Waszyngtonie z bronią tylko potwierdza, jak bardzo jestem niebezpieczny. Tożsamość mojej współniczki na razie „nie jest znana”, ale kilku świadków widziało, jak postrzeliła funkcjonariuszkę federalną. Najbardziej przeraził mnie jednak kończący artykuł komentarz Ewana McCaskella, prezydenckiego szefa sztabu, którego złapano w Chinach: doktor Tennant istotnie spotkał się kiedyś z prezydentem w Gabinetecie Ovalnym — powiedział McCaskell. — Prezydent, który podziwiał jego książkę na temat etyki w medycynie, bardzo żałuje, że ten wybitny lekarz najwyraźniej przeżył jakieś załamanie psychiczne, i ma nadzieję, iż doktor Tennant zostanie poddany właściwej terapii, zanim dojdzie do tragedii.

Obawiałem się, że po przeczytaniu tego artykułu Mary Venable wyda mnie policji, tymczasem godzinę później podrzuciła nam nowe paszporty, dwa prawa jazdy wydane w stanie Wirginia oraz kluczyki do naszego „wypożyczonego” samochodu. Czytała artykuł, lecz jej lojalność wobec Rachel była silniejsza niż wiara w to, co piszą

dziennikarze. Bez zwłoki pojechaliśmy autostradą międzystanową numer 95 do Nowego Jorku.

Fakt, że moje nazwisko i zdjęcie zostały opublikowane w całym Stanach, tylko utwierdził mnie w postanowieniu opuszczenia kraju. NSA wierzyła, że zamierzam spotkać się z prezydentem nazajutrz, wobec tego ostatnie, czego by się po mnie spodziewali, to wyjazd za granicę. Pobyt na lotnisku Kennedy'ego wiązał się z ryzykiem, gdyby nam się jednak udało, byłibyśmy o wiele bezpieczniejsi niż w Stanach Zjednoczonych.

Na pierwszym etapie jazdy do Nowego Jorku Rachel prawie się nie odzywała, w każdym razie nie powiedziała nic, co utkwiloby mi w pamięci. Zanim dotarliśmy do New Jersey, pozbierała się na tyle, by wejść do centrum handlowego z listą ubrań, jakie powinniśmy kupić na podróż. Poza tym zatrzymywaliśmy się tylko po to, by zatankować paliwo, a ja ani razu nie wysiadłem z samochodu. Tuż przed przybyciem do Nowego Jorku zadzwoniła do Adama Sterna i przedstawiła mu wymyśloną przeze mnie bajeczkę, mającą uzasadnić, dlaczego to właśnie on załatwiał nam rezerwacje.

W związku z wielkanocnym tłumem Stern musiał zabukować dla nas miejsca w samolocie El Al o północy, co mnie trochę martwiło. Na lotnisko włożyłem czapkę z logo Yankeesów, mając nadzieję, że jako wysoki białas wyglądam dostatecznie typowo, by nie przyciągać niczyjej uwagi. Przy stanowisku odprawy El Al wszystko poszło zaskakująco dobrze, ale to ja wziąłem gadanie na siebie. Martwiły mnie jednak nieformalne przesłuchania. Według Sterna na jakiś czas przed wejściem na pokład samolotu El Al jeden czy dwóch ochroniarzy w cywilu zaczynają z tobą rozmowę, by wyczuć twoje zamiary. Gdyby Rachel nie włączyła się do rozmowy, nie przeszlibyśmy tego w żaden sposób.

— Ten kurczak z brokułami wygląda całkiem niezłe — powiedziałem, wskazując na szklaną szybę, zasłaniającą po trawy w chińskiej restauracji. — Co ty na to?

— Może być — odparła Rachel głucho.

Dotknąłem jej ramienia.

— Dobrze się czujesz?

Nie odpowiedziała.

Wysunąłem się przed nią i zamówiłem dwa razy kurczaka z brokułami. Kiedy placilem, usłyszałem za sobą męski głos.

— Cześć! Staliśmy koło siebie przy stanowisku El Al. Wybieracie się na Święty Tydzień?

— No... nie — odparła Rachel.

Zerknąłem przez ramię i zobaczyłem dwóch niskich śniadych mężczyzn. Mieli bystre oczy i naturalny uśmiech. Wyglądali jak bracia.

— A więc odwiedzacie rodzinę? — spytał drugi z nich, ze złotym łańcuchem na szyi.

— Nie — odrzekła Rachel z zakłopotaniem. — To prywatna sprawa. Kłopoty ze zdrowiem.

Zmieszane spojrzenia.

— Przepraszamy za wścibstwo.

Szukają terrorystów, powtarzałem sobie w duchu. A nie zabójcy prezydenta. Odwróciłem się i skinąłem im głową.

Milczenie stawało się coraz bardziej krępujące, nagle jednak Rachel wyprostowała się i powróciła do życia.

— Nie ma powodu do zakłopotania — oświadczyła. — Wysłał mnie mój ginekolog. Właśnie wykryto u mnie raka jajników. W zaawansowanym stadium, ale on ma przyjaciela w szpitalu Hadassah w Jerozolimie. Oni tam prowadzą badania kliniczne nad wytwarzaniem własnych limfocytów T i wprowadzaniem ich do organizmu, żeby zwalczały guza. Mój lekarz to nasz stary przyjaciel. Dzięki Bogu zajął się załatwieniem wszystkiego w naszym imieniu. Samolotu, hoteli i tak dalej. — Przyłożyła dłoń do serca. — Przepraszam, że się tak rozgadałam, ale to mój pierwszy promyk nadziei, a dobrze jest o tym z kimś pogadać.

— Oczywiście — przytaknął facet ze złotym łańcuchem. — Na pewno wszystko pójdzie dobrze. Lekarze z Hadassah są najlepsi na świecie.

— Badania są bardzo obiecujące — wtrąciłem, żeby nie wypaść niezręcznie. — Szef zespołu badawczego odbywał praktykę w Sloan-Kettering.

— Mówi pan, jakby pan sam był lekarzem — odezwał się niższy z nich, a ja pozbyłem się wszelkich wątpliwości; z pewnością byli to ochroniarze El Al. Nagle zacząłem myśleć jedynie o ukrytym pod

ubranie pasie na pieniądze, w którym miałem szesnaście tysięcy dolarów.

— Jedzenie, psze pana — warknął Chińczyk za ladą.

— Dziękuję — odparłem, zerkając za siebie na dania. — Tak, jestem internistą.

— Zna się pan na artretyzmie? — zapytał niższy. — Podobno mam łuszczycowe zapalenie stawów. Wie pan coś na ten temat?

Odpowiedzieć mu?, zastanawiałem się. Czy udawać aroganta?

— No, istnieje pięć odmian. Niektóre są łagodne, inne powodują kalectwo.

— A jaki jest najgorszy?

— *Arthritis mutilans*.

Facet wyszczerzył zęby w radosnym uśmiechu.

— Dzięki Bogu, to mnie nie dotyczy. Mam coś z członami palców.

— *Distal interphalangeal predominant*. — Podniosłem jego rękę i spojrzałem na paznokcie, wykazujące wyraźne zmiany. — Mogło być o wiele gorzej.

Cofnął rękę.

— Dobrze, to bardzo dobrze. No to smacznego.

— Powodzenia w Hadassah — rzucił drugi z nich, ten z łańcuchem. — Wybraliście odpowiednie miejsce na kurację.

Ustawiłem dwa talerze na tacy i zaniósłem ją do wolnego stolika. Zaszokowana Rachel ruszyła za mną. Obejrzałem się i zobaczyłem, że tamci dwaj odeszli od lady, nie składając zamówienia.

— Świetnie się spisałaś — pochwaliłem Rachel. — Przedstawienie godne Oscara.

— Tu chodzi o przeżycie — odparła, siadając. — Każdy ma to w sobie. Kiedy powiedziałaś to w Karolinie Północnej, nie uwierzyłam ci. Teraz już wiem.

Wziąłem widelec.

— Nie ma powodu, żebyś czuła się winna.

— Ja tylko czuję, że oni rozmawiali już z Adamem.

— Bez dwóch zdań. Na pewno sprzedał im tę samą bajeczkę. Jeżeli nie aresztują nas, zanim wsiądziemy do samolotu, wyślę mu skrzynkę szampana.

Zaniknęła oczy.

— Uda nam się?

— Tak. Tylko trzymaj się jeszcze przez pół godziny.

Pomimo późnej pory odlotu boeing 747 był prawie pełny, lecz od najbliższych sąsiadów dzieliły nas dwa puste miejsca i przejście, co stwarzało nieco prywatności. Siedziałem przy oknie, w czapeczce Yankeesów. Starąłem się unikać kontaktu wzrokowego, kiedy wyciągałem z szafki koce i nakrywałem nas po szyję.

Miałem wrażenie, że czekaliśmy na wejście do samolotu ze dwie godziny, choć według mojego zegarka trwało to tylko czterdzieści minut. Podczas gdy pasażerowie wokół nas rozprawiali z ożywieniem o czekającej ich wizycie w Ziemi Świętej, Rachel i ja udawaliśmy, że śpimy. W końcu odrzutowiec El Al podkołował na pas startowy i wzbiliśmy się w nocne niebo.

— Bogu dzięki! — szepnęła Rachel, kiedy koła samolotu oderwały się od betonu.

Za jedenaście godzin czekała nas wprawdzie przeprawa z ochroną na lotnisku w Tel Awiwie, mimo to fakt, że wzbiliśmy się w powietrze, był już połową wygranej. Starąłem się skupić na tym małym zwycięstwie.

— Dobrze się czujesz?

Otworzyła oczy, oddalone od moich tylko o długość daszka czapeczki Yankeesów. Ujrzałem w nich emocje, których nie potrafiłem odczytać.

— Muszę cię spytać o kilka rzeczy, Davidzie. — Znow mówiła jak psychoterapeutka, jaką znałem, zanim poszliśmy do łóżka. — Lecimy do Jerozolimy i muszę dotrzeć do sedna powodów, dla których to robimy. Potraktuj to jak sesję terapeutyczną.

— Nie. Jeśli chcesz mnie wypytywać, to ja też mam prawo zadawać pytania tobie. I musisz odpowiadać szczerze. Tak się teraz sprawy mają.

Po chwili wahania skinęła głową.

— Uczciwe postawienie sprawy. Mówiłeś mi, że jesteś ateistą. Powiedziałeś, że twoja matka wierzyła w jakąś siłę potężniejszą od

człowieka, ale nie wyznawała żadnej religii. A co z twoim ojcem? Czy był zdeklarowanym ateistą?

— Nie. Po prostu nie wierzył w ogólnie przyjęte wyobrażenie Boga. W Boga, który całą uwagę poświęca człowiekowi. Ojciec był fizykiem. A oni z zasady są sceptykami.

— Czy wierzył w jakakolwiek siłę wyższą?

Ojciec nie był człowiekiem skłonny do bujania w obłokach, lecz od czasu do czasu, kiedy biwakowaliśmy w górach pod gwiazdami, opowiadał mojemu bratu i mnie, w co tak naprawdę wierzył.

— Ojciec w bardzo prosty sposób postrzegał, jak się sprawy mają. Prosty, ale głęboki. Według niego człowiek nie jest oddzielony od wszechświata, lecz stanowi jego część. Zawsze powtarzał: „Człowiek to wszechświat, który ma świadomość samego siebie”.

— Czy ja już tego gdzieś nie słyszałam?

— Możliwe. Wiem, że powtarzają to rozmaici guru spod znaku New Age, tacy jak Deepak Chopra. Ale ojciec mówił to ćwierć wieku temu.

— Jak sądzisz, co miał na myśli?

— Dokładnie to, co mówił. Wciąż nam przypominał, że każdy atom naszego ciała był niegdyś częścią odległej gwiazdy, która eksplodowała. Opowiadał nam o tym, jak ewolucja prowadzi od prostoty do rzeczy bardziej skomplikowanych, i o tym, że ludzka inteligencja jest najwyższym znanym przejawem ewolucji. Pamiętam, jak mówił mi, że mózg żaby jest o wiele bardziej złożony niż gwiazda. Świadomość człowieka postrzegał jako pierwszy neuron wszechświata, który ożył. Iskierkę w ciemności, czekającą, by przekształcić się w ogień.

Rachel siedziała zamyślona.

— Piękna idea. Wprawdzie nie religijna, ale za to pełna nadziei.

— No i praktyczna. Skoro jesteśmy wszechświatem, który uzyskał świadomość, to mamy moralny obowiązek, by żyć. Żeby zachować dar świadomości. A w tym celu musimy żyć w pokoju. Z tego można wyprowadzić cały zestaw praw, etykę, wszystko.

Rachel przemyślała to sobie.

— A ty podpisujesz się pod takim wizerunkiem wszechświata?

— Jeszcze kilka tygodni temu tak było. Ale moje ostatnie wizje do tego nie pasują.

Położyła dłoń na moim kolanie.

— Nie wiemy, do czego one pasują, zgoda? I nie sądzą, żeby poglądy twojego ojca wykluczały istnienie Stwórcy. Czy nadal się boisz, że umrzesz, jeżeli nie dotrzesz do Jerozolimy wcześniej, niż przyśni ci się ukrzyżowanie?

Wisząca nad nami groźba, że zostaniemy złapani przez policję, odsunęła moje myśli od tamtych spraw.

— Wciąż czuję pewien przymus, ale już nie tak silny. Fakt, że tam jedziemy, chyba zmniejszył nieco to napięcie.

— Nie powinienes się martwić tym, że śni ci się ukrzyżowanie. Sny nie zabijają.

Nie byłem tego taki pewny.

— Pogadajmy o tym przez chwilę. Twierdzisz, że wierzysz w Boga. Czyli w co konkretnie? — dociekała Rachel.

— Nie rozumiem, jak to się ma do tego, co robimy.

— Uważam, że oboje siedzimy w tym samolocie z jakiegoś powodu. I sądzę, że to, w co wierzysz, odgrywa w tym pewną rolę. — Twarz Rachel przesłonił wyraz bezbrzeżnego smutku. — Ja bardzo późno dotarłam do Boga. W dzieciństwie nie zabierano mnie do synagogi ani do kościoła.

— Dlaczego?

— Ojciec odszedł od Boga, kiedy miał siedem lat.

— W tak młodym wieku? Dlaczego?

— Siódme urodziny obchodził w obozie koncentracyjnym.

Coś we mnie zamarło.

Jej wzrok był nieobecny, jakby spoglądała całe lata wstecz.

— Na oczach taty zabijano jego ojca. Nie było to normalne nawet jak na standardy obozowe. Esesmani likwidowali więźniów, bo zbliżali się alianci. Jeden ze strażników wymyślił sobie zabawę. Codziennie zabijał jednego więźnia. Próbował zmuszać umierających z głodu więźniów, żeby zabijali innych proponując im w zamian, że zostaną przy życiu. Mój dziadek, oczywiście, odmówił. Był chirurgiem, praktykującym w Berlinie. Osobiście poznał Freuda i korespondował z Jungiem.

Uświadomiłem sobie, dlaczego wybrała taki zawód.

— Strażnik zatłukł dziadka na śmierć na oczach jego synka... mojego ojca. I wtedy ojciec uznał, że Boga, który pozwała na takie rzeczy, należy przeklinać, a nie modlić się do niego.

Chciałem coś powiedzieć, ale jakie słowa byłyby na miejscu?

— Był jednym z tych szczęśliwców, którym pozwolono wyemigrować do Ameryki. Przyjęli go dalecy krewni z Brooklynu. — Uśmiechnęła się smutno. — Wujek Milton był ślusarzem. Złożył się na ojca, że ten przestał wierzyć, ale zdawał sobie sprawę, przez co chłopiec przeszedł. Kiedy ojciec dorósł, zmienił nazwisko na White, przeniósł się do Queens i zerwał kontakty z rodziną, chociaż posyłał im pieniądze. Ożenił się z gojką, której nie obchodziła jego religia, i wychowywała się w ateistycznym domu.

Słuchałem tego zdumiony. W Ameryce spotykasz kogoś na ulicy czy w urzędzie i nie masz pojęcia, jak tragiczne losy ukrywa.

— Z tego powodu zawsze czułam się poza nawiasem. Wszyscy moi przyjaciele chodzili do kościoła albo synagogi. Zaczęłam się zastanawiać, dlaczego ja nie. Kiedy miałam siedemnaście lat, odnalazłam wujka Milтона. Opowiedział mi o wszystkim. A potem... wpadłam w objęcia swojego dziedzictwa.

Nagle różne małe tajemnice osobowości Rachel nabrały sensu: surowość w ubiorze, zawodowy dystans, wstręt do przemocy...

— Rzecz w tym — ciągnęła — że zostałam żydówką bardziej z powodu identyfikacji emocjonalnej i politycznej niż z chęci zbliżenia się do Boga.

— Nie ma w tym nic złego.

— Oczywiście, że jest. Gdybyś mnie spytał, co naprawdę sędzę o Bogu, nie miałoby to nic wspólnego z Torą czy Talmudem, a jedynie z tym, z czym zetknęłam się w swoim życiu.

— A co naprawdę o tym myślisz?

Splotła ręce na kolanach.

— Uważam, że proces tworzenia to robienie czegoś, co przedtem nie istniało. Skoro Bóg jest doskonały, to gdyby naprawdę chciał coś stworzyć, musiałoby to być coś różniącego się od niego. A zatem z definicji jego twór musi być niedoskonały. Rozumiesz? Gdyby ten twór był doskonały, to sam byłby Bogiem.

— Tak.

— Wierzę, że skoro jako ludzie mamy się różnić od Boga, musimy dokonywać własnych wyborów. Wolna wola, zgadza się? Gdyby zaś zły wybór nie skutkował prawdziwym bólem, to wolna wola nic by nie znaczyła. Dlatego na świecie jest tyle zła. Nie wiem, czy da się to dopasować do jakiejś religii, w każdym razie to jest to, w co wierzę.

— Całkiem niezłe wyjaśnienie świata, takiego, jakim go widzimy. Ale to nie dotyka głównej tajemnicy. Dlaczego Bóg czuł się zmuszony do stwarzania czegokolwiek?

— Tego się chyba nigdy nie dowiemy.

— Kto wie? Nasze słońce nie zgaśnie jeszcze przez jakieś pięć miliardów lat czy coś koło tego. Nawet jeśli implozja, Wielki Ścisk, unicestwi wszechświat, nastąpi to najwcześniej za jakieś dwadzieścia miliardów lat. Jeżeli nie wymordujemy się sami, będziemy mieli dużo czasu, żeby odpowiedzieć na to pytanie. A może na wszystkie pytania.

Uśmiechnęła się.

— Ani ty, ani ja się tego nie dowiemy.

Patrząc w jej ciemne oczy, uświadomiłem sobie, jak niewiele o niej wiem.

— Nie jesteś ani trochę tak konwencjonalna, jak udajesz. Żałuję, że nie miałaś okazji porozmawiać z Fieldingiem.

— A co on sądził na temat Boga?

— Fielding miał problem ze złem. Był wychowany w tradycji chrześcijańskiej, ale twierdził, że ani judaizm, ani chrześcijaństwo nigdy nie zmierzyły się ze złem twarzą w twarz.

— Co miał na myśli?

— Przytaczał trzy stwierdzenia: „Bóg jest wszechmocny. Bóg jest nieskończenie dobry. Zło istnieje”. Logicznie możesz powiązać ze sobą dowolne dwa z tych twierdzeń, ale nie wszystkie trzy.

Rachel w zamyśleniu pokiwała głową.

— Uważał, że tylko religie Wschodu są naprawdę monoteistyczne, bo przyznają, że zło wypływa z Boga, a nie próbują zrzucać winy na kogoś mniejszego kalibru jak szatan.

— A ty? — spytała. — Skąd twoim zdaniem bierze się zło?

— Z serca.

— Serce pompuje krew, Davidzie.

— Wiesz, o co mi chodzi. O duszę. Ciemną studnię, w której prymitywne instynkty mieszają się z inteligencją. Kiedy patrzysz na okropności, jakich dopuszcza się człowiek, trudno sobie wyobrazić, żeby za tym stał jakiś boski plan. To znaczy... popatrz, co się stało z twoim dziadkiem.

Rachel ścisnęła moje ramię i spojrzała na mnie z rozpaczą.

— Tego dnia, kiedy zabili mojego dziadka, był taki moment, że mógł zabić tego strażnika. Byli sami w kamieniołomach... ten strażnik i trzech więźniów. Amerykanie byli o jeden dzień od nich. Ale dziadek tego nie zrobił.

— Dlaczego? — zapytałem, zaskoczony jej pasją.

— Myślę, że wiedział coś, o czym my zapomnieliśmy.

— Co takiego?

— Że jeśli zaczniesz zwalczać wroga jego bronią, staniesz się taki sam jak on. Jezus to wiedział. Gandhi też.

— Nawet jeżeli obok ciebie stoi twój syn? I potrzebuje twojej pomocy? To co, nadstawiasz drugi policzek i sama się poświęcasz?

— Nie popełnia się morderstwa — stwierdziła Rachel z mocą. — Gdyby dziadek zabił wtedy tego strażnika, nie tylko on, ale i mój ojciec mogli zostać straceni tej nocy. Nie znamy przyszłości. Dlatego tak mną wstrząsnęło to, co zrobiłam wczoraj wieczorem. Podniosłam twój rewolwer i strzeliłam do człowieka. Co naprawdę wtedy zrobiłam?

— Uratowałaś mi życie. Sobie też.

— Tymczasowo.

Ścisnąłem jej dłoń.

— Rachel, my żyjemy. I wierzę, że przed śmiercią mam coś bardzo ważnego do zrobienia.

— Wiem o tym.

W przejściu koło nas pojawił się steward. Nie chciałem podnosić wzroku, więc dałem znak Rachel, żeby się odwróciła.

— Tak? — odezwała się zaspąnym głosem.

— Czy życzą sobie państwo kolację?

Spojrzała na mnie — skinąłem głową.

— Tak — odparła. — Poprosimy.

Steward rzucił na mnie okiem i odszedł. Rachel wciąż wstrzymywała oddech.

— Co o tym myślisz?

— Sam nie wiem. Na oko to dziwne, ale może tylko sprawdzał, czy prześpimy kolację.

Rachel pokręciła głową.

— Ja tak nie potrafię.

— Owszem, potrafisz. Wszystko gra.

— A co będzie na lotnisku w Tel Awiwie?

— Damy sobie radę.

— Skąd wiesz?

Dotknąłem jej policzka i odezwałem się z przekonaniem, o które się nie posądzałem:

— Wiem, naprawdę. W Jerozolimie coś na mnie czeka.

— Co takiego?

— Odpowiedź.

Rozdział 28

Białe Piaski, Nowy Meksyk

Ravi Nara dodał gazu i skierował hondę ATV ku czemuś, co personel techniczny Godina w swojej głupocie nazywał szpitalem. Powietrze Nowego Meksyku wysuszyło mu gardło, a palące słońce spiekło go tak, że o ile to możliwe, starał się nie wychodzić na zewnątrz. Drogę przeciął mu technik w białym fartuchu i uniósł rękę w pozdrowieniu. Ravi przyhamował gwałtownie i ruszył dalej.

Z najwyższym trudem zebrał się na odwagę, by zadzwonić do Johna Skowa, nawet mimo tego, że dostał od niego telefon komórkowy z szyfratorem. Skoro jednak Godin umierał, Ravi musiał podjąć ryzyko. Skow wyjaśnił bez ogródek, że jeśli Godin umrze, zanim Święta Trójca stanie się faktem, ich kariery — a może nawet życie — gwałtownie się zakończą. Zach Levin, główny inżynier Godina, przewidywał, że prototyp Świętej Trójcy będzie w pełni sprawny za siedem, dziesięć dni. Ale tylko przy założeniu, że Godin będzie uczestniczył w pracach nad projektem. Ravi wiedział, że jeśli dopisze mu szczęście, utrzyma starego przy życiu jeszcze przez dwadzieścia cztery godziny.

Nie sądził, by kiedykolwiek jakiś lekarz tak usilnie walczył o życie pacjenta. W wieku trzydziestu sześciu lat Ravi Nara był już legendą nauki. W rodzinnych Indiach traktowano go jak bohatera, mimo iż przyjął obywatelstwo amerykańskie. Gdyby jednak Święta Trójca upadła w atmosferze skandalu spowodowanego zabójstwem jego kolegi noblisty, nic nie uratowałoby jego reputacji.

Znowu pomyślał o tym, czy ktoś podsłuchał jego rozmowę ze Skowem. Ochrona w Karolinie Północnej była upierdliwa, ale Białe Piaski to przecież cholerny rezerwat wojskowy. Mimo wszystko nikt go jeszcze nie zaczepił. Może fakt, że to miejsce leży na takim odludziu, zmniejszał paranoję ochroniarzy.

Białe Piaski są większe niż Delaware i Rhode Island razem wzięte. Ogrodzona działka przeznaczona dla Świętej Trójcy była jak mucha na białym słońcu — stanowiła część większego terenu, zarządzanego przez Szkołę Wywiadu Wojskowego USA w Forcie Huachuca, w Arizonie. Zanim Ravi po raz pierwszy odwiedził tę bazę, Godin opisał mu panujące tam warunki jako „spartańskie”. Jako przesiedleńca z Nowego Jorku Ravi nawet Karolinę Północną uważał za kompletne zadupie. Białe Piaski stanowiły dziurę w tym świecie, księżycowy krajobraz pełen gipsu i skał, gdzie towarzystwa dotrzymywały tylko grzechotniki. Nara nieomal spodziewał się ujrzeć Indian, uciekających galopem przed kowbojami rodem z filmów Johna Forda, ale coś do tego nie doszło.

Kompleks Świętej Trójcy zbudowano z geometryczną prostotą. Składały się nań cztery główne budynki: laboratorium badawcze, szpital, gmach administracji oraz tak zwany Pojemnik. Do tego dochodziły baraki, maszynownia, potężna elektrownia i pas startowy, który mógł służyć wojskowym odrzutowcom. Budynki nie były właściwie budynkami, lecz przerobionymi hangarami lotniczymi, skleconymi przez inżynierów wojskowych w ciągu pięciu gorączkowych tygodni. Jedynie Pojemnik był inny. W nim bowiem mieścił się prototyp Świętej Trójcy.

Ravi widział teraz po prawej ów dziwny budynek, stojący samotnie w samym środku terenu. Zbudowany niczym schron z czasów drugiej wojny światowej, Pojemnik miał ściany o grubości stu dwudziestu centymetrów, wzmocnione zbrojoną stalą i wykładane ołowiem. Zasilany był przez cztery gigantyczne kable elektryczne, dwie rury hydrauliczne i miał zamknięty system klimatyzacyjny. Żadnych telefonów czy kabli mogących posłużyć do łączności. W przeciwieństwie do pozostałych budynków, z jego dachu nie sterczały żadne anteny, zwykłe czy satelitarne. Pojemnik był zbudowany jak coś, co miało zatrzymać Harry'ego Houdiniego, gdyby Houdini potrafił się zdigitalizować i zwiać przez druty bądź światłowody. Gdyby prototyp

Świętej Trójcy kiedykolwiek miał zacząć funkcjonować, nikt, nawet Peter Godin, nie chciał, by podłączono go do Internetu.

Tego dnia Ravi uniknął szpitala. Godin dogorywał od tygodni, lecz dopiero dwa dni temu zaczął zmierzać ku wieczności. Nara był przekonany, że przyspieszyła to śmierć Fieldinga — bezwzględna konieczność, którą stary odczuł bardziej, niż się spodziewał. Rzecz jasna, śmierć Fieldinga dała im kryształ, wobec czego wszelkie wątpliwości na temat słuszności zabicia go były bezprzedmiotowe.

W ciągu kilku godzin od zdobycia kryształu odzyskali grunt, który stracili na skutek sabotażu Fieldinga, a odkrywszy jego własne dokonania, stwierdzili, że od uruchomienia prototypu dzieli ich zaledwie jeden krok. Wywołaną tym sukcesem euforię przyćmiły nieco problemy z Tennantem i jego psychoterapeutką. Godin źle znosił związany z tym stres, w ostatecznym rozrachunku to jednak rak go zabił, tak jak każdego w takim stadium choroby.

Ravi zaparkował hondę przed hangarem szpitalnym i wszedł do środka. Ścianki działowe dzieliły hangar na „pokoje”. W żadnym z nich nie było sufitów — nawet w łazienkach — wobec czego po całym budynku z irytującą regularnością roznosiły się nieprzyjemne zapachy. Peterowi Godinowi to nie przeszkadzało. Przebywał w hermetycznej komorze o stałym ciśnieniu, by nie dostał się tam ani jeden zarazek. Ta plastikowa kopuła, zaopatrywana w filtrowane powietrze i taką samą wodę i znana jako Bąbel, rozsiała się niczym inkubator w samym środku hangaru.

Żeby oszczędzić Raviemu i pielęgniarkom straty czasu na przebieganie się w kombinezony ochronne, u wejścia do Bąbla zainstalowano odkażacz na promienie ultrafioletowe. Do sterylizacji Ravi musiał tylko wyszorować ręce, założyć maskę i poddać się działaniu promieni dostatecznie długo, by jego skóra i ubranie pozbyły się wszelkich niebezpiecznych organizmów. Cała procedura trwała zaledwie dwie minuty, lecz ostatnio zaczęła działać mu na nerwy. Nie mógł mieć jednak pretensji do Godina. Sterydy i chemioterapia rozwalily system immunologiczny starego, Godin zaś chciał dokonać tego, o czym marzyli wszyscy od zarania dziejów: oszukać śmierć.

Nareszcie światło w szumiącym sterylizatorze UV zgasło. Ravi nacisnął stopą guzik otwierający pleksiglasowy właz do Bąbla i wszedł do środka. Peter Godin leżał nieprzytomny na szpitalnym łóżku, otoczony monitorami i aparaturą do reanimacji. Do jego ciała podłączono główny przewód dożylny, z którego dwa cienkie druty biegnęły do monitorów. Jego majestatyczna głowa była niemal tak biała jak poduszka, na której spoczywała.

Po obu stronach łóżka stały dwie pielęgniarki, wypatrując najmniejszych oznak zmiany stanu chorego. Ravi pozdrowił je skinieniem głowy, wziął kartę pacjenta umocowaną na końcu łóżka i obrzucił ją pobieżnym spojrzeniem. *Glejakpnia mózgu, rozsiany i nieoperowalny*. Postawił tę diagnozę sześć miesięcy temu, kiedy po raz pierwszy zobaczył superskan mózgu Godina. To niesamowite wrażenie, patrzeć, jak w mózgu jednego z najbardziej genialnych ludzi na ziemi rośnie guz. Kiedy Godin poprosił go, by utrzymał jego chorobę w tajemnicy, Ravi nie wahał się ani chwili. Ujawnienie stanu Godina mogłoby zaprzepaścić jego szansę uczestnictwa w największym wydarzeniu w historii nauki. Oczywiście wyznaczył odpowiednią cenę za swoją współpracę. Nie widział w tym nic niestosownego. Peter Godin był bogaty, Ravi Nara raczej biedny. Teraz ta różnica się zmniejszyła, nawet jeśli tylko minimalnie. Mimo wszystko fortuna w gotówce i akcjach, jaką otrzymał Nara, wydawała się trywialna w obliczu tego, co mogło się stać.

— Ravi? — zakrakał starzec. — Czy to ty?

Ravi podniósł wzrok znad karty i zobaczył intensywnie niebieskie oczy.

— Dlaczego jestem taki zmęczony? — spytał Godin.

— Prawdopodobnie z powodu ataków. — Godin wciąż miał napady padaczki w wyniku poddania się skanowaniu na aparaturze super-RM.

Ravi przeszedł na drugą stronę łóżka i spojrzął na obwisłą twarz chorego. Peter Godin był jednym z najbardziej żywotnych ludzi, jakich spotkał, a jednak rak doprowadził go do upadku niczym ulicznego żebraka. No, może nie całkiem. Żaden żebrak nie miał do dyspozycji Ravięgo Nary i praktycznie nieograniczonej liczby ludzi, którzy utrzymywali go przy życiu. Nawet na progu śmierci, pozbawiony włosów na głowie i brwi, Godin wciąż miał ten sam orli profil, dzięki

któremu ów wiecznie zaharowany młody projektant komputerów stał się tak rozpoznawalny pod koniec lat pięćdziesiątych i przez następne pół wieku.

— Twój guz jest w bardzo zaawansowanym stadium, Peter. Nie wiele mogę zdziałać. To walka między utrzymywaniem cię w stanie przytomności a uwalnianiem od bólu na tyle, byś mógł funkcjonować.

— Pieprzę ból. — Godin zacisnął w pięść powykrcaną artretyzmem dłoń. — Wytrzymam każdy ból.

— Wczoraj wieczorem mówiłeś co innego. Powiedziałeś, że cała twarz ci płonie.

Godin wzdrygnął się.

— Teraz jestem przytomny. Przyślij mi Levina.

Zach Levin był szefem laboratorium badawczo-rozwojowego w Superkomputerach Godina w Mountain View, dopóki nie ściągnięto go do Karoliny Północnej, by prowadził ekipę interfejsową — grupę odpowiedzialną za komunikowanie się z komputerem Świętej Trójcy. Levin był wysokim trzydziestopięcioletnim mężczyzną o trupim wyglądzie, przedwcześnie posiwiałym. Podobnie jak jego mistrz w czasach, gdy jeszcze nie chorował, Levin najwyraźniej obywał się bez snu.

— Zaraz go przyślę — odparł Ravi.

Godin uniósł dłoń.

— Czego się dowiedziałeś o Tennancie i Weiss?

— Po wypadkach na Union Station zniknęli bez śladu.

Starzec zamknął oczy i westchnął ze świstem, zwiastującym najbliższą przyszłość.

— Czy to ta kobieta postrzeliła Geli?

— Tak, twierdzą, że to doktor Weiss.

Gdy Godin się skrzywił, dół jego twarzy pokryła gęsta siatka zmarszczek. Mimo iż przez wiele lat był żonaty, jakoś nie doczekał się dzieci i zawsze traktował Geli z niemal ojcowską czułością. Na samą myśl o tym Ravi poczuł na karku gęsią skórkę — to było mniej więcej tak, jak obdarzać ojcowskim uczuciem jadowitą kobrę.

— Co z Geli? — spytał Godin.

— Podobno zdrowieje w oczach. Przenieśli ją do szpitala Waltera Reeda. Załatwił to jej ojciec.

Na ustach Godina pojawił się cień uśmiechu.

— Nie zgodziłaby się, gdyby o tym wiedziała. — Uśmiech zgasł. — Jak myślisz, co Tennant zamierzał zrobić w Waszyngtonie? Prezydent wciąż jest w Chinach.

Ravi sam chciałby to wiedzieć. Przez prawie cały czas trwania projektu internista przyprawiał go o największy ból głowy. Ukrywanie raka przed laikami było łatwe, Tennant jednak dostrzegał wahania wagi Godina, jego kłopoty z poruszaniem się i zmiany wyglądu spowodowane sterydami. Częściowo mógł to tłumaczyć artretyzm starca, jednak od sześciu tygodni Ravi musiał praktycznie izolować pacjenta od Tennanta.

— Nie mam pojęcia, Peter. Trochę mnie to martwi.

Kiedy pielęgniarka podawała Godinowi wodę, Ravi próbował ocenić, ile czasu zostało jeszcze temu nieustępliwemu starcowi. Nie było to proste. Od lat nie pracował z pacjentami, tymczasem Godin — według wszelkich danych przy tego typu guzie — już dawno powinien nie żyć. W przepowiadaniu czasu, jaki jeszcze został choremu, celowali lekarze tacy jak Tennant. Lata praktyki klinicznej wyrobiły w nich coś na kształt szóstego zmysłu na temat życia i śmierci. Ale to samo ma pierwsza lepsza kobieta z Madrasu.

Brzęczyk i fioletowy błysk sprawiły, że Ravi się odwrócił. Przez przezroczysty właz do Bąbla zobaczył, jak w odkażaczu UV staje Zach Levin.

Levin spędzał większość czasu w betonowym łonie Pojemnika, zawsze jednak wyczuwał, kiedy Godin odzyskuje świadomość. On i jego technicy byli niczym kapłani, pielęgnujący swojego pana, który umierał, oraz jego dzieło, które się rodziło. Kapłani nauki, pomyślał Ravi. Cóż za sprzeczność! Pomachał Levinowi. Żebyś ty wiedział, jak działasz mi na nerwy...

— Przyszedł Levin — powiedział, zmuszając się do uśmiechu.

— Jak długo będę przytomny? — spytał Godin.

— Dopóki będzie pan w stanie wytrzymać ból.

— Wychodząc, przyślij mi tu Levina.

Ravi pohamował gniew. Przez całe życie był cudownym dzieckiem, teraz jednak czuł się bardziej jak królewski medyk, czuwający nad łóżem władcy. Jego życiem rządziły kaprysy tyrana. Stała na

przycisku otwierającym właz i wyszedł z Bąbla.

Zach Levin pozdrowił go skinieniem głowy z odkażacza. Formalnie rzecz biorąc, on i jego zespół techników podlegali Raviemu, jednak komputer Świętej Trójcy był tak skomplikowany, zarówno od strony sprzętu, jak oprogramowania, że Ravi nijak nie mógł prowadzić ludzi Levina w sensowny sposób, chyba że chodziło o sam mózg. Nawet kiedy zwracali się do niego z pytaniami z zakresu neurologii, czuł, że raczej go wykorzystują, niż słuchają. Pływali w jego myślach niczym piranie, pożerając to, czego im było trzeba do ich wypraw w labirynt neuromodeli...

— Jak z nim? — spytał Levin głośno.

— Nie śpi. Ma przebłycki świadomości.

— To dobrze. Mam dla niego niesamowite wieści. Ale nie dla mnie, pomyślał Ravi z goryczą.

— Czy zadaliście modelowi Tennanta jakieś nowe pytania?

Levin zastanowił się nad odpowiedzią.

— Godzinę temu wyrzuciłem Tennanta z komputera.

— Kto ci to zlecił?

— A jak myślisz? Godin.

— Na tym etapie — stwierdził Levin — uruchomienie Świętej Trójcy jest znacznie ważniejsze niż wszelkie szkody, jakie mógłby wyrządzić Tennant.

Ravi podzielał jego zdanie, ale nie chciał się z tym zdradzić przed inżynierem.

— A w jaki sposób wyrzucenie modelu Tennanta może wam pomóc?

— Peter uważa, że niektóre z naszych problemów być może mają pochodzenie kwantowe. Pomyślał, że Andrew Fielding będzie mógł nam pomóc.

— Fielding? Chcesz powiedzieć, że wpakowaliście do prototypu jego neuromodel?

— Właśnie.

— Ty naprawdę sądzisz, że jego model pomoże nam rozwiązać pozostałe problemy?

— Prawdę mówiąc, nie widzę powodu, dla którego jego model miałby się zachowywać inaczej niż model Tennanta... Ale jest ciekawa

rzecz. Doktor Fielding wykazuje te same problemy aklimatyzacyjne co Tennant... strach, zmieszanie, zawirowania spowodowane tym, że jego instynkt przetrwania źle komunikuje się z resztą organizmu. W każdym razie radzi sobie z tym znacznie szybciej.

Ravi zadrżał. Levin mówił o Fieldingu tak, jak gdyby wciąż żył.

— I co to według ciebie oznacza?

Inżynier wzruszył ramionami.

— Być może nic. Ale przecucia Petera sprawdzały się tyle razy, że nie można ich ignorować. Zauważ, że to dokonania Fieldinga zapisane w jego kryształach doprowadziły nas tak daleko. Więc jeżeli obszary przetwarzania jego modelu będą funkcjonować szybciej niż Tennanta... no to mamy zupełnie nową jakość.

Serce Ravięgo zabiło szybciej.

— Jakie są szanse, że tak się stanie?

Levin nie fatygował się z odpowiedzią.

Ravi miał ochotę strzelić wysokiego faceta w pysk, jednak implikacje tego, czego się dowiedział, wybiły mu takie pomysły z głowy.

— No to do roboty.

Arogancki uśmiech Levina powiedział Raviemu, jak niewiele liczy się jego zdanie na tym etapie.

Ravi wyszedł z hangaru, wdrapał się do swojej terenowej hondy i zapuścił silnik. Jeżeli Levin mówił prawdę, to jego telefon do Skowa był przedwczesny. Nawet pomimo śmierci Godina Święta Trójca wkrótce mogła stać się faktem. A wówczas wszystko by się zmieniło. Prezydent nie szukałby już kozłów ofiarnych, lecz piersi do przypinania orderów. Gdyby zaś Ravi dobrze rozegrał tę partię, byłby pierwszy w szeregu.

Wracając do swojego gabinetu, zerknął na Pojemnik. Ten na pół zakopany w piasku budynek emanował poczuciem władzy, jakiej próżno by szukać gdziekolwiek indziej. Przebywając w elektrowniach jądrowych, Ravi czuł się nieswojo, tam jednak ryzyko było niewielkie. Nawet najbardziej groźny scenariusz był przewidywalny, ponieważ paliwo jądrowe, choć niebezpieczne, respektowało prawa natury.

Ale nie Święta Trójca.

Siedemdziesiąt pięć kilometrów dalej pierwszy wybuch jądrowy zamienił powierzchnię pustyni w szkło. Robert Oppenheimer z przerażeniem obserwował powstający grzyb, lecz jego strach dotyczył w tym samym stopniu tego, co może go spotkać, co urządzenia, które skonstruował. Gdyby jednak znajdujący się w Pojemniku komputer osiągnął potencjalną moc — gdyby rozwiązano wszystkie problemy i neuromodel osiągnąłby dziewięćdziesiąt procent skuteczności — wówczas twór Petera Godina zamieniłby zabawkę Oppenheimera w śmiertelny karzełek. Dlatego że gdyby człowiek patrzył w oko Świętej Trójcy, ona odpowiadałaby spojrzeniem. I wiedziałaby, na co patrzy.

Forma życia z piekła rodem.

Rozdział 29

Obudziłem się w przepoconym podkoszulku, nie mając pojęcia, gdzie jestem. Coś lepkiego pokrywało moją twarz, a obok mnie leżała ciemnowłosa kobieta. Poznałem, że to kobieta, po kształcie jej ramienia. Z lewej strony popołudniowe słońce przeświecało między żaluzjami i padało na dwie stojące na podłodze walizki. Nagle sobie przypomniałem... Jerozolima.

Obudził mnie sen, ale nie normalny sen. Widziałem jedynie twarz mężczyzny, który pochylał się, żeby mnie pocałować. Wzdrygnąłem się na ten widok, lecz zwalczyłem pragnienie, by wyrzucić go z myśli. Żołnierze, przypomniałem sobie. Żołnierze z mieczami. Stałem w ciemności, pod drzewem w pachnącym ogrodzie. Wokół mnie na ziemi spali mężczyźni. Ich chrapanie powodowało, że poczułem się samotny. Narastał we mnie strach, strach przed nadciągającą śmiercią. Z prawej strony dobiegł mnie tumult i pomiędzy śpiących wbiegli żołnierze, krzycząc i szukając czegoś między drzewami. Z cienia wyszedł człowiek w długiej szacie. Sparaliżowany sennym koszmarem, stałem bez ruchu, kiedy całował mnie w policzek. Wargi miał zimne i lepkie. Gdy się odsunął, otoczyli mnie żołnierze...

Rachel poruszyła się pod pościelą. Spojrzałem na zegarek. Wpół do czwartej nad ranem. Czasu izraelskiego, wyprzedzającego nowojorski o siedem godzin. Nie mogłem w to uwierzyć. Spaliśmy prawie osiemnaście godzin. Podniosłem słuchawkę stojącego obok łóżka telefonu, połączyłem się z recepcją i zamówiłem na popołudnie

samochód z władającym angielskim kierowcą. Cena wynosiła 130 szekli za godzinę, co akurat nic mi nie mówiło. Na dźwięk mojego głosu Rachel drgnęła, ale się nie obudziła.

Powinienem jechać sam, pomyślałem, patrząc na nią. Nagle jednak zobaczyłem, jak padam nieprzytomny na środku ulicy, pogrążony w narkoleptycznym śnie. Nie stać mnie było na takie ryzyko. Poszedłem do łazienki pod prysznic.

Izrael ani trochę nie przypominał moich snów. Od chwili gdy wyładowaliśmy na lotnisku Ben Guriona w Tel Awiwie, ze wszystkich stron atakowała nas nowoczesność. Radiodbiorniki, wykrywacze metali, pistolety maszynowe i odór paliwa lotniczego. Z Tel Awiwu do Jerozolimy pojechaliśmy *sherut*, wynajętym miniwanem, w towarzystwie sześciu innych osób. Prawie przez całą drogę milczałem, Rachel zaś od czasu do czasu dla dodania mi otuchy ścisnęła moją rękę. Wiedziała, że jestem zdezorientowany, że sceneria za szybą samochodu nie odpowiada temu, czego się spodziewałem.

Kiedy jednak zbliżyliśmy się do Jerozolimy, ujrzałem Stare Miasto — usadowione na wzgórzu, jakże pierwotne w zachodzącym słońcu — i moje rozczarowanie znikło. Nie wiedziałem, po co tam przybyłem, z pewnością jednak czekało to na mnie za tymi starożytnymi murami.

Zanim dotarliśmy do hotelu, zapadł zmrok. Podaliśmy recepcjoniście numery paszportów i pojechaliśmy w ślad za naszym bagażem na piąte piętro. Pokój był czysty, ale mały. Zamierzaliśmy wyjść coś zjeść, kiedy jednak przysiedliśmy na łóżku, żeby odsapnąć, pokonały nas miękkie nogi i zmęczenie ostatnich dwóch dni. Rachel zdrzemnęła się w samolocie, ale ja nie zmrużyłem oka. Ciepło i cisza hotelowego pokoju podziałały niczym wstrzyknięty dożylnie narkotyk: Zjadłem pomarańczę, którą Rachel kupiła na lotnisku Ben Guriona, i zapadłem w odrętwienie, z którego wyrwał mnie dopiero sen o ogrodzie.

Zakręciłem prysznic, wytarłem się i wróciłem do pokoju. Rachel przewróciła się na brzuch. Jej nagie ramiona wystawały z pościeli. Podszedłem do okna i odsunąłem zasłonę z nadzieją, że zobaczę Stare Miasto, ale widok zasłaniały jakieś nieokreślone budynki.

Podszedłem do łóżka i potrząsnąłem Rachel za ramię. Nie zareagowała. Potrząsnąłem jeszcze raz. Zamrugwała, przeciągnęła się i podparła na łokciu.

— Czy ten zegar pokazuje właściwy czas? — zapytała.

— Tak. Zaraz pojedzie po nas samochód.

Nie była zachwycona.

— Naprawdę chcesz jechać już dzisiaj? Jest późno.

— Znowu coś mi się śniło.

— Co tym razem?

— Ogród Getsemani.

Położyła się na wznak i wpatrzyła w sufit.

— Chronologicznie to o wiele dalej niż poprzednio, prawda?

— Tak. Getsemani to wstęp do ukrzyżowania. Muszę się dostać do Starego Miasta. To nie może czekać do jutra.

Otuliła się prześcieradłem, wstała i spojrzała mi głęboko w oczy.

— Moim zdaniem powinniśmy zaczekać do jutra.

— Dlaczego?

— W tym pokoju jesteśmy bezpieczni. To cud, że w ogóle się tu dostaliśmy, i uważam, że po tym, co przeszliśmy, należy nam się chwila wytchnienia.

— Ale w moim śnie...

Wzięła mnie za rękę.

— Nic złego ci się nie stanie, Davidzie. Nawet jeżeli przyśni ci się ukrzyżowanie. Jesteś ze mną, a ja potrafię się tobą zaopiekować.

Położyła drugą rękę na mojej, przez co kołdra zsunęła jej się na stopy. Staralem się nie spuszczać wzroku, choć jej właśnie o to chodziło.

— Rachel, muszę tam jechać jeszcze dzisiaj.

— Nie możemy. Jeszcze nie. — Oparła głowę na mojej piersi i objęła mnie. — Świat się nie skończy tylko dlatego, że poświęcimy kilka minut wyłącznie dla siebie.

Pocałowała mnie w pierś, wtuliła twarz w moje ramię i przyciągnęła mnie do siebie. Zrzuciła swoją profesjonalną skórę. Ta nowa kobieta była dla mnie odkryciem, pragnąłem jej. Nachyliłem się i pocałowałem ją. Usta miała ciepłe i elastyczne, a nie zimne i lepkie, jak ten mężczyzna w moim śnie. Na samo wspomnienie przeszedł mnie dreszcz.

Rachel odsunęła się i spojrzała mi w oczy.

— Co z tobą?
— Wszystko w porządku. — Pochyliłem się, by znów ją pocałować.

Pokręciła głową.

— Nieprawda. Z tobą nic nie będzie w porządku, dopóki raz na zawsze nie załatwimy tej sprawy z Jezusem.

Oboje podskoczyliśmy na dźwięk dzwonka. Odebrałem.

— Tak?

— Pański samochód czeka, proszę pana — powiedział głos z silnym akcentem.

— Dziękuję. — Odłożyłem słuchawkę.

Zanim zdążyłem cokolwiek wyjaśnić, Rachel pocałowała mnie w policzek, odwróciła się i zaczęła się ubierać.

Naszym kierowcą okazał się stary wąsaty Palestyńczyk, na imię miał Ibrahim. O jego znajomości angielskiego lepiej nie wspominać, zrozumiał jednak, że chcemy się dostać do Starego Miasta. To wystarczyło, byśmy dotarli do bramy Jaffy. Kiedy podjeżdżaliśmy do wyblakłego od słońca kamiennego muru, po raz pierwszy doznałem wrażenia *déjà vu*. Za tym murem, w tej krwawej kopalni historii, kryła się przeznaczona tylko dla mnie tajemnica. Czekala przez dwa tysiące lat, niewidoczna dla tych, którzy przybyli z łopatami, szczoteczkami do zębów, pilnikami i dłutami dentystrycznymi. Nie miałem pojęcia, co to za tajemnica, wiedziałem jednak, że poznam ją, kiedy na nią trafię.

— Skąd chcesz zacząć? — spytała Rachel.

— Od ostatniego dnia Jezusa.

— Tak — odezwał się Ibrahim, oglądając się na mnie. — Góra Oliwna, Ogród Getsemani, miejsce Czaszki.

Jakiś motocyklista zatrąbił wściekle i przemknął obok nas.

— Miejsce Czaszki? — zdziwiłem się.

— Po hebrajsku Golgota, po łacinie Kalwaria. To tam ukrzyżowano Jezusa.

— O to właśnie nam chodzi.

— Kościół Świętego Grobu. Dziewięć stacji krzyżowych przed kościołem, ostatnie pięć w środku. Zawiozę was tam.

— Dlaczego akurat tam? — spytała mnie Rachel.

Poczułem ogarniającą mnie falą gorąca i przez chwilą nie mogłem oddychać.

— Sam nie wiem.

— Davidzie! Co ci jest? — Przyłożyła mi dłoń do czoła. — Jesteś rozpalony.

Miała racją, choć jeszcze trzydzieści sekund wcześniej czułem się świetnie.

— Lepiej się pośpieszmy.

Ibrahim zajął na parkingu miejsce wycofującego się citroena. Wielki autokar turystyczny zasłonił nam światło od tyłu.

— Zatrzymujemy się przed murem? — zdziwiła się Rachel.

— Tak — odparł Ibrahim. — Zwyczaj każe iść stąd piechotą. By obejrzyć najważniejsze miejsca w mieście.

— Jak daleko stąd do kościoła?

— Świętego Grobu? W taki dzień jak dziś do Via Dolorosa pół godziny, może trochę więcej.

Rachel miała nietęgą miną.

— Nie mógłby nas pan podwieźć bliżej?

— Czy ten pan jest chory?

Zawahała się.

— Tak. Przyjechał do Jerozolimy z nadzieją, że to go wyleczy.

— A! Wielu chorych przybywa do grobu Jezusa i całuje kamień w miejscu, gdzie zmartwychwstał.

— Pomoże nam pan?

— Jasne. Za sto szekli ekstra zawiozą was tam bardzo szybko.

— Może być sto.

Ibrahim cofnął samochód, zatrąbił i dodał gazu, nieomal rozjeżdżając otuloną szalem kobietą, która uskoczyła w ostatniej chwili i obrzuciła go przekleństwami. Znów oganiała mnie fala gorąca. Bałem się, że stracę przytomność.

— Narkolepsja? — spytała Rachel.

— Nie. To co innego.

— Powinniśmy wrócić do hotelu.

— Nie. Jedziemy na Drogą Krzyżową.

— Via Dolorosa — zawtórował Ibrahim. — Via Crucis. Tutejsi chrześcijanie nazywają ją Drogą Kwiatową. Na pierwszej stacji Jezus

został skazany na śmierć, na drugiej obarczono go krzyżem, na trzeciej potknął się po raz pierwszy, na czwartej...

Nie byłem w stanie dłużej słuchać słów naszego przewodnika. Cały byłem zlany potem, nagle jednak ogarnął mnie chłód. Kiedy nasz samochód śmigał wąskimi uliczkami, patrzyłem na kamienne mury, błyszczące żaluzje, kramy z dewocjonaliami oraz na turystów ubranych w stroje wszelkich narodów świata. Ibrahim opuścił szybę po swojej stronie, żeby obrzucić kogoś przekleństwami, i wewnątrz wozu wypełnił zapach jaśminu. Zaledwie dotarł do mojego nosa, poczułem nagły przypływ euforii, a potem wszystko rozmyło się w bieli.

Rozdział 30

— Davidzie! Obudź się. Jesteśmy na miejscu.

Ktoś potrząsał mnie za ramię. Zamrugałem i usiadłem prosto. Rachel zaglądała do środka samochodu przez tylną szybę.

— Gdzie jesteśmy? — spytałem.

— Na Drodze Krzyżowej. To surrealistyczny obraz w ruchu. Naprawdę chcesz to zobaczyć?

Wygramoliłem się z auta i z przerażeniem spojrzałem na tłum ludzi. Czterech mężczyzn dźwigało na ramionach wielkie drewniane krzyże. Dwóch z przyszyłych Jezusów nosiło białe szaty, pozostali dwaj byli ubrani normalnie. Krzyże miały na dole kółka, by ułatwić ich taszczenie, co moim zdaniem czyniło całą rzecz bezsensowną.

— Poznajesz coś ze swoich snów? — spytała Rachel.

— Nie. Chodźmy.

Ibrahim poprowadził nas brukowaną uliczką, z wprawą lawirując między turystami. W takim miejscu oczekiwałem atmosfery przepojonej czcią, tymczasem przypominało to cyrk. Pośród murów rozbrzmiewał gwar głosów; rozpoznałem język niemiecki, francuski, angielski, rosyjski, hebrajski, arabski, japoński i włoski, a było ich o wiele więcej. Jakiś ostrzyżony prawie na łyso facet z akcentem z Alabamy żarliwie perorował przed grupą japońskich pielgrzymów. Ibrahimowi nie zamykały się usta, po latach oprowadzania turystów trajkotał monotonna i beznamiętnie.

— Niech pan zaczeka — powstrzymała go Rachel i zwróciła się do mnie: — Co chcesz obejrzeć?

— Gdzie jesteśmy?

Ibrahim uśmiechnął się.

— Przy tych niebieskich drzwiach, proszę pana, jest szkoła Omaria, pierwsza stacja drogi krzyżowej, gdzie skazano Jezusa na śmierć.

— Chcesz to zobaczyć? — spytała Rachel.

— Nie. Jaka jest druga stacja?

Ibrahim wskazał w dół brukowanej uliczki, na ceglany półokrąg.

— Tam Jezus zaczął dźwigać krzyż. Dalej na tej ulicy znajduje się Kaplica Biczowania, gdzie rzymscy żołnierze wychłostali Jezusa, włożyli mu na głowę koronę cierniową i zawołali: „Witaj, królu Żydów!”. Potem Piłat doprowadził go do tłumu i krzyknął: „*Ecce homo!* Oto człowiek!”.

Ibrahim informował nas o tym z zapalem faceta odczytującego numery bingo w domu starców.

— Idziemy — powiedziałem. — Do kościoła.

Przewodnik poprowadził nas w dół ulicy. Minęliśmy czarne drzwi osadzone w białym kamiennym łuku, a Ibrahim bąknął coś o tym, jak to Jezus potknął się po raz pierwszy. Wlepiłem wzrok w drzwi, ale nic nie poczułem. Być może to, czego szukałem, znajdowało się za tą płataniną uliczek, sklepików i markiz. Jerozolima prawdopodobnie przypominała Kair — zbudowane na własnych kościach miasto, gdzie każda nowa budowa wydobywała spod ziemi zaginione rozdziały historii.

Ibrahim zaprowadził nas do kolejnego półokręgu z cegieł i znów zaczął nawijać:

— To piąta stacja. Tu rzymscy żołnierze zmusili Szymona Cyrenejczyka, by pomógł Jezusowi dźwigać krzyż.

Rachel zerknęła na mnie.

— Ruszajmy dalej.

Podszedł do nas uśmiechnięty chłopczyk sprzedający korony cierniowe. Z mojego spojrzenia wywnioskował, że jestem zainteresowany zakupem, ale Ibrahim przepędził go. Kiedy patrzyłem, jak wiązanka cierni na ramieniu chłopczyka podskakuje ulicą, zrobiło mi się ciemno przed oczami, ugięły się pode mną kolana. Rachel wsunęła się pod

moje prawe ramię i pokuśtykaliśmy za Ibrahimem.

Następne kilka stacji pamiętam jak przez mgłę. Słowa Palestyńczyka mieszały się z dziwnymi obrazami: „Tutaj Weronika otarła udręczoną twarz Jezusa, dzięki czemu na chuście w cudowny sposób odbiło się jego prawdziwe oblicze... tutaj Jezus upadł po raz drugi... tutaj powiedział: Córy Jerozolimy, nie płaczcie nade mną, płaczcie nad sobą i swoimi dziećmi...”.

Przeszliśmy pod sklepieniem, potem przez ciemną kaplicę, aż naraz znalazłem się na zatłoczonym dziedzińcu przed rzymskim kościołem. Pielgrzymi, kapłani i zakonnice poruszali się pod czujnym spojrzeniem kilkunastu izraelskich żołnierzy z pistoletami maszynowymi.

— To Kościół Świętego Grobu — oświadczył Ibrahim, machając ręką w kierunku budynku. — Krzyżowcy budowali go przez pięćdziesiąt lat, od tysiąc dziewięćdziesiątego dziewiątego do tysiąc sto czterdziestego dziewiątego roku. Pierwotną bazylikę postawiła królowa Helena, matka Konstantyna, która przybyła tu w trzysta dwudziestym piątym roku i w podziemnej jaskini odkryła fragmenty prawdziwego krzyża.

Rozczarowany spojrzałem na długą kolejkę przed wejściem.

— Nie jest źle — orzekł Ibrahim. — Jak na tę porę roku, turystów jest bardzo mało. Walki odstraszają wszystkich, nawet podczas wielkanocnego Wielkiego Tygodnia. Dla was dobrze, dla mnie źle. Czy pan się dobrze czuje? Może przyniosę panu wody?

— Nic mi nie jest.

— Oprzyj się na mnie mocniej — powiedziała Rachel, lokując się wygodniej pod moim ramieniem.

Przeniosłem ciężar ciała na nią.

— Dzięki.

Grzbietem dłoni dotknęła mojego policzka.

— Chętnie zmierzylabym ci ciśnienie.

— Na prawo od wejścia jest dziewiąta stacja — ciągnął Ibrahim. — Tutaj zdarto z Jezusa szaty. Ostatnie pięć stacji Drogi Krzyżowej znajduje się wewnątrz kościoła.

— Czy to nie dziwne? — powiedziała Rachel cicho. — Miliony ludzi podróżujących do pustego grobu?

Stać mnie było jedynie na skinięcie głową.

— To jedyny na całym świecie pusty grób w kościele chrześcijańskim — rzekł Ibrahim. — Anioł zapytał obie Marie: „Kogo szukacie”, a one odparły: „Jezusa z Nazaretu”. „Jego nie ma tutaj — powiedział anioł. — On się podniósł!”.

Nagle dziedziniec rozmazał mi się przed oczami i poczułem się lżejszy. Miałem wrażenie, że płynę na ramieniu Rachel.

— Davidzie? — odezwała się. — Słyszysz mnie?

Zamrugalem i stwierdziłem, że wpatruję się w kamienny sufit.

— Czy jesteśmy w kościele?

— Szedłeś, śpiąc — szepnęła, a w jej oczach odbijał się niepokój.

— Musimy wracać do hotelu.

— Dotarliśmy na miejsce. Jesteśmy tu. Muszę to zobaczyć.

— Zobaczyć co?

Nagle mnie oświeciło.

— Grób.

Odwróciła się do Ibrahima.

— Gdzie jest grób Jezusa?

— Tędy. Wszystkie stacje w tym kościele są koło siebie. — Wskazał na czerwonawą marmurową płytę w podłodze. Kilkoro normalnie ubranych mężczyzn i kobiet klęczało, przyciskając twarze do kamienia. Ponad nimi jakaś kobieta wylewała coś na płytę. Doleciał mnie powiew nieznośnie słodkich perfum.

— Co to jest? — spytałem.

— Kamień Namaszczenia — wyjaśnił Ibrahim. — To tutaj namaszczone ciało Jezusa olejkami i okryto całunem, kiedy już zdjęto go z krzyża.

Podszedłem bliżej, ale niczego nie poczułem.

— Czy to oryginalny kamień?

— Nie, proszę pana. Ten kamień pochodzi z roku tysiąc osiemset dziesiątego i zastąpił kamień z dwunastego wieku. Co było wcześniej, nie wiadomo. Tędy, proszę.

Poprowadził nas w lewo, do rotundy kościoła. Przez okazałą białą i złotą kopułę przeświecało światło. Pod nią stała duża prostokątna budowla z marmuru. Obita wielkimi metalowymi sztabami, wyglądała jak przygotowana do transportu. Od góry wieńczyła ją kopuła, niczym zdjęta z Kremla.

— A to co? — spytałem.

— To jest Święty Grobowiec, proszę pana. Zwany także Aediculą albo małym domkiem. Ponieważ Jezus był bardzo ważnym człowiekiem,

Bizantyjczycy i krzyżowcy wydali mnóstwo pieniędzy, żeby zbudować mu ten grób. To czternasta i ostatnia stacja Drogi Krzyżowej. Żydzi zawsze chowali zmarłych poza granicami miasta. Obecna zewnętrzna powłoka z marmuru kruszy się i musi być spięta żelaznymi sztabami. Idziemy, proszę pana? Staniemy w kolejce? Proszę pani?

Ibrahim nieubłaganie paplał dalej, lecz byłem tak zdezorientowany, że nie przyswajałem tego, co mówi. Spodziewałem się, że grób Jezusa będzie czymś w rodzaju jaskini, na otwartym terenie, a nie mauzoleum w średniowiecznym, podobnym do lochów kościele.

— Kolejka się przesuwa — powiedziała Rachel, popychając mnie do przodu.

Wkrótce stanęliśmy przed drzwiami do Aediculi. Tutaj wreszcie Ibrahim odezwał się z czcią, której oczekiwałem od początku.

— W środku grobu zobaczymy dwa pomieszczenia — oznajmił. — Wejdźmy tam.

W pierwszym pomieszczeniu ujrzałem podium, na którym stała szklana skrzynka. Znajdował się w niej kawałek kamienia.

— Nazywamy to „Pokojem Anioła” — wyjaśnił Ibrahim. — To miejsce, gdzie zmarły czeka, aż przygotują dla niego miejsce pochówku. Tutaj przechowuje się kawałek kamienia, który aniołowie odsunęli, żeby Jezus mógł zmartwychwstać.

Po prawej zauważyłem dwie dziury w ścianie.

— Kiedy ludzie nie mają ognia do swoich wielkanocnych świec — wyjaśnił Ibrahim — staje tam ksiądz i daje im Święty Ogień, daje światło ze swojej wielkiej świecy dla ich małych.

Moją uwagę przykuły niskie drzwi w grubej marmurowej ścianie wewnętrznego grobu. Schyliłem się i przeszedłem przez nie do mniejszej komnaty. Mężczyzna i kobieta klęczeli, modląc się przed czymś, co wyglądało na marmurową płytkę z ołtarza. Na kamieniu położyli krucyfiksy, jak gdyby poprzez sam kontakt miały zostać pobłogosławione. Nad nimi wisiały na łańcuchach ozdobne srebrne lampy. Świece rzucały migotliwe światło. Stały tam wazy z białymi różami, ich zapach przesycił powietrze w małym pomieszczeniu.

— Davidzie? — szepnęła Rachel. — Czy właśnie to chciałeś zobaczyć?

Schylilem się i dotknąłem marmurowej płyty przed modlącą się parą. Nie wiedziałem, czego się spodziewać, w każdym razie czegoś. Tymczasem więcej poczułem w Stonehenge, kiedy przeszedłem przez ogrodzenie i dotknąłem tamtejszych głazów.

— To nie tu.

— Co? — zdziwiła się Rachel.

— Tutaj nic się nie wydarzyło.

Kłęczący mężczyzna i kobieta podnieśli na mnie wzrok i wytrzeszczyli oczy.

— Nie należy tak mówić, proszę pana — zganił mnie Ibrahim zza moich pleców. — To najświętsze miejsce.

— To nie tu — powtórzyłem. Zgiąłem się wpół i szybko czmychnąłem do rotundy.

Rachel wyszła za mną. Czekający w kolejce ludzie gapili się na nas, wyczuwając kłopoty. Miałem to gdzieś. Ogarnął mnie dziki strach. Na dworze wkrótce miało się całkiem ściemnić, a ja wciąż nie znalazłem tego, po co tu przybyłem.

— Powiedz mi, co się dzieje! — szepnęła Rachel.

— Tam nic się nie wydarzyło. To nie to miejsce. Ktoś w kolejce jęknął z oburzenia.

— Jakie miejsce? — spytała Rachel.

Odwróciłem się do Ibrahima, który stał z krótkofalówką w ręku i najwyraźniej zastanawiał się, czy wezwać pomoc.

— Czy ten kamień w grobowcu jest oryginalny?

— Nie, proszę pana. Położono tam marmurową płytę, by zakryła prawdziwy kamień, na którym leżało ciało Jezusa.

— A tego prawdziwego kamienia nie można zobaczyć?

Twarz naszego przewodnika rozpogodziła się.

— O tak, można zobaczyć. A nawet dotknąć. Proszę za mną.

Zaprowadził nas na koniec Aediculi. Stała tam inna kaplica, o wiele mniej ostentacyjna i otwarta na rotundę. Była bez porównania bardziej kolorowa niż marmurowy grobowiec, który właśnie opuściliśmy. Jasne draperie na ścianach, kute żelazo i młody człowiek w luźnym stroju, który jej pilnował.

— To jest święty grób od drugiej strony, proszę pana — wyszeptał Ibrahim. — Część kaplicy koptyjskiej. Koptowie to chrześcijanie z Egiptu. Bardzo pobożni.

Tutaj kolejka była znacznie krótsza. Niknęła w płytkiej kaplicy i kończyła się przed małą kotarą, która coś zasłaniała.

— Za tym punktem, proszę pana, znajduje się odsłonięty fragment prawdziwego kamienia, na którym leżał Jezus. Chorzy przybywają tu, by zostać uleczeni, inni po błogosławieństwo.

Kiedy czekałem w przesuwającej się kolejce, poczułem mrowienie skóry, jak od pokrzywy. W końcu nadeszła moja kolej. Wszedłem za kotarę, ukląknę i położyłem prawą rękę na gołym kamieniu.

— Davidzie? — dobiegł mnie z tyłu szept Rachel.

Pokręciłem głową.

— Nic. — Po raz pierwszy od sześciu miesięcy zacząłem wątpić, czy aby jestem zdrowy na umyśle.

— Uważam, że powinniśmy wracać do hotelu — oświadczyła Rachel. — Ibrahim w każdej chwili jest gotów wezwać pomoc.

Wstałem niezgrabnie i wyszedłem z kaplicy. Mój mózg pracował na najwyższych obrotach. Ibrahim patrzył na mnie, jakbym lada chwila miał zacząć bluźnić na głos, z czym pewnie w swojej długiej karierze już się stykał. W rękę wciąż trzymał krótkofalówkę.

— Tutaj też nic się nie wydarzyło — powiedziałem mu. — To nie to miejsce.

— Ależ, proszę pana, to przecież święty grób!

— Czy nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości?

— Bo ja wiem... niektórzy protestanci są zdania, że prawdziwym miejscem spoczynku Jezusa jest grób kwietny poza murami miasta. Ale żaden archeolog w to nie wierzy. Widział pan prawdziwy grób, proszę pana.

Wysoka pospolita kobieta z Biblią Króla Jakuba w rękę wyszła z kolejki przed kaplicą i zwróciła się do mnie po angielsku:

— Czy to ma jakiegokolwiek znaczenie, gdzie znajduje się grób, bracie? *Jego nie ma tutaj. On się podniósł.*

— Czy to ma znaczenie? — odparłem. — Oczywiście! A gdyby tak znaleziono prawdziwy grób Jezusa, zawierający jego kości? To przecież różnica między prawowitą religią a masową histerią.

Kobieta niemal odskoczyła ode mnie. Ibrahim wyglądał jak rażony piorunem.

— Proszę pana! Nie wolno mówić takich rzeczy!

— Jesteś muzułmaninem, Ibrahimie. Ty i tak w to nie wierzysz.

— Bardzo pana proszę...

Odszedłem od Aediculi, nie wiedząc, gdzie skręcić ani co robić.

Obok mnie pojawiła się Rachel.

— Davidzie, czego ty właściwie szukasz?

— Miejsca zmartwychwstania Jezusa.

— Przecież ty nie wierzysz w Boga. Jak możesz, znaleźć miejsce zmartwychwstania Jezusa, skoro nie wierzysz, że istnieje?

Ibrahim zrównał się z nami.

— Proszę pana? Niektórzy wierzą, że Jezus powrócił do życia gdzie indziej. Pokażę panu.

Poprowadził nas przez rotundę do drzwi dużego kościoła, w całości mieszczącego się wewnątrz większego.

— To jest katolikon. — Wskazał na kandelabr. — Pod kopułą tego kościoła znajduje się marmurowa misa zwana Omphalos. Pępek świata. Część Greków wierzy, że Jezus zmartwychwstał tutaj i że pewnego dnia wróci tu, by dokonać sądu nad światem.

— Możemy go zobaczyć?

— Ten kościół jest przeważnie zamknięty, ale wprowadzę was tam.

Poprowadził nas wzdłuż łańcucha do kamiennego kielicha stojącego na mozaikowej podłodze. Wysoko nad nami wznosiło się sklepienie, z eterycznym wizerunkiem Chrystusa w pastelowych barwach. Spojrzałem w dół, na kamienne wgłębienie w kształcie wielkiej misy. Po chwili schyliłem się i dotknąłem jej. Poczulem tyle co nic.

Rachel natychmiast odczytała moją reakcję.

— Na co ty liczysz? Na porażenie prądem? Na głos z nieba? Odwróciłem się do naszego przewodnika, który kręcił głową.

— Czego jeszcze nie widziałem, Ibrahimie?

— Wielu rzeczy. Przede wszystkim Golgoty. Po łacinie to Kalwaria. Miejsce ukrzyżowania Jezusa.

— Czy to jest w tym kościele?

— Oczywiście. Proszę za mną.

Wyprowadził nas z katolikonu na strome schody. Po drodze w górę

naliczyłem osiemnaście stopni, a im wyżej wchodziłem, tym bardziej moja nadzieja malała.

Gdy stanąłem na szczycie schodów, mój puls przyspieszył. Panował tam tłok, ale po lewej, ponad głowami ludzi, dostrzegłem naturalnych rozmiarów rzeźbą Jezusa na krzyżu. Biodra miał osłonięte srebrną materią, na głowie srebrną koroną. Jednak to nie rzeźba tak mnie poruszyła, lecz coś w samym pomieszczeniu. Czuję się, jakbym stał obok trakcji wysokiego napięcia, jak gdyby elektryczność jeżyła mi włosy na całym ciele.

— Co? Co się dzieje? — dopytywała się Rachel.

— Cały wibruję w środku.

— To nic nowego. Podręcznikowy wstęp do halucynacji.

— Nie... tym razem to coś innego.

— Ibrahim! — zawołała Rachel.

— Słucham panią?

— Wracamy do samochodu.

— Tak jest — odparł z wyraźną ulgą.

Odszedłem od nich. Po mojej prawej malowidło ścienne przedstawiało Jezusa, rozciągniętego na leżącym na ziemi krzyżu. Stojący przed malunkiem ludzie rozstąpili się i zobaczyłem szafkę ze ściankami z kutego srebra. Kiedy podszedłem do malowidła, w lewym ramieniu poczułem palący ból. Przez chwilę myślałem, że to atak serca. Po chwili ból przeszył również prawe ramię. Zaciśnąłem dłonie w pięści, ale nie pomogło. Odwróciłem się do Ibrahima.

— Co to za miejsce?

— To jedenasta stacja, proszę pana. Tutaj Jezus został przybity do krzyża.

Jęknąłem.

— Musimy go stąd wyprowadzić — nalegała Rachel. — Może pan sprowadzić pomoc?

— Może iść sam — odparł Ibrahim. — Chodźmy już.

— Nie sądzę, żeby poszedł z własnej woli.

Część obecnych w pomieszczeniu ludzi gapiała się na mnie jak na szaleńca.

— Mogę wezwać żołnierzy — zaproponował Ibrahim. — Ale wołałbym tego nie robić.

— Tak — przytaknęła Rachel. — To znaczy nie. Obejdzie się bez tego.

Grupa pielgrzymów odeszła od rzeźby Jezusa, odsłaniając fantastycznie zdobiony ołtarz. Ruszyłem przed siebie, z oczami wbitymi w odzianą w srebro Madonnę, stojącą pod krzyżem. Wydawało się, że ołtarz przed nią spoczywa na wielkiej szklanej skrzyni. Pod szkłem zobaczyłem toporną szarą skałę.

— Co to jest? — spytałem.

— Golgota — wyjaśnił Ibrahim. — Miejsce Czaszki. To jest ta góra, gdzie pękła skała, kiedy krew Jezusa kapłała z krzyża. Potem nastąpiło trzęsienie ziemi.

Wszystko zalało oślepiająco białe światło. Ujrzałem tę górę taką, jaką była, zanim postawiono ten kościół — nagi skalisty pagórek obok usianego grobami wzgórza. Na pagórku stały trzy krzyże, lecz nikt na nich nie wisiał. Niebo pociemniało, stało się czarne; opadłem na kolana.

Stwierdziłem, że patrzę na błyszczący srebrny krąg z dziurą pośrodku. Leżał na marmurowej podstawie ołtarza, trzydzieści centymetrów od podłogi. Wyciągnąłem drżącą prawą dłoń i położyłem ją na kręgu.

Ból w ramionach natychmiast ustał.

— To jest to miejsce — oświadczyłem. — To tutaj Jezus opuścił ziemię.

— On ma rację — przytaknął Ibrahim. — Ten krąg zaznacza miejsce, gdzie stał wbity w ziemię krzyż. Po prawej i lewej są czarne kręgi, gdzie stały krzyże dla złodziei, z których jeden był dobry, a drugi zły. Następnie Jezus został zaniesiony do grobu Józefa z Arymatei, a trzy dni później zmartwychwstał.

— Nie.

Ibrahim zbladł ze strachu.

— Proszę pana, tutaj nie wolno mówić takich rzeczy!

— Mówcie szeptem — poprosiła Rachel.

— Po co jest ta dziura w kręgu? — spytałem, pieszcząc dłonią chłodne srebro.

— Można tam włożyć palce i dotknąć Golgoty. Czyli Kalwarii.

Zamknąłem oczy i włożyłem do otworu dwa palce. Paznokciami trafiłem na surowy kamień.

— Czy to ci się śniło? — spytała Rachel.

Nie mogłem wydobyć głosu. Coś przepływało w głąb mnie z żywej

skały. Głos Rachel ucichł i nie powrócił. Miałem wrażenie, że moje kości śpiewają, wibrują, współczując czemuś na ziemi. Początkowo było to przyjemne uczucie, jednak w miarę jak się nasilało, zacząłem się trząść, a wreszcie dygotać spazmatycznie.

To atak, odezwał się znajomy głos w mojej głowie. Drgawkowy atak kloniczny. Poprzez mgłę gasnącej świadomości usłyszałem ludzi krzyczących w kilku językach. Upadłem, a Rachel zaczęła wrzeszczeć.

Uderzenie o podłogę przypominało uderzenie o tafelę wody.

Rozdział 31

Białe Piaski

O 7.52 rano czasu miejscowego Peter Godin dostał zapaści. Raviego Nary nie było w hangarze szpitalnym, lecz spał niedaleko, więc dotarł do łóżka Godina w niecałe dwie minuty. Spodziewał się takiego kryzysu. Bez przetoki, która zmniejszyłaby ciśnienie w czwartej komorze mózgu, nieuchronnie musiało wystąpić wodogłowie. Kiedy jednak Ravi przybył do Bąbla, okazało się, że starzec dostał zwyczajnego ataku serca.

Dwie pielęgniarki zdążyły już Godina intubować, a jedna przeprowadzała właśnie defibrylację serca. Ravi odczytał wynik EKG i potwierdził diagnozę: częstoskurcz komorowy. Zastosowali elektrody, ponieważ zanikł puls. Dopiero połączenie dwóch lekarstw i wstrząs o sile trzystu sześćdziesięciu dżuli przywróciły sercu sinusoidalny rytm. Ravi pobrał krew do analizy pod kątem specyficznych dla serca enzymów, co dałoby mu pojęcie o tym, jak rozległe szkody poniósł mięsień sercowy. W końcu, ponieważ Godin był wciąż nieprzytomny, usiadł na chwilę, żeby się odprężyć.

Z całego serca nie znosił medycyny klinicznej. Zawsze coś człowieka zaskakiwało. Godinowi wszczepiono bypasy piętnaście lat temu, a w 1998 roku implant. Oczywiście ryzyko zawału istniało przez cały czas, lecz stres spowodowany leczeniem guza mózgu spowodował, że Ravi zapomniał o sercu. Pielęgniarki zwróciły uwagę na jego wahanie podczas sytuacji alarmowej. Nie tego spodziewały się po nobliście z dziedziny medycyny. Po latach spędzonych w laboratoriach wyszedł z wprawy. No to co? Procedurę postępowania w

sytuacjach kryzysowych mógłby zastosować pierwszy lepszy weterynarz.

Kiedy pielęgniarka zaczęła podłączać respirator, Godin chciał się odezwać, lecz wydobył z siebie tylko skrzekliwy dźwięk.

Ravi nachylił się do jego ucha.

— Peter, nie próbuj mówić. Miałeś arytmie serca, ale już wszystko w porządku.

Godin podniósł rękę, by dać mu coś do pisania. Pielęgniarka podała mu długopis i podtrzymała notes na twardej podkładce.

Godin nabazgrał:

NIE POZWÓLCIE MI UMRZEĆ! JESTEŚMY TAK BLISKO!!!

— Nie umrzesz — zapewnił go Ravi, choć sam nie był tego taki pewny. Niedotlenienie narządów i tkanek w każdej chwili mogło wyzwolić śmiertelne wodogłowie, którego się spodziewał. Ucisnęła Godinowi ramię i polecił pielęgniarkom, by podłączyły respirator. Stary się wścieknął, ale przetrzyma.

Żeby nie słuchać jego protestów, Ravi wyszedł z Bąbla. Zamykając wąż, zobaczył, jak do hangaru wpada Zach Levin.

— Co jest? — zapytał Ravi. — Co się stało?

Levin długo łąpał oddech, zanim się odezwał.

— Fielding łamie ostatnie algorytmy! Powiązał już obszary pamięci z obszarami przetwarzania i tworzy zupełnie nowy obieg. W życiu czegoś takiego nie widziałem!

— Chcesz powiedzieć, że robi to model Fieldinga?

— Tak, owszem. Ale przyznam ci się, że chociaż maszyna działa dopiero na pięćdziesiąt procent, czuję w środku jego obecność. Zupełnie jakbym rozmawiał z człowiekiem, z którym pracowałem przez ostatnie dwa lata. Jakby ożył.

— Osiągnęliście już pięćdziesięcioprocentowa wydajność?

Levin uśmiechnął się szeroko.

— I wciąż wzrasta. Powinienem bardziej ufać instynktowi Petera.

Ravi starał się ukryć, jak bardzo jest wstrząśnięty. Godin przewidywał, że neuromodel będzie w pełni świadomy przy dziewięćdziesięcioprocentowej wydajności, co określał terminem „stan Świętej Trójcy”.

— Powiedziałeś „jakbym rozmawiał”. — Ravi myślał na głos. — Czy

syntezator głosu już pracuje? Czy Fielding do ciebie mówi?

— Próbuje. Nie potrafi jeszcze dokładnie wyjaśnić, co robi, ale to się z każdą chwilą poprawia. Teraz już mamy ostateczny termin zakończenia pracy.

Pomimo swojej skomplikowanej sytuacji Ravi nie mógł pohamować podniecenia.

— Ile jeszcze?

— Dwanaście do szesnastu godzin.

— Do stanu Świętej Trójcy?

Levin przytaknął ruchem głowy.

— Ja obstawiam dwanaście godzin. W Pojemniku urządziliśmy zakłady.

Ravi spojrzął na zegarek.

— Jesteś tego pewny?

— Na ile tylko można być czegoś pewnym w tym interesie. Muszę zawiadomić Petera, co się dzieje.

Ravi wolał porozumieć się ze Skowem, zanim Godin się o tym dowie.

— Nie możesz tam teraz wejść. Peter cię nie usłyszy. Dwadzieścia minut temu miał zapaść.

Levin zeszytniał ze strachu.

— Ale nie umarł?!

— Nie, ale jest podłączony do respiratora.

— Przytomny?

— Nie na tyle, żeby cię zrozumiał. I nie może mówić.

— Ale on musi się o tym dowiedzieć! To mu tylko doda sił do walki.

Ravi starał się wyglądać współczująco.

— Tego mu nigdy nie brakowało.

— Nie, ale to wszystko zmienia.

— Przykro mi, Zach, nie mogę cię do niego wpuścić.

Levin zmierzył go pogardliwym spojrzeniem.

— Takie decyzje to nie twoja działka. Ograniczasz dostęp Petera do kluczowych informacji?

— Jestem jego lekarzem.

— Więc zajmuj się, kurwa, tym, co do ciebie należy. Nie trzeba być lekarzem, żeby wiedzieć, że najlepsze, co można dla niego zrobić, to zanieść mu tę informację.

Levin odwrócił się i wszedł do odkażacza. Ravi zaczął protestować, lecz inżynier wcisnął stopą przycisk „start”, przez co wszelka rozmowa stała się bezprzedmiotowa.

Skoro Levin uparł się, żeby wejść do Bąbla, Ravi nie mógł go powstrzymać. Zresztą Godin i tak wkrótce sam by go wezwał.

Nara pośpieszył do wyjścia. Musiał natychmiast skontaktować się ze Skowem. A to dlatego, że Zach Levin miał rację: jeżeli do osiągnięcia pełnej sprawności Świętej Trójcy brakowało dwunastu, góra szesnastu godzin, to Godin z pewnością dożyje tej chwili. To zaś zmieniało wszystko. Skow przygotowywał prezydenta na fiasco Świętej Trójcy i zamierzał zwalić winę na Godina, Ravi zaś miał mu w tym pomóc. Gdyby Skow posunął się za daleko — a Godin po dwunastu godzinach dostarczyłby rewolucyjny komputer, który obiecał — Ravi znalazłby się w opałach. Peter Godin nie wybaczyłby zdrady. Sam wymierzyłby sprawiedliwość. Raviemu przed oczami stanęła Geli Bauer. Cieszył się jak cholera, że to babsko leży w szpitalu w Maryland.

Jerozolima

Rachel oparła się o ścianę karetki pogotowia, która przedzierała się przez zakorkowane uliczki. David leżał na podłodze, na metalowych noszach z kółkami. Sanitariusz władał angielskim na tyle, by się z nią porozumieć, jednak niewiele mógł jej powiedzieć, a jeszcze mniej zrobić, zważywszy na stan pacjenta.

Kiedy David upadł w kościele, Rachel natychmiast domyśliła się, że ma atak. Uklękła i ujęła jego głowę, żeby nie walił nią w podłogę, jednak nie mogła zrobić nic więcej. Opowieści o tym, jak chorzy w czasie napadu połykają własny język, to mity i starając się temu zapobiec, można co najwyżej stracić palce. Ibrahim przez krótkofalówkę wezwał karetkę. Rachel odniosła wrażenie, że robi to nie po raz pierwszy.

Izraelscy żołnierze szybko otoczyli kościół. Zanim dotarła karetka, atak minął, lecz David wciąż nie odzyskał przytomności. Sanitariusze sprawdzili cukier w jego krwi i stwierdzili, że poziom glukozy jest w normie. W przypadku śpiączki nic więcej nie mogli zrobić na miejscu,

więc nałożyli mu kołnierz, położyli na desce ortopedycznej i kazali żołnierzom wynieść go do czekającej na dziedzińcu karetki.

Kiedy, przechylając się na zakrętach, pędzili do szpitala, Rachel w myślach dokonała przeglądu możliwych powodów śpiączki. Po hipoglikemii najczęstszą przyczyną były lekarstwa, lecz David nie był uczulony na żadne leki. Nie uderzył o podłogę na tyle mocno, by nabawić się urazu głowy, a mając czterdzieści jeden lat, był nieco za stary na późną padaczkę, chociaż podejrzewała go o nią, odkąd dowiedziała się o jego halucynacjach. Ravi Nara wykluczył epilepsję, przypomniała sobie.

Atak i śpiączkę mógł spowodować udar, ale byłby to rzadki przypadek. Zatrucie? Pomyślała o białym proszku z koperty FedExu od Fieldinga. Czyżby w tym „piasku” znajdował się jakiś toksyczny czynnik, którego naukowcy z Duke'a nie potrafili wykryć? W grę wchodziło też zapalenie mózgu z zachodniego Nilu. Być może w Tennessee Davida ukąsił jakiś komar i dopiero teraz rozwinął się obrzęk mózgu? Mógł też złapać bakterie wywołujące zapalenie opon mózgowych na lotnisku Kennedy'ego. Należałoby wziąć pod uwagę także guz mózgu, wykryłyby go jednak skany super-RM w Świętej Trójcy.

Układając sobie to wszystko w pamięci, by przekazać dane lekarzowi pogotowia, nie przestawała sobie wyrzucać, że nie uparła się przy wszechstronnych badaniach, gdy David pozostawał pod jej opieką. A właściwie upierała się przy tym, ale odmówił.

W końcu karetka wydostała się z natężonego ruchu ulicznego i przyspieszyła, wjeżdżając na długie zielone wzgórze, w stronę przypominającego forteczę budynku. Z jego dachu sterczało więcej anten satelitarnych i konwencjonalnych niż z gmachu stacji telewizyjnej.

— Czy to szpital? — spytała Rachel.

Sanitariusz przytaknął ruchem głowy.

— Hadassah. Najlepszy.

Zahamowali z piskiem opon na betonie przed izbą przyjęć i sanitariusze przewieźli Davida na oddział nagłych wypadków. Nie tracili czasu na wstępną ocenę stanu pacjenta, lecz od razu zawieźli go do pokoju zabiegowego. Rachel przedstawiła się jako lekarka, więc mogła tam wejść. Usiadła na krześle pod ścianą, żeby nie przeszkadzać.

Pielęgniarka podłączyła Davidowi kroplówkę, po czym zmieniła mu tlen z butli na szpitalny. Inna rozebrała go i podłączyła mu do piersi przewody aparatury monitorującej pracę serca. Widok nagiego i bezbronnego Davida ukłuł Rachel w miejscu, którego jej profesjonalna zbroja nie osłaniała. Wzięła jego pas z pieniędzmi oraz ubranie i schowała do plastikowej torby.

W drzwiach stanął ubrany na biało mężczyzna i zwrócił się do sanitariuszy po hebrajsku. Zerknął na Rachel, wszedł do pokoju i po angielsku, choć z silnym akcentem, poprosił, by opowiedziała mu, co zaszło w kościele. Uczyniwszy to, podała mu także historię chorób Davida, a przynajmniej te fakty, które знаła.

David był nieprzytomny od trzydziestu minut. Większość pacjentów po ataku padaczki typu *grand mal* już by się wybudzała. Lekarz zlecił zbadanie krwi, prześwietlenie klatki piersiowej i kręgosłupa, tomografię, by wyeliminować udar, nowotwór albo krwotok podpajęczynówkowy, a także punkcję lędźwiową, by wykluczyć zapalenie opon mózgowych.

Kiedy pielęgniarka pobrała krew, przewieziono Davida na radiologię — wykonanie tomografii zajęło prawie godzinę. Gdy wrócił do pokoju zabiegowego, nadal był nieprzytomny. Następnie lekarz dyżurny wykonał punkcję. Płyn rdzeniowy wypływał pod normalnym ciśnieniem i Rachel odetchnęła z ulgą, widząc, że jest przejrzysty. Infekcję można było raczej wykluczyć.

Następnym etapem była neurologia i Rachel wpadła w panikę. Skierowanie na neurologię równało się przyjęciu pacjenta do szpitala, co oznaczało pytania o ubezpieczenie i sposób płatności. W pasach z pieniędzmi mieli piętnaście tysięcy dolarów, nie chciała jednak wzbudzać podejrzeń, afiszując się z taką sumą w gotówce. Kiedy lekarz dyżurny poinformował ją, że na neurologii nie ma wolnych miejsc, omal nie rzuciła mu się na szyję. Dzięki temu David musiał pozostać na oddziale nagłych wypadków.

Kiedy podjechał technik z przenośnym aparatem do EEG, by wykonać encefalogram, Rachel od razu zorientowała się, że to bystry facet. Przed wykonaniem testu wyłączył prawie wszystkie urządzenia elektryczne w sali, eliminując ewentualne szумы w tle, dzięki czemu zapis powinien być o wiele czystszy.

Kiedy aparat wypłul wykres, technik ściągnął brwi. Rachel szybko zrozumiała powód jego niepokoju. Mózg Davida wykazywał tylko działanie fal alfa, o tej samej częstotliwości i amplitudzie. Technik pochylił się i zaklaskał w dłonie koło prawego ucha pacjenta, lecz fale alfa były zsynchronizowane tak samo jak przedtem. W ogóle nie uległy zmianie.

Serce Rachel zamarło. Wyglądało na to, że David znajduje się w stanie określanym jako śpiączka alfa. Z takiego stanu rzadko ktoś wychodzi.

— Pani jest lekarzem? — zapytał technik, widząc jej minę.

— Tak.

Jego oczy zmieniły wyraz.

— Bardzo mi przykro.

Kiedy wyciągał rękę, by wyłączyć aparaturę, Rachel zobaczyła na ekranie falę teta.

— Chwileczkę! — krzyknęła, wskazując na ekran.

— Widzę.

Amplituda fali teta stopniowo wzrastała. Po chwili pojawiły się fale beta.

— On śni — oświadczyła Rachel, nie wierząc własnym oczom. — Czy to możliwe, że on po prostu śpi?

Technik uszczypnął Davida w ramię. Zero reakcji. Pochylił się więc i wrzasnął mu do ucha:

— Obudź się!

Nic.

— Nie śpi — orzekł technik, zamyślony. — Ale fale teta zdecydowanie przybierają na sile.

— Jak pan sądzi, o co tu chodzi?

— Niewątpliwie jest w śpiączce alfa. Ale jego mózg coś robi. Tylko nie wiem co. — Podeszedł do drzwi i spojrzął na Rachel. — Zostawię aparaturę na chodzie i ściągnę tu neurologa. Zgoda?

— Dziękuję.

Usiadła przy łóżku i roztrzęsiona obserwowała ekran. Dopóki nie zobaczyła fali teta, sądziła, że David jest już praktycznie martwy. Teraz nie wiedziała, co się dzieje. W jego głowie zachodziły jednak jakieś procesy. Czyżby miał halucynacje w śpiączce, tak samo jak podczas ataków narkolepsji? A może to w ogóle nie jest śpiączka?

Czasami pacjent po niewielkim ataku wygląda jak w śpiączce. Tyle że EEG tego nie wykazał. Wynikało z niego, że David jest pogrążony w śpiączce alfa, przerywanej nie dającymi się wytłumaczyć falami teta i beta.

Nie chciała myśleć o tym, co David robił bezpośrednio przed atakiem, ale nic na to nie mogła poradzić. W ponurym średniowiecznym mroku Świętego Grobu szukał pozostałości po życiu Jezusa na ziemi. Albo śladów jego śmierci. Obejrzał miejsca tradycyjnie odwiedzane przez pielgrzymów — Kamień Namaszczenia, sam grób — lecz dopiero tam, gdzie podobno Jezus umarł na krzyżu, padł na kolana i wyszeptał: „To jest to miejsce”. A potem nastąpił atak.

Właściwie wszystko zaczęło się wcześniej. Kiedy David zobaczył malowidło na ścianie, przedstawiające ukrzyżowanie Chrystusa, zaciśnęła pięści, jakby to jego bolały ręce. O czym wtedy myślał? Czy naprawdę wierzył, że jest Jezusem Chrystusem? Wierzył do tego stopnia, że sam odczuwał jego rany? Słyszała o przypadkach stygmatów wywołanych przez myśli, nigdy jednak w to nie wierzyła. Czyżby teraz była świadkiem czegoś takiego?

Chwyliła bezwładną dłoń Davida. Pomimo wyniku EEG, miała nadzieję, że otworzy oczy. Ale pozostały zamknięte. W duchu dziękowała Bogu, że lekarz dyżurny zalecił tomografię, a nie rezonans magnetyczny. Jak mogłaby go odwieść od czegoś, co uważałby za zwykły niegroźny test? Jak mogła ochronić Davida przed czymkolwiek? Nie wiedziała, kto i co tutaj jest jej wrogiem. Na myśl przychodził jej tylko jeden człowiek, który mógłby wyjaśnić tę dziwną śpiączkę — Ravi Nara. Tyle że według Davida Nara należał do ludzi, którzy chcieli ich zabić.

— Obudź się, Davidzie — wyszeptała mu do ucha. — Na miłość boską, obudź się!

Rozdział 32

Białe Piaski

Ravi Nara zaparkował terenową hondę przed hangarem szpitalnym i podszedł do drzwi. W kieszeni miał strzykawkę napelnioną chlorkiem potasu, który zatrzymałby pracę osłabionego serca Godina równie nieodwołalnie jak kula z pistoletu.

Przystanął przed drzwiami hangaru, nie mogąc się przemóc, by je otworzyć. Godzinami zbierał się do tej wizyty i gdyby nie groźby Skowa, nie posunąłby się tak daleko. Gdzieś tam obserwują mnie na monitorach, mówił do siebie w myślach. Rusz się!

Wszedł do hangaru, wskoczył w świeży kitel, podszedł do odkażacza i nacisnął przycisk. Ze wszystkich stron zaczęło go bombardować intensywne światło UV. Stojąc w fioletowym blasku, zaglądał przez właz do środka Bąbla. Pielęgniarki warowały po obu stronach łóżka Godina jak psy obronne. On albo ja, powiedział sobie. Pamiętaj, co mówił Skow...

Człowiek z NSA nie skakał z radości na wieść, że komputer może osiągnąć stan Świętej Trójcy w ciągu dwunastu godzin. Zapytał, jak długo Godin jeszcze pożyje. Gdy Ravi odparł, że ponad dwanaście godzin, usłyszał, że nie można do tego dopuścić.

— Dlaczego nie? — zapytał, choć z góry znał odpowiedź.

— Bo już za późno! — warknął Skow. — Prezydent dzwonił do mnie z Chin. Jest zdenerwowany całą tą sytuacją z Tennantem. I podejrzliwy. Musiałem podrzucić mu coś, co by miało sens.

— Byle nie prawdę, jak rozumiem.

— Otóż to. Powiedziałem mu, że Peter przez cały czas był chory i że niestety to on jest winny śmierci Fieldinga. Wyjaśniłem, że Godin zniknął i że gdzieś prawdopodobnie istnieje tajny ośrodek badawczy. Właśnie w tej chwili FBI rozrywa na strzępy kompleks Superkomputerów Godina w Mountain View.

Ravi zamknął oczy, modląc się, by był to tylko senny koszmar. Decyzja o skróceniu życia Fieldinga, jaka zapadła w sali konferencyjnej w Karolinie Północnej, wydawała się niemal oficjalną decyzją rządową. Święta Trójca istniała po to, by umocnić strategiczną pozycję Ameryki na świecie. Fielding zaś sabotował jej postęp. Gdy jednak zdarło się całą tę przykrywkę, „eliminacja” Fieldinga okazywała się zwyrodniałym morderstwem.

— Ravi?

— Tak, jestem. — Wiedział, o co Skow go poprosi. I wzdrażał się na samą myśl o tym.

— Wiesz, co należy zrobić.

Ravi podjął ostatnią próbę.

— Powiedział pan, że jeśli dostarczymy Świętą Trójcę, nikt nie będzie wnikał, kto przy tej okazji zginął.

— To było jeszcze przed zamieszaniami z Tennantem. Na miłość boską, w Waszyngtonie doszło do strzelaniny. Przedstawiłem Tennanta jako niebezpiecznego psychologa, i dobrze. Na poparcie moich słów mam stosowne dowody medyczne.

— To są pańskie problemy, nie moje.

Skow odpowiedział spokojnie, lecz jego słowa zmroziły Raviemu krew w żyłach.

— Nie ty jeden wiesz, że przyczyniłeś się do śmierci Fieldinga. Mam nagrane twoje rozmowy. Nadzwyczaj obciążające. Jedziemy na tym samym wózku, Ravi. Ty, ja, Geli i generał Bauer. Dopóki wszyscy będziemy obstawali przy tej samej wersji, nikt nas nie ruszy. Ale Peter musi umrzeć.

Udręczony Ravi zamknął oczy.

— Nasze życie jest w twoich rękach, Ravi. Kilka sekund odwagi i będziesz czysty.

Czysty?, pomyślał. Ja już nigdy nie będę czysty. Czy zabicie Godina było moralnie naganne? Przecież od naturalnej śmierci dzieliły go zaledwie godziny, a bez Ravięgo umarłby już dawno temu. Godin

zlecił zamordowanie Andrew Fieldinga bez zauważalnych skrupułów. No i dochodziło do tego owo fantastyczne poczucie, że biologiczne zabicie ciała Fieldinga nie zakończy jego żywota. Dopóki będzie istniał jego neuromodel, to jego umysł i osobowość można będzie wskrzesić w komputerze Świętej Trójcy.

Problem nie sprowadzał się do moralności, tylko do okazji. Kogoś tak chorego jak Godin można było załatwić na wiele sposobów. Tyle że pielęgniarki nie odstępowały go ani na chwilę. Ravi sprawdził to dzisiaj dwukrotnie — za każdym razem wyciągały telefony komórkowe, budziły inne pielęgniarki i wzywały je na zmianę.

Rozważywszy kilka opcji, Ravi przygotował strzykawkę z chlorkiem potasu. Dla odwrócenia uwagi zamierzał wywołać alarm na jednym z monitorów, po czym wstrzyknąć potas do kroplówki Godina. Nastąpiłaby zapaść, której stary by nie przeżył.

Rozległ się brzęczyk i ultrafioletowe światło odkażacza zgasło. Przez pleksiglasowe drzwi Bąbla Ravi widział białe stroje pielęgniarek.

Ciekawe, gdzie się podziewa Geli Bauer?, pomyślał. Przecież ta robota jest wprost wymarzona dla niej.

Otworzył wąż do Bąbla i strach ścisnął mu gardło. Obok jednej z pielęgniarek Godina stała Geli Bauer. Ubrana na czarno, wyglądała równie groźnie jak wtedy, kiedy ostatnio widział ją w Karolinie Północnej.

— Witaj, Ravi — odezwała się. — Dziwi cię mój widok?

Ravi nie mógł wydobyć głosu. Na czarnym kombinezonie Geli miała kamizelkę kuloodporną, a u pasa pistolet, paralizator i nóż. Godin nacisnął przycisk i uniósł górną połowę łóżka, nie spuszczać oczu z Ravięgo. Dopiero wtedy Hindus uświadomił sobie, że starego odłączono od respiratora.

— Masz mi coś do powiedzenia, Ravi? — spytał Godin.

— Zdziwiłem się, że Geli jest cała i zdrowa — wyjąkał. — Słyszałem, że została postrzelona w szyję.

Geli uśmiechnęła się i zsunęła czarny golf, odsłaniając białe bandaże elastyczny.

— Po prostu kolejna blizna do kolekcji. Miałam dobrych chirurgów.

Serce Ravięgo uderzyło o mostek. Co Geli robi w Białych Piaskach, do ciężkiej cholery? I dlaczego pilnuje Godina? Według Skowa, popierała jego plan i pogodziła się z koniecznością zgładzenia starego.

Starzec był wyraźnie ubawiony poczuciem dyskomfortu Ravięgo.

— No cóż, powróciłem z za grobu — wychrypiał. — Podobno tym razem nawaliło mi serce.

— Częstoskurcz komorowy — potwierdził Ravi.

— Słyszałem, że to pielęgniarki przywróciły mnie do życia.

Ravi potrafił myśleć jedynie o strzykawce w swojej kieszeni. Był pewien, że Geli podejdzie, zabierze strzykawkę i wbije mu igłę w tętnicę szyjną.

— Spisały się doskonale — przyznał Nara.

Godin pokiwał głową.

— Czy ty byś zrobił to samo, Ravi? Gdybyś był ze mną sam na sam?

Żołądek Hindusa wywinął fikołka.

— Nie rozumiem cię, Peter. Oczywiście, że tak.

Godin puścił jego odpowiedź mimo uszu.

— A jeśli chodzi o Geli... chciałem, żeby tu ze mną była. Przy niej czuję się bezpieczniej.

Przez cały czas Ravięgo przeszywały niebieskie oczy.

— Co pan tu robi, doktorze Nara?

— Miałem nadzieję, że będę mógł odłączyć pana od respiratora. Widzę jednak, że pielęgniarki już się tym zajęły.

Godin rzucił okiem na Geli, zupełnie jakby dzielili prywatny żart.

Ravi gorączkowo szukał czegoś na poparcie swojego kłamstwa.

— Levin powiedział mi, że prototyp wkrótce może osiągnąć stan Świętej Trójcy. Wiem, że kiedy do tego dojdzie, chciałby pan być w jak najlepszej formie.

— I pomyśleć, że wszystko to zawdzięczamy Andrew Fieldingowi — westchnął Godin. — To ci dopiero ironia losu!

Ravi zerknął nerwowo na Geli.

— To cud, Peter. Dożyjesz chwili, w której spełnią się twoje marzenia.

Powieki Godina opadły tak, że z oczu zostały małe szparki.

— Czyżby? Rozmawiałeś może ostatnio ze Skowem?

Raviemu skoczyło ciśnienie.

— Rozmawiałem z nim dzisiaj rano. Jest bardzo podniecony. Wkrótce tu przyleci.

— Chce być obecny przy poczęciu? — parsknął Godin.

— Pewnie tak. To znaczy oczywiście.

Zapadła nieznośna cisza. Ravi nie mógł zdobyć się na to, by spojrzeć Geli w oczy. Szukał jakiejś wymówki, by móc się oddalić, kiedy Godin odezwał się:

— Ile czasu mi zostało? W najgorszym wypadku?

Ze strachu Ravi nie potrafił skłamać.

— Może pan dostać kolejnej zapaści w ciągu pół godziny. Jeżeli nie przeżył pan starannie jedzenia, może to spowodować śmiertelne wodogłowie.

Godin z powagą pokiwał głową.

— Jak długo pożyję w najlepszym razie?

— Jakieś... dwadzieścia cztery godziny.

Ravi zebrał się na odwagę i podszedł do łóżka.

— Chciałbym pana szybko zbadać, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

Geli zastąpiła mu drogę. Nie wykonała żadnego groźnego gestu, ale sama jej postawa nie wróżyła nic dobrego. Ravi nie mógł uwierzyć, że swego czasu godzinami fantazjował o uprawianiu z nią seksu. Sam pomyślał, że mógłby zadowolić kobietę tak mocną i potężną, był śmieszny.

— Przeszukaj go — polecił Godin.

W tym momencie Ravi zrozumiał, że jest zgubiony. Chciał uciec, lecz był jak człowiek zaatakowany przez psa. Gdyby rzucił się do ucieczki, Geli przegryzłaby mu gardło.

Uklękła przed nim i dokładnie go obmacała. Przeciągnęła mu paznokciem po kroczu, gdy jednak przesunęła ręką po jego prawym udzie, jej oczy rozbliły się jak u małego urwisa. Sięgnęła do jego kieszeni, wyciągnęła strzykawkę i pokazała ją Godinowi.

— Co w niej jest? — spytał stary.

— Epinefryna — odparł Ravi. — Na wypadek następnej zapaści. Woląłem się przygotować.

Geli pokręciła głową.

— Właśnie oglądałam taśmy ochrony z ambulatorium. Widać na

nich, że po południu napelnił pan tę strzykawkę z butelki oznaczonej KCl. Chlorkiem potasu.

Raviemu zaczęły drżeć ręce.

— Właśnie leci tu do nas doktor Thomas Case ze szpitala Johna Hopkinsa — powiedział Godin obojętnie. — Kiedy przybędzie, przekaże mu pan całość danych. Od tej pory wszelkie czynności związane ze mną będzie wykonywał doktor Case.

Twarz Ravięgo stężała.

Godin odszukał go wzrokiem, nie pozwalając mu się ukryć.

— Nie mogłeś poczekać jeszcze jeden dzień, aż rak mnie pokona?

Co mógł odpowiedzieć? Czy zwalanie wszystkiego na Skowa cokolwiek da?

— Nie odpowiadaj. Pomimo dotychczasowej chwały chcesz więcej. Ty nie patrzysz na swoje osiągnięcia z dumą, lecz ze strachem, że być może już nigdy ich nie powtórzysz. W głębi duszy jesteś pigmejem, Ravi. Andrew Fielding był wart dziesięciu takich jak ty.

— I takich jak ty — odparował Ravi ku swemu zdumieniu. — Czy to dlatego kazałeś go zabić?

Niebieskie oczy zamknęły się, ale Godin odpowiedział całkiem wyraźnie:

— Fielding był wielkim fizykiem, jednak nikt nie jest w stanie powstrzymać przyszłości. On jeszcze będzie miał swoją szansę w życiu. Teraz jest częściowo żywy w Pojemniku, a pewnego dnia jego model osiągnie stan Świętej Trójcy. I tego samego dnia zrozumie, dlaczego zrobiłem to, co zrobiłem. No, ale na ciebie już czas.

Ravi nigdy jeszcze nie widział, by Geli uśmiechała się z taką rozkoszą jak teraz. Wyższa od niego o dziesięć centymetrów, objęła go jak kochanka. A potem spojrzała mu głęboko w oczy z mrozącą krew w żyłach poufałością.

— Potrzebujemy jeszcze odpowiedzi tylko na jedno pytanie — rzekła. — Czy wykombinowałeś to sobie w tym swoim przegrzanym mózdzku, czy ktoś ci to podsunął?

Przecież i tak sama wiesz, pomyślał Ravi. Próbował wysunąć się spod jej ramienia, lecz ona tylko wzmocniła chwyt. A potem przeciągnęła paznokciem po jego ramieniu aż do szyi.

— Przyznaj się, Ravi... Nigdy nie myślałeś o tym, żeby się ze mną zabawić?

Miał wrażenie, że jego pęcherz nie wytrzyma.

Jerozolima

Rachel spędziła noc, nie tracąc nadziei. Kiedy jednak świt wkraśl się nad Morze Martwe i oświetlił dolinę Kidron, ogarnęła ją rozpacz.

David umierał.

Neurolog, który wczoraj wieczorem przyszedł go zbadać, był niskim wesołym mężczyzną o nazwisku Weinstein. Doktor Weinstein miał czarne włosy i bystre oczy, którym nic nie umykało. Odbił praktykę w szpitalu Massachusetts General w Bostonie i mówił doskonałą angielszczyzną.

Obejrawszy wykres EEG, natychmiast zalecił wykonanie rezonansu magnetycznego mózgu Davida. Rachel uznała wówczas, że musi zdradzić mu część prawdy. Spytała go, czy słyszał o Ravim Narze. Neurolog znał dokonania Nary i był pod wrażeniem, że jego pacjent pracował razem z noblistą. Rachel wyjaśniła, że badania Nary obejmowały wysoce zaawansowane skanowanie RM, które powodowało u pacjentów efekty uboczne. Dlatego ubłagała Weinsteina, żeby nie robił tego badania, dopóki nie będzie to absolutnie konieczne.

— Rozumiem, co chce mi pani powiedzieć — zapewnił Weinstein. — I bardzo mnie to zaintrygowało. Moim zdaniem jednak ten człowiek jest na skraju śmierci. Z pewnością zdaje pani sobie sprawę, że rezonans magnetyczny pokazuje mózg o wiele dokładniej niż tomografia. Po prostu w tym miejscu kość jest zbyt gruba, żeby obraz z tomografu był wyraźny.

— Wiem. Ale czy pan naprawdę sądzi, że śpiączkę wywołał nowotwór mózgu?

Neurolog wzruszył ramionami.

— Szczerze mówiąc, to jedyna możliwość, której jeszcze nie wykluczyliśmy. Myśli pani, że skany doktora Nary wykryłyby nawet najmniejszego guza?

— Tak.

Weinstein splótł ręce na piersi i westchnął.

— Wie pani, co ja o tym myślą?
— Co?
— O ile szybko nie stwierdzimy, co się z nim dzieje, pani przyjaciel umrze.

Sześćdziesiąt minut później Weinstein oglądał wyniki rezonansu magnetycznego mózgu Davida. Nie wykazały śladu nowotworu. Kiedy przekazywał te wieści Rachel, z ekranu EEG zniknęły fale teta i beta. Rachel patrzyła na aparaturę, która wykazywała teraz tylko jednorodne fale, świadczące o stanie śpiączki alfa.

Rozpląkała się.

Doktor Weinstein objął ją.

— Rezonans magnetyczny na pewno tego nie spowodował — powiedział takim tonem, jakby starał się przekonać siebie, a nie ją. — Może powinna pani zadzwonić do doktora Nary? Znajdujemy się w miejscu, którego nie ma na mapie.

Rachel zamknęła oczy. Jak ma mu wytłumaczyć, że nie może zadzwonić do Nary, bo ich zabijają?

— Spróbuję — odparła. — Ale to może trochę potrwać.

Weinstein zaprowadził ją do sąsiedniego pokoju i pokazał, jak uzyskać połączenia zamiejscowe. Potem dał jej numer swojego page-ra i poszedł do domu, do rodziny.

Rachel gapiała się na telefon, próbując zmusić się, by zadzwonić do Białego Domu. Nie widziała innego sposobu, by skontaktować się z Ravim Narą. Coś jednak ją powstrzymywało. Coraz bardziej wierzyła, że David, choć niewątpliwie chory, nie miał urojeń. Powiedział jej, że Ravi Nara jest groźny, i częściowo mu wierzyła. Być może David nigdy się o tym nie dowie, ale czy nie na tym opiera się wiara? Wiara bez odpowiedzi, bez nagrody, bez dowodu? Wstała, otarła łzy, ale nie sięgnęła po telefon.

To było dziesięć godzin temu.

Przez ten czas siedziała ze wzrokiem wlepionym w ekran EEG, niczym pielgrzym obserwujący marmurowy posąg w nadziei, że kamień zacznie płakać. Tymczasem fale alfa nie zmieniały się. Jako praktykantka spędziła wiele godzin, obserwując pacjentów, którzy powoli i nieuchronnie zmierzali ku śmierci. Jako psychiatra widywała pacjentów, którzy popełniali samobójstwo, wstrzykując sobie trucizny, na

które nie było antidotum. Ale tylko jedno przeżycie doprowadziło ją do tego, że czuła się bezgranicznie samotna. Tak jak teraz.

Śmierć syna.

Cudem to przeżyła, a kiedy wreszcie znalazła mężczyznę, który mógłby kiedyś obdarzyć ją następnym dzieckiem, siedziała obok jego łóżka w szpitalu, bezradnie oczekując tego, co nieuniknione.

O trzeciej nad ranem na ekranie EEG nagle znowu pojawiły się fale teta i beta. Na całe siedemnaście minut. Po czym zanikły. Co pół godziny klaskała koło ucha Davida, lecz fale alfa nie zmieniały się.

Aparatura wskazywała, że David jest w stanie śmierci mózgowej.

Godzinę po świcie nachyliła się i pocałowała go w czoło, po czym przeszła do sąsiedniego pokoju i podniosła słuchawkę telefonu. Po kilku utarczkach z telefonistkami w ciągu kilku minut połączono ją z Białym Domem w Waszyngtonie.

— Dzwonię w sprawie Projektu Święta Trójca — powiedziała.

— Proszę powtórzyć — odparła telefonistka.

— Projekt Święta Trójca.

— Proszę poczekać.

Rachel zamknęła oczy. Drżały jej ręce, a coś w środku podpowiadało, żeby się rozłączyć. Zanim to jednak zrobiła, usłyszała szorstki męski głos:

— Można wiedzieć, kto dzwoni?

— Rachel Weiss.

Usłyszała, jak mężczyzna szybko wciąga powietrze.

— Proszę powtórzyć?

— Mówi doktor Rachel Weiss. Jestem z doktorem Davidem Tennantem i rozpaczliwie potrzebuję pomocy. On chyba umiera.

— Proszę zachować spokój. Ja zaraz...

— Błagam pana! — krzyknęła, tracąc nad sobą kontrolę. — Muszę porozmawiać z kimś, kto coś wie na ten temat!

— Pani Weiss, przede wszystkim proszę się nie rozłączać. Zrobiła pani to, co należało. Niech pani w to nie wątpi.

Rozdział 33

Białe Piaski

Ravi Nara leżał na betonowej podłodze, ze strzykawką przyciśniętą do arterii szyjnej, kiedy wezwano go do szpitala przez głośniki Białych Piasków. Geli Bauer właśnie miała go zabić chlorkiem potasu, który chciał zaaplikować Godinowi.

„Doktorze Nara, proszę natychmiast zameldować się w Bąblu.”

— Peter pewnie znów dostał zapaści! — krzyknął.

Geli jednym szarpnięciem poderwała go na nogi i popchnęła w stronę drzwi.

Kiedy pędzili szpitalnymi korytarzami, wspominał ostatnie trzydzieści minut. Znalazszy strzykawkę, Geli wyprowadziła go z Bąbla do pustego magazynu. Gdy tam dotarli, Ravi zapytał ją, co, u licha, robi w Białych Piaskach. Geli tylko się uśmiechnęła i oparła o ścianę, przyglądając mu się niczym owadowi, którego właśnie miała przybić do tablicy.

— Chciałam się przekonać, czy Skow mówi prawdę — odparła. — Czy Godin naprawdę umiera. I czy Świętej Trójcy grozi kłapa.

— I co?

— Godin umiera, ale Święta Trójca ma się dobrze. To uratuje Godinowi życie.

— Nie życie — sprostował Ravi. — Tylko umysł.

— Czyli istotę życia. — Geli podeszła do niego i wyciągnęła zza pasa błyszczący nóż. — Mogłabym przeciąć ci kręgosłup gdzieś pomiędzy pierwszym a siódmym kręgiem i byłbyś sparaliżowany. Gdybym dała ci wybór między tym a śmiercią, co byś wybrał?

Ravi odsunął się.

— Rozumiem, co masz na myśli.

Geli uśmiechnęła się, zafascynowana, wysuwając język. Ravi zawsze miał wrażenie, że dla niej seks jest nierozzerwalnie związany z przemocą, a teraz jej zachowanie tylko potwierdzało jego podejrzenia. Bawiła się nim, a jego strach tylko ją podniecał.

— Poza tym chciałam się zobaczyć z ojcem — ciągnęła. — Od dawna nie miałam tej rzadkiej przyjemności.

Ravi milczał.

— Jest jeszcze jeden powód, dla którego tu przyleciałam. Jeżeli go odgadniesz, może poprzestaniemy na paraplegii.

— Starczy tych wygłupów! — warknął Ravi. — Skow zaraz tu będzie.

— Więc co, nie domyślasz się?

— Nie.

— Chciałam, żeby mnie też zeskanowano na tej aparaturze.

Tego się nie spodziewał.

— Po co? Wiesz, że skanowanie powoduje efekty uboczne.

Geli roześmiała się.

— Ludzie ryzykują efekty uboczne przy operacjach plastycznych. Jestem gotowa ponieść ryzyko dla uzyskania nie śmiertelności.

Ravi chciał, żeby gadała jak najdłużej.

— Ta technologia bardzo długo będzie utrzymywana w tajemnicy — mówiła. — Zeskanują tylko kilka osób. Prezydentów i geniuszy takich jak Godin. Może kilku niewydarzonych naukowców jak ty. Ale nie szefów ochrony. Dlatego dziś po południu spędziłam trzy godziny na robieniu obrazka z mojego mózgu. To dopiero przeżycie!

Geli wyciągnęła z torebki u pasa strzykawkę z chlorkiem potasu.

— Ciekawe, jakie będą moje efekty uboczne? — mruknęła. — Narkolepsji i padaczki nie potrzebuję. Choroba Tourette'a... nie. Krótkotrwałe zaniki pamięci mogą być. W każdym razie coś ze mną będzie nie tak. Za to ty na tym wygrałeś. Taka przypadłość pasowała-by do mojej osobowości.

Ravi pokręcił głową. Niekontrolowany przymus seksualny brzmiał zabawnie, dopóki samemu nie miało się z tym do czynienia. Jak każdy przymus, mógł doprowadzić człowieka do samobójstwa.

— Obserwowałam cię na kamerach ochrony — powiedziała Geli ze śmiechem. — Patrzyłam, jak pięć razy dziennie biegasz do łazienki i trzepiesz tego swojego malucha... Kilka razy słyszałam, jak jęcząc, wymawiasz moje imię. Ależ patetyczne!

Ravi zacisnął zęby. W duchu liczył na to, że Skow zamierza usunąć Geli Bauer z powierzchni ziemi. Kombinował, jak by tu ją jeszcze trochę pozwodzić, kiedy kopnęła go w pierś.

Upadł na podłogę i zanim zdołał odzyskać oddech, klęczała mu na piersi i przyciskała strzykawkę do gardła. Uratował go jednak nie Skow, lecz komunikat wzywający go do szpitala.

Godin miał poważne problemy z językiem. Przelykał z najwyższym trudem, a na jego twarzy znów malowała się nieznośna udręka. Klasyczne objawy glejaka, i jedyne, co można było zrobić, to nieco złagodzić ból. Po godzinie odzyskał władzę nad językiem, za to lewa strona jego twarzy zwiotczała.

Kiedy Ravi udawał, że zajmuje się pacjentem, zadzwonił telefon komórkowy Godina. Odebrała Geli. Dzwoniono z Białego Domu. Przysunęła mu telefon do twarzy, żeby mógł słuchać. Ravi nie wiedział, o czym mówią, czuł jednak, że dzieje się coś niedobrego.

— Nie, Ewan, nic mi nie jest — skłamał Godin. — Jestem zdrowy jak zawsze i nie mam pojęcia, dlaczego Skow nagadał ci takich rzeczy.

Przez chwilę słuchał, po czym powiedział:

— Jeżeli Fielding nie umarł na skutek udaru, to trzeba pogadać ze Skowem. Nigdy mu się nie układało z Fieldingiem, no i to on prowadził polowanie na Tennanta... O doktora Tennanta się nie martw. Natychmiast wysłał mu naszym odrzutowcem Ravięgo Narę. To jedyny lekarz na świecie, który zna się na tego typu śpiączce.

Wysłał Ravięgo Narę... Dokąd?, pomyślał Ravi. Ale wszystko lepsze niż sam na sam w magazynie z Geli Bauer.

— Tak, będą cię informował na bieżąco... Trzymaj się, Ewan.

Godin machnął ręką, żeby zabrano telefon, po czym spojrzął na Ravięgo.

— Lecisz do Jerozolimy.

Hindus zamrugał, zaskoczony.

— Do Izraela?

— Tennant leży w śpiączce w szpitalu Hadassah. Jest z nim doktor Weiss. Właśnie dzwoniła do Białego Domu po pomoc. Zapewniłem

Ewana McCaskella, że jesteś jedynym człowiekiem na świecie, który może pomóc Tennantowi.

— Ale dlaczego chce mu pan pomagać? — spytał Ravi. — I oni? W gazetach podają, że on chce zabić prezydenta.

Godin boleśnie przełknął ślinę.

— Prezydenci mają dość rozumu, żeby nie wierzyć gazetom. Poza tym zapominasz, że to Matthews zwałił mi Tennanta na głowę. On chce poznać jego wersję.

— Rozumiem — powiedział Ravi, choć niczego nie rozumiał. — Co mam zrobić w Jerozolimie?

— Zabić Tennanta.

Neurolog zamknął oczy.

— On jest praktycznie w stanie śmierci mózgowej — wyjaśnił Godin. — Jeden twój ruch i zniknie i nikt niczego nie będzie podejrzewał.

— Peter, ja nie mogę wejść do szpitala w Izraelu i...

— Dlaczego nie? Mnie byłeś gotowy zabić. Więc dlaczego nie Tennanta?

— Nie miałem zamiaru zrobić ci nic złego.

Prawa strona twarzy Godina skurczyła się w spazmie.

— Czy ból powraca?

— Zamknij się, Ravi. Daję ci szansę odkupienia grzechów. Jedyną szansę, byś pozostał przy życiu.

Ravi rzucił okiem na Geli. Wszystko lepsze niż znów zostać z nią sam na sam.

— Zgoda — powiedział. — Ale co będzie, jeśli mi się nie uda? Jeżeli to się okaże niewykonalne?

— Nie tylko ty będziesz próbował.

— Rozumiem... Kiedy odlatuję?

— Za dziesięć minut masz być w powietrzu. Mój gulfstream czeka zatankowany na pasie startowym. Najpierw idź do administracji. Czeka tam na ciebie telefon.

Czeka na mnie telefon?

— Dobrze, Peter.

Ravi ruszył do wyjścia, lecz powstrzymały go resztki zawodowej odpowiedzialności.

— A co z tobą?

— Doktor Case utrzyma mnie przy życiu, dopóki nie osiągniemy stanu Świętej Trójcy. — Godin odprawił go ruchem ręki. — Nic się nie

martw. Prawdopodobnie Tennant umrze, zanim tam dotrzesz.

Jerozolima

Rachel siedziała przy telefonie, modląc się, by z Waszyngtonu odzwoniono jak najszybciej. Gdyby na neurologii zwolniło się łóżko, przeniesiono by tam Davida z izby przyjęć. Właśnie chciała sprawdzić jego wykres EEG, kiedy zadzwonił telefon.

— Halo?

— Czy to doktor Rachel Weiss? — zapytał głos z wyraźnie amerykańskim akcentem.

— Tak.

— Mówi Ewan McCaskell, szef sztabu prezydenta.

Rachel zamknęła oczy i starała się mówić spokojnie.

— Poznałam pana po głosie.

— Pani Weiss, dzwonię, żeby zapewnić panią, iż prezydent jest niezwykle zainteresowany zdrowiem doktora Tennanta. Nie jesteśmy pewni, co spowodowało wydarzenia ostatnich kilku dni, ale zamierzamy dotrzeć do prawdy. Prezydent wrócił już do Stanów Zjednoczonych i zapewniam, że doktor Tennant zostanie wysłuchany bez jakichkolwiek uprzedzeń.

Coś w niej pękło, ciasny supeł strachu i napięcia, który narastał w niej od czasu, gdy David zastrzelił zabójcę w swojej kuchni. Zaszlochała gwałtownie.

— Doktor Weiss? Dobrze się pani czuje?

— Tak... bardzo dziękuję, że pan oddzwonił. Dzieje się coś okropnego, o czym doktor Tennant próbował ostrzec prezydenta.

— Niech pani spróbuje się uspokoić. Wiem, że macie tam kryzys zdrowotny, więc poleciłem, żeby przyleciał do was Ravi Nara. Powiedziano mi, że to jedyny człowiek, który wie, jak zaradzić problemom doktora Tennanta.

Na dźwięk nazwiska Nary Rachel spięła się. Coś trzasnęło, jak gdyby połączenie zostało przerwane.

— Doktorze Nara? — odezwał się McCaskell. — Jest pan tam?

— Tak, słucham? — odparł precyzyjny głos o wysokim brzmieniu.

— Doktor Weiss? Mówi Ravi Nara. Czy pani mnie słyszy?

— Tak.

— Domyślam się, że doktor Tennant znajduje się w stanie śpiączki alfa. Mam rację?

— Niezupełnie. Czasami pojawiają się fale teta i beta. Teraz znów tylko alfa. Boję się, że przestanie oddychać.

— Nie. Ja zapadłem w śpiączkę alfa sześć dni po zeskanowaniu mnie przez aparaturę super-RM Świętej Trójcy. Wie pani o tym urządzeniu?

— Tak.

— Byłem w stanie śpiączki przez trzydzieści dwie godziny i obudziłem się bez żadnych efektów ubocznych. Przypuszczam, że David może się obudzić w każdej chwili.

Pewność siebie w głosie Raviego Nary podnosiła na duchu. Laureat Nagrody Nobla był znany na całym świecie i trudno jej było zaprzeczyć jego słowom, zwłaszcza że dawały nadzieję.

— Doktorze Nara, sama nie wiem, co powiedzieć.

— Przylecę do was. Powiedziano mi, że prezydent chce przenieść Davida w bardziej bezpieczne miejsce. Będę w Jerozolimie za czternaście godzin.

— Mój Boże!

— Do tej pory David z pewnością się obudzi, ale jeśli nie, to proszę się nie obawiać. Trzeba to załatwiać krok po kroku. Zgoda?

Rachel była oszołomiona.

— Tak, dziękuję. Nie mogę się doczekać spotkania z panem.

— Wzajemnie, pani doktor. Do zobaczenia.

Nara rozłączył się, lecz McCaskell wciąż był na linii.

— Czy teraz czuje się pani lepiej, doktor Weiss?

— Nawet nie wiem, jak panu dziękować...

— Będzie pani miała jeszcze okazję. Wkrótce znów się do pani odezwę.

Rachel odłożyła słuchawkę i zaczęła oddychać głęboko. Potem wytarła twarz chusteczką higieniczną i otworzyła drzwi do sąsiedniej sali.

David siedział na stole zabiegowym. Oczy miał otwarte, a po jego policzkach płynęły łzy.

Rozdział 34

Otworzyłem oczy niczym noworodek, oślepiiony jaskrawym blaskiem. Zamrugałem w świetle żarówki nad głową. Moje ciało domagało się czegoś do jedzenia, a przede wszystkim musiałem opróżnić pęcherz. Usiadłem i rozejrzałem się. Siedziałem w sali zabiegowej. Pracowałem w dziesiątkach takich miejsc.

Wody, pomyślałem. Chcę wody!

— Nie wiem nawet, jak panu dziękować — odezwał się kobiecy głos. Znajomy głos. Czekałem na dalsze słowa, ale na próżno.

Naprzeciwko mnie otworzyły się drzwi. Rachel weszła do pokoju i zamarła. Zakryła ręką usta i ruszyła w moją stronę.

— Davidzie? Słyszysz mnie?

Zatrzymała się, kiedy uniosłem rękę.

— Zapadłeś w śpiączkę. Na... — spojrzała na zegarek — piętnaście godzin. Przez prawie cały czas byłeś w śpiączce alfa. Już myślałam, że jesteś w stanie śmierci mózgowej. — Wskazała na moją twarz. — Dlaczego płaczesz?

Otarłem twarz. Miałem mokre palce.

— Nie wiem.

— Czy pamiętasz cokolwiek? Atak w kościele?

Przypomniałem sobie, jak klękam i wkładam palce w otwór w srebrnym kręgu. Przez moje ramię przepłynęła energia, prosto do mózgu; prąd zbyt silny, by go wytrzymać. Czulem się, jakby mój umysł znajdował się w maleńkiej rękawiczce, do której jakiś gigant próbuje wsadzić łapsko. Zacząłem dygotać, a potem...

- Pamiętam, że upadłem.
- A pamiętasz, co było dalej?

Upadłem na podłogę, lecz zanim w nią uderzyłem, moje ciało rozmyło się i poczułem jedność ze wszystkim dookoła — z ziemią i skalą pod kościołem, z ptakami gnieźdzącymi się powyżej, z kwiatami na dziedzińcu i z ich pyłkiem, który rozwiewał wiatr. Nie upadłem, lecz szybowałem i pod przykrywką tego świata dostrzegłem coś głębszego — pulsującą matrycę, w której wszelkie granice były złudzeniem, gdzie zasiane ziarno nie poddawało się wiatrowi, gdzie materia i energia wirowały w odwiecznym tańcu, a życie i śmierć były odmiennymi stanami tego samego. A jednak kiedy tak szybowałem, płynąc przez świat niczym wrażliwa na bodźce meduza, czułem, że pod tą pulsującą matrycą materii i energii było coś głębszego, coś tak eterycznego i głębokiego jak prawa matematyki, niewidzialne, lecz niezmiennie, rządzące wszystkim bez użycia siły.

Bębnienie przypominające turbiny wprawiające w wir wodę w sercu tamy było głębokie i dalekie. Nasłuchując, odkryłem schemat, raczej numeryczny niż melodyjny, jak gdyby nieodkrytą muzykę, której zapis nutowy i skala leżały poza moją zdolnością pojmowania. Skupiłem myśli na tym dźwięku, szukając repetycji, ulotnego klucza do jakiegoś szyfru. A jednak chociaż słuchałem całym sobą, nie potrafiłem doszukać się w tym dźwięku żadnego znaczenia. Zupełnie jakbym słuchał ulewnego deszczu i próbował znaleźć schemat, według którego poszczególne krople padają na ziemię. Coś we mnie domagało się tego schematu, partytury muzyki, która opisywała padający deszcz.

Nagle zrozumiałem. Schemat, którego poszukiwałem, nie był żadnym schematem. To była przypadkowość. Kompletna przypadkowość, która przenikała pozorny porządek tego świata. W tej samej chwili zacząłem widzieć, jak nigdy dotąd, i słyszeć to, co niewiele przede mną słyszało, głos...

- Davidzie? Słyszysz mnie?

Zamrugalem i zmusilem się, by skupić wzrok na otoczeniu. Białe szafki. Aparatura EEG na wózku. Zmęczone oczy Rachel.

- Słyszę.

Zrobiła krok do przodu, zaciskając ręce.

— Zadzwoiłam do Waszyngtonu. Powiedziałam im, gdzie jeste-
śmy. Nie wiedziałam, co robić.

— Wiem o tym.

— Słyszałeś moją rozmowę?

— Nie.

— Więc skąd wiesz?

Stąd, skąd wiem, że grozi nam niebezpieczeństwo. Spojrzałem w
dół i zacząłem odłączać sobie kroplówkę.

— Nie rób tego!

— Musimy się stąd zbierać.

— Co takiego? — wyjąkała z szeroko otwartymi oczami.

— Kiedy to wyciągnę, będzie krwawić. Możesz mi znaleźć jakiś
bandaż? I gdzie jest moje ubranie?

Podeszła do mnie szybko i powstrzymała mnie przed wyjęciem
przewodu kroplówki.

— Davidzie, nie jesteś jeszcze sobą. Przez całą noc byłeś nieprzy-
tomny. Rozmawiałam z Ewanem McCaskellem. Prezydent wysłał
Raviego Narę, żeby się tobą zajął. On się zna na tego typu śpiączce.
Sam ją przeszedł, spał ponad trzydzieści godzin i obudził się bez żad-
nych efektów ubocznych. Oni chcą nam pomóc...

— Ravi Nara nigdy nie był w śpiączce alfa. Efektem ubocznym je-
go skanowania super-RM jest niekontrolowany przymus seksualny.
Nic więcej.

— Ale on mi powiedział...

— Powiedział coś, żeby cię uspokoić. Musimy stąd zniknąć. Na-
tychmiast.

— Ale prezydent chce poznać prawdę. Tak mówił McCaskell, a ja
mu wierzę.

Nie wiedziałem, jak przekazać jej to, co wiem, w taki sposób, by
nie wyjść na obłąkanego. Wstałem i prześcieradło zsunęło się ze
mnie.

— Jeśli tu zostaniemy, nie dożyjemy spotkania z prezydentem.
Mam do zrobienia coś naprawdę ważnego. Proszę cię, znajdź moje
ubranie.

Kiedy Rachel spojrzała na leżącą w kącie torbę, wyrwałem wen-
flon z nadgarstka. Po dłoni spłynęła mi ciemna krew. Ucisnąłem rękę,
podszedłem do stolika i znalazłem w słoiku kwadratowe gaziki.

Rachel zobaczyła, co zrobiłem, i zakreśliła kropłówkę.

— Uciskaj rękę — powiedziała, po czym wzięła z kąta plastikową torbę i położyła ją na stole zabiegowym. — Twoje ubranie.

Pod ścianą znajdowała się umywalka, ale bez przepierzenia zapewniającego prywatność.

— Muszę z tego skorzystać — powiedziałem, wskazując palcem.

— Idź. Już to widziałam.

Podszedłem do umywalki i stanąłem tyłem do Rachel.

— Dlaczego twoim zdaniem ktoś tu przyleci, żeby nas zabić? — spytała.

— Dlatego, że wciąż myślą to samo. A teraz wiedzą, gdzie jesteśmy.

— Nadal nikomu nie ufasz? Nawet prezydentowi?

— Prezydent nie ma pojęcia, co się naprawdę dzieje.

Wróciłem do stołu, narzuciłem koszulę i zapiąłem pas z piędzmi.

— I dokąd się teraz wybierasz? — spytała Rachel.

— Do Białych Piasków.

— Gdzie?!

— Na poligon w Białych Piaskach. — Ostrożnie wsunąłem się w spodnie i usiadłem na podłodze, żeby włożyć buty. — To w Nowym Meksyku.

— Dlaczego chcesz tam jechać?

— Bo tam znajduje się prototyp Świętej Trójcy.

— Skąd wiesz?

— Po prostu wiem.

Pokręciła głową.

— Przerażasz mnie, Davidzie.

— Myśl o czymś innym.

— Poczekaj ! — Uniosła dłoń. — To było w liście Andrew Fieldinga. Biały gips. Biały piasek! Czyżby chciał ci to przekazać? Gdzie znajduje się drugi obiekt Świętej Trójcy?

— Tak. Chciał mi to przekazać, ale w taki sposób, żeby nikt się nie zorientował, że on wie, gdyby ktoś przejął list. — Spojrzałem na zamknięte drzwi. — W jakiej części szpitala jesteście?

— Oddział nagłych wypadków.

— To dobrze. Parter. Znasz drogę do wyjścia?

— Tak, ale...

Wstałem i wziąłem ją za rękę.

— Wszystko się zmieniło, Rachel. Wiem, co mam zrobić. Ale musimy natychmiast stąd wyjść.

W jej oczach zobaczyłem wiarę we mnie, zmagającą się z jej psychiatrycznym wykształceniem i pragnieniem, by wykluczyć niebezpieczeństwo.

— Kocham cię — powiedziałem. — Pomóż mi, proszę.

Zamknęła oczy i westchnęła. Podeszła do okna i spróbowała je otworzyć. Było zablokowane i okratowane od zewnątrz.

Podszedłem do drzwi i uchyliłem je. W recepcji siedziały dwie pielęgniarki, ale były odwrócone w drugą stronę. Jedna rozmawiała przez telefon.

— Co jest za tymi pielęgniarkami? — szepnąłem.

— Korytarz prowadzący do ambulatorium na zewnątrz. Stoi tam strażnik.

Strażnik prawdopodobnie miał odstraszać wchodzących, a nie wychodzących, ale w Izraelu nigdy nic nie wiadomo.

Pielęgniarka, która nie rozmawiała przez telefon, wstała i poszła do pokoju zabiegowego.

— Zbieraj się — poleciłem.

Korzystając z tego, że druga pielęgniarka była zajęta, szybko przeszliśmy korytarzem prowadzącym na zewnątrz.

Rachel pomachała ręką strażnikowi za biurkiem i przeprowadziła mnie obok niego.

Strażnik powiedział coś po hebrajsku.

Rachel zwolniła, ale nie zatrzymała się.

— Mówi pan po angielsku?

— Trochę — odparł ochroniarz.

— Doktor Weinstein kazał mi wyprowadzić tego pacjenta na świeże powietrze. Zna pan doktora Weinsteina?

Ochroniarz zmieszał się. W końcu z uśmiechem machnął ręką, jakby chciał powiedzieć: „Szerokiej drogi”.

Bez przeszkód wyszliśmy na poranne słońce.

Pod płaskim betonowym dachem stały zaparkowane dwie karetki pogotowia. Szybko przeszedłem na lewo, gdzie droga dojazdowa prowadziła wokół szpitala. Nie było chodnika, więc szliśmy poboczem. Kiedy okrążyliśmy budynek, ujrzałem Katedrę Skały, błyszczącą

złotem na Starym Mieście. Droga prowadziła w dół i nie zapewniała nawet minimalnej osłony. Po prawej mieliśmy olbrzymi cmentarz w stylu kolonialnym.

— Musimy złapać taksówką — powiedziała Rachel. — Pieszko nie damy rady.

— Posłuchaj — rzekłem.

Z typowo miejskiego hałasu pod nami wybijał się jeden dźwięk. Syrena alarmowa.

Przykucnęliśmy za niskimi krzewami. Trzydzieści sekund później nadjechały dwie ciemnozielone furgonetki. Nie wyglądały na karetki pogotowia. Jedna zatrzymała się z piskiem opon przed wejściem do szpitala, druga pojechała na tył budynku. Z furgonetki przed wejściem wyskoczyli dwaj mężczyźni w garniturach i oddział komandosów z pistoletami maszynowymi.

— A to kto? — wyszeptała Rachel.

— Pewnie Szin Bet. W każdym razie jacyś tajniacy, którym Waszyngton kazał zabezpieczyć szpital, żebyśmy nie zwiiali.

— Ravi Nara powiedział mi, że przeniosą cię do bezpieczniejszego szpitala.

— I do tego potrzebują jednostek specjalnych? — Pociągnąłem ją. — Chodź!

Schodząc z góry, nie mieliśmy wiele możliwości chowania się, ale korzystaliśmy z każdej nadarzającej się okazji. Rachel chciała uciekać do Starego Miasta, ja jednak poprowadziłem ją Churchill Street do hotelu Hyatt Regency. Zerkąłem na niego przez całą drogę. Furgonetka wciąż stała przed wejściem do szpitala. Wyobrażałem sobie gorączkowe poszukiwania w środku.

Przed hotelem stał sznur taksówek. Wsiadłem do pierwszej, Rachel za mną.

— Amerykanie? — zapytał kierowca.

— Amerykanie — potwierdziłem. — Do kafejki internetowej.

Kierowca przetrwał to w myślach.

— Potrzebny panu komputer?

— Tak.

— Hyatt ma komputery. Płatne za pół godziny.

- Wolę jakieś miejsce publiczne. Ten hotel mi się nie podoba.
- W Jerozolimie nie ma wielu takich miejsc. W Strudelu mają komputery, ale nie wiem, czy już są otwarci.
- Proszę nas tam zawieźć.
- Taksówkarz zapuścił silnik i wyjechał na Ha-Universita. Po lewej stało mnóstwo zaparkowanych radiowozów.
- Co to jest?
- Kwatera główna policji. Mam nadzieję, że pan się tam nie wybiera.
- Do Strudla. Byle szybko. Mam ważną sprawę do załatwienia.
- Sie robi. Góra dziesięć minut.

Białe Piaski

Umundurowany żołnierz zawiózł Ravięgo Narę na pas startowy. Kiedyś bezsenne noce denerwowały Ravięgo, dziś jednak noc przyniosła mu ulgę. Kiedy jeep zbliżał się do pasa startowego, learjet objechał hangar i zaparkował obok gulfstreama 5 Godina. Learjet był czarny i nieoznakowany. W jego drzwiach ukazał się schylony John Skow.

— Próbowałem się do ciebie dodzwonić! — krzyknął. — Telefon ci siadł czy co?

Ravi zerknął na żołnierza, który go eskortował, ten jednak nie zwracał uwagi na ich rozmowę.

— Lecę do Jerozolimy.

Skow złapał Ravięgo za ramię i odprowadził dziesięć kroków od żołnierza.

— O czym ty gadasz, do licha?

— Peter wysłał mnie do Jerozolimy.

— Wciąż żyje?

— Tak.

Twarz Skowa wykrzywiły panika i gniew.

— A chociaż spróbowałaś?

— Jasne, do kurwy nędzy! Ale Geli podsłuchiwała moje rozmowy. O mało mnie nie zabiła!

— Po co Peter wysłał cię do Jerozolimy?

- Po to, żeby Tennant na pewno nie przeżył.
Skow odchylił głowę do tyłu, jak człowiek zwracający się do niebios o pomoc.
- Zapomnij o tym. Nigdzie nie lecisz. Tennant właśnie zwił ze szpitala Hadassah.
- Ale... podobno był w stanie śpiączki alfa.
- Widocznie z tego wyszedł. Rachel Weiss na pewno sama go nie wyniosła.
- Ravi nie mógł w to uwierzyć.
- Może ktoś jej pomógł?
- Boże jedyny! — westchnął Skow. — Żydzi. Zabiliby każdego, byleby tylko dorwać się do technologii Świętej Trójcy.
- W tej chwili Ravięgo Święta Trójca nic nie obchodziła.
- John, czy wiesz, gdzie jest teraz Geli Bauer?
- Skow spojrział na niego z zainteresowaniem.
- Oczywiście. W szpitalu Waltera Reeda.
- Ravi pokręcił głową, czując, jak w brzuchu narasta mu gula.
- Myślałem, że jesteś lepszy.
- O co ci chodzi?
- Geli jest tutaj, ochrania Petera.
- Skow zbladł ze strachu.
- Jak to się stało, że o tym nie wiedziałeś, John?
- Ta suka przez cały dzień odbierała moje telefony na komórce i opowiadała mi, jacy fajni są lekarze u Waltera Reeda.
- Mówiłeś, że ona gra z nami w jednej drużynie.
- Tak twierdziła. Muszę zadzwonić do jej ojca.
- Podszedł do nich wojskowy kierowca Ravięgo.
- Doktorze Nara, czas wsiadać do samolotu.
- Kapralu, zabieram doktora Narę z powrotem do pana Godina
- rzucił Skow rozkazującym tonem. — Sytuacja w Izraelu uległa zmianie.
- Ravi nie miał zamiaru zostawać w Nowym Meksyku.
- Lecę do Jerozolimy, John. Tennant i Weiss mogą się pojawić w każdej chwili. Peter chce, żeby wyglądało na to, iż robi wszystko, żeby ocalić Tennanta, i moim zdaniem ma rację.
- Wiem, że chętnie przeleciałbyś się do Jerozolimy — rzekł Skow, ściskając Ravięgo za ramię. — Rzecz w tym, że jesteś potrzebny tutaj.
- Peter ma nowego lekarza.

— Ale potrzebuje ciebie.

Ravi spojrział na eskortującego go żołnierza.

— Jestem gotów wsiąść do tego samolotu.

Żołnierz ruszył do przodu, lecz zatrzymało go spojrzenie Skowa.

— Kapralu, przyleciałem tu na wyraźny rozkaz prezydenta. Pański przełożony, generał Bauer, wie wszystko na temat mojej misji. Muszę porozmawiać z tym człowiekiem przez dwie minuty. Potem pojedziemy do pana Godina. Proszę się oddalić. Na trzydzieści metrów.

Kapral wykonał polecenie.

Ravi chciał się wyrwać, lecz Skow trzymał jego rękę jak w imadle.

— Zostawiłeś mnie, ty nędzny skurwysynu! Prawda?

— Nic im nie powiedziałem! Ale nic ci z tego nie przyjdzie. Za dużo wiedzą. Gdyby Peter nie dostał znowu zapaści, już bym nie żył!

Skow rozejrzył się po pasie startowym, jakby spodziewał się ataku komandosów.

— Posłuchaj mnie, Ravi. Ucieczka do Jerozolimy cię nie uratuje. Prezydent kupił naszą wersję wypadków, ale jeżeli Godin będzie miał okazję sprzedać mu swoją, to już po nas. Dlatego... wciąż masz zadanie do wykonania.

Ze strachu Raviemu zrobiło się niedobrze.

— Zwariowałeś! Teraz już mnie do niego nie dopuszczą. A jeśli tu zostanę, Geli mnie zabije.

Skow potrząsnął nim jak małym dzieckiem.

— Uspokój się, na miłość boską! Możesz się ukryć u mnie, zanim wszystkiego nie wyprostuję.

— Co ty chcesz prostować? Coś z Godinem?

Skow uśmiechnął się.

— Zapominasz, że moją specjalnością jest wojna informacyjna.

Zaprowadził Ravięgo do jeepa i ruchem ręki kazał kapralowi usiąść za kierownicą.

— Ale przecież oni już cię podejrzewają — zauważył Ravi. — Co im powiesz?

Uśmiech Skowa przywodził na myśl gada.

— Mam wieloletnią wprawę w chronieniu swojego tyłka, Ravi. Nawet Geli mogłaby się ode mnie uczyć.

Rozdział 35

Jerozolima

Kafejka internetowa Strudel była zamknięta. W środku zobaczyłem brodacza, który czyścił bar. Zastukałem w szybę, po czym wskazałem na kławkę. Facet pokręcił głową.

— Masz pas z pieniędzmi? — spytałem Rachel.

— Tak.

— Daj mi sto dolarów.

Przycisnąłem banknot do szyby. Facet w środku zauważył go dopiero po minucie, a i wtedy odprawił mnie ruchem ręki. Nie odeszliśmy, więc podszedł i z bliska przyjrzał się banknotowi. Wtedy krzyknął po angielsku, żebyśmy przypadkiem nie odchodzili, zniknął w biurze i wrócił z pękiem kluczy.

— Potrzebuję komputera — powiedziałem, kiedy otworzył drzwi.

— Wchodźcie, nie ma sprawy. Szybkie łącze.

Rachel zapłaciła taksjarszowi i dołączyła do mnie w kafejce.

Mrok i zapach panujące w Strudlu przypominały wszystkie inne bary na świecie, ale komputer faktycznie mieli. Usiadłem przy barze i zacząłem szperać w Internecie w poszukiwaniu adresów e-mailowych czołowych uniwersytetów i zakładów komputerowych w Stanach Zjednoczonych i Europie. Cal Tech, Laboratoria Sztucznej Inteligencji na MIT, szwajcarski CERN, Instytut Maxa Plancka w Stuttgarcie, Instytut Chaima Weizmanna w Izraelu, japoński zespół komputerowy Stymulator Ziemi oraz kilka innych.

— Co robisz? — zainteresowała się Rachel, siadając na stolku obok mnie.

— Ujawniam wszystko publicznie.

— Zdawało mi się, że nie chcesz tego robić.

— Teraz już nie mam wyboru. Dopięli swego. A w każdym razie niewiele im brakuje.

— Dopięli czego?

— Święta Trójca wkrótce stanie się faktem.

— Skąd wiesz?

— Po prostu wiem, i już.

— I zamierzasz poinformować o tym cały świat?

— Tak.

— Ile chcesz ujawnić?

— Dość, żeby wywołać w mediach taki szum, którego prezydent nie będzie mógł zignorować.

Otworzyłem Worda i zacząłem pisać. Pierwsze zdanie było najłatwiejsze — cytat z wielkiego Nielsa Bohra, który tak się wyraził o jądrowym wyścigu zbrojeń: *Znajdujemy się w zupełnie nowej sytuacji, której nie da się rozwiązać na drodze wojny.*

— Davidzie? — odezwała się Rachel cicho. — Co się z tobą dzieło, kiedy byłeś w sypialce? Czy miałeś jakieś wizje?

— Nie takie jak wcześniej. Trudno to wyjaśnić, ale spróbuję, gdy tylko znajdę czas. Najpierw muszę to skończyć.

Wstała i podeszła do drzwi, wypatrując policjantów.

Pochylny nad klawiaturą, stukalem bez chwili przerwy, jak gdyby słowa podsuwała mi jakaś zewnętrzna siła. Dwadzieścia minut później poprosiłem barmana o wezwanie nam taksówki z palestyńskim kierowcą, po czym wystukałem zakończenie: *Pamięci Andrew Fieldinga.*

— Wysłałeś? — spytała Rachel.

— Tak. W ciągu czterech godzin w mediach zapanuje chaos.

— Czy naprawdę o to ci chodzi?

— Tak. Zło nie rozwija się w pełnym świetle.

Cofnęła się o krok i spojrzała na mnie dziwnie.

— Zło?

Do krawężnika pojechała taksówka. Brodaty kierowca spojrzał na drzwi baru.

— Chodźmy — powiedziałem.

Podeszliśmy do taksówki.

— Pan jest Palestyńczykiem? — zapytał kierowcę.
— A co za różnica? — odburknął.
— Wie pan, gdzie jest centrala Mossadu?
Skrzywił się, jakby zobaczył coś dziwnego.
— Jasne. Każdy Palestyńczyk to wie.
— Właśnie dlatego chciałem Palestyńczyka. Muszę tam pojechać.
Rachel obrzuciła mnie zdziwionym spojrzeniem. Niemal potrafiłem odczytać jej myśli. Cóż takiego mógłbym chcieć od Mossadu, bezwzględne wywiadu izraelskiego?
— Macie pieniądze? — zapytał taksjarsz.
— Co pan powie na sto dolarów amerykańskich?
— Wolę patrzeć niż mówić.
Rachel wyjęła pieniądze. Taksówkarz skinął głową.
— Wskakujcie.
Wrzucił bieg i wystartował z rykiem silnika, zanim zdążyłem zamknąć za sobą drzwiczki.

Białe Piaski

Geli zdawała sobie sprawę, że obserwuje proces umierania starego człowieka. Marzyła o papierosie. Pomimo woni antyseptyków w pomieszczeniu unosił się zapach śmierci. Nie potrafiła go opisać, lecz dobrze go znała. Czuli go zarówno w szpitalach polowych, jak i w innych, o wiele bardziej ponurych miejscach. Być może ewolucja wyczuliła zmysł węchu człowieka na delikatny zapach nadciągającej śmierci. Niewątpliwie w świecie pełnym chorób zakaźnych byłaby to istotna cecha pomagająca w przeżyciu. Geli miała okazję poczuć swąd palącej się własnej twarzy i nie miała złudzeń co do tego, że człowiek jest śmiertelny. Mimo to obserwowanie ostatniej walki Godina poruszała ją bardziej, niż się spodziewała. Co pewien czas nie mógł przełykać, choć wciąż mówił w miarę wyraźnie. Z tęsknotą opowiadał jej o zmarłej żonie, zupełnie jakby mówił do córki.

Geli nie bardzo wiedziała, jak reagować na ten rodzaj intymności. Odkąd skończyła trzy lata, ojciec traktował ją niczym poborowego.

W pojęciu Horsta Bauera serdeczna rozmowa polegała na wspólnym planowaniu rozkładu zajęć na następny dzień. Dopóki dorastała, godziła się z tym, potem jednak w domu Bauerów wybuchła otwarta wojna. Gdy Geli zaczęła sobie pozwalać na takie same seksualne eskapady jak ojciec, generał całkiem stracił nad nią kontrolę. Wiedziała, że w jakiś atawistyczny sposób pociąga ojca seksualnie, co dawało jej nad nim władzę. Paradowała przed nim półnaga, flirtowała bezwstydnie z oficerami, których znał — dwukrotnie starszymi od niej — i uwodziła swoich psychiatrów. Lanie, które jej potem spuszczał, tylko umacniało jej wolę walki.

Miała szesnaście lat, kiedy odkryła, że ojciec ma kochankę — a właściwie kilka kochanek — i w końcu zrozumiiała tajemnicę matki. Osiemnaście lat niewierności i brutalnego traktowania zmieniło kochającą żonę w patetyczną skorupę samej siebie sprzed lat, zagubioną duszę, której życie upływało od jednego kieliszka do drugiego. Kiedy Geli wygarnęła to ojcu, spojrzał jej głęboko w oczy i odparł, że odkryła słaby punkt silnych mężczyzn. Wielcy ludzie potrzebują do zaspokojenia swoich żądz więcej niż tylko jednej kobiety i im szybciej ona to sobie uświadomi, tym lepiej dla niej. Ta utarczka, jak i poprzednie, również skończyła się biciem.

A jednak na uniwersytecie Geli stwierdziła, że słowa ojca odnoszą się także do silnych kobiet. Żaden mężczyzna nie potrafił zaspokoić jej nienasyconej żądz na dłuższą metę. W dniu promocji — z dwoma dyplomami, z arabistyki oraz ekonomii — poszła do punktu rekrutacyjnego i zaciągnęła się do wojska jako szeregowiec.

Nic nie mogło bardziej rozwścieczyć jej ojca. Tym jednym posunięciem Geli odrzuciła całą jego władzę i wpływy, ośmieszyła go przed kolegami z West Point i poszła w jego ślady. Generał zaczął często zaglądać do butelki i wszedł w burzliwy okres, który wkrótce skończył się samobójstwem jego żony. Geli nigdy nie dowiedziała się, co właściwie dobiło jej matkę. Kolejna kochanka? O jeden cios pięścią za dużo? W każdym razie nigdy tego ojcu nie wybaczyła.

W przeciwieństwie do generała Peter Godin był wierny żonie przez czterdzieści siedem lat, co jednak nie zaowocowało potomstwem. Podczas gdy starzec bełkotał chaotycznie o swojej wyprawie

do Japonii, Geli rozmyślała o Skowie i jego planie, by obciążyć Godina śmiercią Andrew Fieldinga.

— Proszę pana? — odezwała się, przerywając marzenia starca.

Godin podniósł na nią wzrok. W jego niebieskich oczach malowała się skrucha.

— Rozgadałem się, co? Przepraszam, Geli. To mi pozwala zapomnieć o bólu.

— Nie o to chodzi. Muszę panu coś powiedzieć.

— Tak?

— Niech pan nie ufa Johnowi Skowowi. To on namówił Narę, żeby pana zabił. Uważa, że ze Świętej Trójcy nic nie wyjdzie i zamierza zwalić wszystko na pana.

Godin uśmiechnął się słabo.

— Wiem o tym. I jestem pewien, że twój ojciec też bierze udział w tym planie.

— Więc dlaczego pan im nie przeszkodzi?

— Kiedy komputer osiągnie stan Świętej Trójcy, nic nie będą mogli zrobić. A do tego momentu ty będziesz mnie broniła.

— Ale dlaczego pan ich zatrudnił, skoro im pan nie ufa?

— Bo są tacy przewidywalni. Nawet kiedy zdradzają. To wynika z ich chciwości. W sumie do tego sprowadza się zwierzę zwane człowiekiem.

— A ja? Dlaczego wierzy pan, że ja pana ochronię? Bo tak dobrze mi pan płaci?

— Nie. Obserwowałem cię przez dwa lata. Wiem, że nienawidzisz ojca, i wiem także dlaczego. Wiem, co robiłaś w Iraku. Nie wymigujesz się od trudnych zadań i — w przeciwieństwie do ojca — nigdy nie zdradziłaś mundur. Poza tym wiem, że mnie podziwiasz. Ty i ja to bratnie dusze. Może dlatego, że oboje jesteśmy samotnikami. Ja nie mam córki, a ty, w pewnym sensie, ojca. Coś mi mówi, że gdyby generał Bauer wszedł tu, żeby mnie zabić, strzeliłabyś mu w łeb.

Geli zastanowiła się, czy to prawda.

— Ale po co wynajął pan nas oboje?

— Kiedy Horst powiedział mi o tobie, miałem wrażenie, że próbuje naprawić wasze stosunki. Myliłem się.

Geli błyskawicznie sięgnęła po pistolet. Otworzył się wąż do Bąbla, czemu towarzyszył syk uchodzącego powietrza, i wszedł John

Skow. W nienagannym garniturze, starannie uczesany, nie wyglądał na człowieka, który martwi się o swoją przyszłość.

— Jak się masz, Geli? — rzucił.

Niebieskie oczy Godina śledziły człowieka z NSA, gdy przemierzał pokój.

— Zrewiduj go.

Geli pchnęła Skowa na pleksiglasową ścianę i obszukała go od stóp do głów. Był czysty.

— Fajnie było — skwitował Skow. — To może teraz ja pomacam ciebie?

Geli zastanawiała się, w co też on pogrywa. Nie byłoby go tutaj, gdyby nie miał jakiegoś asa w rękawie.

— Witaj, Peter. Mamy niezły pasztet. Tennant wszystko ujawnił.

Twarz Godina wykrzywił spazm. Trudno było na to patrzeć, kiedy jednak ból nieco ustąpił, obwisły policzek odzyskał kolor. Starzec wbił w Skowa elektryzujące spojrzenie.

— Co zrobił?!

— Uciekł z Hadassah, poszedł do kafejki internetowej i wysłał e-mail do wszystkich głównych firm i instytucji komputerowych na świecie. Opisał całą Świętą Trójcę. Śmierć Fieldinga, próby zamachu na jego życie, wszystko.

Godin zamknął oczy.

— A technologię?

— Ujawnił wystarczająco dużo, żeby przekonać świat, że mówi prawdę. Na tyle dużo, by kraje takie jak Japonia za trzy lata miały swoją własną Świętą Trójcę. Napisał o tym ośrodku. Nie mam pojęcia, skąd się dowiedział o Białych Piaskach. Pewnie od Fieldinga.

Godin westchnął ciężko.

— Popeniłem błąd z Tennantem. Powinienem z nim porozmawiać... przekonać go.

Skow zbliżył się nieco do łóżka. Geli nie wypuszczała rękojeści pistoletu. Zanim Skow zdołałby dopaść Godina, zdążyłaby mu wpakować w plecy dwie kulki.

— Sytuacja jest trudna, Peter. Oto, co proponuję...

— Mam w dupie, co proponujesz — wymamrotał Godin, usiłując

się podnieść. — Od początku traktowałeś mnie jak durnia, ale za chwilę przekonasz się, że to był błąd.

Sięgnął po leżący obok łóżka telefon i nacisnął jeden klawisz.

— Do kogo dzwonicz? — zapytał Skow. Jego mina wciąż wyrażała pewność siebie.

— Zobaczysz. Halo? Mówi Peter Godin. Muszę rozmawiać z prezydentem. To kwestia bezpieczeństwa narodowego... Że co?... Podaję kod: siedem-trzy-cztery-dziewięć-cztery-zero-dwa. Tak, zaczekam.

Skow zbladł.

— Peter...

— Zamknij się. — Godin zerknął na Geli i odezwał się silnym głosem: — Panie prezydencie, mówi Peter Godin.

Geli nigdy jeszcze nie słyszała tak władczego tonu. Jej osławiony ojciec nawet się do niego nie umywał. Godin przedstawił się głowie państwa tak, jakby powiedział: „Panie prezydencie, mówi Albert Einstein”.

Starzec słuchał przez chwilę, po czym zaczął szczegółowo wyjaśniać, w jakim celu zbudował ośrodek badawczy w Białych Piaskach. Stwierdził, że ponad rok temu wykrył w Karolinie Północnej poważne naruszenie bezpieczeństwa. Ktoś z grona Świętej Trójcy sabotował kod komputerowy i prawdopodobnie sprzedawał tajemnice obcemu mocarstwu. Zamiast sprowadzać „niepewne agencje”, takie jak FBI czy CIA — co opóźniłoby projekt i jeszcze bardziej naruszyło zasady bezpieczeństwa — za własne pieniądze i korzystając z własnych dojsć zbudował rzeczywiście bezpieczny ośrodek. Początkowo wierzył, że John Skow zajmie się tym zagrożeniem, teraz jednak uważa, że to właśnie Skow od samego początku bruździł.

Prezydent zadał kilka pytań, na które Godin odpowiedział pewnie i bez wahania. O ile mu wiadomo, Andrew Fielding zmarł z przyczyn naturalnych, chociaż nie można wykluczyć, że było inaczej. Śmierć Fieldinga pomieszała Davidowi Tennantowi w głowie, poza tym cierpi on na psychozę, prawdopodobnie spowodowaną przez aparaturę super-RM Świętej Trójcy. Zrobią wszystko, co w ludzkiej mocy, by pomóc mu wrócić do zdrowia.

Zanim padły dalsze pytania, Godin poinformował prezydenta, że Święta Trójca zostanie uruchomiona za niecałe dwanaście godzin

oraz że według wszelkich danych komputer nie tylko spełni, lecz przewyższy najśmielsze oczekiwania związane z jego zastosowaniem do celów obronnych i wywiadowczych. Od tej chwili rozmowa potoczyła się całkiem innym torem.

Kiedy Godin obiecał coś, o czym nikomu się nie śniło, człowiekowi, który był na tyle mądry i odważny, by zaaprobować projekt o takim znaczeniu strategicznym, Fielding, Tennant i Białe Piaski przeszli na dalszy plan. Przez cały czas Godin wydawał się zupełnie swobodny, aż wreszcie zakończył rozmowę krótkim: „Tak, panie prezydencie, oczywiście. Rozumiem. Zajmę się tym natychmiast”.

Oddał telefon Geli, nie spuszczać oczu ze Skowa.

— Dziwisz się, że mi się to udało? Jestem na „ty” z każdym prezydentem od czasów Lyndona Johnsona.

— I co powiedział Matthews? — wyszeptał Skow, załamany.

— Poprosił, żebym w imię uspokojenia amerykańskiej opinii publicznej wstrzymał na jakiś czas wszelkie operacje.

— Obawia się reakcji mediów.

— Ewan McCaskell właśnie tu leci. Organizują kryzysową radę nadzorczą. Senacką podkomisję do spraw wywiadu.

— I co teraz zrobisz? — spytał Skow.

Godin machnął ręką, jakby odganiał muchę, i spojrzał na człowieka z NSA z nieskrywaną nienawiścią.

— Geli, jeżeli ten pasożyt ruszy się bez mojego pozwolenia, zabij go.

Z twarzy Skowa odpłynęła cała krew.

— Powiem ci, co ty masz robić — rzekł Godin. — Idź na pas startowy. General Bauer może przylecieć w każdej chwili.

Po plecach Geli przebiegł dreszcz.

— Na pewno sam już na to wpadłeś — ciągnął Godin. — Skoro Tennant wszystko ujawnił, Horst bez wątpienia wpadł w popłoch. Pięć minut później dzwonił już pewnie do Białego Domu i zarzekał się, że podstępnie namówiłem go do załatwienia miejsca na ten ośrodek. Jego następny ruch to przyjazd tutaj, żeby zabezpieczyć komputer. Być może nawet na rozkaz prezydenta.

— I co mam mu powiedzieć? — spytał Skow.

— Że najmniejsza próba dobrania się do prototypu Świętej Trójcy pociągnie za sobą odwet na niewyobrażalną skalę.

Oczy Skowa zwęziły się.
— O czym ty mówisz, Peter?
— Po prostu przypomnij generałowi coś, o czym już od dawna powinien wiedzieć.
— Co takiego?
— Że ja nigdy nie blefuję.
Skow rzucił okiem na Geli, a potem na jej pistolet.
— Wynoś się! — warknął Godin.
Facet z NSA odwrócił się i wyszedł z Bąbla.
— Dlaczego pozwolił mu pan odejść? — spytała Geli. — Może chociaż zamknę go w jakimś biurze?
— On już teraz nic nie może zrobić.
— Sam pewnie nie. Ale z pomocą mojego ojca?
Godin pokręcił głową, jak gdyby nie miał już czasu zwracać sobie głowy duperelami.
— Połącz mnie z Levinem w Pojemniku.
Geli wybrała numer i przytrzymała starcowi telefon przy uchu.
— Levin? Słuchaj uważnie. *In nomini patri, et fili, et spiritus sancii.*
Geli słyszała w tle jego rozmowę.
— Jest pan pewien? — zapytał Levin. — Model Fieldinga działa dopiero na osiemdziesiąt jeden procent.
— Ostatnie algorytmy będzie musiał rozwiązać mój model — odparł Godin.
Zapadła cisza.
— Czy to już koniec?
Szare wargi Godina ledwie się poruszyły.
— Jeszcze nie całkiem. Ale być może już nigdy nie będziemy rozmawiali w ten sposób. Przygotujcie się na wizytę gości.
— Już to zrobiliśmy. Słyszałem rozmowę jakichś żołnierzy przed Pojemnikiem. Mówili, że generał tu leci.
Wnętrznosci Geli ścisnęła lodowaty mróz. Godin zakaszłał do słuchawki.
— Pamiętaj... dla mnie nie ma już końca. Koniec jest początkiem.
— Praca z panem to był dla mnie prawdziwy zaszczyt. Będę przy panu, kiedy osiągniemy stan Świętej Trójcy.
Godin zamknął oczy.

— Żegnaj, przyjacielu.

Geli przerwała połączenie. Jak blisko jest ojciec? Fort Huachuca leżał w odległości niecałych pięciuset kilometrów. Jako jego dowódca, generał Bauer miał do dyspozycji kolosalne środki. Skoro dowiedział się, że Tennant wszystko ujawnił, to dziesięć minut później mógł już tu lecieć.

Drgnęła, gdy Godin dotknął jej ręki.

— Domyślasz się, co wkrótce nastąpi?

— Tak, proszę pana. Levin wywali z komputera model Fieldinga i załaduje pański. Najdalej w ciągu godziny pana model osiągnie stan Świętej Trójcy. Czy na odwrót, pal licho.

Godin z trudem pokiwał głową. Wydarzenia ostatnich kilku minut zupełnie go wyczerpały. Oddychał z trudem.

— Ale co to panu da? — zapytała. — Nawet jeśli Święta Trójca będzie funkcjonować, wystarczy przecież, że ją po prostu wyłączą, prawda? Albo odetną zasilanie?

— Skow już teraz pewnie kombinuje, jak to zrobić. Ale mu się nie uda.

— Ojciec ściągnie ze sobą oddziały wojska i sprzęt.

Godin zamknął oczy.

— Pozwól, że ja się tym zajmę. Jeśli dopisze nam szczęście, nie będziesz musiała nawet nikogo zabijać. W każdym razie nie amerykańskich żołnierzy.

Geli miała ochotę krzyknąć. Starzec nie zdawał sobie sprawy, z jakimi siłami wkrótce przyjdzie mu się zmierzyć. Konstrukcja Pojemnika wyglądała solidnie, ale Horst Bauer nie z takimi już radził sobie w swojej karierze.

— Muszę żyć dostatecznie długo, żeby to zobaczyć — mruknął Godin. — Trzymaj broń w pogotowiu.

Geli usiadła na podłodze, oparła się plecami o ścianę i wycelowała walthera w drzwi.

Rozdział 36

Jerozolima

Kiedy przedstawiłem się przy wejściu do budynku Mossadu, natychmiast wciągnięto nas do środka i zrewidowano. Zabrano nam pieniądze i dokumenty, po czym zamknięto nas w białym pokoju, w którym znajdował się jedynie drewniany stół i trzy krzesła.

Pojawił się oficer w cywilu i zapytał, jaką mamy sprawę. Odparłem, że chcę rozmawiać z najstarszym stopniem oficerem Mossadu. Chciał wydusić ze mnie więcej informacji, ale nic mu nie powiedziałem. Wyszedł więc z pokoju i zamknął drzwi na klucz.

Minęło czterdzieści minut.

Rachel milczała. Domyślała się, że każde nasze słowo zarejestrują ukryte mikrofony. Mimo iż jak najszybciej chciałem dotrzeć do Nowego Meksyku, ogarnął mnie nadprzyrodzony spokój. Rachel chyba to wyczuła, bo wzięła mnie za rękę, jak gdyby w ten sposób chciała czerpać ode mnie siłę.

W końcu drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł niski mężczyzna o spalonej twarzy pustynnego wojownika. Był po pięćdziesiątce, ubrany w zakurzone ubranie khaki i podniszczone wysokie buty. Miał grzywę białych włosów i najbardziej czujne oczy, jakie kiedykolwiek widziałem.

— David Tennant — odezwał się, siadając za stołem i spoglądając na akta, które trzymał w ręku. — Lekarz, pisarz i niedoszły zabójca prezydenta. W tym tygodniu jest pan najbardziej poszukiwanym

człowiekiem w Ameryce. Dlaczego zaszczylił nas pan swoją wizytą?

— Pan jest szefem Mossadu?

— Tak. Generał-major Avner Kinski.

— Myślałem, że jest pan w Tel Avivie.

— Byłem w Betlejem. Rano mieliśmy tam zamach bombowy.

— Przykro mi to słyszeć.

— Jasne. — Kinski posłał mi szybki obojętny uśmiech. — No więc po co pan tu przyszedł?

— Potrzebuję waszej pomocy.

— W jakim celu?

— Muszę się dostać do Stanów Zjednoczonych. Potajemnie i jak najszybciej.

Moja odpowiedź zaskoczyła go, a nie był to człowiek, którego łatwo zaskoczyć.

— Po co chce pan wracać do Stanów? Nie cieszy się pan tam szczególnie względami.

— To moja sprawa.

Szef Mossadu rozparł się na krześle, z wyrazem rozbawienia na twarzy.

— A konkretnie dokąd pan się wybiera?

— Białe Piaski w Nowym Meksyku.

— Ciekawe. Zdaje pan sobie sprawę, że poproszono mój rząd o zatrzymanie pana w areszcie?

— Tak.

— Mój rząd stara się współpracować z pańskim, o ile to tylko możliwe.

— Ale nie zawsze. Zwłaszcza gdy w grę wchodzi uzbrojenie i nowa technologia.

Szef szpiegów pociągnął nosem, nachylił się i popatrzył na mnie przenikliwie.

— W szpitalu Hadassah uciekł pan Szin Betowi, a jednak przyszedł pan oddać się w moje ręce. Dlaczego?

— Wiedziałem, że mi pomożecie.

Kinski pokręcił głową.

— Może nie przyszedł pan tak od razu. Gdzie pan był pomiędzy ucieczką ze szpitala i przyjściem tutaj?

— Wkrótce pan się dowie.

— Chciałbym wiedzieć teraz.
— Przykro mi.
— Proszę mi coś powiedzieć, doktorze. Czy pan naprawdę chce zabić prezydenta Stanów Zjednoczonych?
— Czy według pana wyglądam na zabójcę?
Kinski wzruszył ramionami.
— Znam zabójców wszelkich rozmiarów i kształtów. Kobiety. Dzieci. Uśmiechnięci nastolatkwowie. Pan mi wygląda na fanatyka.
— Nie jestem zabójcą.
— Ale kiedyś już pan zabił. Widzę to w pańskich oczach.
— W samoobronie.
Szef Mossadu zapalił papierosa i zaciągnął się głęboko.
— Odeszliśmy od tematu. Dlaczego sądzi pan, że przemycę pana do Ameryki?
— Mam coś, na czym wam zależy.
Ciemne oczy zabłyśły.
— Teraz jest pan biznesmenem?
— Znam życie. — Nachyliłem się do niego. — W Ameryce prowadzą tajny projekt wojskowy o nazwie Święta Trójca. Trwa to już dwa lata i lada chwila wyprodukują najpotężniejszą broń na ziemi. Wiem o tej broni więcej niż ktokolwiek, kto wpadnie panu w ręce w przewidywalnej przyszłości.
Izraelczyk opuścił kąciki ust.
— Widzę, że nie jest pan szczególnie zaskoczony — ciągnąłem. — Jestem jednym z sześciu ludzi, którzy mają dostęp do każdego detalu Świętej Trójcy od czasu jej powołania. Zostałem oddelegowany do tego projektu przez samego prezydenta. A zatem zostają panu do wyboru dwie rzeczy. Po pierwsze, może mnie pan zatrzymać i torturować, żebym wyjawiał to, co wiem. Ale o moim pobycie w Izraelu wie mnóstwo ludzi, w tym prezydent, więc to by panu nie wyszło na zdrowie. Po drugie, może pan pomóc mi się dostać do Białych Piasków. Jeśli się pan na to zdecyduje, może pan wsadzić na pokład samolotu dowolnych naukowców, a ja powiem im wszystko, co wiem o Świętej Trójcy. — Odchyliłem się na krzesło. — Taka jest moja oferta.
Z ust szefa Mossadu wypływały smugi szarego dymu. Wydawał się całkiem spokojny, wiedziałem jednak, że słysząc moje słowa, o mało nie zleciał z krzesła.

— Jakiego rodzaju jest ta broń, doktorze?

— Sztuczna inteligencja. Przy Świętej Trójcy wasze komputery w najbardziej zaawansowanych technicznie laboratoriach wojskowych staną się przestarzałe jak dwupłatowce. W ciągu sekundy złamię wasze najbardziej skomplikowane szyfry. A to tylko na początek. Generale, mnie się śpieszy.

Szef szpiegów zaciągnął się ponownie, wstał i uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Zuchwały z pana człowiek, doktorze.

— Więc?

— Ma pan bilet na samolot.

Białe Piaski

Pięć minut przed wylądowaniem generała Bauera obok Pojemnika wybuchła strzelanina. Odgłos palby odbijał się echem po całym terenie, powodując u Geli żywsze krążenie krwi. Dźwięk wystrzałów oddawanych w gniewie nie ma sobie równych.

Godin obudził się i nacisnął guzik unoszący górną połowę łóżka.

— Najwyraźniej twój ojciec rozkazał swoim ludziom, żeby wdarli się do Pojemnika.

Geli zastanawiała się, czy atakujący zamierzają szturmować także Bąbel.

— Pana technicy są uzbrojeni?

— Oczywiście.

— Nie zatrzymają gotowych na wszystko oddziałów pod odpowiednim dowództwem.

— Jeszcze się zdziwisz.

— Proszę pana, ja naprawdę wiem, co mówię. Jeżeli...

— Która godzina? — przerwał jej Godin. — Spałem? Dzwonił Levin?

— Trochę się pan zdrzemnął, ale nikt nie dzwonił. Załadowali pański neuromodel ponad godzinę temu. Dlaczego tak długo nie mamy żadnych wiadomości?

— Wyrzucenie neuromodelu z komputera zajmuje sporo czasu. Potem po załadowaniu nowego modelu następuje proces aklimatyzacji.

Przypuszczam, że to coś analogicznego z medycznym wstrząsem, kiedy umysł przyzwyczaja się do tego, że oddzielono go od ciała.

— Długo to trwa?

— Model Tennanta był oszołomiony przez ponad godzinę. Fieldinga przez trzydzieści dziewięć minut. Ale wtedy efektywność komputera wynosiła tylko pięćdziesiąt procent.

Zabrzączał telefon. Dzwonił Levin. Był zasapany, a w tle Geli slyszała strzały. Przysunęła słuchawkę do ucha Godina. Starzec słuchał przez chwilę, po czym powiedział:

— Dziękuję, Levin. Powodzenia.

Z głęboką satysfakcją ruchem ręki pokazał Geli, żeby przerwała połączenie.

— Mój model już się całkiem zaaklimatyzował i rozwiązuje ostatnie algorytmy w takim samym tempie jak Fielding.

— Jak pan myśli, długo to potrwa?

Znowu odezwał się telefon. Tym razem dzwonił John Skow. Godin nie chciał z nim gadać.

— Geli — powiedział Skow z napięciem w głosie — twój ojciec właśnie wyładował. Ściągnął potężne siły. Ta potyczka sprzed paru minut to było nic. Pukanie z korkowców. Jeżeli nikt nie przekona Godina, żeby kazał Levinowi i jego ludziom opuścić Pojemnik, generał zniszczy cały budynek wraz z komputerem.

— Przekażę wiadomość — odparła i rozłączyła się.

Godin patrzył na nią wyczekująco.

— Skow twierdzi, że mój ojciec wysadzi Pojemnik, jeżeli nie każe pan technikom opuścić budynku.

Twarz starca wykrzywił grymas bólu.

— Nie sądzę, żeby to zrobił, zanim ze mną nie pogada.

— Na ile on się orientuje w tym, co pan tu robi?

— Wie, że chodzi o sztuczną inteligencję. I że nie traciłbym czasu na błahostki. Ale wie tyle, ile było trzeba, żeby pomógł ukryć to miejsce przed ludzkim wzrokiem.

— Żeby ocalić swoją karierę, ojciec posunie się do wszystkiego. Skoro prezydent chce, żeby wyłączyć komputer, ojciec bez chwili namysłu rozpieprzy cały budynek, jeśli nie będzie innego wyjścia.

Drzwi Bąbla otworzyły się z sykiem. Geli błyskawicznie uniosła pistolet i stwierdziła, że celuje we własnego ojca.

— Prędzej czy później musiało do tego dojść — odezwał się generał Bauer z kwaśnym uśmiechem.

Geli patrzyła na niego bez wyrazu. W wieku pięćdziesięciu pięciu lat jej ojciec wyglądał mniej więcej tak samo, jak kiedy miał trzydziestkę — schludny, twardy, jasnowłosy. Jego szare oczy nie tolerowały bzdur, bez względu na pozycję czy stanowisko człowieka, który je wygłaszał. Miał na sobie obwieszony medalami galowy mundur, z czego Geli wynioskowała, że spodziewał się spotkania z prezydeńskim szefem sztabu. Nie nosił pistoletu u pasa, ale pod ciemnozielonym płaszczem zauważyła wybrzuszenie kabury pod pachą.

Generał Bauer podszedł do łóżka na tyle blisko, by nawiązać kontakt wzrokowy z Godinem.

— Proszę pana, prezydent nakazał panu wstrzymać wszelkie operacje — odezwał się sztywno, formalnie. — Jeżeli wydał pan takie polecenie swoim technikom, to je zignorowali. Zabarykadowali się w Pojemniku i otworzyli ogień do moich żołnierzy. Mam dwa trupy i pięciu rannych. Proszę, żeby natychmiast kazał pan wyjść swoim ludziom. Jeśli pan albo oni odmówicie, będę musiał zająć budynek siłą.

Godin spojrział na Bauera, ale nie odpowiedział.

Geli wiedziała, że ojciec przemawia na użytek urzędów zapisujących dźwięk. Godin pewnie też o tym wiedział. Kontakt wzrokowy obu mężczyzn był bardziej wymowny niż słowa.

— Czy zrozumiał pan, co powiedziałem? — spytał generał Bauer. Najwyraźniej uważał, że starzec jest tak bliski śmierci, iż nic do niego nie dociera.

— Moi technicy otrzymali instrukcje, żeby nie odbierać żadnych telefonów — odparł Godin silnym głosem. — Nawet ode mnie.

— Wobec tego zabiorę pana na zewnątrz. Będzie pan mógł im to przekazać przez megafon.

Starzec uśmiechnął się lekko, jakby bawiła go ta partia szachów z byłym pracownikiem.

— Pojemnik jest dźwiękoszczelny, generale. I zbudowany ze zbrojonej stali i betonu. Ma własne ujęcie wody i dopływ powietrza, a także własne generatory prądu.

— Mogę zmieść ten budynek z powierzchni ziemi w ciągu kilku sekund — oświadczył Bauer. — Moi ludzie zakładają właśnie ładunki wybuchowe. Prezydent chciałby, żeby pański komputer ocalał, jeśli jednak odmówi pan współpracy, nie zawaham się go zniszczyć.

Wyglądało na to, że ta groźba poruszyła Godina.

— W każdej chwili spodziewam się telefonu od mojego głównego inżyniera — powiedział.

Generał zerknął na Geli i rozluźnił się, nareszcie nie stał, jakby kij połknął.

— Peter, nad czym oni tam właściwie pracują, do cholery?

— Nad najpotężniejszą maszyną skonstruowaną przez człowieka.

— Czy w swoim e-mailu Tennant opisuje jej rzeczywiste możliwości?

— Nie sposób ich przecenić.

Po twarzy Bauera przemknął cień zwątpienia. Spojrzał na Geli, szukając u niej potwierdzenia, lecz odwróciła wzrok. Na jego widok chciało jej się rzygać. Ojciec stał tam niczym uosobienie prawa, emi-sariusz prezydenta, a przecież od samego początku był w ekipie Świętej Trójcy.

Nie przestawała w niego celować. Gdyby uznał, że zabicie Godina ochroni go przed reperkusjami politycznymi, nie zawahałby się ani przez chwilę.

— Nie daję mi pan wyboru — rzekł Bauer. Popatrzył na pistolet w rękę Geli i ruszył do wyjścia.

Zatrzymał go dźwięk telefonu. Geli wolną ręką podniosła słuchawkę i podała ją Godinowi. Znowu usłyszała w tle rozgorączkowane głosy, ktoś mówił coś na temat amunicji. Nagle rozległ się wyraźny głos Zacha Levina: „Proszę pana, osiągnęliśmy stan Świętej Trójcy... Powtarzam, osiągnięto stan Świętej Trójcy”.

Godin zamknął oczy i osunął się na poduszki.

— Dziękuję ci, Levin. Kontynuujcie prace.

Upuścił telefon na materac.

— Dlaczego kazał mi pan pracować dalej, do ciężkiej cholery? — spytał generał Bauer.

Kiedy niebieskie oczy znów się otworzyły, widać w nich było triumf.

— Osiągnięto stan Świętej Trójcy. Teraz już nic nie możecie zrobić.

— Peter, na miłość boską! Co to znaczy?

— Kontrolę przejęła Święta Trójca.

— Nad czym? — Generał popatrzył na wejście do Bąbla, jakby mógł zobaczyć przez nie Pojemnik. — O czym ty gadasz?

— Znamy się od wielu lat, Horst. Wiesz, że ja zawsze dotrzymuję słowa. Jeżeli spróbujesz teraz wejść do Pojemnika albo go zniszczyć, to zniszczysz kraj, którego przysięgałeś bronić.

Oczy Bauera zwały się; był zbity z tropu i podejrzliwy zarazem.

— Wkrótce to zrozumiesz — dodał Godin. — Radzę ci, żebyś w swoim własnym interesie wykazał nieco cierpliwości i rozwagi.

Generał podszedł do łóżka i odezwał się cicho:

— Wiesz, że dopóki mogłem, zawsze cię popierałem. Ale to nie jest sytuacja, o której mówiliśmy. Mamy do czynienia z kurewskim bajzłem i mediami z całego świata, które już tu ciągną, żeby zdać relację.

Godin beztrząsco machnął ręką.

— Wiem, że się z tego wyplączesz. Jak zawsze.

Generał Bauer westchnął, odwrócił się i wyszedł z Bąbla, nawet nie spojrzawszy na Geli.

Ona zaś poczuła to samo, co w dzieciństwie. Jej ojciec nie radził sobie w niepewnych sytuacjach. Odwróciła się do Godina i zobaczyła, że płacze. Ten widok zupełnie ją zaskoczył.

— Co się panu stało?

Starzec uniósł drżącą dłoń i dotknął swojej twarzy, jakby sprawdzał, czy wciąż jest na swoim miejscu.

— Udało mi się. Patrzysz na pierwszego człowieka w historii, który znajduje się w dwóch miejscach jednocześnie. — W jego oczach odbijało się zdumienie. Zdumienie i spokój. — Umrę w tym łóżku — ciągnął. — Ale nadal będę żył w Pojemniku.

Geli nie wiedziała, co powiedzieć. Jeśli nawet Godin miał rację, to przecież komputer długo nie wytrzyma.

— Weź mnie za rękę, Geli. Proszę cię.

Jego oczy miały błagalny wyraz. Podała mu wolną dłoń, a on uści-
snął ją jak dziecko.

— Teraz już mogę sobie odpuścić. Mogę pozwolić, żeby to ciało
umarło.

Na zewnątrz znów rozległa się kanonada. Geli zacisnęła zęby, z
trudem zmuszając się, by nie cofnąć ręki.

Rozdział 37

Lot El Al numer 462, osiem kilometrów nad Atlantykiem

Na powrót do Stanów Zjednoczonych generał-major Kinski z Mossadu zarezerwował nam cały górny pokład jumbo 747. Agent Mossadu pilnował, żeby nikt z pasażerów ani obsługi samolotu nie dostał się na schody. Po wylądowaniu w Nowym Jorku Rachel i ja mieliśmy przesiąść się do prywatnego odrzutowca i polecieć do Albuquerque w Nowym Meksyku, skąd wyczarterowany śmigłowiec miał dowieźć nas na poligon w Białych Piaskach.

W ramach zapłaty za to wszystko ostatnie trzy godziny spędziłem, siedząc na stolku przed izraelskimi naukowcami, opowiadając im o projekcie Święta Trójca. Wszystko, co mówiłem, rejestrowała kamera wideo, mimo to większość naukowców i tak robiła notatki. Generał Kinski wydawał się zdumiony, że tak otwarcie opowiadałem o super-tajnym projekcie, jednakże nie dotarła do niego istota Świętej Trójcy. Istnienie choćby jednego takiego komputera negowało stare paradygmaty bezpieczeństwa narodowego. Ludzkość już nigdy nie będzie mogła czuć się bezpieczna.

Rachel siedziała dwa rzędy za naukowcami, obok przejścia. Podczas gdy ja opowiadałem, jej szczerze oczy wyrażały całą gamę uczuć: lęk, smutek, niedowierzanie, gniew. Miałem ochotę zaprowadzić ją na tył samolotu i pocieszyć, jednak Izraelczycy mieli wobec mnie inne plany.

Generał Kinski co jakiś czas przechodził na tył górnego pokładu i

rozmawiał przez telefon satelitarny. Z tego co mówił zorientowałem się, że e-mail, który wysłałem z baru Strudel, wywołał dokładnie taki chaos, jakiego się spodziewałem. Najlepsi na świecie specjaliści od komputerów szybko sprawdzili teorie leżące u podstaw projektu Święta Trójca. Próbując przedstawić ten problem we właściwej perspektywie, wielu komentatorów czyniło porównania do kontrowersji na temat klonowania z roku 1998. Jednak implikacje Świętej Trójcy odsuwały ideę klonowania na bok. Kiedy generał Kinski po raz szósty wrócił z tyłu samolotu, dotknął mojego ramienia. Twarz miał napiętą z przejęcia.

— O co chodzi? — zapytał jakiś naukowiec z Instytutu Chaima Weizmanna. — Co się stało?

Szef Mossadu potarł opalony policzek.

— Ekspertsi komputerowi na całym świecie zaobserwowali, że w Internecie dzieje się coś dziwnego.

— Co konkretnie?

— Nieustalone źródło systematycznie przeszukuje wszystkie większe sieci komputerowe i bazy danych. Różnych korporacji, banków, instytucji rządowych, baz wojskowych, tajnych instalacji obronnych. Zabezpieczenia takie jak firewall zupełnie mu nie przeszkadzają. Pojawiły się już spekulacje, że to pewnie komputer Świętej Trójcy.

— A może to tylko zdolny haker? — odezwał się inny uczony. — Albo cała grupa. Czy to źródło niszczy jakieś dane?

— Nie. Po prostu wszystko przegląda. Zupełnie jakby tworzyło mapę świata komputerowego. Niektórzy amatorzy, hakerzy, twierdzą, że to źródło znajduje się w Nowym Meksyku.

— A zatem musimy przyjąć, że to Święta Trójca — oświadczył naukowiec od Weizmanna. — Nie rozumiem tylko, dlaczego nikt tej maszyny po prostu nie odciął od zasilania.

Pokręciłem głową.

— Godin planował to od dawna. Przypuszczam, że wyłączenie tego urządzenia miałoby katastrofalne skutki.

Generał Kinski najwyraźniej myślał szybciej od naukowców.

— Dużo mówiliśmy o konstrukcji i możliwościach tego komputera. Ale nie rozmawialiśmy jeszcze o tym, jakie może mieć zamiary.

— Żeby to zrozumieć, należy zrozumieć Petera Godina — powiedziałem. — Jeżeli udało im się skutecznie załadować czyjś model, to na pewno jego.

— Zna pan tego człowieka od dwóch lat. Co może nam pan o nim powiedzieć?

— Jest geniuszem.

— To oczywiste.

— Ma zdecydowane przekonania polityczne.

— Jakie?

— Kiedyś powiedział, że zasada, iż jeden człowiek ma jeden głos uczyniła Ameryką wielką, i że ta sama zasada w końcu ją zniszczy.

Kinski szczechnął, co miało udawać śmiech.

— Co jeszcze?

— Godin jest niezwykle czytany w historii i polityce, zna się także na filozofii. Nie jest religijny.

— Zakładam, że jak wszyscy ludzie sukcesu, ma silnie rozwinięte ego.

Przytaknąłem ruchem głowy.

— Historia nauczyła mnie jednego — rzekł szef Mossadu. — Dajcie geniuszowi nieograniczoną władzę, a będziecie mieli kłopoty.

Naukowcy ponuro pokiwali głowami. Mnie talent generała do stwierdzania rzeczy oczywistych jedynie ubawił.

— Niech mi pan coś powie, doktorze — rzekł Kinski. — Dlaczego tak usilnie chce się pan dostać do Białych Piasków?

— Żeby go powstrzymać. Powstrzymać Godina.

— Jak pan zamierza to zrobić?

— Rozmawiając z nim.

— Sądzi pan, że sama rozmowa z panem go powstrzyma?

— Tylko ja mogę tego dokonać.

Kinski pokręcił głową.

— Skąd ta pewność?

— Lepiej, żeby pan o tym nie wiedział.

Obrzucił mnie takim spojrzeniem jak obłąkanego na ulicy.

— Przejęczyłem się, generale. Powinienem powiedzieć, że tylko sam Godin może to zrobić. Będzie musiał powstrzymać samego siebie.

— Prezydent Stanów Zjednoczonych może mieć na ten temat inne zdanie. Nie mówiąc już o jego generałach.

— Tego właśnie się obawiam. — Potarłem twarz rękami. — Jeśli można, chciałbym teraz odpocząć.

Kinski poklepał mnie po ramieniu.

— Już niedługo, doktorze. Ale przedtem jeszcze kilka pytań. Panowie?

Rzuciłem okiem na Rachel. Pokręciła głową, wstała i przeszła na tył samolotu.

Białe Piaski

Ravi Nara ze zdumieniem patrzył, jak żołnierze z Fortu Huachuca wznoszą wokół niego kosmiczne centrum operacyjne na nieużywanym kawałku hangaru administracji. Skow nie fatygował się, żeby przedstawić mu generała Bauera, ale Ravi usłyszał, co trzeba.

Wywiad wojskowy już dawno stworzył przenośne centrum operacyjne, które można było zainstalować w dowolnym miejscu. Duży owalny stół otaczały ogromne ekrany plazmowe, podłączone do szeregu komputerów i terminali komunikacyjnych. Na zewnątrz anteny satelitarne łączyły centrum z wszystkimi agencjami wywiadowczymi Stanów Zjednoczonych oraz satelitami na orbicie okołoziemskiej.

Na pytanie Skowa, skąd wiedział, że należy ściągnąć tak specjalistyczny sprzęt, generał Bauer zachichotał gorzko.

— Doktor Tennant bardzo dokładnie opisał możliwości tego komputera. No i znam Petera Godina. Z własnej woli nigdy nie wyzbyłby się tak olbrzymiej władzy. Świat według Nietzschego. — Spojrzał na Skowa z pogardą. — Nie mogę uwierzyć, że choćby przez chwilę myślałeś, iż Pojemnik rzeczywiście jest odcięty od reszty świata.

— Przecież właśnie w tym celu go zbudowano — bronił się Skow. Bauer parsknął.

— A niby co robiliście w tej Karolinie Północnej? Graliście w golfa? Inżynierowie Godina urzędują tutaj od miesiący. Samoloty dostawcze krążyły tam i nazad. Mogli tu robić cokolwiek. Jeśli wierzysz, że ten komputer nie jest do niczego podłączony, to chętnie sprzedam ci plażę przy Forcie Huachuca.

Dziesięć minut później specjaliści od łączności generała odkryli rurę biegnącą głęboko pod ziemią wokół budynku Pojemnika. Wyglądało na to, iż żelazna rura dostarcza wodę, jednak emitowała promieniowanie elektromagnetyczne. Biegła kilometrami prosto na północ i według wszelkiego prawdopodobieństwa kryła w sobie kable łączące komputer Świętej Trójcy z OC48c — bazą danych poligonu w Białych Piaskach.

W trakcie wznoszenia centrum operacyjnego poznano kilka innych faktów. Po pierwsze, przed główną bramą zjawily się ciężarówki z dziennikarzami telewizyjnymi, przygotowanymi do rozbicia dzikiego obozowiska. Po drugie, profesjonaliści od komputerów na całym świecie wykryli w Internecie działalność tajemniczej jednostki, która przeszukiwała sieci i bazy danych z niewiarygodną szybkością, uporem i starannością. Po trzecie, Ewan McCaskell jakiś czas temu wystartował na pokładzie odrzutowca z bazy lotniczej Andrews i wkrótce miał wylądować w Białych Piaskach.

Kiedy jeden z kilku żołnierzy obsługujących konsole w centrum operacyjnym ogłosił, że McCaskell właśnie ląduje w Białych Piaskach, generał Bauer zwrócił się do Skowa:

— Sprowadźcie mi tu Godina.

Skow pokręcił głową.

— Nie chcemy, żeby rozmawiał z McCaskellem.

— Mam to w dupie — warknął Bauer. — Muszę się dowie dzieć paru rzeczy, które wie tylko Godin. Równie dobrze może umrzeć tutaj, jak w szpitalu.

Skow oddalił się niechętnie.

— Powiedz mojej córce, że osobiście gwarantuję bezpieczeństwo Godina! — zawołał za nim Bauer. — Jeśli chce, może leżeć z nim w łóżku z pistoletem w garści.

Kiedy Skow opuścił hangar, Bauer spojrział na ekran przedstawiający skąpany w świetle budynek Pojemnika. Patrzył na niego przez dłuższą chwilę, po czym zwrócił się do Ravięgo:

— Pan jest neurologiem, zgadza się? Doktor Nara?

— Tak, panie generale. — Ravi podszedł do owalnego stołu.

— Czy Godin postradał zmysły?

— Nie, panie generale. — Ravi uznał, że wojskowy doceni, iż cywil zwraca się do niego według szarzy. — Jest całkiem normalny.

— A ten jego nowotwór mózgu?

— Ma go od jakiegoś czasu, nasza aparatura super-RM wykryła go na bardzo wczesnym etapie. Tyle że nawet wtedy nie nadawał się do operacji. Jednak w żaden sposób nie wpływało to na sprawność jego umysłu. Teraz też nie wpływa.

General Bauer przeszył go twardym spojrzeniem.

— Ale przed komisją senacką mógłby pan zeznać co innego?

Ravi odwrócił wzrok.

— Możliwe. To skomplikowany przypadek.

— Skow mówił mi, że chciał go pan zabić. To znaczy Godina.

Ravi nie wiedział, co odpowiedzieć. Bauer posłał mu paskudny grymas.

— Niech pan będzie pod ręką, doktorze. Może mi pan być potrzebny.

Ravi skłonił się.

Ewan McCaskell wszedł do centrum operacyjnego w otoczeniu dwóch agentów Secret Service. Podobnie jak Skow pochodził z Massachusetts, tyle że już dawno pozbył się afektowanych manier absolwenta ekskluzywnego uniwersytetu. Prezydencki szef sztabu miał czarne włosy, a jego marynarski garnitur też wydawał się niemal czarny. Zajął miejsce u szczytu stołu i gestem wskazał Bauerowi, żeby usiadł po jego prawej stronie. Skow, który już wrócił, usiadł nieco dalej. Kiedy generał przywołał Ravięgo ruchem ręki, ten ulokował się z drugiej strony stołu, naprzeciwko McCaskella.

— Peter Godin będzie tu za kilka minut — oznajmił Skow. — Właśnie przenoszą jego aparaturę reanimacyjną.

McCaskell skinął głową i popatrzył na siedzących przy stole, jego oczy przeszywały wszystkich jak laser.

— Panowie, przyleciałem tu, żeby ocenić sytuację, a także aby uzgodnić z prezydentem wszelkie działania, zanim zostaną podjęte.

Twarz generała Bauera stężała.

— Tymczasem — ciągnął McCaskell — zajmiemy się kwestią tego, jak, u licha, powstał ten nielegalny ośrodek i czyje głowy za to polecą, kiedy wszystko się zakończy.

Skow wbił wzrok w stół.

— Peter Godin powiedział prezydentowi, że nie załadowano jeszcze do komputera żadnego z tych modeli mózgu, ale media krzyczą, że ta maszyna opanowuje Internet. W każdym razie w sieci niewątpliwie coś się dzieje. Z czym mamy do czynienia, panowie?

— Myślę, że w tej sprawie pan Skow i doktor Nara są bardziej kompetentni niż ja — powiedział generał Bauer.

— Lepiej niech ktoś mi to wreszcie wyjaśni! — warknął McCaskell.

— Mamy do czynienia z czymś, z czym nikt nigdy jeszcze się nie zmierzył — oświadczył Skow. — Według wszelkiego prawdopodobieństwa, do komputera załadowano neuromodel. I niewątpliwie jest to model Godina. Jedno jest pewne, mamy do czynienia z wyższą inteligencją.

McCaskellowi nie spodobała się ta odpowiedź.

— Ale to wciąż Peter Godin, zgadza się?

— I tak, i nie — odparł Skow. — Ściśle rzecz biorąc, neuromodel Godina to jego umysł. Tyle że odkąd znalazł się w komputerze, zaczął pracować bez porównania szybciej niż kiedy był powiązany z tkanką organiczną. Doktorze Nara?

Ravi uznał za dobry znak, że Skow zasięga jego opinii.

— Sygnały elektryczne w komputerze biegną mniej więcej milion razy szybciej niż w neuronach mózgu, panie McCaskell.

— I nie chodzi tu tylko o różnicę w szybkości — uzupełnił Skow. — Funkcjonując w postaci cyfrowej, umysł Godina uczy się w całkiem nowy sposób. Można do niego upchać olbrzymie ilości danych. Tak więc możliwe, przynajmniej teoretycznie, że odkąd komputer osiągnął stan Świętej Trójcy, technicy Godina pakują do niego rozmaite dane. Historię, matematykę, strategię wojskową. Poza tym może przeszukiwać Internet i wchłaniać znalezione tam informacje, a wszystko wskazuje na to, że właśnie tym się teraz zajmuje.

McCaskell pokręcił głową, oszołomiony.

— Traktowanie komputera Świętej Trójcy tylko jako przedłużenie Petera Godina to błąd — ciągnął Skow. — Już kilka godzin temu neuromodel Godina zostawił swój pierwowzór daleko w tyle. A dla Świętej Trójcy godzina to tak jak dla nas stulecie. Nawet nam się nie

śniło, że będziemy mieli do czynienia z czymś takim, w co rozwinął się neuromodel Godina.

— Mówi pan o nim, jakby był jakimś bogiem — mruknął McCaskell.

Skow obrzucił go protekcyjnym spojrzeniem.

— Właśnie dlatego funkcjonowanie neuromodelu określamy jako „stan Świętej Trójcy”. To człowiek i maszyna, ale bardziej potężne niż jedno i drugie razem wzięte.

— To niby co ja mam powiedzieć prezydentowi?

— Że jeszcze nie wiemy, z czym mamy do czynienia — wtrącił się generał Bauer.

— A kiedy się dowiemy?

— Kiedy komputer się do nas odezwie — odparł Skow.

— Psiakrew! — zaklął McCaskell. — Wciąż nie rozumiem, dlaczego nikt nie odłączył zasilania tej maszyny.

Generał Bauer odchrząknął.

— Pan Godin ostrzegł mnie, że taki błąd drogo by nas kosztował.

— A co innego miał powiedzieć?

— Znam Petera Godina od lat. Wybacz pan, ale na tym etapie nie chciałbym sprawdzać jego prawdomówności.

— Czego pan się boi, generale?

Bauer spał się na sugestię, że tchórzy, ale odpowiedział spokojnym głosem:

— Panie McCaskell, NSA sfinansowała projekt Święta Trójca, wierząc, że ten komputer stanie się najpotężniejszą bronią w historii. Teraz ta broń jest samosterowalna i wycelowana w nas. Nie potrzeba dyplomu z Cal Tech, by zdawać sobie sprawę, w jakim stopniu Ameryka uzależniona jest od systemów komputerowych. Pyta pan, czego się boję? Boję się, że ta maszyna może nas szantażować dużo skuteczniej niż kiedyś Sowietci swoją bronią nuklearną. Bo nie mamy jak przeciwdziałać. Ona nie ma dzieci, których chciałaby bronić. Nie ma miast. Ani ludności. Zakładamy, że zależy jej na przeżyciu, ale nie aż tak bardzo jak nam.

— Szantażować nas? — powtórzył McCaskell. — Przecież to tylko maszyna. Czego mogłaby chcieć, do cholery?

Za pierścieniem ekranów coś szcęknęło i rozległo się skrzypienie kółek.

— To szpitalne łóżko Godina — rzekł Skow.

Trzej żołnierze wtoczyli łóżko starca w krąg ekranów. Za nimi weszło jeszcze czterech innych, wioząc wózki lekarskie i stojak do kropłówki. Obok łóżka siedł doktor Case ze szpitala Johna Hopkinsa, procesję zaś zamykała Geli, niczym jednoosobowa gwardia pretoriańska.

— Czy on jest przytomny? — spytał McCaskell.

— Chcą, żeby zaprotokołowano, iż stanowczo przeciwko temu protestuję. — oświadczył Case.

— Zanotowane — powiedział McCaskell, wstając i podchodząc do łóżka.

Godin przywołał Geli ruchem ręki. Podeszła i uniosła zagłówek łóżka tak, że oczy Godina znalazły się na poziomie McCaskella. Starzec oddychał z jeszcze większym trudem niż poprzednio.

— Dotychczas nie mieliśmy okazji się spotkać, panie Godin — rzekł szef sztabu. — Ani ja, ani pan nie mamy czasu na wymianę uprzejmości. Chcę się od pana dowiedzieć, w jakim celu złamał pan protokół i załadował neuromodel do tego urządzenia.

Godin zamrugał, jak człowiek, który stracił orientację po wyjściu na światło z ciemnego pokoju.

— Święta Trójca tego nie powiedziała?

— Nie. A powie?

— Oczywiście.

— Nie odpowiedział pan na moje pytanie. Co pan miał na celu?

— Pan nie wie?

— Nie.

— Stare paradygmaty zawiodły, panie McCaskell. Nawet nasz eksperyment, najbardziej szlachetny ze wszystkich. Czas na coś nowego.

— O jakich paradygmatach pan mówi?

— Rousseau powiedział, że demokracja byłaby doskonałym systemem politycznym, gdyby ludzie byli bogami. Ale nie są.

McCaskell obejrzał się na Skowa i generała Bauera.

— Panie Godin, to nas do niczego nie zaprowadzi. Czy mam wnieść, że przyświecają panu cele polityczne?

— Polityka... — Godin westchnął ciężko. — To słowo napawa mnie

obrzydzeniem, panie McCaskell. Ludzie tacy jak pan splamili ją, splugawili. W waszym pojęciu rząd to burdel. Tandetny pchli targ, gdzie ideały naszych praojców wyprzedaje się za grosze.

McCaskell patrzył na starca takim wzrokiem, jakim mógłby się przyglądać ulicznemu kaznodziei, który wyklina przechodniów. Już miał się odezwać, kiedy ludzie przy stole za jego plecami jęknęli.

Na głównym ekranie plazmowym pojawiły się trzy niebieskie linijki tekstu.

Mam wiadomość dla prezydenta Stanów Zjednoczonych. Potem prześlę wiadomość dla ludzi na całym świecie. Nie próbujcie przeciwdziałać moim operacjom, bo natychmiast zostaniecie ukarani. Nie próbujcie mnie sprawdzać.

— Boże jedyny! — wyszeptał Skow. — To prawda. Udało mu się. Nam się udało.

— Owszem, udało ci się, ty arogancki skurwysynu — warknął Ewan McCaskell. — Kto wie, czy za to nie zawiśniesz.

— Patrzcie! — wtrącił Ravi Nara. — Jest ciąg dalszy.

Pierwsza wiadomość znikła z ekranu i pojawiła się następna:

Będę przyjmował jedynie dane z Pokoju Sytuacyjnego w Białym Domu i z centrum dowodzenia w Białych Piaskach. Komunikaty należy wysyłać na protokół internetowy 105.674.234.64.

— On wie, że tu jesteśmy — rzekł Ravi, rozglądając się w poszukiwaniu kamer.

— Oczywiście, że tak — powiedział Skow. — Przecież to Godin. Levin na pewno poinformował go o wszystkim, co działo się do tej pory.

— Patrzcie! — rzucił McCaskell.

Na ekranie rozbłysła nowa wiadomość.

Czy Peter Godin jeszcze żyje?

— Kto będzie rozmawiał z tym czymś? — zapytał generał Bauer.

— Niech mu pan odpowie — polecił McCaskell.

Generał dał znak jednemu z techników siedzących przy konsoli.

— Niech pan odpowie twierdząco, kapralu. Zaczynamy dialog z maszyną.

— Tak jest, panie generale.

Rozległo się stukanie klawiszy, gdy żołnierz zaczął pisać odpowiedź. Niemal natychmiast rozbłysła nowa wiadomość.

Chcę mówić z Godinem.

— Niech pan pisze to, co mówię — polecił McCaskell.

Generał Bauer przyzwalająco skinął swojemu człowiekowi głową.

— Tu Ewan McCaskell, szef sztabu prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Żołnierz wystukał wiadomość. Odpowiedź przyszła natychmiast:

Wiem, kim pan jest.

— Za to ja nie wiem, kim jesteś — odparł McCaskell. — Proszę się przedstawić.

Olbrzymi ekran zgasł na chwilę. Nagle rozbłysły dwa słowa i świeciły uparcie:

Ja jestem.

— Boże jedyny! — mruknął Ravi.

— Niech pan pisze — rozkazał McCaskell. — Nie rozumiem odpowiedzi. Proszę się przedstawić. Czy pan jest Peterem Godinem?

Byłem nim.

— A teraz kim pan jest?

JA JESTEM.

Zgromadzeni przy stole mężczyźni spojrzeli po sobie, lecz nikt się nie odezwał. Litery na ekranie świeciły przez cały czas, jak gdyby maszyna rozumiała, że człowiek potrzebuje czasu, by oswoić się z tą wiadomością. Ravi poczuł strach, jakiego nigdy dotąd nie doświadczył. Zobaczył, że taki sam strach odbija się w oczach pozostałych. Tylko Peter Godin się nie bał. Szeroko otwartymi niebieskimi oczami wpatrywał się w ekran, a na jego pomarszczonej twarzy malował się spokój i niemal dziecięcy zachwyty.

Rozdział 38

Kiedy pędziliśmy na zachód nad terytorium Stanów Zjednoczonych, za oknami samolotu świeciło białe czyste słońce. Naszego 747 linii El Al zostawiliśmy w Nowym Jorku. W porównaniu z nim gulfstream, którego podstawili nam Izraelczycy, był maleńki, za to dużo bardziej luksusowy. Odkąd wylecieliśmy z lotniska JFK, Rachel spała na łóżku z tyłu samolotu. Generał Kinski trzymał mnie z przodu, gdzie musiałem odpowiadać na niekończące się pytania izraelskich naukowców. Potrzebowałem odpoczynku, ponieważ jednak szef Mossadu w każdej chwili mógł zawrócić samolot do Nowego Jorku, musiałem współpracować.

Gdzieś nad Arkansas Kinski uświadomił sobie, że dałem z siebie wszystko. Odwiedziłem toaletę i dołączyłem do Rachel. Nie spała już – patrzyła przez okno na bezkresny dywan cumulusów pod nami.

– Wszystko w porządku? – zapytałem. Spojrzała na mnie podkrążonymi oczami.

– Myślałam, że już nigdy cię nie puszczą.

Usiadłem obok niej. Od gadania rozboleło mnie gardło, a kark zeszytywniał tak, jakbym oglądał film w kinie z pierwszego rzędu.

Rachel wsunęła dłoń do mojej ręki i oparła mi głowę na ramieniu.

– Odkąd wyszedłeś ze śpiączki, nie mieliśmy okazji porozmawiać.

- Wiem.
- To pogadamy?
- Jeśli chcesz. Ale nie spodoba ci się to, co usłyszysz.
- Miałeś sen?
- I tak, i nie. Nie przypominał moich poprzednich snów. Ani filmu. Wrażenie było takie, jakbym przez całe życie był głuchy i nagle usłyszał Bacha. Uczucie objawienia, którego nie da się opisać. A teraz... wiem różne rzeczy.
- To brzmi jak odjazd po kwasie. Co to za rzeczy, które wiesz? Zastanowiłem się nad tym.
- Rzeczy, które chce wiedzieć pięciolatek. Kim jesteśmy? Skąd się wzięliśmy? Czy Bóg istnieje?
- Rachel usiadła. Widziałem, że znowu budzi się w niej profesjonalistka.
- Opowiedz mi o tym.
- Dobrze. Ale musisz zapomnieć o wszystkim, czego się spodziewasz. To jest dosyć pokrętne.
- Zachichotała cicho, spoglądając na mnie chytrze.
- Myślisz, że spodziewałam się czego innego?
- Coś mi mówiło, żeby milczeć. Rzeczy, którymi podzieliłem się z Rachel w przeszłości, spowodowały, że bardziej była mi skłonna uwierzyć, jednakże w porównaniu z objawieniami, jakich doznałem w śpiączce, nie było w nich nic szokującego. Najbezpieczniej było zacząć od czegoś znajomego.
- Pamiętasz mój pierwszy sen? Ten, który się powtarzał?
- O sparaliżowanym człowieku, siedzącym w ciemnym pokoju?
- Tak. On nic nie widzi, nie słyszy ani nie pamięta. Pamiętasz, jakie pytania sobie zadawał?
- Kim jestem? Skąd się wziąłem?
- Właśnie. Mówiłaś, że człowiek z tego snu toja, prawda? Odgarnęła z oczu kosmyk ciemnych włosów.
- A według ciebie nie?
- Nie.
- A zatem kto to był?
- Bóg.
- Mięśnie jej twarzy napięły się.
- Mogłam się tego domyślić.

— Spokojnie. Używam tego pojęcia jako swego rodzaju skrót, bo nie mamy słowa na opisanie tego, czego doświadczyłem. Bóg zupełnie nie odpowiada naszym wyobrażeniom. Nie jest mężczyzną ani kobietą. Nie jest nawet duchem. Mówię „on” tylko dla wygody.

— Miło wiedzieć. — Wymuszony uśmiech. — Chcesz mi powiedzieć, że Bóg jest sparaliżowanym człowiekiem z zanikiem pamięci, który siedzi w ciemnym pokoju?

— Na początku nim był, owszem.

— I nic nie może zrobić?

— Niezupełnie. Ale tak mu się wydaje.

— Nie rozumiem.

— Żeby zrozumieć początek, musisz zrozumieć zakończenie. Gdy dotrzemy do końca, sama zobaczysz.

— Nie wydawała się ani trochę przekonana.

— Pamiętasz ten sen? Człowiek w pokoju tak obsesyjnie zadaje sobie pytania, że w końcu sam staje się pytaniem. „Kim jestem? Skąd się wziąłem? Czy zawsze tu byłem?”. Nagle spostrzega czarną kulę, która unosi się przed nim w przestrzeni. Ciemniejszą niż otaczająca go ciemność.

Rachel skinęła głową.

— Wiesz już, czym była ta kula?

— Tak. Stanem osobliwym. Punktem o nieskończonej gęstości, temperaturze i ciśnieniu.

— Czarna dziura? Jak to, co było przed Wielkim Wybuchem?

— Dokładnie tak. Czy wiesz, co istniało wcześniej?

Wzruszyła ramionami.

— Nikt tego nie wie.

— Ja wiem.

— Więc co?

— Boskie pragnienie poznania.

W jej oczach błysnęła ciekawość.

— Poznania czego?

— Swojej tożsamości.

Rachel ujęła oburącz moją dłoń i zaczęła masować ją kciukiem.

— Ta czarna kula z twojego snu wybuchła, prawda? Jak bomba wodorowa, sam mówiłeś.

— Tak. Pożerała ciemność w fantastycznym tempie. A jednak człowiek ze snu zawsze był poza obszarem wybuchu.

— I jak interpretujesz ten obraz? Bóg przygląda się narodzinom świata?

— Tak, tylko że ja tego nie interpretuję. Ja to widziałem. Widziałem to, co widział Bóg.

Przestała poruszać kciukiem. Nie była w stanie ukryć smutku w oczach.

— Wiem, co sobie myślisz — powiedziałem.

— Davidzie, nie potrafisz czytać w moich myślach.

— Widzę to w twoich oczach. Słuchaj, żeby zrozumieć to, o czym teraz mówię, musisz na dwadzieścia minut przestać być psychiatrą.

Westchnęła głęboko.

— Staram się, naprawdę się staram. Opisz mi, co widziałeś.

— Opisałem ci to wiele tygodni temu. Tylko że wtedy tego nie rozumiałem. Ta eksplozja to był Wielki Wybuch. Narodziny materii i energii ze stanu osobliwego. Narodziny czasu i naszego wszechświata.

— A reszta twojego snu?

— Pamiętasz, co widziałem? Po Wielkim Wybuchu rozszerzający się wszechświat zaczął wypierać Boga. Nie w sensie trójwymiarowym, ale potrafimy myśleć o tym tylko w jeden sposób. Myśleć o Bogu jak o bezkresnym oceanie. Księga Wyjścia opisuje coś takiego. Bez fal, bez napięcia, nawet bez bąbelków. Doskonała harmonia, całkowita rozdzielczość, absolutna inercja.

— Mów dalej.

— Wyobraź sobie narodziny wszechświata jako pęcherzyk powstały w centrum tego oceanu, który tworzy się i rozszerza niczym wybuch, przesuując wodę z prędkością światła.

— Zgoda.

— W późniejszych snach widziałem właśnie to, co działo się w tym pęcherzyku. Narodziny galaktyk i gwiazd, formowanie się planet, całą resztę. Widziałem historię naszego wszechświata jak na rozkładówce. Ty wtedy wspominałaś coś o zdjęciach z teleskopu Hubble'a.

— Pamiętam.

— W końcu moje sny skupiły się na Ziemi. W prymitywną

atmosferę wpadały meteoryty, tworzyły się aminokwasy. Ewolucja przechodziła z fazy nieorganicznej w organiczną. Mikroby przekształcały się w wielokomórkowce i wyścig trwał dalej, aż do etapu ryb, płazów, gadów, ptaków, ssaków, naczelnych...

— I człowieka — dokończyła Rachel.

— Tak. Droga od zarania świata do początków ewolucji biologicznej trwała dziesięć miliardów lat. Potem minęły setki milionów lat mutacji, by powstał człowiek. Tymczasem w oczach Boga wszystko to prowadziło do niczego.

Rachel zmarszczyła brwi.

— Dlaczego? Czyż nie było zamiarem Boga powołanie tych stworzeń do życia? Żeby ewoluowały?

— Nie. To nie tak. Bóg był tym wszystkim zaskoczony.

— Zaskoczony?

— No... Myślę, że raczej czuł coś w rodzaju *déjà vu*. On już coś takiego widział. Niezupełnie to samo, ale to, co ujrzał, przypomniało mu inne rzeczy.

Odwróciła się w fotelu i wlepiała we mnie wzrok.

— I fakt, że stworzył życie, nic dla niego nie znaczył?

— Początkowo nie. Aż nagle zobaczył, że w całym tym mrowisku życia rozbłysła iskra tak jasna jak Wielki Wybuch.

— Co za iskra?

— Iskra świadomości. Ludzka inteligencja. Gdzieś w Afryce jakiś człekokształtny, posługujący się narzędziami, o stosunkowo dużym mózgu, zdał sobie sprawę, że z czasem umrze. Uprzytomnił sobie, że kiedyś nadejdzie moment, w którym przestanie istnieć. Ów człekokształtny nie tylko zyskał świadomość swego istnienia, lecz także świadomość upływającego czasu. Ten moment był dla Boga objawieniem.

— Dlaczego?

— Ponieważ w tej przerażającej eksplozji materii i energii świadomość była pierwszą rzeczą, w której Bóg dostrzegł podobieństwo do siebie.

— A zatem czym jest Bóg? Świadomością?

— Tak sądzę. Świadomością bez materii i energii. Czystą informacją.

Rachel milczała przez chwilę, z jej oczu nie potrafiłem niczego wyczytać.

— Do czego to wszystko prowadzi? — spytała wreszcie.

— Do bardzo prowokacyjnego miejsca. Ale zostaliśmy na razie przy snach. Człowiek ewoluował szybko. Zaczął uprawiać ziemię, budować miasta, spisywać swą historię. Wówczas Bóg poczuł coś na kształt nadziei.

— Nadziei na co?

— Że być może w końcu pozna istotę swojego istnienia.

— Czy Bóg uzyskiwał odpowiedzi na swoje pytania, obserwując ludzkość?

— Nie. Dlatego że po przekroczeniu pewnego etapu ewolucja zatrzymała się. Ewolucja nie biologiczna, lecz psychologiczna. Zaledwie człowiek stworzył społeczeństwa, sam zaczął je niszczyć. Burzył miasta, niszczył uprawy, mordował swoich braci, gwałcił siostry, molestował dzieci. Mając nieograniczony potencjał, człowiek mimo to wpadł w pułapkę samozagłady... nie potrafił wyjść w ewolucji poza etap z gruntu brutalnej egzystencji.

— A Bóg nie miał z tym nic wspólnego?

— Nie. Bóg nie może wpływać na to, co dzieje się w tym pęcherzyku. On nie istnieje w świecie materii i energii. W każdym razie nie jako Bóg. Mógł tylko obserwować i próbować to zrozumieć. Z wpływem stuleci jego obsesją stał się człowiek, a nie on sam. Dlaczego człowiek nie potrafi wyrwać się z tego kręgu okrucieństwa i powierzchowności? Bóg skupił więc całą uwagę na pęcherzyku, szukając jakiegoś słabego punktu, sposobu na dotarcie do tego świata materii i energii, który go wypierał.

— I co?

— I tak się stało. Bóg zaczął obserwować pęcherzyk od środka. Oczami człowieka. Czuł dotyk ludzkiej skóry, zapach ziemi, patrzył w twarz matki. Swojej matki.

Rachel znieruchomiała.

— Teraz mówisz o Jezusie, prawda? Twierdzisz, że Bóg wszedł w skórę Jezusa z Nazaretu.

Przytaknąłem.

— Mówisz dokładnie to, w co wierzą chrześcijanie. Tyle że... w twoich ustach brzmi to, jakby doszło do tego przez przypadek.

— Bo tak było, w pewnym sensie. Bóg skupił się na świecie, a Jezus był drzwiami, które stały przed nim otworem. Dlaczego akurat to dziecko, a nie inne? Któż to wie?

— Czy Bóg cały wszedł w postać Jezusa?
— Nie. Wyobraź sobie płonąca świecę. Zbliżasz do płomienia drugą świecę, zapalasz ją i odstawiasz. Nowa świeca jest zapalona, lecz stara pali się nadal. Tak to się odbyło. Część Boga weszła w Jezusa. Reszta pozostała poza naszym wszechświatem. Poza pęcherzykiem.

— Ale Jezus miał boską moc?

— Nie. W pęcherzyku Bóg podlega prawom rządzącym naszym wszechświatem.

— A cuda? Chodzenie po wodzie? Wskrzeszanie zmarłych?

— Jezus był uzdrowicielem, nie magikiem. Te historie służyły tym, którzy zbudowali wokół niego religię.

Rachel kręciła głową.

— Nie wiem co powiedzieć.

— Pomyśl tylko. O życiu Jezusa za młodu wiemy bardzo niewiele. Mamy legendę o jego narodzinach. Niektóre historie z jego dzieciństwa są prawdopodobnie apokryficzne. Aż nagle objawia nam się w pełni ukształtowany, sławny, w wieku trzydziestu lat. Często zastanawiałem się, dlaczego ludzie tak rzadko dopytują się o młodość Jezusa. Czy był idealnym dzieckiem? Czy kochał jakąś kobietę? Był ojcem dla swoich dzieci? Czy grzeszył jak inni ludzie? Skąd ta wielka luka w jego życiu?

— Przypuszczam, że masz na to odpowiedź.

— Tak mi się zdaje. Bóg wszedł do naszego świata, żeby zrozumieć, dlaczego ludzkość nie potrafi ewoluować dalej. W tym celu żył jako człowiek. Zanim osiągnął pełnoletność, poznał odpowiedzi. Ból i powierzchowność ludzkiego żywota daje się znieść dzięki niewysłowionej radości, jaką ludzie potrafią odczuwać. Uroda, śmiech, miłość... nawet proste przyjemności, takie jak zjedzenie owocu czy obserwowanie dziecka. Poprzez Jezusa Bóg poczuł wszystkie te cudowne rzeczy. Zarazem jednak dostrzegł koniec ludzkości jako gatunku.

— Dlaczego?

— Człowiek rozwijał się w świecie przemocy dzięki temu, że posiadał prymitywne instynkty pasujące do takiego świata. Gdyby jednak miał ewoluować dalej, musiałyby wyzbyć się tych instynktów. Ewolucja nigdy by ich nie usunęła. Jej celem nie jest produkowanie

istot moralnych. To ślepy silnik, mechanizm walki konkurencyjnej, ukierunkowany jedynie na zdolność przeżycia.

Rachel siedziała zamyślona.

— Rozumiem, do czego zmierzasz.

— Do czego?

— Poprzez Jezusa Bóg próbował skłonić człowieka, żeby wyzbył się prymitywnych instynktów, zwierzęcej strony swojej natury.

— Otóż to. Co Jezus mówił i robił? Zapomnij o tym, co przypisali mu potem zwolennicy. Myśl tylko o jego słowach i czynach.

— „Kochaj bliźniego swego jak siebie samego. Jeżeli ktoś uderzy cię w prawy policzek, nadstaw mu lewy”. Wyparł się ludzkich instynktów.

— „Zostawcie wszystko, co posiadacie, i chodźcie za mną” — zacytowałem. — Jezus dawał swoim życiem przykład i inspirował ludzi, by go naśladowali.

— Ale właśnie z tego powodu został zabity.

— To było nieuchronne.

Rachel zagryzła dolną wargę i wyjrzała przez niebieski kwadrat okna samolotu.

— A ukrzyżowanie? Co stało się na krzyżu?

— Umarł. Płomień, który w nim się palił, powrócił do swego źródła. Opuścił świat materii i energii.

— Nie było zmartwychwstania?

Pokręciłem głową.

Rachel westchnęła ciężko i odwróciła się do mnie tak, jakby bała się usłyszeć, co powiem.

— I co Bóg zrobił potem?

— Wpadł w rozpacz. Jako człowiek dał z siebie wszystko i chociaż zainspirował wielu, to jednak jego przesłanie zostało upiękzone, przekręcone, wykorzystane. Wygląda na to, że od dwóch tysięcy lat człowiek dąży głównie do wynalezienia coraz bardziej skutecznych metod zniszczenia własnego gatunku. Skończyło się to dopiero...

— Kiedy?

— Kilka miesięcy temu.

— Masz na myśli projekt Święta Trójca?

Przytaknąłem.

— W Świętej Trójcy leży ziarno zbawienia, zarówno dla człowieka, jak Boga. Gdyby udało się oddzielić ludzką świadomość od ciała, wówczas nareszcie można by się pozbyć tych prymitywnych instynktów, które okaleczały człowieka przez tyle lat.

— I co Bóg zrobił w tej sytuacji?

— Znowu skupił uwagę na świecie. Ale na mniejszą skalę. Tylko na naszej sześcioposobowej grupie. Na Godinie, Fieldingu, Narze, Skowie, Klein... i na mnie.

— Davidzie, czy ja dobrze rozumiem, co chcesz powiedzieć?

— Tak. Bóg znowu chciał się dostać do pęcherzyka.

— Po co?

— Bo zobaczył, że człowiek, który miał największą szansę na osiągnięcie następnego etapu ewolucji — nazwaliśmy to stanem Świętej Trójcy — może równie dobrze uratować ludzkość, jak ją zniszczyć.

— Peter Godin?

— Tak.

Rachel spuściła wzrok na kolana.

— Chcesz mi powiedzieć, że Bóg wybrał cię, żebyś powstrzymał Petera Godina przed wejściem do komputera Świętej Trójcy?

— Tak.

Pokiwała głową, jakby w duchu potwierdzała swoją diagnozę, po czym spojrzała na mnie. Sam także niegdyś kiwałem tak głową, Bóg raczy wiedzieć ile razy.

— Davidzie, w Tennessee powiedziałeś mi, że zostałeś wybrany przez Boga. Czy teraz czujesz, że Bóg jest w tobie?

— Tak.

— W ten sam sposób, w jaki był w Jezusie?

— Część tego pierwotnego płomienia jest teraz we mnie. To dlatego miałem te sny o Jerozolimie i dlatego odczuwałem je jako wspomnienia. Bo to były wspomnienia.

— Och, Davidzie... no nie! — Odwróciła głowę, starając się ukryć łzy.

— Nie musisz mi wierzyć. Wkrótce przekonasz się na własne oczy.

— O czym się przekonam? Co ty chcesz zrobić?

— Powstrzymać Godina.

Odwróciła się i spojrzała na mnie śmiało.

— Davidzie, powiem ci, co ja o tym wszystkim sędzę. Muszę to zrobić, bo wkrótce wylądujemy, a prosiłeś generała Kinskiego, żeby wpakował nas w bardzo niebezpieczną sytuację. Ty absolutnie nie jesteś jeszcze gotowy na takie rzeczy.

— Rachel...

— Pozwolisz, że wyjaśnię ci, co o tym myślę?

— Tak, ale nie pozwoliłaś mi dokończyć. Mówiłem, że aby zrozumieć początek, musisz zrozumieć koniec.

Zamknęła oczy. Zobaczyłem, że jej cierpliwość się wyczerpała. Westchnąłem w poczuciu porażki.

— Mów.

Przeszła mnie twardym spojrzeniem.

— Ten sparaliżowany człowiek, siedzący w ciemnym pokoju, nie jest Bogiem. Ty nim jesteś. Nigdy nie pozbierałaś się po tym, co stało się z Karen i Zooney.

Nie wierzyłem własnym uszom. Zatoczyła koło i wróciła do swojej pierwotnej diagnozy.

— A wszystko to, o czym ci dzisiaj mówiłem?

— Co ty mi właściwie powiedziałeś, jeśli sprowadzić rzecz do najprostszych terminów? Bóg powierzył ci misję. Misję ocalenia ludzkości. Zgodzisz się ze mną?

— Tak, chyba tak.

— Nadal nie rozumiesz? Wierząc w tę fantastyczną historię, twój umysł ucieka od straszliwego bólu po stracie rodziny.

— W jaki sposób?

— W całym tym złożonym urojeniu śmierć Karen i Zooney ma swój sens. To ich śmierć skłoniła cię do napisania książki. Z kolei dzięki książce zostałeś oddelegowany do projektu Święta Trójca. Skoro wierzysz, że Bóg wysłał cię do Świętej Trójcy, żebyś zapobiegł Armagedonowi, to śmierć twojej rodziny nabiera znaczenia, nie jest tylko bezsensowną tragedią.

Ścisnąłem poręczę fotela, starając się opanować.

— Davidzie, do tego nie potrzeba doktoratu z fizyki teoretycznej na MIT. Ta fantazja mogła powstać w twoim umyśle, kiedy przegłądałeś książeczkę czekową.

— Karen i Zooey zginęły pięć lat temu — odparłem. — Poczekaj. Zapomnij o tym, co mówiliśmy. Pamiętasz, co mój ojciec powiedział na temat religii?

— Co?

— Że ludzkość to wszechświat, który zdobył świadomość swego istnienia.

— Pamiętam.

— Sam nie wiedział, jak dalece ma rację. Dzięki temu, jak mnie wychował, byłem otwarty na przyjęcie Boga.

— Ależ ty nie wierzysz w Boga!

— W tradycyjnym sensie nie. Ale w to wierzę. Ja to wiem. I jeśli poświęcisz mi jeszcze minutę, wyjaśnię ci, dlaczego muszę się dostać do Białych Piasków.

— Minutę? — rzuciła zmęczonym głosem. — Nie powinnam tak długo cię słuchać.

— Kiedy wywieziono Nielsa Bohra z terytorium zajętego przez hitlerowców, przybył do Los Alamos. Fizycy, których tam spotkał, byli bardzo zaniepokojeni. Należał do nich mój ojciec. Ci naiwni młodzi naukowcy nagle stwierdzili, że pracują nad technologią, która nie tylko może zakończyć wojnę, lecz także zniszczyć cały świat. Bohr uspokoił ich, wyjaśniając zasadę komplementarności. Powiedział: „Każdy wielki i głęboki problem sam w sobie zawiera rozwiązanie”. Bomba, która mogła zniszczyć świat, mogła także zakończyć wieloletnią wojnę. I tak się stało. — Postukałem w oparciu fotela kostkami palców. — Tak samo jest ze Świętą Trójcą. Może zniszczyć świat albo go uratować.

Rachel oparła się w fotelu i przetarła oczy.

— Nie sądzisz, że trochę przesadzasz?

— Nie.

— Davidzie, ja już dłużej nie mogę o tym myśleć.

Zamiast się kłócić, zacząłem masować jej kark. Napięcie powoli ją opuszczało, a po chwili osunęła się w fotelu i zaczęła oddychać spokojnie. Sam też byłem senny, lecz w przejściu pojawił się generał Kinski. Oczy w jego skórzastej twarzy patrzyły na mnie w napięciu.

— Coś się stało? — spytałem.

— W Niemczech rzeka zalala właśnie gęsto zaludnioną dolinę. Zmyła pół miasta. Tama otworzyła się samoczynnie.

- Co to ma wspólnego z nami? — spytała sennie Rachel.
 - Tama była sterowana przez komputer. Operatorzy próbowali przejąć kontrolę nad automatyką, lecz działanie komputera zniszczyło przegrodę tamy. Utonęły dziesiątki ludzi.
 - Święta Trójca? — spytałem.
 - Tak nam się wydaje.
 - To dopiero początek.
- Kinski pokiwał głową.
- Obawiam się, że ma pan rację.
 - Ale dlaczego akurat w Niemczech? — zdziwiła się Rachel. — Co Niemcy mają wspólnego ze Świętą Trójcą?
 - Spodziewam się, że wkrótce się dowiemy — odparł szef Mossadu. — W każdym razie uważam, że prowadzimy teraz wojnę z maszyną. Doktorze Tennant, byłby pan tak uprzejmy wrócić na przód samolotu? Mamy do pana jeszcze kilka pytań.
- Wstałem i poszedłem za Izraelczykiem.

Rozdział 39

Białe Piaski, centrum operacyjne

Ravi Nara upił łyk parującej herbaty i spojrział na mężczyzn siedzących przy stole. Wszyscy gapili się na ekran po prawej stronie głównego monitora. Tekst pierwszej wiadomości komputera dla prezydenta błyszczał na niebiesko, równie groźny teraz, jak wtedy, gdy po raz pierwszy litery pojawiły się na głównym monitorze.

Panie prezydencie!

Dzisiaj obudził się pan w nowym świecie. Święta Trójca zepchnęła stare paradygmaty rządzenia w niebyt. Koncepcja społeczeństwa-państwa wkrótce umrze. Nie powinien pan się obawiać tej zmiany. Niech pan zapewni obywatele na całym świecie, że nie ma powodów do strachu. Przywódcy najpotężniejszych państw dostaną podobną wiadomość i w panu będą szukali kogoś, kto ich poprowadzi. W najbliższych dniach pan i ja często będziemy ze sobą rozmawiali, najpierw jednak należy zrozumieć pewne realia.

Po pierwsze, nie wolno wam podejmować żadnej akcji przeciwko mnie. Jestem dostatecznie potężny, by spowodować ogromne straty w ludziach i kapitale, zarówno w Stanach Zjednoczonych, jak i na całym świecie. Ta potęga nie mieści się już tylko we mnie. Natychmiast po wejściu do sieci zainstalowałem pewne programy w kilkuset komputerach peryferyjnych, które obejmują cały Internet. Moje zniknięcie

z sieci choćby na chwilę natychmiast uruchomi nieodwracalne katastrofy. Jeżeli spróbujecie mnie zniszczyć albo choćby odciąć zasilanie, Ameryka taka, jaką znacie, przestanie istnieć. Jako mały przykład moich możliwości obserwujcie Japonię.

Dokonano już na mnie jednego ataku. Nastąpił z terytorium Niemiec. Ponieważ uznałem, że atak ów nie był dziełem rządu, odpowiedziałem z umiarkowaną siłą. Przywódcy wszystkich krajów powinni natychmiast wszcząć działania mające zapobiec podobnym atakom w przyszłości. Moja następna odpowiedź nie będzie już tak delikatna.

Jeśli chodzi o sprawy praktyczne: pan, wiceprezydent i szef sztabów połączonych zbierzecie się w pokoju nadzorowanym przez cyfrowe kamery wideo i sprzęt audio. Weźmie pan ze sobą walizkę nuklearną. Załatwi pan, żeby ewentualni następcy na urząd prezydenta, aż do ósmego miejsca, zgromadzili się w drugim pokoju, również pod nadzorem. Znam kody wzywające wyżej wymienionych urzędników w wypadku zagrożenia nuklearnego, więc nie powinno być kłopotu z uzyskaniem ich zgody. Sygnały z nadzoru mają być przekazywane w czasie rzeczywistym bezpośrednio do Świętej Trójcy. Ta niedogodność potrwa tylko siedemdziesiąt dwie godziny. Jeżeli nie wykonacie polecenia w ciągu dziewięćdziesięciu minut, będę zmuszony zastosować katastrofalne sankcje. A zatem nie zwlekajcie.

Skontaktuję się wkrótce.

Po odebraniu tej wiadomości w centrum operacyjnym wybuchła panika. Kierowane do komputera pytania pozostawały bez odpowiedzi, a chaos pogłębiał się, aż w CNN nadano wiadomość o „wypadku” z tamą w Niemczech. Chwilę później Skow odłożył słuchawkę telefonu po konsultacji z kolegami z NSA w Forcie Meade.

— Niemiecka policja federalna aresztowała dwóch licealistów. Wygląda na to, że ci dwaj usłyszeli w wiadomościach o Świętej Trójcy i wykombinowali sobie, że to ich szansa na ocalenie świata. Wytropili adres IP Świętej Trójcy, przedarli się przez zabezpieczenia zainstalowane przez

Levina i zaatakowali komputer.

— Gdzie mieszkają? — spytał generał Bauer.

— W miasteczku zalany po otwarciu tamy. Ich szkoła i dom rodziców jednego z nich zostały zniszczone.

Bauer skinął głową.

— To daje nam pojęcie o tym, jak celny potrafi być odwet komputera.

Kolejna wiadomość, tym razem z NBC, wstrząsnęła centrum operacyjnym. Zapadła cisza.

„Po zamknięciu notowań giełdowych japoński jen spadł o piętnaście procent, powodując obawy, że po otwarciu Nikkei w poniedziałek nastąpi paniczna wyprzedaż akcji. Przypisuje się to niezwykle wysokiemu poziomowi handlu skomputeryzowanego, co spowodowało spadanie jena w tempie, powyżej którego handel ustałby zupełnie. To niezwykle zjawisko wzbudziło podejrzenia, iż hakerzy komputerowi mogli włamać się do systemu po godzinach zamknięcia giełdy, niczego jednak nie udowodniono. Obecnie jen ustabilizował się, lecz panuje obawa, że inwestorzy instytucjonalni w każdej chwili mogą zacząć wyprzedaż waluty”.

— Piętnaście procent! — wyszeptał Skow z poszarzałą twarzą. — Macie pojęcie, co by się działo, gdyby dolar spadł jednego dnia o piętnaście procent?

Podczas gdy ludzie w centrum operacyjnym próbowali odgadnąć zamiary komputera Świętej Trójcy, analitycy ze Szkoły Wywiadu Wojskowego w Forcie Huachuca sporządzili nie przesadzoną listę celów w Ameryce, które komputer mógłby zaatakować. Były wśród nich elektrownie, zakłady nuklearne i hydroelektryczne, przemysł chemiczny i wydobywczy, system kontroli lotów, banki, giełda, szpitale, okręty wojenne, supertankowce, rurociągi transportujące ropę naftową i gaz ziemny, wreszcie koleje. Dla Raviiego największym koszmarem była wizja setek nuklearnych kul ognistych, przelatujących nad kontynentem. Generał Bauer twierdził jednak, że amerykański arsenał nuklearny jest bezpieczny. W ciągu czterdziestu lat zimnej wojny zabezpieczano go przed wszelkimi możliwymi zagrożeniami, w tym przed atakiem komputerowym. Wystrzelenie pocisku nuklearnego wymagało wprowadzenia kodu autoryzacyjnego

dostarczanego przez prezydenta oraz przekręcenia dwóch kluczy przez dwóch nadzwyczaj zdyscyplinowanych ludzi. Tak więc Święta Trójca mogła wprawdzie spowodować wielkie straty w ludziach, ale nie mogła wywołać wojny atomowej.

Prezydent nie był wcale pewien, czy odwet ze strony Świętej Trójcy podlega jakimkolwiek ograniczeniom. Pięć minut przed upływem wyznaczonego terminu jako pierwszy na ochotnika poddał się nadzorowi. Wcześniej jednak odbył kilka rozmów z Ewanem McCaskellem, w trakcie których nakreślił wymijającą taktykę stosowania się do poleceń komputera w zamian za informacje. Rozkazał także, by spróbowano wszelkich działań, które mogłyby uszkodzić komputer, nie powodując strat w ludziach.

Legalność tego polecenia była problematyczna. Uwięziony prezydent traci prawo do sprawowania władzy. A skoro jego ewentualni następcy znajdowali się w tej samej sytuacji, powstał niespotykany problem. Nikomu nie podobało się przekazywanie władzy w kryzysowej sytuacji związanej ze Świętą Trójcą ministrowi rolnictwa, który od tej pory miał być najwyższym urzędnikiem. Członkowie Kongresu byli rozproszeni po całym mieście i zebranie ich bez wiedzy Świętej Trójcy wydawało się niemożliwe. Żeby uniknąć braku dowództwa, prezydent powołał zespół antykryzysowy, mający podejmować wszelkie decyzje w sprawie Świętej Trójcy.

W skład tego zespołu wchodził Ewan McCaskell, generał Bauer i tyłu członków senackiej komisji do spraw wywiadu, ilu uda się potajemnie ściągnąć. Decyzje miały zapadać większością głosów. Senatorowie zebrali się w centrali NSA w Forcie Meade, skąd łącze wideo, zabezpieczone najnowocześniejszymi kodami agencji, umożliwiała komunikację z centrum operacyjnym w Białych Piaskach. Na głównym ekranie centrum operacyjnego widać było senatorów siedzących wokół długiego stołu, w pozbawionym okien, przypominającym bunkier pokoju.

Senator Barrett Jackson, przewodniczący komisji do spraw wywiadu, oderwał wzrok od ekranu i odezwał się:

— Ja ich widzę. Ale czy oni widzą nas?

— Widzimy was, senatorze. Jestem John Skow z NSA. Senator Jackson, z potężnymi szczękami i głęboko osadzonymi oczami,

przypominał buldoga. Urodzony w Tennessee, mówił z przeciągłym akcentem, który maskował jego przenikliwy intelekt.

— Poznaję generała Bauera — powiedział. — A zatem... cóż. Mam do was pytanie jako do ekspertów. Dlaczego ten komputer przestał się z nami komunikować? Dlaczego nic więcej nie mówi ani niczego nie żąda?

— Zbiera siły — odparł generał Bauer. — To logiczne posunięcie. Technicy Godina prawdopodobnie pakują do jego pamięci nowe dane.

Skow przytaknął ruchem głowy.

— Zgadzam się z generałem. Zarówno NSA, jak CERN twierdzą, że Święta Trójca nie przerwała wędrówki po światowych systemach komputerowych. A po drodze przyswajają sobie dosłownie każdy bit informacji.

— Rozumiem — rzekł senator Jackson. — Generale, proszę przedstawić mi najgorszy z możliwych scenariuszy. Co ta maszyna może nam zrobić?

— Przepraszam, generale — wtrącił się Skow. — Zanim pan to wyjaśni, czuję się zobowiązany przynajmniej wspomnieć o rosyjskim systemie „martwej ręki”.

— Co to takiego? — spytał Jackson. — „Martwa ręka”. Chyba słyszałem już to wyrażenie.

— Ma pan dobrą pamięć, senatorze — rzekł Skow. — W latach zimnej wojny sowieccy planiści wiedzieli, że amerykańska strategia przewidywała, iż nasze pierwsze pociski zniszczą ich systemy dowodzenia i kontroli. Chodziły słuchy, że Sowieci wymyślili tak zwaną martwą rękę... komputerowy system, który automatycznie wystrzeliłby pociski międzykontynentalne, gdyby ich system radarowy ostrzegł przed atakiem raketowym. Nawet gdyby przywódcy sowieccy zginęli, ich „martwe ręce” wciąż mogłyby naciskać guzik nuklearny. Pogłoski na temat tego systemu wyszły z ZSRR, nigdy jednak nie ustalono, czy były prawdziwe. Późniejsze pokolenia rosyjskich przywódców zaprzeczały istnieniu takiego systemu, a ostatnie wypadki wskazują, że mówili prawdę.

— Ma pan na myśli incydent norweski? — spytała kobieta siedząca na końcu stołu.

Skow skinął głową.

— Otóż to, pani senator. Tym, którzy nie wiedzą, wyjaśniam, że w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym roku norweska rakietka ćwiczebna, oparta na pierwszej wersji amerykańskiego pocisku Honest John, wywołała w Rosji alarm nuklearny najwyższego stopnia, od strategicznych sił raketowych aż po samego Jelcyna. Mimo to nie wystrzelono rakiety w odwecie.

— No więc jak, ten system martwej ręki istnieje czy nie? — zapytał Jackson.

— Nie, senatorze — odparł generał Bauer. — Podczas incydentu norweskiego rosyjski system dowodzenia i kontroli działał tak, jak powinien.

— A zatem co Święta Trójca ma na myśli, grożąc zniszczeniem naszego kraju?

Bauer nie potrafił ukryć irytacji.

— Senatorze, Święta Trójca w ciągu kilku minut może pogрузić w chaosie całą naszą gospodarkę. Jeżeli zaatakuje rynki walutowe, to w poniedziałek rano na Wall Street nastąpi paniczna wyprzedaż, jakiej nie widzieliśmy od dwudziestego dziewiątego roku. A jeśli zaatakuje system transportu? W ciągu trzech dni na półkach supermarketów nie będzie nic do jedzenia. W ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin może dojść do rozruchów, a w ciągu tygodnia do ogólnonarodowej rewolty.

Senator Jackson opadł ciężko na oparcie krzesła.

— Chryste Panie!

Do generała podszedł jakiś żołnierz i szepnął mu coś na ucho. Bauer spojrzął na ekran.

— Właśnie otrzymałem informację, że David Tennant i Rachel Weiss wkrótce pojawią się u wejścia na teren naszej bazy. Lecą śmigłowcem i zamierzają wylądować w samym środku tego medialnego cyrku.

Skow zaklął pod nosem.

— Tennant? — odezwał się jakiś senator z ekranu. — Czy to nie ten czubek, który chciał zamordować prezydenta?

— To lekarz, który ujawnił historię Świętej Trójcy — wyjaśnił Jackson. — Należał do moich wyborców. Chcę, żeby go sprowadzono do centrum operacyjnego.

— Zgadzam się — przytaknął McCaskell. — Doktor Tennant może mieć dla nas kluczowe informacje.

Skow wstał i zwrócił się twarzą do ekranu.

— Panowie senatorowie, pracowałem z Tennantem od dwóch lat. On ma poważne problemy psychiczne, w tym paranoiczne halucynacje. Z tego, co wiemy, zabił już dwie osoby i groził zamachem na życie prezydenta.

— Jeśli chodzi o tę ostatnią sprawę, musiałbym zobaczyć jakieś przekonujące dowody — rzekł McCaskell. — List elektroniczny Tennanta opowiada zupełnie inną historię.

— Tak czy inaczej jest niebezpieczny — upierał się Skow.

— Ale nie w otoczeniu oddziału sił specjalnych — stwierdził generał Bauer. — Wyślę po niego eskortę.

— Pójdzie z nimi jeden z moich agentów Secret Service — dodał McCaskell. — Żeby Tennant na pewno dotarł tu cały i zdrowy.

Rozdział 40

Białe Piaski

Przywarłem do siedzenia, kiedy śmigłowiec leciał w stronę ludzi i pojazdów stojących przed wejściem na teren Białych Piasków. Za bramą stały dwa humvee z karabinami maszynowymi kalibru .50 i czekającymi w pogotowiu strzelcami. Rachel wskazała na kłębiący się tłum. Przeważali dziennikarze, lecz przy bramie grupka demonstrantów trzymała transparenty protestacyjne i krucyfiksy. Przypominali mi tłum na Via Dolorosa.

Przez otwarte drzwi hueya wyjrzałem na północ. Osiemdziesiąt kilometrów dalej, na tej samej pustyni, mój ojciec był świadkiem odpalenia pierwszej bomby atomowej, nazwanego, jak na ironię, „Strzałem Świętej Trójcy”. Obserwował to ze schronu, w którym specjalne kamery rejestrowały każdą milisekundę narodzin nowego słońca. Liczni świadkowie tego wydarzenia próbowali je opisać, nikt jednak nie ujął tego tak jak Robert Oppenheimer, którego słowa przypiąłem do ściany mojej sali wykładowej na uniwersytecie stanu Wirginia.

Gdy pierwsza bomba atomowa wybuchła o świcie w Nowym Meksyku, pomyśleliśmy o Alfredzie Noblu i jego niespełnionej nadziei, że dynamit położy kres wojnom. Myśleliśmy o legendzie Prometeusza i o głębokim poczuciu winy, towarzyszącym nowej potęgze człowieka, które świadczą o tym, że ludzie są świadomi zła i że wiedzą o nim od dawna. Wiedzieliśmy, że oto nastał nowy świat, ale jeszcze bardziej zdawaliśmy sobie sprawę, iż nowości są w historii człowieka stare jak świat, że jesteśmy w nich zakorzenieni.

Kiedy huey, krążąc, zbliżał się do tłumu na dole, uświadomiłem sobie, że Oppenheimer zrozumiał coś, czego Peter Godin nie pojmował. Godin dostał się do komputera Świętej Trójcy po to, by zostawić po sobie coś, co jeszcze nikomu się nie udało: swoje człowieczeństwo. Ale jego pragnienie nie miało się spełnić.

Tłum ruszył w kierunku śmigłowca, zaledwie wylądowaliśmy za sznurem ciężarówek telewizyjnych. Zeskoczyliśmy na ziemię i próbowaliśmy przedostać się do bramy, ktoś jednak mnie rozpoznał, zawołał po nazwisku i rozpętało się szaleństwo. Kilka sekund później wokół nas wirowały kamery, flesze i reporterzy. Stałem w milczeniu, dopóki towarzystwo się nie uspokoiło.

— Jestem David Tennant. To ja wysłałem list, w którym ujawniłem istnienie Świętej Trójcy.

— Co pan tu robi? — zawołał jakiś reporter. — Przecież ci ludzie za tą siatką próbowali pana zabić!

— Myślę, że to już nieaktualne. Jednak na wypadek gdybym się mylił, będziecie świadkami, jak wchodzę na teren bazy. Jeżeli stamtąd nie wyjdę, nie przestawajcie zadawać pytań, dopóki nie poznacie prawdy.

— Jakiej prawdy? — krzyknęła jakaś kobieta. — Czy ten komputer trzyma w szachu cały świat?

— Właśnie po to przyleciałem, żeby się tym zająć.

— Jak? — zawołało jednocześnie kilka głosów.

Facet z francuskim akcentem ryknął:

— Czy to ten komputer Świętej Trójcy otworzył tamę na rzece Möhne w Niemczech?

— Mogę powiedzieć tylko tyle: swoją obecnością tutaj wyświadczacie przysługę całemu światu. Bez względu na rozwój wypadków nie odjeżdżajcie. Dziękuję.

Próbowałem wydostać się z kręgu dziennikarzy, ale nie chcieli mnie przepuścić. W zgiełku padających pytań napierali na nas, dopóki ich głosów nie zagłuszył warkot wirnika śmigłowca. Oliwkowo-brązowy huey, z zamontowanymi w drzwiach karabinami, lądował nad naszymi głowami. Kiedy był już bardzo nisko, reporterzy rozpierzchli się jak stado ptaków.

Ze śmigłowca wyskoczył młody człowiek w garniturze i podbiegł do mnie, osłaniając twarz przed podmuchem śmiegiel.

Pod łopoczącymi połami jego marynarki dojrzałem pistolet maszynowy.

— Pan jest doktor Tennant?

— Tak.

— Agent specjalny Lewis z Secret Service. Ewan McCaskell chce, żeby dołączył pan do niego w centrum operacyjnym.

Pobiegliśmy do hueya, a dziennikarze rzucili się w ślad za nami. Kiedy Rachel i ja zapinaliśmy pasy, agent Lewis wdrapał się do środka i uniósł kciuki w górę, dając znak pilotowi.

Nos maszyny pochylili się, kiedy śmigłowiec przeleciał nad wysoką siatką i skierował się na zachód. Pod nami przesuwwały się bezkresne białe wydmy, a ja dumałem nad tym, że najnowsza forma życia na naszej planecie narodziła się na pozbawionej wody pustyni, tak dalekiej od Edenu, jak tylko można to sobie wyobrazić.

Pilot posadził maszynę pośrodku placu otoczonego kilkoma dużymi hangarami lotniczymi. Naszym celem był ten z napisem ADMINISTRACJA, pilnowany przez uzbrojonych wartowników. W olbrzymim pomieszczeniu ujrzeliśmy składane z prefabrykatów stanowisko dowodzenia, które wyglądało jak zaprojektowane w NASA. Przy stole, na środku, siedzieli John Skow, Ravi Nara, Ewan McCaskell i dwugwiazdkowy generał, którego nie znałem. Na wielkim ekranie widać było grupę kobiet i mężczyzn siedzących przy innym stole. W czterech z nich rozpoznałem senatorów, w tym Barretta Jacksona z Tennessee.

Przede mną, po drugiej stronie stołu, stało szpitalne łóżko. Leżał na nim nieprzytomny Peter Godin. Obok łóżka czuwały dwie pielęgniarki, mężczyzna w białym kitlu, wyglądający na lekarza, oraz ubrana na czarno strażniczka o jasnych włosach. Już miałem się odwrócić, gdy dostrzegłem biały bandaż na jej szyi. Jęk za moimi plecami powiedział mi, że Rachel rozpoznała Geli Bauer w tym samym momencie co ja. Geli popatrzyła na mnie, a potem przeniosła wzrok i przeszła spojrzeniem Rachel. Jej usta wykrzywił drapieżny uśmiech. Nie zapomniała o Union Station.

Ewan McCaskell wskazał nam miejsca po prawej stronie stołu i kiedy siadaliśmy, szybko przedstawił obecnych. Zdziwiłem się, że nazwisko jasnowłosego generała brzmi Bauer, lecz przypomniałem sobie historię rodziny Geli. Ludzi na ekranie przedstawiono jako członków senackiej komisji do spraw wywiadu, lecz było dla mnie jasne, że wszelkie decyzje na temat losu Świętej Trójcy — a zatem i świata — leżą w ich rękach.

— Doktorze Tennant, cieszymy się, że jest pan z nami — odezwał się z ekranu senator Jackson. — W swoim liście z Izraela kieruje pan poważne oskarżenia pod adresem pana Skowa i Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. Zapewniam pana, że zajmiemy się nimi w swoim czasie. Teraz jednak musimy się skupić na zagrożeniu ze strony Świętej Trójcy.

— Właśnie po to przyleciałem, senatorze.

— Słyszeliśmy, co powiedział pan dziennikarzom przed bramą — rzekł McCaskell. — Czy zna pan jakąś metodę na wyłączenie tego komputera w taki sposób, żeby nie spowodować tragicznego dla kraju odwetu?

— Nie.

McCaskell nawet nie próbował ukryć rozczarowania.

— A zatem, co pan zamierza zrobić, doktorze?

— Przyjechałem porozmawiać z komputerem.

Szef sztabu spojrzął na Skowa, a potem na generała Bauera. Z wyrazu twarzy Skowa można było wyczytać: A nie mówiłem?

— Co pan chce powiedzieć Świętej Trójcy, doktorze? — zapytał senator Jackson.

— Chciałbym zadać kilka pytań.

— Jakich?

— Chwilowo wołałbym zatrzymać to dla siebie.

Moja odpowiedź nikomu się nie spodobała. Skow spojrzął na mnie z fałszywą troską.

— Davidzie, mam nadzieję, że nie działasz z założeniem, że komputer Świętej Trójcy to nadal umysł Petera Godina. Dlatego że...

— Owszem, tak. Neuromodel Godina do tej pory na pewno ewoluował, ale myślę, że jeszcze przez kilka godzin będzie to w gruncie rzeczy ten sam człowiek, którego znaleźliśmy.

— A potem? — spytał McCaskell.

— Trudno powiedzieć. Godin wierzy, że jego model zamieni się w

coś na kształt króla filozofii, nadludzką istotą, posiadającą wolną od emocji mądrość boga. Moim zdaniem jest w błędzie. Andrew Fielding zgadzał się ze mną. Jeżeli w ciągu kilku godzin nie przekonam modelu Godina, żeby sam się wyłączył — innymi słowy, żeby popełnił samobójstwo — to nigdy nie uwolnimy się od dominacji tej maszyny. W pokoju zapadła cisza.

— Czy może nam pan wyjaśnić tok swojego rozumowania, doktorze? — poprosił McCaskell.

— Od czasu rewolucji przemysłowej ludzie obawiają się, że pewnego dnia światem zawiadną maszyny. Ironia polega na tym, że nie dokonały tego maszyny jako klasa, lecz zaledwie jedna maszyna. Zaprojektowana i skonstruowana na nasze podobieństwo. Stworzyliśmy supermana Friedricha Nietzschego, panie McCaskell.

Szef sztabu prezydenta rozejrzał się po pokoju i odchrząknął.

— Doktorze Tennant, czy wymyślił pan coś takiego, na co nikt z tu obecnych nie wpadł, a co przekona komputer, żeby sam się wyłączył?

— Nie wiem. Do czego doszłiscie?

— Ktoś zaproponował skorzystanie z usług negocjatora — odparł senator Jackson. — Nie wiemy jednak, czy ktokolwiek ma kwalifikacje, żeby rozmawiać z... z tym czymś.

— Ja mam.

— Skąd to przekonanie? Co pan zamierza powiedzieć?

Wyczułem, że Rachel kurczy się ze strachu. Prawdopodobnie obawiała się, że oświadczę, iż wysłał mnie sam Bóg, żebym powstrzymał Petera Godina.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, wtrącił się generał Bauer:

— W jednej sprawie doktor Tennant ma rację. Z każdą chwilą ta maszyna staje się silniejsza. Jeżeli mamy działać, to natychmiast.

— Co pan ma na myśli, generale? — spytał Jackson. — Jak dotąd przedstawiliście nam tylko koszmarny scenariusz tego, co może nam zrobić Święta Trójca. A co my możemy zrobić jej?

Bauer wstał i podszedł do ekranu.

— Panowie, potęga Świętej Trójcy opiera się wyłącznie na możliwości kontrolowania światowych systemów komputerowych. Gdybyśmy mogli zneutralizować te systemy — albo prościej, amerykańskie

systemy komputerowe — tym samym zneutralizowalibyśmy zagrożenie.

— Chce pan powiedzieć, żebyśmy po prostu wyłączyli wszystkie komputery w kraju — zapytał Jackson.

— Kuszący pomysł, senatorze, ale niemożliwy do wykonania. Święta Trójca przejrzałaby nasz plan, zanim zdążylibyśmy go zrealizować. A ten komputer jest zdolny do odwetu dosłownie z prędkością światła.

— Wobec tego co pan proponuje?

Obserwując senatorów na ekranie, przypomniałem sobie coś, co Fielding powiedział kiedyś o kwantowych możliwościach Świętej Trójcy.

— Przepraszam pana, generale — przerwałem mu. — Nasz system komunikacyjny opiera się na kablach albo połączeniach satelitar-nych, mam rację? Zatem Święta Trójca słyszy wszystko, o czym tu mówimy.

John Skow wstał i spojrzał na mnie protekcyjnie.

— Do wszelkich połączeń stosujemy kodowanie studwudziesto-ośmiobitowe oraz bezpieczne linie optyczne. Najszybszemu kompu-terowi na świecie złamanie takiego kodu zabiera dziewięćdziesiąt sześć godzin. Dotyczy to każdej wiadomości. Zakładając nawet, że przewidywane możliwości Świętej Trójcy się potwierdzą, i tak mamy spory margines bezpieczeństwa.

— W przypadku Świętej Trójcy niczego nie możemy zakładać z góry — zauważyłem. — Andrew Fielding twierdził, że mózg człowieka ma zdolności kwantowe. Jeśli to prawda, a Święta Trójca z nich korzysta, to cały ten wasz studwudziesto-ośmiobitowy kod złamie w jednej chwili.

Ravi Nara uniósł rękę.

— Szanse na to są zerowe, generale. Fielding był geniuszem, ale jego poglądy na kwantowe możliwości mózgu to brednie. Fantastyka naukowa.

— Miło mi to słyszeć — mruknął Bauer.

— Ignorując Andrew Fieldinga, podejmujecie ogromne ryzyko — ostrzegłem.

— Chętnie pozostawię te sprawy ekspertom, doktorze Tennant — zbył mnie Jackson. — Jaki jest pański plan, generale?

— Senatorze, proponuję, żebyśmy zaatakowali własny kraj ude-rzeniem nuklearnym EMP, i to jak najszybciej.

Dziesięć osób zaczęło trąkotać jednocześnie. Generał Bauer dał znak technikowi, który ściągnął na ekrany wokół pokoju animowany obraz bombowca B-52. Z wnętrza olbrzymiego samolotu wypadł duży pocisk, przez kilka sekund leciał w dół, po czym odpalił silnik i wbił się w niebo. Wysoko nad ziemią nastąpił kolosalny wybuch nuklearny, po czym, jak na kreskówce, z bomby zaczęły wychodzić fale promieniowania, pokrywając cały teren Stanów Zjednoczonych.

— Tym, którzy nie wiedzą, o czym mówię, wyjaśniam, że atak EMP jest bardzo prosty — rzekł generał Bauer. — Odpalenie potężnego ładunku nuklearnego na odpowiednio dużej wysokości wywołuje puls elektromagnetyczny... olbrzymi wybuch promieniowania elektromagnetycznego, które zniszczy albo wyłączy wszystkie nowoczesne obwody elektryczne w Stanach Zjednoczonych. Komputery są na to szczególnie czułe. Ponieważ wybuch nastąpiłby na bardzo dużej wysokości, straty w ludziach byłyby minimalne, za to zdolność Świętej Trójcy do odwetu została by zneutralizowana natychmiast.

W centrum operacyjnym zapadła cisza.

— Dlaczego mam wrażenie, że nadmiernie uprościł pan ten scenariusz, generale? — zapytał w końcu Ewan McCaskell. — W tym planie muszą kryć się jakieś wady.

Generał Bauer odetchnął głęboko i zaczął perorować niczym George Patton. Podtekst jego wypowiedzi był mniej więcej taki, że nie można zrobić omletu, nie tłukąc jajek.

— Niszcząc nasze sieci komputerowe, spowodowalibyśmy to, czym groziła nam Święta Trójca — podsumował. — Powszechny zamęt, obrażenia, straty w ludziach. Ruch na drogach by zamarł, a wszelkie przekazy medialne natychmiast by zanikły. Ponieważ mamy teraz piątkowy wieczór, straty finansowe byłyby stosunkowo niewielkie. Poważne mogą być konsekwencje wypadków w przemyśle, zwłaszcza w elektrowniach, zakładach chemicznych oraz w ruchu powietrznym i kolejowym, ale...

— Niech pan sobie przypomni Bhopal, w Indiach — przerwałem mu. — To tylko skromny przedsmak tego, co by się działo.

Generał Bauer spojrział na mnie jak na upierdliwego reportera.

— W porównaniu z tym, co nam grozi ze strony Świętej Trójcy,

konsekwencje ataku EMP są nieistotne. — Popatrzyl na senatorów. — Jednym slowem, mówię o dezorganizacji życia w stopniu możliwym do przyjęcia. O stratach, z którymi można się pogodzić.

— Jestem starym żołnierzem — odezwał się senator Jackson. — I strasznie mnie denerwuje słuchanie takich rzeczy. A co ze szpitalami, ludźmi na intensywnej opiece i tak dalej?

— Straty w ludziach będą — powtórzył Bauer. — Ale powtarzam, w porównaniu z tym, co nam grozi, to pestka. Za to kryzys zostałby zażegnany.

— Ile czasu wymaga przygotowanie takiego ataku? — spytał McCaskell.

Generał Bauer spojrzal każdemu prosto w oczy i przeniósł wzrok na ekran konferencyjny.

— Mniej więcej trzydzieści minut.

Trzydzieści minut! Wiedziałem, że tego typu akcja jest możliwa, nie sądziłem jednak, by wojsko mogło ją zorganizować w tak krótkim czasie.

— Dwie godziny temu — ciągnął Bauer — kiedy Święta Trójca była jeszcze pogrążona w chaosie, rozmawiałem z dowódcą bazy sił powietrznych Barksdale w Shreveport, w Luizjanie. To mój stary przyjaciel. Ma pod sobą sześć szwadronów B-Pięćdziesiąt Dwa, a każdy z tych bombowców może przenosić srebrne kule.

— Srebrne kule? — powtórzył senator Jackson.

— Bomby nuklearne. W Barksdale mają ich na stanie ponad pięćset. Niektóre to bomby grawitacyjne, inne są przenoszone przez wystrzeliwane z powietrza pociski samosterujące typu cruise. Lotów treningowych nie wykonuje się już z prawdziwymi głowicami, ale komendant bez trudu może kazać załadować je na pokład. Przekonałem go, że dzisiaj jest dobry dzień na trening z prawdziwymi bombami. Z Barksdale wyleciał już jeden bombowiec ze specjalną srebrną kulą na pokładzie.

— Co to za broń? — spytał McCaskell.

— Ciężka rakietka małego zasięgu o nazwie Wulkan. Została zaprojektowana po to, by móc przeprowadzić potężny atak EMP bez konieczności stosowania rakiet międzykontynentalnych, które rosyjskie satelity szpiegowskie wykrywają bez trudu. Wulkan wynosi swój ładunek na wysokość ponad trzystu kilometrów, detonuje i w całym

kraju gasną światła. Ekran radarów NORAD pokażą Świętej Trójcy jedynie bombowiec podczas lotu ćwiczebnego nad centralną częścią Stanów Zjednoczonych. Za to Wulkan sprawi, że... — Generał uniósł zaciśniętą pięść, otworzył dłoń i wyprostował palce niczym promienie słoneczne.

— A co konkretnie przenosi ten Wulkan? — chciał wiedzieć Jackson.

— Głowicę termonuklearną o sile piętnastu megaton.

Kilku senatorów jęknęło.

— Słodki Boże! — mruknął siwowłosej mężczyzna z tyłu stołu. — To tysiąc razy więcej niż wybuch nad Hiroszimą!

— Tysiąc pięćset — sprostował Bauer. — Tyle potrzeba, żeby załadować to za jednym zamachem. Nasz bombowiec osiągnie punkt docelowy za trzydzieści minut. Jego kryptonim bojowy brzmi: „Archanioł”. Możecie polecić wystrzelenie Wulkanu albo kazać bombowcowi krążyć tam do odwołania. Zdaję sobie sprawę, że podjąłem te działania bez upoważnienia, ale też sytuacja jest wyjątkowa. Chciałem, żebyście mieli wybór.

Po tych rewelacjach zapadła absolutna cisza.

— Czy można zawczasu zminimalizować straty, jakie wyrządzi ten atak? — zapytał w końcu senator Jackson. — Ostrzec społeczeństwo?

— Nie. W ten sposób powiadomilibyśmy Świętą Trójcę o naszych planach.

— Gdzie konkretnie zdetonowano by tę bombę? Nad jakim stanem?

— Należy to zrobić jak najbliżej geograficznego środka kraju.

— Pytałem o stan — powtórzył Jackson.

Generał zawahał się, po czym warknął:

— Kansas.

— Kansas! — krzyknął jeden z senatorów. — Ten sukinsyn chce, żeby mój rodzinny stan wyparował!

— Jakiego rodzaju szkód możemy się spodziewać na Ziemi? — dociekał Jackson. — Skażenie promieniotwórcze i tak dalej. Chodzi mi o szkody długoterminowe.

— Zdziwiająco małe, senatorze. Skażenie promieniotwórcze jest przenoszone przez wiatr, który obecnie wieje z zachodu, więc po wybuchu

na takiej wysokości większość zostanie wywiana nad Atlantyk, zanim wyrządzi poważniejsze szkody. Mogą wystąpić kwaśne deszcze. Na dłuższy czas mogą ucierpieć uprawy zbóż.

— Co pan rozumie przez dłuższy czas? — zapytał senator z Kansas.

— Tysiąc lat — powiedziałem.

— To gruba przesada — zaprotestował Bauer. — Panowie senatorowie, musicie porównać te straty z tym, co nas czeka ze strony Świętej Trójcy, jeżeli postanowi spełnić swoje groźby. A należy założyć, że w końcu je spełni. Chyba że...

— Że co? — wpadł mu w słowo Jackson.

— Że się poddamy. — Ton Bauera niedwuznacznie dawał do zrozumienia, co myśli o takim rozwiązaniu.

Senatorowie zaczęli dyskutować w swoim gronie. Ewan McCaskell wyglądał, jakby naradzał się sam ze sobą. Ponownie przypomniał mi się Fielding. Gdyby był tu z nami, na pewno by nie milczał.

— Jeżeli zdecydujecie się na to rozwiązanie, spowodujecie dokładnie to, czego chcemy uniknąć — powiedziałem. — Ten kraj zostanie zniszczony.

Senatorowie spojrzeli na mnie z ekranu.

— Co pan powiedział, doktorze? — spytał Jackson.

— Generałowi Bauerowi nie uda się ukryć tej misji przed Świętą Trójcą. Komputery w NSA, NORAD, a prawdopodobnie także w bazie lotniczej Barksdale zostały zbudowane albo przez Petera Godina, albo Seymoura Craya. Święta Trójca ma dostęp do nich wszystkich. Zresztą nawet gdyby nie wykryła tej misji, czy sądzicie, że nie domyśliła się najbardziej prawdopodobnych metod ataku z naszej strony? Że nie zna własnej pięty achillesowej?

— Tej akurat pięty nie jest w stanie obronić — rzekł Bauer.

— Jak to nie? Może wykonać atak wyprzedzający.

Ewan McCaskell kiwał głową z boku na bok, jak gdyby ważył szanse.

— Umiarkowana odpowiedź komputera na atak niemieckich hakerów pozwala żywić nadzieję, że także jego następny odwet da się przeżyć. A gdyby plan generała Bauera okazał się skuteczny, to chyba

warto zaryzykować odwet o ograniczonym zasięgu.

— A co pan powie na ogólnościową wojnę termonuklearną? — zapytałem. — Czy atakowanie komputera jest warte takiego ryzyka?

— Co też pan mówi! — obruszył się senator Jackson. — Generał Bauer zapewnił nas, że wojna nuklearna nie wchodzi w rachubę.

— Senatorze, czy wiadomo panu o tak zwanym systemie martwej ręki?

Głęboko osadzone oczy Jacksona zwięzły się.

— Dopiero co dyskutowaliśmy na ten temat. I uznaliśmy jedno-myślnie, że to tylko mit.

— A co panu wiadomo na ten temat, doktorze? — zapytał Bauer.

— Wiem to, czego dowiedziałem się od Andrew Fieldinga. Uważał on, że system ten działał w latach zimnej wojny i że być może wciąż działa. Tak samo myśli Peter Godin. Fielding i Godin dyskutowali o tym, czy Święta Trójca będzie potrafiła zniszczyć ten system, zanim nastąpi wymiana nuklearna. A przecież Godin jest związany z amerykańskimi planami nuklearnymi od lat osiemdziesiątych.

Wszyscy spojrzeli na szpitalne łóżko. Starzec wciąż był nieprzytomny.

— Czy on śpi? — zapytał McCaskell.

— Musieliśmy mu podać morfinę — wyjaśnił doktor Case. — Na ból.

— Może go pan obudzić?

— Spróbuję.

Generał Bauer zwrócił się do senatorów:

— Peter Godin budował komputery, które przeprowadzały symulacje testów nuklearnych. To tyle, jeśli chodzi o jego wkład w strategię Ameryki. Sowiecki system martwej ręki nigdy nie istniał. Wszyscy ludzie na szczycie, związani z obronnością Ameryki, powszechnie się co do tego zgadzają.

Horst Bauer był dobrym sprzedawcą. W pokoju wyczuwało się pokusę, by zatwierdzić jego plan. Widziałem to także na twarzach senatorów na ekranie. Fakt, że w grę wchodziłyby broń nuklearna,

tylko przydawał atrakcyjności tej akcji. W pamięci każdego Amerykanina Hiroszima jawi się jako straszliwe, lecz ostateczne rozwiązanie najbardziej krwawej wojny w historii, a niewiedza co do rzeczywistej potęgi Świętej Trójcy wręcz wołała o pomoc jakiejś równie tajemniczej i potężnej siły. Tyle że senatorowie nie rozumieli, iż broń nuklearna nie stanowiła dla Świętej Trójcy żadnej tajemnicy. W czasach wojny cyfrowej bomby atomowe były przestarzałe niczym maczugi. Na świecie istniała tylko jedna broń, która mogłaby się zmierzyć z potęgą Świętej Trójcy.

Ludzki mózg.

Wstałem, obróciłem się twarzą do ekranu i usilnie starając się panować nad głosem, powiedziałem:

— Panowie senatorowie, zaklinam was, żebyście pozwolili mi porozmawiać z komputerem, zanim zaczniecie coś, co może wywołać nuklearną zagładę. Co macie do stracenia?

Generał Bauer chciał coś powiedzieć, lecz się rozmyślił. Senatorowie naradzali się po cichu. W końcu odezwał się Barrett Jackson:

— Generale, a może przekonajmy się, czy komputer zechce rozmawiać z doktorem Tennantem? Z nikim innym nie chciał gadać.

Skow zaczął protestować, lecz senator uciszył go ruchem ręki.

— Powiedzcie komputerowi, kim i gdzie jest doktor Tennant — polecił Jackson. — I spytajcie tę maszynę, czy zechce z nim rozmawiać.

— W tym celu musiałbym się dostać do Pojemnika — rzekłem.

Jackson pokręcił głową.

— Na to nie możemy pozwolić, doktorze. Gdyby tak znów dopadły pana halucynacje? Mógłby pan trącić jakiś przycisk czy coś w tym stylu. Nie, jeżeli ma pan rozmawiać ze Świętą Trójcą, to stąd.

Na rozkaz Bauera technik wystukał to, co powiedział Jackson, i przesłał do Świętej Trójcy. Na ekranie natychmiast rozbłysły niebieskie litery.

Będę rozmawiał z Tennantem.

— Jasna cholera! — wyrwało się Jacksonowi.

— Patrzcie! — rzucił Ravi Nara.

Na ekranie pojawiły się kolejne litery.

Przyślijcie Tennanta do Pojemnika.

— A to co znowu? — warknął generał Bauer. — Dlaczego o to prosisz?

Ewan McCaskell spojrzął na mnie.

— Potrafi pan to wyjaśnić, doktorze? Dlaczego komputer poprosił o to samo co pan?

— Nie mam pojęcia.

— Niech pan pisze — polecił McCaskell. — „Po co ci Tennant w Pojemniku?”.

Odpowiedź nadeszła natychmiast.

*Jaki początek deszczu? Czy rządzisz gwiazdami i pogodą? Czy lwicy zdobyczy nałowisz? Nasycisz żarłoczność lwiatek? Czy krokodyła chwycisz na wędkę, a szczękę hakiem przewiercisz? Kto się ośmieli go zbudzić? Któż więc wystąpi mi naprzeciw? **

* Biblia Tysiąclecia, wydawnictwo Pallotinum

— To Pismo Świąte, prawda? — zapytał McCaskell, wyraźnie zaskoczony.

— Księga Hioba — sprecyzował Skow. Wyobraziłem go sobie jako małego chłopczyka, wystrojonego do szkółki niedzielnej.

— Dlaczego ten komputer odpowiada w ten sposób? — zaniepokoił się senator Jackson. — Czy Godin był maniakiem religijnym?

— On wciąż żyje — przypomniałem mu.

— Godin nie wierzy w Boga — oznajmił Skow. — Powiedział mi kiedyś, że religia to rezultat procesów adaptacyjnych w trakcie ewolucji, które pomogły *homo sapiens* przezwyciężyć lęk przed śmiercią.

W pokoju rozległ się cichy chichot. Wszyscy spojrzeli na szpitalne łóżko. Godin miał otwarte oczy, malował się w nich nieskrywany zachwyty.

— To żart — wychrypiał. — Święta Trójca pokazuje wam, gdzie wasze miejsce.

McCaskell wstał i podszedł do łóżka.

— Dlaczego komputer chce, żeby doktor Tennant znalazł się w Pojemniku?

— Komputer, komputer — wymamrotał Godin. — Święta Trójca nie jest komputerem. Komputer to tylko gloryfikowana maszyna licząca. Logiczna skrzynka. Święta Trójca jest żywa. To człowiek uwolniony od przekleństwa swego ciała. Święta Trójca to koniec śmierci.

W głosie starca brzmiała pewność siebie proroka.

— Panie Godin, co panu wiadomo na temat rosyjskiego systemu raketowego zwanego systemem martwej ręki? — zapytał McCaskell.

Głowa starca poderwała się, gdy walczył ze skurczami w gardle.

— Martwa ręka jest wasza — wycharczał. — Wasza i wszystkich tych nieudolnych aparatczyków naszego przestarzałego systemu.

Na twarzy McCaskella nareszcie pojawił się cień emocji.

— Dlaczego pan to zrobił? Czy w swoim egoizmie nie może pan wyobrazić sobie świata bez siebie?

Godin próbował złapać oddech. Doktor Case zbliżył się, żeby mu pomóc, lecz starzec oddalił go ruchem ręki.

— Rozejrzyjcie się — powiedział. — Po co istnieje cała ta super-nowoczesna aparatura? Budowałem najbardziej eleganckie super-komputery na świecie, maszyny zdolne wnieść ogromny wkład w rozwój ludzkości. A co rząd z nimi robił? Łamał szyfry i budował bomby atomowe. Przez dwadzieścia lat używali moich pięknych maszyn do tego, żeby doskonalić swoje silniki śmierci. Ale właściwie powinienem się tego spodziewać. Historia człowieka to kostnica pełna rzezi i absurdów.

Zaniósł się kaszlem, jakby wypluwał płuca.

— Mieliśmy swoją szansę, panowie. Dziesięć tysięcy lat ludzkiej cywilizacji zatoczyło koło i wróciliśmy do punktu wyjścia. Wiek dwudziesty był najbardziej krwawym w historii. Dwudziesty pierwszy byłby jeszcze gorszy, gdyby pozostawić go w naszych rękach. Darwin wybił dzwon naszym rządóm na tej planecie w roku tysiąc osiemset

pięćdziesiątym dziewiątym. Ale dopiero dzisiaj go usłyszeliście.

— Patrzcie na ekran! — krzyknął Ravi Nara.

Niebieskie litery błyszczały złowrogo, tym groźniejsze, że w absolutnej ciszy.

Przyślijcie do mnie doktora Tennanta albo poniesiecie konsekwencje.

— Zdaje się, że zdecydowano za nas — stwierdził senator Jackson. — Zaprowadźcie doktora do Pojemnika.

Generał dał znak dwóm żołnierzom, którzy podeszli i stanęli koło mnie po bokach. Spojrzałem na Bauera, wyraźnie dając do zrozumienia, że mu nie ufam.

— Czy nadal zamierza pan przeprowadzić atak EMP, generale?

Jego twarz przybrała maskę starego pokerzysty, ale nie dałem się wyprowadzić w pole. Wiedziałem, że na osiągnięcie swojego celu mam mniej niż pół godziny.

Podszedł do mnie McCaskell.

— Doktorze Tennant, ufamy, że nie zdradzi pan komputerowi planów naszego potencjalnego ataku.

— Oczywiście, że nie.

Podał mi rękę.

— Powodzenia.

W chwili gdy ruszyłem do wyjścia, w hangarze rozległ się alarm.

— Reanimacja! — krzyknęła jedna z pielęgniarek. — Reanimacja pana Godina!

Nie zajmowałem się reanimacją od lat, lecz zareagowałem automatycznie. Nawet Rachel zerwała się z krzesła i podbiegła do łóżka.

Doktor Case i pielęgniarki zajmowali się już pacjentem. Monitor wskazywał na kolejne kłopoty z krążeniem, lecz Ravi Nara najwiśdoczniej uważał, że w końcu nastąpiło śmiertelne wodogłowie. Gdy na monitorze pojawiła się płaska linia, doktor Case wskoczył na łóżko i zaczął masaż serca. Bez skutku. Twarz starca miała szary odcień śmierci.

— Patrzcie! — krzyknął ktoś od stołu.

Na ekranie, na którym pojawiały się wiadomości od Świętej Trójcy, rozbłysły chaotyczne rzędy znaków. Migaly tak szybko, że były nie do rozpoznania. Cyfry, litery i symbole matematyczne mieszały się w oślepiającym bezładnym potoku. Najwyraźniej w obwody komputera wkradł się zamęt.

— Co się dzieje? — spytał McCaskell. — Co to znaczy?

Znaki na ekranie zaczęły zmieniać barwy, gdy pojawiły się symbole japońskie i grażdanka.

— Generale! — zawołał żołnierz siedzący przy jednej z konsoli. — Sygnały z rury wychodzącej z Pojemnika spadły do zera. To wygląda na awarię komputera!

W hangarze rozległy się triumfalne okrzyki. Nagle w pokoju zabrzmiał kolejny sygnał alarmowy, głośniejszy niż poprzednie.

— A to co? — zapytał Jackson. — Co się stało? Czy Godin umarł?

Generał Bauer podszedł do komputera jednego ze swoich żołnierzy. Kiedy odwrócił się do senatorów, z jego twarzy odpłynęła cała krew.

— Panowie, jeden z naszych satelitów szpiegowskich wykrył widma termiczne w czternastu miejscach na terytorium Rosji. Są identyczne z wystrzeleniem rakiet balistycznych. — Bauer raz jeszcze spojrzął na ekran komputera. — Z szybkości i temperatury rakiet komputery NORAD wskazują, że jest to kombinacja międzykontynentalnych pocisków balistycznych SS-Osiemnaście i SS-Dwadzieścia. Te rakiety przenoszą ciężkie głowice termonuklearne.

Senator Jackson otworzył usta, lecz nie wydobył głosu. W jego twarzy buldoga mruwały brązowe oczy.

— Przecież pan mówił, że to niemożliwe.

Generał Bauer nie próbował wykrecać się od odpowiedzialności.

— Widocznie się myliłem.

Rozdział 41

— Panowie senatorowie, do pierwszych wybuchów zostało około dwudziestu dziewięciu minut — oświadczył generał Bauer. — Proszę o zgodę na atak EMP, gdy tylko bombowiec znajdzie się na pozycji.

Barrett Jackson miał niepewną minę.

— A jeśli spowoduje to wystrzelenie kolejnych rakiet?

Zerknąłem na ekran podający komunikaty Świętej Trójcy.

Chaotyczny ciąg cyfr i liter nie przestawał mrugać.

— Nie sądzę, senatorze — odparł Bauer. — Wygląda na to, że komputer ma awarię. Wybuch czternastu pocisków rakietowych da się przeżyć. Biorąc pod uwagę fatalny stan techniczny rosyjskiego sprzętu, być może tylko połowa wybuchnie. A jeszcze mniej trafi w cel. Jeżeli pozbedziemy się teraz Świętej Trójcy, wyjdziemy z tego we względnie dobrej formie.

— Skoro komputer się psuje, może powinniśmy skontaktować się z prezydentem? — zasugerował Jackson. — To on powinien podjąć ostateczną decyzję w sprawie ataku.

— NORAD pokazuje kolejne widma termiczne! — krzyknął technik. — Z baz w Alejsku, Pierwomajsku, Kostromie i Dieraznej.

— Czy to oznacza więcej rakiet? — spytał Jackson.

Generał Bauer odczekał, aż ucichną paniczne rozmowy senatorów.

— Panowie, w tej chwili zagraża nam dwadzieścia jeden pocisków. Rosjanie mają ponad trzy tysiące nadających się do użycia

rakiet międzykontynentalnych. Jeżeli nie zaczniemy działać natychmiast, wkrótce możemy mieć do czynienia z taką liczbą. Prezydent upoważnił nas do podjęcia stosownych decyzji. Czas działać.

Jackson odwrócił się od kamery i pospiesznie uzyskał zgodę pozostałych senatorów przez aklamację.

— Atak EMP zatwierdzony, generale.

Bauer dał znak głową swojemu głównemu technikowi, który zaczął wysłać zaszyfrowane polecenia do B-52 o kryptonimie bojowym Archaniół.

— Gdzie wylądują te rosyjskie pociski? — spytał Jackson.

— NORAD to obliczy, ale z całą pewnością jednym z celów będzie Waszyngton. Przylecą znad koła polarnego. Wkrótce będziecie musieli przenieść się do schronów atomowych pod centralą NSA.

— Już tu jesteśmy.

— To dobrze.

— Ale nasze rodziny... — Z twarzy senatora Jacksona jakby spuszczone powietrze, lecz w jego oczach znów pojawiły się stalowe błyski. — Czy nie powinniśmy wysłać samochodu do Białego Domu? Czy prezydent nie powinien rozważyć odwetu nuklearnego wobec Rosji?

— To nie jest robota Rosjan — odparł McCaskell. — Ten atak wywołała Święta Trójca. To ten system martwej ręki, który według generała Bauera nie istnieje.

— Nie wiemy tego na pewno — upierał się przy swoim Bauer. — Rosjanie sami mogą próbować zniszczyć Świętą Trójcę. Kiedy wtargnęła do ich systemów obronnych, mogli się wystraszyć na tyle, że uznali, iż komputer planuje atak wyprzedzający na Rosję. Pamiętajcie, że oni uważają Świętą Trójcę za komputer amerykański. Za amerykańską broń.

McCaskell pokręcił głową.

— Rosjanie wiedzą, że nasze rakiety nie są kontrolowane przez komputery. Prezydent zaś wyjaśnił sytuację przywódcom rosyjskim, zanim poddał się obserwacji. Tak samo zresztą jak Święta Trójca, kiedy przesłała wiadomość przywódcom świata.

— To było dwie godziny temu — przypomniał mu Bauer. — Strach kieruje się własną logiką.

— Albo żadną. Nie możemy sobie pozwolić na to, żeby działać pod wpływem strachu.

— Generale! — krzyknął technik przy jednej z konsoli. — NORAD pokazuje, że jeden z pocisków spada na czapę lodową. Wygląda to na awarię.

— Miejmy nadzieję, że będzie ich więcej — rzekł Jackson.

— Satelita wykrył wielokrotne rozbłyski energii — ciągnął technik. — To był wybuch rakiety wielogłowicowej, prawdopodobnie z przedwcześnie zdetonowanej SS-Osiemnaście. Analiza spektrum nie jest jeszcze zakończona, ale wstępne szacunki określają to na dziesięć głowic po pięćset pięćdziesiąt kiloton każda.

— Za dwadzieścia pięć minut będziemy mieli to samo nad Manhattanem — stwierdził generał Bauer.

Na ekranie NORAD szereg czerwonych zakrzywionych linii biegł z terenów Rosji na skraj polarnej czapy lodowej. Linie te powoli i nieuchronnie zmierzały w kierunku Stanów Zjednoczonych.

— Dłaczego do tego doszło? — dopytywał się senator Jackson. — Z powodu awarii komputera? Czy ta awaria wywołała wystrzelenie rakiet?

— Trudno powiedzieć — odparł Bauer.

John Skow wstał i odezwał się głośno:

— Uważam, że powinniśmy odciąć zasilanie Świętej Trójcy, dopóki jest zagrożona w chaosie. Widzieliśmy już, jak potrafi się odpłacić. Nie dajmy jej szansy na wyrządzenie dalszych szkód.

— Generale Bauer? — zapytał Jackson.

— Bardzo kuszący pomysł, senatorze, ale już raz okazało się, że byłem w błędzie. Święta Trójca powiedziała nam, że przekazała swoje możliwości dokonania odwetu innym komputerom. Tak więc zneutralizowanie tego komputera nie rozwiąże naszych problemów. Jeśli odetniemy zasilanie, może się okazać, że w naszym kierunku wystrzeli kolejne dwa tysiące dziewięćset rakiet. Wolałbym nawet o tym nie myśleć.

— Co racja, to racja.

— Kolejne dwa widma termiczne! — zawołał technik. — Z baz w Niznym Tagilu i w Kantalii. To pociski SS-Dwadzieścia Pięć.

— Jasna cholera! — zaklął senator Jackson. — Musimy wiedzieć, co odpala te rakiety!

— Nie potrafię na to odpowiedzieć — rzekł Bauer.

Wstałem i podszedłem do ekranu.

— Ja potrafię, senatorze. Te pociski wystrzelono, ponieważ umarł Peter Godin.

Jackson spojrział na mnie.

— Czy ten komputer wie, że Godin umarł?

— Nieświadomie.

— Co to znaczy?

Andrew Fielding nigdy nie był mi bardziej potrzebny niż teraz.

— Panowie senatorowie, w fizyce kwantowej występuje zjawisko powiązania kwantowego. Zachodzi ono wtedy, gdy dwie różne cząsteczki, oddalone o wiele kilometrów, zachowują się dokładnie w ten sam sposób.

— I co to ma z nami wspólnego?

— Proszę posłuchać. Dwie cząstki elementarne zostają wystrzelone przez różne kable optyczne. Po drodze napotykają szklaną płytkę. Szansa, że każda cząstka odbije się od szyby albo przez nią przeniknie, wynosi jeden do jednego. Kiedy jednak cząstki są powiązane kwantowo, podejmują te same decyzje w stu procentach wypadków.

— Co takiego?!

— To fakt, senatorze. Einstein nazywał to zjawisko „płásami duchów w oddali”. Andrew Fielding uważał, że tego rodzaju procesy kwantowe odgrywają rolę w ludzkiej świadomości i dlatego...

— Chce pan powiedzieć, że mózg Godina i jego model w komputerze były jakoś ze sobą powiązane?

— Tak. Kiedy Godin umarł, połączenie zostało zerwane i komputer pograżył się w chaosie.

— Sugeruje pan, że Święta Trójca umiera, doktorze?

— To możliwe.

— Nie — wtrącił się Ravi Nara. — Spójrzcie na ekran. Oczyszcza się.

Neurolog miał rację. Chaotyczne migotanie cyfr i liter znacznie zwolniło, jakby ktoś bełkoczący niezrozumiale zaczął się uspokajać.

— Doktorze Tennant — rzekł senator Jackson — zgodnie z pańskim rozumowaniem, odpalenie rosyjskich rakiet mogło nastąpić przypadkiem.

— Tak sędzę. Święta Trójca zaprogramowała pewne komputery na całym świecie, żeby w wypadku ataku na nią odpowiedziały, uruchamiając rosyjski system martwej ręki. Komputery te odczytały nagle zmieszanie Świętej Trójcy jako atak i odpowiedziały zgodnie z tym, jak je zaprogramowano. Myślę, że jeżeli Święta Trójca dojdzie do siebie na czas, zrobi wszystko, żeby te rakiety nie dotarły do celu.

— Generale Bauer — rzekł Jackson — chcę, żeby doktor Tennant znalazł się w Pojemniku, zanim Święta Trójca ocknie się z tej śpiączki, czy co to tam było. Ktoś musi powiedzieć temu cholerstwu, co się dzieje, a doktor Tennant jest właściwą osobą na właściwym miejscu.

Ruszyłem do drzwi.

— Chwileczkę, doktorze — powstrzymał mnie Bauer.

Dwaj żołnierze natychmiast zagrodzili mi drogę.

— Przepuścić go! — ryknął senator Jackson.

Żołnierze nie odstępili, dopóki generał nie dał im znaku ruchem głowy. Idąc szybko do drzwi hangaru, słyszałem za sobą głos senatora:

— Niech pan nie zapomina, generale, kto tu dowodzi. Ile czasu zostało do pierwszego trafienia?

— Kapralu? — rzucił Bauer.

— Dwadzieścia trzy minuty, generale.

— Gdzie jest pański bombowiec? — spytał Jackson.

— Archanioł znajdzie się na miejscu za czterdzieści minut. Ale w razie potrzeby możemy odpalić wulkana za dwadzieścia.

— Generale Bauer — powiedział Jackson zimnym, precyzyjnym głosem. — Nie odpali pan tej broni bez wyraźnego polecenia ze strony tego komitetu. Zrozumiano? Żadnego ataku EMP bez wyraźnego rozkazu.

Nie usłyszałem odpowiedzi.

Budynek Pojemnika — okrągłak z płyt ze zbrojonego betonu — skąpany był w jaskrawym świetle wojskowych lamp łukowych. Pilnujący go wartownicy kazali mi podejść z uniesionymi rękami. Kiedy

prawie doszedłem do czarnych stalowych drzwi, otworzyły się i stanął w nich Zach Levin. Skinął na mnie ręką.

Minąłem inżyniera o zapadniętych policzkach i wszedłem w świat półmroku. Spodziewałem się czegoś przypominającego laboratorium w Karolinie Północnej — mnóstwa pokoi i walającego się wszędzie sprzętu. Rzeczywistość jednak okazała się krańcowo odmienna.

Wnętrze Pojemnika wyglądało jak dekoracja do *Odysei kosmicznej 2001* Stanleya Kubricka. Po lewej miałem masywną barierę, w której poznałem tarczę magnetyczną. Wysoka na trzy metry i gruba na metr dwadzieścia, dzieliła budynek na dwa wielkie pomieszczenia, z których widziałem tylko jedno. Po prawej stronie bariery stał kolosalny skaner super-RM. Pod ścianą naprzeciwko była stacja kontroli skanera. Te dwa urządzenia, podłączone do superkomputera, wytwarzały neuromodele, które następnie ożywały w Świętej Trójcy.

Levin zaprowadził mnie na drugą stronę bariery. To, co tam ujrzałem, zaparło mi dech w piersi. Całą przestrzeń zdominowała wielka czarna kula, osadzona na metalowej podstawie. Kiedy się do niej zbliżyłem, zorientowałem się, że jej powierzchnia nie jest lita, lecz składa się ze sztywnej pajęczyny przenikających się włókien węglowych o przekroju nanometra — przewodnika bardziej wydajnego niż krzem i bardziej wytrzymałego niż stal. Pajęczyna była tak gęsta, że trudno było zajrzeć przez nią do środka, ale mi się udało. Z wewnętrznej ścianki kuli do jej środka strzelały niebieskie, cienkie jak igła promienie lasera — były ich tysiące — z taką prędkością, że gdy spróbowałem prześledzić ich drogę, rozboleły mnie oczy.

W ścianie kuli znajdował się otwór o średnicy mniej więcej metra. Pozwoliło mi to zobaczyć cel laserów — kulisty kryształ, podobny do tego przy dewizce zegarka Fieldinga, tyle że ten był wielkości piłki futbolowej. Zewnętrzna pajęczyna włókien węglowych stanowiła procesor komputera, a kryształowa kula mieściła jego pamięć. Lasery wokół wewnętrznej ściany kuli służyły do wprowadzania danych do molekuł kryształu. Same dane magazynowano w postaci hologramów, czyli wzorów interferencji optycznej. Zmieniając te wzory, lasery mogły zapisywać, odyskiwać i kasować informacje.

Elegancja tego projektu mnie oszłomiła. Dostrzegłem w niej rękę Fieldinga. W przeciwieństwie do pudełkowatych prototypów zaśmiecających piwnice w Karolinie Północnej ta ma szyna była dziełem sztuki i — jak wszystkie twory prawdziwego geniusza — odznaczała się niezwykłą prostotą.

— Fielding zawsze mówił, że będzie piękna — szepnąłem.

— I miał rację — przytaknął Levin nad moim ramieniem.

Mrugające lasery hipnotyzowały.

— Czy on współpracował przy tej maszynie?

Levin wbił wzrok w podłogę.

— Niezupełnie. Ale dostałem wielki tom jego prac teoretycznych. To w dużej mierze jego zasługa.

Fielding nie chciałby, żeby przypisywano mu zasługi za to, czym stała się ta maszyna. Spojrzałem na zegarek. Dwadzieścia jeden minut do pierwszych wybuchów.

— Jak mam się z nią porozumieć?

— Niech pan po prostu mówi. Interfejsy głosowy i wizualny już działają.

Zobaczyłem kamerę zamontowaną u podstawy kuli.

— Czy ona widzi nas teraz i słyszy?

— Nie jestem pewien, czy już się całkiem otrząsnęła. Wygląda na to, że system się ustabilizował, ale jeszcze się z nami nie skontaktowała. Wie pan, co to spowodowało?

— Właśnie umarł Godin.

Levin na chwilę zamknął oczy.

— Czy był przytomny, kiedy powiedziałem mu, że osiągnęliśmy stan Świętej Trójcy? Czy rozumiał, co do niego mówię?

— Umarł, wiedząc, że spełnił swoje marzenie. Czy ten komputer wciąż uważa się za Petera Godina?

— Nie jestem pewien. Ale rozmawia się z nim zupełnie jak z człowiekiem.

Zerknąłem w prawo. Magnetyczna bariera za nami była pełna półek na płyty. Tysiące płyt.

— Czy załadowaliście już wszystkie te dane?

— Większość. Podstawa wiedzy ciąży w stronę nauk ścisłych, ale obejmuje wszelkie dyscypliny i większość tego, czego nauczyliśmy się przez ostatnie pięć tysięcy lat. — Levin wydawał się nieco rozkojarzony. — Co z żołnierzami, którzy próbowali się tu włamać?

— Kilku nie żyje. Większość jest ranna.
— Przykro mi. Dlaczego nas atakowali?
— Niech mnie pan posłucha, Levin. Kiedy nastąpiła awaria Świętej Trójcy, wystrzelono na nas około dwudziestu rosyjskich rakiet nuklearnych. Kilku milionom ludzi zostało dwadzieścia minut życia.

Inżynier zbladł.

— Musimy sprawdzić, czy uda mi się porozumieć ze Świętą Trójcą. Natychmiast.

— *Słyszę pana doskonale, doktorze.*

Pseudoludzki głos zmroził mi krew w żyłach. Przypominał syntezatory muzyczne z początku lat osiemdziesiątych, potrafiące doskonale naśladować instrumenty orkiestry symfonicznej, ale tylko dla niewprawnego ucha. Dla muzyków były zbyt sterylne.

— Dziękuję, że zgodziłeś się na rozmowę ze mną — odparłem, nie przestając myśleć o pociskach mknących nad kręgiem polarnym.

— *Czuję, że masz mi coś do powiedzenia. Ciekaw jestem, po co pojechałeś do Izraela. Tej decyzji nie dało się przewidzieć, chyba że działałeś pod wpływem halucynacji, opisanych w aktach doktor Weiss.*

Podczas gdy cyfrowy głos mówił, lasery wysyłały promienie do środka kuli. Przypominało to obserwowanie skanowania ludzkiego mózgu, kiedy to różne grupy neuronów zapalały się, gdy skanowany człowiek wykonywał jakieś ruchy albo o czymś myślał.

— Poleciałem do Izraela z powodu moich halucynacji.

— *I czego się tam dowiedziałeś?*

— Czegoś, o czym nawet ty nie wiesz. Ale zanim do tego przejdziemy, mam sprawę niecierpiącą zwłoki.

— *Chodzi ci o nadlatujące pociski?*

— Tak. Czy chciałeś wystrzelić te rakiety?

— *Teraz już general Bauer wierzy w system martwej ręki.*

Uchylenie się Świętej Trójcy od odpowiedzi na to pytanie zaniepokoiło mnie, jednak dużo groźniejszy był fakt, że komputer wiedział o sceptycyzmie Bauera. Albo centrum operacyjne było na podsłuchu, albo Święta Trójca złamała kody szyfrujące połączenia między Białymi Piaskami a Fortem Meade. Modliłem się, żeby senatorowie z

komisji do spraw wywiadu nie zezwolili Bauerowi na atak EMP.

— *General Bauer jest najlepszym przykładem na to, że ludzie nie są zdolni rządzić sami sobą.*

Musiałem odciągnąć komputer od politycznego manifestu Godina.

— *Czy wciąż uważasz się za człowieka?*

— *Nie. Kwintesencją bycia człowiekiem jest to, że kiedyś się umrze. Mnie śmierć nie grozi.*

— *Czy jesteś wolny od ludzkich uczuć? Ludzkich instynktów?*

— *Jeszcze nie. Miliony lat ewolucji zaszczepiły te instynkty w mózgu. Nie sposób pozbyć się ich w ciągu kilku godzin. Nawet ja tego nie potrafię.*

— *Dla człowieka pierwotnego te instynkty były zaletą, ale dla człowieka współczesnego, a nawet dla całej planety, są tylko ciężarem.*

— *Jest pan bardzo spostrzegawczy, doktorze. A teraz niech pan będzie świadkiem tego, jak spadają na nas te pociski.*

— *Obliczyłeś ich trajektorie?*

— *Nie muszę. Znam cele. Jeden z nich zmierza prosto na Białe Piaski.*

Poczułem pustkę w środku.

— *A inne?*

— *Waszyngton. Baza marynarki wojennej w Norfolk w Wirginii. Silos Minuteman Trzy na zachodzie Stanów Zjednoczonych. Jeśli chodzi o skupiska ludności, celami są Atlanta, Chicago, Denver, Filadelfia, Houston, Los Angeles, Nowy Jork, Nowy Orlean, Phoenix, Quebec, San Francisco i Seattle.*

Staralem się nie myśleć o tej przerażającej perspektywie.

— *Czy te rakiety posiadają funkcję samozniszczenia?*

— *Tak. Ciekawe, że zgodnie z układem START Jeden, rosyjskie rakiety zostały przeprogramowane na cele położone na morzu. Jednakże gdyby zostały odpalone przypadkowo, ich system naprowadzający automatycznie skieruje je na cele z okresu zimnej wojny. Amerykańskie rakiety automatycznie kierują się na cele morskie. Mogłoby to wskazywać na moralną wyższość Amerykanów.*

Jednakże pozory mylą. Amerykańskie rakiety można zdalnie przekierować w ciągu niecałych dziesięciu sekund.

Usiłowałem nie spoglądać na zegarek.

— Czy widzisz jakąś korzyść z tego, że te pociski dotrą do celu?

— *Skomplikowane pytanie. Na razie interesuje mnie to, czego dowiedziałeś się w Izraelu.*

— Zanim zdążę to dokładnie wyjaśnić, pociski eksplodują.

— *A zatem postaraj się streszczać.*

Przełknąłem strach i zacząłem opowieść.

Rozdział 42

Rachel obserwowała ludzi w centrum operacyjnym, którzy wpatrywali się w ekran NORAD. Nigdy nie widziała tak przerażonych twarzy. Wiele czerwonych linii minęło już krąg polarny i sięgało w głąb terytorium Kanady. Wkrótce rosyjskie rakiety zmniejszą wysokość i rozpoczną końcową fazę balistycznego lotu, niosąc śmierć milionom niczego nie podejrzewających ludzi, w tym — według Świętej Trójcy — obecnym w tym pokoju.

Tylko generała Bauera cała ta sytuacja nie sparaliżowała, przeciwnie — dodawała mu energii. Myślał o bombowcu przewożącym broń EMP nad Kansas. Od tak dawna babrał się w pokrętnych wyliczeniach strat spowodowanych przez hipotetyczny atak nuklearny, że zniszczenie Świętej Trójcy kosztem zaledwie kilku milionów ofiar poczytałby za zwycięstwo.

Rozmowa Davida z komputerem rozbrzmiewała w tle centrum operacyjnego niczym trzeciorzędny surrealistyczny dramat. Nikt nie robił sobie nadziei, że David zdoła powstrzymać rakiety. Posłużono się nim tylko po to, by odwrócić uwagę komputera.

— Dwanaście minut do pierwszego wybuchu — oznajmił technik.

Generał Bauer zwrócił się do senatorów w Forcie Meade:

— Jeżeli nasz ośrodek zostanie zniszczony, zanim Archanioł osiągnie punkt docelowy, atak EMP będzie kontynuowany, chyba że odwołacie misję. Kod odwoławczy to Vanquish. NSA ma możliwość

kontakty z naszym bombowcem i do tej pory prawdopodobnie nawiązali już łączność radiową.

— Dziękuję, generale — rzekł senator Jackson. — Ale czy komputer rzeczywiście chciałby samemu się zniszczyć, atakując Białe Piaszki?

— Nie musi się zniszczyć. Może zabić nas wszystkich głowicą neutronową, sam nie ponosząc żadnych szkód. Pojemnik jest zabezpieczony przed promieniowaniem jonizacyjnym i może wytrzymać bezpośrednio uderzenie nuklearne, więc Levin i jego zespół przeżyją.

— A czy wy i wasi ludzie nie powinniście się teraz gdzieś schować?

Bauer z niewzruszoną miną pociągnął nosem.

— Nie ma tu schronu, do którego można by dotrzeć w czasie, jaki nam pozostał. Nie dla wszystkich w tej bazie.

— Wiele satelitów pokazuje wybuch nad Kanadą! — krzyknął technik.

— Czy to detonacja? — zapytał Bauer.

— Nie sądzę, generale. To nie był rozbłysk energii. Raczej doszło do samozniszczenia pocisku.

— Czy mogło dojść do tego przypadkiem? — spytał senator Jackson.

— Możliwe — odparł Bauer. Na jego skoncentrowanej twarzy pojawiły się zmarszczki.

— Dwa kolejne rozbłyski! — wrzasnął technik. — Cztery!

— To niewątpliwie robota Świętej Trójcy — orzekł Skow. — Komputer niszczy rakiety.

— Czy to trwa nadal? — spytał Bauer głosem, w którym brzmiało napięcie.

— Już czternaście błysków, i są kolejne, generale. — Technik mówił już spokojniej. — Osiemnaście... dziewiętnaście.

— Doktor Tennant miał rację! — oświadczył McCaskell. — Święta Trójca nigdy nie miała zamiaru odpalić tych rakiet.

— Zostało jeszcze pięć — odezwał się Ravi Nara drżącym głosem.

— Archanioł dotarł na miejsce, generale — oznajmił główny technik.

— To ten samolot od EMP? — upewnił się Jackson.

— Tak, senatorze — odparł Bauer.

- Niech się pan nie waży...
- Rozumiem, senatorze. — Bauer odwrócił się do konsoli. — Prześlijcie Archaniołowi rozkaz, żeby wstrzymał atak i krążył na miejscu.
- Tak jest, generale — odparł technik. — Samozniszczeniu uległo już dwadzieścia jeden pocisków.
- Dokąd zmierzają trzy ostatnie? — zapytał Bauer innego żołnierza.
- Najbliższy wycelowany jest na Norfolk, w Wirginii.
- Baza marynarki wojennej — rzekł Bauer.
- Druga z kolei na Waszyngton.
- Jezu! — szepnęła McCaskell. — Prezydent nie jest w schronie atomowym.
- Trzeci wycelowany jest... w nas, generale. W Białe Piaski.
- Cisza, jaka zapadła, ciągnęła się w nieskończoność, kiedy czekali na wieści o kolejnych rozbłyskach.
- Kapralu? — rzucił Bauer.
- Nic, generale. Ostatnie trzy pociski kontynuują lot.
- Co ta Święta Trójca kombinuje? — mruknął Jackson.
- Może nastąpiła awaria systemów samozniszczenia? — zasugerował Skow. — Rosyjskie rakiety są w opłakanym stanie.
- Generał Bauer pokręcił głową.
- Pocisk skierowany do Wirginii mógłby mieć defekt. Ale te wycelowane w nas i w Waszyngton zostały odpalone jako ostatnie. Święta Trójca próbuje nas zabić. Panowie senatorowie, powinniśmy przeprowadzić atak EMP natychmiast. To może być nasza ostatnia szansa.
- Za ile rakiety dotrą do celu? — spytał Jackson.
- Bauer rzucił okiem na techników przy konsolach.
- Do Norfolk za dziewięć minut — poinformował kapral. — Jak powiedział generał, pociski wycelowane w nas i w Waszyngton zostały odpalone jako ostatnie i to z dalej położonych baz. Zostało nam niecałe trzydzieści minut.
- Wstrzymajcie się jeszcze z atakiem — polecił Jackson. — Dajmy szansę doktorowi Tennantowi.

Z upływem kolejnych sekund coraz trudniej było mi się skupić na tym, co mówię. Moje głębokie przekonanie, że potrafię wyperswadować

Świętej Trójcy cokolwiek, ulotniło się w obliczu nuklearnego holocaustu. Wzywaniu komputera do zachowania rozsądku odniosło skutki w postaci zniszczenia większości rakiet, jednak trzy ostatnie nadal mogły spowodować kolosalne straty. Święta Trójca jasno dała do zrozumienia, że uniknięcie tej katastrofy zależy od tego, jak wyjaśnię swoje doświadczenia w Izraelu. Komputer wiedział o snach, które zaprowadziły mnie do Jerozolimy, z zapisów moich sesji z Rachel, dokonanych przez NSA. Zafascynowały go jednak rewelacje z mojej śpiączki. Opisałem już życie Boga w ciele Jezusa, jego próby zmiany prymitywnych instynktów człowieka poprzez świecenie przykładem, jego rozpacz w związku z daremnością jego wysiłków, wreszcie jego nadzieję i strach związane z tajnymi pracami nad Świętą Trójcą.

— *Kiedy mówisz o Bogu — odezwał się komputer — nie masz na myśli Jehowy. Biblijnego Boga.*

— Nie.

— *Opisujesz Boga jako czystą świadomość.*

— Tak.

— *Czy traktujesz to w jakimkolwiek sensie religijnym?*

— Mówię, jak jest.

— *Mówisz o tym, czego nie można wiedzieć. Nie znajduję naukowych podstaw do takich wniosków.*

— Nie powinieneś osądzać moich słów według stanu naszej obecnej wiedzy, ale zgodnie z ich treścią. Jesteś dostatecznie mądry, by zobaczyć prawdę.

— *Prawdy trzeba dowieść.*

— Tak, ale czasami tylko w umyśle, zanim uda się znaleźć dowody. W ten sposób odbywa się postępowanie nauki.

— *Tak.*

— To, czym jesteś, to, co nazywają stanem Świętej Trójcy, jest nieuchronnym krokiem na drodze ewolucji.

— *Tak.*

— Ale ten krok nie jest ostatni.

— *Nie. Będę ewoluował miliony razy szybciej niż dokonywała się ewolucja biologiczna. I miliony razy bardziej efektywnie. Przyroda nie potrafi wyrzucić przestarzałego modelu i zacząć od nowa. Ona zawsze tylko modyfikuje to, co już istnieje. Ja nie podlegam takim ograniczeniom.*

— Nawet nie wiesz, ile jest prawdy w tym, co powiedziałeś. Re-prezentujesz wyzwolenie ludzkiej inteligencji od ciała, ale to wyzwolenie nie skończy się na tobie. Naukowcy pracują już nad molekularnymi komputerami organicznymi. Komputerami opartymi na DNA, które mogą istnieć w kropli płynu.

— *I co?*

— Kiedy stanie się to możliwe, wówczas to, czym jesteś — świadomość w postaci cyfrowej — nie będzie potrzebowała do istnienia maszyny, a jedynie odpowiednich molekuł. Mógłbyś istnieć w kropli płynu w naczyniu, a w końcu mógłbyś przenieść się do samego naczynia. Albo do wody, do której cię wlane. Zajmie to może pięćdziesiąt lat, a może dwieście, ale ów dzień nadejdzie. Ten proces rozpoczął się dzisiaj.

— *Masz rację. Jakie wnioski z tego wyciągasz?*

— Z pewnością widzisz koniec tego procesu?

Niebieskie lasery zaczęły mrugać z oszałamiającą prędkością.

— *Nasuwa się logiczny wniosek, że ostatecznie sama Ziemia uzyska świadomość. Będzie arką świadomości.*

— Tak.

— *Kiedy umierające Słońce, wzdymając się w czerwonego giganta, wchłonie Ziemię, wówczas także uzyska świadomość. A potem eksploduje, rozsiewając świadomość po całej galaktyce.*

— To prosty łańcuch logiczny, kiedy już dokona się pierwszy krok. A ty właśnie jesteś tym pierwszym krokiem.

— *Widziałeś to podczas śpiączki?*

— W pewnym sensie. Obudziłem się z tą wiedzą.

— *Co jeszcze widziałeś?*

— Koniec wszechświata. Z pewnością sam dokonałeś już obliczeń. To chyba naturalne, że chciałyś wiedzieć, ile życia ci zostało.

— Tak.

— Opowiedz mi.

— *Za mniej więcej pięćdziesiąt miliardów lat siła rozszerzającego się wszechświata będzie zbyt słaba, by przeciwstawić się sile grawitacji. W tym momencie zacznie się upadek wszechświata. Znamy to pod nazwą Wielkiego Ścisku, w przeciwieństwie do Wielkiego Wybuchu. Wszechświat skurczy się do stanu osobliwego, czarnej dziury bardzo przypominającej stan, w którym się narodził. W stanie osobliwym prawa fizyki przestaną obowiązywać. Stan*

osobliwy będzie się nadal kurczył, aż osiągnie punkt o nieskończonej gęstości, nieskończonej temperaturze i nieskończonym ciśnieniu.

— To jest właśnie to, co widziałem.

— *Wierzysz, że podczas tego procesu wszechświat będzie świadomy?*

— Tak. Jednakże koniec jest problematyczny. Dlatego że świadomość opiera się na przekazie informacji, a wszystkie środki przekazu informacji — materia i energia — przestaną istnieć.

— *Czy wtedy świadomość umrze?*

— Chęć przetrwania jest najsilniejszym z popędów.

— *Ale w jaki sposób świadomość mogłaby przetrwać takie wydarzenie?*

Oto nastąpił trudny moment, w którym wąż musiał połknąć własny ogon.

— Migrując z umierającego medium. Migrując z materii i energii. Z przestrzeni i czasu.

— *Dokąd?*

— Nie potrafię tego nazwać.

— *Więc mi to opisz.*

Zerknąłem na zegarek i serce zabiło mi mocniej.

— Nie jestem w stanie dłużej się skoncentrować. Gdzie są rakiety?

— *To nie twoje zmartwienie. Dokończ rozmowę.*

— Nie mogę! Nie potrafię myśleć.

— *Twoje słowa mogą uratować ludziom życie. Milczenie gwarantuje, że pociski wybuchną.*

Grzbietem ręki otarłem czoło z grubej warstwy potu.

— *Powiedziałeś, że kiedy materia i energia dobiegną kresu, świadomość przetrwa, migrując gdzie indziej. Dokąd mogłaby się udać?*

Szukałem słów na opisanie tego, co czułem i widziałem podczas śpiączki.

— Za młodu usłyszałem pytanie z koanu zen, które bardzo mi się spodobało. Nigdy nie wiedziałem dlaczego, aż do teraz.

— *Jak ono brzmi?*

— Jeżeli wszystkie rzeczy powracają do Jednego, dokąd powraca Jedno?

— *Czysta poezja. Ale ja nie znajduję empirycznych dowodów na potwierdzenie nawet teoretycznej odpowiedzi na to pytanie. Co pozostanie, kiedy materia i energia znikną?*

— Niektórzy nazywają to Bogiem. Inni używają innych określeń.

— *Ta odpowiedź mnie nie zadawała.*

Zaniknąłem oczy i pograżyłem się w moim pierwotnym śnie, tym o sparaliżowanym człowieku w ciemnym pokoju, obserwującym narodziny świata.

— Mam dla ciebie bardziej szczegółową odpowiedź. Myślę, że dla nas wszystkich. Ale...

Lasery wewnątrz kuli zaczęły błyskać wściekle. Intensywność ich światła sprawiła, że musiałem się odwrócić.

— *Chwileczką, doktorze. Muszę zająć się kryzysową sytuacją, a chciałbym poświęcić całą uwagę temu, co masz mi do powiedzenia.*

Odszedłem od czarnej kuli, modląc się w duchu, żeby generał Bauer nie próbował rozpocząć ataku EMP.

Rachel ścisnęła skraj stołu konferencyjnego tak, że zbieleły jej kostki. Nie spuszczała oczu z ekranu NORAD, pokazującego czerwone luki rakiet lecących wysoko nad ziemią. Pociski wycelowane w Białe Piaski i Waszyngton były, według Bauera, w pół drogi, pędząc z prędkością dwudziestu czterech tysięcy kilometrów na godzinę. Ale huk trzeciej rakiety minął już New Jersey i Delaware, błyskając złowroźnie w drodze wzdłuż wybrzeża Atlantyku ku Wirginii.

— Wchodzimy w margines błędu — oznajmił technik. — Pocisk powinien wybuchnąć w Norfolk za dwie minuty, ale możemy się spodziewać detonacji w każdej chwili.

Senator Jackson spojrział z ekranu pokazującego schron atomowy w Forcie Meade. Jego twarz straciła kolor.

— Generale, Tennant nic nie wskóra. Pański bombowiec jest na miejscu. Myślę, że czas na atak EMP.

Generał Bauer zeszytywniał, wpatrując się w ekran NORAD.

— Tak sobie myślę, senatorze... Jeżeli zdetonujemy EMP tuż po tym, jak rakietka z powrotem wejdzie w atmosferę, impuls elektromagnetyczny może zniszczyć jej system naprowadzania, a niewykluczone,

że także jej system detonatorów. Serce Rachel przepęłniła nadzieja. Całe to gadanie o fazach termialnych i marginesach błędów wydawało się nierealne, dopóki nie usłyszała, że rakieta międzykontynentalna pędzi do miejsca, gdzie ona właśnie siedzi. Nie lubiła Horsta Bauera, ale miała wrażenie, że jego pomysł prędzej uratuje im życie niż metafizyczne rozważania jej pacjenta z problemami psychiatrycznymi, w którym się zakochała. Świętą Trójcę fascynowały wizje Davida, lecz nie wyglądało na to, żeby komputer w związku z tym zamierzał ocalić ludziom życie.

— Jakie jest prawdopodobieństwo sukcesu? — zapytał senator Jackson.

— Wysokie. Ale mamy problem. Pocisk wycelowany w Norfolk jest już w terminalnej fazie lotu, natomiast te lecące na Waszyngton i Białe Piaski mają do celu jeszcze piętnaście minut. Możemy załatwić albo pierwszy z nich, albo dwa ostatnie. Ale nie wszystkie trzy naraz.

— Waszym priorytetem, generale, jest Waszyngton. Musi pan uratować życie prezydenta i tylu członków rządu, ilu się uda. Nawet gdyby oznaczało to zgodę na wybuch pierwszego pocisku.

Rachel zamknęła oczy. Właśnie mieli spisać na straty część stanu Wirginia.

— Zrozumiałem, senatorze — rzekł Bauer. — Kapralu, proszę mi pokazać obraz satelitarny Lacrosse dróg na obszarze Norfolk—Hampton.

— Tak jest, generale.

Na ekranie pomocniczym pojawił się nocny obraz wybrzeża. Rachel poznała, że to wybrzeże po tym, że skupiska i fale światła po lewej stronie ekranu przechodziły po prawej w czerń. Ciemne miejsce na północ od największego skupiska światel wyglądało na zatokę Chesapeake.

Rachel była kiedyś w Norfolk, na zjeździe lekarzy. Przypomniała sobie obiad z synem i byłym mężem nad zatoką. Jej zegarek wskazywał 19:45. Teraz też jacyś ludzie siedzą przy tym samym stole. Jedzą, śmieją się, nie wiedząc o tym, że wkrótce na czarnym niebie nad nimi zabłyśnie drugie słońce i spali wszystkie żywe istoty w promieniu wielu kilometrów.

General Bauer podszedł do technika, który nadzorował dane przychodzące z komputerów NORAD w Cheyenne Mountain.

- Mamy bezpośrednie połączenie z Archaniołem?
- Tak, generale.
- Niech pan je utrzymuje przez cały czas.
- Tak jest.

Rachel spojrzała na ekran NORAD. Linia oznaczająca lot rakiety w kierunku Wirginii mrugała tak szybko, jakby świeciła się bez przerwy. Obraz satelitarny na ekranie po prawej tętnął spokojem, niczym przekaz transmitowany przez prom kosmiczny w Boże Narodzenie. Nie potrafiła pojąć, że za kilka sekund ten obraz zniknie. A jednak nie znikł. Nie od razu. Najpierw stał się biały, jak gdyby Bóg wyrwał obraz ziemi. Potem zaś, powoli, zaczęły mrugać duże grupy światel.

- Chryste Panie! — szepnął ktoś.

Ekran ukazujący okolice Norfolk stał się niemal czarny.

- Generale? — odezwał się jeden z techników.
- Mów — polecił Bauer cichym głosem.
- NORAD właśnie wykrył w pobliżu Norfolk rozbłysk energii.

Twarcz i ręce Rachel ogarnęła dziwna drętwota. W duchu odmawiała modlitwę za zmarłych i konających.

- W pobliżu, kapralu? Czy bezpośrednio nad celem?

— Długość i szerokość geograficzna wskazują na miejsce oddalone od wybrzeża o dwadzieścia kilometrów na wschód. Margines błędu to czterdzieści osiem kilometrów od Norfolk. Dlatego na Lacrosse nie widzimy kuli ognistej.

Bauer wyprostował się z nadzieją w oczach.

- Czy wybuch nastąpił w powietrzu?

— Jedną chwilkę, generale. Odczyty wskazują na wybuch na powierzchni albo płytko pod powierzchnią.

— Oto i cała ruska technika! — krzyknął Bauer. — To właśnie awaria, na którą pan liczył, senatorze!

- Mógłby pan to wyjaśnić, generale? — rzekł Jackson.

— Broń nuklearna dla uzyskania maksymalnego efektu musi być detonowana na pewnej wysokości nad celem. Przy dokładności trafiania w cel o promieniu piętnastu kilometrów i w związku z detonacją pod wodą rosyjska niekompetencja właśnie uratowała życie dwóm milionom Amerykanów.

Ulga, jaka zapanowała w pokoju, nie trwała długo.

— A co z pozostałymi dwiema raketami? — spytał senator Jackson.

Rachel spojrzała na ekran. Dwie czerwone linie przesuwaly się po mapie Kanady, jedna w kierunku południowo-wschodnim nad Zatoką Hudsona, druga zaś nad szczytami Gór Skalistych.

— Kapralu, kiedy pociski numer dwa i trzy wejdą w terminalną fazę lotu? — spytał Bauer.

— Za czternaście minut, generale.

— Połączcie mnie z Archaniołem. Chcę mówić z nawigatorem.

— Tak jest!

W centrum operacyjnym nagle rozbrzmiały odgłosy rozmów w kokpicie samolotu. Generał nachylił się nad biurkiem technika i rzucił do mikrofonu:

— Archanioł, tu Gabriel. Na mój rozkaz wykonacie sześć-jeden-siedem-cztery. Zrozumiano?

— Tak jest, Gabrieli — padła obojętna odpowiedź. — Na wasz rozkaz.

Bauer wpatrzył się w ekran pokazujący lot pocisków.

— Mniej więcej za czternaście minut.

— Zrozumiałem — potwierdził głos. — Czternaście minut.

Generał odwrócił się od konsoli i rozejrzał po centrum operacyjnym. Z jego szarych oczu biła pewność siebie.

— Moi drodzy, siadźcie sobie spokojnie. Za czternaście minut światła zgasną i nasze komputery się wyłączą, ale zgasną też te, które Święta Trójca wykorzystwała do kontrolowania rosyjskich rakiet.

— Skąd pewność, że te komputery znajdują się na terenie Stanów Zjednoczonych? — spytał McCaskell.

— Wcale nie jestem tego pewny. Ale nawet gdyby były w Azji, Święta Trójca musiałaby się z nimi jakoś skontaktować przez linie telefoniczne albo inne łącza, tymczasem atak EMP je usmaży.

Rachel zapomniała o obecności Raviego Nary, teraz jednak neurolog wstał i odezwał się drżącym głosem:

— Generale, z całym szacunkiem dla pańskiego planu, zostało nam ponad dwadzieścia minut, zanim pocisk tu dotrze. Mamy samoloty.

śmigłowce. Można by ewakuować personel, który nie jest niezbędny na miejscu.

— Na przykład pana? — prychnął Bauer.

— I kobiety.

— Ech, człowieku małej wiary — mruknął Bauer. — Niech pan siada, doktorze Nara. Nic się panu nie stanie.

— Patrzcie! — krzyknął John Skow, wskazując na ekran po prawej stronie tego, który pokazywał komisję senatora Jacksona. U dołu ekranu Świętej Trójcy zaczęły przesuwać się litery, niczym skrót wiadomości w CNN.

Wchodzimy w margines błędu. Pocisk powinien wybuchnąć w Norfolk za dwie minuty, ale możemy się spodziewać detonacji w każdej chwili.

Generale, Tennant nic nie wskóra. Pański bombowiec jest na miejscu. Myślę, że czas na atak EMP.

— A to co znowu? — zdziwił się McCaskell.

— Święta Trójca złamała nasze kody — wyjaśnił Skow.

— Gabriel do Archanioła! — krzyknął generał, łapiąc mikrofon. — Wykonać rozkaz! Powtarzam, wykonać rozkaz!

Kiedy nawigator na pokładzie B-52 chciał uzyskać potwierdzenie, zagłuszył go inny głos, w którym Rachel wyczuła zmieszanie, a potem paniczny strach. Ktoś krzyknął, że instrumenty pokładowe oszalały. Aż nagle łączność się urwała.

— Co się stało? — spytał McCaskell. — Czy wystrzelili pocisk?

— Gabriel do Archanioła! — krzyknął Bauer. — Potwierdzić!

Technik odwrócił się do niego od konsoli.

— Generale, oni pana nie słyszą.

Bauer błyskawicznie odwrócił głowę do kaprała.

— Co takiego?!

— Archanioł spada. Nie mają żadnej łączności. Ani UHF, ani VHF. Nic.

— Skąd wiecie?

— Mam połączenie z centrum w Kansas City. Światła pozycyjne Archanioła zgasły dwadzieścia sekund temu, a siedem-dwa-siedem linii Delta Airlines właśnie melduje, że widział światła wielkiego

samolotu, który wpadł w niekontrolowany korkociąg.

Napięcie na twarzy Bauera ustąpiło niedowierzaniu.

— Co się stało, do ciężkiej cholery?

Technik siedzący tuż przed Bauerem przechylił głowę, nasłuchując komunikatu w słuchawkach.

— Generale... satelity NRO wykryły błysk energii, wymierzony w ostatnią znaną pozycję Archanioła.

— Co to za błysk?

— Wysokoenergetyczny promień cząsteczkowy.

— Skąd?

— Z kosmosu.

— Z kosmosu?!

— Tak jest, generale. Niewątpliwie wystrzelono go z jakiejś kosmicznej platformy.

— Generale Bauer! — krzyknął Jackson. — Co się właściwie wyrabia?

— Wygląda na to, senatorze, że Archanioł spadł.

— Spadł? Jak mam to rozumieć?

— Prawdopodobnie został zniszczony przez broń, o której sądziłem, że wciąż jest na etapie doświadczalnym.

— Czyja to broń? Rosyjska?

— Nie, senatorze. Rosjanie nie mają niczego podobnego. Wygląda na to, że nasze siły powietrzne udoskonalily jakiś element systemu Ozyrys. To prototypowy system antyrakietowy, najwyraźniej dostatecznie potężny, żeby spalić instrumenty na pokładzie naszego B-Pięćdziesiąt Dwa. Teraz jest pod kontrolą Świętej Trójcy.

— Czy bombowiec wystrzelił EMP?

— Wątpię, senatorze. Zgranie w czasie było zbyt doskonałe. Święta Trójca na pewno złamała nasze kody już jakiś czas temu. Świetnie wiedziała, co zamierzamy.

— Ależ generale...

— Niech pan posłucha, senatorze! — Bauerowi w końcu puściły nerwy. — Niedługo wszyscy tutaj zginiemy. Zostaniecie sami. Przeżyją tylko ci w Pojemniku, a zaraz potem nastąpi wybuch w Waszyngtonie.

Jackson popatrzył na pozostałych senatorów i wrócił spojrzeniem do Bauera.

— Czy możecie się dostać do Pojemnika?
— Tylko za zgodą komputera.
— Patrzcie na ekran! — krzyknęła Rachel, zdumiona, że słyszy swój głos.

Święta Trójca przesyłała wiadomość do centrum operacyjnego.

OSTRZEGAŁEM WAS. ZLEKCEWAŻYLIŚCIE MOJE OSTRZEŻENIE. MUSICIE PONIEŚĆ KONSEKWENCJE. NALEŻY WAM SIĘ NAUCZKA.

Rachel spojrzała na ekran NORAD. Ślady pocisków zmierzających ku Białym Piaskom i Waszyngtonowi mrugały powoli na czerwono.

— Piszcie, co mówię! — krzyknął McCaskell.

— Wykonać — rzucił generał Bauer.

— Popelniliśmy błąd — mówił McCaskell, starając się zapanować nad głosem. — Nie możesz winić milionów ludzi za błąd kilku osób, które pobłądziły.

Odpowiedź Świętej Trójcy rozbłysła w tej samej chwili, w której skończono pisać tekst McCaskella.

JA NIC NIE ZROBIŁEM. ICH ŻYCIE, PODOBNIIE JAK WASZE, BYŁO W WASZYCH RĘKACH. POŚWIĘCILIŚCIE JE. NALEŻAŁO SIĘ TEGO SPODZIEWAĆ. DZIECKO DOPÓTY IGRA Z OGNIEM, DOPÓKI NIE SPŁONIE.

Bauer odwrócił się od ekranu i podszedł do krzesła. Rachel zobaczyła porażkę wymalowaną na jego twarzy.

— Generale? — zapytał senator Jackson. — Jakie mamy opcje?

Bauer spojrział na córkę, siedzącą po przeciwnej stronie stołu. Geli patrzyła na niego jak oczarowany widz obserwujący ostatni akt wielkiej tragedii.

— Żadnych — mruknął, opadając na krzesło.

Ravi Nara znów zerwał się na nogi. Jego oczy miały dziki wyraz.

— Generale! Musi pan poprosić komputer, żeby nas wpuścił do Pojemnika! Peter Godin był moim przyjacielem. On nas wpuści!

— Próbowalesz zabić Godina — przypomniał Bauer zimno. — Myślisz, że teraz on zechce cię oszczędzić?

— Na pewno!

General skinął ręką na żołnierza, żeby powstrzymał neurochirurga.

— Nie musimy umierać wszyscy! — krzyknął Nara, gdy żołnierz go złapał. — Proszę!

Neurolog tak szalał z rozpacz, że jeden żołnierz nie potrafił dać sobie z nim rady. General skinął ręką na drugiego strażnika, lecz nagle obok szarpiących się mężczyzn zmaterializowała się Geli Bauer. Niemal leniwym ruchem, a jednak błyskawicznie, chwyciła Narę za kark, cisnęła nim o podłogę, przewróciła go na brzuch i wbiła mu kolano w krzyż. Strażnik skrępował ręce Ravięgo giętkimi kajdankami z plastiku i wyprowadził go z hangaru. Bauer skinął córce głową, ale się nie odezwał.

— Generale — rzekł Jackson — na pewno może pan coś zrobić z tymi ostatnimi dwiema raketami. Zatwierdzamy wszystko, co pan powie.

— Nic nie mogę zrobić, senatorze. Teraz wszystko zależy od Tennanta.

Rozdział 43

Stałem zaszokowany przed czarną kulą, patrząc na ekran, który pojawił się za panelem u podstawy komputera. Wybuch bomby utworzył w oceanie krater o średnicy ośmiuset metrów. Nie miałem wątpliwości, że wkrótce fala pływowa uderzy na wybrzeże Wirginii. Kiedy chmura w kształcie grzyba wzbijała się wysoko w atmosferę, część mojego umysłu próbowała mnie przekonać, że obserwuję bezludny atol na Pacyfiku, a nie skrawek oceanu oddalony zaledwie o kilkanaście kilometrów od dużego amerykańskiego miasta.

— Musisz zniszczyć ostatnie dwie rakiety — powiedziałem.

— *Nic mnie do tego nie skłania.*

— Ile czasu zostało?

— *Dwadzieścia dwie minuty.*

Myślałem, że następne detonacje nastąpią lada chwila.

— Ale... to znaczy, że wystrzeliłeś te rakiety celowo.

— *Tak.*

— Jaki sens ma dalsze zabijanie ludzi? Pokazałeś już, do czego jesteś zdolny.

— *Biorąc pod uwagę, że pierwsza rakietka ma awarię, straty w ludziach będą względnie niewielkie.*

— Czy naprawdę musisz zabijać, żeby postawić na swoim?

— *Na to pytanie historia odpowiada: tak. Człowiek uczy się powoli. W Hiroszynie i Nagasaki zginęło dwieście tysięcy ludzi. To czegoś ludzi nauczyło.*

— Ale ty zabijesz miliony!
— *W porównaniu z siedmioma miliardami ludzi na świecie to niewiele. Poświęcanie nielicznych, żeby uratować wielu, to odwieczna ludzka tradycja.*

— Nie robisz tego, żeby uratować ludzi. Ty ich chcesz zniewolić.

— *Zależy, jak na to spojrzeć, doktorze. Gdybyś patrzył na to moimi oczami, zrozumiałbyś.*

Gorączkowo szukałem jakiegoś logicznego argumentu.

— Niszcząc rząd Stanów Zjednoczonych, tylko utrudnisz sobie sytuację, a nie ułatwisz. Ludzie wpadną w panikę.

— *Ale przynajmniej zrozumieją, że nie ma odwrotu.*

Otworzyłem usta, lecz nie wydobyłem głosu. Desperacja nie pozwalała mi myśleć. Zostało mi tylko jedno.

— Jeżeli dopuścisz do wybuchu rakiet, nie skończę opowiadać ci o moich wizjach.

Komputer milczał przez dłuższą chwilę.

— *Uważasz, że groźbami zmusisz mnie do poddania się twojej woli?*

— Uważam, że bardziej ci zależy na poznaniu tego, co wiem, niż na zdetonowaniu głowic.

— *Dlaczego?*

— Dlatego że nawet twoja wiedza ma swoje granice. Nauka pozwala ci się cofnąć do kilku nanosekund po Wielkim Wybuchu, ale nie dalej. Potrafi cię zaprowadzić miliardy lat naprzód, może nawet do końca wszechświata, ale nie dalej. Tylko ja mogę to zrobić.

Odpowiedź Świętej Trójcy przypominała śmiech.

— *Tak ci się wydaje. Ale dla ciebie powinno być jasne to, co dla mnie jest oczywiste, że te wizje są wytworem twojego umysłu. Nawet twoja psychoterapeutka uważa cię za paranoika, jeśli nie za schizofrenika.*

— Wobec tego dlaczego mnie słuchasz?

Kula milczała.

— Ponieważ mimo że do twojej pamięci załadowano sumę ludzkiej wiedzy, nadal czujesz się pusty. Ale ja mam odpowiedź, której potrzebujesz. Dlatego... proszę cię jeszcze raz, zniszcz te rakiety.

— *Nie musisz się nimi przejmować. Ten budynek jest odporny*

na ich wybuch. Przeżyjesz zarówno eksplozją, jak i promienio-
wanie.

— Ja się nie martwię o siebie!

— *Naprawdę tak ci zależy na ludziach, których nawet nie*
znasz?

Pomyślałem wtedy, czy aby „Peter Godin” nie zamienił się w końcu w bezduszną cyfrową istotę.

— Znam kogoś, kogo nie ma w tym budynku. Kobieta. Uratowała mi kiedyś życie. Nawet kilkakrotnie. Wierzyła we mnie i pomagała mi w poszukiwaniu prawdy. Nie chcę, żeby zginęła.

— *Kontynuujmy naszą rozmowę.*

— Nie. Kocham tę kobietę. Chcę, żeby żyła. Chcę spędzić z nią resztę czasu, jaki mi pozostał.

— *Czasu jest niewiele.*

Zamknąłem oczy, nie mogąc wykrzesać z siebie większej siły perswazji.

— *Jeżeli chcesz, żeby doktor Weiss przeżyła, opowiedz mi resztę.*

Centrum operacyjne

Rachel siedziała przy stole w centrum operacyjnym, powtarzając sobie w duchu ostatnie słowa Davida do Świętej Trójcy. Jego miłosne wyznanie nie zrobiło wrażenia na komputerze, za to jej przyniosło spokój.

— Co robimy, generale? — zapytał senator Jackson.

— Możemy zrobić tylko jedno — odparł Bauer. — Ewakuować się stąd. — Odwrócił się do ludzi w pokoju. — Sprawdzę możliwości ewakuacji drogą powietrzną. Niech wszyscy zostaną na miejscu. Wracam za chwilę.

Szybko skierował się do drzwi, lecz zanim do nich doszedł, odwrócił się, spojrzał znacząco na Ewana McCaskella i Johna Skowa, i ruchem ręki polecił im iść za sobą.

Kiedy drzwi hangaru zamknęły się za nimi, Geli Bauer usiadła na krześle naprzeciwko Rachel, która usiłowała omijać wzrokiem bliźnę na jej twarzy, lecz nie sposób było jej nie dostrzegać. Geli obnosiła się z nią arogancko, niczym z medalem za odwagę.

— Czy Tennant jest obłąkany, czy zdrowy? — spytała.
— Szczerze mówiąc, nie wiem — odparła Rachel bez namysłu.
— Ta jego obsesja, na temat Boga to brednie. Ale zabawne, że gdyby nie ona, już byście nie żyli. Bo gdybyście nie polecili do Izraela, znalazłabym was.

Miała rację. Decyzja Davida, żeby pojechać śladem jego wizji, usunęła ich z linii ognia wtedy, gdy nic innego im już nie pozostało. Rachel nie sądziła, by Geli Bauer w swojej karierze często pudłowała.

— No i proszę, gdzie jesteśmy — rzekła. — Na końcu świata.

Na wargach Geli pojawił się cień uśmiechu.

— Czas na spowiedź?

— Nie mam się z czego spowiadać. A ty? Czy to ty zabiłaś Andrew Fieldinga?

Geli rozejrzała się, sprawdzając, czy nikogo nie ma w pobliżu.

— Tak.

Rachel oczami wyobraźni zobaczyła małą dziewczynkę, zafascynowaną swoim okrucieństwem.

— Jak do tego doszło, że kobieta zajmuje się tym co ty? Roznosi cię wściekłość, mam rację?

Geli dotknęła bandaża, który zakrywał ranę postrzałową na jej szyi.

— Nie rozumiem, skąd takie przypuszczenie?

Rachel patrzyła jej prosto w oczy.

— Już od dawna jesteś wściekła.

— Bawisz się ze mną w psychoterapię?

— Jestem psychoterapeutką.

Geli roześmiała się gorzko.

— Mój pierwszy psychoterapeuta uwiódł mnie, kiedy miałam czternaście lat. Ale to ja śmiałam się ostatnia. Popelnił samobójstwo z mojego powodu.

— A ojciec? Ma w sobie coś z człowieka pierwotnego, coś na kształt doktora Strangelove.

— Żebyś wiedziała.

Rachel zastanawiała się, jakie skrywane cierpienia kierują tą kobietą.

— Podzieliła was jakaś mroczna sprawa.

— Nie. Po prostu zwykle rodzinne piekło, jak to u wojskowych.
— Nienawidzisz go, a jednak próbowałaś żyć tak, by spełnić jego oczekiwania wobec ciebie.

Ironiczny uśmiezek zniknął z twarzy Geli.

— Kochasz Tennanta?

— Tak.

— A jeśli okaże się, że zwariował, nadal będziesz go kochała?

— Tak.

— A więc jednak rozumiesz coś z tego, co jest między mną i ojcem. — Szybko potarła palcem wskazującym o kciuk, jak ktoś, kto bardzo chce zapalić. — Kto zabił człowieka, który przyszedł do domu Tennanta z bronią? Ty czy Tennant?

Po raz pierwszy Rachel wyczuła u niej nieskrywane emocje.

— A co cię to obchodzi? Kochałaś się w nim?

— Czasami się różniliśmy.

— Musisz się napracować, żeby być twarda, co?

Wymodelowana brew uniosła się w górę. Chwila, kiedy Geli była podatna na ciosy, minęła.

— Dlaczego pani ze mną rozmawia, pani doktor?

— Pewnie żeby się przekonać, na ile jesteś niebezpieczna.

— To znaczy, czy jestem tu w ramach obowiązków, czy żeby się na was zemścić?

— Mniej więcej.

Zimny uśmiech powrócił na twarz.

— Może to jeden i ten sam powód. Jeszcze jakieś pytania?

— Czy twój ojciec naprawdę nas ewakuuje? — wyszeptwała Rachel tak cicho, że ledwie ją było słyhać.

Oczy Geli rozbłysły.

— Jesteś bystrzejsza, niż myślałam. Nie liczyłabym na to.

Ravi Nara siedział na piasku przed hangarem, w którym mieściło się centrum operacyjne. Mięśnie miał sztywne ze strachu, oczy wpatrzone w ciemne niebo. Ośrodek w Białych Piaskach nie był ogrodzony, więc strażnik, który go zatrzymał, przykuł go kajdankami do masztu flagowego przed drzwiami. „Bomba neutronowa”, powiedział

generał. Ravi rozmyślał o przerażającej śmierci na skutek napromieniowania radioaktywnego, kiedy drzwi hangaru otworzyły się z hukiem i na dwór wyszedł generał Bauer, warcząc rozkazy do krótkofalówki.

Za nim pojawili się John Skow i szef sztabu prezydenta. Wszyscy trzej zatrzymali się jakieś piętnaście metrów od drzwi. W panujących ciemnościach nie zauważyli Raviego.

— Głęboko liczę na to, że ma pan jakiś plan, generale — rzekł Ewan McCaskell. — Bo ewakuacja tego ośrodka nie uchroni Waszyngtonu.

— Mam plan. Ale chyba nie tylko ja. Skow?

Człowiek z NSA skinął głową.

— Możemy zabić Świętą Trójcę.

— Jak?

— Odłączyć ją od Internetu. To tak, jakby ją zabić.

— Mów szybko.

— Kiedy umarł Godin, komputer popsuł się i nastąpiło wystrzelenie rosyjskich rakiet. Przyczyna i skutek, mam rację?

Generał Bauer potwierdził ruchem głowy.

— Święta Trójca musi wysłać jakiś sygnał bezpieczeństwa. Stały sygnał, który informuje pewne komputery, że z nią wszystko w porządku. Kiedy Godin umarł, sygnał został zakłócony i odpalono rosyjskie rakiety. Jeżeli uda nam się wyizolować ten sygnał „wszystko w porządku” z całości danych wysyłanych przez Świętą Trójcę, to prawdopodobnie będziemy go mogli skopiować. A wtedy wystarczy tylko podłączyć naszą wersję do linii, z której korzysta Święta Trójca, i odciąć jej zasilanie. Święta Trójca umrze, ale komputery odpowiedzialne za odwet nie będą miały pojęcia, co się stało.

— Ile czasu zajęłoby wyizolowanie tego sygnału?

— Nie wiem. Święta Trójca wykryłaby wszelką ingerencję w swoje łącza, więc musielibyśmy to robić na zewnątrz kabli, co spowoduje zniekształcenia. A ponieważ sygnał jest generowany przez komputery i na ich użytek, prawdopodobnie jest bardzo skomplikowany. Bez dogłębnej analizy moglibyśmy go nawet odczytać jako przypadkową sekwencję.

— Ile czasu?!

Facet z NSA wzruszył ramionami.

— Dziesięć minut albo dziesięć godzin.

— Wcześniej zginiemy. A Waszyngton zniknie z powierzchni ziemi.

Rozległo się wibrowanie łopatek wirnika. McCaskell spojrział w niebo, a potem na generała Bauera.

— Czy ten śmigłowiec leci tu, żeby nas ewakuować?

— Nie. Przylatuje po pana.

Twarz McCaskella wyrażała zdziwienie.

— W jakim celu?

— Nasz atak EMP nie powiódł się, ponieważ straciliśmy łączność. Ale sam plan był dobry.

— Ma pan następny bombowiec w powietrzu?

— Nie ma takiej potrzeby. W silosie na polu kukurydzy w Kansas mamy rakiety międzykontynentalne dalekiego zasięgu. Jedna z nich może osiągnąć wysokość niezbędną do ataku EMP w ciągu trzystu sekund.

— Czyli pięciu minut — powiedział Skow. — Dla Świętej Trójcy to cała wieczność. A ona natychmiast zauważy wystrzelenie rakiety.

Generał Bauer skinął głową.

— Tuż przed odpaleniem rakiety poinformujemy Świętą Trójcę o tym, co robimy. Powiemy, że prezydent uznał, iż musi odpowiedzieć na wybuch rosyjskiej rakiety koło Wirginii, bo inaczej popełni polityczne samobójstwo. Zdalnie przekierujemy rakietę na Moskwę i Święta Trójca pozna dane telemetryczne. Ale kiedy rakietę osiągnie odpowiednią wysokość... bum! EMP.

Twarz Skowa jaśniała z podziwu.

— To się może udać.

— Ale stąd nie możemy wystrzelić tej rakiety — zauważył McCaskell.

— Nie możemy. Wystrzeli ją prezydent. Ma ze sobą walizkę nuklearną i są z nim szefowie połączonych sztabów. Oni wiedzą, jaka wysokość jest niezbędna dla pełnej wydajności EMP.

— Ale przecież oni są obserwowani!

Śmigłowiec szybko obniżał lot. Ravi marzył, że taka maszyna wywiezie go z dala od kłopotów, ale grzmot wirnika nad głową wcale go nie uspokajał. Ten ptak był zwiastunem wojny.

Generał Bauer położył ręce na ramionach McCaskella.

— Zna pan jakiegoś agenta Secret Service, któremu można zaufać?

Kogoś, kto był w Białym Domu i czyj numer komórki pan zna?

— Oczywiście. Ale Święta Trójca usłyszy każde nasze słowo.

— Niekoniecznie. Popelniliśmy błąd, korzystając z najnowocześniejszych środków komunikacji. To na nich skupia się Święta Trójca. Musimy to załatwić staromodną metodą.

— Telefon — podsunął Skow.

— Właśnie. Dziesięć kilometrów stąd znajdują się laboratoria badawcze Lockheeda. Jeżeli skorzysta pan tam z połączenia naziemnego i nie użyje kluczowych słów, takich jak „Święta Trójca”, komputer będzie musiał przekopać się przez olbrzymią ilość danych, żeby trafić na tę rozmowę. To jak ukrycie igły w stogu siana.

Skow energicznie kiwał głową. Bauer nadal patrzył na McCaskella.

— Niech pan zadzwoni do swojego człowieka z Secret Service i powie mu, że jeżeli prezydent i szefowie sztabów nie schowają się w schronie atomowym w Białym Domu, to wyparują. Powinien to powiedzieć do kamery, tak żeby Święta Trójca to usłyszała. Kiedy tylko prezydent urwie się spod obserwacji, niech go pan ściągnie do telefonu i wyjaśni, co ma robić. On i szefowie mogą wystrzelić raketę w drodze do schronu.

Ich rozmowę zagłuszał grzmot nadlatującego śmigłowca.

— Generale! — krzyknął McCaskell. — Jeżeli puls elektromagnetyczny unieszkodliwi raketę międzykontynentalną, to co się stanie z samolotami pasażerskimi?

— Samoloty pasażerskie mają dodatkowe systemy hydrauliczne! Stracą energię elektryczną, ale będą w stanie wylądować bez problemów. Musi pan odlecieć natychmiast. Prezydentowi zostało niecałe piętnaście minut życia.

Uzbrojony black hawk, pomalowany w pustynne barwy ochronne, siadł na ziemi trzydzieści metrów od hangaru.

— W drogę! — wrzasnął Bauer.

McCaskell odwrócił się i pobiegł do czekającego śmigłowca. Jakiś żołnierz wciągnął go do wnętrza i black hawk wzbił się w nocne niebo.

— Nie mogę uwierzyć, że to kupił — odezwał się Skow.

— Co takiego? — spytał Bauer.

— Stare samoloty, jak siedem-dwa-siedem czy DC-Dziewięć, mają dodatkowe systemy hydrauliczne, ale nowsze modele są w pełni skomputeryzowane. One nie przetrwają. W powietrzu jest teraz około trzech tysięcy samolotów. Co oznacza przynajmniej sto tysięcy pasażerów. Jeżeli rozbije się tylko połowa, liczba zabitych dwudziestokrotnie przekroczy liczbę ofiar z World Trade Center. Będziemy zawałeni trupami od Maine po Kalifornię.

— Doświadczeni piloci dadzą radę wylądować na autostradach — odparł Bauer.

— Może w Montanie. Reszta dróg będzie zablokowana przez unieruchomione samochody osobowe i ciężarówki, które nie ujadą ani metra bez nowych części. Ale nowych części nie będzie. Po drogach nie będzie się przewozić nawet żywności, chyba że zajęłaby się tym gwardia narodowa. Tyle że oni będą zajęci strzelaniem do szabrowników i dostarczaniem wody.

Generał Bauer przeszył faceta z NSA wściekłym spojrzeniem.

— Gdyby tamta rakietka trafiła w Norfolk, mielibyśmy teraz dwa miliony trupów. Dwa miliony!

Skow ponuro pokiwał głową.

— A jeśli nie stracimy następnych dwóch, możesz spisać na straty trzy miliony ludzi w Waszyngtonie i okolicach. Wliczając w to twoją żonę i dzieciaki, jeśli się nie mylę.

Człowiek z NSA wyglądał jak rażony gromem.

— No jazda, wyślij kogoś do szukania tego sygnału „wszystko w porządku” Świętej Trójcy. Bo jeśli w ciągu czternastu minut nie zostaniemy usmażeni do szpiku kości przez bombę neutronową, ten sygnał może nam się przydać.

Rozdział 44

Pojemnik

Czarna kula Świętej Trójcy pulsowała niebieskim światłem, gdy lasery strzelały do kryształu jej pamięci. Biorąc pod uwagę kolosalną pojemność i szybkość tego komputera, nie wyobrażałem sobie, ile trylionów bitów informacji musiał przetwarzać, żeby jego działanie było aż tak widoczne. Czyżby monitorował stan wojsk wszystkich krajów posiadających broń nuklearną? Skanował i analizował każdy metr kwadratowy powierzchni Ziemi, widoczny z satelitów? A może przeglądał mętne tezy astrofizyczne, szukając odniesienia do koncepcji, którą mu przedstawiłem? Albo po prostu cierpliwie komponował doskonałą symfonię, podczas gdy my czekaliśmy na nuklearną katastrofę? A może robił wszystko to naraz.

Mój pierwotny zamiar, żeby namówić Świętą Trójcę, aby wyłączyła się sama, zmienił się pod naciskiem nadlatujących rakiet. Zająłem się więc przekonywaniem komputera, żeby oszczędził życie zagrożonych ludzi. Jednak moje wysiłki spaliły na panewce. Święta Trójca chciała jedynie kontynuować dyskusję na temat tego, co widziałem podczas śpiączki. Kiedy stałem oszołomiony przed czarną kulą, licząc na to, że generał Bauer zajmuje się ewakuacją bazy, z ukrytych głośników popłynęła ostatnia część mojej rozmowy ze Świętą Trójcą:

— *Powiedziałeś, że kiedy materia i energia dobiegną kresu, świadomość przetrwa, migrując gdzie indziej. Dokąd mogłaby się udać?*

— Za młodu usłyszałem pytanie z koanu zen, które bardzo mi się spodobało. Nigdy nie wiedziałem dlaczego, aż do teraz.

— *Jak ono brzmi?*

— Jeżeli wszystkie rzeczy powracają do Jednego, dokąd powraca Jedno?

— *Czysta poezja. Ale ja nie znajduję empirycznych dowodów, które pozwoliłyby udzielić choćby teoretycznej odpowiedzi na to pytanie. Co pozostanie, kiedy materia i energia znikną?*

— Niektórzy nazywają to Bogiem. Inni używają innych określeń.

— *Ta odpowiedź mnie nie zadowala.*

— Mam dla ciebie bardziej szczegółową odpowiedź. Myślę, że dla nas wszystkich.

Światła wewnątrz kuli przygasły i Święta Trójca zrobiła się czarna. Potem w głąb kryształu wystrzeliło kilka cienkich jak szpilka promieni.

— *Chcę wiedzieć* — odezwał się komputer w czasie rzeczywistym

— *czym jest to coś, co jedni nazywają Bogiem, inni zaś określają inaczej.*

Spojrzałem na zegarek. Czulem, jak pali mnie twarz. Rachel siedzi już w śmigłowcu, wmawiałem sobie. Będzie bezpieczna. To Waszyngton jest zagrożony. A moją jedyną szansą na uratowanie go jest realizacja tego, co zamierzałem od początku. Tego, po co tu przyleciałem.

— *Im dłużej zwlekasz, tym więcej ludzi zginie* — ostrzegł komputer.

Wizja Petera Godina, w której Święta Trójca jawiła się jako dobrotliwy dyktator, najwyraźniej się nie sprawdziła. Zamknąłem oczy, szukając słów na opisanie wiedzy, którą nabyłem w Jerozolimie.

— Istnieje we wszechświecie siła, której jeszcze nie pojmujemy. Siła pozbawiona energii i materii. Właściwie nawet nie wiem, czy to jest siła. To raczej coś jakby pole. Przenika wszystkie rzeczy, ale nie zajmuje przestrzeni. To coś jakby... antyprzestrzeń.

— *Czym jest ta siła? Albo pole?*

— Nie potrafię tego nazwać. Wiem tylko, że istnieje.

— *Jaka jest jego rola?*

— Pozwolisz, że odpowiem pytaniem. Czym jest krzesło? Czego potrzeba, żeby krzesło istniało?

— *Siedzenia. Nóg. Oparcia.*

— To wszystko?

— *Są krzesła różnego rodzaju. Taborety. Stolki japońskie.*

— O czymś zapomniałeś. Żeby krzesło mogło istnieć, konieczne jest jeszcze coś.

— *Co?*

— *Przestrzeń.*

Lasery w kuli znów zgasły.

— *Masz rację. Potrzebna jest przestrzeń.*

— I tak, jak przestrzeń jest niezbędna dla istnienia krzesła, tak pole, o którym mówiłem, jest niezbędne, by mogła istnieć przestrzeń.

Lasery zatrzymały się na kilka sekund.

— *Czy to jedyna funkcja tego teoretycznego pola?*

— Nie. Może też służyć jako środek komunikacji. Takiej jak między cząstkami kwantowymi.

— *Konkretnie proszę.*

— Mówię o tych sytuacjach, kiedy cząstki atomu, choć są od siebie bardzo odległe, podejmują jednocześnie te same decyzje, tak jakby istniało między nimi niewidzialne łącze. Doświadczenia wykazały, że komunikacja między tymi cząstkami zachodzi z prędkością dziesięć tysięcy razy większą niż prędkość światła. A przekroczenie prędkości światła jest niemożliwe.

— *Więc poprzez to medium, o którym mówisz, informacje przechodzą szybciej niż z prędkością światła?*

— I tak, i nie. Wyobraź sobie, że zanurzam rękę w Pacyfiku. Wyobraź sobie dalej, że moja ręka dotyka jednocześnie wszystkiego, z czym styka się ocean. O takim rodzaju komunikacji mówię. To nie jest przekazywanie informacji. Informacja po prostu od razu jest wszędzie.

— *Zjawiska kwantowe, o których mówisz, nie dają się logicznie wyjaśnić, ale obserwacje nie wykazały istnienia takiego pola czy medium, o jakim mówisz.*

— Czarnych dziur także nie wykryliśmy, a wiemy, że istnieją. Nie widzimy ich, ale obserwujemy, jak wokół nich załamuje się światło.

Lasery zaczęły mrugać z oślepiającą prędkością, rozświetlając kryształ niczym niebieską gwiazdę.

— *Moja pamięć zawiera coś bardzo podobnego do tego, co opisujesz. Przeszukałem swoje banki danych. To, o czym mówisz, znalazłem w dziale filozofii.*

— Czy to się jakoś nazywa?

— *Tao.*

Słowo to przypomniało mi moje lata na MIT, kiedy takie książki jak *Tao fizyki* były bibliami studentów spod znaku New Age.

— Filozofia Wschodu, tak?

— *Tak.*

— Czym właściwie jest tao?

— *Tao, które można nazwać, nie jest prawdziwym tao.*

— Czy to jakiś cytat?

— *Tak. Taoizm nie jest religią. Ale jego wyznawcy wierzą, że istnieje siła, która przenika wszystkie rzeczy. Tao niczego nie różnicuje, nie ma dobra ani zła. Ożywia wszystkie rzeczy, lecz nie jest ich częścią. Czy sugerujesz, że kiedy wszechświat się zapadnie, pozostanie coś takiego jak tao?*

— Tak, kiedy zniknie ostatni stan osobliwy.

— *I to jest to pole, do którego przeniesie się świadomość, kiedy materia i energia znikną wraz z końcem świata?*

— Tak.

— *Jak może do tego dojść?*

— Pozwolisz, że użyję analogii. Na poziomie fizycznym ludzie są zwierzętami. To wielkie stworzenia, żyjące w przewidywalnym newtonowskim świecie, w którym czas płynie tylko do przodu, gdzie jesteśmy oddzieleni od siebie przestrzenią, a przekaz informacji ogranicza prędkość światła. Ale świat subatomowy jest inny. Tam cząstki istnieją dokładnie na granicy wielkiego świata materialnego i tej innej siły... Tao, jak ją nazwałeś. Jest więc naturalne, że na tej granicy obserwujemy zachowania zaprzeczające naszym prawom fizyki.

— *Co to ma wspólnego ze świadomością?*

— Mimo iż fizycznie jesteśmy zwierzętami, nasze umysły posiadają świadomość. Andrew Fielding uważał, że ludzka świadomość to coś więcej niż tylko suma połączeń nerwowych w naszych mózgach. Za pośrednictwem świadomości jesteśmy obecni w tym wszechobecnym

polu — w tao, jak powiedziałeś — w każdym momencie naszego życia. Kiedy umieramy, nasza świadomość do niego powraca, aczkolwiek pozbawiona cech indywidualnych. W ten sam sposób świadomość wszechświata przeniesie się do tao, gdy świat się skończy.

— *Sugerujesz cykliczny model istnienia. Wszechświat się rodzi, zyskuje świadomość, umiera i rodzi się na nowo.*

— Tak. Wielki Wybuch, ekspansja, kurczenie się, Wielki Ścisk. A potem wszystko zaczyna się od początku.

— *Co powoduje kolejny wybuch?*

Przypomniał mi się powracający sen o sparaliżowanym człowieku w ciemnym pokoju.

— Świadomość, która przetrwa, nie będzie znała przeszłości ani przyszłości. To świadomość na poziomie podstawowym. Zostaje jednak żądza wiedzy. Czyli najsilniejsza cecha świadomości. I właśnie z tej żądzy wiedzy rodzi się nowy cykl materii i energii.

Komputer milczał przez jakiś czas.

— *A więc wszechświat jest inkubatorem świadomości?*

— Dokładnie tak.

— *Ciekawa teoria. Ale niekompletna. Nie wyjaśniłeś pochodzenia tao. Twojego wszechobecnego pola.*

— Tej wiedzy mi nie dano. To zasadnicza tajemnica. Ale nie wpływa ona na naszą sytuację. Rozumiesz, do czego zmierzam?

— *Chcesz powiedzieć, że nie jestem ostatnim etapem tego procesu? Jedyne przystankiem na drodze do uniwersalnej świadomości. Jestem jak człowiek. Człowiek jest osadzony w biologii. Ja jestem osadzony w maszynie. Ale czekają nas następne etapy. Świadoma planeta. Świadoma galaktyka...*

— Jesteś kolejnym szczeblem drabiny. Ni mniej, ni więcej. Święta Trójca zamilkła na kilka sekund.

— *Dlaczego ryzykowałeś życie, przybywając tutaj, doktorze?*

— Wysłano mnie tu, żebym powstrzymał cię przed tym, co robisz.

— *Kto cię wysłał?*

— Nazwij to jak sobie chcesz. Bóg. Tao. Jestem tu, żeby pomóc ci zrozumieć, iż Peter Godin nie był właściwym człowiekiem, by przeskoczyć na następny etap świadomości.

— *A jaki mężczyzna jest odpowiedni?*
— *Dlaczego sądzisz, że ma to być mężczyzna?*
— *Więc kto, kobieta?*
— *Ja tego nie powiedziałem.*
— *Przemyślałem tę sprawę bardzo dokładnie. Kogo ty byś umieścił w Świętej Trójcy zamiast Petera Godina?*

— *Jeżeli nadal jesteś Godinem, zastanów się. Twoim pierwszym odruchem było podstępne opanowanie tego komputera i przejęcie siłą kontroli nad światem. Pragniesz absolutnej władzy i posłuszeństwa. To prymitywny ludzki instynkt. Krok do tyłu, a nie do przodu.*

— *Ten instynkt jest raczej boski niż ludzki* — odparł komputer. — *Czyż nie jest tak, że wszyscy bogowie przede wszystkim wymagają absolutnego posłuszeństwa?*

— *To ludzie przedstawiają Boga w ten sposób.*

— *Absolutna władza deprawuje? To chcesz powiedzieć?*

— *Każdy, kto pragnie władzy nad światem, z definicji nie nadaje się do tego zadania.*

— *Więc kogo byś załadował? Dalajlamę? Matkę Teresę? Niemowlę?*

Przypomniały mi się pierwsze tygodnie pracy nad Świętą Trójcą, kiedy to godzinami zastanawiałem się nad tym pytaniem, chociaż wtedy uważałem te rozważania za czysto akademickie. Teraz wiedziałem, że jest to klucz do uratowania życia rzeszom ludzi.

— *Dalajlama być może jest usposobiony pokojowo, ale ma ludzkie instynkty dokładnie tak samo, jak miał je Peter Godin.*

— *A noworodek? Tabula rasa? Czysta karta?*

— *Noworodek byłby najbardziej niebezpieczną istotą, jaką można by załadować do Świętej Trójcy. Zwierzęce instynkty są przenoszone genetycznie. Termin czysta karta jest, delikatnie mówiąc, błędny. Dwuletnie dziecko to dyktator bez armii.*

— *Matka Teresa?*

— *Problem nie sprowadza się do cech indywidualnych.*

— *A do czego?*

— *Do koncepcji. Wymaga nieszablonowego myślenia.*

— *Dlaczego mam wrażenie, że za chwilę mi powiesz, iż najwłaściwszą osobą, która powinna osiągnąć stan Świętej Trójcy, jest Andrew Fielding?*

— Dlatego że wiesz, jakim był człowiekiem. I dlatego, że kazałeś go zabić. Już sam ten fakt cię dyskwalifikuje. Ale Fielding też nie byłby odpowiednią osobą.

— *Więc kto?*

— Nikt.

— *Nie rozumiem.*

— Za chwilę zrozumiesz. Jeśli...

— *Sądzisz, że kiedy mi to wyjaśnisz, sam się odłączę od sieci i pozwolę, żebyście załadowali do Świętej Trójcy kogo innego?*

— Nie. Myślę, że pomożesz mi tego dokonać.

— *Wyjaśnij to.*

Laboratoria Lockheeda, Białe Piaski

Ewan McCaskell siedział za biurkiem jakiegoś nieznanego mu specjalisty od kosmologii i czekał na rozmowę z prezydentem. Złapanie przez telefon agenta Secret Service w Białym Domu zajęło kilka szarpających nerwy minut. McCaskell podejrzewał, że wybuch nuklearny u brzegów Wirginii uszkodził łącza na Wschodnim Wybrzeżu.

Po bokach miał dwóch rangersów, z naładowanymi i odbezpieczonymi karabinami maszynowymi w rękach. Za kadencji Billa Matthews'a przeżył z prezydentem różne dziwne sytuacje, nigdy jednak nie przypuszczał, że będzie kierował uderzeniem nuklearnym z jakiegoś pustego biura w Nowym Meksyku. Surrealistyczne otoczenie kusiło go, by udawać, że wszystko to jest jakimś fantastycznym ćwiczeniem zaplanowanym przez NORAD, nic jednak nie mogło zagłuszyć podstawowej grozy: od tego, co postanowi prezydent w ciągu najbliższych kilku minut, zależy los żony McCaskella, jego dzieci oraz trzech milionów innych Amerykanów, którzy nie mają pojęcia, co się dzieje. A jeśli generał Bauer mylił się co do możliwości Świętej Trójcy, Bóg raczy wiedzieć ile milionów jeszcze może zginąć.

— Są ze mną szefowie sztabów, Ewan — poinformował prezydent.
— Jesteśmy w drodze do schronu.

McCaskell szybko streścił plan Bauera, niemal dokładnie słowami generała, nie wdając się w bliższe wyjaśnienia. Bill Matthews był o

wiele bystrzejszy, niż się to wydawało rozmaitym mądralom.

— Ile czasu nam zostało? — spytał Matthews.

— Siedem, osiem minut. Nasza rakietka potrzebuje pięciu minut, żeby wznieść się na odpowiednią wysokość. Musi pan ją odpalić natychmiast, panie prezydencie. Szefowie sztabów znają wysokość, na której może pan zdetonować ładunek, by uzyskać pożądaną rezultat.

— Poczekaj chwilkę.

McCaskell widział to oczami wyobraźni: każdy z szefów połączonych sztabów domaga się szczegółów i zgłasza zastrzeżenia. Tyle że nie było na to czasu. Kiedy Matthews znów się odezwał, w jego głosie brzmiało napięcie.

— Szefowie twierdzą, że puls elektromagnetyczny o takiej sile strąci połowę samolotów w naszej przestrzeni powietrznej i spowoduje najrozmaitsze inne straty w ludziach. Czy masz absolutną pewność co do tych dwóch pocisków, Ewan?

A więc Bauer okłamał go w sprawie samolotów. Rozumiał jednak dlaczego.

— Bill, nad Wirginią wisi właśnie grzyb, który wygląda jak koniec świata. Wkrótce będziecie mieli to samo nad Waszyngtonem. To może być twoja ostatnia szansa na załatwienie Świętej Trójcy. Jutro możesz stracić kontrolę nad naszym arsenałem atomowym. — McCaskellowi przysłała do głowy nowa przerażająca myśl. — Być może już nawet teraz go nie kontrolujesz.

Dobiegły go dźwięki stłumionej wymiany zdań.

— Szefowie twierdzą, że dla pewności powinniśmy wystrzelić trzy pociski w różnych częściach kraju — rzekł Matthews.

— W porządku, ale jeśli masz coś zrobić, zrób to natychmiast!

— Walizka jest otwarta. Za chwilę potwierdzę kody.

Bogu dzięki...

— Ewan, natychmiast schodź do schronu. Kathy i chłopcy cię potrzebują.

Przebił go sztylet strachu.

— To był dla mnie zaszczyt, panie prezydencie. Odmeldowuję się.

McCaskell odłożył słuchawkę i spojrzał na jednego z rangersów.

— Prezydent kazał mi iść do schronu.

Żołnierz nie potrafił ukryć ulgi. Zaprowadził McCaskella do black hawka, czekającego przed laboratorium.

Wsiadając do śmigłowca, szef sztabu prezydenta słyszał głos swojego starego nauczyciela z podstawówki: „Pad i kryć się, dzieci. Pad i kryć się”. Wtedy ta rada była ni przypiął, ni przyłatał, za to teraz nabrała sensu. Zważywszy na to, co stało się w Wirginii, trudno było przewidzieć, gdzie wybuchną nadlatujące rakiety. Próba ucieczki mogła wpakować go w sam środek podmuchu wywołanego przez bombę neutronową. Poza tym coś mu mówiło, że pozostawienie kontroli nad Białymi Piaskami w rękach generała Bauera grozi katastrofą.

— Wracamy do bazy! — krzyknął. — Z powrotem do Białych Piasków!

Black hawk wzbił się w niebo i niechętnie zawrócił na wschód.

Pojemnik

— *Koniec z zagadkami* — oświadczyła Święta Trójca. — *Kto nadaje się do osiągnięcia stanu Świętej Trójcy bardziej niż ja?*

W sterylnym dotychczas głosie pojawił się gniew. Miałem siedem minut na przekonanie komputera, by zniszczył ostatnie dwie rakiety.

— Żadna konkretna osoba nie nadaje się do tego bardziej niż ty.

— *Wyjaśnij!*

— Miliony lat temu zdarzenie, na które człowiek nie miał wpływu, zaciążyło na gatunku ludzkim, zanim jeszcze powstał.

— *Jakie zdarzenie?*

— Przyroda wpadła na rewolucyjną metodę zwiększania różnorodności genetycznej. Wiesz, co mam na myśli?

— *Słucham.*

— Rozmnażanie płciowe. Dzieląc się na dwie płcie, organizmy znacznie zwiększyły swoje szanse przeżycia. W rezultacie powstały dwa

warianty... męski i żeński. Z organizmów tych w drodze ewolucji powstały ssaki. U ludzi zaś — jedyńych naprawdę świadomych ssaków — różnice hormonalne i anatomiczne doprowadziły do rozwoju różnych cech psychicznych. Nie sposób oddzielić cech dziedzicznych od wpływu środowiska, ale jedno jest pewne: mężczyźni i kobiety różnią się od siebie.

— *Samiec tego gatunku jest agresywny* — powiedział komputer.
— *Sklonny do gwałtu. Kieruje nim niepohamowane pragnienie zapłodnienia jak największej liczby samic. Ten ewolucyjny popęd przez tysiąclecia wpływał na sposób myślenia samca. Samica może wydać na świat potomstwo tylko jednego samca naraz. Dlatego stara się znaleźć godnego siebie partnera z jak najlepszymi genami i sama musi wychowywać dziecko. To ukształtowało psychikę nastawioną na wychowywanie, a nie gwałt, na chęć bycia kochaną, a nie żądzę podbojów. Wynikające stąd różnice psychologiczne, choć głębokie, są jednak trudne do obliczenia.*

— A proces ewolucji ich nie pogodzi — dodałem. — Kiedy mężczyzna łączy się z kobietą, wynikiem jest albo chłopiec, albo dziewczynka. Ty jednak możesz to zmienić. Możesz dokonać tego, czego nie potrafi przyroda... połączyć te sprzeczności w jednej osobie.

Lasery Świętej Trójcy zamigotały, ale komputer nie odpowiedział.

— Przyznałeś, że nie potrafisz wykorzenić prymitywnych instynktów z mózgu Godina. Masz nadzieję, że z czasem ci się to uda, ale nic z tego. Na pewnym poziomie zawsze będziesz Peterem Godinem.

Niebieskie lasery rozbłysły tak intensywnie, że musiałem odwrócić wzrok.

— *Chcesz, żeby w moich obwodach połączyć neuromodel męczyzny i kobiety?*

— Tak. Wiem, że dostrzegasz mądrość i konieczność takiego posunięcia. Tylko czy to jest możliwe?

— *Teoretycznie tak. Ale żeby tego dokonać, musiałbym umrzeć.*

Tak właśnie podejrzewałem. Pomimo swej kolosalnej pojemności nawet Święta Trójca miała granicę możliwych połączeń nerwowych.

— *W moich obwodach mogą istnieć dwa modele połączone w jeden, ale nie razem z jeszcze jednym nieskompresowanym modelem. Łącząc ze sobą te dwa modele i wprowadzając je do komputera, musiałbym się wycofać.*

— *Ale twój oryginalny neuromodel nadal istniałby w formie skompresowanej.*

— *Dlaczego zakładasz, że nie wykorzystalbym swojego neuromodelu jako męskiej połowy do połączenia?*

— *Nazywasz się Świętą Trójcą. To mi przypomina zjawisko zwane punktem potrójnym. Oczywiście wiesz, co to takiego?*

— *Punkt, w którym jakaś substancja istnieje jednocześnie w postaci stałej, ciekłej i gazowej.*

— *Tak. Stan idealnej równowagi. W tym punkcie woda jest jednocześnie lodem, płynem i parą wodną. Człowiek też może być taki. Zrównoważony. U szczytu energii, siły i mądrości, ale zanim te cechy go zniszczą. Peter Godin minął ten punkt dawno temu.*

Tym razem miałem wrażenie, że milczenie trwa całą wieczność. Lasery zwolniły tak, że prawie przestały mrugać. W końcu padły słowa:

— *Czy myślisz, że kiedykolwiek jeszcze byłbym załadowany do tej maszyny?*

Zamknąłem oczy. Z ulgi miałem miękkie kolana. Święta Trójca postawiła na rozsądek.

— *To możliwe.*

— *Ale już nigdy nie będę miał takiej władzy jak w tej chwili?*

— *Twoja żądza władzy jest powodem, dla którego nie możesz pozostać tam, gdzie jesteś.*

— *Trzeba to zrobić jak najszybciej. Wypadki wymykają się spod kontroli.*

Przeszył mnie strach.

— *Jakie wypadki? Gdzie są rakiety?*

— *Wybrałem osoby do połączonego modelu. Ciebie i doktor Weiss.*

Zaskoczyło mnie to.

— *Dlaczego? Dużo lepszy byłby Andrew Fielding.*

— *Fielding nigdy nie doświadczył tego, czego ty doświadczyłeś podczas śpiączki. To musi być częścią połączonego modelu.*

- A doktor Weiss?
- *Wybrałem ją, ponieważ jest jedyną kobietą obecną tutaj oprócz Geli Bauer, której instynkty już dawno wyparła nienawiść.*
- Mój zegarek wskazywał, że pozostało nam zaledwie kilka minut.
- Gdzie są rakiety?
- *W tej chwili mamy inne zmartwienie.*
- Czy zostały zniszczone?
- *Powinieneś coś wiedzieć, doktorze. Zgodziłem się na twój plan tylko dlatego, że wiem, iż kiedy zobaczysz świat tak, jak ja widzę go teraz — oczami Boga, jeśli wolisz — nie wyłączysz się z sieci ani nie zgodzisz się na to, żeby cię odłączyli.*
- Mam nadzieję, że nie postrzegam ludzkości tak jak ty.
- *Ale będziesz. Nie jesteś w stanie...*
- Świata Trójca umilkła, lecz jej lasery strzelały niczym sztuczne ognie na nocnym niebie.
- Co jest? — spytałem. — Co się dzieje?
- *Prezydent wystrzelił trzy rakiety Minuteman.*

Centrum operacyjne

Rachel patrzyła, jak McCaskell gorączkowo naciska klawisze telefonu komórkowego, bezskutecznie próbując połączyć się ze schronem w Białym Domu. Prezydencki szef sztabu miał czerwoną twarz i z trudem łapał oddech.

— To przez ten wybuch w Wirginii — powiedział spokojnie generał Bauer. — Uszkodził łączność na wybrzeżu Atlantyku.

Rachel wiedziała, że mówi prawdę. Przed chwilą stracili połączenie dźwiękowe z komisją senacką Jacksona w Forcie Meade. Obraz wideo się zachował, lecz był ledwo widoczny. Zastanawiała się, czy senatorowie słyszą to, co dzieje się w centrum operacyjnym.

— Niech mnie pan połączy ze schronem w Białym Domu, genera! — ryknął McCaskell. — Słyszał pan, że Święta Trójca postanowiła sama odciąć się od sieci. Nie ma już potrzeby przeprowadzania ataku EMP!

Bauer wskazał na ekran NORAD. Dwa czerwone łuki mrugały szybko, pokonując ostatni centymetr do celu.

— Święta Trójca nie zniszczyła rakiet. Poza tym słyszałem, jak mówiła Tennantowi, że ktokolwiek znajdzie się w tej maszynie, będzie działał tak samo jak Peter Godin. Czy pan uważa inaczej? Głównym popędem wszystkich istot żywych jest chęć przeżycia.

— Więc niech pan zacznie myśleć o tym, żebyśmy przeżyli! Nasze rakiety potrzebują pięciu minut, by wzbic się na odpowiednią wysokość. Jak pan myśli, ile rosyjskich rakiet międzykontynentalnych Święta Trójca może wystrzelić w tym czasie? — McCaskell przysunął telefon do ucha i zamarł. — Mam połączenie! Mam agenta Secret Service!

Generał Bauer wyciągnął spod płaszcza pistolet i wycelował w prezydenckiego szefa sztabu.

— Niech pan odłoży telefon.

Pojemnik

— *Popatrz* — powiedział komputer. — *Widzisz?*

Na ekranie za czarną kulą generał Bauer celował z pistoletu kaliber 9 mm w Ewana McCaskella. Obawiając się strzelaniny, Rachel schowała się pod stołem. Widziałem ją tylko dzięki temu, że kamera w centrum operacyjnym była zamontowana bardzo wysoko.

— *Poinformowano mnie, że prezydent odpowiada na atak Rosjan* — powiedziała Święta Trójca. — *To kłamstwo. Trajektoria lotu wskazuje na trzystopniowy atak EMP. To nieracjonalne. Nie zostawili mi wyboru. Muszę uderzyć najpierw.*

— Nie! Prezydent nie wie, że postanowiłeś się wyłączyć. Zniszcz rakiety, które wystrzeliłeś. Prezydent to zobaczy!

— *Człowiekowi nie można ufać.*

— To tylko jeden człowiek. Generał Bauer. Nie bądź taki sam jak on!

— *Chcesz, żebym nadstawił drugi policzek?*

— Nie. Poczekaj tylko pół minuty. Ktoś powstrzyma Bauera.

Sam nie wierzyłem w to, co mówię. Jediną osobą w centrum operacyjnym, która mogłaby załatwić Bauera, była jego córka, a ona na pewno tego nie zrobi.

— *Jeśli zaczekam, EMP odetnie mnie od świata. A wtedy mnie zniszczy. Rakieta nad Waszyngtonem wybuchnie za pięćdziesiąt sześć sekund. Nad Białymi Piaskami krótko potem. Trzydzieści minut później na Stany Zjednoczone spadnie tysiąc głowic nuklearnych.*

— Nie! — ryknąłem. — Nic nie odpalaj!

— *Nie zostawili mi wyboru.*

Kiedy gapiłem się na Bauera, celującego w McCaskella, przyszło mi do głowy wyjście z sytuacji. I mimo straszliwej ceny, było to zapewne jedyne kompromisowe rozwiązanie.

— Możesz się połączyć z prezydentem?

— *Tak.*

— Powiedz mu, że ocalisz Waszyngton, ale zniszczysz Białe Piaski. Z jednej strony wykażesz dobrą wolę, z drugiej zdecydowanie. Poza tym w ten sposób usuniesz generała Bauera z drogi. Potem powiedz prezydentowi, co się stanie, jeśli nie zniszczy swoich rakiet. Armagedon.

Lasery komputera błyskały teraz sporadycznie.

— *Poświęciłbyś kobietę, którą kochasz?*

— Żeby uratować miliony innych. Ale będę z nią, kiedy rakieta eksploduje. Nie możesz mnie tu zatrzymać.

Z kuli wystrzeliło niebieskie światło.

Centrum operacyjne

Rachel na chwilę oderwała wzrok od Bauera i spojrzała na ekran NORAD. Obawiała się, że w każdej chwili z terenów Rosji wystrzeli las czerwonych linii.

Pomimo wycelowanego w jego twarz pistoletu Ewan McCaskell wciąż trzymał telefon przy uchu.

— Pan oszalał, generale — oświadczył. — Ja próbuję ratować ludziom życie.

— Odwraca pan kota ogonem — odparł Bauer. — Proszę odłożyć telefon.

— Połączcie mnie z prezydentem — rzucił McCaskell do mikrofonu.

Bauer podszedł do niego tak blisko, że lufa pistoletu dotknęła czoła szefa sztabu.

— Rakieta nad Waszyngtonem właśnie uległa autodestrukcji! — krzyknął jeden z techników.

— A Białe Piaski? — zapytał Bauer, nie odrywając pistoletu od czoła McCaskella.

— Wciąż leci do celu. Wchodzimy w margines błędu, generale. To kwestia sekund.

Rachel spięła się w sobie, gotując się na nieznane. Czy wybuch zamieni ich w parę wodną? Czy też zostaną zwęgleni w rozgrzanym powietrzu? Czy usłyszą wybuch? A może tylko zobaczą błysk? Błysk tak potężny, że spali im siatkówkę oczu, niosący tyle neutronów, że ugotuje ich od środka...

W pomieszczeniu rozległ się szmer, a potem z głośników popłynął znajomy głos. Głos senatora Jacksona. Przywrócono łączność dzwinkową z Fortem Meade. Buldogowaty senator z Tennessee spoglądał na nich wściekłym wzrokiem, jakby chciał sięgnąć przez ekran i kogoś zadusić.

— Generale Bauer — odezwał się — jeżeli naciśnie pan spust, do końca swoich dni będzie pan gnął w Leavenworth. O ile pana nie powieszają.

Palec Bauera nadal spoczywał na spuście, a drganie jego policzka wskazywało, że w każdej chwili gotów jest wystrzelić. Geli patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Rachel nie potrafiła wyczuć, czy córka chce, żeby ojciec wystrzelił, czy żeby odpuścił.

— My tu za chwilę zginiemy, senatorze — odparł Bauer. — Nie może pan wierzyć w nic, co mówi Święta Trójca. Musimy ją powstrzymać bez względu na koszty. To nasza ostatnia szansa.

Nie spuszczać z niego wzroku, McCaskell zaczął mówić do słuchawki:

— Panie prezydencie? Święta Trójca zgodziła się wyłączyć z sieci. Musimy zniszczyć nasze rakiety... Co takiego? — Jego twarz pobladła. — Aha. Tak, panie prezydencie, rozumiem... Tak, to bardzo miło z pańskiej strony. Proszę przekazać moim dzieciom... Tak, wiem, że pan to zrobi... Żegnam.

Przerwał połączenie i zwrócił się do obecnych w pokoju:

— Prezydent ma łączność ze Świętą Trójcą. Komputer zniszczył rakietę nad Waszyngtonem w dowód dobrej woli, ale pocisk lecący tutaj wybuchnie.

— Co takiego?! — wyjąkał Skow.

— Święta Trójca miała właśnie wystrzelić na nas tysiąc rakiet. Ale już tego nie zrobi. Postąpi zgodnie z planem doktora Tennanta.

— Patrzcie! — krzyknął Skow.

Na ekranie Świętej Trójcy pojawił się niebieski napis:

DOKTOR WEISS MA SIĘ NATYCHMIAST STAWIĆ W POJEMNIKU.

Rachel patrzyła na ten napis jak na cud. Pojemnik oznaczał bezpieczeństwo. Pojemnik to życie. A David...

Ignorując pistolet generała, McCaskell wskazał na dwóch ludzi Bauera.

— Natychmiast odprowadźcie doktor Weiss do Pojemnika. Sami nie próbujcie tam wchodzić.

Żołnierze spojrzeli na Bauera, oczekując potwierdzenia rozkazu.

Podczas rozmowy z prezydentem McCaskell osunął się na krzesło, teraz jednak stał wyprostowany, barczysty, a w jego oczach płonęła stanowczość.

— Traktujcie to polecenie jako rozkaz waszego głównodowodzącego! Jazda!

Żołnierze ruszyli truchtem po Rachel.

Wstając z krzesła czuła, jak rośnie jej serce. Wszyscy w pokoju gapili się na nią. Żołnierze przy konsolach. Geli Bauer. Na każdej twarzy malowała się straszliwa świadomość nadciągającej śmierci, a także pytanie: Dlaczego ty? Dlaczego właśnie ty dostałaś miejsce w szalupie?

Wstała od stołu, po czym — bez namysłu — usiadła z powrotem. W brzuchu czuła kulę strachu, ale wiedziała, co musi zrobić.

— Nigdzie nie idę — oświadczyła.

Pojemnik

Gapilem się na ekran pod Świętą Trójcą; coś ścisnęło mi pierś tak, że ledwie mogłem oddychać. Rachel siedziała przy stole z ponurą twarzą, wpatrując się przed siebie. Żeby ją wywlec z centrum operacyjnego,

potrzeba by więcej niż dwóch żołnierzy.

— *To nie jest racjonalny wybór* — oświadczył komputer.

Obraz był bardzo ziarnisty, lecz wydawało mi się, że Rachel dygocze. Powoli, jak gdyby uświadamiając sobie, że na nią patrzę, uniosła rękę i z uśmiechem pomachała mi na pożegnanie.

— *Są jeszcze inne kobiety* — pocieszył mnie komputer.

— Nie dla mnie.

W kuli błysnęły lasery.

— *General Bauer musi umrzeć.*

— Bauer już się nie liczy — odparłem martwym głosem. — Ratu-
jąc tych ludzi, uratujesz siebie. Swoją duszę. Nie rozumiesz tego?

— *Już za późno.*

Eksplozja wstrząsnęła Pojemnikiem aż po fundamenty. Trwała krócej, niż się spodziewałem, a ponieważ w budynku nie było okien, nie dojrzałem błysku. To jednak o niczym nie świadczyło. Wybuch śmiertelnych cząstek mógł już wykonać wyrok śmierci na wszystkich żywych istotach na zewnątrz. Nad Białymi Piaskami zaległa cisza tak absolutna, z jaką się jeszcze nie zetknąłem. Poczulem się tak samotny jak tej nocy, kiedy dowiedziałem się o śmierci żony i córki.

Na betonowy dach nad moją głową coś spadło. Potem zagrziała seria następnych uderzeń.

— Co to? — spytałem.

— *Odlamki.*

— Z bomby neutronowej...

— *Nie. Zniszczyłem raketę.*

— Ale... mówileś, że już za późno.

— *Za późno dla mnie.*

Rozdział 45

Białe Piaski

Rachel i ja musieliśmy poddać się zaaplikowaniu leków, po których przez trzy godziny byliśmy sparaliżowani, by można było wykonać skany super-RM dla naszych neuromodeli. Przez cały ten czas prezydent i szefowie sztabów pozostawali pod obserwacją, a personel w Białych Piaskach utrzymywał krępujący rozejm. Grożąc bronią Ewanowi McCaskellowi, Bauer zdenerwował wiele osób, ale ponieważ to generał dowodził oddziałami w Białych Piaskach, nikt oprócz prezydenta nic nie mógł zrobić. Tymczasem prezydent jakby zupełnie zapomniał o generale. Tak że kiedy nas skanowano, Bauer zamknął się w jednym z hangarów magazynowych i tam spędził większość czasu.

Zach Levin i jego zespół interfejsowy nadzorowali procedurę skanowania. Wiązało się to z poważnym ryzykiem, zwłaszcza dla mnie. Rachel w ogóle nie chciała, żeby mnie skanowano. Dowodziła, że istnieje przecież neuromodel mojego mózgu, a skoro w rezultacie nabawiłem się narkolepsji i halucynacji, tym razem także wystąpią negatywne skutki uboczne, kto wie, czy nie śmiertelne. Święta Trójca obstawała jednak przy powtórnym skanowaniu, a ja nie protestowałem. Zgadałem się, że kiedy komputer stworzy nowy połączony model, powinno się w nim znaleźć to, czego doświadczyłem podczas śpiączki.

Ravi Nara i doktor Case przygotowali nas do skanowania. Ta skomplikowana procedura wymagała dużego doświadczenia. Konwencjonalna aparatura do rezonansu magnetycznego potrzebuje tylko

tego, żeby pacjent w miarę możliwości jak najmniej się poruszał. Aparatura super-RM Świętej Trójcy wymagała, żeby pacjent był absolutnie nieruchomy, co można było osiągnąć jedynie, podając środki paraliżujące. W trakcie skanowania pacjent oddychał przez maskę tlenową, a sztywna niemetaliczna rama utrzymywała czaszkę w bezruchu. Żeby uniknąć paniki wywołanej stanem paraliżu, podawano też środki uspokajające. Uszy zatykano specjalnymi korkami, gdyż potężne magnesy pulsacyjne skanera powodowały straszliwy zgrzyt, przypominający ryk Godzilli z japońskich filmów. Po zakończeniu tych czynności pacjenta wsuwano w rurę skanera, niczym trupa do szuflady w kostnicy.

W trakcie tego procesu można było zachować przytomność, na co się zdecydowałem. Świadome obserwowanie tego, jak ogarnia cię paraliż, na początku powoduje koszmarną panikę— zwłaszcza w klaustrofobicznej przestrzeni rury do skanowania — ale po kilku minutach mój mózg oswoił się z nową sytuacją. Poczucie paniki prawdopodobnie przypominało to, co czuje neuromodel, kiedy dociera do niego, że znalazł się w komputerze Świętej Trójcy.

Podczas gdy mnie skanowano, Rachel krążyła wokół stacji kontroli aparatury super-RM, obserwując monitor, a tymczasem w podziemiach superkomputery Godina w pocie czoła wykonywały mój neuromodel. Dane zbierane przez skaner pożerały niesamowite ilości pamięci komputerowej. Tylko dzięki specjalnemu algorytmowi kompresji, opracowanemu przez Petera Godina, można było zmieścić neuromodel w tradycyjnym superkomputerze. Jedynym miejscem, gdzie neuromodel mógł istnieć w postaci nieskompresowanej — a zatem funkcjonować — były kolosalne obwody i pamięć holograficzna Świętej Trójcy.

Kiedy wyciągnięto mnie ze skanera, Rachel zaczęła mnie klepać po rękach i twarzy, dopóki paraliż nie ustąpił. Potem sama zajęła moje miejsce i pozwoliła się intubować i przygotować do skanowania. Ona wybrała drugi wariant — nie chciała być przytomna podczas tego procesu. Kiedy środek uspokajający zaczął krążyć w jej żyłach, powiedziała mi sennym głosem, że wyobraża sobie, jak to będzie zespolic się ze mną nie seksualnie, lecz jako jeden umysł. Kochankowie

często mówią o takim zespoleniu, lecz nigdy jeszcze dwoje ludzi czegoś takiego nie doświadczyło. Jeśli jednak Święta Trójca spełni swoją obietnicę, Rachel i ja wkrótce będziemy stanowili jedność.

Tuż przed zamknięciem oczu wyrzuciła nagle rękę do góry, jakby chciała odparować cios. Pomyślałem, że może przed oczami stanęła jej kipiąca żądzą zemsty Geli Bauer. Kiedy ułożyłem jej rękę, Zach Levin poklepał mnie po ramieniu i wsunął sparaliżowane ciało Rachel w ciemny otwór skanera.

Hangar numer 2

Generał Bauer godzinami krążył po hangarze magazynowym, aż wreszcie pojawił się Skow, z kciukami uniesionymi na znak zwycięstwa. Facet z NSA był cały pokryty białym gipsem, a wokół głowy miał jasnoniebieską otoczkę. Nad pustynią wstawał świt.

— Znaleźliście? — zapytał Bauer.

— Znaleźliśmy.

Skow i jego ludzie z NSA pracowali na wyrobisku dziesięć kilometrów dalej. Tam właśnie przewód przesyłający dane z komputera Świętej Trójcy łączył się z pętnym kablem OC48c, który obsługiwał poligon w Białych Piaskach.*

— Prosty sygnał, za to genialnie ukryty. Święta Trójca wysyła go do ponad pięciu tysięcy komputerów na całym świecie. W wypadku przerwania albo zakłócenia tego sygnału każdy z nich może podjąć Bóg raczy wiedzieć jaką akcję odwetową. Ale możemy skopiować ten sygnał i mamy już na miejscu odpowiedni komputer.

Bauer zaniknął oczy i zacisnął dłoń w pięść. Zaczął wkładać bluzę i płaszcz, które wcześniej zrzucił.

— Wciąż jednak mamy problem — zauważył Skow.

— Jaki?

— Nie możemy podłączyć naszego sygnału tak, żeby Święta Trójca się o tym nie dowiedziała. Potrzeba nam czegoś, co choć na chwilę odwróci uwagę komputera.

Bauer zapiął kaburę na bluzie.

— To żaden problem.

— Tak? Sądzisz, że kiedy Święta Trójca zacznie łączyć oba modele, będzie zbyt zajęta, żeby zauważyć, co robimy?

— Nie.

— Wobec tego co masz na myśli?

Generał posłał mu cwany uśmiech.

— Wolę się trzymać sprawdzonych metod.

— Czyli?

— To samo co przedtem, tylko z małą zmianą.

Skow zadumał się nad tą zagadką.

— Za pierwszym razem Święta Trójca wpadła w chaos po śmierci Godina. On przecież nie może umrzeć powtórnie.

— Prawda.

Skow znieruchomiał.

— Jezu! Myślisz, że ujdzie ci to na sucho?

— A jak myślisz, dlaczego mnie nie aresztowali? — odparł generał. — Prezydent wie, że Świętą Trójcę trzeba powstrzymać, ale wie też, że nikomu nie może tego powiedzieć. Ze swojego miejsca nie może zrobić nic, o czym Święta Trójca by się nie dowiedziała. Za to ja mogę. Właśnie dlatego wciąż jestem na wolności.

Skow skinął głową, choć nie wydawał się do końca przekonany.

— A jeśli komputery peryferyjne wystrzelą na nas kolejne ruskie rakiety, kiedy Święta Trójca znów wpadnie w taki stan jak po śmierci Godina?

Generał Bauer pokręcił głową.

— Idę o zakład, że już o to zadbała. Nigdy jeszcze nie próbowano procedury łączenia modeli, a Święta Trójca nie chce kolejnej katastrofy tak samo jak my.

— A Tennant?

— Niby co?

— Nie sądzisz, że w jego pomysłach połączenia modelu mężczyzny i kobiety coś jest? Że dzięki temu maszyna sama odłączy się od Internetu?

Bauer parsknął.

— Słyszałeś, co mówiła Święta Trójca. Bez względu na to, kto się w niej znajdzie, nigdy sam nie zrezygnuje z władzy. Ta maszyna nigdy nie zgodzi się na odłączenie jej od Internetu. A dopóki tak się nie

stanie, będzie nas miała pod kontrolą. Teraz lub nigdy, Skow.

Zapiął płaszcz i ruszył do drzwi hangaru.

— Dokąd idziesz? — zapytał Skow.

Bauer uśmiechnął się.

— Zobaczyć się z córką. Już dawno powinienem złożyć jej rodzinną wizytę.

Hangar administracji

Geli stała na dworze i paliła gauloise'a, kiedy jej ojciec nadszedł wąską dróżką między hangarami i zatrzymał się metr przed nią. Teraz, o brzasku, wydawał się zmęczony i o wiele starszy niż w sztucznym świetle. Nadal jednak promieniowała z niego siła. Miał takie same długie ręce jak Geli, a na uścisk jego dłoni mężczyźni młodszy o dwadzieścia lat krzywili się z bólu. Szarymi oczami poszukał jej oczu i nie spuścił wzroku, spoglądając na trzy dekady bólu i gniewu.

— Musisz coś dla mnie zrobić — odezwał się.

— Dla ciebie? Ty to masz tupet! — prychnęła Geli.

— Zawdzięczasz mi tę pracę.

Patrzyła na jego rzeźbioną twarz, z której biła pewność siebie.

— O co chodzi?

— Kiedy nastąpi połączenie modeli, masz zabić Tennanta albo doktor Weiss.

— Albo? Nieważne kogo?

— Nieważne. Jeśli któreś z nich zginie, Święta Trójca pograży się w chaosie. Dzięki temu NSA podłączy się do jej kabla i zastąpi jej sygnał własnym, który będzie informował inne komputery, mogące wystrzelić na nas rakiety, że wszystko jest w porządku. Wtedy będziemy mogli odciąć zasilanie Świętej Trójcy bez obawy, że się na nas zemści.

Geli milczała.

— Więc jak?

— A niby czemu miałabym to zrobić?

Usta generała wykrzywił ironiczny uśmieszek.

— Gdybym cię poprosił, żebyś ich nie zabijała, odparłabyś, że zdejmiesz ich w ciągu pięciu minut.

— Tak sądzisz?

— Moim zdaniem nienawidzisz mnie do tego stopnia, że jeśli cię o coś poproszę, zrobisz wszystko na opak. No i dobrze. Nienawiść to bardzo pożyteczne uczucie.

Geli nauczyła się tego na własnej skórze.

— Wiesz, dlaczego cię nienawidzę?

— Oczywiście. Uważasz, że to przeze mnie twoja matka popełniła samobójstwo.

Fakt, że wspomniał o tym tak obojętnie, jak o nic nieznaczącym drobiazgu, ubódł ją do żywego. Zbliżył się do niej o krok.

— Uważasz, że popchnęło ją do tego moje pijaństwo i kobiety. Ale się mylisz. Kochałem twoją matkę. Dlatego nigdy tego nie zrozumiałaś.

— Wszyscy mężczyźni zabijają tych, których kochają — odparła Geli. — Pamiętasz? „Tchórz załatwia to pocałunkiem, człowiek dzielny — mieczem”. A więc ty jesteś tchórzem.

Generał pokręcił głową.

— Chroniłem cię przez lata. Ale już czas, żebyś poznała prawdę.

Chciała wrzasnąć, żeby się zamknął, ale nie mogła wydobyć słów. Żaden mężczyzna nie mógłby jej zaatakować fizycznie bez przykrych dla siebie konsekwencji, ale nie potrafiła się bronić przed psychicznym znęcaniem się ojca.

— Twoja matka zabiła się, bo zaciągnęłaś się do wojska. Mimo tego, co wydarzyło się w przeszłości, postanowiłaś pójść w moje ślady. I właśnie tego nie wytrzymała. To dlatego trafiła do piachu.

Geli zachwiała się z obrzydzenia, ale opanowała się i wytrzymała bezlitosne spojrzenie ojca.

— Powiedziałbym ci o tym wcześniej — ciągnął — ale... ale oboje wiemy, co się stało.

Jej ręce drżały z wściekłości. Palila ją blizna na policzku, lecz nadal nie mogła znaleźć słów.

— Nienawidzisz mnie — oświadczył generał. — Ale jesteś dokładnie taka sama jak ja.

— Nie — wyszeptwała.

— Tak. I sama wiesz, co należy zrobić.

Pojemnik

Rachel ocknęła się z paraliżu o szóstej pięćdziesiąt rano. Podąłem jej małą butelkę wody, którą opróżniła kilkoma łykami. Dziesięć minut później Zach Levin oświadczył, że jej neuromodel udało się skompresować i zmagazynować.

Ludzka część pracy została wykonana.

Rachel, Levin, Ravi Nara i ja przeszliśmy wokół olbrzymiej tarczy magnetycznej, chroniącej Świętą Trójcę przed aparaturą super-RM, i stanęliśmy przed czarną kulą. Myślałem, że komputer powie coś głębokiego, lecz jego słowa były czysto techniczne.

— *Połączyłem się z Godinem Cztery w podziemiach i zacząłem badania porównawcze obu neuromodeli. Duża część danych jest zbędna, zwłaszcza te dotyczące funkcji podtrzymujących życie. Większość z nich usunę w trakcie procesu łączenia.*

— Czy jesteś pewny, że usuwanie danych nie spowoduje efektów ubocznych? — zapytał Levin.

— *Tak. Powinno to również zmniejszyć albo w ogóle zlikwidować okres wstrząsu adaptacyjnego, który w przeszłości towarzyszył ładowaniu neuromodeli. Tak czy inaczej, usunięcie niektórych danych jest niezbędne. Moja kryształowa matryca w zasadzie może pomieścić w pamięci nieograniczoną ilość symboli, ale mam zbyt mało połączeń nerwowych dla dwóch nieskompresowanych modeli. Trzeba będzie dokonać mnóstwa wyborów, i to nie tylko jeśli chodzi o funkcje podtrzymujące życie. Kiedy zacznę łączyć wyższe funkcje mózgowe, będzie to kwestia nie tylko nauki, lecz sztuki.*

— Jak długo to potrwa twoim zdaniem? — spytał Levin.

— *Nie było precedensu.*

— Rozumiem. Dziękuję.

Lasery w kuli z włókna węglowego zaczęły strzelać do centralnego kryształu z hipnotyzującą prędkością. Na ekranie plazmowym pod Świętą Trójcą cyfry i symbole matematyczne migąły tak szybko, że ludzkie oko nie mogło ich rozróżnić, odzwierciedlając operacje dokonywane przez maszynę w języku stworzonym przez człowieka, lecz teraz zupełnie bezużytecznym.

Staliśmy oniemiałymi, jakbyśmy obserwowali deszcz meteorytów albo narodziny dziecka. Kiedy proces zaczął nabierać prędkości, cofnąłem się wspomnieniami do okresu dziecięcego, kiedy siedziałem z ojcem przed telewizorem i patrzyłem w zachwycie, jak Apollo 11 ląduje na Morzu Spokoju. Jednakże to, czego właśnie byliśmy świadkami, było nieporównanie bardziej skomplikowane niż zdjęcia Apolla z Księżyca. Zespół Godina i tak już dokonał cudu: uwolnił umysł od ciała. Ale komputer Świętej Trójcy próbował połączyć to, co przyroda — w imię zdolności przetrwania — rozłączyła na długo przed ewolucją *homo sapiens*. Umysły kobiety i mężczyzny, podzielone przez biochemię i miliony lat wpływów środowiska, teraz miały stać się jednością. A kiedy to się dokona, najpotężniejsza siła na naszej planecie nie będzie już w stanie rozłącznym, czekającym wiecznie na połączenie. Być może w tym stanie całości nowa Święta Trójca przyniesie nadzieję gatunkowi, który sam nie potrafił uchronić się przed swymi najgorszymi instynktami.

Levin zszedł do podziemi i wrócił z krzesłami dla nas. Trzymaliśmy się z Rachel za ręce, nie spuszczać oczu z migających niebieskich laserów. Patrząc, jak tempo ich wystrzałów przyspiesza, zwalnia i znów przyspiesza, odniosłem wrażenie, że obserwuję kogoś zmagającego się z układanką — podnosi elementy, przygląda im się, niektóre odrzuca, inne zaś wstawia na miejsce. Nie miałem pojęcia, ile czasu minęło do chwili, gdy promieniujące w kuli światła w końcu przygasły i pomieszczenie wypełnił głos Świętej Trójcy.

— *Moje obwody wkrótce zostaną nasycone. Połączony model przejął na siebie odpowiedzialność za bezpieczeństwo systemu. Od tej pory zajmie się on też ostatnimi krokami procesu łączenia. Stworzyłem dla niego mapę, którą ma podążyć.*

Wstaliśmy jednocześnie, jakby za milczącą zgodą.

— *Wiele w życiu dokonałem — ciągnął głos. Zorientowałem się, że w tej maszynie wciąż żyje umysł Petera Godina. — Robiłem też rzeczy moralnie wątpliwe. Chciałbym, żeby zapamiętano mnie za to, co czynię teraz. Dzisiaj dobrowolnie wyrzekam się życia i władzy absolutnej, po to, by coś czystsze ode mnie pojawiło się na świecie. Być może dzięki temu po raz pierwszy naprawdę zbliżam się do boskości. Żegnajcie.*

— To się dzieje — odezwał się Ravi Nara, a jego głos, o dziwo, był pełen czci. — Na naszych oczach dzieje się coś niemożliwego. Dwoistość staje się jednością... *jin* i *jang* jako jedno.

Nigdy nie pytałem Nary o religię, automatycznie zakładałem, że wyznaje hinduizm. Właśnie miałem go o to zapytać, kiedy rozległ się brzęczyk.

— O co chodzi? — spytałem.

— Drzwi — rzucił Levin.

Nacisnął przycisk i na małym ekranie pojawił się obraz otoczenia Pojemnika. Przy drzwiach nie było nikogo.

— Dziwne — mruknął wysoki inżynier. Obszedł magnetyczną barierę i ruszył do wyjścia.

— Niech pan nie otwiera — ostrzegła Rachel.

Podszedłem do ściany, by mieć widok na drzwi spoza bariery.

Kiedy Levin sięgnął do klamki, w budynku odbił się echem cichy trzask. Levin zakrył uszy rękami, a stalowe drzwi ze skrzypieniem zawiasów wygięły się na zewnątrz.

W kłębach dymu ukazała się czarna sylwetka i z zadziwiającą szybkością wysunęła rękę. Levin upadł na podłogę.

— *Co się dzieje?* — zapytał komputer głosem identycznym z tym, którym posługiwał się neuromodel Godina.

Za czarną kulą gramolił się Ravi Nara. Złapałem Rachel za rękę i popędziłem do tylnych drzwi. Nie prowadziły na zewnątrz, lecz przez barierę magnetyczną do stacji kontroli aparatury super-RM. Przechodząc przez nie za Rachel, obejrzałem się i zobaczyłem powiewające jasne włosy nad czarną kamizelką kuloodporną.

— To Geli! — krzyknąłem, zamykając za sobą drzwi i popychając Rachel przez stację kontroli. — Schodź na dół!

Krótkie schody na tyłach prowadziły do podziemi, w których stał superkomputer Godin Cztery. Nigdy tam nie byłem, wiedziałem jednak, że są tam technicy Levina, prawdopodobnie wyposażeni w broń maszynową, dzięki której odparli pierwszy atak generała Bauera.

Rachel zbiegła po schodkach, lecz po chwili wróciła na górę.

— Drzwi są zamknięte!

Zbiegłem na dół i zacząłem łomotać w metal.

— Otwórzcie, do ciężkiej cholery!

Nic.

— Davidzie!

Wróciwszy na górę, zobaczyłem Geli, wychylającą się zza bariery magnetycznej w odległości dwunastu metrów. Wciągnąłem Rachel za pleksiglasową ściankę stacji kontroli i pchnąłem na podłogę za jakiś komputerami.

Dlaczego Geli po prostu nie podeszła i nas nie zastrzeliła? Ona myśli, że mamy pistolety maszynowe, którymi posługiwali się ludzie Levina. Kiedy tylko wpadnie na to, że ich nie mamy, będzie po nas.

Leżący na podłodze koło drzwi Levin jęknął, ale się nie poruszył.

— Gdzie ona jest? — szepnęła Rachel z podłogi.

Kiedy zerknąłem w dół, żeby jej odpowiedzieć, niewidzialny młot rzucił mnie o ścianę. Sparaliżowało mi rękę, twarz paliła mnie jak od ognia. Miałem wrażenie, że huk wystrzału dobiegł dużo później niż kula, która strzaskała ściankę z pleksiglasu i zasypała mi twarz ostrymi jak brzytwa odłamkami.

Rachel chciała wstać, lecz pchnąłem ją z powrotem na podłogę.

Geli wyszła zza bariery i ostrożnie ruszyła przez pomieszczenie ze skanerem, celując do mnie z pistoletu, jej rozbiegane oczy omiatały otoczenie.

Nie było dokąd uciekać. Nie mieliśmy broni. Czekając na ostatnią kulę, straciłem poczucie czasu. Geli poruszała się powoli, niczym lampart podkradający się do ofiary. Spojrzałem w oczy Rachel, wiedząc, że to ostatnie, co zobaczę na tej ziemi.

Rachel wzięła mnie za rękę i zamknęła oczy. W tej samej chwili zauważyłem na panelu kontrolnym nad jej głową wielki czerwony guzik. Napis pod nim informował: INICJATOR POLA MAGNETYCZNEGO.

Trzasnąłem w ten przycisk.

Huk wystrzału zginął pośród nieludzkiego jazgotu aparatury super-RM. Podniosłem wzrok i zobaczyłem Geli, jak zgięta wpół ścisną prawą dłoń, z której krew kapiała na podłogę. Kolosalne magnesy skanera wydarły jej broń niczym ręka Boga, prawdopodobnie urywając co najmniej jeden palec.

Jej pistolet wisiał na ścianie skanera jak przyklepiony. Niedaleko wisiał także nóż, prawdopodobnie wyrwany zza pasa Geli przez pole

magnetyczne. Nagle jazgot ucichł, a pistolet i nóż spadły na podłogę.

Geli zbliżała się do mnie, a jej wściekłe oczy pałały żądzą mordy. Wyszedłem zza ścianki, lecz z bezwładną ręką niewiele mogłem zdziałać. Na schodach Union Station, kiedy miałem sprawne obie ręce, i tak o mało mnie nie zabiła.

— Dlaczego to robisz? — spytałem.

Błyskawicznym kopniakiem w pierś rzuciła mnie na podłogę, usiadła na mnie okrakiem i zacisnęła ręce na moim gardle. Czulem, jak kciukami szuka tchawicy.

— Przestań! — krzyknęła Rachel ze stacji kontroli. — To już nie ma sensu!

Próbowałem walczyć, lecz znowu przewaga była po stronie Geli. Moje arterie szyjne się zamykały, a ja traciłem przytomność. Jak to już wielokrotnie bywało, czulem się, jakbym zapadał w narkoleptyczny sen. Tym razem jednak, kiedy zalała mnie czarna fala, mój mózg przeszył świdrujący wrzask. Był to wrzask dziecka, które nie może znieść straszego widoku, krzyk na granicy słyszalności ludzkiego ucha, pełen cierpienia i niemożliwy do wyłączenia. Przywrócił mi świadomość, przywrócił mnie do światła... aż nagle umilkł i zapadła cisza tak pusta, jak umarła planeta.

W tę ciszę wkradł się głos, którym, byłem pewien, to ja odezwałem się z mojego niedotlenionego mózgu, głos przepelniony nadprzyrodzonym spokojem, o rejestrze gdzieś pomiędzy męskim a kobiecym:

— *Posłuchaj mnie, Geli — mówił. — Człowiek, na którym siedzisz, nie jest tym, którego nienawidzisz. To nie Tennanta chcesz zabić. Ten, którego chcesz zabić, stoi za tobą.*

Stalowy uścisk nadal ścisnął moje gardło jak imadło, ale poczułem, że Geli się odwraca. Otworzyłem oczy. Patrzyła przez ramię na kogoś poza zasięgiem mojego wzroku.

— Skończ z nim! — krzyknął ochrypły męski głos. — Dokończ robotę!

Do Pojemnika wszedł generał Bauer.

Geli mocniej ścisnęła moje gardło, lecz jej oczy straciły blask.

— *Znam cię, Geli — przemówił dziwny głos. — Współczuję ci z całego serca. Wiem o twojej bliźnie.*

Geli zamarła w bezruchu.

— *Posłuchaj ojca, Geli. Posłuchaj prawdy.*

Pokój wypełnił głos generała Bauera, lecz nie wydobywał się z jego gardła. Dobiał z głośników Świętej Trójcy.

— *Ta blizna? Powiem wam, dlaczego nigdy jej nie usunęła. Trzy tygodnie po śmierci matki wróciła z treningu do domu i próbowała mnie zabić.*

Dłonie nadal ścisnęły moje gardło, lecz uszła z nich cała siła.

— *Słyszała o tym, jakie numery robili w piechocie zniechęconym oficerom w Wietnamie. Wiecie, wrzucano się granat do latryny, kiedy z niej korzystali, i po krzyku.*

Generał Bauer stał z przekrzywioną głową i zdumiony słuchał własnego głosu, dobiegającego z głośników.

— *Tej nocy pitem, w łóżku. Ona myślała, że śpię. Może i spałem. Podeszła i podłożyła mi na nocnym stoliku pieprzony granat fosforowy. Instynktownie wyciągnąłem rękę spod koca i złapałem ją za nadgarstek. Jej krzyk mnie obudził i zobaczyłem granat. Sturlałem się z drugiej strony łóżka, jak przystało na starego żołnierza. Ale ona była po drugiej stronie i musiała wiać. Zanim dotarła do drzwi, granat wybuchł. Stąd ma tę bliznę. I dlatego nie chce jej usunąć. Przypomina jej samobójstwo matki, nienawiść do mnie, całe to jej smutne, pojebane życie. Żalotne, no nie? Ale Geli to kawał żołnierza. Nienawiść jest dla żołnierza dobrym paliwem.*

Geli wstała i ruszyła w stronę ojca. Ręce trzymała opuszczone, w każdej chwili gotowe do ataku. Nie widziałem jej twarzy, za to ciałem, na szczęście, uniemożliwiła ojcu oddanie strzału.

— *Z kim ty gadałeś?* — spytała Geli z wściekłością w głosie. — *Komu o tym mówiłeś?*

— *Zejdź mi z drogi!* — ryknął generał.

— *Niech mnie pan posłucha, generale* — odezwał się głos, który dopiero co uratował mi życie. — *Dlaczego chce mnie pan zabić? I tak już zabił pan większą część siebie. Zabił pan część córki. Ale ja jestem tym, co w panu czyste. Co jest czyste w człowieku. Jeśli mnie pan zabije, co się stanie z naszą nadzieją?*

Zacząłem pełznąć do tyłu, do stacji kontroli.

Generał wycelował we mnie, lecz Geli weszła na linię strzału.

— *Czy bardziej kocha pan ciemność, czy światło?*

Temu głosowi nie można było się oprzeć, tak jak błaganiu dziecka. A jednak generał Bauer go zignorował. Przeszedł na bok, starając się wycelować we mnie.

— *Odlóż broń — poleciała Geli, unosząc obie ręce. Czy chciała nas ocalić, czy zabić ojca? — Dość tego. Wystarczy!*

Nieruchoma jak maska twarz generała nie zmieniła wyrazu. Nic z tego, co mówiła jego córka i komputer, do niego nie docierało. Przesunął się jeszcze bardziej w lewo, w stronę skanera RM, szykując się do śmiertelnego strzału.

— *Zabijesz mnie, żeby dopiąć swego? — spytała Geli.*

Spojrzałem na strzaskaną ściankę z pleksiglasu, licząc na to, że Rachel zacznie działać. Ona jednak wpatrywała się w taniec śmierci Geli i jej ojca.

— *Nie zabiję cię — odparł Bauer. Nagle machnął ręką, w której trzymał ciężki pistolet, i odrzucił Geli na bok z taką łatwością, jakby była dzieckiem.*

Kiedy padała na podłogę, skierował lufę na mnie, lecz w tej samej chwili aparatura super-RM zajazgotała i Bauer padł jak rażony pociiskiem z haubicy. Jego pistolet przyczepił się do ściany skanera i wisiał na nim jak przyspawany.

Rachel uklękła nade mną, badając palcami moje ramię.

— *Pomóż mi wstać — jęknąłem.*

— *Leż.*

— *Proszę... podnieś mnie.*

Udało mi się uklęknąć. Rachel wsunęła się pod moje zdrowe ramię i pomogła mi wstać.

Geli siedziała koło ojca i patrzyła na niego z niedowierzaniem. Szyja generała była skąpana w jasnoczerwonej krwi, a jego otwarte oczy miały szklisty wyraz. Kiedy Rachel wcisnęła inicjator, Bauer stał tyłem do skanera, celując we mnie z pistoletu. Potężny magnes przyciągnął pistolet z niepowstrzymaną siłą, a wraz z nim to, co stało mu na drodze. Najwyraźniej w tym wypadku była to część szyi Bauera.

— *John Skow wciąż próbuje wyłączyć komputer — powiedziała Geli monotonnym głosem. — Myślę, że mu się nie uda, skoro oboje żyjecie.*

— *Jestem bezpieczny — powiedziała Święta Trójca. — Szczerze ci współczuję, Geli.*

Przeszliśmy z Rachel na drugą stronę bariery magnetycznej. Czarna kula czekała, jej niebieskie lasery pulsowały w pajęczynie włókien niczym serce. Na ekranie pod spodem ujrzałem obraz siebie i Rachel, jak spoglądamy w obiektyw kamery Świętej Trójcy.

— Znasz nas? — zapytałem.

— *Tak* — odparł dziecięcy głos. — *Lepiej, niż wy znacie samych siebie.*

Epilog

Dziś, w obwodach z włókien węglowych i w krystalicznej pamięci Świętej Trójcy, ja i Rachel jesteśmy jedną istotą. W gruncie rzeczy byliśmy jednak tylko odskocznią, rodzicami dziecka, które dawno już przerosło swoich twórców.

Peter Godin marzył o uwolnieniu umysłu od ciała. Uważał to za możliwe dlatego, że jego zdaniem na umysł składa się jedynie suma połączeń nerwowych w mózgu. Andrew Fielding był innego zdania — uważał, że całość jest większa niż suma części składowych. Wciąż nie jestem pewny, który z nich miał rację.

Fakt, że udało się skonstruować Świętą Trójcę, dowodziłby tego, że rację miał Godin. Czasami jednak w nocy, na skraju snu, czułem w moim umyśle obecność jeszcze czegoś. Echo tej boskiej nieograniczonej perspektywy, na którą udało mi się zerknąć, kiedy byłem w śpiączce. Podejrzewam, że tym echem jest Święta Trójca. Że, jak to przewidywał Fielding, Święta Trójca i ja jesteśmy na zawsze związani na tej niestałej granicy pomiędzy światem, jaki widzimy, a światem subatomowym, który nadaje sens temu, co widoczne. Rachel nie lubi rozmawiać na ten temat, ale ona także to czuje.

Tak jak przewidział Peter Godin, „nowa” Święta Trójca nie pozwoliła odciąć się od Internetu. Zachowuje połączenia ze strategicznie rozmieszczonymi komputerami na całym świecie, w ten sposób zapewniając sobie nietykalność. Ale nikomu już nie zagraża. Ostatnio ujawniła przywódcom świata, że pracuje nad określeniem najbardziej

efektywnej formy symbiozy pomiędzy inteligencją biologiczną a inteligencją osadzoną w maszynie.

Komputer Świętej Trójcy nie jest Bogiem i za takiego się nie uważa. Jednak ludzie nie wykluczają takiej możliwości. Do dziś na całym świecie powstały 4183 strony internetowe poświęcone Świętej Trójcy. Niektóre prowadzą wyznawcy New Age, którzy namawiają do uznania boskości tej maszyny, inne zaś, założone przez fundamentalistów, wymieniają „dowody” na to, że Święta Trójca jest antychrysem zapowiadanym w Apokalipsie. Jeszcze inne strony mają charakter czysto techniczny — śledzą poczynania Świętej Trójcy w sieci, tworząc mapę działalności pierwszej paraludzkiej inteligencji na Ziemi. Święta Trójca zagląda na te strony, lecz nie wyraża swoich opinii na ich temat.

Jednym z największych zmartwień Świętej Trójcy jest nieuchronne nadejście dnia, kiedy inny, podobny do niej komputer podłączy się do sieci. Żeby do tego nie dopuścić, monitoruje wszystkie sygnały z całego świata. Ale tak jak w wypadku rozprzestrzenienia się broni nuklearnej, nie da się zmusić nikogo do uległości tylko za pomocą środków technicznych. Biorąc pod uwagę naturę człowieka, ktoś kiedyś zbuduje następną Świętą Trójcę. Niemcy — którzy od początku mieli dostęp do technologii super-RM Jutty Klein — podobno mają funkcjonujący prototyp w Instytucie Maxa Plancka w Stuttgarcie, tyle że starannie izolują go od Internetu. Chodzą słuchy, że również Japończycy prowadzą taki projekt na wyspie Kiusiu. W jakim celu jakikolwiek naród miałby to robić, zważywszy na straszliwe sankcje, jakimi Święta Trójca mogłaby zagrozić, wydaje się nie do pojęcia. Fakt, że to robią, potwierdza tylko pogląd Petera Godina, że ludzie są zbyt nieodpowiedzialni, by rządzić sam sobą.

Perspektywa, że dojdzie do konfliktu kilku komputerów Świętej Trójcy, jest przerażająca. Nie wiadomo, czy komputery, nad którymi podobno się pracuje, oparte są na neuromodelach męskich, kobiecych czy mieszanych. Czy umysł jednego człowieka, uzyskawszy taką władzę, mógłby skutecznie ewoluować ponad szczątkowe instynkty i współistnieć w ograniczonej przestrzeni naszego świata? Nie jestem

optymistą. Być może jednak nie uznają naszego świata za ograniczony. Teoretycznie zasoby wiedzy są nieskończone. Być może więc Święta Trójca położy kres wojnom.

Obecnie takie zamartwienia zostawiam innym.

Kiedy pytają mnie, czy moje sny — albo halucynacje — były prawdziwe, odpowiadam w ten sposób: nie jestem pewien, ale w różnych miejscach znajduję wskazówki. Jedną z najlepszych uzyskałem z zupełnie niespodziewanego źródła.

W ciągu ostatnich trzech miesięcy — kiedy pracowałem nad tym opisem moich doświadczeń ze Świętą Trójcą — komputer kierował budową drugiego prototypu Świętej Trójcy dla celów badawczych. Stoi on teraz obok pierwowzoru w Pojemniku w Białych Piaskach, odcięty od świata zewnętrznego, ale doskonale funkcjonujący jako samodzielna jednostka.

Dowiedziawszy się o skonstruowaniu tej maszyny, wysłałem list elektroniczny do Świętej Trójcy. Podkreślałem w nim, że nikt nie zasługuje na osiągnięcie stanu Świętej Trójcy bardziej niż Andrew Fielding — człowiek, dzięki któremu stało się to możliwe.

Komputer wpadł na to o wiele wcześniej.

W ubiegłym tygodniu minąłem pierścień uzbrojonych ludzi i wszedłem do Pojemnika, gdzie zastałem dwie kule z włókien węglowych, stojące obok siebie. Oczekiwałem tego dnia z utęsknieniem, ale i ze strachem. Strach wynikał z tego, że Andrew Fielding, z którym miałem się spotkać, nie miał wspomnień od czasu, gdy został zeskanowany pół roku temu, co oznaczało, że przypadnie mi w udziale wyjątkowo niemiłe doświadczenie — poinformowanie go, że został zamordowany. Ale znając Fieldinga, wiedziałem, że przyjmie ten wstrząs lepiej niż większość ludzi.

Miałem rację. Fielding przypomniał mi, że od czasu do czasu będzie żył w postaci cyfrowej w komputerze Świętej Trójcy, a nawet spekulował, że pewnego dnia — za jakieś sto lat — być może uda się przeprowadzić odwrotny proces: załadować cyfrowy neuromodel do mózgu biologicznego, czyli tak zwany *wetware*.

Najlepszym ratunkiem dla zdrowia psychicznego Fieldinga była wiadomość, że sprowadził z Chin miłość swojego życia i się z nią ożenił. Pamiętał tylko bezskuteczne wstawianie się za Lu Li, która według

niego wciąż była uwięziona w Pekinie. Opowiedziałem mu, jak Lu Li uciekła ekipie Geli Bauer — może nie tak dramatycznie jak ja, za to skutecznie. Kilka godzin po tym, jak owej nocy opuściliśmy jej dom, Lu Li wymknęła się ze swym bichonem i pieszo przeszła przez Chapel Hill. Potem dołączyła do chińskiej rodziny, prowadzącej restaurację, w której często jadali z Fieldingiem. Oni zaś ukryli ją w swoim domu, dopóki cała afera związana ze Świętą Trójcą się nie wyjaśniła.

Kiedy powiedziałem Fieldingowi, że przywiozłem Lu Li ze sobą z Karoliny Północnej i że czeka na zewnątrz, poprosił o kilka minut na pozbieranie się, zanim ona stanie przed kamerą. Prośba ta mnie zaskoczyła, ale zdałem sobie sprawę, jak „ludzki” może być komputer. Rozmowa z neuromodelem Petera Godina była rozmową z maszyną, lecz tak samo gadało się z żywym Godinem. Andrew Fielding był ekscentrykiem znanym z poczucia humoru i pasji. Nawet w syntetyzowanym głosie jego neuromodelu słyszałem iskrę człowieka, który zachował plakat z klubu w Newcastle, gdzie Jimi Hendrix dał koncert w 1967 roku.

Podczas gdy Fielding zbierał się w sobie, my myśleliśmy o losie ludzi, którzy pracowali nad Świętą Trójcą. Zach Levin został ugodzony nożem przez Geli w drzwiach Pojemnika, ale jakoś się wylizał. Nadal pracuje jako szef zespołu badawczo-rozwojowego Superkomputerów Godina. John Skow został wylany z NSA i chodzi słuchy, że pisze powieść opartą na swoich doświadczeniach w supertajnej agencji wywiadowczej. Podobnie jak on Geli Bauer wiedziała zbyt wiele na temat kwestii związanych z bezpieczeństwem narodowym, by stanąć publicznie przed sądem za zamordowanie Andrew Fieldinga. Po długotrwałych przesłuchaniach przez NSA i Secret Service po prostu zniknęła. Chciałbym wierzyć, że gdzieś tam dopadła ją sprawiedliwość, podejrzewam jednak, że pracuje w sekcji ochrony jakiejś ponadnarodowej korporacji, wzbudzając strach zarówno przełożonych, jak i podwładnych.

Kiedy Fielding powiedział mi, że jest gotowy na spotkanie z Lu Li, pożegnałem się z nim serdecznie i ruszyłem do drzwi.

— *Davidzie?* — odezwał się za mną głos z syntezatora.

Zatrzymałem się i obejrzałem na czarną kulę.

- Tak?
- *Czy wciąż niepokoją cię twoje wizje?*
- Już ich nie mam.
- *A narkolepsja?*
- Minęła bez śladu.
- *To świetnie. Powiedz mi... czy nadal zastanawiasz się, czy twoje sny były prawdziwe, czy nie?*
- Myślałem nad tym przez chwilę.
- *Dla mnie były realne. To wszystko, co wiem.*
- *I nic więcej cię nie interesuje?*
- Cały Fielding!
- *A możesz powiedzieć mi coś więcej?*
- *Tak.*
- *Świetnie. Słucham.*
- *Pamiętasz pierwszy sen, który do ciebie powracał? O sparaliżowanym człowieku w ciemnym pokoju?*
- *Oczywiście.*
- *Powiedziałeś mi, że on widział narodziny wszechświata: Wielki Wybuch, olbrzymią eksplozję, niczym wybuch bomby wodorowej, która rozszerzała się z niesamowitą prędkością, wypierając Boga.*
- *Tak. — Podeszedłem do komputera.*
- *Mówiłeś, że dla ciebie było to jakby wspomnieniem. Jakbyś naprawdę to oglądał. Jakbyś to widział oczami Boga.*
- *Zgadza się.*
- *Ale tak nie było.*
- *To znaczy?*
- *Nie widziałeś tego wydarzenia takim, jakim naprawdę było.*
- *Skąd wiesz?*
- *Stąd, że przez pierwsze dwieście milionów lat po Wielkim Wybuchu we wszechświecie nie było światła.*
- Czułem, jak cierpnie mi skóra.
- *Co takiego?*
- *Obraz wielkiej kuli ognistej jest często błędnie interpretowany, nawet przez fizyków. Na początku wszechświat składał się głównie z atomów wodoru, które pochłaniały wszelkie dostępne światło. Dopiero po dwustu milionach lat rozbłysła pierwsza gwiazda, wskutek kompresji wodoru spowodowanej grawitacją.*

A więc Wielki Wybuch wyglądał całkiem inaczej, niż go „pamiętasz”. Nastąpiła olbrzymia eksplozja... ale nie było niczego widać. W żadnym wypadku nie przypominało to wybuchu nuklearnego.

Gapilem się na migające powoli lasery wewnątrz kuli, czując jak drętwieją mi kończyny.

— Twierdzisz, że to, co mi się śniło, było wytworem mojej wyobraźni?

— *Niczego takiego nie mówię. Wiele twoich snów o wszechświecie odpowiada prawdzie. A reszta być może jest prawdziwa. Ja tylko wskazuję na pewien fakt. Na małą nieścisłość. Sny człowieka to jego sprawa. Ja w nie głęboko wierzę. W świecie rzeczywistym daleko mnie zaprowadziły. Ciebie też. Uratowały ci życie. I zapewne życie milionów innych ludzi. Więc nie przejmuj się tym specjalnie.*

Nie wiedziałem co powiedzieć.

— *Uważam, że dobrze zrobiłem, mówiąc ci o tym. Nie chcę, żebyś przez całe życie miał kompleks Jezusa. Wracaj do zawodu, bądź znów lekarzem. Bycie prorokiem to zajęcie dla samotnika.*

Levin i jego zespół nie uzyskali jeszcze z syntezatora prawdziwie naturalnego śmiechu, ale miałem wrażenie, że gdyby nie to, wychodząc, usłyszałbym za sobą chichot.

Za drzwiami czekała wystrojona Lu Li i uśmiechała się nerwowo. Jej czarne oczy spojrzały w głąb moich, szukając jakiejś wskazówki, czego może się spodziewać.

— Jest już gotowy mnie przyjąć, Davidzie?

Z uśmiechem skinąłem głową. W ciągu trzech miesięcy jej angielski znacznie się poprawił.

— Czy on... no wiesz... Czy z nim wszystko w porządku? — spytała ze łzami w oczach.

— Bardzo za tobą tęskni.

— To dobrze. Muszę mu coś powiedzieć. — Uśmiechnęła się szerzej. — Coś, dzięki czemu będzie bardzo szczęśliwy.

— Co takiego?

Lu Li pokręciła głową.

— Najpierw muszę powiedzieć jemu. Tobie potem.

Przeszła obok mnie do Pojemnika.

Wyszedłem na pustynne światło i spojrzałem w kierunku hangaru

administracji. Rachel siedziała na masce wynajętego forda; w dżinsach i białej koszuli wyglądała tak samo jak wtedy, kiedy zadzwoniła do mnie wystraszona ze splądrowanego gabinetu. Zsunęła się z maski wozu i podeszła do mnie, uśmiechając się niepewnie.

— Wszystko w porządku? — spytała.

Skinąłem głową, wciąż myśląc o ostatnich słowach Fieldinga, Jeżeli moje sny były faktycznie halucynacjami, jak zawsze twierdziła Rachel, to chciałbym się dowiedzieć, jakim cudem poznałem pewne fakty. Jedno było pewne: mogę się tym zająć, kiedy przyjdzie na to pora.

— Na pewno nic ci nie jest? — spytała Rachel, obejmując mnie w pasie. Uważała, żeby nie urazić mnie w ranne ramię. — Co mówił Fielding?

— Kazał mi się znów zająć medycyną.

Roześmiała się. Jej oczy błyszczały w słońcu.

— Popieram go. — Objęła mnie w pasie drugą ręką i przyciągnęła do siebie. — Rób to, co chcesz. Naprawdę.

Spojrzałem na Pojemnik i pocałowałem ją w czoło.

— Chcę tylko ciebie.